R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES-PICTA.COM

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

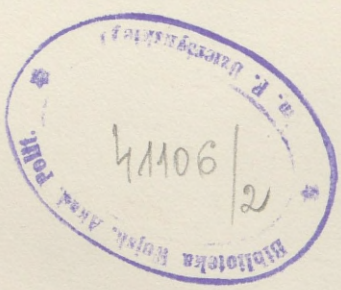
Centimetres Inches

WYBÓR PISM I AUTOBIOGRAFIA

WYBÓR PISM
I AUTOBIOGRAFIA

STANISŁAWA THUGUTTA

WARSZAWA
WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA KOOPERATYSTÓW
1939



OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ CIEŚLEWSKI SYN * PIĘĆDZIESIĄT EGZEMPLARZY ODBITO NA PAPIERZE SPECJALNYM Z ORYGINALNYM DRZEWORYTEM TEGOŻ ARTYSTY * W POZOSTAŁYCH EGZEMPLARZACH ZAMIESZCZONO REPRODUKCJĘ DRZEWORYTU

ZAKŁADY DRUKARSKIE F. WYSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA

KSIĄŻKĘ NINIEJSZĄ
TOWARZYSTWO
KOOPERATYSTÓW
OFIAROWUJE
SWEMU DŁUGOLETNIEMU
PREZESOWI

STANISŁAWOWI
THUGUTTOWI

Z RACJI 35-LECIA
JEGO PRACY
SPOŁECZNEJ

KOMITET WYDAWNICZY KSIĄŻKI STANOWILI:
STANISŁAW DIPPEL, JAN DOMAŃSKI,
KONSTANTY KRZECZKOWSKI, ADAM
NOWAKOWSKI, BOLESŁAW PRZEGALIŃSKI

OD WYDAWCÓW

Czym mogą obdarzyć przyjaciele i współpracownicy działacza społecznego, wybitnego pisarza i twórcę, moralistę i polityka w 35-tą rocznicę Jego pracy, jeżeli nie przypomnieniem tej Jego działalności rozproszonej i rozdanej bezinteresownie w ciągu długich lat czasu? I to działalności tak różnorodnej i bogatej, która zaczęła się od spółdzielczości, a szła różnymi szlakami — poprzez krajoznawstwo, publicystykę, politykę, by wreszcie znów lądować w spólnocie spółdzielczej. Dar ten jest osobliwy, a jednak godny Jubilata. Ofiarujemy Mu zbiór, wybór Jego własnych utworów, które rozrzucił hojną, ofiarną ręką, budząc swym mocnym lub ostrym słowem sumienia ludzkie, swą nieporównaną swadą i logiką — mózgi współczesnych. Nasz Jubilat należy bowiem do ludzi ostatniego pokolenia najmocniejszych w piórze, mających poczucie wagi i rzetelności każdego swego sądu, każdej swej wypowiedzi. Zbiór nasz oddaje całego człowieka, daje najbardziej wyrazistą sylwetę pisarza.

Do tego osobliwego daru dla Jubilata dodał On sam najcenniejszy upominek pokoleniom przyszłym — dał nam swoją autobiografię, napisaną w najtrudniejszych i najmniej dla Autora korzystnych warunkach pracy; a jednak ten życiorys tryska dojrzałym optymizmem i spokojem, który jest najcenniejszym skarbem, cementującym pokolenia i stwarzającym więź historyczną, wiecznie żywą, stanowiącą poprzez pokolenia rdzeń duszy narodu.

Autobiografia ta jest wzorem prostoty w opowiadaniu najdonioślejszych historycznych wypadków, z którymi sprzęgło się w Polsce Jego życie, zawiera szereg wstrząsających, choć dyskretnie ujętych wypadków dziejowych, w których daje trafne i pozbawione jadu charakterystyki osób działających a nawet przeciwników politycznych. Wreszcie Autor

składa w niej swoje credo polityczne i społeczne, spowiada się ze swych intencji i pracy publicznej. Wyziera z niej mocny, czysty człowiek, który tylko to pisał, w co wierzył i wszystko co pisał — wykonywał. Odwaga mówienia prawdy o sobie i innych, choćby najbardziej gorzkiej, cechuje te „wyznania".

Do tej autobiografii chcemy tylko dorzucić nieco uwag marginesowych. Sądzimy, że całość dzieła da podstawy wiedzy o Stanisławie Thugucie.

Polityka rozsławiła imię Stanisława Thugutta, polityka, do której wchodził jako nowicjusz na początku Wielkiej Wojny. Na starcie spotyka wielką liczbę zawodowych działaczy politycznych, głośnych, znakomitych, wymownych. I oto niezwykłe widowisko — ten skromny samotnik, ten bezkrytycznie, zdawało by się, patrzący na życie nowicjusz nagle wysuwa się na czoło życia politycznego dawnej Kongresówki, przerasta otoczenie i staje w szeregu twórców Polski współczesnej. Najdziwniejsze w tym niezwykłym widowisku jest to, że Thugutt nie jest politykiem, że do polityki wszedł po to, aby móc urzeczywistniać szersze niż polityka obejmuje horyzonty. Na czoło życia wysuwają Go cechy osobiste i siła przekonań — odwaga, śmiałość i samodzielność myślenia, wielka namiętność prawdziwego czynu, niepodległość wewnętrzna, wola i wiara w swe ideały.

Wojna, pomimo całego ogromu nieszczęść, które strąciła na Polskę, wywołała wielki ruch od dołu — mas i indywidualności, obudziła życie polityczne, w proch rozbiła dawne dogmaty. Nowi ludzie, nowe siły zaczęły domagać się głosu. Thugutt od początku Wielkiej Wojny wierzył w Polskę i chciał jedynie urzeczywistniać program niepodległości kraju. Nie miał zaufania do żadnych obietnic i obcych uprzejmości. Od początku swej działalności publicznej stara się urzeczywistniać swój sen o sile narodu, o zdolności jego do zbudowania państwa niepodległego. Niepodległość kraju nie może być darem, nie może spaść z nieba. Musi być wywalczona, musi opierać się o wysiłek i wolę narodu do nowego życia. Moc tę może dać jedynie wielki, potężny ruch społeczny, ogarniający całe żywe społeczeństwo, ogarniający warstwy o największej sile dynamicznej.

Szuka w warstwach ludowych podstaw dla budowania niepodległości. One stanowią rdzeń i siłę narodu, one mają najmocniej zaznaczone, nie spaczone cechy narodowej kultury, najbardziej silne psychiczne pierwiastki, na których trzeba budować nowe Państwo Polskie, w nich znajduje się źródło i siła niezniszczalna polskiego ducha. Tylko w wielkim zbiorowym ruchu, tylko w akcji mas widzi Thugutt podstawę do zdobycia niepodległości narodu.

I oto z uporem, z bezwzględnością, z pasją szuka fundamentów niepodległości narodowej w Polsce.

Umie się koncentrować i wybierać wielkie fakty, przeżywa je głęboko aż do dna. Jest niezmiernie skąpy w słowa, wszędzie się uczy i umie iść na całopalenie. Cechy te wysuwają Go przed innymi, wysuwają na czoło wypadków — więcej, On sam idzie przed wypadkami, nie zatrzymując się przed żadną trudnością, przed żadną ofiarą. Nie jest liberalny — nie daje się porywać tłoczącemu nawałowi wypadków, a umie drogę swoją wybrać. Nie umie działać zbiorowo. Przed wojną całej swej wielkiej pracy dokonywał sam — a imał się licznych zawodów, licznym poświęcał się dziełom. Był i robotnikiem w fabryce, był urzędnikiem, rozpoczął wielkie odrodzenie w turystyce, fotografii, krajoznawstwie. Do wszystkich tych zajęć i pracy odnosił się z najwyższą powagą. Traktował je nie tylko sumiennie lecz z pasją, z namiętnością. Dla napisania przewodnika turystycznego po Kongresówce czy po Warszawie robi specjalne studia historyczne i geograficzne z całą drobiazgowością badacza. Nigdy nie lekceważył żadnej ze swych czynności, żadnej pracy — wszystkie wykonywał punktualnie, gruntownie, akuratnie, ale zawsze sam, nie posiłkując się cudzą pomocą.

Z tymi to wrodzonymi niejako cechami wpadł na początku Wielkiej Wojny w pstre, bezradne i skłócone społeczeństwo warszawskiej inteligencji politykującej, szykującej się do wielkiej misji historycznej, a nie umiejącej się zdobyć na żaden czyn stanowczy i decydujący. Uciekł od niego, by szukać pracy godnej siebie. Nie wiedzie Mu się długo, nie trafia na właściwą swą drogą, gdyż szuka jej na razie na zewnątrz, wśród morza wypadków wojennych, zawrotnych, a nie zawsze rozstrzygających.

W listopadzie 1915 r. wstępuje do Legionów, skąd po ośmiu miesiącach wraca chory. Podejmuje wydawnictwo słynnego „Biuletynu", które prowadzi do wiosny 1917 roku. Coraz intensywniej jednak zaczyna przeżywać własną myśl o potrzebie siły i potęgi, o potrzebie stworzenia tej siły, o pustce inteligenckiej i potrzebie oparcia się o koła chłopskie, o te najszersze koła chłopskiej nędzy i biedy, które przecież są solą tej ziemi — jej siłą i obroną, jej mocnym puklerzem, a które o tej swojej mocy jeszcze wówczas nic nie wiedziały i uginały się jak kłosy żyta polnego przed każdą nawałnicą. Thugutt, mieszczuch, staje się przywódcą stronnictwa chłopskiego, nie dlatego by taką była Jego ambicja, ale że tak kazała Mu Jego wiara, dlatego, że nie stanął na pół drogi, a poszedł do ruchu, oddając mu swe całe serce, cały swój wielki talent pisarski, całą swą namiętność czynu.

W dobie walki o odrodzenie Polski zaznacza swą indywidualność na wszystkich szczeblach tych zmagań. Ma wyraźny cel i wyraźną linię życia. Nigdy nie dba o siebie i swój los, podejmuje każdą pracę, którą na Niego składają, ale nigdzie nie wysuwa swej osoby. Czuje natomiast głębię swej odpowiedzialności — przed swoim sumieniem, przed swoją wiarą i przed wiarą, jaką wiązano wszędzie z Jego osobą, jaką wiązał z Nim szeroki ruch chłopski. Ujęła Go i porwała legenda i atrakcyjność duszy chłopskiej, jej oblicze psychiczne, jej typ władny gospodarza kraju. Chłopi mają dla Niego cechy najbardziej rodzime polskie, są największą masą narodu, a mogą być podstawą polityki państwa i narodu, mogą być zwartą, mocną siłą kraju. Źródłem atrakcyjnym duszy polskiej stał się dla Niego lud wiejski. Tak jak do polityki w ogóle, tak i do Stronnictwa Ludowego, wszedł bez reszty, wszedł całą duszą, widząc w nowej pracy realizację swych największych ideałów, które spodziewał się osiągnąć dzięki potężnemu ruchowi chłopskiemu. Taką była niewątpliwie geneza Rządu Lubelskiego i przyjęcie udziału w pierwszym rządzie Rzeczypospolitej.

Nie wchodził nigdzie z gołymi rękami. Umiał pracować, umiał wciągać do pracy, umiał wytykać drogi i programy, nigdy nie używając demagogii i schlebiania. Wnosił do ruchu chłopskiego rzetelność, realizm,

umiar w ocenie wypadków, dbałość o powagę wystąpień, dbałość o wysoką moralność ruchu; w robocie jego brak śladu frazesu. W roku 1920 przywódca staje się żołnierzem i zostaje ciężko ranny pod Surażem.

W całej swej politycznej akcji imponował przyjaciołom i wrogom swą wysoką postawą moralną. Był to ten Jego rycerski, nie rdzewiejący nigdy miecz, którym potrafił rozcinać wszystkie węzły naszego życia bez żadnych kompromisów i ustępstw. Natomiast zawsze gotów był do ustępstw i zgody, gdy szło o sprawy całości, o interes publiczny, o wzmocnienie moralnych sił kraju. Bezapelacyjnie i powszechnie zjednał sobie też stanowisko arbitra w niezliczonej ilości najważniejszych sporów ogólnego, państwowego znaczenia (przewodniczący komisji do zbadania morderstwa prezydenta Narutowicza, przewodniczący komisji więzienniej, przewodniczący komisji do spraw mniejszości narodowych itd.), lub też w sporach czysto ludzkich, wymagających przecież czystości intencji i tej wysokiej, niczym nie zachwianej moralności osobistej i publicznej.

Przy tej pozycji uderza Jego bardzo ludzki stosunek do człowieka, zwłaszcza człowieka cierpiącego, zbiedzonego i zmaltretowanego. Do każdego z nich umie zawsze zbliżyć się z braterskim uczuciem. Tym samym jest dla przyjaciół — sam wierny przyjaciel i druh. I wiecznie powtarza się ta sama, niewyrozumowana, czysto ludzka scena — wymaga zawsze więcej od siebie niż od innych. Jest pobłażliwy. Umie w każdym nieszczęściu czy słabości zawsze winić siebie — rzadko słyszymy wyrzekanie na innych, — bierze ludzi takimi, jakimi są. Gotów zawsze z nimi pracować, gdy widzi choć przebłysk szczerości.

Zawsze robiono zeń wodza, kierownika — był nim i dawał z siebie zawsze najwyższy wysiłek, ale innych nie zawsze umiał podporządkować woli zbiorowej. Nie umiał rozkazywać i nakazywać. Jedyną Jego siłą był mocny, logiczny ład Jego argumentów i wielka osobista ofiarność. W polityce nie są to jednak wystarczające środki. Ześlizgiwały się one i musiały ustępować demagogii, a często rzeczom bardziej jeszcze płaskim. To też nie mógł się czuć w polityce dobrze. I nieraz pióro Jego maczane jest w żółci i wydobywa jaskrawe w swej goryczy obrazy, bo nasz polityk jest nielada polemistą, zna wszystkie ciosy i umie je boleś-

nie zadawać. Robi to zresztą nie zawsze z pasją — częściej w formie przestrogi, nauki, z celem jakby moralizatorskim.

Realizował to tylko, co uważał za godne swego sumienia — czujnego i bezkompromisowego. Szedł wszędzie na całopalenie tam, gdzie Mu to nakazywała Jego wiara wewnętrzna i żar serca. Wypadki umiał przewidywać swym przenikliwym intelektem i nie lubił zamków na lodzie. Rzetelność Jego kazała Mu nie szukać zdawkowych przyjaciół. Gotów był zawsze od nich odejść, gdy sprzeniewierzali się zasadom.

Wierny i bliski tym, z którymi splotło Go serce, prawda życiowa i wspólne ideały — tak było ze Śmiarowskim, którego kochał jak brata i któremu mógł bezgranicznie ufać, — nie znosił przy sobie ludzi frazesu i nieprawdy. Jego wymagania w stosunku do ludzi były zawsze wymaganiami wysokiej moralności osobistej i publicznej. Jeżeli Jego moralne postulaty nie były spełnione, gotów był wojować z ludźmi pozornie sobie najbliższymi. Groźny był wtedy i surowy, ostry i niedostępny.

Formy demokratyzacji społeczeństwa nie mają dla Niego decydującego znaczenia, natomiast wierzy w wyzwolonego człowieka, wierzy w konieczność harmonii między człowiekiem a ustrojem społecznym, chce, by sankcje zewnętrzne znajdowały potwierdzenie w sankcjach, w odruchach wewnętrznych człowieka. Nie może pogodzić się z przymusem i przewagą państwa nad człowiekiem. Z drugiej strony walczy przeciw wszystkim uroszczeniom jednostek, przeciw wszelkiej polityce personalnej i karierowiczostwu. Żąda od wszystkich bezinteresowności i szczerości, prawdy i wiary w dzieło dokonywane. Im większych dzieł ktoś się podejmuje, tym więcej od niego żąda. Stawia wielkie wymagania posłom i reprezentantom opinii publicznej. Umie bezwzględnie zwalczać intryganctwo i interesowność polityczną — domagać się czystych rąk i czystych intencji działania.

Praca w ciałach parlamentarnych Rzeczypospolitej wytworzyła w Nim dbałość o powagę Sejmu. W walce swojej o reformę rolną, o przebudowę ustroju społecznego — wszędzie domaga się realizatorstwa odświętnie przybranych deklaracji i ustaw. Zwalcza wszelkie próby szkodliwych

kompromisów i pozornych posunięć. Umie tych swoich postulatów z uporem, wytrwałością i żarliwością bronić.

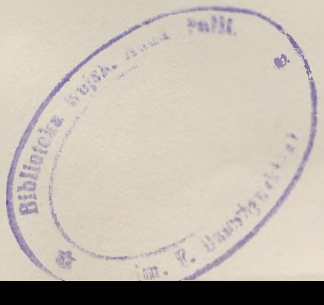
Brak odpowiedzialności w poczynaniach kół sejmowych i rządowych sprawia, że skłaniać się zaczyna do wiary w potrzebę silnej władzy wykonawczej. Wreszcie dojrzewa w Nim decyzja wejścia ponownie do rządu. I znów tutaj próby podniesienia autorytetu rządu i próby wytworzenia realnego programu polityki wewnętrznej, a gdy one zawodzą, śmiałe przekreślenie swej próby i wystąpienie z rządu.

Stawianie na człowieka, próby wydobycia człowieka jako siły twórczej, stale Mu przyświecają. Brak tej polityki rządów pomajowych był niewątpliwie największą przyczyną opozycyjnego stanowiska Thugutta. W okresie tym przypada kulminacyjny punkt Jego świetnej publicystyki; artykuły ówczesne zebrane w jedną książkę — „W obronie parlamentaryzmu" są niewątpliwie najświetniejszymi kartami, najbardziej niezależnymi, jakie w tej sprawie napisano u nas.

Marazm polityczny pchnął Go napowrót do kooperacji. Nie był to krok rezygnacji. Raczej zrodziła go wiara w potrzebę odbudowania nowego szerokiego ruchu społecznego. Żadna dziedzina życia nie regeneruje tak szybko jako ruch masowy — jak spółdzielczość. Thugutt poczuł się znów w tym ruchu młodzieńcem, tym młodym zapalonym twórcą organizacji spółdzielczych przedwojennych. Ogarnął Go wielki pęd, wielki rozmach przyszłości. Wierzy i wypełnia przykazania spółdzielcze.

Imponuje Mu metoda spółdzielczego czynu i te skutki, które ona przynosi. Rozumie doskonale, że jest to organizacja życia, idąca z duszy jednostki, opierająca się o sankcje wewnętrzne, opierająca się o nakaz moralny. Dla Thugutta jest to symbol uzdrowienia życia, gdzie zapewnione jest spełnienie postulatów zbiorowości i gdzie jednostka ludzka nie ginie, przeciwnie, zachowuje siebie w swej twórczej postaci.

Dlatego Towarzystwo Kooperatystów podejmując niniejsze wydawnictwo nie tyle chce podnieść wielkie zasługi Thugutta, ile chce raczej pokazać drogi twórczości Jego i wskazać na to źródło niewyczerpane Jego czynu i pracy, na ten najgłębszy nurt Jego własnej filozofii, która jest również niewyczerpaną skarbnicą zbiorowej energii i stanowi o sile i potędze naszych poczynań.



MOJE ŻYCIE

Pisząc te wspomnienia, musiałem dla szczupłości miejsca ograniczać się do rzeczy najważniejszych oraz tych, które mi się wydawały potrzebne dla charakterystyki autora. Co gorsza, z tego samego powodu braku miejsca ogólne tło historyczne podmalowane jest w tym krótkim szkicu niedostatecznie, co niewątpliwie utrudni wielu czytelnikom należytą ocenę wypadków, które opisuję. A i to jeszcze dodać należy, że wypadki te są nam tak bliskie, iż nie nadszedł jeszcze czas, aby o nich pisać z olimpijskim spokojem historyka. Pisząc o innych starałem się nie krzywdzić ich nazbyt ostrym czy jednostronnym sądem; w każdym razie to wszystko, co napisałem o sobie czy innych, jest w moim rozumieniu prawdą, choć może nie zawsze pełną.

Pisałem niemal wyłącznie z pamięci, stąd możliwość pomyłki w nazwisku czy dacie; gdzie sam nie byłem pewny, dodawałem obok znak zapytania. Czy w tej postaci to co napisałem przedstawia jakąkolwiek wartość materiału historycznego — osądzi Czytelnik.

CZĘŚĆ I

Dzieciństwo i młodość

Pochodzimy według tradycji rodzinnej z Wiednia. W XVII w. jakiś bogaty tamtejszy mieszczanin za dobrodziejstwa świadczone swoim współobywatelom podczas oblężenia Kara Mustafy miał jakoby otrzymać nazwisko Thugutt i szlachectwo z herbem Pelikan. Jeżeli późniejszy minister spraw zagranicznych Marii Teresy był jego potomkiem, nie był on w każdym razie moim przodkiem, linia bowiem osiadła w Polsce wywodzi się od nieznanego mi z imienia pułkownika wojska cudzoziemskiego autoramentu, który z Augustem III przybył do Polski. Syn jego, również nieznany mi z imienia, był nauczycielem szkół publicznych w Warszawie a wnuk Karol Henryk — znanym i zamożnym kupcem winnym, właścicielem dużego składu win i własnego domu przy ul. Piwnej (pierwszy po lewej stronie od Placu Zamkowego), później właścicielem dużego majątku ziemskiego, Cierzyna nad Narwią, w okolicach Nasielska. Według rękopiśmiennych pamiętników mojego ojca był to człowiek niezmiernej dobroci a równocześnie bardzo skrzętny, zabiegliwy i pracowity. Pomimo swojego herbu, który sobie, jak się zdaje, cenił bardzo, był uosobieniem cnót mieszczańskich w dobrym tego słowa znaczeniu. Żonaty był dwa razy i jednym z jego ośmiorga dzieci był z matki Praksedy Minasowiczówny ojciec mój, Augustyn, urodzony w 1822 r., który po ukończeniu studiów medycznych w Moskwie (na studia za granicą trzeba było mieć specjalne zezwolenie) praktykował w Warszawie, Dąbiu, Radzyminie i ostatnio aż do śmierci — w Łęczycy. Był trzy razy żonaty i miał sześcioro dzieci, z których ja, urodzony w Łęczycy 30 lipca 1873 r. z matki Walerii z Hulanickich, byłem najmłodszym.

Wspomnienia moje z tych tam łęczyckich czasów zachowały się dość liczne, ale z natury rzeczy są one bardzo nikłe. Nie mogę po dziś dzień zrozumieć, dlaczego niektóre z tych przeżyć, tak mało ważne nawet

w ówczesnej skali mych zainteresowań, utkwiły mi silnie w pamięci. Tak np. jechałem kiedyś z matką powozem do Kutna; dzień był bardzo upalny, wszystko zasypane pyłem przydrożnym; gdzieś po drodze spotkaliśmy jakiś duży krzak całkiem szary od kurzu i zrobiło mi się niesłychanie żal, że ten biedak nie może się obmyć ani napić; sześćdziesiąt z górą lat minęło od tej chwili, a mnie wciąż ten nieszczęsny krzak stoi w oczach. Kiedy indziej poraziły mnie wprost swą surowością wyniosłe i posępne mury kolegiaty w pobliskim Tumie. Kiedyś jakiś młody księżyk zaprosił mnie do siebie wieczorem; pokój słabo rozświetlony małą świeczką stojącą na stole był mroczny i tajemniczy, ksiądz długo grał na fisharmonii coś, czego oczywiście nie rozumiałem, ale co wydało mi się dziwnie słodkie, prawie tak słodkie, jak orzeszki z miodem, które zakończyły tę pierwszą ucztę duchową. Wszystko to nikłe jak puch, a jednak razem tworzące jakiś koloryt, w którym widzę te czasy.

Bardziej już zrozumiałe było wrażenie wielkiej komety, której w srogą noc zimową przyglądałem się nie bez trwogi. Głęboko uderzyły mnie prowadzone szeptem rozmowy o zabójstwie cara Aleksandra; po kilku latach dopiero miałem zrozumieć, czemu takie rozmowy starsi prowadzą szeptem. A przecież moja pierwsza bitwa z Moskalami odbyła się już jakoś w tych czasach. W pobliżu naszego domu mieszkało sporo rodzin oficerów przebywającego w Łęczycy pułku piechoty. Nie utrzymywałem z tymi chłopcami stosunków, wolałem się bawić na podwórzu swojego domu z dziećmi mieszkających tam wyrobników, wskutek czego, nawiasem mówiąc, język mój nabrał przedziwnej soczystości. Któregoś jednak dnia spotkałem na pobliskim placu mustry 6 czy 7 tych moskalików. Wyrazili się bardzo obelżywie o „polaczyszkie"; nie pozostałem w odpowiedzi dłużny. Zaczęli mnie obrzucać kamieniami — rzucałem i ja. Ktoś krzyczał: „Uciekaj, mały", ale ja nie chciałem uciekać. Nie wiem, jak by się to skończyło, bo krew ciekła mi już ciurkiem z czoła, gdyby nie jakiś poczciwy Iwan czy Wasyl, ordynans, który na rękach odniósł mnie do domu. Nazajutrz przy rannej toalecie ojciec spytał mnie, jak to tam było właściwie i kto pierwszy zaczął. Opowiedziałem rzecz szczegółowo, wyrażając mniemanie, że w tych warunkach musiałem i ja ciskać kamieniami. Ojciec długo się mył, aż w końcu powiedział: „Dobrze, jeśli tak mówisz, muszę ci wierzyć". Te słowa i ten kredyt moralny były dla mnie czymś niesłychanym i dlatego może do mnóstwa swoich wad nie zaliczałem później nigdy skłonności do kłamstwa.

Do bójek za to zawsze byłem aż nadto skory. Kiedyś zdarzyło się, że w bramie spotkałem swoją nianię w ostrym a beznadziejnym dla niej sporze słownym z gospodarzem domu. Od słowa do słowa skończyło się na tym, że kopnął ją w kolano, niestety akurat obolałe i spuchnięte. Rozległ się krzyk bólu a ja z płaczem i krzykiem rzuciłem się na jego sprawcę bijąc go, kopiąc i drapiąc.

Sam jednak bić się nie dałem. Jakiegoś pięknego poranku wybrałem się samotnie na spacer, z którego wróciłem do zaniepokojonego w najwyższym stopniu domu dopiero wieczorem. Rada familijna uchwaliła dać mi w skórę, ale kiedy mnie już ułożono pięknie na jakimś tapczanie, zerwałem się, chwyciłem palącą się lampę i zagroziłem, że ją rzucę na ziemię, jeśli mnie bić zechcą. No i z pokrzywdzeniem prawa i sprawiedliwości — nie dostałem.

W tym to jakoś czasie albo nawet parę lat wcześniej ojciec mój pisał do swojej matki: „Syn, ukończywszy już rok czwarty, wielkiego niestatku i burzliwości daje dowody. Niby ma się żenić, sprasza już gości na wesele, to znów za innymi biega dziewczętami; za chwilę wybiera się na wojnę, szykuje karabin i armatę, ale nim to nastąpi, ma jeszcze dom, w którym mieszkamy, zburzyć, rozwalić i nowy zbudować, tak że jutra nie jesteśmy pewni; bo i dziś nam zapowiadał, żeby jutro bardzo rano wstawać, bo do dnia będzie sufity wystrzałami zwalał! Nie wiem, co to z tego wyrośnie, ale pewno nie łagodny, potulny baranek".

To hajdamactwo łagodziła nieco pasja do czytania, jedna z najsilniejszych namiętności mojego życia. Już mając pięć lat nauczyłem się czytać, choć bez regularnej nauki. Od tej pory niekończące się godziny spędzałem na czytaniu pod stołem albo w kątku za biurkiem ojcowskim. Zapamiętałem z tej lektury jedynie trzy rzeczy: jakąś fantastyczną historię o ołowianych żołnierzykach, którzy spod choinki ruszyli w wigilijną noc na podbój świata, Robinsona Kruzoe w opracowaniu Anczyca, który mnie pasjonował jeszcze w dorosłym wieku, i Historię Starego Testamentu, której groźne i tak osobliwe nieraz opowiadania brałem całkiem realnie jako coś, co się zdarzyło niedawno i niedaleko.

Dnia 12 kwietnia 1880 r. zmarł po krótkiej chorobie mój ojciec. Kiedy mi o tym powiedziano, nie bardzo wiedziałem co to znaczy „umarł". Dopiero kiedy stałem już nad otwartą mogiłą, kiedy spuszczono w nią trumnę i grudy ziemi zaczęły na jej wieko spadać z przerażającym łoskotem, ogarnęła mnie zgroza.

Szkoły. W rok później przenieśliśmy się do Warszawy, gdzie zamieszkaliśmy przy ul. Śliskiej 4 czy 6. Zacząłem też chodzić do szkoły Pankiewicza przy ul. Złotej. Z tej szkoły nie zachowałem w pamięci nic — ani jednego nauczyciela, ani jednego kolegi — prócz samego dyrektora, siwiutkiego jak gołąb staruszka, który z wyrazem dobrotliwej powagi przechadzał się często na pauzach pomiędzy swymi wychowańcami.

Jedynym wspomnieniem z tego okresu jest pogrom żydowski. W pierwszy dzień Bożego Narodzenia w czasie nabożeństwa w kościele Świętego Krzyża zdarzyła się straszliwa katastrofa: ktoś krzyknął „Pali się", oszalały z trwogi tłum rzucił się do drzwi i kilka czy kilkanaście osób zostało zdławionych. Nazajutrz przy zupełnej obojętności policji i podobno z jej poduszczenia rozpoczął się pogrom. Kiedy wyszliśmy na ulicę, była ona tak zasłana pierzem z porozpruwanych poduszek, jak gdyby spadł śnieg. Płacz i jęki mieszały się z grubiańskimi klątwami. Nie wiedziałem jeszcze, co to jest sprawa żydowska i znałem bardzo niewielu Żydów, ale ten widok napełnił mnie przerażeniem i wstrętem.

W następnym roku przenieśliśmy się na ul. Bednarską 18 a równocześnie wstąpiłem do I-ej klasy 3-go gimnazjum państwowego przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Traugutta. Była to jedna z najbardziej rusyfikatorskich szkół ówczesnych, znana z opisów w broszurze Dmowskiego. Dyrektorem był Sołncew, b. profesor uniwersytetu w Dorpacie, gdzie uchodził podobno za liberała, o czym najzupełniej w Warszawie zapomniał. Inspektorem był osławiony Troickij, którego przypomniała nam niedawno książka o Marii Skłodowskiej, rudy drab o pijackiej gębie i odrażającej powierzchowności. Jak ci dwaj „pedagodzy" wychowywali młodzież, świadczy następujący wypadek. Kiedyś dyrektor zaczepił mnie na dziedzińcu szkolnym, dlaczego tak wolno chodzę, kiedy trzeba biegać dla zdrowia. Odpowiedziałem, że p. inspektor nie pozwala biegać. „Ale ja każę biegać, słyszysz? Biegaj zaraz". Oczywiście, nie tylko chętnie posłuchałem, ale pędem pobiegłem w przeciwległy kąt dziedzińca, w którym dostrzegłem czcigodną postać p. inspektora. Aż się spienił z wściekłości na widok takiego buntu. „Dlaczego biegasz? Nie słyszałeś, co mówiłem?"—„Pan dyrektor kazał biegać" — odparłem wyzywająco. Niedźwiedź zamruczał coś w brodę i uciekł. Że jednak był służbistą, nazajutrz zaczął grać z chłopcami w palanta, dopóki zbiwszy piłką szybę w oknie nie schronił się do kancelarii, każąc wprzód uczniom zrobić składkę na uregulowanie kosztów wstawienia

szyby. Trzecim godnym kompanem był nauczyciel języka rosyjskiego, Newskij. Wezwawszy moją matkę zwrócił jej uwagę, że wprawdzie wypracowania rosyjskie piszę dość dobrze, ale widoczne jest, że pisząc myślę po polsku, a tego nie trzeba i nie wolno. Byłem wówczas w drugiej klasie.

Nauczycieli Polaków było jeszcze dość wielu, ale nawet my widzieliśmy, że to jest zastęp skazany na wymarcie. Paru było jawnych renegatów, a przynajmniej ludzi, którzy się chcieli jak najściślej dopasować do nowego ducha szkoły.

Z kolegami mało utrzymywałem stosunków; rosłem sam, bo i u znajomych, u których bywałem z matką, przeważnie nie było dzieci w moim wieku. A i to towarzystwo, które sobie sam dobierałem, nie bardzo było odpowiednie. Kiedyś ślizgając się na Wiśle ze zgrają rozwydrzonych wyrostków, wpadłem do przerębla, na szczęście nie głębokiego; innym razem bawiliśmy się jak szaleńcy w „berka" na dachu czteropiętrowego domu. Pierwsze żywsze uczucie przyjaźni, z mojej przynajmniej strony, poczułem do Ryszarda Kunickiego, może dla jego wschodniej jakiejś urody i rzadko w tym wieku spotykanej powagi. Któregoś dnia nie przyszedł do szkoły a po klasie rozeszła się szeptem podawana straszliwa wieść, że brat jego został powieszony „za bunt". Kiedy po jakimś czasie zjawił się wśród nas, twarz miał jeszcze bledszą niż zwykle i rysy jakby stężałe. Drugim politycznym wrażeniem były głośne zajścia na uniwersytecie z powodu spoliczkowania Apuchtina. Pod oknami naszego gimnazjum stanęły długie szeregi piechoty, ulicę zasypało śmiecie policji i żandarmów. Puszczono nas wcześniej do domów.

To była dopiero prawdziwa szkoła dla polskiego dziecka.

Uczyłem się miernie, tyle aby przechodzić z klasy do klasy. Wykuwałem zadawane „stąd dotąd" kawałki i starałem się poza tym o całym tym nudnym kramie nie myśleć. Czym się miałem zresztą entuzjazmować: posiekanymi na kawałki i podawanymi na surowo, bez słowa komentarzy, w ciągu 8 godzin tygodniowo Pamiętnikami Cezara czy nieobowiązującymi lekcjami języka polskiego w nadetatowych godzinach, w czasie których tłumaczyliśmy z polskiego na rosyjski? Raz tylko nauczyciel języka greckiego, Polak Szumski, rozpoczął swój wykład tak pełną zapału i zachwytu pochwałą greczyzny, że nawet w moim głupim sercu trzecioklasisty coś drgnęło. Ale takie godziny były całkiem już nadetatowe, jeżeli nie zakazane.

Czytanie w tym okresie przybrało jeszcze większe rozmiary, ale stało się czymś już całkiem nieuporządkowanym i dzikim. Że mając lat 11 zaczytywałem się „Nędznikami" Wiktora Hugo, to rzecz od biedy zrozumiała, ale że równocześnie ślęczałem nad „Zasadami socjologii" Spencera, to już graniczyło ze szkodnictwem. Mieszkaliśmy w tych czasach i długo potem przy ul. Freta (Nr. 16, 12, 6 i 20). Stąd moje przywiązanie do Starego Miasta i jego znajomość.

W 3-ej klasie zaraz po Bożym Narodzeniu zapadłem na b. ciężki tyfus, który trwał 3 miesiące i o mało co nie zakończył się katastrofą. Po chorobie wysłano mnie na 3 miesiące na wieś, do dość dużego majątku w pow. sokołowskim niedaleko Buga. Były to najszczęśliwsze chyba miesiące mojego życia. Budzenie się wiosny przedziwnie zgadzało się z odradzającymi się siłami mojego organizmu. To też choć byłem całkowicie pozbawiony odpowiedniego towarzystwa, nie nudziłem się ani chwili, harcując bez przerwy po polach, łąkach i lasach; na dni słotne były nieprzebrane zapasy starych Tygodników Ilustrowanych, Wędrowców i Kłosów.

Dalszy ciąg tych rajskich wczasów był jednak mniej zabawny. Musiałem oczywiście zostać na drugi rok w trzeciej klasie, ale mój „kłasnyj nastawnik" (wychowawca) nie znosił wprost drugorocznych i po paru miesiącach stało się widoczne, że moja kariera naukowa w 3-im gimnazjum jest już skończona. Przeniesiono mnie w środku roku do szkoły Górskiego. Na razie odetchnąłem, jak gdybym wyszedł z łaźni na czyste, świeże powietrze. Szkoła była jak na owe czasy komfortowa, w specjalnie budowanym gmachu, pozbawiona oczywiście wszelkiego nawet posmaku świadomego rusyfikatorstwa. Nauczyciele z wyjątkiem wykładających język rosyjski i historię — Polacy. Niektórzy z nich, jak wielce szanowny żyjący po dziś dzień Paweł Sosnowski, jak wprowadzający z łagodnym uśmiechem starszego przyjaciela w świat wiedzy przyrodniczej Kasjanowicz, jak erudyta polonista, Antoni Bądzkiewicz, matematyk Rękawek, byli niewątpliwie wybitnymi siłami naukowymi, dobrymi Polakami, na ogół serdecznymi wychowawcami. Ale już po paru latach dostrzegłem, że to nie zmienia tak istotnie stanu rzeczy, jak mi się z początku zdawało. Szkoła była polska, jeżeli chodzi o nauczycieli i uczniów, ale program jej musiał być ślepym naśladowaniem programu szkół rządowych a atmosfera jej przesiąknięta była mimowolnym lękiem przed ciągłymi rewizjami, przed chęcią przyłapania domniemanych buntowników na gorącym uczynku. To odbierało uczącym wszel-

ki rozmach, zatruwało serdeczny, pełen wzajemnego zaufania stosunek między nauczycielem a młodzieżą. Za rozmowę po polsku w czasie pauzy nie karano jak w szkole rządowej karcerem albo wydaleniem, ale wykład musiał się odbywać w języku, którym nie władali dostatecznie ani uczniowie, ani nauczyciele i to samo wprowadzało już nieznośny przymus, przy którym o radości zdobywania wiedzy nie mogło być mowy, co gorsza, wprowadzało kłamstwo i hipokryzję młodszych czy starszych niewolników.

Polskiego, jak wspomniałem, wykładał nam od 5-ej klasy Bądzkiewicz, człowiek już stary, schorowany i zamknięty w sobie. Wykłady jego grzeszyły tym jednym chyba, że były zbyt obszerne i na zbyt akademickim poziomie trzymane; ten i ów hebes spał na nich niemal otwarcie, na co mistrz patrzał z bolesną jakąś pogardą. Kiedyś do 6-ej klasy przyszedł znienacka jakiś dygnitarz z kuratorium. Polecił nie przerywać wykładu, który potoczył się dalej. Głos wykładającego stał się jakiś bezbarwny a słowa suche jak w urzędowym formularzu. W pewnym momencie jawnie nudzący się gość przerwał: „Dosyć, niech pan zapyta którego z uczniów". Bądzkiewicz potoczył osowiałym okiem po klasie, mnie ciarki poszły po krzyżu. Byłem od paru już lat najlepszym uczniem w klasie z tego przedmiotu i mogłem się spodziewać, że wybór padnie na mnie; otóż chodziło o to, że na mocy jakiejś niepisanej i domniemanej umowy byłem „wyrywany" zwykle w końcu kwartału a teraz był dopiero jego początek. Literaturze polskiej poświęcałem już w 6-ej klasie bardzo dużo czasu, lecz wczytywałem się nie w jakichś tam Gallów i Kadłubków, o których kurs mówił, ale w naszych wielkich romantyków, w Sofoklesa, klasyków niemieckich i Wiktora Hugo; krótko mówiąc, jeśli o bieżący kurs chodziło, wiedziałem tyle, com słyszał na wykładzie. — Usłyszałem swoje nazwisko i ociężałymi nogami wszedłem na podniesienie. Ale tam nienawistna twarz rozpartego w ławce wroga podziałała na mnie jak chlaśnięcie biczem: zacząłem rwać z kopyta jak koń, który poniósł. Nazwiska, tytuły, daty sypały się jak lawina. Jak przez mgłę widziałem, że Bądzkiewicz pochylił głowę a koledzy patrzą na mnie w jakimś osłupieniu. Istotnie było z powodu czego osłupieć, bo w tej powodzi słów wszystko było na wspak: tytuły dzieł nie pasowały do autorów, a daty do tytułów, czasami wszystko było zmyślone. Moskal, który nie słyszał nawet widocznie nic o literaturze polskiej, ożywił się i zaczął się nawet uśmiechać, ubawiony widocznie tą moją pasją; po jakichś śmiertelnie długich minutach powiedział „wybornie" i wyszedł.

ciężka: od 6-ej rano do 8-ej wieczorem w ogłupiającym wręcz łoskocie 700 stojących na jednej sali warsztatów. Po trzech tygodniach zachorowałem na oczy a okulista radził wycofać się z tkactwa natychmiast. Z ciężkim sercem poszedłem prosić o zwolnienie. Silberstein parsknął wzgardliwym śmiechem i polecił mi złożyć podanie o zwolnienie z powodu niechęci do pracy, na piśmie, aby mógł następnemu kandydatowi na praktykanta zamknąć nim gębę, a papiery mogłem otrzymać według przepisów za dwa tygodnie. Widziałem, że nic nie wskóram, poszedłem więc do dyrektora fabryki prosząc go o pozwolenie wyjazdu na święta, które za dwa dni się zaczynały. Polecił wydać mi paszport, ale zanim zdążyłem wyjść z kantoru z paszportem, wpadł czerwony z wściekłości Silberstein, mówiąc mi z przymuszonym uśmiechem: „Jak pan wróci ze świąt, niech pan do mnie zajdzie". Uczyniłem to, ale wtenczas odwrócił się do mnie plecami i odszedł bez słowa. Zgubiła mnie łatwowierność, która mi jeszcze długo w życiu figle płatała, pókim się jej nie oduczył po paru latach polityki.

Do Warszawy jednak wracać nie chciałem, zacząłem się więc uczyć buchalterii i szukać posady. Niestety, jedynym co mi się udało wynaleźć, było miejsce inkasenta u krawca. To było jeszcze cięższe zajęcie niż w tkalni wobec olbrzymich odległości, braku wszelkiej komunikacji i nie rzadko spotykanego chamstwa klientów. W dodatku zwichnąłem nogę w kolanie i trzeba było po ślizgawicy dreptać niemal na czworakach całymi dniami. Jednak wytrwałem tak 6 miesięcy.

Znowu w Warszawie. Po półtorarocznym a tak zaiste nie lekkim pobycie w Łodzi udało mi się nareszcie otrzymać skromną posadzinę w Warszawie, w której zmieniając od czasu do czasu miejsce pracy pozostałem dłuższy już czas. Zajęcia swojego, przyznaję, nie cierpiałem do szpiku kości, ale tam, gdzie traktowano mnie po ludzku, starałem się być sumiennym i pożytecznym, gdzie jednak traktowano mnie jak najemnika, pokazywałem aż nadto wielkie zęby, co się czasami całkiem źle kończyło. Praca i teraz była ciężka: od 9-ej rano do 8-ej wieczorem, potem najczęściej jakieś dodatkowe zajęcie zarobkowe. Dopiero koło 11-ej mogłem się zanurzyć w swoje książki. Latem ratowała mnie fizycznie pasja do spędzania wieczorów na Wiśle; najprzód jako sportowiec, potem jako turysta puszczający się na dalekie nieraz bezdroża.

W życiu publicznym nie brałem żadnego udziału. Jakież tam zresztą życie było w ówczesnej Warszawie: rząd rosyjski wbił już w głowy polskie, jak gwóźdź w miękkie drzewo, przekonanie, że tu się nic nigdy zmie-

nić nie może. To też ten okres był najbardziej jałowym, beznadziejnym i bezplanowym w moim życiu. Krótko mówiąc — wegetowałem.

Jedynym radość i szczęście na długie lata niosącym zdarzeniem było moje ożenienie się w październiku 1899 r. z siostrą mojego przyjaciela, p. Marylą Kozanecką, kochaną od dzieciństwa bez przerwy córką nieżyjącego ziemianina — powstańca z pow. tureckiego *). Przy moich niewysokich zarobkach nie stać nas było na dostatki, ale ani o wielkie zarobki, ani o dostatki nie dbaliśmy.

W Ćmielowie. W marcu 1901 r. wyjechaliśmy do Ćmielowa, gdzie otrzymałem posadę w tamtejszej fabryce porcelany. Zaczęło się znowu od naiwności. Gdy po paru tygodniach rozejrzałem się w dość poplątanych książkach, właściciel fabryki, ks. Lubecki, zapytał mnie, czy radzę prowadzić fabrykę dalej, zastrzegając się przy tym, że nie pyta mnie służbowo, ale jak dżentelmen dżentelmena. Radziłem fabrykę sprzedać z powodu braku na miejscu surowców, znacznego oddalenia od kolei i skłonności ludzi do naciągania wielkich panów. Pozostałem tam jeszcze cztery lata, ale stosunek był już raczej chłodny i nieufny.

Poza tym zaczęła mnie wkrótce żreć nuda. Okolica — punkt zetknięcia bujnej i żyznej Sandomierszczyzny z melancholijnymi lasami za Kamienną — była bardzo ładna, po okolicznych dworach siedziało sporo bliskich krewnych mojej żony, w samej fabryce było paru bywalców z dalekiego świata, ale w tym wszystkim nie było o co palców duchowo zaczepić, jeżeli szło o głębsze zainteresowania. Założyłem latającą bibliotekę, zdeptaliśmy z żoną wszerz i wzdłuż całą okolicę, ale kiedy widziałem w Ostrowcu stojące wagony, miałem ochotę uciekać w szeroki świat, choćby na gapę pod ławką.

W 1903 r. wpadłem wreszcie na pomysł, w który wsadziłem całą swą duszę: założyłem spółdzielnię spożywców. Nie było to takie proste, jakby się dzisiaj komu zdawało. Na założenie spółdzielni trzeba było mieć pozwolenie ministerstwa z Petersburga, co trwało normalnie parę lat. Ale cierpliwość nie była nigdy moją cnotą, udałem się przeto z zacnym dr Bohdanem Przeorskim do opatowskiego rejenta, p. Horodyskiego, prosząc o sporządzenie aktu o spółce handlowej ze zmiennym kapitałem i zmiennym składem osobowym, który byłby aktem fundacyjnym spółdzielni. Rejent zgodził się, spółdzielnia powstała. Jakie tam były z tego skutki dla rejenta, nie wiem, ale po kilku tygodniach zawezwał mnie ko-

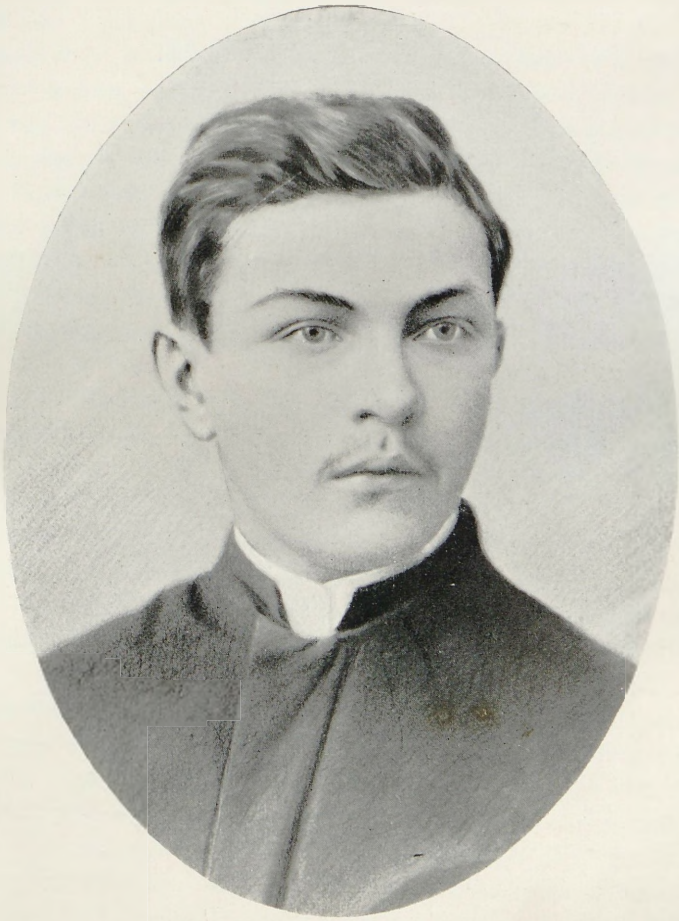
*) Ojcowie nasi znali się jeszcze w młodości, nie przeczuwając wówczas, że dzieci ich połączą się kiedyś węzłem dozgonnym.

mendant policji powiatowej, pytając, czy nie słyszałem przypadkiem, że na założenie spółdzielni trzeba mieć pozwolenie? Może by te rozmowy i niedobrze się skończyły, gdyby wkrótce nie wybuchła wojna japońsko-rosyjska, która zwaliła rządowi na kark kłopoty znacznie większe niż spółdzielnia bez pozwolenia w Ćmielowie.

Powstały też i trudności miejscowe. Pewnego dnia zaczepiło mnie na rynku kilku długopołych i długobrodych kupców, pytając z goryczą, dokąd oni teraz mają jechać po założeniu spółdzielni? Nie było, przyznaję, dobrego smaku w mojej radzie, żeby jechali do pobliskiego Ożarowa, gdzie jeszcze nie ma spółdzielni. Błysnęły złe oczy, rozeszliśmy się w milczeniu. Niezadługo złożył mi wizytę główny potentat miejscowego handlu, komunikując mi z wielką życzliwością i nawet zatroskaniem, że dużo ludzi myśli, iż było by lepiej, gdybym opuścił Ćmielów, bo tu powietrze niezdrowe. — „Cóż to za ludzie?“ — spytałem — „Dużo ludzi“. Wyciągnąłem z kieszeni polisy na życie i od ognia, zaznaczając, że choćby mnie to „złe powietrze“ miało zabić lub spalić, wielkiej krzywdy mojej rodzinie przez to nie wyrządzi. Dodałem też wyciągając z kieszeni wielki rewolwer i mierząc mu w głowę: „Proszę powiedzieć tym „ludziom“, żeby byli ostrożni, bo ta pukawka strzela celnie i mocno“. Przybladł i poszedł.

Ale na tym się nie skończyło. Rok był zły: z powodu wielkiej suszy wybuchały ciągłe pożary, którymi ludność była bardzo zdenerwowana. Wyszedłszy kiedyś z fabryki usłyszałem z podwórza jednego z domów złowieszczy krzyk: „Pali się“. Wpadłem do wewnątrz, za mną kilkunastu robotników. Na podwórzu stał jakiś młody Żydek, który oświadczył, iż widział, że ogień podłożył p. R., urzędnik fabryczny. Oskarżenie było absurdalne, bo p. R. jako najbliższy sąsiad padłby pierwszy ofiarą. Robotnicy patrzyli na głupca ponuro, nagle któryś zdzielił go wielkim kluczem w łeb, inny kopnął w brzuch, reszta zaczęła się rozglądać za czymś twardym. Jeszcze chwila — i na ziemię padłaby skrwawiona masa. Otoczyłem nieszczęsnego delatora rękami i korzystając z pewnego zaufania, jakim się cieszyłem u robotników, zacząłem prosić, tłumaczyć, grozić, wymyślać. Po dłuższej chwili otaczający nas krąg rozsunął się o tyle, że mogłem niedoszłą ofiarę pogromu wypchnąć na ulicę, zatrzymując robotników na podwórzu.

W kilka tygodni później zostałem pozwany przed sąd przez jednego z kupców ćmielowskich, oskarżającego mnie o pobicie przy pożarze, przy czym głównym świadkiem miał być ten właśnie uratowany przeze mnie



1891 r.

od śmierci. Istotnie stanął i świadczył. Na szczęście sąd mimo przysięgi nie dał mu wiary, ale pomyślałem sobie, że nie tylko zakładanie spółdzielni, ale w ogóle życie tutaj przy istnieniu takich stosunków nie jest łatwe *).

W maju 1905 r. rozstałem się z Ćmielowem. Ostatnie 3 tygodnie spędziliśmy z żoną na samotnych wywczasach w nieznanej jeszcze nikomu bez mała podówczas Nowej Słupi pod Świętym Krzyżem, tuż pod lasem, najpiękniejszym polskim lasem, po którym brodziliśmy całymi dniami. Kiedyś pod sam wieczór przy niebie płonącym, jakby po nim ktoś krew rozlał, natknęliśmy się na wielki kopiec w kształcie krzyża, usypanego z głazów i leżącego na ziemi. Oczywiście — mogiła powstańcza. Te posępne, skąpane we krwi głazy długo mi tkwiły w pamięci, póki się ich wspomnienie nie splotło z nowymi, osobistymi już przeżyciami.

Rewolucja. Do Warszawy przyjechaliśmy już w pełni rozwoju fermentu rewolucyjnego. Że zaś zamieszkaliśmy w dzielnicy fabrycznej (przy ul. Ciepłej), życie było tam dosyć urozmaicone, chociaż nie bardzo spokojne: po ulicach snuły się ciągle patrole z nastawionymi do strzału karabinami, przy ciągłych rewizjach ulicznych nie trudno było dostać kolbą od nieumiejącego czytać żołnierza, któremu się wręczało paszport, zamachy na policjantów i dzikie po nich represje były chlebem powszednim. Było to tym trudniejsze do znoszenia, że sam żadnego udziału w ruchu nie brałem. Kierunek „narodowy" odstręczał mnie swoją nazbyt już daleko idącą ugodowością i wstecznictwem społecznym, rewolucyjność wydawała mi się o nazbyt rosyjskim posmaku. Żyłem zresztą w początkach tego okresu w całkowitym niemal odosobnieniu, później wszystko już zaczęło wyrodnieć i gasnąć. Przyglądałem się więc tylko szeroko otwartymi oczami życiu, które się wylewało na ulicę rozentuzjazmowane, zdziczałe, ofiarne czy przerażone na przemian. Nie brałem udziału w tym życiu, ale wchłaniałem je wszystkimi porami. Jakieś nieznane mnie samemu siły zaczęły się we mnie prężyć, domagać się wypowiedzenia. Zacząłem pisać. Po pewnej ilości nic nie znaczących artykułów w prasie opracowałem i wydałem pierwszą moją książkę — popularnie skreślone dzieje Księstwa Warszawskiego. W historii siedziałem wówczas po uszy, ale zarówno brak systematycznych studiów, jak niemożność dostępu nie tylko do źródeł, ale nawet do wielkich bibliotek, które wówczas otwierane były jedynie w godzinach mojej pracy

*) Szerzej opisałem to w art. „Jak założyłem spółdzielnię w Ćmielowie" — (Spólnota).

zawodowej, jeszcze raz zamknęły mi drogę. Wkrótce zresztą wsiąkłem bez reszty w krajoznawstwo.

Wprowadził mnie do niego mój przyjaciel, publicysta, historyk i krajoznawca, Edward Maliszewski, który zaprosił mnie kiedyś na posiedzenie Komisji Wydawniczej Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Omawiano tam potrzebę wydania dokładnego, nowoczesnego przewodnika po kraju. Poddałem parę pomysłów, na następnym posiedzeniu przedstawiłem plan pracy i powierzono mi jej wykonanie na jednym na razie odcinku Wyżyny Małopolskiej. Zabrałem się do roboty ze zwykłą pasją, a nie była to mała robota. Trzeba było przewertować wszystkie istniejące monografie dotyczące tematu oraz niezliczone roczniki czasopism, wyławiając czasem z grubego tomu jakiś jeden drobny szczegół. Trzeba było równocześnie rozesłać po kraju ogromną ankietę i zużytkować zawarty w niej materiał. Trzeba było wreszcie jeździć bez końca sprawdzając lub szukając nowych wiadomości na miejscu; jeździłem tak w każdą wolną niedzielę, czasem parę tygodni, czasem parę miesięcy bez przerwy, aż do ostatecznego znużenia, boć jeździło się po tych bezdrożach kieleckich przeważnie w drabinach lub w latrach.

To tłuczenie się zresztą po różnych zakazanych dziurach było nie tylko męczące, ale i nie zawsze bezpieczne. Na dokonywanie zdjęć, robienie pomiarów i zbieranie wiadomości trzeba było mieć specjalne pozwolenie od rządu — ja go nie miałem. Rok 1912 był rokiem szczególnie ostrego naprężenia stosunków między Austrią a Rosją — to pogarszało sprawę. Właśnie w tym jakoś czasie przyjechałem do Olkusza, gdzie zatrzymałem się u p. Antoniego Minkiewicza, późniejszego ministra aprowizacji w Rządzie Ludowym. Na noc ulokowano mnie w oficynce. Około g. 12-ej obudził mnie przerażony szept służącego: „Panie, żandarmi". — „Gdzie są?" — „Robią u naszego pana rewizję". Usiadłem na łóżku i smętnie popatrzyłem na stół obok stojący: 2 aparaty fotograficzne, 12 niemieckich mapek sztabowych i około 200 kartek z notatkami o zwiedzanych miejscowościach. Wystarczy na dwa lata cytadeli, zanim się wytłumaczę. Miałem jednak wówczas nerwy jak postronki; skoro nie można tego wszystkiego spalić, skoro nie można uciec, trzeba spać. I spałem, póki mnie o 4-ej nie obudził nowy szept: „Już poszli". „A pana zabrali?" — „Nie". — „No to śpijmy dalej".

Innym razem jechałem drogą nad Wisłą koło Osieczka wzdłuż austriackiej granicy. W pewnej chwili doszło mojej uwagi człapanie kilku koni tuż za bryczką; oglądam się — konni objeszczycy (strażnicy cel-

ni). A ja akurat trzymam w rękach jedną z tych mapek niemieckich i rozglądam się po okolicy. Popatrzyłem na nią jeszcze kilka chwil a potem spokojnie schowałem do kieszeni; nerwowy pośpiech mógł mnie drogo kosztować.

W końcu 1912 r. praca przygotowawcza była skończona. Pozostało pisanie tekstu, a potem b. mozolne korekty, książka bowiem drukowana była petitem bez interlinii a pisana silnymi skrótami. Wojna powstrzymała ukazanie się w druku niemal gotowej już książki *).

W tym samym okresie **) opracowałem i wydałem swój Przewodnik po Warszawie. Ogarnięcie literatury było tu nie mniej mozolne niż przy Przewodniku po kraju, a poszukiwania w terenie, choć znałem miasto tak dobrze, zabrało mnóstwo czasu, zwłaszcza gdy w dzielnicy staromiejskiej zwiedzałem każdy dom od piwnic do strychu.

Co do wartości obu tych książek nie mam żadnych złudzeń: nie byłem nigdy głębokim znawcą sztuki i żadnych epokowych odkryć czytelnik nie mógł w nich znaleźć, nie były to bowiem monografie naukowe, tylko praktyczne podręczniki dla inteligentnego wędrowca. Były też dzięki pracowitym studiom przygotowawczym próbą inwentaryzacji znajdujących się na terenie zabytków; rzecz nie bez wartości w chwili, kiedy tyle zabytków zginęło w pożodze wojennej. Zapewne, rzecz była bez większego znaczenia, ale kiedy na jakimś specjalnym posiedzeniu Tow. Opieki nad Zabytkami, na którym radzono nad planem zinwentaryzowania naszych zabytków, przedstawiłem w korekcie część swojej pracy, otrzymałem za nią aż nazbyt gorące pochwały, co tłumaczyć się mogło jedynie zdziwieniem, że jeden człowiek dokonał dzieła, do którego zabierało się całe grono. W każdym razie kiedy będąc ministrem w Rządzie Ludowym czytałem w prasie codziennej naigrawania się jednego z głośniejszych literatów z powodu, że ministrem jest zwykły „przewodnik", musiałem to uznać za głupkowatą napaść. Istotnie, ministrowie nie pisują przewodników, bo im na to brak czasu, a niekiedy i tych nawet skromnych kompetencji, jakimi ja rozporządzałem.

Poza przewodnikami pochłaniała mnie „Ziemia", tygodnik, organ Tow. Krajoznawczego, której byłem kierownikiem literackim. Pismo było niewielkie, ale dla ugruntowania go trzeba było odnajdywać wszystko: współpracowników, czytelników, pieniądze, formę i styl. Ze współ-

*) A kiedy nareszcie pojawiła się, wsiąkła od razu bez śladu i dziś nawet w antykwarniach nie łatwo ją znaleźć.

**) Patrz artykuł w „Ziemi" — „Jak powstał pierwszy przewodnik".

pracownikami rzecz nie szła łatwo; wprawdzie najwybitniejsi na tym polu znawcy: Nałkowski, Gloger, Romer, Sawicki, Ignacy Baranowski i garść młodych naukowców obdarzali nas sympatią i współpracą, ale w ogóle nie łatwo było zdobywać dostatecznie poważne artykuły w społeczeństwie, w którym „prawdziwy uczony" wstydziłby się pisywać do popularnego pisemka, nie racząc pamiętać, że znakomity fizyk angielski, Tyndall, nie wstydził się wygłaszać odczytów dla robotników. Gorzej jeszcze było z czytelnikami: o zaleceniu wprowadzenia pisma do szkół w zaborach rosyjskim i niemieckim nie było co marzyć, w austriackim szło to tępo i nie dawało wielkich wyników. To też wydawnictwo było ciągle deficytowe, kiedy różne luksusowe ale zgoła beztreściwe wydawnictwa zbierały pokaźne zyski.

Kiedy dziś, po upływie tylu lat patrzę na te nasze wysiłki, myślę, że nie były one całkiem bezpożyteczne. Pismo, zarówno jak samo Towarzystwo, było przecie nie czym innym, jak jeszcze jednym sposobem budowania Polski od dołu, Polski, którą się przemycało między wierszami, o której się mówiło nie tylko jako o wspomnieniu historycznym, ale jako o żywym, choć tak straszliwie pokaleczonym organiźmie. Może ten sposób budowania był mały i niepewny, skoro jedno proste rozporządzenie warszawskiego generał-gubernatora mogło w każdej chwili położyć wszystkiemu kres, ale w tym czasie 1910—14 niewiele więcej pozostawało w Kongresówce do zrobienia, jak nie dać zasnąć duszy narodu. Może to można było robić lepiej; robiliśmy jakeśmy umieli i mogli najlepiej, nie wierząc zgoła, żeby wieko polskiej trumny zatrzasnęło się na zawsze.

Oprócz krajoznawstwa i zajęć zawodowych starczyło mi jeszcze czasu na rzeczy dodatkowe: przez 4 lata byłem redaktorem pisma fotograficznego, tyleż czasu zajmowałem się w Kole Przyjaciół Kaszub zbliżaniem ich do Polski. Jeździłem kilkakrotnie na Kaszuby, które zszedłem wszerz i wzdłuż, poznałem wybitniejszych działaczy tamtejszych: nieżyjących już dr Majkowskiego w Kościerzynie i sędziego Chmielewskiego w Sopotach, czytałem o Pomorzu dużo. Później sprowadzaliśmy wycieczki kaszubskie do Warszawy. Interesowało mnie zawsze, jak im się też Warszawa, biedna, przedwojenna Warszawa podoba, boć to byli bywalcy, znający Gdańsk, często Berlin, czasami Westfalię. Otóż jedną taką dużą wycieczkę poraziły po prostu dwie rzeczy: przede wszystkim księgarnia Gebethnera i Wollfa, bo nie myśleli, że jest tyle polskich książek na świecie, i obejrzany wewnątrz pałac ordynata Zamojskiego,

bo skądże tak wielki pan nie tylko jest Polakiem, ale nie wstydzi się do polskości przyznawać. Może dlatego mieszkający u mnie poczciwy „gbur" spod Kościerzyny oświadczył mi na wyjezdnym chłodno, lecz stanowczo, że na przyszłość będzie pisywał listy do siostry tylko po polsku. „A dotychczas jak pan pisywał?" — „Po niemiecku, ale przecie, panie, ja Polak". Nawet nie zdajemy sobie nieraz sprawy, jak nikłymi środkami wywołujemy potężne efekty.

W lipcu 1914 r. przyjechało do Warszawy czterech maturzystów Kaszubów. Oprowadzałem ich cały dzień po mieście, aż oddawszy gości pod wieczór w inne ręce poszedłem odpocząć na balkonie Tow. Krajoznawczego przy Alejach Jerozolimskich. Dzień był pogodny, miasto, jak zwykle w letnie niedziele, puste, trochę senne. Nie przeczuwałem, że za dwa tygodnie wybuchnie zawierucha, która między innymi zagna moich biednych Kaszubów w głąb Rosji a jednego aż na Sybir, gdzie zmarł po roku. Ale tego nikt wówczas nie przeczuwał.

CZĘŚĆ II

W walce o Polskę

Wojna. Pomiędzy mnóstwem spraw, którymi zajmowałem się do wybuchu wojny, nie było nigdy polityki. Nie tylko nie interesowałem się nią bliżej, ale czułem do niej jako do grupowego działania nieprzemożony wstręt. Kilkakrotne usiłowania mojego przyjaciela, Edwarda Maliszewskiego, wciągnięcia mnie do niej uchylałem stanowczo. Dopiero 1 sierpnia 1914 r. zgłosiłem się sam do niego, prosząc o zetknięcie mnie z jakąś organizacją polityczną, której mógłbym poświęcić swoje usługi, bierne bowiem przyglądanie się epokowym wypadkom wydało mi się godnym wołu prowadzonego na rzeź. Nadsyłane mi pacyfistyczne odezwy protestujące przeciwko okropnościom wojny rzucałem z pogardliwym lekceważeniem do kosza: też sobie wybrali czas na swoje biadolenie! Pacyfistą zostałem dopiero w kilka lat później, w wolnej już Polsce.

Co należy czynić, nie bardzo wiedziałem; to jedno było dla mnie pewne, że należy gnać z Polski Moskali. Na razie nie tylko to „gnanie", ale nawet wstąpienie do organizacji okazały się niezbyt proste. Poszliśmy od razu tego samego dnia na jakieś zebranie, na którym Maliszewski miał wielu znajomych, ale tam przeproszono nas bardzo grzecznie, że na razie dopływ nowych członków jest wstrzymany do chwili wyrównania różnic w poglądach, zachodzących wewnątrz grupy. Jednym słowem: poczekajcie za drzwiami. Mniejsza o drzwi, ale czekanie nie było w naszym guście. Wyciągnęliśmy kilku ludzi bardziej bliskich nam ideowo i założyli nową grupę pod nazwą — Związek Patriotów. Należeli tu: Tadeusz Grużewski, Wincenty Rzymowski, Ignacy Peszke, zięć Jeża, Tarczyński i kilku innych. Zaczęły się codzienne długie dyskusje i wymiana informacji, rzeczy niezmiernie dla mnie pożądane wobec mojego małego wyrobienia. Robiłem widocznie postępy, bo

wkrótce powierzono mi sporządzenie broszury antyrosyjskiej, z którą nie wiem zresztą, co później się stało. Czasem zdarzyła się też jakaś posługa praktyczna; tak np. proszono mnie kiedyś o przeniesienie paczki z rewolwerami ze sklepu w hotelu Europejskim pod jakiś inny adres. Było ich tak dużo i były tak ciężkie, że pomimo iż byłem dość krzepki, obawiałem się, że paczka wyleci mi z rąk i rozsypie się na ulicy — rzecz mało pożądana; na szczęście obyło się bez wypadku.

Wkrótce potem zaczęły się rzeczy bardziej poważne. Uprzedzono mnie, że zgłosi się do mnie niejaki ob. Barski, którego należy przyjąć z całym zaufaniem, jako swojego człowieka. Istotnie po kilku dniach przyszedł jakiś młody człowiek o bardzo wesołej i energicznej twarzy, który przedstawił mi się pod tym nazwiskiem a po krótkiej rozmowie dodał, że jest komendantem organizacji strzeleckich na cały zabór rosyjski, i zapytał, czy zechciałbym podjąć się czynności skarbnika w tej organizacji. Przyjąłem oczywiście tę propozycję bez wahania. Nie było to zresztą wielkim trudem, bo składki i ofiary wpływały skąpo.

Czasem co prawda zdarzały się bardzo charakterystyczne wypadki. W lutym czy w marcu 1915 r. przyjechałem do Wilna, żeby spotkać tam i konwojować do Warszawy p. Stanisława Downarowicza, wysłańca krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego; równocześnie przyjechał tam wracający ze zwiadów po drugiej stronie kordonu p. Ludwik Abramowicz. Wieczorem następnego dnia urządzono nam w mieszkaniu jednego z miejscowych lekarzy zebranie informacyjno-dyskusyjne, na które przyszło 30—40 osób. Dyskusja była długa, spór był gorący, choć jakiś w porównaniu z warszawskimi sporami poczciwszy. Kiedy jeden z mówców zaproponował, żeby moskalofilów bić po prostu jako zdrajców po mordzie, powstało powszechne oburzenie. Pod koniec zebrania gospodarz poprosił mnie do gabinetu i wręczył tam jakiś zwinięty papierek, dodając: „Panie, rozum każe mi być przeciwnym waszej ideologii, ale serce moje jest z wami i... niech Pan to przyjmie dla tych chłopców". Rozwinąłem zwitek — 500 rb., suma na owe czasy poważna. Nie było już co się przekonywać, uścisnąłem mu rękę i wróciłem do salonu. Otóż to polski kompromis między rozumem a sercem.

Po paru dniach trzeba było uciekać z Wilna, natłok bowiem ciekawskich, oblegających nas w kawiarniach i na ulicy i chcących się dokładniej poinformować, jak to tam jest po tamtej stronie, stawał się zbyt wielki i ziemia zaczęła już grzać stopy.

W Warszawie zdawaliśmy sobie już w zupełności sprawę, że w kołach inteligenckich zwłaszcza jesteśmy w bardzo wyraźnej mniejszości w stosunku do „zjednoczeniowców", którzy chcieli najprzód zjednoczyć Polskę przy Rosji, a potem uczynić ją niepodległą.

Czasem jednak zdarzały się drobne fakty, dające do myślenia. Jeszcze w 1914 r. Stowarzyszenie Techników w Warszawie, grupujące przeważnie ludzi o przekonaniach demokratyczno-narodowych, urządziło cykl odczytów o poszczególnych prowincjach dawnej Polski. Zgłoszono się do mnie z propozycją wygłoszenia odczytu o Galicji. Przyjąłem propozycję i wykonałem ją aż nadto sumiennie, odczyt bowiem trwał — pierwszy i ostatni raz w moim życiu — 2 i pół godziny. Już w czasie mówienia zastanowiło mnie, że pomimo tak niesłychanie przedłużonego czasu nikt z dusznej sali nie wychodził, choć mnóstwo osób niewygodnie tłoczyło się w przejściach. Na zakończenie poruszyłem sprawę nieustających a często niegodnych napaści na wszystko, co w Galicji się dzieje. „Cokolwiek by się tam działo, nie jesteśmy sędziami, a dziś nie jest czas sądu, kiedy kopyta kozackich koni rozwłóczą po polskich polach resztki naszej dawnej i świetnej kultury". Tu nastąpiła eksplozja: publiczność zerwała się z miejsc i przez długich kilka minut sala trzęsła się od oklasków. To serce żachnęło się przeciwko nazbyt już obmierzłym argumentom „rozumu". Wolno było przypuszczać, że pod sztywną skorupą bezkrytycznie przyjmowanych bzdur płynie nurt inny, nurt tęsknot i łez.

Skoro już przy tym jesteśmy, powiedzmy sobie po latach, że podział ówczesnej Polski na dwa, później kilka niesłychanie namiętnie zwalczających się kierunków orientacyjnych był przykry, pozbawiał nas wszelkiej siły na zewnątrz, ale był w danych warunkach nieunikniony. Nie wyobrażam sobie żadnego narodu, który by po stuletniej niewoli, pozbawiony naturalnych ciał kierowniczych — rządu i sejmu — pozbawiony wolności słowa i jawnej dyskusji, zdobył się na jednolity kierunek swojej polityki zagranicznej, w której przy tym tak mało miał danych dla wyrobienia sobie jasnego sądu o swoim położeniu międzynarodowym. Brak tych regulatorów ułatwiał wylęganie się wszelkiej demagogii i idącej za nią nietolerancji. Dlatego niech nam wszystkim wybaczone będą słowa nazbyt ostre, podejrzenia nazbyt krzywdzące, których było podówczas aż nadto. W dodatku układ sił politycznych w kraju zaczął się komplikować: do dwóch zasadniczych kierunków — zwolenników oparcia się o Rosję, czy też o mocarstwa centralne — przybyli albo raczej zaczęli się bardziej uwidoczniać niepodległościowcy

umiarkowani, nie wysuwający w stosunku do państw centralnych żądań tak daleko idących, jak czyści niepodległościowcy; byli to przeważnie ludzie z tzw. „secesji" narodowo-demokratycznej. Opierali się oni o Naczelny Komitet Narodowy, podczas gdy oparciem niepodległościowców były Legiony, a zwłaszcza ich I Brygada. Wówczas też po raz pierwszy zaczęły się zaznaczać akcenty społeczne, o których nie tylko u nas, ale wszędzie było dość głucho, socjaliści bowiem poszli się bić a z późniejszymi komunistami czyli socjalną demokracją nikt się jeszcze wówczas na serio nie liczył. Całkiem wyraźnie z tych nowych stosunków zaczęliśmy sobie zdawać sprawę wkrótce po przyjeździe do Warszawy St. Downarowicza, który w poszukiwaniu dróg dla swej propagandy w Kongresówce opierał się niemal wyłącznie o „secesję", złożoną przeważnie z zamożnego mieszczaństwa i ludzi wolnych zawodów, podczas gdy my, w zasadzie przynajmniej, szukaliśmy zetknięcia z warstwami ludowymi. Jeżeli co do tego nastawienia do nas delegata N.K.N.-u mielibyśmy jakiekolwiek wątpliwości, przekonałby nas ostatecznie jego raport do swoich władz krakowskich, w którym o ludziach i w ogóle o wartości politycznej lewicy wyrażał się z dużym lekceważeniem.

Co prawda i my sami nie kładliśmy jeszcze większego nacisku na momenty społeczne w wielkiej grze świata. Kiedy na jednym z zebrań u p. Stefana Dziewulskiego, na które schodziła się czasem inteligencja warszawska, głowiliśmy się nad odcyfrowaniem polskiej łamigłówki i szukali sposobu odzyskania wolności bez wyrzekania się całości ziem naszych, odezwał się dr Rafał Radziwiłłowicz: „To nam da wielka wszechświatowa rewolucja społeczna". Spojrzeliśmy na niego nie bez zdziwienia, tak te rzeczy były jeszcze od nas odległe, a przecież w praktyce on był najbliższy prawdy.

Krystalizacja tymczasowa postępowała, choć zwolna, naprzód. W początku 1915 r. a może jeszcze w 1914-ym powstała Unia Stronnictw Niepodległościowych, złożona z P. P. S. (Czarkowski — „Leon"), Związku Chłopskiego („Jadwiga", późniejsza p. Jaworowska) i Związku Patriotów (Artur Śliwiński i ja). Na te zebrania przychodził czasem ktoś przyjezdny. Pamiętam silne wrażenie, jakie wywarł na mnie zacny, tajemniczy, zakonspirowany do szpiku kości, ale zarazem na wszystko zdecydowany Michał Sulkiewicz. Z wojska nikt nie przychodził, choć pojedynczo odwiedzali mnie czasem ppor. Koc, Miedziński, Libicki i sam Barski, o którym dowiedziałem się już tymczasem, że właściwe jego nazwisko brzmi Żuliński i że jest to bratanek członka

Rządu Narodowego 1863 r. a aktualnie doktór medycyny i porucznik Legionów.

Kiedyś, wczesną wiosną 1915 r., przyszedł do mnie z miną bardzo posępną, oświadczając, że zamówił równocześnie Tadeusza Grużewskiego, który tu zaraz nadejdzie. Kiedyśmy już byli w komplecie, zawiadomił nas, że zamierza natychmiast rozpocząć powstanie na tyłach wojsk rosyjskich, przedtem jednak chce zasięgnąć naszej opinii, choć zastrzega się, że nie będzie ona dla niego obowiązująca, ma bowiem od Komendanta wszelkie pełnomocnictwa rozpoczęcia takiej akcji, kiedy uzna ją za stosowną. Był to akurat czas przed rozpoczęciem wielkiego odwrotu rosyjskiego, ale front nad Rawką stał jeszcze nieporuszony. Obydwaj wypowiedzieliśmy się przeciwko temu ze względu na nastroje Kongresówki, brak kadr i środków materialnych, jednym słowem całkowitą beznadziejność tej imprezy. Po długiej dyskusji oświadczył nam, że powstanie odkłada do chwili, którą sam wybierze. Rzecz dziwna, musiał sam uznać słuszność naszych argumentów, a jednak już zawsze potem miał jak gdyby pretensję do mnie i stosunki stały się nieco sztywniejsze.

Na razie czas się wlókł nieznośnie; dopiero po bitwie pod Gorlicami rozpoczęło się gorączkowe śledzenie linii cofającego się frontu rosyjskiego. W Warszawie po raz drugi rozpoczęła się ucieczka Rosjan, wywożących wszystko co swoje i dużo tego co nasze.

Przed samym wejściem Niemców zdarzyła mi się osobliwa przygoda: o mało co nie zostałem komisarzem policji. Pewnego dnia otrzymałem już stosowną nominację od Komitetu Obywatelskiego na komisarza policji XI-go okręgu, którą przyjąłem zresztą dość niechętnie, ciągnęło mnie bowiem bardziej do polityki. Po kilku dniach ukazał się w „Gońcu", najbardziej wówczas niepodległościowym piśmie warszawskim, które podpisywałem formalnie dla cenzury, artykuł ostro napadający na Komitet Obywatelski. Zaproponowano mi, żebym oświadczył, że artykułu nie czytałem, i zrzekł się nominacji. Odmówiłem żądając, aby mnie zwolniono z własnej inicjatywy. Tak się stało i... nie zostałem policjantem.

Były to już zresztą ostatki rządów rosyjskich w Warszawie. Dnia 4-go sierpnia wczesnym popołudniem stałem na balkonie domu przy zbiegu Szpitalnej i Zgoda (w którym mieściła się redakcja „Gońca"), patrząc na stojącego przed domem policjanta, kręcącego się na dole na swoim posterunku. Po chwili nadszedł drugi policjant, poszeptali

coś ze sobą, popatrzyli na zegarki i odeszli, żeby już więcej nie wrócić.

A na drugi dzień około 6-ej rano szarpnął moim łóżkiem jakiś gwałtowny wstrząs, potem drugi, rozległy się dwa potężne wybuchy: to wysadzano mosty warszawskie; mieszkałem wówczas przy ul. Śniadeckich — stąd widać, jak potężne były detonacje. Kiedy po 9-ej wyszedłem na ulicę, kręciło się po niej już mnóstwo żołnierzy niemieckich, gapiących się ze szczególną lubością na wystawy z pieczywem.

Niemcy w Warszawie. Nie wiem, co by nastąpiło, gdyby weszli do Warszawy z proklamacją przywrócenia niepodległości Polsce, ale weszli oni tylko z listą długiego szeregu przestępstw, za które grozi kara śmierci, i z rekwizycjami artykułów żywności. Ludność, której wiara w niezwyciężoną moc Rosji została silnie zachwiana i która z pewnym zaciekawieniem przyglądała się dalszemu rozwojowi wypadków, poczuła się zawiedziona i wróciła z czystym sumieniem do moskalofilstwa.

Tym bardziej trzeba było podjąć energiczną akcję dla zaznaczenia polskości miasta i kraju. W kilka godzin po wkroczeniu Niemców zebrała się w redakcji „Gońca" gromadka przedstawicieli grup politycznych i wybitniejszych osobistości. Zaproponowałem wydanie wspólnej odezwy, stwierdzającej wyraźnie, że naród polski chce odzyskać swą wolność niezależnie od dalszych losów wojny. Potrzebę wydania odezwy uznano, jeden tylko hr. Adam Ronikier, przedstawiciel endekującej grupy katolickiej, zastrzegł się, że takiej odezwy nie mógłby podpisać, jakkolwiek bowiem i on kocha wolność a ideał niepodległości ma w duszy, ze względów politycznych moment uważa za przedwczesny dla takich deklaracji. Ciągle to samo: rozum i serce. Powiało mrozem, zebranie trzeba było odłożyć na popołudnie, w szczuplejszym już gronie. Na tym drugim zebraniu potoczyła się typowo warszawska dyskusja: nie chodziło już o to, co powiedzieć, tylko o to, ile z naszych pragnień i myśli ujawnić. Wybrano ściślejszą komisję dla przygotowania projektu odezwy, ale kiedym się nazajutrz pytał, czy ta pilna sprawa jest już skończona, okazało się, że cały wieczór stracono na zastanawianie się, czy można wspomnieć o szabli Kościuszki. Machnąłem ręką.

Wkrótce spłynęła do Warszawy wielka fala galicyjskich działaczy politycznych, którzy wnieśli do dyskusji znacznie większe wyrobienie i dużo płynnej wymowy; rezultat tych wszystkich bojów słownych był ciągle dość nikły. Wtedy to wyłoniła się ta uporczywie później przez parę lat głoszona teoria neutralności Polski, która nie powinna się

mieszać do spraw wojny, poprzestając co najwyżej na biadoleniu przed światem z powodu strat i zniszczeń, jakie poniosła.

Z zebrań ówczesnych najważniejszą i najpłodniejszą w skutki była urządzona u Artura Śliwińskiego konferencja przedstawicieli lewicy, z udziałem Komendanta Piłsudskiego. Widziałem go wtedy po raz pierwszy i zrobił na mnie wielkie wrażenie, jakkolwiek wydał mi się raczej prorokiem niż wodzem. Jeszcze większe jednak wrażenie zrobiła nie tylko na mnie, ale na wszystkich zakomunikowana nam przez niego decyzja wstrzymania werbunku do Legionów. Motywem tej decyzji miało być, jak się wolno było domyślać, wielokrotnie powtórzone twierdzenie: „Żołnierz polski jest dziś żołnierzem bez ojczyzny", skąd wynikało, że zanim go się powoła pod broń, trzeba mu dać uznanie i poparcie narodu. Zebranie złożone w znacznej części z młodzieży przyjęło tę zapowiedź do wiadomości albo nawet ją mniej czy bardziej poparło, tylko kilku starszych działaczy wypowiadało zastrzeżenia, które jednak decyzji nie zmieniły.

Z innych zebrań upamiętniło mi się zebranie w mieszkaniu Stanisława Patka. Treść i wnioski zapadłe na tym zebraniu nie odznaczały się niczym szczególnym, godnym uwagi było to tylko, że na wstępie zaproponowałem stwierdzenie, że zgromadzone tu są wszystkie kierunki polskiej myśli politycznej, z wyjątkiem tych, które albo same stawiają się poza obrębem polskości, albo opuściwszy kraj pozbawiły się prawa głosu, tj. esdeków i endeków. Przeciw temu twierdzeniu dał się słyszeć tylko bardzo nieśmiały głos p. Marylskiego-Łuszczewskiego, wyrażającego mniemanie, że ta chwilowa ucieczka z Warszawy jest tylko przejściowym błędem. Nie spierałem się dalej, wszystkie bowiem te dyskusje były w owym czasie młocką pustej słomy.

Szukałem raczej możności pracy realnej. Naczelny Komitet Narodowy otworzył w Warszawie swoje półlegalne biuro prasowe i kiedy Tytus Filipowicz w charakterze jego kierownika zaproponował mi współpracę, bardzo chętnie wyraziłem na to zgodę. Oprócz nas dwóch pracował tam jeszcze w charakterze stałego współpracownika p. Włodzimierz Wiskowski, a wkrótce potem Medard Downarowicz. Pracy było niewiele: wysłałem kilka korespondencji, wydałem małą broszurkę „W palącej sprawie szkolnej" (o usunięcie języka rosyjskiego ze szkół), potem drugą: „Z Rosją czy przeciw Rosji", urządziłem razem z Sieroszewskim publiczny odczyt w sprawie usunięcia śladów rosyjskości z szyldów i ulic, a przede wszystkim zniesienia soboru, ale

wszystko to były skromne garstki grochu ciskane na niemy i niechętny mur. Żeby sięgnąć głębiej, trzeba było starać się oddziaływać na masy i w tym celu postanowiliśmy założyć własny dziennik. Zaznajomiłem się z jednym z cenzorów niemieckich, niejakim Goździewiczem(?), redaktorem pisma polskiego w Toruniu. Trzeba było przesiedzieć z nim w knajpie śmiertelnie nudny wieczór, wyłożyć mu nie bez strachu 30 rb. na stół za zwolnienie od konfiskaty zajętej broszury „W palącej sprawie szkolnej", żeby nareszcie uzyskać obietnicę porozmawiania z naczelnym cenzorem, osławionym p. Cleinowem, w sprawie koncesji. P. Cleinow kazał przedstawić sobie naprzód projekt wstępnego artykułu, po czym dopiero zaprosił mnie na rozmowę, która się odbyła w formie raczej towarzyskiej pogawędki przy czarnej kawie w mieszkaniu prywatnym p. Cl. Z artykułu nie był zadowolony, uważał go bowiem za oparty wyłącznie na negacji, a teraz trzeba czynów pozytywnych. Antyrosyjskość — to dobrze, ale to mało, trzeba być pozytywnym. Po chwili zrozumiałem, że wymaga on bezwzględnej deklaracji filogermańskiej i oddania się w ich ręce na ślepo. Tu był właściwy koniec rozmowy — rozstaliśmy się chłodno.

Atmosfera stawała się ciężka w mieście i w kraju, zwłaszcza, że stosunki między opierającą się coraz wyraźniej na N.K.N.-ie i jego Departamencie Wojskowym „secesją" a lewicą niepodległościową, szukającą oparcia w I-ej Brygadzie, były coraz bardziej naprężone. Mimo to pojechaliśmy razem dn. 13-go listopada(?) do Piotrkowa na wielki zjazd, urządzony przez Departament Wojskowy NK.N.-u. Zjazd istotnie był duży, przy bardzo jednak małym udziale chłopów i robotników. Pod koniec uchwalono natychmiastowy zaciąg ochotników do Legionów, uchwalono go przy tym z takim entuzjazmem, że można było obawiać się o całość szyb w oknach. Na drugi dzień zwiedziliśmy biura i urządzenia Departamentu, między innymi izbę dla wyjeżdżających na front ochotników; była bardzo schludna i nieco zbyt wielka dla jednego jedynego ochotnika, który ją zamieszkiwał. Po wyjściu spytałem towarzyszących mi panów, czy nie przypuszczają, że ta pustka w rekruckim pokoju czeka właśnie na nas. Odpowiedziano mi, że zaraz po zajęciu Warszawy oddali się do dyspozycji pułk. Sikorskiego, który kazał im pozostać w cywilu. Pokiwałem głową i poszliśmy na obiad, który był wystawny, okraszony śpiewem pieśni żołnierskich i znowu bardzo płomiennymi mowami... W drodze powrotnej do Warszawy powziąłem już stanowczą decyzję wstąpienia do szeregów. Ze

strony żony mojej nie spotkałem ani słowa sprzeciwu, ale dla mnie samego był to najcięższy szkopuł, bo zostawiałem ją z dwojgiem nieletnich dzieci i stoma rublami w kieszeni. Ale przecież gdybym był wzięty z poboru, było by to samo; różnica polegała na tym jedynie, że tu do szeregu brał mnie przymus wewnętrzny. W czarny i mroźny poranek listopadowy wsiadłem do omnibusu, idącego z Warszawy do Radomia, do okupacji austriackiej.

W Legionach. Podróż do Białobrzegów, kresu mojej podróży, trwała cały dzień. Dopiero około 8-ej wieczorem stanęliśmy w Białobrzegach na ciemnym i pustym rynku, który powitał mnie tak gościnnie, że od razu wpadłem w jakiś przysypany śniegiem dół. Omnibus odjechał, ja zaś skierowałem się do jedynego mdłego światełka na przeciwległym krańcu placu. Okazało się, że to właśnie jest lokal werbunkowy Legionów. Jakiś starszy już sierżant przyjął mnie z entuzjazmem, tłumaczącym się chyba tym, że od dnia otwarcia biura byłem dopiero siódmym kandydatem, który się tu zgłosił. Nazajutrz była rocznica 29 listopada, poszliśmy przeto urzędownie do kościoła na wytargowane z trudem żałobne nabożeństwo za dusze poległych w tych walkach. Kościół był zupełnie pusty, prócz kilku bab żebraczek i garstki austriackich urzędników. Doprawdy, do tych Legionów trzeba się było jak przez pustynię przedzierać.

Po paru dniach znalazłem się nareszcie w kadrze w Kozienicach gdzie przyjęto mnie ostatecznie, wręczono książeczkę wojskową i kazano zgłosić się nazajutrz do koszar. Koszary te, dawne rosyjskie, były to po prostu niezmiernie długie, ciemne i brudne szopy z ogromnymi dziurami w dachu; służyły one obecnie za pomieszczenie dla kadr wszystkich trzech brygad Legionów, a prócz tego dla formującej się kompanii nowopowstającej 4-ej brygady — zostałem więc na kilka tygodni czwartobrygadzistą.

Do koszar zgłosiłem się koło południa i trafiłem na obiad. Trzeba było stanąć w szeregu do kotła, ale że nie miałem menażki, musiałem czekać, aż ktoś skończy jeść i poda mi menażkę z niedojedzonymi resztkami; nie było jej niestety w czym umyć, bo jedyna studnia była zepsuta. Nie miałem także łyżki, więc ktoś inny podał mi swoją, a że chciał być dobrze wychowanym, oblizał ją starannie z obu stron. Przyszła chwila wściekłego buntu: do diabła z tym wszystkim! Rżnę o ziemię menażkę, łyżkę i kaszę... a dalej co? Od wczoraj od rana nic nie jadłem a jutro może być to samo. Poddałem się. Ale to nie był

koniec zmiany mojej cywilnej skóry na wojskową. Nazajutrz rano obudziło mnie osobliwe zaiste widowisko: wyciągano mianowicie dość przymusowo spod mojego sąsiada tzw. celty, czyli części namiotu, dla przyniesienia na nich do śniadania świeżego, miękkiego sera. Postanowiłem sobie tego sera nie ruszać, ale po paru dniach i to postanowienie wydało mi się niecelowe. Pozostawała jeszcze jedna próba. Na drugi dzień zacząłem się mocno drapać. Ktoś śmiejąc się poradził, żeby zdjąć koszulę, to polowanie pójdzie łatwiej. Oburzyłem się, ale kiedym wreszcie dobrej rady posłuchał, polowanie było istotnie łatwe i obfite i trwało już do ostatniego dnia pobytu w Legionach. W ogóle o zachowaniu czystości dość trudno tu było marzyć; przy skąpej ilości wody myć się trzeba było chodzić do rzeki, w której wywierciwszy bagnetem przerębel i obnażywszy się do pasa dokonywałem ablucji. Lepiej przy dość dużym wysportowaniu szła mi nauka musztry i wiadomości ściśle wojskowych.

Stosunki służbowe były na ogół dobre. Komendantem kompanii był dobroduszny i bardzo dbały o swoich ludzi sierżant Strzelichowski, student U. J., później ppor. Liszka, także student krakowski, bardzo ostry na mustrze, ale życzliwie traktujący nasze potrzeby. Żołnierzami byli przeważnie wiejscy chłopacy z Lubelskiego i trochę robotników z Warszawy. Inteligenta nie było ani jednego, tylko w pobliżu mieszkał prof. Wacław Tokarz, pełniący w charakterze sierżanta czynności wykładowcy w szkole podoficerskiej. W sumie po paru tygodniach wszystko to stało się nudne. Powierzone mi uczenie na boku najcięższych jołopów prymitywnych chwytów nie bardzo urozmaicało życie, a dobrowolnie na siebie przyjęte obowiązki uczenia pisania i czytania analfabetów też nie wypełniały nudnych wieczorów. Zacząłem męczyć urzędowo przy raporcie i prywatnie na boku Liszkę i Strzelichowskiego, żeby mnie odesłali na front, ale to nie osiągało celu. Dopiero w końcu stycznia wywołał mnie kiedyś Liszka z szeregu i zakomunikował, że jutro odjeżdża na front chor. Minkowski, więc gdybym chciał jechać w charakterze jego ordynansa, to... Oczywiście chciałem, choćby mi przyszło nosić walizki (do czego zresztą nie doszło). Nazajutrz byliśmy już w Lublinie, gdzie zdarzył mi się znowu bardzo charakterystyczny wypadek. Prawdopodobnie od tego mycia się w przeręblu spuchły mi palce lewej ręki. Postanowiłem iść do lekarza; wymieniono mi nazwisko jednego z najlepszych chirurgów, zaznaczając jednak, że jest to jeden z najzaciętszych endeków. Wzruszyłem ramionami

i poszedłem. Po otrzymaniu porady wyciągnąłem swojego skromnego rubelka. Żachnął się, jakbym mu węża podawał. „Od pana honorarium nie przyjmę". — „Dlaczego?". — „Nie mogę przecież brać pieniędzy od polskiego żołnierza". — I nie przyjął — ciągle rozum i serce.

Z Lublina pojechaliśmy nad Styr, do znajdującego się między Kościuchnówką a Wołczkiem stanowiska 2-go pp. (Januszajtisa). Wcielono mnie do 9-ej kompanii 2-go baonu, do plutonu komenderowanego przez tegoż Minkowskiego. Człowiek wielkiej odwagi i większej kultury, z zawodu student architektury (?), był bardzo lubiany i ceniony przez żołnierzy, może dlatego, że miał w swoim zachowaniu się bardzo jeszcze dużo z cywila. Pewne wątpliwości budzili we mnie z początku moi koledzy: były to typowe batiary lwowskie, przy których nie mogło być mowy o pozostawieniu czegoś na wierzchu; tylko za kradzież chleba bito ciężko. Wszystko to było po męczącej kampanii jesiennej wynędzniałe, słabe, apatyczne, choć karmiono jeszcze wówczas dobrze (400 gr mięsa i 700 gr chleba dziennie). Jednym słowem, o takich to pewnie żołnierzach powiedział wówczas niemiecki gen. Bernhardi: „W bitwie pierwsze w świecie wojsko, poza bitwą banda, jakiej świat nie widział".

Ponieważ dopiero co przeszedłem wyszkolenie w Kozienicach, powierzono mi musztrowanie plutonu złożonego z samych podoficerów i obiecano awans przy pierwszej okazji. Ale mnie nie chodziło o awans: wyjechałem z Warszawy na wojnę i nie mogłem do niej dojechać. Wprawdzie kule gwizdały tu dość często, a trzecią noc po moim przybyciu obstrzelano nas z ciężkich dział bardzo gruntownie, choć bez skutku — wszystko to jednak nie wydawało mi się wojną, a najcięższą i najniebezpieczniejszą służbą było zakładanie drutu kolczastego w błocie i w wodzie. To też zacząłem znowu nudzić o przeniesienie mnie do pierwszego batalionu, stojącego na samym froncie. Tu już kiwano trochę głowami, jakbym był pomylony, ale w końcu dla odczepienia się ode mnie zadośćuczyniono mym naleganiom. Musiałem jednak wyjść ze służby frontowej, powierzono mi bowiem prowadzenie dziennika batalionu i musiałem zamieszkać w jednej izbie z komendantem baonu, mjr. Mężyńskim.

Wojny co prawda i tu było niewiele. Dniem panowała przeważnie cisza, tylko w nocy na placówkach przychodziło co dzień do ostrej strzelaniny. Ale po paru dniach traktowałem to z flegmą, rozbierając

się na swoim posłaniu do koszuli, wstając dopiero wtedy, kiedy major ubrany wychodził i długo nie wracał. Był to zresztą zasłużony wypoczynek za te trzy tygodnie w 9-ej kompanii, kiedy nie pozwolono nam się rozbierać ani zdejmować butów, a w dodatku kazano spać z karabinem, który w łóżku jest diabelnie niewygodnym towarzyszem. Za to nowa nasza ziemianka stała między dwoma bagnami i po kilku tygodniach zaczęła mnie nękać ciężka febra, bronchit, reumatyzm itd. Lekarz pułkowy, zacny dr Stefanowski, przyznał się otwarcie, że nie ma mnie czym leczyć i koniec końcem wyprawił mnie do polowego szpitala, znajdującego się o 4 kilometry w pobliżu.

W szpitalu położono mnie wprawdzie na łóżko po chorym na świerzbę, ale pod dobrą opieką dra Konopackiego przyszedłem wkrótce do zdrowia, tak że już po kilku miesiącach w czasie odwrotu mogłem całą noc spać na deszczu na ziemi.

W szpitalu powstała nowa trudność. Postanowiono ze mnie skorzystać jako z człowieka piszącego i zapowiedziano mi, że zostanę przy szpitalu jako jego archiwista. Ten rodzaj wojny nie podobał mi się zupełnie, stanąłem więc do raportu, prosząc o zwolnienie do I-ej Brygady, która tymczasem zajęła pozycje 2-go pułku. Odmówiono mi. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale ostrym tonem mi kazano odejść. Usłuchałem tego rozkazu dosłownie i na drugi dzień rano zameldowałem się już w komendzie 7-go pp. razem z całym swoim dobytkiem. Wprawdzie widząc co się święci, już parę dni przedtem umówiłem się z jego dowódcą, mjrem Żymirskim, że mnie przyjmie, ale przyznaję, nie był to przykład wzorowej dyscypliny. Skutki nie dały długo czekać na siebie, bo po paru dniach Komenda Legionów ogłosiła mnie za dezertera a żandarmi zgłosili się po mnie do 7-go pułku, skąd ich zresztą niebawem sromotnie wyrzucono za drzwi. Oczywiście zarzut dezercji ze szpitala na front był śmieszny.

W 7-ym pułku nareszcie odetchnąłem; właściwie mówiąc powinienbym znaleźć się tam od samego początku i tylko dziwne koleje losów przeszkodziły temu. Ani dziś, ani wówczas nie znalazłbym nawet cienia zarzutu przeciwko wartości bojowej i ideowości oficerów 2-go pp., ale to byli ludzie przeważnie odmiennej ideologii społecznej, a militaryzacja posunęła się w nich, jak na mój gust, nieco zbyt daleko. W 7-ym pułku znalazłem sporo ludzi znanych mi już poprzednio bodajby ze słyszenia, a z innymi zawarłem niebawem ścisłe stosunki. Tych, z którymi stykałem się częściej albo którzy mnie mocniej pociągnęli, zacho-

wałem po dziś dzień w żywej pamięci, przede wszystkim następcę Żymirskiego w komendzie pułku, mjr. Fleszara-Satyra, komendantów batalionów Kukiela i Olszynę, wspaniałego chłopaka, komendanta kompanii Lisa-Kulę; zżyłem się też z kap. lekarzem Składkowskim, przykładem niewyczerpanej energii, sumiennej służbistości i dobrego humoru, którego przy lżejszych zabiegach używał zamiast narkotyków. Z podoficerów zawarłem miłą znajomość z p. Tadeuszem Szturm de Sztremem i Jędrzejem Cierniakiem. Mieszkałem w oddzielnej ziemiance z p. Karolem Popielem, po odejściu znad Styru — w namiocie z kpt. Składkowskim. Do służby frontowej i tu jednak nie wróciłem; jako świeży rekonwalescent zbierałem materiały do historii pułku, spisywałem życiorysy legionistów, gromadziłem opisy bitwy pod Bielgowem. Na ogół była to miła wilegiatura, choć trochę ociekająca krwią, bo nie tylko rannych, ale i trupów mimo pozornego spokoju nie brakło.

Skończyła się ta sielanka 4 lipca. O godz. 4-ej rano obudziła nas wściekła strzelanina artylerii rosyjskiej. Huraganowy ogień co się nazywa, skierowany głównie na wysuniętą naprzód Redutę Piłsudskiego i pozycje 5-go pp. Berbeckiego. Ten pułk stał nieco niżej od nas, na sapach i piaskach, tak że można go było widzieć jak na arenie. Walił się na niego istny grad pocisków a po każdym pocisku wykwitał w górę olbrzymi słup ognia, dymu, ziemi, drzew a zapewne rąk i nóg ludzkich, bo pułk ten poniósł tego dnia straszliwe straty. Z drugiej strony na Redutę Piłsudskiego i sąsiadujące z nią nasze 6-y i 7-y bataliony jak gdyby waliły się setki cetnarów żelaza; z prawej i lewej strony pozycji legionowych po ucieczce węgierskich honwedów i austriackiej landwery była już pustka, przez którą bardzo łatwo mogliśmy być okrążeni. Ogień był tak gwałtowny, że już wczesnym popołudniem kilku żołnierzy wpadło w zdenerwowanie graniczące z obłędem.

Około g. 16-ej ogień nagle się urwał, jak by go nożem obciął — to atak na białą broń. Za chwilę zaszczekały obmierźle rosyjskie karabiny maszynowe; kule szły drogą wzdłuż naszych ziemianek, a szły tak gęsto, że zdawało się — wystarczy wyjść na drogę, żeby być rozerwanym w strzępy. W pewnej chwili zobaczyłem na drodze wyniosłą postać mjra Fleszara, który przez ogromną lunetę rozglądał się z flegmą po okolicy; skinął na mnie i dał rozkaz, żeby zawiadomić telefonistów, iż mają być gotowi do odmarszu. Rozkaz spełniłem i o wykonaniu zameldowałem, przy czym żadnemu z nas nie spadł włos z głowy — wi-

docznie kule szły nieco górą; ale gdyby celowniki trochę zniżono, zostałyby jednak dwa rzeszota.

Poszedłem do komendy pułku. Pod ścianą stało kilku ordynansów pułkowych do roznoszenia rozkazów, bo zrywanych ciągle linii telefonicznych już nie można było nastarczyć odbudowywać; chodzili po dwóch, bo jeden mógł paść w drodze. Pod oknem przy telefonie rozebrany do bielizny siedział Piłsudski i wydawał rozkazy głosem bardzo władczym, ale tak spokojnym, jak gdyby szło o partię szachów. Tak, tutaj był to już nie prorok, lecz wódz w całym tego słowa znaczeniu. Ten spokój jego oddziaływał na otoczenie bardzo kojąco, bo ostatecznie jeżeli Komendant siedzi w bieliźnie, nie ma mowy o katastrofie.

O katastrofie istotnie mowy nie było, ale położenie stawało się coraz bardziej gorące. Na komendę pułku i grupę otaczających ją ziemianek zaczął się nagle walić grad pocisków. Odwrót był zdecydowany i tabory oraz ranni zaczęli już wychodzić. Niestety, ku mojemu wielkiemu ubolewaniu otrzymałem rozkaz odejścia razem z nimi; nie było się co targować, bo Fleszar był bardzo zdenerwowany. Poszedłem do swojej ziemianki zabrać plecak i koce. Wychodząc minąłem u drzwi czterech rozmawiających ze sobą żołnierzy. Ledwom odszedł kilkadziesiąt kroków, usłyszałem w tamtej stronie straszliwy huk a kiedym się obejrzał, nie było już żadnego stojącego żołnierza — granat wpadł akurat w środek pomiędzy nich. Za chwilę padł drugi pocisk o jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, ale że między miejscem jego upadku a mną stała ziemianka, więc dolne odpryski zatrzymały się na niej a górne poszły nad głową; odruchowym i dość bezsensownm gestem nakryłem głowę kocami a stojący obok mnie żołnierz zdjął czapkę.

Za chwilę odeszliśmy. Nazajutrz szliśmy po małym wzniesieniu ponad lasami, które zostawiliśmy za sobą, a za nami szła bitwa. Wskutek jakiegoś dziwnego układu terenu każdy wystrzał armatni odbijał się wielokrotnym echem, a że ogień ciągle był żywy, zlewało się to w jakąś niesamowitą melodię, jakby diabeł dorwał się do organów i grał na nich dziką pieśń. Po drugiej nocy spędzonej w taborze postanowiłem wstać przed świtem, iść przez las na przełaj i szukać swojego pułku. Trochę się bałem, bo rozkaz pozostawania przy taborach był wyraźny, ale Fleszar zobaczywszy mnie roześmiał się, uściskał i zostałem już przy komendzie pułku. Droga była ciężka: 30-kilkostopniowy upał, na sobie płaszcz, plecak i 2 koce, kurz tak straszny, że co chwila spluwało się błotem, wszy gryzły zapamiętale. Jeśli się nawet trafiło na studnię, wody w niej

już nie było i wysysało się tylko wilgotny muł. Koło 10-ej rano zatrzymaliśmy się we wsi Trojanówce. Zmęczenie było tak wielkie, że każdy padał gdzie stał i zasypiał; oficerowie odeszli na bok. Wtem wybuchł alarm: po dwóch szosach leżących nieco niżej nas gnały setki wozów austriackich. Wtedy zobaczyłem, dlaczego Legiony są w bitwie „pierwszym w świecie wojskiem": zanim oficerowie zdążyli dobiec, żołnierze zerwali się ze snu, rozebrali broń z kozłów i stali gotowi do walki. Przed front nadjechał konno Piłsudski, któremu jakiś major niemiecki oddawał swój batalion pod dowództwo.

Tak się skończyły niewczesne i niedorzeczne spory o dowództwo nad Legionami. Nie licząc trzech brygad, wszystko, co było zorganizowanym jeszcze jako tako oddziałem, garnęło się ku Piłsudskiemu, pułki austriackie natomiast, nawet złożone z Polaków, były zupełnie załamane psychicznie. Ujawniło się to nazajutrz rano w pięknym obrazku. W nocy przeszliśmy Stochód i będąc już pod osłoną silnej artylerii rzuciliśmy się natychmiast spać. Rano poszedłem się myć do studni i wracając spostrzegłem naraz, że całe oddziały żołnierzy uciekają w dzikim popłochu, chociaż nie słychać żadnej strzelaniny ani nie widać nieprzyjaciela. Po chwili rzecz się wyjaśniła: legioniści zaczęli grać w piłkę nożną, a natrafiwszy na zająca, pognali za nim; na ten widok wszystko, co stało obok z austriackich oddziałów rzuciło się do ucieczki. Stanowczo za legendę o dobrym cesarzu nikt już nie chciał się bić.

Za Stochodem stanęliśmy koło jednego z najświetniejszych pułków niemieckich, 3-go pp. bawarskiego, który swego czasu rozpoczął atak pod Gorlicami. Obustronne zadowolenie było duże, bo chociaż polityczna niechęć ku Niemcom była i w Legionach niemała, na polu bitwy umiano cenić pewnego sąsiada.

Pozycja nad Stochodem była dość ciężka, zwłaszcza że zupełnie otwarta, tak że zabroniono nam wychodzić na pole i nawet na ulicę wsi, pod którą staliśmy, bo Moskale nawet do pojedynczych ludzi strzelali szrapnelami. Nie miałem nic do roboty, mieszkałem w jednym namiocie z drem Składkowskim, ale on był zajęty swoimi chorymi. Bąknąłem jakieś słówko o bezcelowości mojego tutaj siedzenia i za parę dni dostałem rozkaz udania się na robotę polityczną do Warszawy.

Centralny Komitet Narodowy. W czasie mojej nieobecności w Warszawie powstał tu Centralny Komitet Narodowy, czyli tzw. C. K. N., będący zrzeszeniem P. P. S., Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Niezawisłości (dawniejszego Zw. Patriotów), Narodowego Związku Robot-

niczego, Związku Niepodległości, Związku Radykałów i osób doproszonych. C. K. N. miał liczne oddziały prowincjonalne i zrzeszał lewicę społeczną a politycznie aktywistów, z zastrzeżeniami co do postępowania okupantów, podczas gdy Międzynarodowe Koło Polityczne skupiało endeków i grupy ku nim ciążące, a „secesja", przekształcona później na Ligę Państwowości Polskiej, grupowała aktywistów bez zastrzeżeń.

Nie byłem przy zakładaniu C. K. N-u, nie wszedłem więc w jego skład, a zwłaszcza do zarządu, o co się postarali nawiasem mówiąc ludzie, którym tam mogłem być niewygodny jako współzawodnik. Przez pierwsze parę tygodni byłem więc prawie poza obrębem polityki, wskutek czego po raz pierwszy doświadczyłem, że najboleśniejsze są ciosy zadawane przez swoich. Trwało to zresztą niedługo, wkrótce bowiem jako redaktor wydawanego przez C. K. N. „Biuletynu" zostałem na stałe zaproszony na posiedzenia zarządu a na jednym z walnych zgromadzeń C. K. N-u wybrany już formalnie do zarządu.

„Biuletyn". Prawie niezwłocznie po powrocie zaproponował mi Tadeusz Szpotański, szef wydziału prasowego. C. K. N-u redagowanie organu C. K. N-u „Biuletynu". Był to osobliwy co prawda organ: drukowany na małych świstkach papieru, bez ustalonej ilości stronic, bez stałej daty ukazywania się, był z wyglądu typowym tajnym wydawnictwem. W rzeczywistości był półtajnym, w samym bowiem tekście podawał się za organ C. K. N. Wychodził z wiedzą Niemców, którzy jednak nie znali ani nazwiska redaktora, ani adresów redakcji i drukarni. Miał zawierać głównie dokumenty związane z ruchem niepodegłościowym i krótkie w miarę potrzeby artykuliki. Korzystałem z tego tak obficie, że pod koniec istnienia pisma artykuły rozumowane stały się główną jego treścią i śmiem twierdzić — robiły je tak poczytnym, że rozchodziło się go około 4 tysięcy, co jak na pismo pozbawione debitu pocztowego nie jest mało; można je też było znaleźć w każdym miasteczku obu okupacji, czytali je przyjaciele i przeciwnicy, widziało się je też na licznych stołach urzędników niemieckich. Ukazywały się również falsyfikaty i naśladownictwa, ale żadne z nich, jak sądzę, nie doszło do poczytności.

Zadaniem bezpośrednim pisma było poza podawaniem informacji, których nie można było umieścić w legalnej prasie, popularyzowanie idei legionowej i stanowiska zupełnej niezależności duchowej od okupantów. Stąd nieuniknione starcia z kierunkiem narodowo-demokratycznym, pasywizmem, a później coraz ostrzejsze z obozem ultraaktywistów, z „Ligą" i „Gońcem" na czele. Dyskusje, jak zwykle w takich razach,

były ostre, namiętne, czasami wręcz brutalne; starałem się co najwyżej być uczciwym i nie rzucać oskarżeń, w które sam nie wierzyłem *).

Akt 5 listopada. Dyskusje te były zresztą mało rzeczowe. My — zarówno lewica jak Liga — mówiliśmy o tym, co okupanci powinni dla Polski uczynić, ale był to głos bez echa. Odpowiedzi okupantów były wykrętne i puste. Pewną treść, ale treść ujemną raczej, wniosła w te rozmowy dymisja Piłsudskiego, która nastąpiła w lipcu tego roku. Legiony zachwiały się w samej swej podstawie, różnice między lewicą a Ligą pogłębiły się, Liga bowiem potępiała dymisję i twierdziła, że należy współdziałać z okupantami, nawet mimo braku ujawnionej z ich strony woli, mimo oczywistości, która była żałosna i twarda.

Na to niewyraźne i skłócone samo ze sobą tło padł pod wpływem klęski odniesionej przez Niemców pod Verdun Akt 5-go listopada, ogłaszający imieniem dwóch cesarzy przywrócenie Polsce niepodległości. Uczucia, jakie budził on w różnych grupach polskich, były w dalszym ciągu sprzeczne, ale w głębi bezstronnych serc dominowały dwa wrażenia. Po pierwsze: wzruszenie wywołane słowem „Niepodległość", które po raz pierwszy od czasu trzeciego rozbioru padło z ust urzędowych; po wtóre, uczucie zawodu i zaniepokojenia, że to słowo zawiera w sobie tak mało treści, że nie został oznaczony ani czas, w którym zostanie zrealizowane, ani obszar, którego dotyczy. Kiedyśmy wieczorem tego dnia szli do Ratusza pochodem, na chodnikach stał tłum milczący, nieodgadniony, a my sami pytaliśmy się wzrokiem: co dalej? Owo „dalej" nastąpiło już po paru dniach w sposób najbardziej niemądry i niezgrabny. Gen. Beseler ogłosił wezwanie do ludności, aby wstępowała do wojska dla walki z Rosją. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to może a nawet powinno nastąpić po proklamacji niepodległości, nie wyobrażaliśmy sobie jednak, aby to mogło nastąpić bez porozumienia się z przedstawicielstwem Polski. Wśród publiczności zaczęło się szerzyć wzburzenie.

Zarząd C. K. N-u, który natychmiast się zebrał, uznał, że wystąpienie Beselera musi się spotkać z natychmiastową odprawą; chodziło tylko o formę tej odprawy i nad tym, jak zwykle w wielogłowym ciele, rozwinęła się długa dyskusja. Słuchałem jej parę godzin w milczeniu, aż w pewnej chwili wyszedłem do drugiego pokoju i drżąc z tłumionej pasji naszkicowałem projekt odezwy w sprawie wojska. W kilku zdaniach stwierdzonym tam zostało, że tylko rząd polski jest szafarzem krwi polskiej, że w Legionach posiada Polska gotowe kadry swej armii narodowej a w Pił-

*) Patrz „Niepodległość".

sudskim — wodza, w którego ręce miecz swój może złożyć z całą ufnością. Projekt został przyjęty jednomyślnie i bez żadnych zmian, tylko Gustaw Daniłowski dorzucił końcowe zdanie (p. str. 218). Rękopis odniesiono natychmiast do drukarni, ale w nocy zjawili się tam Niemcy, którzy zaczęli perswadować, że w tej formie odezwa ukazać się nie może, że trzeba się porozumieć z cenzurą. Szpotański jako szef wydawnictw oświadczył krótko, że z nikim porozumiewać się nie będziemy a najmniej z cenzurą. Niemcy wyszli, druk ukończono a zanim wrócili jeszcze raz, całe miasto było już oklejone naszymi odezwami, przed którymi przez parę dni zbierały się tłumy ludzi. Na tym się na razie skończyło, ale kiedy w jakiś czas potem Beseler zaprosił na Zamek wybitniejszych polityków niepodległościowych, żeby wygłosić do nich wielką mowę polityczną, wspomniał w niej parokrotnie z gorzkim szyderstwem o żądaniu, żeby tylko rząd polski był szafarzem krwi polskiej. Zdaniem jego tak mogli mówić tylko ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy, kto tu w kraju posiada siłę i kto Polskę odwojował Rosji. Mowa, nawiasem mówiąc, była twarda aż do brutalności, typowa mowa filozofa w mundurze feldfebla. Umieściłem na nią odpowiedź w „Biuletynie", którego tego dnia wieczorem rozeszło się w kawiarniach warszawskich kilkaset egzemplarzy (p. str. 218). Mowy tej wysłuchałem jak kot, któremu pies prawi kazanie; nie posunęła ona sprawy ani o krok naprzód, nie zbliżyła nas zgoła do siebie.

Rada Narodowa. Mimo wszystko jednym z bezpośrednich skutków 5-go listopada było przesunięcie się pewnych ludzi, pewnych warstw w kierunku ideologii niepodległościowej. Włączanie ich do C.K.N-u było niemożliwe, ponieważ były to grupy w większości konserwatywne a chociaż akcenty społeczne nawet na lewicy nie były wówczas zbyt silne, mogłyby powstać niepożądane tarcia. Z tych względów jesienią 1916 r. powstała nowa organizacja pod nazwą Rady Narodowej. W skład jej weszły wszystkie grupy należące do C.K.N-u, Liga Państwowości i Stronnictwo Narodowe, złożone przeważnie z ludzi należących dawniej do Demokracji Narodowej, oraz trochę osób bezpartyjnych. Wydział Wykonawczy Rady składał się z 9 osób (rektor Józef Brudziński, Zygmunt Chmielewski, Stanisław Dzierzbicki, Ludomir Grendyszyński, Artur Śliwiński, Adam Ronikier, Antoni Wieniawski, Eugeniusz Śmiarowski, Stanisław Thugutt). Rada miała swoje oddziały prowincjonalne; na ogół budowa jej była podobna do budowy C. K. N-u, tylko bardziej jeszcze luźna. Wszedłem do pierwszego zarządu Rady, później zostałem jej

wiceprezesem, przy pewnym nawet rozgoryczeniu stronnictw lewicy, które chciały mnie widzieć na stanowisku prezesa; ale ja wolałem zrzec się go na rzecz ks. Czetwertyńskiego, aby w ten sposób silniej związać z Radą Stronnictwo Narodowe. Był to błąd, za którym poszły inne, ale wówczas różnice społeczne nie ważyły jeszcze tak mocno.

Działalność Rady Narodowej była z natury rzeczy dość mdła; głównym jej zadaniem było wyłonienie z siebie przynajmniej częściowo Tymczasowej Rady Stanu.

Tymczasowa Rada Stanu. Jeżeli Akt 5-go listopada miał być czymś więcej niż pustym, śmiesznym a tym samym drażniącym słowem, należało zacząć go choćby ze zwłoką realizować. Tą próbą realizacji miała być Tymczasowa Rada Stanu. To nowe słowo było równie połowiczne, nieszczere i w ostatecznym skutku drażniące, jak sam akt przywrócenia nam niepodległości i próby tworzenia wojska na własną generał-gubernatorską rękę. W zasadzie miała być Tymczasowa Rada Stanu mianowana spośród kandydatów przedstawionych przez Radę Narodową; w praktyce wprowadzili Niemcy do niej parę osób, których mianowaniu T. R. St. gorąco i do końca przeciwstawiała się, skreślali natomiast nazwiska ludzi, do których nie mieli zaufania; ja np. znajdowałem się na wszystkich listach, które były im przedstawione — i ze wszystkich byłem skreślony. Poza tym Rada była pozbawiona wszelkich atrybutów istotnej władzy, wszelkich nawet możliwości komunikowania się z krajem.

Przedstawicieli Międzypartyjnego Koła Politycznego — endeków i grup z nimi związanych — nie było w Tymczasowej Radzie Stanu, nie znaczy to jednak, żeby w pewnym momencie nie usiłowali wejść do niej. Byli do tego gotowi, warunkiem ich jednak było otrzymanie 11 na 21 miejsc w Radzie, nie kryli się przy tym, że celem ich wejścia jest niedopuszczenie do jakiegokolwiek z jej strony działania. Oczywiście, tak osobliwa koncepcja była nie do przyjęcia dla lewej strony społeczeństwa. Wkrótce już przed samymi nominacjami odbyło się w tej sprawie posiedzenie w hotelu Brylowskim u zamieszkałego tam na kilka dni Józefa Piłsudskiego. Ze strony Koła Międzypartyjnego wzięli w rozmowie udział pp. Wierzbicki i Rosset, ze strony lewicy Artur Śliwiński i ja. Po pewnej chwili stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że Komendant staje raczej po stronie pasywistów niż naszej, w każdym razie na nas głównie spadały gromy za niemożność czy niechęć uzgodnienia się, groźby wyjazdu z Warszawy i porzucenia wszystkiego itd. Nie ustąpiliśmy jednak, bo nie mogliśmy

ustąpić, i zebranie spełzło na niczym. Niemcy zresztą i tak nie zgodziliby się na dopuszczenie pasywistów w takiej proporcji.

Organizacja wewnętrzna biur i wydziałów Rady poszła dość sprawnie, jej wpływ natomiast zarówno na społeczeństwo, jak na bieg zdarzeń był całkiem znikomy pomimo dość wytężonych wysiłków z naszej strony: zwoływania specjalnych jawnych czy poufnych zebrań, zbierania adresów do Rady od szerszych warstw społeczeństwa itp. Muszę przyznać, że sama Rada pomagała nam bardzo niewiele w tym ugruntowaniu swojej powagi. Powstała z różnych grup, skłócona wewnętrznie co do sposobów realizacji ideałów narodowych, złożona w znacznej mierze z ludzi niczym nie związanych z szerszymi warstwami społeczeństwa, nazbyt nieśmiała w stosunku do okupantów, nazbyt tajemnicza w stosunku do własnego narodu, jeśli chodziło o jej plany i zamierzenia, nie była niewątpliwie instytucją, która mogła porwać ten naród. Rządem polskim, jakim chciano ją widzieć z początku, nie była w najmniejszej mierze.

Że z Niemcami można było mówić inaczej, dowiódł tego drobny, ale charakterystyczny wypadek. Któregoś dnia odwiedziło mnie czterech żołnierzy niemieckich, którzy przedstawiwszy rozkaz dokonania u mnie rewizji przystąpili do jego wykonania. Czynili to bardzo systematycznie i bardzo niedorzecznie, ograniczając poszukiwania do biurka i zabierając nawet druki, które przeszły przez cenzurę niemiecką. Równocześnie dokonano rewizji u redaktora interesującego wydawnictwa „Dokumenty chwili", p. Rosseta. Przewodniczący Tym. Rady Stanu, noszący pompatyczny, choć fałszywy historycznie i pusty politycznie, tytuł marszałka koronnego, p. Wacław Niemojewski, udał się w tej sprawie do Kriessa, szefa zarządu cywilnego w generał-gubernatorstwie warszawskim. Kiedy wynikły jakieś wątpliwości, czy p. Kriess będzie go mógł teraz przyjąć, Niemojewski grzmiącym głosem zażądał, aby p. szef bez żadnej zwłoki stawił się przed nim tu, w przedpokoju, marszałek koronny bowiem nie zwykł na kogokolwiek bądź czekać. I p. Kriess przyszedł i bardzo przepraszał.

Innym równie drobnym i równie charakterystycznym przykładem było posiedzenie części członków Rady Stanu z hr. Lerchenfeldem, pomocnikiem Beselera, na które mnie zaproszono. Chodziło o przyszłych urzędników prowincjonalnych Tymcz. Rady Stanu. Lerchenfeld oświadczył, że muszą oni być mianowani przez okupantów i od nich służbowo zależeć. Odpowiedziałem na to sucho i twardo, że w takim razie będą to urzędnicy okupantów, żaden Polak nie zechce bowiem, jeśli szanuje swą god-

ność, przyjąć takiej nominacji. Lerchenfeld zamilkł i wkrótce opuścił zebranie, ale nadal już głupich propozycji nie powtarzał.

Niedoszły zamach stanu. W tych warunkach sprawa dreptała w kółko, nie mogąc ruszyć z miejsca. Wtedy powstał projekt, który wprawdzie nie został zrealizowany, który w razie nieudania mógł się stać śmiesznym, ale mógł także, gdyby się okoliczności dobrze złożyły, zaważyć nieco na szali. Dwóch członków Stronnictwa Narodowego, pp. Marian Zbrowski i Józef Targowski, zgłosili się kiedyś do mnie z zapytaniem, czy zgodziłbym się poprzeć swoim wpływem na lewicy pomysł obwołania rządu polskiego niezależnego od okupantów a opartego na wszystkich grupach politycznych polskich, nie wyłączając Narodowej Demokracji, wyłączając natomiast Ligę Państwowości, jako zbyt w stosunku do okupantów uległą. Obwołanie to miałoby się odbyć na akademii 3-go maja w Ratuszu; oczywiście skład zgromadzenia byłby starannie dobrany a członkowie Ligi mieli być w pewnym momencie nawet aresztowani na przeciąg trwania zgromadzenia. Obwołany rząd przedstawiłby się okupantom jako taki i albo byłby aresztowany i wywieziony, co by Niemcom przyczyniło sporo trudności, albo byłby przez nich uznany i zaczął walczyć o swoje prawa. Formą prawną przyszłego rządu byłaby którakolwiek z konstytucji polskich, najlepiej konstytucja Księstwa Warszawskiego. Rząd składałby się z 5 członków będących ministrami i regenta reprezentującego zwierzchnią władzę.

Bez chwili wahania zgłosiłem akces do tego projektu, z wyjątkiem konstytucji Księstwa Warszawskiego, która mi się wydawała, jak na obecne czasy, nieco zbyt przestarzała.

Wszystkie stronnictwa C.K.N-u wyraziły zgodę na swój udział w tym przedsięwzięciu, zaakceptował je również Komendant Piłsudski, którego w charakterze łącznika informowałem codziennie o rozwoju sprawy; nie było to całkowitą synekurą, bo godziny wyznaczane na rozmowy były niekiedy całkiem fantastyczne, np. 3-a w nocy. Pertraktacje wlokły się powoli, mało wychodząc poza zasadnicze omawianie celowości całej imprezy. Mało czasu poświęcaliśmy personaliom: ustalone było jedynie, że regentem zostanie ks. Zdzisław Lubomirski, premierem ks. Eustachy Sapieha, ja członkiem rządu, reszta miejsc pozostała nieobsadzona; endecy ciągle nie mogli się zdobyć na przedstawienie kandydatów, namawiali jedynie na boku lewicę, aby żądała jak najwięcej miejsc, jak najmniej pozostawiając ich Stronnictwu Narodowemu. Tymczasowa Rada Stanu przysłała do mnie jednego ze swych wyższych urzędników, ofiarowując

pomoc, nie chciałem jednak przyznać się do niczego. W pewnym momencie dowiedziałem się, że równolegle z naszymi toczyły się pertraktacje z inną ekipą ludzi bliskich wyższym sferom legionowym; niektórzy chodzili tu i tam — bardzo to było znamienne dla ówczesnych stosunków.

Później nagle wszystko się załamało: do Warszawy przybył ówczesny przywódca endeków, p. Świeżyński, i stanowczo przeciwstawił się wszystkiemu. Sprawa upadła.

Nasze coraz bardziej zaciekłe walki ze zwolennikami oparcia się za wszelką cenę na okupantach wywołały przez pewien, niedługi zresztą, czas niejakie złagodzenie stosunków z Międzypartyjnym Kołem Politycznym. Jedynym publicznym wynikłym stąd wystąpieniem było wystąpienie przeciwko strejkowi młodzieży akademickiej, podpisane przez Zygmunta Chrzanowskiego i przeze mnie. Przy wkraczaniu Legionów do Warszawy nie mogło być już mowy o wspólnej odezwie, ale ton wystąpienia endeckiego był już dość serdeczny.

Wkrótce inne rzeczy zaczęły nas różnić znowu ze sobą. Wiadomości nadchodzące z Rosji o tamtejszym wybuchu rewolucyjnym wywierały coraz głębszy wpływ na masy i tych wszystkich, co w swym działaniu byli o masy oparci. Z drugiej strony zamożniejsze ziemiaństwo, zaniepokojone odblaskiem tej łuny zaczęło poszukiwać bodajby osobistych i towarzyskich stosunków z okupantami. Jak gdyby anemiczne i odsunięte dotychczas zagadnienie sporu społecznego zaczęło wracać na scenę i nabierać żywszych rumieńców. Język dyskusji politycznych stawał się bogatszy i bardziej realny.

Nie przeszkadzało to, że powstawały ciągle próby tworzenia jak gdyby na marginesie stronnictw i wypadków jakichś nowych form porozumienia. Powody, dla których nie dochodziły one do skutku, znaleźć można w artykule „Konsolidacja" (p. st. 225). Co gorsza, zaczęły się kruszyć nasze własne organizacje: w lutym 1917 r. wyszły z C.K.N-u Polska Partia Socjalistyczna, Narodowy Związek Robotniczy i zbliżony do niego Związek Niepodległości, w maju ustąpiły z Rady Narodowej Liga Państwowości i dwie mniejsze zależne od niej grupy. Latem t. r. zaczęli usuwać się z Tymcz. Rady Stanu członkowie lewicy, stwierdzając, że w danych warunkach jest ona instytucją zbędną, a zatem szkodliwą.

Nie brakło i prywatnych usiłowań stworzenia jeżeli nie wspólnej organizacji, to przynajmniej bardziej zwartej opinii politycznej kraju. Ks. Stefan (?) Lubomirski i paru jego przyjaciół utworzyli tzw. BB. (Blok

Bezpartyjny), w którym przy herbatce odbywały się dyskusje wszystkich polskich grup politycznych. Odmawiałem chodzenia na te herbatki, nie widząc ich celowości, ale pewnego dnia ustąpiłem dość natarczywym naleganiom i poszedłem. Na zebraniu zastałem sporo bliskich znajomych z lewicy i całą plejadę matadorów prawicy. Zebranie zagaił Medard Downarowicz, który w dłuższym przemówieniu dowodził konieczności zjednoczenia narodu, przy czym w końcowym ustępie oświadczył, że tracimy panowanie nad masami i że jeżeli panowie z prawicy nie przyjdą nam z pomocą, lejce wypadną nam z rąk a wtedy biada wszystkim. Downarowicz był tak zwanym „płomiennym" mówcą, ale tym razem ta płomienność łącznie z dość żałosnymi motywami robiła wrażenie popłochu. Po nim zabrał głos Hołówko, który powtórzył to samo, w znacznie jednak wstrzemięźliwszej formie. Poprosiłem o głos. Powiedziałem dosłownie kilka zdań, stwierdzając, że jeśli poprzedni mówca mówił ze zgrozą o lejcach, które mogą wypaść z rąk, ja wolałbym je raczej rzucić na wiatr, za jedyną bowiem rzecz Polsce w tej chwili potrzebną uważam wielki hebel, który by zdarł z drzewa narodowego wszelką pleśń i zmurszałość, wydobywając na wierzch zdrowy rdzeń. Przyznaję dziś ze skruchą, że było to tak brutalne, jak gdybym cisnął kamieniem w piękne, wiszące na ścianie lustro, ale efekt był nadzwyczajny: dostojni panowie, słuchający dotychczas z pogardliwą obojętnością czynionych im propozycji, ożywili się nagle i przemówili; pewien siwiutki staruszek zawołał żałośnie: „Jak to! to ja mam być heblowiną, dziękuję bardzo". Zebranie, jak tyle innych, rozeszło się z niczym. Proponowano jeszcze jakąś komisję do ułożenia zasad zjednoczenia i chciano mnie do niej wciągnąć, ale odmówiłem kategorycznie, wiedząc z góry, że to będzie fikcja z grzeczności.

W ogóle miałem już dosyć tych inteligenckich nieodpowiedzialnych rozmówek. W tych właśnie czasach i z tych właśnie powodów wystąpiłem z Partii Niezawisłości i wstąpiłem do utworzonego rok przedtem Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie". Czyniłem to nie bez obawy, będąc bowiem z pochodzenia mieszczuchem nie wiedziałem, czy potrafię zżyć się z nowymi towarzyszami i być dla nich zrozumiały. Obawy te na szczęście okazały się płonne. Robota była ciężka z początku, było bowiem bardzo mało ludzi do pracy kierowniczej i nie mieliśmy wcale środków nieodzownych przy tego rodzaju robocie. Czuliśmy za to jakiś apostolski żar w sobie i atmosferę, która coraz bardziej rozgrzewała nieuświadomione dotychczas masy. To też werbunek członków szedł coraz

łatwiej, choć mówić do zagadkowo milczącego tłumu w obcej okolicy, niekiedy w obecności żandarma niemieckiego, było rzeczą trudną.

Na szerszym terenie ponieśliśmy stratę przez przymusowe zamknięcie „Biuletynu", Niemcy bowiem oświadczyli, że dłużej tego wydawnictwa nie ścierpią a przejście nad ich żądaniem do porządku dziennego groziłoby Szpotańskiemu co najmniej obozem jeńców. 12-go maja 1917 r. wyszedł ostatni, setny numer „Biuletynu" ale już 15-go maja ukazało się tego samego formatu i typu pisemko „Chwila" a kiedy po dwóch numerach trzeba było je także zawiesić, ukazało się „Z dnia", którego wyszło dwadzieścia kilka numerów (ostatni już po moim aresztowaniu).

W zamian za to przybył tygodnik (?) „Rząd i Wojsko", organ Polskiej Organizacji Wojskowej i sfer legionowych. Pismo powstało z inicjatywy Sławka, Adam Skwarczyński był pierwotnie sekretarzem redakcji, później redaktorem, głównymi współpracownikami byli Hołówko i Hugo Kaufman a ja redaktorem pierwszych 11 numerów; nie pamiętam, dlaczego później ustąpiłem, bo różnice ideologiczne były jeszcze wówczas między nami znikome a różnice taktyczne dopiero się zarysowywały.

W sumie wszystko to razem było ciężkie i chaotyczne przy całkowitej niemal niemożności działania, przy sprawie wojska, która się wysuwała coraz bardziej już nie na pierwszy plan, ale jako wyłącznie ważne zagadnienie, którego nie można było ruszyć z miejsca. Czuło to całe społeczeństwo, czuła i Tymcz. Rada Stanu, szukająca z tym społeczeństwem coraz usilniej kontaktu, choćby przez zapraszanie na posiedzenia swoich komisji osób prywatnych. Ale już było za późno: dokonały się pewne fakty, utrwaliły się pewne przekonania, które do porozumienia nie dopuszczały. Po jednym z takich posiedzeń, które czułem się zmuszony przed końcem opuścić, wystosowałem do Marszałka Koronnego list, powtórzony w naszej prasie, w którym tłumaczyłem powody swojego usunięcia się (p. str. 221). Tylko na dole rosły coraz potężniej siły, które czekały swojego głosu.

Na to całe kłębowisko nieporozumień, wzajemnej nieufności i niechęci padła jak grom wieść o aresztowaniu Piłsudskiego i Sosnkowskiego. Wrażenie było ogromne, bo stało się widocznym, że w grze padają już bardzo wielkie stawki.

Odruchowo powstało nowe ciało pod jakąś osobliwą nazwą: Komitet Ocalenia czy Komitet Obrony. Osobliwa była nie tylko nazwa, lecz i organizacja, skład osobowy bowiem tego komitetu nieznany był nawet

zarządom stronnictw, chociaż przyrzekły one poddać się jego dyrektywom. Na pewno pamiętam z jego uczestników tylko Bronisława Ziemięckiego, i Tadeusza Hołówkę. Życie tego ciała było dość krótkie a działalność znikoma.

Z tym wszystkim zaczynało mi w Warszawie być ciasno: coraz częściej ostrzegano mnie, żebym Niemcom nie lazł w oczy i czasami po kilka dni z rzędu nocowałem u przyjaciół, ale oni przyszli właśnie wtedy, kiedu znudzony tym tułaniem się zamierzałem przespać się w domu.

W Modlinie. Któregoś lutowego wieczora 1918 r. zgłosiło się do mojego mieszkania dwóch nieopisanie obmierzłych parszywców, którzy okazawszy legitymacje tajnych ajentów niemieckiej policji polowej odprowadzili mnie na odwach przy ówczesnym Saskim Placu. Stary, posępny klucznik odebrał mi jakiś niewinny scyzoryk, posłał na ziemi matę, rzucił na nią koc, klucz zgrzytnął w zamku — i zostałem sam. Nie licząc aż nadto co prawda częstych aresztów szkolnych, byłem uwięziony po raz pierwszy, nic dziwnego więc, że cały następny dzień latałem po swej małej celce jak wściekły. Trzeciego dnia zażądałem zaprowadzenia mnie do szefa policji wojskowej, por. Schultzego. Kiedy stanąłem przed obliczem tego dygnitarza, zapytałem go wręcz, za co mnie kazał aresztować. Odpowiedział, że o tym wiem na pewno tak dobrze jak on, a kiedy nalegałem, poradził mi nie robić zbytecznych kwestii, bo się to może skończyć sądem wojskowym. Trzeba było wracać z niczym do celi — tyle, żem sobie kupił papierosów. Po paru dniach przewieziono mnie do Cytadeli, gdzie ku mojemu oburzeniu przebrano mnie w jakieś łachmany aresztanckie i odprowadzono do celi, którą miałem zajmować z jakimś starszym już Żydem, aresztowanym za szmugiel. Klucznik wypytał mnie starannie na wstępie, kim jestem w cywilu, a dowiedziawczy się, że jestem redaktorem, zapytał rzeczowo: „A ile taki Redakteur zarabia?" Zaczęły się ciężkie dni. Zimno w celi, brutalny rygor, nieznośne towarzystwo, ohydne jedzenie (rano i wieczorem odwar z liści buraczanych, w południe brukiew z bardzo nikłymi śladami tłuszczu), 10-minutowy spacer mogły doprowadzić do melancholii. Zarządzający więzieniem porucznik, drewniana żołdacka figura, nie uprzyjemniał pobytu. Nawet kiedy po paru tygodniach nie wiem dlaczego złagodniał, rozmowy nasze przypomniały Ollendorfa: „Czy tu panu jest zimno? — Tak, tu jest zimno. — Bardzo zimno". Najprzyjemniej było, kiedy wcale nie przychodził. Raz jeden dopuszczono mnie do rozmowy z żoną, ale w tych warunkach, w kancelarii więziennej ta

parominutowa rozmowa nie była przyjemnością. To też z prawdziwą rozkoszą posłuchałem po 3 tygodniach polecenia, żebym się ubrał w swoje ubranie i udał się z konwojującym mnie żołnierzem do obozu dla jeńców cywilnych w Modlinie.

Tam przyjęto mnie okrzykami radości, nie dlatego, żeby się cieszono z mojego aresztowania, tylko że nowy towarzysz to bądź co bądź rozrywka w nudzie, póki się nie opatrzy. Znajomych istotnie znalazłem tu sporo. Nakarmili mnie jeszcze tego dnia trzy razy kaszą, której nie cierpię, pokazali miejsce na pryczy do spania — i zaczęły się nieskończone gawędy.

Uwięzionych było około 100 osób, podzielonych na grupy-komuny: esdeków (Rotstadt czyli „Krasny", Kowalski, Kanneberg, Rudnicki, Lande i in.), PPS Lewica (Józef Ciszewski), i prawica (Barlicki, Bugajski), Poale-Sion, Bund i P. O. W. (Adam Skwarczyński, po paru dniach Sławek itd.). Przyłączyłem się do grupy P. O. W. Później zaczęli przybywać coraz to nowi więźniowie, tak że w październiku samych esdeków było już przeszło 90.

Warunki życia były tu niepomiernie lepsze niż w Cytadeli. Gotowaliśmy sami z dostarczonych przez Niemców produktów, co prawda lichych i skąpych, ale wolno było otrzymywać paczki żywnościowe; dopiero kiedy za karę wstrzymano odbieranie paczek i skazani byliśmy na odżywianie się twardą jak kamień peluszką, zaczął się czas głodowy.

Gorsza była nuda. Ścinało się i rąbało drzewa, skrobało kartofle, gotowało w kuchni, prało bieliznę, grało w „klipę", utrzymywało w porządku ogródek, a przede wszystkim gadało bez końca, ale wkrótce to wszystko obmierzło ponad wszelką możliwość wytrzymania. Kiedy idąc do kąpieli widziało się rzekę i daleko łąki nadrzeczne, skoczyło by się w dół, choćby się miało nogi przy tym połamać. A przecież towarzystwo było jak na owe czasy dobrze dobrane: w pokoju, w którym sypiałem, mieszkali: Walery Sławek, Adam Skwarczyński, Antoni Remiszewski, późniejszy wojewoda łódzki, Wacław Jędrzejewicz, Krzewski-Lilienfeld. Dużo czytałem, próbowałem przetłumaczyć Jellinka „Naukę o państwie", ale wszystko to nic nie pomagało.

Trochę też z nudów, trochę dla zasady zaczęliśmy się przygotowywać do zbiorowej ucieczki. Koło domu, w którym mieszkaliśmy, stał niewielki budynek, mieszczący 4 kuchnie i 4 pod nimi piwnice; budynek ten stał w pobliżu ogrodzenia i trzeba było tylko wykopać tunel podziemny, żeby się już znaleźć na polu kartoflanym, blisko od szo-

sy, wzdłuż której w dole płynęła Wisła. Rzecz w zasadzie prosta, ale trudna przez to, że pomimo najusilniejszych poszukiwań zdołaliśmy znaleźć tylko jedną łopatkę saperską i jeden mały pilnik. Zostałem wybrany komendantem tych prac, ja, który widziałem raz w życiu tylko kopalnię galmanu w Olkuszu. Podzieliłem całą naszą grupę P. O. W. na czwórki, z których jedna była komenderowana do pracy, a po dwóch godzinach następowała zmiana, przy czym drzwi do kuchni zamykałem na klucz i chowałem go do kieszeni. W piwniczkach był betonowy mur i skrobanie go pilnikiem nie dawało żadnego wyniku. Wyłamałem z balustrady na schodach gruby słupek z lanego żelaza, na którym poręcz była oparta, i kazałem bić w mur, ale czyniło to nieznośny hałas a wartownik stał tuż koło kuchni. Kiedy spostrzegłem, że zaczyna się z niepokojem przysłuchiwać jakimś dziwnym stukom idącym nie wiadomo skąd, wnet zjawiało się paru żartownisiów, którzy opowiadali mu doskonałe kawały, potem grzmiący chór, wreszcie całe podwórze zaczynało się kłócić, krzyczeć albo rąbać drzewo. Mimo iż dziennie pracowało 5—6 zmian, przebicie muru trwało dwa tygodnie. Teraz trzeba było kopać tą jedyną łopatką. Tunel miał mieć 110 cm. wysokości i 70 cm. szerokości, więc trzeba go było podbijać deskami i stemplować słupkami; deski braliśmy z naszych łóżek, słupki przynosiliśmy z roboty. Trzeba było światła, bo trudno było prosić Niemców o założenie nam elektryczności. Przedstawiliśmy im, że ulubioną polską potrawą jest kasza na wołowym łoju i dostaliśmy łój, z którego zrobiliśmy świece. Ale to światło gasło już na trzecim metrze, trzeba więc było skonstruować dmuchawkę kręconą korbą, którą wpychało się powietrze w głąb. Męczące było wynoszenie wykopanej ziemi czołgając się w tunelu, zbudowało się więc wózki i drewniane szyny do wywożenia jej. Na 10-ym metrze mimo wszystko było tak duszno, że praca nie mogła trwać dłużej niż godzinę.

Pewnego dnia o mało co wszystko nie poszło w diabły. Komendant obozu, zniemczony Polak Magnuszewski (?), dość niezłe człeczysko, choć krzyk z niego i pogróżki wychodziły tak łatwo, jak sodowa woda z syfonu, chciał zajrzeć do kuchni. Zamknięte. Woła sierżanta i pyta, dlaczego zamknięte: Nie wiadomo. — Przynieście klucz. — Nie ma klucza. — Otworzyć wytrychem. Że to wszystko trwało dość długo, poszedł sobie wreszcie znudzony do kancelarii. Drzwi otwarto, sierżant zniknął w środku. A mnie zimny pot wystąpił na czoło na myśl, że tam przecie czterech naszych ludzi siedzi pod ziemią. Ale sierżant

po chwili wyszedł, otrzepał ubranie i pocłapał flegmatycznie na odwach. Co się stało? Po prostu, kiedy wszedł i zajrzał w dół do ciemnej piwnicy, otwór do tunelu był zakryty drabiną a przy tym było tak ciemno, że nie dostrzegł go. Trochę go zaintrygowała duża ilość piasku na podłodze, ale mu ktoś wytłumaczył, że to szczury gryzą deski i pozostawiają trociny. Nie chciało mu się schylić i wziąć tych trocin do ręki. W tym okresie wojny już się nic Niemcom nie chciało. Nareszcie podkop był skończony — 16 metrów, 1 metr poza linię drutów.

Pozostały już tylko ostatnie przygotowania. Za pomocą „grypsów" poleciliśmy Warszawie, aby była gotowa wysłać we wskazanym dniu kilka łodzi na brzeg Wisły (miało nas być razem z kilkoma ludźmi z P. P. S. około 40-u). Poza tym trzeba było paszportów, przynajmniej dla kilku z nas. Na jedno z widzeń żona przyjechała z naszym synkiem i podczas kiedy chłopak zabawiał Niemców pokazywaniem im fotografii, wsunęła mi do kieszeni sześć niemieckich paszportów na fikcyjne nazwiska zameldowane przy fałszywie podanych ulicach, ale z naszymi autentycznymi portrecikami. Wszystko więc już było gotowe, kiedy nagle Niemcy zaczęli zwalniać niektórych jeńców. Zwalniano ich wprawdzie bardzo niewielu, wstrzymałem jednak wyznaczoną już ucieczkę, bo w razie doprowadzenia jej do skutku dalsze zwolnienia przerwałyby się automatycznie. Niestety, jeden z młodych peowiaków nie wytrzymał próby karności i uciekł na własną rękę przez druty, korzystając z nieuwagi wartownika. Zwolnienia oczywiście wstrzymano, zbiega wykluczyliśmy z P. O. W. i spotkałem go dopiero po bitwie pod Surażem ciężko rannego w brzuch, kiedy już nie czas był na dawne rekryminacje.

Pomimo niedoprowadzonego do końca zamiaru czuliśmy, że to już długo nie potrwa. Pełniłem wówczas czynności lektora, tj. wlazłszy na stół odczytywałem co dzień głośno jedną z gazet. Jakimże szalonym wybuchem entuzjazmu powitaliśmy wiadomość o zabiciu na ul. Smolnej w Warszawie w biały dzień naszego prześladowcy, szefa niemieckiej tajnej policji, Schultzego. Nareszcie potrafiliśmy nie tylko pokazywać zęby, lecz ugryźć, i to dobrze ugryźć, bo na różnych łazików niemieckich, którzy się tak bezpiecznie czuli w Zivil-Verwaltung warszawskim, padł blady strach.

Potem lektor i jego słuchacze musieli przeżyć jeszcze kilka ciężkich dni podczas ostatniej ofensywy niemieckiej na Marnę. I wreszcie odwrót państw centralnych. Nie od razu zdaliśmy sobie sprawę, że to

już koniec nie tylko naszego siedzenia za drutami, ale wielkiej tragedii świata. Stawało się to jednak coraz bardziej widoczne i nie można się było doczekać chwili, kiedy poczta przynieść miała nowe krzepiące wieści z frontu.

Któregoś dnia odczytałem ochrypłym ze wzruszenia głosem: Rada Regencyjna zażądała od kanclerza Rzeszy, Maksa Badeńskiego, zwolnienia Piłsudskiego, Grabskiego i Thugutta. Jeszcze męczące oczekiwanie do jutra, wizyty Niemców, którzy mnie przychodzili oglądać, jak osobliwe zwierzę w klatce, ostatnie pożegnanie 3-krotnym „hurra" — i byłem w domu.

W przededniu. Warszawa była już w stanie wrzenia. Klęska Niemców była tak samo niewątpliwa, jak potrzeba organizowania kraju, żeby po ich wyjściu nie wpadł w chaos. Nie szło to jednak tak łatwo, jak by było potrzeba. W parę dni po moim powrocie odbyło się w wielkiej sali Tow. Higienicznego wspólne posiedzenie wszystkich stronnictw polskich, na którym jednak nie wyszło się poza deklamacje. Jedynym faktem konkretnym, który też zrobił ogromne wrażenie, była wspólna deklaracja Witosa i moja o zamierzonym połączeniu naszych stronnictw. Przed otwarciem posiedzenia zwrócił się do mnie p. Świeżyński zapytując, czy wziąłbym udział w jego gabinecie, na co odpowiedziałem raczej przecząco.

W parę dni potem miałem dłuższą rozmowę na temat współdziałania z jednym z najszanowniejszych przywódców endencji, dr. Zbigniewem Paderewskim, który twierdził, że nie widzi żadnych istotnych dzielących nas różnic, endecja bowiem gotowa jest zgodzić się na najszerzej pojętą reformę rolną, aż do wywłaszczenia włącznie. Rozmowa nie miała charakteru obowiązującego, a przyznam się, nie bardzo wierzyłem w możność dotrzymania tych obietnic ze strony Paderewskiego. Rozeszliśmy się z niczym a wkrótce potem powstał rząd Świeżyńskiego, złożony z samych członków lub sympatyków Międzypartyjnego Koła Politycznego. Niebawem przybył do Warszawy brygadier Śmigły, który w nowopowstałym rządzie miał pełnić zastępczo do chwili przybycia do kraju Kom. Piłsudskiego czynności ministra spraw wojskowych. Śmigły gotów był przyjąć propozycję, pod warunkiem jednak, że przedstawiciele lewicy wejdą do rządu Świeżyńskiego.

Rozmowa w tej sprawie odbyła się tegoż dnia w mieszkaniu p. Zygmunta Chrzanowskiego, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Z naszej strony oprócz brygadiera wzięli w niej udział: Artur Śliwiński

i ja. Po dość długim czekaniu ukazał się bardzo sztywny gospodarz, pytając uprzejmie lecz chłodno, czego sobie życzymy. Odpowiedziałem równie chłodno, że my osobiście niczego sobie nie życzymy, przyszliśmy zaś na prośbę brygadiera omówić wspólnie jego propozycję. Nie odrzucamy jej w zasadzie od razu, musimy jednak zaznaczyć, że pierwszym warunkiem naszego wstąpienia do rządu byłaby jego zupełna niezależność w samej już nominacji od Rady Regencyjnej, składającej się wprawdzie z porządnych i poważnych ludzi, ale noszącej na sobie piętno grzechu pierworodnego — nominacji przez okupantów. Uwaga ta nieco zakłopotała p. Chrzanowskiego, na oświadczenie zaś, że moglibyśmy wziąć udział w rządzie tylko w razie otrzymania w nim istotnego wpływu, odrzekł, że teki są rozdzielone, ale można by stworzyć jeszcze jakieś 7 miejsc w gabinecie, byłyby to jednak miejsca ministrów bez teki. Wyszliśmy z przeświadczeniem, że jednak z tego nic być nie może.

Z tym marnowaniem wieczorów było oczywiście jak zawsze w Polsce gorzej niż źle. Ziemia parzyła już stopy a gadanie — mądre, subtelne, sięgające dna spraw — aż się przelewało przez brzegi i z reguły kończyło się niczym. Kiedyś w tych właśnie czasach przyszedł do mnie Teofil Kurczak, chłop z Łowickiego, znany działacz, później poseł, i prosił, żeby go zaprowadzić na jakieś zebranie. Poszliśmy, ale kiedy koło 4-ej nad ranem schodziliśmy ze schodów, słyszę, że mój Kurczak klnie i coś mruczy pod nosem. „Co wam jest?" — pytam. — „Ja bym ich konie, psiakrew, posłał pasać, to by się nagadali do syta". Pomyślałem, że rada zła, bo konie poszłyby w szkodę, a kto by potem płacił.

W tym też jakoś czasie, bodaj że już po rozmowie z Chrzanowskim, odbyła się kiedyś długa gawęda z kilkoma młodymi oficerami z otoczenia bryg. Śmigłego (pamiętam tylko Miedzińskiego i Dreszera). Byliśmy wszyscy najgłębiej przekonani, że niezależny od nikogo rząd powinien powstać jak najrychlej, ale na współpracę z prawicą nie chcieliśmy się zgodzić, sądząc, że cała ta koalicja zawali się w opinii ludowej od pierwszego dnia. I tu się skończyło na niczym.

W tym stanie rzeczy odbył się w Warszawie kongres Str. Lud. „Wyzwolenie", oczekiwany z wielkim naprężeniem. Pomimo trudności komunikacyjnych i przepustkowych sala Tow. Higienicznego wypełniona była po brzegi, w kuluarach pełno dziennikarzy i wyższych urzędników rządowych wyczekiwało na uchwały. Ton od początku był ostry. Pomimo względnie spokojnych referatów Poniatowskiego i mojego sala drżała z pasji z trudem hamowanej. O rządzie wspólnym z endekami nie chcia-

no nawet słyszeć. Po przerwie południowej pierwszego dnia wróciwszy na salę zastałem Kurczaka nawołującego do natychmiastowego wyjścia na ulicę i zaatakowania Niemców; trzeba było użyć wysiłku i rzucić cały swój autorytet na szalę, żeby powstrzymać szaleństwo. Uchwalono tylko odmowę rekruta i podatków i temu już nikt nie potrafiłby się oprzeć.

Wieczorem 1 listopada odbyła się u Śliwińskiego narada wojskowych i cywilnych działaczy lewicy w obecności brygadiera. Padło wezwanie natychmiastowego tworzenia rządu w Lublinie, tworzenia samym, bez oglądania się na nikogo. Wniosek przyjęto prawie jednomyślnie.

Nazajutrz w południe wyjechaliśmy do Lublina. Na dworcu w Dęblinie przy przesiadaniu do austriackiego pociągu jeszcze nas jakiś dziad w mundurze zwymyślał, że niewłaściwą drogą idziemy. Zacinaliśmy zęby: poczekaj, dziadu, jeszcze parę dni.

CZĘŚĆ III

W wolnej Polsce

Rząd Lubelski. W Lublinie — jak gdyby kto dekoracje zmienił w teatrze. W mieście — powiedziano nam — zupełny rozkład, zwłaszcza, że wszystkich więźniów wypuszczono na wolność, zorganizowana jest jedynie endecka straż obywatelska, oddziały wojskowe austriackie złożyły przysięgę albo rozlazły się do domów, P. O. W. niegotowe a komendant jego, por. Zdanowicz umierający, batalion Wehrmachtu uformowany przy Niemcach i będący na usługach Rady Regencyjnej idzie na Lublin. Zdumieliśmy się nieco, jak dużo rzeczy odmienić się może w ciągu 24 godzin, ale cóż było robić — odłożyliśmy zebranie na później i rozeszli się.

Zaraz o paręset kroków od miejsca zebrania spotykam na Krakowskim Przedmieściu kompanię żołnierzy austriackich idącą w pełnym rynsztunku środkiem ulicy. I oto odgrywa się scena, jakiej można być świadkiem tylko na bardzo osobliwych nawrotach historii. Z chodnika wyskakuje na środek jezdni dwóch brzdąców z 4-ej lub 5-ej klasy. Stanęli na wprost maszerującej kompanii i jeden z nich przeraźliwym dyszkantem wrzasnął: „Stać!". — Stanęli. „Złożyć broń!". — Złożyli. — „Rozejść się!". Rozeszli się a wtedy malcy, załadowawszy broń na dorożkę, odjechali ze swoją zdobyczą. Pomyślałem, że władza nie tylko leży tu na bruku, ale pcha się w ręce.

Stamtąd poszedłem na ul. Początkowską 24 (?) do komendy P. O. W., gdzie mnie przyjął zastępca komendanta, Konrad Puszczyński, smukły chłopak o zdecydowanym, chwilami trochę drapieżnym wyrazie twarzy. Pokazał mi swoje zapasy: kilkaset karabinów ręcznych, 48 maszynowych (do jednego co prawda tylko miał obsługę), granaty ręczne, amunicję. Oglądałem to w milczeniu, a na pożegnanie młody wojak, który najwidoczniej znał mnie ze słyszenia, wybuchnął z pasją: „Na miłość

Boską, nie oglądajcie się na nikogo, zaczynajcie". — „Chłopi przyjdą?". — „Na jedno słowo stanie ich tu 10.000. Tylko zaczynajcie".

Poszedłem znów łazić po ulicach, przepełnionych ludźmi, jak gdyby czegoś wyczekującymi, pełnymi nerwowego lęku. Sprawa wydawała mi się prostą i łatwą, ale kiedy koło 5-ej po południu dowiedziałem się, że przysięga Radzie Regencyjnej została w imieniu wojska złożona, nastąpiła znowu gruntowna zmiana dekoracji. Należało właściwie wracać do Warszawy, ale zacięliśmy się w uporze, czekając nie wiadomo na co. Nie chcieliśmy naśladować garści inteligencji warszawskiej, która przybywszy wieczorem i pokręciwszy się po kawiarniach, wróciła bezzwłocznie z powrotem.

Swoją drogą sytuacja była dość głupia i oczekiwaliśmy z godziny na godzinę aresztowania, ale jakoś nikomu nie chciało się nas aresztować.

Po paru dniach przybył Miedziński, który przywiózł zdumiewającą wiadomość, iż Świeżyński usunął Radę Regencyjną i ogłosił Republikę Ludową. Poza tym doręczył mi jakąś gazetę warszawską, z której dowiedziałem się, że przedstawiciele lewicy, pp. Artur Śliwiński i Feliks Perl, zgłosili się do Rady Regencyjnej, zwracając jej uwagę na konieczność mianowania ze względu na nastroje mas rządu społecznie radykalnego oraz wysuwając jako kandydatów na stanowisko premiera Witosa albo mnie. Przyznam się, że schwyciłem się za głowę: lewica, która wysyła nas do Lublina dla obalenia Rady Regencyjnej i równocześnie chce się u tejże Rady wystarać dla mnie o stanowisko premiera, to już trochę za dużo dla mojego dosyć prostolinijnego umysłu. Na szczęście Hołówko, który przybył nazajutrz, zdementował przynajmniej pierwszą z tych wiadomości: okazało się, że to nie Świeżyński usunął Radę Regencyjną, lecz wręcz przeciwnie — przy pierwszej oznace samodzielności Rada zmusiła go do ustąpienia. Zapytany o interwencję lewicy u Rady Regencyjnej machnął tylko ręką.

W każdym razie te wiadomości ruszyły nas z martwego punktu. Omówiliśmy z Hołówką zasady Manifestu, od którego rozpoczęliśmy swoje wystąpienie, przy czym powierzono Hołówce zredagowanie tekstu i ostateczne uzgodnienie go ze mną. Potem nastąpił podział czynności w rządzie, w którym zostałem ministrem spraw wewnętrznych przy premierze Daszyńskim. Przy rozdziale tek okazało się, że „Wyzwolenie" ma o jednego kandydata za dużo, chcieliśmy bowiem ściśle obserwować równą ilość tek w rządzie P. P. S. i „Wyzwolenia". Zawiesiliśmy posiedzenie i poszedłem przejść się dokoła pomni-

ka Unii z Nocznickim i Stolarskim, z których jeden musiał się właśnie okazać owym nadliczbowym kandydatem. Sprawa wydała mi się bardzo kłopotliwa a rozstrzygnęła się bardzo prosto. W pewnej chwili zwrócili się obydwaj do mnie z prośbą, abym jednego z nich według własnego uznania zgłosił jako naszego kandydata, im samym bowiem trudno jest dokonać wyboru. Pomyślałem dłuższą chwilę i odrzekłem, że obydwaj wydają mi się jednakowo godni szacunku i uznania za swoją pracę ludową, ale Nocznicki jest starszy i... niech pan Błażej zaczeka do następnej okazji. Wyrok został przyjęty przez obie strony z najzupełniej pogodną twarzą, bez cienia żalu i bez nadmiernej uciechy. Ileż razy przypominałem sobie potem tę rozmowę, kiedym patrzył na pozbawione wstydu i przytomności walki między najbliższymi przyjaciółmi o portfel.

4-go listopada 1918 r. przyjechał z Krakowa Wojtek-Malinowski, który z pewnym wyrzutem zapytał nas, na co czekamy, skoro w Krakowie wszystko, od wojska zaczynając a kończąc na przywódcach partyjnych, czeka tylko, abyśmy dali hasło. Daszyński, Witos i Stapiński przyjadą tu lada chwila, ale proszą, żeby na nich nie czekać i ogłosić ich podpisy jako członków rządu. Zapytałem kilkakrotnie, czy dotyczy to także Witosa, i zawsze otrzymywałem twierdzącą odpowiedź. Nieodległa przyszłość pokazała, że w ten sposób stałem się mimowolnym fałszerzem.

Dnia 6-go wieczorem było już wszystko gotowe. Udałem się z ulicy Namiestnikowskiej, gdzie była nasza główna kwatera (u pp. Kunickich), na Krakowskie Przedmieście do Hołówki. Uzgodniwszy ostatecznie tekst poszedłem z powrotem na Namiestnikowską. Chcąc skrócić drogę poszedłem ul. Szopena, ale nie znając dobrze miasta zabłądziłem gdzieś w jakieś puste zupełnie opłotki. Ze wszystkich stron słychać było strzały, co gorsza zaś, nie miałem przepustki, bez której nie wolno było po 9-ej chodzić. O mało co groźny zamach nie skończył się farsą.

Koło g. 4-ej w nocy udaliśmy się do koszar, w których Downarowicz wygłosił krótkie przemówienie i pozyskał dla nas żołnierzy. Kiedyśmy o świcie wyszli na miasto, mury oblepione już były naszym Manifestem. Równocześnie w hotelu Victoria aresztowano dowodzącego garnizonem lubelskim generała, Hołówko zatrzymał w domu do dalszej dyspozycji delegata Rady Regencyjnej, Zdanowskiego, a Sieroszewski, udawszy się na drugą stronę Bystrzycy do przysłanego na poskromienie buntu batalionu Rady Regencyjnej, skłonił go do poddania się zwierzchnictwu nowego rządu. Wczesnym rankiem już było wszystko skończone.

Udaliśmy się na plac Katedralny dla złożenia i odebrania przysięgi; była tam już garść wojska, która od razu poszła za nami, endecka Straż Obywatelska, Milicja Ludowa i sporo ludzi. Brakowało tylko batalionu, pozyskanego w nocy przez Sieroszewskiego. Czekaliśmy na niego tak długo, że sytuacja zaczęła się stawać całkiem niewyraźna; nie wiadomo było, czy za chwilę batalion wkroczy na plac dla złożenia przysięgi, czy ostrzela nas z karabinów maszynowych. Ale oni tylko stroili się na paradę. W ostatniej chwili musiałem jeszcze ułożyć rotę przysięgi, którą później nie bez słuszności wyśmiano, bo była tam mowa o Bogu Najwyższym, podczas gdy Bóg jest jeden. Zaraz po przysiędze udałem się do p. Zdanowskiego, żeby mu oświadczyć, że jest całkowicie wolny. Był wyraźnie zestrachany i wściekły, doręczył mi jednak listę mianowanych w ostatnich dniach starostów w okupacji austriackiej. Niestety, mogłem z niej zużytkować tylko jedno nazwisko, potrzebowaliśmy bowiem ludzi pewnych. Tego jeszcze dnia musiałem mianować 32 starostów w okupacji austriackiej i tyluż sekretarzy starostw. Znałem w tamtych stronach bardzo niewielu ludzi, zmuszony ponadto byłem podpisać przedłożoną mi listę w ciągu godziny, bo czas naglił. Nic dziwnego, że przy tej okazji popełniłem dużo błędów, ale krytyka tych nominacji nie zawsze była sprawiedliwa. Powrócę do tego jeszcze przy późniejszych nominacjach warszawskich. Co do Zarządu Centralnego wszyscy urzędnicy Polacy generał-gubernatorstwa lubelskiego oddali się do naszej dyspozycji, z tym tylko zastrzeżeniem, że usunięty ze służby zostanie ich szef. Musiałem się na to zgodzić — pan ten zresztą został później wysokim dygnitarzem w służbie polskiej.

Po obiedzie tego dnia przyjechali Daszyński, Witos i Stapiński, ten ostatni z ciężko na jakimś szlabanie rozbitą głową. Wieczorem odbyła się pierwsza Rada Ministrów. Zaproponowałem, zgodnie zresztą z poprzednim układem, Ignacego Daszyńskiego na premiera czy jak się to wówczas nazywało, prezydenta rządu. Potem przeprosiłem Witosa za samowolne umieszczenie jego nazwiska pod naszym Manifestem, tłumacząc się błędnymi informacjami. P. Witos nie zgłaszał z tego powodu pretensji, ale wejście swoje do rządu uzależnił od zaproszenia do naszego grona przynajmniej jednego endeka albo osoby miłej endekom. Propozycja ta została odrzucona, po czym p. Witos opuścił pokój obrad i Lublin. Posiedzenie odłożono do jutra, przy czym zapowiedziałem wniesienie projektu ordynacji wyborczej.

Na drugi dzień rano zacząłem urzędowanie. Pierwszym interesantem był nieznany mi jeszcze osobiście p. Stanisław Wojciechowski, który przyszedł z F. Jabłońskim, kierownikiem oddziału Związku „Społem" w Lublinie, prosząc o ułatwienie przewozu zamówionych przez spółdzielnię lubartowską towarów. Nie należało to oczywiście do mojego resortu, z największą jednak chęcią udzieliłem żądanej pomocy, wydając nawet glejt upoważniający do swobodnego poruszania się na terenie podlegającym naszej władzy.

Niebawem pojawiły się poważniejsze kłopoty. Pierwszego dnia po powstaniu rządu prasa lokalna jak gdyby zaniemówiła, później jednak zaczęły się ukazywać coraz bardziej uszczypliwe przyczepki i co gorsza, potwornie zniekształcane informacje z kraju i z Warszawy. Zmuszony byłem zaprosić paru redaktorów, zaznaczając, że zgadzam się wprawdzie na krytykę rządu, w najostrzejszej bodajby formie, ale z umieszczaniem kłamliwych informacji rozpocznę najbardziej bezwzględną walkę.

Dn. 10 listopada przechodząc koło Prezydium Rady Ministrów spotkałem wchodzących do samochodu pp. Daszyńskiego i Śmigłego. Na zapytanie, dokąd się udają, Daszyński zawiadomił mnie o przyjeździe Kom. Piłsudskiego i o swoim wyjeździe do Warszawy. Rozumiałem, że wobec tego faktu rząd lubelski stał się nie tylko trudnym do utrzymania, ale i bezcelowym. Sądziłem jednak, że rzeczy, której się z pewnym wysiłkiem dokonało, nie należy pozostawiać na drodze jak starego łapcia. To też postanowiłem na razie pozostać w Lublinie. Po paru jednak dniach przyjechał do mnie Poniatowski, komunikując mi, że Komendant chciałby się ze mną widzieć.

Nazajutrz wyjechałem ze Strugiem i kimś jeszcze do Warszawy. Pod Modlinem wyczerpał się zapas naszych opon samochodowych, siedliśmy przeto do pociągu. Był to pierwszy pociąg polski, który po drodze zabierał Niemców ze stacji. Nie tylko nie znać było po nich żadnego przygnębienia, ale przeciwnie — śpiewy i wybuchy radości trwały do samej Warszawy. Trudno, struna ofiarnego wypełniania twardego obowiązku została już przeciągnięta, nawet wśród tych służbistych ludzi.

Rząd Moraczewskiego. Po złożeniu wizyty Piłsudskiemu w jego chwilowym mieszkaniu przy ul. Mokotowskiej 50 udałem się do pałacu Kronenberga, gdzie toczyły się narady nad sformowaniem nowego rządu. Wielka sala pełna była osób, czasem zupełnie mi nawet nieznanych, z których pewna część przechadzała się w milczeniu oczekując, czy przypadkiem bieg zdarzeń nie obróci się w ich stronę. W pewnej chwili

rozmowa między nami a endekami stała się bardziej rzeczowa. Któryś z endeków, zdaje się Głąbiński, zaznaczył, że jeśli nawet godzą się w zasadzie na poprzedni skład rządu, to sądzą, że p. Daszyński powinien go formować nie dla siebie a dla kogoś innego. Padło nazwisko Moraczewskiego, który zgodził się przyjąć misję, jakkolwiek z wielką niechęcią. Nie było już o czym mówić, bo rzecz cała najwidoczniej ukartowana była uprzednio.

Dalszą trudnością było stanowisko endeków. Zgadzali się dać do rządu trzech przedstawicieli Poznańskiego, na co my wyrażaliśmy zgodę, ale żądali dla siebie teki spraw zagranicznych, co stwarzało trudność niepokonaną. Próżno tłumaczyliśmy, że mając Dmowskiego jako prezesa Komitetu Narodowego i delegata na Kongres Pokoju, mają swój wpływ na te sprawy zapewniony aż nadto dostatecznie; nie dali się przekonać, może dlatego, że w istocie rzeczy nie chcieli wejść do rządu. Sądziłem już i wówczas, że nasz błąd był większy a nasze obawy płonne, ale mojego poglądu nie udało mi się przeforsować.

Inną trudność wytwarzało stanowisko Witosa, który był przeważnie milczącym świadkiem dyskusji i ujawniał żywą chęć wycofania się z gry. Dał się ostatecznie uprosić, ale ani on, ani jego towarzysz, p. Wojda, nie tylko nie brali potem udziału w pracach rządu, ale go dość żywo zwalczali. I tu nie byliśmy bez błędu, jakim było niewciągnięcie jeszcze przed Lublinem do wspólnej walki grupy ludowców z Kongresówki, zbliżonej do Piasta, i Narodowego Związku Robotniczego, który nam później dużo wytwarzał trudności.

Dn. 18-go listopada rząd został mianowany. Zmiany personalne były nieznaczne poza stanowiskiem premiera; ja zostałem ponownie ministrem spraw wewnętrznych, zmienił się tylko wiceminister, którym na miejsce Januszewskiego został Norbert Barlicki; Januszewski wziął szefostwo sekcji. W parę dni później przybył na posiedzenie Rady Ministrów Kom. Piłsudski, żądając uregulowania swojej pozycji prawnej. Obraliśmy go na tymże posiedzeniu Naczelnikiem Państwa, przy czym ujawnił on ochotę być równocześnie ministrem spraw wojskowych, z tym jednak zastrzeżeniem, że na posiedzeniach Rady Ministrów zastępować go będzie gen. Wroczyński.

Parę dni przedtem czy potem wezwał mnie Naczelnik do siebie a po przybyciu poinformował, iż według słów p. Korfantego miałem jakoby w Lublinie oświadczyć p. Zdanowskiemu, że byleby mnie i mojej partii dobrze się działo, gwiżdżę na Polskę. Miałem wrażenie, że dostałem

obuchem w głowę, i zaledwie zdobyłem się na prośbę o konfrontację. Piłsudski zgodził się na to, ale dodał machnąwszy ręką: „To nic nie pomoże, oni będą dalej powtarzać swoje i musicie przygotować się, że będą was chcieli zniszczyć tą bronią". Konfrontacja odbyła się nazajutrz; oświadczyłem na niej, że nawet gdybym był tak podły, iżby coś podobnego pomyśleć, nie byłbym chyba tak głupi, żeby mówić to swojemu wrogowi; w ogóle napiętnowałem to jako podłe oszczerstwo. W każdym razie, gdyby nawet cień wątpliwości pozostał w umyśle Naczelnika, gotów jestem natychmiast podać się do dymisji. Piłsudski żywo zaznaczył, że o niczym podobnym nie może być mowy, a Korfanty i towarzyszący mu Władysław Seyda(?) wyrazili zadowolenie, że sprawa została wyjaśniona. Po ich wyjściu Komendant wyraził opinię, że niepotrzebnie wspomniałem o dymisji — nie należy im takich myśli podsuwać. Na tym rzecz cała skończyła się, nie czas był na sprawy honorowe, a później przyszło tyle nowych rzeczy, żem o tym bezeceństwie zapomniał.

Istotnie wir zajęć, w jaki wpadłem od pierwszego dnia, nie pozwalał mi nawet tchu złapać. W ministerstwie zastałem w charakterze kierownika p. Ustyanowicza, którego prosiłem o pozostanie na stanowisku i zaproponowanie mi podziału pracy. P. Ustyanowicz sądził, iż należało by wyodrębnić zdrowie, ubezpieczenia i jeszcze coś tam — i te sprawy powinienem sobie pozostawić, resztę zaś — bezpieczeństwo, samorząd, wydział prawny, drogi itd. powierzyć jemu. Pochwaliłem podział, wprowadzając tę tylko zmianę, że jemu oddałem zdrowie i ubezpieczenia a resztę pozostawiłem sobie. Po paru dniach p. Ustyanowicz poprosił o zwolnienie, z p. Barlickim zaś dokonałem innego podziału.

Czasy były tak gorące a stosunki tak jeszcze płynne, że o żadnej spokojnej i uregulowanej pracy nie mogło być mowy. Kiedy o 9-ej przychodziłem ze Śniadeckich do biura — aut ministerialnych jeszcze nie było, a tramwaje były zapchane — czekało mnie już 30—40 interesantów, których znaczną część pomimo życzliwej pomocy mojego sekretarza, p. Górskiego, musiałem przyjąć, bo każdy chciał osobiście porozmawiać z obywatelem-ekscelencją. Najmniej groźni byli ci, co mieli jakieś skomplikowane sprawy, bo te odkładałem do przejrzenia albo odsyłałem do któregoś z urzędników według kompetencji; ale kiedy sprawa była tak prosta, że po jednym rzucie oka na podanie mogłem na nim umieścić przychylną decyzję, interesant czuł się zawiedzionym, zaczynał on bowiem dopiero swoją orację; zdarzało się, że trzeba go

było dobrotliwie podprowadzać do drzwi, kiedy indziej diabły i pioruny fruwały w powietrzu. Jeżeli do tego dodać, że dla najbliższych towarzyszy politycznych wstęp do mojego gabinetu był zawsze otwarty, nawet bez meldowania się, i że codziennie niemal odwiedzali mnie delegaci Stronnictwa, do którego nie miałem czasu często chodzić, łatwo zrozumieć, że o 4-ej wychodziłem na obiad już porządnie zmęczony.

O 6-ej trzeba już było być w pałacu Namiestnikowskim, gdzie się codziennie odbywała Rada Ministrów, trwająca czasami do 1-ej w nocy. Potem jeździłem często sam lub z Moraczewskim do Belwederu i o bardzo późnej godzinie mogłem dopiero zabrać się w łóżku do przeglądania najważniejszych chociażby papierów.

W tych warunkach nie miałem zupełnie czasu zająć się organizacją ministerstwa, jakkolwiek uważałem to za rzecz nie cierpiącą zwłoki. W Lublinie objąłem gotowe już do pewnego stopnia biura Zarządu Centralnego, z którymi zresztą nie zdążyłem wejść w żadne bliższe stosunki; w Warszawie ściągałem ludzi skąd się dało, ale w praktyce byli to także przeważnie urzędnicy austriaccy, tj. jedyni Polacy, którzy mieli jakąś rutynę biurokratyczną. Nie mam zamiaru wchodzić tu w porównawczą ocenę różnych systemów biurokratycznych, ale zarówno wówczas jak i dziś skomplikowany, mało oparty na samodzielnej inicjatywie i własnej odpowiedzialości system austriacki nie wydawał mi się najbardziej godnym zalecenia dla Polski. Nie miałem jednak wyboru ani możności zaradzenia złu. Zdarzały się wobec tego smutno-komiczne wypadki. Kiedyś wychodząc na obiad kazałem napisać według pozostawionego brulionu jakiś list i natychmiast odesłać go jako bardzo pilny umyślnym posłańcem. Na drugi dzień o 11-ej dowiedziałem się, że list jeszcze nie wyszedł — gdzieś tam po prostu ugrzązł między registraturą, dziennikiem a ekspedycją. Kazałem się zaprowadzić tam, gdzie on się w tej chwili znajduje, i raz jeden jedyny za czasów swojego ministrowania zrobiłem szewcką awanturę: waliłem pięścią w stół, używałem mało pochlebnych dla otoczenia wyrazów, krzyczałem. Panienki spadały ze strachu z krzeseł, naczelnikowi ślina ciekła po trzęsącej się brodzie. List kazałem sobie natychmiast z gońcem i rewersałem dostarczyć do gabinetu. Powróciwszy do siebie przerwałem audiencje i latałem wzburzony po pokoju. W pewnej chwili stwierdziłem, że minęło już 35 minut — a listu nie ma. Przysiągłem sobie nie robić więcej awantur i zachować się spokojnie, dopóki nie będę miał czasu na zrobienie porządku.

Tego czasu nie doczekałem się, a jak było po mnie — nie wiem; wiem tylko, że będąc zwykłym interesantem w parę lat później, kiedy miałem jakiś interes w ministerstwie, odnosiłem sam listy, korzystając z zaufania, z wydziału do wydziału dla przyśpieszenia spraw. Uczestniczyłem też w różnych komisjach do usprawnienia administracji, ale te ciała chorowały na tę samą chorobę, którą miały leczyć: brak odpowiedzialności i wielojęzyczną gadaninę.

Nie mogę nawet powiedzieć, ażeby podczas urzędowania mojego w ministerstwie bierny opór, który oplątywał mi nogi, był wyłącznie skutkiem sabotażu politycznego. Oczywiście nie brakło i tego i miałem całkowitą świadomość, że się dokoła mnie snuje i czai jakaś ślepa nienawiść, poskramiana tylko strachem; miałem przecież podówczas, choć niesłusznie, opinię polskiego Robespierre'a. Jakże często też zastawałem na swoim biurku eleganckie, pięknym pismem kobiecym zaadresowane liściki, pełne wewnątrz cuchnących wymysłów: wnosząc z treści, były to liściki od moich współpracowniczek. Niektórzy z urzędników przychodzili mnie zawiadomić, że są wręcz odmiennych ode mnie poglądów politycznych i że gotowi są natychmiast ustąpić, jeżeli sobie tego życzę; tych z reguły zostawiałem, jeżeli pełnili służbę nienagannie. Tak np. było z p. Karolem Popielem. Ale byli też i ludzie, którzy mimo istotnie odmiennych poglądów byli mi wielką pomocą przez swoją lojalność i swoje wiadomości. Takim był przede wszystkim Konstanty Sienkiewicz, szef sekcji samorządowej. W codziennych niemal dyskusjach podchodziliśmy do siebie, jak gdyby z dwóch biegunów, i zawsze jakoś zeszliśmy się pośrodku; tam gdzie się tego osiągnąć nie dało, Sienkiewicz ustępował, zaznaczając, że jego rzeczą jest radzić a moją decydować, i nie było wypadku, żeby mnie potem zawiódł w wykonaniu postanowionych spraw. A jednak niczyjej głowy nie domagali się ode mnie moi towarzysze partyjni tak usilnie, jak głowy Sienkiewicza, twierdząc, iż tak zdecydowany jak on konserwatysta nie może nie przynieść nam wcześniej czy później szkody; doszło do tego, że oświadczyłem stanowczo, iż w razie dalszych ataków na Sienkiewicza jego wprawdzie nie zwolnię, ale sam ustąpię z ministerstwa.

A właśnie sprawom samorządu musiałem poświęcać najwięcej uwagi i czasu, pozostawienie bowiem dawnego rosyjskiego ustroju było niemożliwością, a nie można też było pozostawić kraju w stanie zupełnej dezorganizacji. Samorząd wiejski przeszedł jako tako, choć miałem pewne trudności w Stronnictwie z pohamowaniem zbyt daleko idących za-

pędów w tworzeniu zupełnej niemal niezawisłości gminy. W każdym razie to, co się udało stworzyć wówczas w postaci paru ustaw zasadniczych, przetrwało dość długi czas.

Gorzej wypadła sprawa samorządu miejskiego. Nie dowierzając swojej, niewielkiej istotnie podówczas znajomości tych spraw, stworzyłem specjalną komisję z głosem doradczym, złożoną z pp. Drzewieckiego, Suligowskiego, Skulskiego, Berensona i jeszcze paru osób, których nazwisk sobie nie przypominam. Przed rozpoczęciem pierwszego posiedzenia zaznaczyłem, że dla uniknięcia straty czasu wnoszę projekt przygotowany przez poprzednie ministerstwo, ale się z nim nie solidaryzuję i zastrzegam sobie prawo jego krytyki na równi ze wszystkimi obecnymi. Pomimo to p. Suligowski wystąpił przeciwko mnie z gwałtowną filipiką, twierdząc, że projekt ogranicza w najwyższym stopniu prawa obywatelskie i niezgodny jest ze współczesnymi pojęciami o samorządzie. Odpowiedziałem mu spokojnie, że jak zaznaczyłem uprzednio, nie jest to mój projekt a jedynie podkład do dyskusji, a kto z nas dwóch będzie bardziej liberalnym we wnoszonych poprawkach, okaże dalsza dyskusja.

Posiedzeń takich odbyło się kilka i jakkolwiek poprawki swoje starałem się utrzymać w granicach rozsądku i realnych potrzeb miast, ograniczyłem dość mocno ingerencję władzy zwierzchniej. Mimo to p. Suligowski na jakimś zgromadzeniu publicznym, zdaje się właścicieli nieruchomości, wystąpił ponownie w gwałtowny sposób przeciwko moim zamachom na samorząd, czym oczywiście uzyskał szalony poklask, wymyślanie bowiem na Thugutta stało się już wówczas nie tylko modą, ale dla wielu sposobem robienia sobie kariery. Mimo cały pośpiech zdążyliśmy zakończyć nasze obrady już w przeddzień końca działalności rządu ale projekt wniósł na Radę Ministrów dopiero mój następca, p. Wojciechowski. Ten drobny fragment podaję tylko dla odmalowania tła i trudności, wśród których musiałem wówczas pracować. Zdążyłem natomiast przeprowadzić ustawę prasową, która jako tako regulowała ówczesne stosunki prasowe. Przyznaję, że była ona nieco zbyt liberalna i że w drobnej nawet mierze nie chroniła ani rządu, ani zwykłych obywateli. Poza tym trzeba było nieustannie czuwać nad polepszeniem administracji. Tu nie chciałem i nie mogłem zmieniać całego składu osobowego, bo zastałem stanowiska już obsadzone. Starostów zmieniałem tylko wówczas, gdy już jawnie okazywali się niedołężni, pozostawiając nawet endeków, jeżeli sumiennie pełnili swoje obowiązki. Przy

nominacjach nie bardzo pytałem się o kwalifikacje naukowe ani przeszłość służbową kandydata, w tych bowiem na pół rewolucyjnych czasach chodziło przede wszystkim o ludzi, którzy dają rękojmię utrzymania spokoju w powiecie. To właśnie były tak zwane później „ohydne nominacje". W ogóle mianowałem starostami czterech czy pięciu chłopów i robotników, przy czym w dwóch wypadkach zawiedli oni zupełnie położone w nich zaufanie, jeden za to odegrał swą rolę nadspodziewanie dobrze. Było to w Rawie Mazowieckiej, w okolicy mocno rozhuśtanej wypadkami i niemal wyłącznie ludowcowej. Zastałem tam jako starostę na dwa powiaty — rawski i skierniewicki — miejscowego obszarnika, który był tak niepopularny, że kiedyś obrzucono go na rynku kamieniami i trzeba go było bronić przed napadami siłą, której w dodatku miałem do rozporządzenia badzo niewiele. Pozostawiłem go w Skierniewicach a w Rawie mianowałem Michała Gwiazdowicza, który przez wojnę był już trochę obyty w świecie, miał otwartą głowę i wielkie poczucie obowiązku. Niepokoje ustały natychmiast. Przyjechawszy kiedyś do Rawy wezwałem zarząd Związku Ziemian i prosiłem o opinię o Gwiazdowiczu. Odpowiedzią było ponure milczenie, ale kiedym zaczął różniczkować pytania: czy starosta jest bezstronny przy rozstrzyganiu jakichś sporów, czy pilnuje porządku, czy jest pracowity itd., otrzymałem odpowiedź twierdzącą i jedno tylko oskarżenie, że pozwala agitować za ludowcami, choć przyznawali zarazem, że i innym agitatorom pozwala przemawiać, byleby nie nawoływali do gwałtów. Nie, Gwiazdowicza stanowczo się nie wstydzę, choć zdawałem sobie sprawę, że w normalnych czasach trzeba go będzie zużytkować w inny sposób. Oczywiście paru z moich nominatów okazało się notorycznymi durniami, a jednego z zastępców starosty oddałem za nadużycia pod sąd, który go zresztą uniewinnił. Tych oskarżeń z powodu „ohydnych nominacji" przyjąć nie mogłem. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby w przyszłości tego rodzaju zarzuty opierano na konkretnych faktach, nie poprzestając na głosach ogółu, który często baje od rzeczy.

Jeżeli chodzi o mój personel urzędniczy, daleko więcej miałem kłopotów z ciągle powtarzającymi się nadużyciami władzy. Na próżno zwoływałem specjalne zjazdy starostów, na których najgorętszymi słowami, nie bez użycia pogróżek, prosiłem o ścisłe przestrzeganie legalności, spokoju i taktu. Niestety, nie bardzo było wiadomo, co jest legalne, a nerwy wszyscy mieli napięte jak struny. To też co dzień niemal dowiadywałem się o faktach, od których włosy mi stawały dęba na głowie.

Tu starosta jawnie wysłał agitatorów w okresie przedwyborczym, żeby agitowali za rządem, tam wprowadził cenzurę prewencyjną, bo sejmik, z którym wojował, rozkleił przeciwko niemu odezwy na murach; w Zamościu, gdzie pojechałem na inspekcję, posterunek wojskowy chciał mnie, starostę miejscowego i przyszłego marszałka Rataja usunąć z restauracji, bo okazało się, że wprowadzono tam bez mojej wiedzy stan wojenny i zabroniono mieszkańcom po 7-ej wiecz. wychodzić z domów. W drodze do Zamościa na jednej ze stacji jakiś pan w urzędowej czapce wpadł do zarezerwowanego dla nas przedziału 3-ej klasy i na zrobioną mu przez sekretarza uwagę zalecił cierpko, żebyśmy siedzieli cicho, bo on jest miejscowym starostą i może nas odesłać tam, dokąd byśmy pewno nie chcieli jechać; musiałem mu się dopiero przedstawić jako „miejscowy" minister spraw wewnętrznych i prosić o natychmiastowe wyniesienie się z wagonu.

To tylko kilka kwiatków z niesłychanie bogatego bukietu. A przecież równolegle szły nieustające wypadki gwałtów czy przynajmniej namawiań do gwałtów ze strony mas, organizacji, skrytobójczych spisków. Na wiecach zmagali się ze sobą PPS i komuniści, w fabrykach zachodziły wypadki nie tylko czynnego sabotażu, ale więzienia dyrektorów, a nawet czynnego ich znieważania. Z tym walczyłem w sposób najbardziej zdecydowany, uważając, że wszelka słabość doprowadzi nas do owładnięcia rządami przez żywioły skrajne albo do zupełnej anarchii. Dowiedziawszy się, że w Zagłębiu robotnicy wrzucili kilku inżynierów do szybów, udałem się do szefa sztabu, gen. Szeptyckiego, prosząc go o pchnięcie tam możliwie znacznych sił wojskowych, zażądanie wydania sprawców gwałtów a w razie oporu ostrzelanie miejscowości ogniem działowym. Wypadkowi gwałtu z drugiej strony, tj. wymordowaniu w Łapach sowieckiej misji Czerwonego Krzyża, nie zdołałem zapobiec, bo dowiedziałem się o nim już po fakcie. Ten stan nieustającego i wciąż rosnącego wrzenia podtrzymywała a właściwie podjudzała prasa, której wybryki przekraczały już wszelkie dozwolone granice. Szczególnym przedmiotem ataków byłem właśnie ja, jako ten, którego rozporządzenia dotykały bezpośrednio ludność. Z początku zarzucano mi wszelkie zbrodnie, ze szczególnym podkreślaniem wprowadzania komunizmu. Dodatkowym ciężkim zarzutem, który istotnie doprowadzał do wielkiego przeciwko mnie rozgoryczenia, było oskarżenie, że kazałem na godle państwowym usunąć znad głowy orła koronę. Przyznaję, że biorąc rzecz formalnie, rozporządzenie to było nielegalne, jakkolwiek

Rada Ministrów pogodziła się z nim i nawet na projektach pierwszych polskich marek pocztowych orzeł był bez korony. Krótko mówiąc, można mnie było za to oddać pod Trybunał Stanu albo pod Sąd Sejmowy. Na swoje usprawiedliwienie mógłbym przytoczyć to tylko, że orzeł legionowy był również bez korony, a takiego też orła używali na swoich sztandarach powstańcy z 1863 r.

Później akcja została niejako uporządkowana: przyznawano mi, że jestem ideowym działaczem, ale stwierdzano na każdym kroku moją całkowitą nieudolność, krótko mówiąc — głupotę. Chodziło po prostu o zachwianie we mnie wiary w siebie i zmuszenie w ten sposób do ucieczki. Nie było to całkiem głupie, bo chwilami przepracowany, ogłuszony nieustającym dokoła mnie wrzaskiem i pozostawiony w tej walce samemu zastanawiałem się, czy ja naprawdę posiadam wystarczające kwalifikacje na tak odpowiedzialne stanowisko; rozgrzeszałem się tym tylko, że bardzo niewielu ludzi wytrwało by na nim choćby parę tygodni. Zacinałem więc zęby i szedłem dalej, ale szedłem sam. Prasa, bardzo nieliczna zresztą, naszego kierunku nie brała mnie w obronę, najbliżsi współpracownicy, korzystając z moich wyjazdów służbowych, wydawali często zarządzenia całkiem sprzeczne z moimi intencjami, za które później musiałem odpowiadać, Stronnictwo domagało się ode mnie często rzeczy niemożliwych. Na Radzie Ministrów Moraczewski składał mi nieraz w imieniu kolegów podziękowanie, że służę im za piorunochron.

Co prawda z tej właśnie strony przyszło kiedyś całkiem nieoczekiwanie podtrzymanie moralne. Któregoś dnia przyjechał przed samym posiedzeniem Rady Ministrów Piłsudski, który w poufnej rozmowie z Moraczewskim i ze mną mniemał, że rząd wytrwawszy już kilka tygodni dał dowód tym samym, że lewica potrafi rządzić, ale stwierdzał jego wielką niepopularność, dodając, że sytuacja znacznie poprawiłaby się, gdybym ja ustąpił. Nie wszczynaliśmy nad tym dyskusji, ale natychmiast po rozpoczęciu posiedzenia złożyłem na ręce premiera swoją dymisję, prosząc o zakomunikowanie jej Naczelnikowi Państwa. Moraczewski jednak oświadczył, że jeśli ją złoży, to razem ze swoją. Reszta ministrów poparła go i na tym sprawa została skończona.

Ordynacja wyborcza była już uchwalona, Komisarz Generalny wybrany i należało tylko maszynę puścić w ruch. Ponieważ b. Galicja ciągle jeszcze stanowiła jak gdyby oddzielne państwo, postanowiłem dać im dowód zaufania i poprosić rządzącą tam Komisję Likwidacyjną

o przedstawienie kandydatów na zastępcę Komisarza Generalnego i komisarzy obwodowych do spraw wyborczych. Pojechałem do Krakowa, gdzie zostawiłem Daszyńskiemu urzędowe zawiadomienia o wyborach dla rozpowszechnienia ich w mieście, a stamtąd z kilkoma towarzyszami pojechałem do Tarnowa, gdzie tegoż dnia odbywał się zjazd Piastowców. Niektórzy z moich towarzyszy sądzili, że przyczyną niedojścia do porozumienia „Wyzwolenia" z „Piastem" jest zła wola przywódców, chłopi zaś pójdą za nami. Miałem co do tego wątpliwości, ale nie sprzeciwiałem się. Po dość długim oczekiwaniu dopuszczono nas na zebranie, ale gdy przewodniczący Bojko powitał nas jakimś niesmacznym żartem, z sali zaczęły padać coraz bardziej zjadliwe słówka. Powstającą burzę uciszył Witos, który ostro przypomniał, że jesteśmy gośćmi, a komu się nie podobamy, niech się zachowuje przyzwoicie albo natychmiast wynosi za drzwi. Dzięki temu mogłem wygłosić przemówienie, które zresztą nie osiągnęło żadnego skutku, skoro w uchwale końcowej p. Dąbski przeprowadził pogląd, że ilość chłopów ministrów powinna być powiększona w stosunku do ilości chłopów w kraju. Na tej demagogii grzecznie rozstaliśmy się.

Wróciwszy do Krakowa stwierdziłem, że pozostawione przeze mnie obwieszczenia o wyborach spokojnie leżą w kącie i nic nie zostało uczynione dla porozumienia się z miejscowymi czynnikami. Zażądałem zwołania na południe pełnego posiedzenia Komisji Likwidacyjnej i zgłosiłem na nim swoją propozycję. Zaczęła się niesłychana, niewiarogodna dyskusja. Jedni proponowali odłożyć posiedzenie na tydzień (wybory były już za pasem), drudzy obiecywali poparcie(!) pod warunkiem, że okręgi będą jednomandatowe a te czy inne ustępy ordynacji przerobione według ich uznania, jeszcze inni jak zwykle młócili pustą słomę; tylko członkowie PPS, a zwłaszcza Diamand, bronili mnie i mojej propozycji żywo lecz bezskutecznie. Po paru godzinach tej jałowej gadaniny, której jawnym celem była zwłoka, wstałem i oświadczyłem, że propozycję swoją ponawiam, ale w dalszej dyskusji nie będę mógł brać udziału, wkrótce bowiem odchodzi mój pociąg. Jeżeli do pojutrza rano do godz. 10-ej nie otrzymam nazwisk proponowanych przez Komisję Likwidacyjną kandydatów, skorzystam z przysługujących mi uprawnień i mianuję komisarzy sam, zmian zaś żadnych w ordynacji nie będzie. Skłoniłem się i opuściłem zebranie wśród jakiegoś skamieniałego osłupienia, ale na trzeci dzień już o 9-ej stawili się delegaci Komisji Likwidacyjnej z żądaną listą, którą bez zmian zatwierdziłem.

W Warszawie sytuacja dojrzewała do jakiegoś ciężkiego rozwiązania. Ataki prasowe na mnie wzmagały się coraz bardziej, na ulicach ofiarowywano już głośno 500 marek za moją głowę, co oburzało mnie z powodu tak niskiego oszacowania mojego życia. Prawie co dzień otrzymywałem wyroki śmierci. Wrzało zresztą wszędzie. Naciskana przez robotników Rada Miejska błagała o rozwiązanie i szanowny jej przewodniczący, p. Piotr Drzewiecki, w codziennych rozmowach usiłował przyśpieszyć moją decyzję. Przeprowadziłem w końcu tę uchwałę przez Radę Ministrów, ale Naczelnik Państwa odmówił jej zatwierdzenia.

Któregoś dnia odwiedził mnie w biurze znany mi sprzed wojny Bernard Chrzanowski z Poznania. Przyglądał mi się przede wszystkim tak długo, że w końcu zapytałem się, czy mogę mu być w czymś użytecznym. „Niczego od Pana nie chcę, odparł, ani niczego Panu nie przynoszę — chciałem tylko popatrzyć na Pana, żeby się upewnić, że Pan jest ten sam co przed wojną człowiek i uścisnąć dłoń pańską". Taka chwila krzepiła, ale było ich niestety niewiele.

Czułem się chwilami jak śmiertelnie znużony pływak na głębokiej wodzie; jedyną pociechą było, że wybory są już nieodległe i że albo poczujemy grunt pod nogami, albo przejdziemy na łatwy chleb opozycji... Niestety, od tego brzegu dzieliły nas jeszcze niebezpieczne rafy.

Dn. 5-go stycznia wywołała mnie z posiedzenia Rady Ministrów jakaś młoda panienka, która zaczęła mnie błagać, żebym ratował jej ojca, dyrektora fabryki żyrardowskiej, oblężonego przez robotników w swoim własnym domu. Wydałem w krótkiej drodze stosowne zarządzenia i wracałem na posiedzenie, kiedy nawinął mi się szef pozostawionej do dyspozycji ministerstwa tajnej policji, Skrudlik, który zapytał mnie, o której godzinie wrócę do domu. Byłem tak zafrasowany tym Żyrardowem i Radą Ministrów, że nie zwróciłem nawet uwagi na niezwykłość tego pytania. Po posiedzeniu udałem się na ul. Czystą (dziś Ossolińskich) do Komendy Żandarmerii Wojskowej, gdzie do późnej godziny omawiałem z rotm. Okołowiczem środki dla zapobieżenia przedostaniu się do śródmieścia zapowiedzianych na jutro manifestacji i pochodów komunistycznych, przy czym pozwoliłem na użycie broni palnej dopiero w ostateczności, nakazując na razie poprzestać na sikawkach. Do domu wróciłem bardzo późno i koło 3-ej zasnąłem. W dwadzieścia minut później obudziło mnie gwałtowne stukanie do drzwi. Nie ubierając się nawet poszedłem do drzwi i zapytałem: „Kto tam?". Odpowiedział znany mi głos dozorcy domowego: „Telegrama". Spuściłem łańcuch i otwo-

rzyłem drzwi. Zdążyłem tylko zauważyć śmiertelnie bladego dozorcę ze świecą w ręku i w tej chwili buchnęły dwa strzały. Pierwszą myślą było: strzelili ślepymi nabojami, bo nie podobna, żeby na dystans paru kroków chybili. Równocześnie ogarnęło mnie uczucie żalu i niezawinionej krzywdy. Zabić? Za co? Nie zrobiłem nikomu nic złego, nie broniłem się nawet przed atakami. Nie czas było jednak na rozumowania: zatrzasnąłem drzwi, napastnicy zbiegli szybko po schodach, a ja cofnąłem się w głąb mieszkania. Ubrawszy się zatelefonowałem do znajomego, wypróbowanej uczciwości komisarza policji Dąbrowskiego, aby natychmiast przybył do mnie z kilkoma ludźmi. Stawił się niebawem, komunikując mi, że na mieście są jakieś niepokoje, których istoty nie zdążył jeszcze sprawdzić. Przy pobieżnych oględzinach mieszkania policjanci znaleźli na podłodze kule z parabellum; więc nie strzelano ślepymi ładunkami. Popełniłem fatalny i śmieszny błąd, telefonując do Komendy Żandarmerii, gdzie mój telefon przyjęto jakby ze zdziwieniem. Po jakimś czasie zjawił się oficer żandarmerii z kilkunastoma żołnierzami, a wraz z nimi zjawił się Skrudlik, który zakomunikował mi, że pułk. Januszajtis oczekuje mnie w Komendzie Miasta. Zrozumiałem: byłem aresztowany przy udziale swojego własnego urzędnika. Poproszono o rewolwer, na dole czekało auto, na którego stopniach stanęli żołnierze — i pojechaliśmy.

W Komendzie Miasta na schodach spało sporo żołnierzy w bojowym rynsztunku, na piętrze w wielkiej sali tłum osób cywilnych i wojskowych. Z tego tłumu wysunął się pułk. Januszajtis, który zawiadomił mnie dość wyniośle, że powstał już Rząd Narodowy, a na moje zapytanie, któż to do tego rządu należy, odparł: „E, co Panu w tej chwili na tym zależy?". Dyskusja była zbyteczna. Odprowadzono mnie znowu do samochodu, do którego wsiadło dwóch oficerów z wycelowanymi we mnie rewolwerami, i pojechaliśmy do garażu wojskowego w Alejach Jerozolimskich. Tam zastałem już Moraczewskiego, Wasilewskiego, Boernera, komendanta Milicji Ludowej, Jura Gorzechowskiego i jeszcze kogoś, kogo nie pamiętam. Pod drzwiami i oknami stało kilku żołnierzy z karabinami, po pokoju kręcił się ciągle jakiś oficer, który za każdym razem polecał użycie broni w razie oporu lub próby ucieczki. Odebrano mi pieniądze i legitymację ministerialną i zasiedliśmy w milczeniu oczekując dalszych wypadków. O świcie już wyprowadzono nas na podwórze i wsadzono do paru samochodów; przy moim przejściu usłyszałem głosy: „Mieli go przecież zabić, a on jeszcze chodzi!". Pokręcono się

z nami, nie wiem po co, po mieście i zawieziono wreszcie do lokalu endeckiego stowarzyszenia „Rozwój". Przed wejściem do lokalu jakiś starszy rzemieślnik rozrzewnił się nawet nad sytuacją: „Oj, panowie, panowie tak z Żydami i Niemcami iść przeciwko swoim". Miał łzy w głosie i dałby się może przekonać, ale czas nie był po temu. Ci rzemieślnicy zachowywali się zresztą bardzo poczciwie: pozwolili nam się umyć, dali nam herbatę i mnóstwo przekąsek, ale później gdzieś znikli zastąpieni przez jakichś nieprzyjemnych inteligentów i jednego żandarma. Siedzieliśmy w małym pokoiku, przy czym na wprost mnie siedział jakiś elegant; manewrował on ciągle coś koło zamku karabina, z którym najwidoczniej był bardzo mało obeznany, ale który trzymał o parę cali od mojego brzucha; mogła to być prowokacja umożliwiająca strzał, ale postanowiłem nic nie odzywać się i zwłaszcza nie zwracać uwagi na głupie przygryzki, które niby to w rozmowie ze sobą kierowano pod naszym adresem. Godziny wlokły się nudne i głupie. Około 3-ej po południu usłyszałem zbliżające się ku nam ostre kroki żołnierskie; po chwili stanął na progu pułk. Berbecki. Koledzy moi powstali, ja czekałem, z czym przybysz się zjawił. Ale wątpliwości rozwiały się od pierwszego zdania, bo Berbecki wrzasnął na żandarma: „Żołnierz? Co tu robi? Komuś przysięgał?" — A na odpowiedź: „Rotmistrzowi Okołowiczowi!" wrzasnął jeszcze mocniej: „Dureń jesteś! Ojczyźnie przysięgałeś, nie żadnemu rotmistrzowi. Odprowadzić tych cywilów na odwach!". Było ich tam przecie pięciu czy sześciu z karabinami w garści, a Berbecki był sam i miał w ręku tylko szpicrutę, którą się ze złości trzepał po butach, ale już dawno słyszałem o szalonej jego odwadze. Wyszliśmy na ulicę, gdzie czekał major Kasprzycki, i pojechaliśmy do Belwederu. Hol zapchany był ludźmi, choć nie wiem, czy wszyscy byliby kilka godzin temu tam przyszli. Dowiedziałem się, że w kilka minut po naszym odjeździe z Alei Jerozolimskich przybył tam poszukujący swoich ministrów Komendant, żołnierzy odesłał do koszar a cywilów wygnał na ulicę. Potem udał się do Komendy Miasta (może przedtem), gdzie tak samo odesłał żołnierzy do koszar a ks. Sapiehę jako jednego z członków zamachowego rządu zobowiązał do czekania w mieszkaniu na dalsze jego rozkazy.

Poszliśmy zaraz z Moraczewskim na pierwsze piętro do sypialni Komendanta. Leżał na sofce straszliwie zmęczony, blady i zgryziony. Mimo to usiłował rzeczy bagatelizować i cały zamach uważał za operetkę. Gdy zauważyłem, że w operetkach nie ma zwyczaju strzelać do ludzi

z prawdziwych rewolwerów, odparł: „A, prawda, do Was strzelali". — Było mi niesłychanie żal człowieka, który mimo chęci zachowania odmiennych pozorów musiał głęboko odczuć ten fakt warcholstwa, grożący całości i bezpieczeństwu rodzącego się dopiero państwa; jednak nie mogłem skłonić się do pobłażania temu warcholstwu. Januszajtis jako wojskowy nie podlegał mojej jurysdykcji, ale resztę chciałem aresztować dla przekazania ich Sądowi Sejmowemu i raczej nie wróciłbym do ministerstwa, niż zrzekłbym się tej decyzji. Piłsudski ostatecznie ustąpił, nie chciał ich tylko wziąć do Cytadeli.

Z Belwederu udałem się w odkrytym powozie z Wasilewskim do Min. Spraw Zagranicznych na Miodową, a stamtąd na Radę Ministrów. Wniosłem pod obrady dekret o wprowadzeniu stanu wyjątkowego, na mocy którego mogłem uwięzić każdego na przeciąg trzech miesięcy. Uzyskawszy jego zatwierdzenie przez Naczelnika Państwa, wezwałem jednego z młodszych i energiczniejszych oficerów Milicji Ludowej, któremu poleciłem tejże nocy aresztować Sapiehę i trzech jego towarzyszy w rządzie. Kazałem działać możliwie bez hałasu, ale aresztowania dokonać za wszelką cenę, choćby miała się krew polać. Krew się nie polała, ale pp. Zdziechowski i Czerniewski mimo danego w ich imieniu przez ks. Sapiehę słowa uważali za stosowne opuścić Warszawę i tylko Sapieha wręczył dowodzącemu oficerowi broń i klucze od biurka i wyraził zadowolenie, że rząd okazał nareszcie energię. W biurku p. Czerniewskiego znaleziono za to notatkę: Thugutta wieczorem wywieźć i oddać pod sąd polowy za zamach lubelski. Osobliwa logika zamachowców.

Z aresztowaniem ks. Sapiehy zjawił się nowy kłopot: do Cytadeli nie mogłem go posłać, a więzienie na Pawiaku nie przyjęło go w braku rozkazu sędziego śledczego (dekret o stanie wyjątkowym nie był jeszcze opublikowany). Umieściłem go więc w jednym z pokojów przy biurach Komendy Milicji Ludowej, gdzie spędził czas do dnia mojej dymisji. Osobiście było mi nieprzyjemnie trzymać pod kluczem człowieka, który miał być moim kolegą w niedoszłym do skutku rządzie zamachu majowego 1917 r., a jako prezes Rady Głównej Opiekuńczej, której byłem płatnym urzędnikiem, otaczał troskliwą opieką moją rodzinę podczas mego pobytu w Modlinie, poza tym zaś był niewątpliwie człowiekiem honoru. Ale cóż znaczą względy osobiste w takich wypadkach.

W parę dni potem zażądałem na Radzie Ministrów, żeby rozpoczęto śledztwo w sprawie zamachu na mnie, skoro już rząd nie życzy sobie

poznać organizacji zamachu na siebie. Wyznaczono do tego sędziego Dutkiewicza, późniejszego wiceministra spraw wewnętrznych, ale po pierwszym przesłuchaniu mnie doszedłem do wniosku, że to są tylko czcze formalności. Jakoż istotnie już po moim wyjeździe z Warszawy sędzia ten został zawieszony w urzędowaniu za bezczynność. Taka była linia ogólna i ja jeden tego zmienić nie mogłem. A tymczasem dość głośno opowiadano o drugim zamachu na mnie, kiedy pierwszy się nie udał. Postanowiłem szukać kontaktu z opinią. Zwróciłem się przede wszystkim do dawnego znajomego, red. S. Krzywoszewskiego, który w sporze zachowywał się neutralnie, pytając go, o co właściwie chodzi, skoro wybory mają się odbyć za parę tygodni, a one to winny rozstrzygnąć sytuację. Powiedział mi, że ani sporu z opinią, ani wyborów nie wygramy, jeżeli w dalszym ciągu będziemy tak milczącym rządem, jakim byliśmy dotychczas. Pomyślałem, że jest w tym niewątpliwie dużo racji, ale żeby mówić, trzeba było mieć prasę, swoją prasę; a na jej założenie było już za późno a co więcej, nie chcieliśmy na ten cel używać pieniędzy skarbowych, choć ze swojego funduszu dyspozycyjnego nie wydałem nawet połowy. Może to była naiwność polityczna, możebyśmy się tej naiwności w ogniu walki oduczyli, ale na razie nie przeszedłby mi taki rozkaz przez gardło. Skończyło się na jednej broszurce o Rządzie Ludowym, wydanej jeszcze w początkach.

Drugą próbą było zetknięcie się z Sokołami, wśród których na jednym z naczelnych stanowisk miałem kolegę szkolnego, Karola Noskiewicza. Poprosiłem go o zetknięcie mnie ze sferami kierowniczymi tej organizacji i udałem się do nich sam jeden, nie mówiąc nawet nikomu, dokąd idę. Długo tłumaczyłem im obowiązek cierpliwości, który jest naszym wspólnym obowiązkiem, wtajemniczyłem ich nieco w naszą sytuację zewnętrzną, która nie jest bynajmniej różowa, i wyraziłem opinię, że popieranie zamachów uważam w tej chwili za zbrodnię. Zaprzeczyli oni najkategoryczniej, żeby jako organizacja brali udział w zamachu. Musiałem temu uwierzyć, choć widziałem, że paru z zebranych przebiło by mnie chętnie oczami.

Trzecią próbą była konferencja redaktorów wszystkich pism warszawskich, na której wyjaśniłem powody wprowadzenia stanu wyjątkowego i wytłumaczyłem jego mechanizm. Do dyskusji politycznej nie dopuściłem, zaznaczając, że jest to zebranie wyłącznie informacyjne, choć co prawda ja sam o polityce dużo mówiłem. Po zamknięciu zebrania jeden z uczestników podszedł do mnie na boku i szepnął: „Panie ministrze,

Pan jest znacznie lepszy niż pańska opinia". Nie mogłem się powstrzymać od złośliwości i odrzekłem z uśmiechem: „Moja opinia, to przecież Pan".

Na dalsze zabiegi nie starczyło już czasu. Naczelnik wręczył mi memoriał jednego z wyższych wojskowych, dotyczący stanu rzeczy w Lubelszczyźnie. Autor twierdził, że kraj posuwa się do stanu zupełnej anarchii i obwiniał o to nieudolną administrację. Postanowiłem te rzeczy zbadać na miejscu. Istotnie stan był wysoce niezadowolający, ale było by błędem obwiniać o to wyłącznie administrację; wprawdzie w Krasnymstawie w starostwie codziennie odbywały się wiece, na których czapkowano tłumom, w Zamościu jednak starosta okazał się zupełnie na wysokości zadania, pomijając to, że w porozumieniu z miejscową władzą wojskową wprowadził stan wojenny. W Tomaszowie Lub. niepokój wzniecał głównie swoją bezwzględnością młody oficerek, mianowany komendantem wojskowym. W Lubelskim poza strejkami było na ogół spokojnie. We Włoszczowskim ludność chciała rąbać las dworski, ale starosta-ludowiec powstrzymał ją groźbą użycia broni. Jeżeli wziąć pod uwagę, że Państwo istniało niecałe dwa miesiące i że ze stolicy dochodziły drażniące i podburzające wieści, szkolenie zarówno administracji, jak ludności posuwało się naprzód dość szybko. Duże nadzieje pokładałem też w stałym nadzorze 10 inspektorów administracyjnych, których zaangażowałem spośród najbardziej wyrobionych ludzi i którzy stale objeżdżali kraj, a znajdowali się pod kierownictwem najbardziej pewnego i oddanego mi szefa administracji, Wacława Januszewskiego.

W Dąbrowie Górniczej, wracając już do Warszawy, dowiedziałem się, że rząd podał się do dymisji. Zakląłem w duszy siarczyście: ustępować na kilka dni przed wyborami znaczyło tyleż, co pewna przegrana. Nie myśleliśmy o żadnych nadużyciach wyborczych, wręcz przeciwnie — zapewniliśmy czystość wyborów zapowiedzią bardzo surowych kar za wszelkie próby nadużyć zarówno ze strony wyborców, jak administracji, ale tłumy musiały traktować nasze ustąpienie jako dowód słabości. Było już jednak za późno o tym mówić. Później dowiedziałem się, że o dymisji swojej i całego gabinetu zawiadomił premier Radę Ministrów już po fakcie dokonanym i w stanie wielkiego wzruszenia; sądziłem, że uczynił to pod czyimś wielkim naciskiem, ale błąd nie przestał być błędem. Endecy, bojąc się wyborów, żądali wówczas ich odłożenia i przedwstępnego zwołania Rady Narodowej; jeżeli dymisja rządu miała być kompromisem z tym ich żądaniem, to cena kompromisu była zbyt wysoka.

Nazajutrz, po powrocie moim do Warszawy, odbyło się wieczorem w salach restauracji „Pod Bachusem" uroczyste pożegnanie członków ustępującego rządu z udziałem zaproszonego Naczelnika Państwa. Przemówienia czy raczej dyskusja trwały do późnej nocy. Co do mnie starałem się ustalić nie bez pewnej goryczy, że albo trzeba było za wszelką cenę pozyskać do rządu poznańczyków i Witosa, albo stosować twardszą rękę do każdego warcholstwa.

Tego zdania nie zmieniłem dotychczas. O genezie Rządu Ludowego pisałem niejednokrotnie; jeden z tych artykułów podaję w niniejszym zbiorze (p. str. 229). Pozostawało by do rozstrzygnięcia, czy inaczej być mogło. Otóż utworzenie wszelkiego innego rządu poza lewicowym, a zwłaszcza utrzymanie go przy władzy, wydaje mi się nie tylko trudnym, ale wręcz niemożliwym. Kiedy jechałem samochodem z Lublina do Warszawy, u wstępu do prawie każdej wsi zatrzymywały nas uzbrojone w karabiny straże chłopskie, które dość groźnie pytały: kto, skąd i dokąd — i rozchmurzały się dopiero na odpowiedź, że to jedzie Rząd Ludowy. Kiedym siedział uwięziony w „Rozwoju", łamałem sobie głowę nad pytaniem, jak sobie ci panowie wyobrażają dzień następny z nieuchronnym strajkiem w zakładach użyteczności publicznej. Żołnierze pułku legionowego, sprowadzonego w ową noc z Jabłonny do Warszawy, gotowi byli, jak się później od nich dowiedziałem, na najsurowsze represje w stosunku do każdego, kto by sięgnął ręką przeciwko Piłsudskiemu albo Rządowi Ludowemu. Więc choć my byśmy zamachu na rząd polski nie robili (w Lublinie nie było jeszcze rządu z pochodzenia polskiego) sytuacja tych, którzy by chcieli rządzić nami, byłaby nie do wytrzymania. Można by od biedy utworzyć rząd koalicyjny, ale on nie osiągnąłby nawet tego uspokojenia, jakie nam się udało własnym kosztem osiągnąć. Więc choć to ciężki był okres, nie żałuję swoich wysiłków, ani się nie wstydzę swoich koncepcji.

W Paryżu. Po takich dwóch miesiącach należał mi się wypoczynek, pojechałem przeto do Rembertowa, gdzie mój cioteczny brat, pułk. Hulanicki, był komendantem poligonu. Ale już po dwóch dniach ściągnął mnie telefon z Belwederu z powrotem do Warszawy. Tu dowiedziałem się, że mam niebawem wyjechać wraz ze Stanisławem Patkiem do Paryża jako członek Delegacji Naczelnika Państwa na Kongres Pokoju; równocześnie weszliśmy razem z innymi jej członkami w skład Komitetu Narodowego, który pod przewodnictwem Dmowskiego od dłuższego już czasu bawił w Paryżu.

Przyjąłem propozycję i nazajutrz poszedłem do Paderewskiego jako premiera i min. spraw zagranicznych przedstawić mu się w tym nowym charakterze. Paderewskiego widziałem po raz pierwszy; zrobił na mnie dość silne wrażenie swoim wykwintnym obejściem się wielkiego artysty, bardzo wielką na pierwszy rzut oka szczerością i otwartością. Czy wrażenia te we wszystkich szczegółach i w całej rozciągłości były trafne, wyjaśni może dalszy tok opowiadania.

Po dwóch długich audiencjach u Naczelnika Państwa, w których otrzymaliśmy obszerniejsze, ale również dość ogólnikowe instrukcje, wyruszyliśmy w dzień pierwszych wyborów do Sejmu w drogę; niestety, już w Krakowie nastąpiła przerwa z powodu wojny z Czechami, która zagrodziła nam drogę. Dopiero po 8 dniach mogliśmy wyruszyć do Wiednia. W Paryżu stanęliśmy po dwu tygodniach, koleje bowiem w Tyrolu kursowały tylko w dzień a w Szwajcarji tylko w dnie powszednie.

W Paryżu zastaliśmy już wszystkich innych członków Delegacji, składającej się z 10 osób, z d-rem Dłuskim na czele. Na pierwszym zaraz posiedzeniu Komitetu Narodowego przekonałem się, że praca w nim jest właściwie fikcją, wszystkie bowiem sprawy załatwiał Dmowski sam a tylko o niektórych powiadamiał post factum Komitet. Taki porządek rzeczy zastaliśmy i zmienić go nie było w naszej możności, byliśmy bowiem w mniejszości. To też posiedzenia tego dość sztucznego ciała były nie tylko rzadkie, ale jałowe i puste. Już na 3-im czy 4-ym posiedzeniu postawiłem wniosek rozwiązania Komitetu, ale nie uzyskał on oczywiście większości. Przyznać muszę, że wniosek ten stawiałem dla zasady, mierziło mnie bowiem marnowanie czasu i sporych pieniędzy publicznych; ale osobiście pobyt w ówczesnym Paryżu, do którego zjechał cały świat, w mieście o nieopisanym uroku własnym, nie sprawiał mi żadnych przykrości. Powtarzane propozycje rozwiązania Komitetu dopięły swego dopiero w końcu lipca. Wyjechałem niebawem do Warszawy, ale wyjechałem w dość osobliwych okolicznościach.

Paderewski, który wkrótce po nas przyjechał do Paryża i bawił tam dłuższy czas, chciał ze wszystkimi utrzymywać dobre stosunki i w tym celu zapraszał nas dość często na przyjęcia, przy których a jeszcze więcej po których rozmawiało się dużo o sprawach publicznych i personalnych. Na którymś z takich zebrań zapytał mnie, czy nie zechciałbym wziąć którego z poselstw zagranicznych. Podziękowałem uprzejmie, oświadczając jednak, że pociąga mnie przede wszystkim polityka wewnętrzna. Przy następnym widzeniu zaczął ubolewać, że kraj nasz cierpi na tak wielki

brak wykwalifikowanych dostatecznie ludzi, i zapytał w końcu wręcz, czy bym nie zechciał, obrawszy sobie jakąś specjalność, wyjechać dla studiów na parę lat za granicę, np. do Belgii, Anglii, Ameryki i Nowej Zelandii. Wszelkie koszty bierze na siebie z funduszów wręczonych mu przez Polaków amerykańskich; na początek może mi służyć sumą 50.000 fr. Żadnych sprawozdań nie wymagał, wszystko miało być oparte na wzajemnym zaufaniu. Poprosiłem o parę dni do namysłu. Z Krakowa wyjeżdżałem z przedświadczeniem, opartym na informacjach pism, że zostałem obrany posłem w Łowiczu. Niestety, po przyjeździe do Paryża okazało się, że była to pomyłka. Pomyłką było w ogóle nasze zbyt wielkie zaufanie w dobry wynik wyborów. Poza tym nie miałem możności zajmować się przygotowaniem swoich dwóch okręgów wyborczych: Sieradza i Łowicza; byłem w nich zaledwie po razu. W dodatku zarząd Stronnictwa nie zgodził się na usilne prośby naszych ludzi z Sieradza, aby postawić mnie na pierwszym miejscu listy; nie było w tym nawet żadnych złych zamiarów przeciwko mnie, tylko pewne doktrynerstwo, wymagające, aby na pierwszym miejscu stał chłop; pogląd ten wydawał mi się błędem, ale że chodziło o mnie, nie odezwałem się ani słowem. Tymczasem w obu rzekomo pewnych okręgach otrzymaliśmy po jednym mandacie i ja zostałem bez miejsca.

To był powód, dla którego nie tylko nie odrzuciłem od razu propozycji wyjazdu, ale zacząłem ją coraz głębiej rozważać. Po jakimś czasie wyraziłem zgodę, zwłaszcza, że żona moja, choć zmartwiona długotrwałą rozłąką, namawiała mnie do wyjazdu, obawiając się w kraju nowych na mnie ataków. Zacząłem już robić przygotowania do drogi.

Wtem nadszedł list z Warszawy od kogoś ze Stronnictwa. Wzywano mnie w nim gwałtownie do powrotu: stan rzeczy w Stronnictwie, pozbawionym kierownictwa politycznego, przedstawiał się bardzo źle, rywalizacja między dwoma stronnictwami ludowymi przybierała bardzo niemiłe formy, — walka z endekami górującymi nad nami liczbą w Sejmie była nad wyraz ciężką. Co się tyczy podstawy do pracy dla mnie, obaj posłowie z moich byłych okręgów gotowi są zrzec się mandatów na moją korzyść.

Wyjechałem jak mogłem najszybciej do kraju. Sytuacja, jaką tu zastałem, była gorszą nawet niż mi ją w liście opisywano. Przy wyborach brano kandydatów na listy bez bliższego badania ich przekonań, byle się na ogół przyznawali do sympatii dla ruchu ludowego. Teraz część z nich ujawniała żywszy pociąg do „Piasta“ niż do „Wyzwolenia“ i żądała natychmia-

stowego wstąpienia do tamtego stronnictwa, przy czym jednak różnice w taktyce a nawet ideologii tych dwóch stronnictw zarysowywały się już dość wyraźnie. Co do mandatu dla mnie, to posłowie oświadczyli, że mówiono wprawdzie z nimi coś o zrzeczeniu się mandatu, ale mówiono bardzo ogólnikowo i żadnych zobowiązań nie przyjęli ani przyjąć nie mogli.

Z okresu Sejmu Ustawodawczego. Znowu sytuacja wpędziła mnie w ślepy kąt. Bez mandatu, bez możności oparcia się o potężne i wpływowe stronnictwo, bez widoków otrzymania jakiegokolwiek stanowiska, z niechętną mi opinią publiczną czy raczej tym, co się za opinię podawało, bez środków do życia — musiałem po raz drugi stawać na start bez wielkich szans powodzenia. I stanąłem, może dlatego, że to było tak trudne.

Przede wszystkim rozwiązałem swoją umowę z Paderewskim, który zresztą bardzo się o to na mnie gniewał. Potem trzeba było pomyśleć o kawałku chleba. Dałem się wciągnąć do jakiejś spółki dla obróbki lnu, której zostałem prezesem i dyrektorem. Potrafiliśmy po paru latach doprowadzić produkcję naszą do tak wysokiego poziomu, że Anglicy wpłacili nam wysoką zaliczkę na przyszłą partię włókna, ale ostatecznie brak kapitału obrotowego położył nas w 1924 r. na obie łopatki.

Gwałtownej sanacji domagały się stosunki w Stronnictwie. Byłem w nim tylko referentem politycznym, ale moje zdanie ważyło w nim mocno. Skorzystałem z tego i przeparłem połączenie klubów „Wyzwolenia" i „Piasta", a po kilku tygodniach pod pretekstem niedotrzymania nam warunków umowy przy obsadach personalnych wyszliśmy ze wspólnego klubu z powrotem. Zostawiliśmy tam wprawdzie więcej niż połowę swoich posłów, ale zyskaliśmy niesłychanie na zwartości grupy i przestaliśmy tracić czas na jałowe spory wewnętrzne. W Sejmie wprawdzie nasz 23-osobowy Klub nie mógł odgrywać poważniejszej roli, ale my główną uwagę zwróciliśmy na pracę w terenie, która istotnie poszła teraz daleko bardziej szparkim krokiem.

W Sejmie nie mogłem brać oczywiście udziału ani w pracach plenum, ani komisji, chodziłem jednak na posiedzenia międzyklubowe i interesowałem się najdrobniejszymi szczegółami w rozwoju zdarzeń politycznych. Rzadko kiedy mogliśmy zwyciężać, ale staraliśmy się przynajmniej ustalać pewną linię polityczną logiczną i zrozumiałą nie tylko dla chłopów ale i dla całego kraju, linię rozwoju na jutro. Byliśmy niewątpliwie najszczerszymi republikanami i demokratami, nie zamącając naszej doktryny żadnymi ubocznymi względami, chyba koniecznością częstej walki z endeka-

mi, którzy przy układaniu Konstytucji chcieli ją mieć za narzędzie, odbierające Naczelnikowi Państwa wszelką możność działania dlatego, że nim był Piłsudski. Zarzucano i nam, żeśmy w pracy nad Konstytucją byli doktrynerami, żeśmy chcieli nadać Polsce ustrój, który by się jej plątał między nogami, jak zbyt długa koszula. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, ale sądziliśmy, że każdy inny ustrój będzie dla niej również ustrojem na wyrost, bo odwykła ona całkiem od rządzenia sobą; ten, jaki proponowaliśmy, mógł przynajmniej być dobrą szkołą i nie służyłby do wyzysku społecznego.

Ani polityka, ani dyrektorstwo w fabryce lnu nie wyczerpywały jeszcze zapasu moich sił. Założyliśmy ze Śmiarowskim, Patkiem, Posnerem Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela, która miała służyć do walki z samowolą i nadużyciami administracji, jak również z przesądami, których ofiarą padali nie tylko ludzie, ale całe ich grupy. Wysiłki nasze od samego początku istnienia Ligi aż po jej koniec były bardzo często skazane na bezpłodność; młoda administracja pomimo swoją aż nadto oczywistą nieudolność bardzo niechętnie patrzyła na wszelkie wtrącanie się osób obcych do swojej działalności i jeżeli udawało nam się od czasu do czasu coś przeprowadzić, zawdzięczaliśmy to niemal wyłącznie naszym osobistym stosunkom.

Jedną z głównych spraw z tego okresu działalności Ligi były walki wyznaniowe w Chełmszczyźnie. Na zaproszenie delegacji Ukraińców tamtejszych wyjechaliśmy ze Śmiarowskim przyjrzeć się tym stosunkom na miejscu. Przejechaliśmy końmi z Chełma do Hrubieszowa, wstępowaliśmy do każdej niemal wsi, rozmawialiśmy z mnóstwem ludzi i doszliśmy rychło do przekonania, że przy dobrej woli obu stron można by łatwo doprowadzić do uspokojenia, budynków kościelnych bowiem zarówno katolickich jak prawosławnych było pod dostatkiem, a walka toczyła się przeważnie o ich posiadanie. Przyjęcie było różne: gdzieniegdzie udawało nam się doprowadzić do zupełnego rozbrojenia moralnego, były wsie, gdzie sfanatyzowana ludność przyjmowała nas całkiem wrogo, a w Hrubieszowie zaraz po przyjeździe zjawił się u nas w hotelu komendant policji powiatowej, który nas odprowadził do bardzo nachmurzonego i nieufnego starosty; dopiero złożenie na stole olbrzymiej wielkości, jak to wówczas było w użyciu, paszportu dyplomatycznego z podpisem Paderewskiego rozproszyło natychmiast chmury. Zdziałaliśmy niewiele, ale nauczyliśmy się za to sporo, a niektóre przyjęcia na wzgórkach pod wiekowymi lipami, do których wiodły dróżki wysypane polnym kwieciem, narady przy stojących

pod nimi stołach nakrytych wzorzystymi obrusami, a nade wszystko może piękna polszczyzna, jaką tamtejszy lud mówi bez względu na wyznanie — wbiły się nam głęboko w pamięć.

W 201 pp. Nadszedł ciężki rok 1920. Nawała bolszewicka posuwała się coraz dalej w głąb kraju. Groza stawała się z dnia na dzień coraz większa, tym bardziej, że zwaliło się to wszystko dość nieoczekiwanie. Groza ta ogarniała zresztą bynajmniej nie wszystkich, bo kawiarnie warszawskie rozbrzmiewały ciągle muzyką, a po ulicach snuło się mnóstwo młodych ludzi, którzy napisy „Idź na front" czytali zupełnie obojętnym okiem.

W tych warunkach zebrał się kiedyś klub i zarząd „Wyzwolenia", żeby radzić nad sytuacją. Jasnym było, że trzeba się odezwać jakimś mocnym głosem do swoich zwolenników, a i samym zdobyć się na jakiś czyn najwyższej ofiary. Hasło narzucało się samo: wszyscy do broni! ale przemówienia nie mogły się jakoś wywikłać do konkretnego końca. Jak niegdyś przy omawianiu odezwy anty-Beselerowskiej, wyszedłem do drugiego pokoju i za kilka minut wróciłem z gotowym projektem odezwy nie tylko do chłopów, ale do wszystkich Polaków. Przyjęto go bez dyskusji i na drugi dzień znowu liczne grupy ludzi czytały te odezwę na murach.

Ale tu stało się, co się stać musiało przy moim usposobieniu: skoro namawiam innych, trzeba dać przykład samemu. Poszedłem do biura werbunkowego 201-go pułku ochotniczego i zgłosiłem się do pułk. Koca jako ochotnik. Propozycję szarży oficerskiej uchyliłem, zredukowało by mnie to bowiem znowu do pobytu w sztabie.

Klub, któremu tegoż dnia zakomunikowałem swoją decyzję, przyjął ją bardzo różnorodnymi poglądami: inteligenci usiłowali mnie przekonać, że i w Warszawie znajdzie się dla mnie dużo ważnej roboty, chłopi przeważnie milczeli, będąc zdania, że powinni iść wszyscy, ale z poboru. Zaczynałem się już gniewać, póki dyskusji nie przecięło oświadczenie Błażeja Stolarskiego, iż skoro ob. Thugutt chce iść do szeregu, nikt nie ma prawa mu tego odradzać. Razem ze mną bez chwili wahania poszedł Gienek Śmiarowski, a ogółem w różnych formacjach zgłosiło się z lewicy do szeregów sześciu b. ministrów i wiceministrów.

Po kilku dniach byliśmy już w kadrze w Jabłonnie, gdzie zastaliśmy sporo znajomych (Hołówkę, Giełżyńskiego, Siwika).

Na drugi dzień zaczęto nas ćwiczyć bardzo forsownie, bo czasu na naukę nie było. Mnie pomimo moich 47 lat przychodziło to dosyć łatwo ze względu na legionową zaprawę, ale Śmiarowski, słaby fizycznie i nigdy

nie uprawiający sportów, męczył się porządnie. Co gorsza, był do końca nieokrzesanym cywilem i kiedy już padło groźne „Baczność", po którym powinien był skamienieć, on wychodzi naraz przed front i powiada mi: „Wiesz. opowiem ci świetny kawał". Tylko w 201 pułku mogły takie rzeczy uchodzić płazem. A kiedyśmy już szli na sam front w straszliwie upalny letni dzień, dostrzegam nagle, że on cały zsiniał na twarzy i chwieje się na nogach. „Co ci jest?" — „Atak wątrobiany". Odebrałem mu karabin i plecak i odprowadziłem na punkt opatrunkowy. Po drodze wyciąga z kieszeni jakąś flaszeczkę i pociąga z niej tęgi łyk. „Co to jest?" „Opium. Nie myślisz chyba, żebym był tak głupi i na wojnę szedł bez opium mając chorą wątrobę". Po paru godzinach zjawia się w szeregu i nie daje się ani prośbą, ani moim srogim kapralskim krzykiem odpędzić. Dawno już byliśmy w bardzo zażyłych stosunkach, ale tym opium wziętym z ostrożności na wojnę zyskał sobie moje najczulsze braterskie uczucia, które trwały aż do samej śmierci tego nieodżałowanego człowieka.

Po tygodniu ćwiczeń ruszyliśmy w pole. Przed wyjazdem z Jabłonny, choć lament był straszny, trzeba było odesłać do Warszawy wszystkich ochotników mniejszych od swego karabina, a była tego niemała chmara. Pozostało dużo starszej młodzieży szkolnej, dużo robotników i chłopów i duża garść inteligencji. Kompanią dowodził por. Korkowicz, plutonami ppor. Szmal i Korczak; obaj nie wrócili już z pola. Po drodze mijaliśmy cofające się oddziały, z którymi wymienialiśmy najbardziej paskudne słowa.

Dn. 29-go lipca stanęliśmy w Łapach, skąd zabrawszy amunicję poszliśmy w kierunku nieprzyjaciela. Nazajutrz rano w czasie ćwiczeń przyszedł nagły rozkaz udania się na front. Poszliśmy szosą w ściśniętej marszowej kolumnie. W pewnym momencie gwałtowne salwy rosyjskich karabinów maszynowych zaczęły ryć ziemię wzdłuż naszej kolumny. Schroniliśmy się do rowu; po chwili zaczęła bić w nas artyleria rosyjska, na szczęście z małym skutkiem, zwłaszcza, że dużo pocisków nie wybuchało. Po jakimś czasie przyszliśmy do wsi Suraż, leżącej tuż obok i tam ułożyliśmy się prostopadle do Narwi, odstrzeliwując się dość ospale. Mój karabin zanieczyścił się i jakiś czas nosiłem amunicję, póki nie znalazłem przy jakimś poległym innego karabina, z którego zacząłem znów strzelać, co było zresztą mało groźne dla nieprzyjaciela ze względu na moje krótkowidztwo. Po jakimś czasie oparłem się na łokciu i sięgnąłem po papierosa. Nagle uczułem silne uderzenie w prawą rękę, karabin wyleciał mi z ręki, po dłoni popłynęła krew. Ktoś z kolegów założył mi pierwszy opa-

trunek i powędrowałem na punkt opatrunkowy. Nie było tam ani jednego sanitariusza. Niewielka chłopska izba pełna była natomiast rannych; jakiś olbrzymiego wzrostu plutonowy zrywał się ciągle na nogi i walił się potem na ten stos połamanych kości. Przyszedł zobaczyć, co się ze mną dzieje Szmal, potem Korkowicz, od którego dowiedziałem się, że w nocy się cofamy, bo pozycja jest nie do utrzymania. Chciało mi się diabelnie pić, ale z tym trzeba było poczekać jeszcze długie, bardzo długie godziny. Przed samym świtem usłyszałem tupot nóg idącego oddziału, wyszedłem więc przed chałupę. To nasza kompania odchodziła już z frontu i przyszła się ze mną pożegnać. Ktoś, zdaje się Prystor, poczęstował mnie tęgim łykiem śliwowicy, który wyklarował mi pogląd na świat, ktoś inny dał tabliczkę czekolady, a nie jadłem już 24 godziny. Mimo wszystko byłem wściekły, że znów musimy się cofać, że tyle ofiar znów na nic; zmartwiła mnie przy tym śmierć maturzysty, służącego w mojej sekcji, ale cóż było robić. Wsadzono mnie na wózek i polecono odwieźć do Szepietówki na kolej. Był już prawie dzień i Moskale mogli lada chwila otworzyć ogień na szeroką pustą drogę, po której jechaliśmy, ale mojemu woźnicy rozbiegło się kilka kur, które wiózł ze sobą, a bez kur nie chciał za nic jechać. Klątem w pień, ale nic nie pomogło, póki kur nie połapał.

Z Szepietówki po chwili wypoczynku ruszyliśmy pociągiem w stronę Warszawy, ale tu dopiero zaczęły się ciężkie chwile. Było wczesne popołudnie, padał deszcz i było przeraźliwie zimno; sanitariuszy i tu także nie było, ale rannych było tylu, ilu tylko mogło się zmieścić w towarowym wagonie. Po odjechaniu małego kawałka od stacji pociąg stanął w polu i stał tak do późnej nocy, bo linia znajdowała się pod obstrzałem i pociski padały bardzo niedaleko. W wagonie było kilku nieprzytomnych, mnie trzęsła febra. Dopiero nad ranem dojechaliśmy do następnej stacji, gdzie znaleźliśmy jedną sanitariuszkę, od której dostałem szklankę herbaty i siedzące miejsce w wagonie. Nie było i tu bardzo przyjemnie, bo wagon pełen był młodych oficerów chorych na krwawą biegunkę, ale po poprzednim piekle wszystko wydawało się komfortem.

Tak wlekliśmy się do Warszawy dwa dni. W zasadzie pociąg wiózł rannych, dalej, do Bydgoszczy, ale mnie pozwolono wysiąść na stacji w Warszawie, gdzie oczekiwali mnie już generał Ruppert i prof. Radlińscy, którzy mnie odwieźli do szpitala św. Ducha; tam napojono mnie czarną kawą i położono wreszcie do czystego łóżka.

Po paru dniach prof. Radliński, chcąc mnie mieć bliżej pod swoją opieką, przewiózł mnie do Szpitala Ujazdowskiego. Pierwsza noc była

ciężka, bo dzieliłem pokój z oficerem rannym tak ciężko w ramię, że całą noc krzyczał w niebogłosy, ale nazajutrz przeniesiono mnie do innego pokoju, gdzie niebawem zjawił się Hołówko ranny dzień później, tak samo w prawą rękę. Po paru dniach zjawiła się moja żona z córką, które przyjechały znad morza, a później i syn, który jako maturzysta wstąpił na ochotnika do wojska. Byliśmy więc przynajmniej pewien czas razem.

Bliższe badania stwierdziły, że rana moja była cięższa niż pierwotnie przypuszczano, miałem bowiem kość ramieniową strzaskaną na trzydzieści kilka kawałków, a prócz tego przecięty nerw, wskutek czego ruchy dłoni zostały ograniczone.

W szpitalu było mi całkiem niezgorzej; odwiedzało nas mnóstwo ludzi, a dla zabicia czasu chodziłem na operacje, które mnie niesłychanie pociągały precyzyjnością pracy lekarza. Do umarlaków pod drzwiami przyzwyczaiłem się z musu, choć było ich coraz więcej. Ale sytuacja ogólna stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. Często o 2-ej lub 3-ej w nocy wpadał do mnie opiekujący się mną bezpośrednio dr Zapłatyński, zawiadamiając, że szpital się już pakuje, i namawiając do wyjazdu z nimi. Ale choć nie miałem najmniejszej ochoty spotykać się z bolszewikami w Warszawie, odkładałem wyjazd do chwili, kiedy zaczną wchodzić na most. I tak doczekałem się szczęśliwie dnia, kiedy huk armat zaczął się coraz wyraźniej oddalać.

Wyszedłem ze szpitala już w drugiej połowie września, a po kilku miesiącach musiałem do niego wrócić na operację zeszycia nerwu, której dokonał z powodzeniem prof. Radliński; nerw jednak mimo wszystko nie odżył i musiałem nauczyć się pisać lewą ręką.

Rok 1921. Cały następny rok zeszedł dość beztreściwie: zajmowałem się dużo fabryką i Ligą, a poza tym pracowałem w Stronnictwie z coraz większym natężeniem, jeżdżąc nie tylko do wyznaczonego mi okręgu, ale do wszystkich okręgów, które podlegały wpływom „Wyzwolenia". W Sejmie bywałem codziennym gościem, niestety — tylko gościem. Prace codzienne Klubu nie nastręczały szczególnych trudności, ani też nie były bogatym materiałem do wspomnień. Raz jeden zaszedł jednak incydent, który mnie zastanowił głęboko. Było to przy głosowaniu nad Konstytucją. Przyszła do mnie gromadka posłów-chłopów, skarżących się z dużym wzburzeniem, że prezydium Klubu każe im głosować przeciwko Konstytucji, a to jest przecie czyn nienarodowy i nieobywatelski. Wytłumaczyłem im nie bez trudu, że skorośmy przegrali tak ważny punkt Konstytucji, jak istnienie Senatu, któremu sprzeciwialiśmy się,

musimy teraz głosować przeciw całości, co zresztą niczym nie grozi, bo Konstytucja i tak będzie uchwalona pomimo naszego sprzeciwu. Poszli głosować przeciw, ale widziałem, że czynią to z wielką niechęcią. Oczywiście nie rozumieli techniki gry parlamentarnej, ale jakiż to był materiał na obywateli.

W Sejmie. W listopadzie 1922 r. odbyły się drugie wybory. Powiększyliśmy znacznie liczbę posłów, nie tak jednak znacznie, żeby móc narzucać Sejmowi swoją wolę. Wprowadziliśmy też bez żadnego ze strony chłopów sprzeciwu dość sporą ilość wybitnych sił inteligenckich (Śmiarowski, Bartel, Kalinowski, Gaszyński, Januszewski, Karnicka, Łypacewicz) nieodzownych w pracy parlamentarnej. Na pierwszym zebraniu Klubu zostałem jednomyślnie obrany jego prezesem.

Pierwszą rozgrywkę sejmową — wybór marszałka — przegraliśmy; stało się to widocznym już w czasie oddawania głosów, kiedy spostrzegliśmy, że „Piast" idzie z prawicą. Marszałkiem został M. Rataj przeciwko naszemu kandydatowi, E. Śmiarowskiemu.

Drugim etapem ostrej walki był wybór Prezydenta. Przez długi czas przedwyborczy nie zdążyliśmy przygotować sobie kandydata, sądziliśmy bowiem, że Piłsudski da się skłonić do przyjęcia wyboru, jakkolwiek pomimo najusilniejszych naszych starań nie chciał on nigdy ujawnić swoich w tej mierze zamiarów. Wybór jego byłby zapewniony, bo „Piast" z cicha popierany przez Naczelnika Państwa podczas wyborów nie śmiałby oddać swych głosów przeciwko niemu na Zgromadzeniu Narodowym. Ale deklaracja ogłoszona przez Marszałka Piłsudskiego kilka dni przed Zgromadzeniem Narodowym i stanowczo wyrażająca chęć wyjścia z Belwederu zniweczyła te plany. Trzeba było w ostatniej chwili szukać innego kandydata.

W ostatnich już dniach przed otwarciem Sejmu zostałem usilnymi prośbami p. Fryzego, ówczesnego redaktora i wydawcy „Kuriera Porannego" skłoniony do odbycia poufnej narady w jego prywatnym mieszkaniu z Witosem; rozmowa miała oczywiście dotyczyć przede wszystkim wyboru Prezydenta, a miała też decydować o jego osobie, przeciwko uzgodnionej bowiem woli dwóch wielkich klubów ludowych nikt nie mógł być obrany. Porozumienia szukaliśmy do bardzo późnej nocnej godziny i niestety, nie osiągnęliśmy go. W trakcie dyskusji padła propozycja podziału dwóch prezydentur, czyli miałem otrzymać premierostwo. W tej właśnie chwili wkroczyła do pokoju, w którym samotnie obradowaliśmy, cała redakcja Kuriera, zapytując, czy już można wypić zdro-

wie dwóch prezydentów. Pokręciłem przecząco głową i przybysze zniknęli bez słowa, zamykając drzwi za sobą. Ta scena powtórzyła się jeszcze parę razy i w końcu doszedłem do wniosku, że jest to pomysł urodzony na miejscu w redakcji. Był on nie mniej przeto całkiem możliwy do zrealizowania, pomijając pewien opór w klubie „Wyzwolenia". Ale mnie się zdawało, że po tak ostrych walkach przedwyborczych za wcześnie jeszcze było dokonywać tak daleko idącego porozumienia, że wyglądałoby ono na podział łupów. I dlatego choć zasadniczo byłem zwolennikiem porozumienia się różnych odłamów ruchu ludowego, propozycje te odrzuciłem z miejsca.

Równocześnie toczyły się już oficjalne rozmowy między naszymi dwoma klubami, które także nie mogły doprowadzić do niczego. „Piast" wysuwał stale Wojciechowskiego; samego kandydata z jego działalności politycznej znaliśmy przy tym bardzo niewiele a o jego wysokich cnotach obywatelskich — kryształowej uczciwości i głębokim poczuciu obowiązku — przekonała nas dopiero przyszłość. Z tych samym czy innych względów „Piast" odrzucał naszego kandydata — Narutowicza.

Narutowicza znałem już od paru lat ze stosunków towarzyskich. Miałem go nie tylko za bardzo miłego i wysoce kulturalnego człowieka, ale za umysł głęboki, znawcę stosunków europejskich, z którymi się otrzaskał w czasie długoletniego pobytu w Szwajcarii, za kogoś, kto umiał sobie radzić z ludźmi i rzeczami. Kiedym mu pierwszy raz zaproponował wystawienie jego kandydatury, przeraził się po prostu tej myśli, był bowiem człowiekiem o wielkim poczuciu odpowiedzialności. Dowiedziałem się też później, że Marszałek Piłsudski odradzał mu przyjęcie tego stanowiska, co zresztą potwierdza w swoich wspomnieniach o Narutowiczu. Mimo to rzecz posuwała się naprzód i po jakimś czasie mogłem rzucić to nazwisko pod obrady Klubu. Był on tu prawie całkowicie nieznany i było dowodem wielkiego zaufania do swojego przewodniczącego, że Klub zgodził się na wystawienie tej kandydatury. Pozostawały inne kluby. „Piast" odrzucał naszego kandydata stanowczo. Polska Partia Socjalistyczna i Narodowy Związek Robotniczy przyjęły propozycję bez żadnego zapału, oświadczając, że głosować będą na naszego kandydata tylko wówczas, gdy uzgodnimy się z „Piastem". Z mniejszości narodowych Białorusini i Niemcy obiecali nas poprzeć, zastrzegając jedynie, że w pierwszym głosowaniu wystawią manifestacyjną kandydaturę prof. Baudouin de Courtenay'a, jako przedstawiciela mniejszości. Pozostawali Żydzi, z którymi rozmowę zacząłem tuż przed

otwarciem Zgromadzenia Narodowego. Obiecano w zasadzie głosować za naszym kandydatem, pod warunkiem jednak złożenia zadowalającej deklaracji w sprawie żydowskiej. Odmówiłem temu stanowczo, twierdząc, że nasza przeszłość i nasze wielokrotnie już zajęte stanowisko musi być dostateczną rękojmią szanowania praw, przyznanych im przez Konstytucję.

Na tym stanęło, tym bardziej, że odciągnięto mnie od rozmowy alarmującymi wieściami, że Narutowicz się waha. Dzwonki już wzywały na salę, kiedym zdołał nareszcie połączyć się z Narutowiczem telefonicznie. Zapytałem go, czy stoi przy swojej poprzedniej decyzji i naszej umowie, na co usłyszałem odpowiedź: „Ja nie chcę kandydować, ale jeżeli „Wyzwolenie" mnie postawi i przeprowadzi, wybór przyjmę". To uprawniło mnie do złożenia na stole przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego kandydatury Gabriela Narutowicza. Co prawda, w odwodzie stał jeden z naszych posłów, Bagiński, trzymając w ręku wniosek z zebranymi manifestacyjnie przed chwilą podpisami, stawiający kandydaturę Józefa Piłsudskiego. Mógł Marszałek potem wyboru nie przyjąć, ale byłem pewien, że przeciwko tej kandydaturze nie wyskoczy mi z za węgła żadna inna kandydatura w sposób nieoczekiwany.

Zaczęła się napinająca do ostatecznych granic nerwy procedura głosowania. W pierwszym głosowaniu prawica oddała głos na Maurycego Zamojskiego, „Piast" na Stanisława Wojciechowskiego, Polska Partia Socjalistyczna na Daszyńskiego, „Wyzwolenie" na Narutowicza, mniejszości na Baudouin de Courtenay'a. W drugim Daszyński, postawiony tylko manifestacyjnie, otrzymał jeden głos, Klub głosował na Wojciechowskiego, mniejszości częściowo na Narutowicza, częściowo na Wojciechowskiego. W trzecim głosowaniu wycofany został według regulaminu kandydat, który otrzymał najmniejszą ilość głosów, tj. Daszyński. Po tym głosowaniu prezes klubu żydowskiego zapytał mnie z pewnym niepokojem, czy zdaję sobie sprawę, jaka tu gruba gra idzie i jakie być mogą jej następstwa; o ile wiem, było to skutkiem pogróżek, jakimi prawica zasypywała Żydów. Odpowiedziałem, że nie czas już się namyślać. W czwartym głosowaniu odpadł Wojciechowski, a P. P. S. głosowała w znacznej przynajmniej części na Narutowicza. Na placu zostali tylko Zamojski i Narutowicz, a decydować miał „Piast". Było niemożliwością dla klubu ludowego głosować w tych warunkach na największego w Polsce obszarnika. Przeszedł, bo przejść musiał Narutowicz.

Ponieważ każdy z głosujących musiał oddawać oddzielnie głos, wszystko to trwało dość długo i skończyło się już wieczorem. Byłem śmiertelnie znużony i może dlatego nie przejąłem się zbytnio wiadomością, że na ulicy smarkacze i jakieś ciemne typy manifestują przeciwko nowoobranemu Prezydentowi.

Nazajutrz — w niedzielę — udaliśmy się jako zarząd P. S. L. „Wyzwolenie" do Ministerstwa Spraw Zagranicznych złożyć elektowi życzenia. Był może trochę podniecony wczorajszymi protestami, ale oświadczył, że wobec tego wybór stanowczo przyjmuje; zastrzegł się tylko, że nie poczuwa się w stosunku do nas do żadnych długów wdzięczności. Uspokoiliśmy go, że o tym nie może być mowy.

W powrotnej drodze spostrzegłem, że miasto jest trochę podniecone, a artykuły porannych pism prawicowych podszczuwały wprost tłumy do gwałtów.

Jeszcze bardziej uderzyło mnie to po południu, kiedym jechał tramwajem na Plac Teatralny do jednego z kolegów na towarzysko-polityczne zebranie. Ulice były pełne tłumu, z tramwajów wyrzucano Żydów, a na zebraniu dowiedziałem się, że w południe tłum wpadł do gmachu M. S. Z., na szczęście już po wyjściu stamtąd Narutowicza. W osławionym „Rozwoju" trwa ciągle wiec, na którym podburza się tłum do najgorszych gwałtów.

Zacząłem poszukiwać przez telefon pana ministra spraw wewnętrznych, Kamińskiego. Znalazłem go w końcu w teatrze Rozmaitości i zapytałem, czy nie widzi, co się w mieście dzieje. Z pewnym zdziwieniem odparł zapytaniem: A co się dzieje? Położyłem słuchawkę, obawiając się, że padnie jakieś zbyt ostre słowo. W trakcie tych rozmówek ułożono na zebraniu odezwę tak gwałtowną w treści i formie, że wahałem się, czy nie położyć przeciwko niej veta, groziła ona bowiem po prostu paleniem dworów i wieszaniem ich właścicieli. Wydało mi się to nieco zbyt przesadną reakcją, zwłaszcza, że w panujących warunkach mało wykonalną. W końcu pomyślałem jednak, że mój protest zaogni jeszcze nastroje na zebraniu — i machnąłem ręką.

Nazajutrz dn. 11 grudnia już o bardzo wczesnej godzinie byłem w Sejmie, oczekując zaprzysiężenia Prezydenta. Posłowie i senatorowie napływali szybko, ale około 10-ej rozeszły się wieści, że wyloty ulic prowadzących do Sejmu zatarasowały tłumy, przepuszczając tylko ludzi z prawicy, a zatrzymując uczestników Zgromadzenia z lewicy, jeżeli chcieli przedostać się mimo to w głąb ul. Wiejskiej. Gęste kordony po-

licji przyglądały się temu w milczeniu, tylko wylot ul. Matejki był spokojny dzięki energii kom. Dąbrowskiego, tego samego, który w dniu zamachu Sapiehy był razem ze mną aresztowany.

Wzmogło podniecenie przybycie do gmachu sejmowego sen. Kowalskiego, Żyda, z twarzą oblaną krwią, a równocześnie wiadomość, że Limanowskiego i Daszyńskiego tłum wepchnął do bramy jednego z domów przy Nowym Świecie i nie pozwala im stamtąd wyjść. Zwróciłem się do Klubu Ludowo-Narodowego z prośbą o rozmowę; za chwilę przybył do jednej z sal komisyjnych prezes Głąbiński w towarzystwie sen. Zdanowskiego, ja przybyłem z Poniatowskim. Zapowiedziałem, że jeżeli ta burda nie zostanie przerwana, zatrzymamy pracę w fabrykach i wezwiemy robotników do walki. Odpowiedziano nam, że kluby prawicy nie biorą udziału w napadach i nie mają na to co się dzieje żadnej rady. Z Placu Trzech Krzyży dochodziły echa gęstej strzelaniny.

Marszałek Rataj zwołał konwent seniorów, na którym polecono mi przygotować projekt krótkiej odezwy do ludności celem uspokojenia jej. Projekt przygotowałem od ręki, ale prawica nie chciała go podpisać łącznie z mniejszościami, a P. P. S. w ogóle odmówiła podpisu.

Atmosfera była już napięta do ostateczności. W kuluarach wybuchały co chwila zwady, przeradzające się nierzadko w bójki. W pewnym momencie duża partia posłów lewicowych wpadła do lokalu Klubu Ludowo-Narodowego i o mało co nie doszło do strzelaniny.

Kiedy Prezydent przyjechał, z dużym zresztą opóźnieniem, poszliśmy na salę, dziwnie ponurą, bo prawica odmówiła udziału w Zgromadzeniu. Wysłali tylko jednego spośród siebie, żeby z loży prasowej rzucił elektowi jeszcze parę obelg; przyjęty zresztą gradem niebywałych wymysłów nie wytrzymał tam ani minuty. Narutowicz był widocznie głęboko dotknięty wypadkami ostatnich paru dni, ale przysięgę złożył głosem mocnym i pewnym, zachowując się bardzo godnie. Później jeszcze długa chwila oczekiwania na możność odjazdu i nareszcie się to skończyło, przynajmniej dla nas skończyło, bo Prezydent miał przeżyć jeszcze ciężkie chwile.

Wieczorem zebrało się kilku członków izb ustawodawczych w mieszkaniu marsz. Rataja; przybyło też paru członków rządu z premierem na czele, którego powitały co prawda niezbyt przychylne spojrzenia za jego uchylenie się pod pretekstem choroby od obowiązku towarzyszenia elektowi do Sejmu. Główne pretensje lewicy kierowały się do ministra spraw wewnętrznych za jego niedołęstwo w obronie Zgromadzenia Na-

rodowego. Był to zresztą przyzwoity człowiek, b. członek C. K. N. przewodniczący często na jego zjazdach, ale widocznie załamany pod ciężarem sytuacji i naciskiem tzw. opinii endeckiej. Nastroje członków rządu były grobowe, wiara w siebie całkiem znikoma. Pomyślałem, że każda chwila zwłoki w zastąpieniu tych ludzi w rządzie innymi grozi nieobliczalną katastrofą.

Wieczorem przed dniem przekazania władzy przez b. Naczelnika Państwa Prezydentowi byłem w Belwederze dla dowiedzenia się, czy podjęte zostały wszystkie środki ostrożności celem zabezpieczenia elekta od nowych zniewag. Zapewniono mnie, że wszelkie obawy są wykluczone. W Belwederze było jak zawsze jasno i bardzo ciepło, ale nastrój był jakiś niemiły. Wracałem późną już nocą przez Aleje do domu. Czas był straszny: deszcz zmieszany ze śniegiem, mgła, martwa jakaś pustka, tylko silny oddział piechoty w bojowym rynsztunku szedł Agrykolą w dół na ochronę Prezydenta.

Dn. 15-go grudnia zostałem wezwany do Belwederu na pierwszą z Prezydentem rozmowę. Narutowicz był jeszcze wstrząśnięty, ale już czasem przebłysk uśmiechu rozjaśniał jego twarz. Oświadczył mi, że postanowił uspokoić kraj swoją dobrocią i taktem, a za kilka miesięcy spodziewa się móc utworzyć umiarkowany rząd, odciągnąwszy od prawicy chadecję. Pozwoliłem sobie wyrazić się o tym planie z najwyższym uznaniem, jako o jedynej na razie drodze; tylko co do przebłagiwania dzikich ludzi dobrocią żywiłem wielki sceptycyzm. Na pożegnanie Narutowicz odprowadził mnie do drzwi i powiedział z jakimś niesłychanie żałosnym uśmiechem: „Niech Panu Bóg przebaczy ten ciężar, jakiście na me barki włożyli". Tych prostych słów nie mogłem przez długie miesiące zapomnieć.

Nazajutrz, kiedy stałem w wielkim halu sejmowym, ktoś przebiegł ze słowami: „Zamach na Prezydenta". Za chwilę ktoś drugi dodał, że Prezydent już skonał. Zebrało nas się kilku prezesów klubów w gabinecie Marszałka. Byliśmy tak ogłuszeni potworną wieścią, że nikt nie mógł się zdobyć na przerwanie milczenia. W końcu ktoś z prawicy wyraził opinię, że przecież między wypadkami 11-go grudnia a dniem dzisiejszym nie ma żadnego związku. Rzuciłem się z pasją na to twierdzenie, protestując jak najgwałtowniej przeciwko narzucaniu nam tego poglądu.

Poszliśmy na konwent seniorów, na którym postawiłem wniosek odbycia Zgromadzenia Narodowego w Krakowie. Wywołało to oburzenie prawicy. Na konwencie był również gen. Sikorski, który zagroził, że jeżeli

miasto się nie uspokoi, porządek wprowadzi wojsko, nie rozróżniając niewinnych od winnych. Nie reagowałem na to, choć ta metoda poskramiania zbrodni wydała mi się nieco zbyt uproszczona. Po paru dniach gen. Sikorski został szefem rządu, a Marszałek Piłsudski szefem sztabu i ten wybór uznałem za trafny.

Straszny był dzień pogrzebu Narutowicza. Pogoda była tak mroczna i mglista, że w samo nawet południe panowały ciemności. Na chodnikach od Belwederu do Zamku stał w gęstym skupieniu jakiś skamieniały w bezruchu nieodgadniony tłum i nie wiadomo było, co się kryje pod tą skorupą milczenia. Jeszcze straszniejsze były sale zamkowe prawie zupełnie już ciemne; tylko gdzieś jak gdyby wyskoczyła ze ściany przeraźliwa wizja Rejtana.

Po powrocie do domu zaledwie zdążyłem zjeść obiad, kiedy wezwano mnie, abym natychmiast jechał do gmachu Tow. Higienicznego przy ul. Karowej, gdzie zebrało się kilkuset chłopów samorzutnie przybyłych do Warszawy i gdzie nastroje są dość groźne. Kiedym przybył na miejsce, obradowano właśnie, jak wziąć pomstę za mord. Najdalej idący wniosek znalazłby całkowite uznanie. Wszystko to zresztą odbywało się w jakimś groźnym i ponurym skupieniu, bez zbytecznych krzyków i gestów. Wskoczyłem na trybunę i zacząłem uspokajać zebranych, obiecując wymiar kary za zbrodnię na legalnej drodze. Były to szczytowe dni mojej popularności w Stronnictwie, nie zaprzeczono mi przeto i nikt już po mnie nie mówił; tylko chwilami przez salę jak gdyby przebiegał dreszcz i odzywał głuchy i straszny pomruk wściekłości, a ja nie widziałem, czy mnie za chwilę ci ludzie nie podepcą nogami. Ostatecznie zwyciężyłem — do dziś dnia nie wiem czy potrzebnie. Stamtąd pojechaliśmy do Klubu, gdzie dłużej, bardziej dobranymi argumentami musiałem uspokajać zebranych. Nigdy może żadne przemówienia nie wyczerpały mnie tak doszczętnie, jak te dwa.

Za parę dni odbyło się drugie Zgromadzenie Narodowe. Teoretycznie rzecz biorąc, można było przeprowadzić znów swego kandydata w piątym głosowaniu, ale czułem, że ani kraj, ani ja sam nie zniósłbym już nerwowo tej straszliwej piły z 5-krotnym głosowaniem. Namówiłem przeto klub, abyśmy się zrzekli wystawiania własnego kandydata i uzgodnili wybór z „Piastem". Zakomunikowałem to Witosowi przed samym już głosowaniem; ucieszył się z tego bardzo, ale oświadczył mi, że jego kandydatem jest gen. Sikorski. Uważałem Sikorskiego za bardzo zdolnego człowieka, ale sądziłem, że pożyteczniejszy będzie na dotychczasowym stanowisku premiera; byłem zresztą dość zaskoczony tą nagłą zmianą. Rozeszliśmy

się bez uzgodnienia osoby, ale w praktyce wyszedł i mógł wyjść tylko Wojciechowski wobec mojego oświadczenia, że na każdego innego kandydata oddamy białe kartki. *)

Zaczęły się nie tyle szare, ile znojne i żmudne dni normalnej pracy sejmowej. Oprócz prezesury Stronnictwa i Klubu otrzymałem przewodnictwo w Komisji Administracyjnej, najbardziej politycznej z komisji. Że zaś musiałem dość często jeździć do fabryki do Łowicza i do okręgu, czasu było zawsze za mało. Praca była nie tylko wielka, lecz trudna, jeżeli chodzi o osiągnięcie jakiegoś celu politycznego. Sejm był rozbity na mnóstwo grup, co gorsza, rozbity był także kraj. Już samo istnienie mniejszości, z którymi nie umiano dojść do trwałego porozumienia, niesłychanie utrudniało funkcjonowanie machiny parlamentarnej, skoro przesądy i demagogia nie pozwalały użyć głosów mniejszości do pozytywnej twórczości, nie mogły jednak zapobiec ich negatywnemu działaniu. Nie było ani grupy, ani nawet zrzeszenia grup polskich, które byłyby dostatecznie trwałą podstawą dla rządu albo które mogłyby konsekwentnie i trwale przeprowadzać z góry powzięte plany na terenie parlamentu. Taką siłę dać mogło jedynie połączenie prawicy z „Piastem", ale pod presją „Wyzwolenia" na terenie wiejskim takie połączenie musiałoby być z reguły nietrwałym. Małe wyrobienie polityczne kraju skłaniało ciągle strony walczące do użycia siły jako narzędzia walki politycznej; przodowała pod tym względem prawica, która drogą normalnego rozwoju nie mogła dojść do pochwycenia władzy w swe ręce; ale pod względem psychicznym działało to rozkładowo i na lewicę, która denerwowana ciągłymi prawdziwymi czy fałszywymi wieściami o planowanych zamachach, traciła zbyt wiele energii na przygotowywanie się do ich odparcia, mniej poświęcając uwagi normalnej pracy ustawodawczej. Co do mnie, obawiałem się tej zbyt daleko posuniętej walki od samego niemal początku mojej działalności parlamentarnej. Myślałem, że ktokolwiek stanąłby między walczącymi stronami jako rozjemca, Sejm straciłby wszelkie znaczenie, poza tym zaś do walki wplątaliby się komuniści, którzy wojnę domową przekształciliby rychło na walkę o Polskę.

Tymi kierując się względami, doszedłem wkrótce do wniosku, że rzeczą najpilniej Polsce potrzebną jest uspokojenie nadto już rozwydrzonych politykierów przez narzucenie wszystkim panowania prawa i poszanowa-

*) Szerzej o zgromadzeniach narodowych pisałem w wydawnictwie: Gabriel Narutowicz — Księga Pamiątkowa. Przyczynek do historii Pierwszego Zgromadzenia Narodowego. Str. 213.

nia Sejmu. Nie znaczyło by to wchodzenia w jakiekolwiek zgniłe kompromisy ani cofania się bodajby o krok w swoich programach społecznym i politycznym, znaczyło by to jedynie, że walka nie ma mieć za cel osiągnięcia od razu całego swojego programu, a winna się ograniczać do realizowania go cząstkowo i w miarę możności.

Ani na Klubie, ani na plenum Sejmu nie występowałem z moim planem w skończonej, w szczegółach opracowanej formie, wydawało mi się to bowiem przedwczesnym. Postanowiłem raczej plan ten częściami wykradać i to się na mnie później zemściło, choć myślę, że była to droga jedyna wobec małego przygotowania zarówno klubów jak Sejmu do tej nowej formy walki.

Pierwszym wystąpieniem moim, w którym ten nowy światopogląd znalazł swój wyraz, było przemówienie na plenum Sejmu w imieniu Komisji Administracyjnej, referujące wnioski w sprawie wypadków 11-go i 16-go grudnia 1922 r. (p. str. 266). Wnioski w tej sprawie złożyły niemal wszystkie kluby, oczywiście z różnych wychodząc założeń i do odmiennych dochodząc konkluzji. Referowanie ich na pełnym Sejmie oddzielnie doprowadziłoby co najmniej do zupełnego rozbicia opinii parlamentu polskiego, a być może, do jeszcze większego zaostrzenia sporu, który mógłby przekroczyć wszelkie dozwolone granice. Komisja Administracyjna zdawała sobie sprawę, że to gra nazbyt już niebezpieczna, i postanowiła sprowadzić wszystkie złożone wnioski do wspólnego mianownika. Że w tych warunkach nie można było myśleć o zadowalającym wszystkich wniosku, że trzeba było poprzestać na ogólnikowej rezolucji, to rzecz oczywista. To też w przemówieniu swoim musiałem się wyrzec atakowania nie tylko osób, lecz stronnictw, poprzestając jedynie na piętnowaniu pewnych poglądów i stwierdzając złe czy wręcz niesumienne funkcjonowanie policji, administracji, częściowo nawet sądów i uderzając dość ostro na prasę, która tak bardzo przyczyniała się do zaogniania atmosfery. Drugim mocniejszym akcentem było potępienie tzw. gloryfikacji zbrodni przy równoczesnym wezwaniu władz sądowych, aby położyły nareszcie kres tym bezczelnościom. Poza tym mowa była, jak wszystkie moje mowy, dość zimna, starałem się bowiem zawsze zmuszać słuchaczów do słuchania a nie porywać ich do wybuchów entuzjazmu czy wściekłości.

Prasa sprzymierzona z lewicą przyjęła mowę z pewnymi zastrzeżeniami. Zwłaszcza „Kurier Poranny" zaznaczył, że postawiłem nad tyloma występkami krzyż przebaczenia, iż w ostateczności całe moje przemówienie wyglądało jak cmentarzysko. W Klubie nie spotkałem jeszcze wyraźnych

sprzeciwów, ale widziałem, że nie wszyscy byli zadowoleni. Mogłem oczywiście mówić dużo ostrzej, ale nie mógłbym wówczas mówić imieniem całej komisji, a co za tym idzie, imieniem całego Sejmu. To co powiedziałem, było nieuchronnie kompromisem między dwoma stanowiskami, które na razie były nie do pogodzenia; za cenę powiedzenia prawicy pewnych przykrych ale koniecznych dla uzdrowienia atmosfery uwag zrzekłem się w imieniu lewicy powiedzenia wszystkiego, co dało by się powiedzieć odrzuciwszy kompromis. Co było więcej warte: bezwzględna szczerość czy wspólne potępienie pewnych rzeczy, to sprawa, którą można było rozstrzygnąć tylko przez zasadniczy wybór metody walki; co do mnie, wybrałem metodę, która by nie redukowała całej pracy Sejmu do nieustających krzyków i wymysłów. I dziś jeszcze sądzę, że zasadniczy wybór był trafny, pod warunkiem wszelako, że metoda ta zostanie przez obie strony szczerze przyjęta.

I tu właśnie leżało sedno sprawy. W tym i paru innych wypadkach Sejm zdobył się na jednomyślność w drażliwych sprawach politycznych, chodziło tylko o to, jak dalece to krótkotrwałe zawieszenie broni zawierało w sobie cechy trwałości. Lewica dała się popchnąć na tę drogę nie bez pewnego sceptycyzmu co do jej wartości; co do prawicy, miałem już i wówczas wrażenie, że czyni to dla oka ludzkiego, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za burzenie pokoju w kraju. Krótka scena, jaka się odegrała na Sejmie w dn. 26-ym maja 1923 r., rzucała na te sprawy dość wyraźne światło. Sejm, a razem z nim cały kraj, były coraz silniej wzburzone szeregiem zamachów, dokonywanych nie wiadomo przez kogo i tym mniej wiadomo, w czyim interesie. Podłożona w Uniwersytecie warszawskim bomba, której ofiarą padł prof. Orzęcki, doprowadziła wrzenie do szczytu. Ani policja, ani II oddział sztabu nie potrafiły wykryć sprawców, wobec czego nie wolno było nikogo oskarżać, ale wszystkich można było podejrzewać.

Co do mnie, obawiałem się, że zamachy te mogą być skutkiem działań jakichś organizacji dość luźno związanych z jawnie działającymi grupami politycznymi, ale pozostających pod wpływem ich ideologii i nie zawsze sumiennej propagandy. Myślałem, że doprowadzenie wszystkich stronnictw polskich do publicznego potępienia terroru jako środka walki politycznej utrudni tę nędzną gierkę. W porozumieniu z Marszałkiem Ratajem zwróciłem się do prezesów klubów o wspólne wystąpienie w tej sprawie; propozycję przyjęto, jakkolwiek dość chłodno. Tegoż dnia przed porządkiem dziennym wygłosiłem krótkie przemówienie, w którym przy-

znawałem wprawdzie każdemu prawo ostrej walki o swoje przekonania, ale piętnowałem surowo wszelkie uciekanie się do przemocy i w ogóle wszelkie działanie niezgodne z prawem i konstytucją. Rezolucja została oczywiście jednogłośnie przyjęta, parę razy wybuchły nawet jakby urzędowe oklaski, ale wszystko to stało się w dość lodowatej atmosferze, czy dlatego, że stronnictwa, zaskoczone nagłością mojego wniosku, obawiały się w nim jakiegoś podejścia, czy też, — że bardziej im odpowiadała ostra atmosfera ciągłej zwady, przybierającej aż nadto często formy dość karczemne.

Mimo wszystko próbowałem i nadal rozplątywać poszczególne węzły drogą spokojnego, uczciwego traktowania spraw i ustalania rzeczy i zasad bezspornych. Do takich spraw należały w pierwszym rzędzie ciągłe wypadki łamania praw obywatelskich przez administrację, w szczególności fakty znęcania się nad więźniami. Działalność Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela okazywała się zupełnie niewystarczająca, a jeśli nawet udało nam się drogą osobistych stosunków w urzędach zapobiec jakiemuś nazbyt już drastycznemu nadużyciu, nie mogła ta nieoficjalna interwencja dawać stałej i pewnej poprawy. Trzeba było walkę przenieść na teren Sejmu, tu jednak zarysowały się od razu zasadnicze trudności. Część prawa Sejmu, przejęta paniczną trwogą przed ideami przewrotu, nie chciała w ogóle nic słyszeć o nadużyciach władzy wynikających ze zbyt surowego ich tępienia; jeśli nawet w poszczególnych wypadkach nadużycia takie mogły się zdarzać, działy się one w imię i dla dobra Państwa, nie zasługiwały przeto ani na szczególne represje, ani nawet na szczególną uwagę. Że w ten sposób ginie w naszym młodym Państwie o bardzo niewyrobionej jeszcze administracji wszelki porządek prawny, że wskutek tego następuje jakieś powszechne zdziczenie, mało to kogo zdawało się obchodzić, zwłaszcza, że wiadomości o „polskim białym terrorze" używali komuniści całkiem jawnie jako broni politycznej. Teoretyczne dyskusje nie doprowadzały do niczego, pomyślałem więc, że bardziej celowym będzie dojście do porozumienia na tle jakiegoś poszczególnego wypadku.

Właśnie w początkach 1924 r. czy może w końcu 23-go zgłoszony został wniosek zbadania przez Sejm stałych wypadków znęcania się przez policję nad ludnością gminy Marcinkańce na pograniczu polsko-litewskim. Zwykłym porządkiem wniosek odesłany został do Komisji Administracyjnej, która zwróciła go Sejmowi z propozycją wybrania 9-osobowej komisji specjalnej dla zbadania sprawy na miejscu. Komisję tę obejmującą niemal wszystkie kluby wybrano i powierzono mi jej przewodnictwo.

Pojechaliśmy bezzwłocznie do Marcinkaniec. Obraz, jaki zastaliśmy na miejscu, był doprawdy przerażający. Komendantem policji był jakiś były młody oficerek o bardzo sympatycznej powierzchowności i wysokiej wartości bojowej, ale po prostu chory na sadyzm, który potęgowało w nim używanie kokainy. Znęcanie się nad ludnością, bicie, nawet zabójstwa przy rzekomym oporze sterroryzowało ludzi do takiego stopnia, że wszystko to z miejscowym księdzem na czele po prostu trzęsło się z przerażenia, składając nam zeznania. Komendant policji powiatowej z trudem dopiero zaczął sobie przypominać, iż istotnie dochodziły go pewne słuchy o nadużyciach, nie sądził jednak, żeby rzeczy zaszły aż tak daleko. Po powrocie do Warszawy zażądaliśmy natychmiastowego usunięcia owego nieszczęsnego komendancika i w kilka dni później zgłosił się on do mnie, błagając, żebym go nie gubił. Zaryzykowałem ze względu na jego przeszłość coś w rodzaju zawieszenia kary: obiecałem wystarać mu się o przeniesienie do biur Zarządu Centralnego w Warszawie, pod warunkiem, że nie przyjmie w ciągu trzech lat żadnego odpowiedzialnego i samodzielnego posterunku na prowincji, do czego nie był gotów ani wiekiem, ani ze względu na swój stan zdrowia. Dziękował mi ze wzruszeniem. Co się z nim później stało, nie wiem i nie wiem również, czy jemu i sprawie ta moja pobłażliwość wyszła na dobre. W najgorszym razie, mówiłem sobie, nie widzę innego wyjścia, bo lepszych kandydatów na takie stanowiska jest bardzo mało, a ten przynajmniej jest młody i może się poprawić, a w danej chwili wygląda jak gdyby ocknął się z jakiegoś ciężkiego koszmaru. Dodać muszę, że niektórzy z moich kolegów w Komisji byli na mnie oburzeni, choć nikt sprawy tej głośno nie podniósł.

A tymczasem na Sejm wpływały coraz to nowe skargi w sprawie dalszych nadużyć i terroru; dotyczyły one przeważnie traktowania aresztantów w więzieniach i aresztach policyjnych. Przekształcono naszą specjalną komisję na komisję do badania więzień i rozszerzono jej uprawnienia na całą Polskę. Przystąpiliśmy tak ostro do roboty, że w ciągu 6 miesięcy — od wiosny do jesieni 1924 r. zbadaliśmy 24 więzienia i 4 areszty policyjne, a w nich wszystkich więźniów politycznych i znaczną część więźniów kryminalnych. Przygotowanie sprawozdania trwało bardzo długo, później różne wypadki stanęły na przeszkodzie i dopiero w 1926 r. mogliśmy wystąpić przed Sejmem ze swoją opinią.

W międzyczasie zaszedł wypadek, który bardzo zaostrzył sprawę. Międzynarodowy Komitet Pomocy Więźniom, organizacja komunistyczna, postanowił uderzyć na Polskę przez Paryż i w tym celu doprowadził

tam do wydania odezwy, podpisanej przez bardzo wybitnych pisarzy i uczonych francuskich, potępiającej terror w więzieniach polskich. W odezwie była szczypta prawdy i mnóstwo dochodzącej do śmieszności przesady. Skorzystałem z osobistej znajomości jednego z podpisujących, p. Painlévé, i zwróciłem się do niego otwartym listem, prostując niektóre kłamstwa i ustalając właściwy obraz rzeczy. P. Painlévé przyznał później, że odezwę podpisał, jak się to często zdarza we Francji, na telefoniczną prośbę dwóch sympatycznych znajomych pań, a sprawy samej oczywiście nie zna. Odezwa jednak zrobiła swoje, powoływano się na nią przez lata a mnie zarzucano, że bronię terroru.

Przygotowanie sprawozdania dla Sejmu kosztowało mnóstwo czasu, trudu i nerwów, uzgadnianie bowiem poglądów narodowego demokraty i komunisty nie było rzeczą łatwą. Nareszcie po nieskończonych poprawkach i przeróbkach udało mi się dobrnąć do końca i wystąpić w charakterze sprawozdawcy przed Sejmem. Nie ukrywałem nadużyć, przeczyłem jednak, jakoby były stale uprawianym systemem. Sprawozdanie mogło nie być dla administracji więziennej miłym, ale nie było napaścią na Polskę. I nagle całe tak mozolnie wznoszone rusztowanie runęło: paru innych członków tej komisji zabrało głos i kiedy narodowy demokrata zarzucił mi, że przyczerniłem opis nadużyć, komunista nazwał całe sprawozdanie kłamstwem, co skłoniło mnie do zapytania marszałka, ilu jest posłów tego nazwiska w Sejmie, jeden bowiem podpisał wczoraj sprawozdanie, a drugi twierdzi dzisiaj, że jest ono kłamstwem. Ostatecznie Sejm przyjął sprawozdanie a ja przekonałem się, że w zwykłych czasach komisje sejmowe mogą niewiele zdziałać.

Próba stworzenia rządu. Najważniejszym dla mnie osobiście, niejako szczytowym punktem mojej działalności politycznej, była nieudana próba utworzenia rządu po upadku gabinetu Witosa.

Przez cały czas jego istnienia usiłowałem, przyznaję to szczerze, przyczynić się razem z całą lewicą do jego najrychlejszego upadku. Co większa, walka między „Piastem" a „Wyzwoleniem" trwała nieomal bez przerwy od samego początku istnienia Państwa. Nic nie pomagały obustronne próby zaniechania szkodliwego dla obu stron sporu, poufne zjazdy i schodzenia się na rozmowy — ciągle jak gdyby głęboka przepaść leżała między nami ku coraz większemu zgorszeniu dołów partyjnych.

Któryś z posłów żydowskich powiedział po pierwszym Zgromadzeniu Narodowym: „Historia tego Sejmu, to będą dzieje walk między Thugutem a Witosem". Nie wydało mi się to wówczas słusznym, nie wydaje się

słusznym i dziś. Historia dwóch pierwszych sejmów polskich nie była walką między „Piastem" a „Wyzwoleniem" ale nieustającą, mniej czy bardziej zamaskowaną walką między nacjonalizmem a próbą powrotu do „idei Jagiellońskiej", między Polską okaleczałą w niewoli a szukająca dróg nowych dla ozdrowienia, między interesami warstw posiadających a potrzebami świata pracy. Jeśli o technikę pracy politycznej chodzi, była to walka między poszukiwaniem doraźnych korzyści partyjnych a chęcią realizowania pewnego programu, doprowadzającą niekiedy do doktrynerstwa.

Układ sił w Sejmie był taki, że przesunięcie się „Piasta" na prawo lub na lewo dawało zrzeszenie grup, przeciwko którym nie można było na stałe utrzymać się przy władzy. Takie znaczne bardzo przesunięcie się nastąpiło po upadku rządu gen. Sikorskiego przez utworzenie rządu Witosa, opartego na współdziałaniu trzech stronnictw prawicy z „Piastem", czemu przeciwstawiała się opozycja złożona z „Wyzwolenia", Polskiej Partii Socjalistycznej i Narodowej Partii Robotniczej, nie złączonych wprawdzie ze sobą żadną stałą formą, ale porozumiewających się ze sobą bezustannie przez swoich delegatów, a nawet składających niekiedy wspólne deklaracje. Mniejszości szły zwykle z nami, bez żadnych jednak układów i zobowiązań.

Oczywiście, gdy Witos stanął na czele utworzonego przez siebie rządu centrowo-prawicowego, natężenie walki wzrosło bardzo znacznie, zwłaszcza, że na porządek obrad sejmowych przyjść miały właśnie sprawy niesłychanej wagi, przesądzające o przyszłej drodze rozwoju Polski: reforma rolna, sprawy mniejszości, ugruntowanie praworządności, ustabilizowanie waluty. Przy niskim stosunkowo rozwoju politycznym wszystkich stronnictw sejmowych walki te przybierały charakter coraz bardziej bezwzględny, niekiedy wręcz brutalny, hamując normalny bieg spraw zarówno w Sejmie, jak w rządzie.

Ale i wówczas nie była to walka osobista. Podczas ciężkiego i ostrego między nami zmagania się w ciągu aż nadto dłużących się paru lat nie miałem nigdy sposobności do uskarżania się na bezpośrednio pod moim adresem skierowane ataki Witosa, przeciwnie — stanął on nawet kilkakrotnie w swoim klubie w mojej obronie, a stroną aż nadto namiętnie atakującą go w wystąpieniach publicznych byłem ja raczej dzięki swojej wrodzonej popędliwości. Rzucane lekką ręką oskarżenia go o interesowność pomijałem jednak z niewiarą, potem wręcz ze wzgardą, jeśli bowiem nawet osiągnął p. Witos w ciągu swojego życia politycznego nie-

wielki mająteczek, mógł go również osiągnąć nie będąc politykiem, przy pomocy swoich wybitnych zdolności. Miałem go też za dobrego Polaka, choć może nieco z innej niż ja upieczonego mąki, ale chodzi przecież o chleb nie o mąkę.

Różniły nas pod względem charakteru, utrudniając zrozumienie się, dwie cechy: miał w sobie Witos zawsze ogromny głód władzy, gdy dla mnie władza była czymś o tyle cennym, o ile mogłem przy jej pomocy coś przeprowadzić. Dziś, zszedłszy już z areny politycznego działania, przyznaję, że głód władzy jest w polityku uczuciem zupełnie naturalnym, a może nawet koniecznym, polityka nie jest bowiem teoretycznym rozważaniem pożytku państwa, tylko dążeniem do uchwycenia w ręce dźwigni regulujących bieg machiny państwowej. Wrócimy zresztą do tego za chwilę. Drugą odróżniającą nas podówczas cechą był dość wzgardliwy stosunek Witosa do ludzi, traktowanie ich jako narzędzia albo przeszkody. Istotnie, zmuszanie ludzi do chodzenia wciąż na palcach graniczy z naiwnością, rzeczą w polityce zabójczą. Ale pod tym względem może dzisiaj różnice nie byłyby między nami tak wielkie.

A wreszcie różnica największa, najistotniejsza: różnica pochodzenia. Nie o to chodzi, czy się kto urodził w chłopskiej chacie, czy w inteligenckim mieszkanku, bo to są różnice, które życie potem często wyrównywa. Ważniejszą jest różnica pochodzenia dzielnicowego. Chwalimy się często — i słusznie — przed obcymi, że w parę lat po wojnie wpływ granic dzielnicowych ustąpił, ale mówiąc ze sobą musimy stawiać wyższe żądania. I nigdzie, jak w polityce, nie jest tak ważne, czy ktoś do pracy politycznej przyszedł „spod Moskala" czy też „spod Austriaka", z tradycją walk powstańczych i kreciej roboty spiskowej we krwi, czy też z nawykiem małych walk dla osiągania bardzo cząstkowych celów. Cel ogólny mógł być w pracy ten sam, ale jakże te różnice psychiczne wpływały na formy taktyki, rzeczy w polityce tak kapitalnego znaczenia, tak głęboko i doszczętnie różniącej najbliższych sobie ludzi.

W tych warunkach rząd utworzony przez Witosa nie tylko spotkał od razu ostry sprzeciw reszty Izby, ale ostrość tego sprzeciwu rosła z każdym dniem. Formalnie rząd był w porządku, posiadał bowiem za sobą większość, jakkolwiek nieznaczną. Prócz tego powoływał on się ciągle na argument, że jest jedynym rządem, który w tym Sejmie może się oprzeć na większości. Ale przywiązanie do form parlamentarnych i legalizmu były jeszcze w Polsce zbyt słabe, aby być rządowi ochroną; spór zaczynał wylewać się poza Sejm, zdenerwowanie powszechne



Fot. Jan Bułhak w Wilnie

1912 r.

rosło, zaczynały krążyć jakieś dzikie wieści o knowanych spiskach, o odbieranych w podziemiach kościelnych przysięgach, przy czym nie bardzo nawet było wiadomo, w jakim celu te spiski powstają.

Kilka tygodni przed ustąpieniem rządu powiększył on się przez wstąpienie do niego trzech wybitnych polityków obozu prawicowego, mianowicie pp. Dmowskiego, Stanisława Grabskiego i Korfantego. Wyglądało to na wzmocnienie szyków przed ostateczną rozgrywką i przez opozycję przyjęte zostało jako wyzwanie. Sytuacja zaczynała się robić groźna i choć naprawdę nikt o zamachach nie myślał, powietrze stawało się zbyt już przesiąknięte awanturą, co wobec niedawnych krwawych wypadków krakowskich, w których tłum rozbroił wojsko, nasuwało poważne myśli. W tym to czasie spotkałem kiedyś p. Stanisława Bukowieckiego, prezesa Prokuratorii Generalnej, który zaproponował mi, abym się spotkał w jego mieszkaniu z Dmowskim dla wspólnego naradzenia się nad wyjściem z sytuacji. Nie wierzyłem w celowość tej rozmowy, ale ze względu na powszechny szacunek, jakim cieszył się p. Bukowiecki, zgodziłem się na tę próbę. Rozmowa trwała dość długo i oczywiście skutków zamierzonych przez gospodarza nie osiągnęła, padło w niej jednak kilka bardzo pożytecznych słówek. Na uwagę moją mianowicie, że widocznie prawica szykuje się do walnej rozprawy, kiedy wysyła na front największe tuzy, Dmowski roześmiał się i odrzekł: „Ależ to najgrubsze nieporozumienie. Nie wiem, co się uwidziało moim przyjaciołom, żeby mnie znowu wciągać do czynnej polityki, kiedy ja myślę, że mogę być bardziej pożytecznym kończąc swoją książkę, aniżeli odrabiając jakieś niemądre kawałki w ministerstwie". Brzmiało z tego takie bezbrzeżne lekceważenie wypadków dnia, iż pomyślałem sobie, że nasza ocena sytuacji była jednak fałszywa. Walka tym nie mniej trwała dalej, trwała automatycznie. Co dzień rządowi stawiano votum nieufności i co dzień przegrywaliśmy paroma głosami. Od czasu do czasu myślałem, co będzie, jeżeli któregoś dnia kilku posłów większości rządowej zatrzymanych zostanie w domu przez niedyspozycję albo jakiś wypadek rodzinny; oczywiście zostaniemy panami placu, ale co dalej?

Wypadek taki nastąpił bardzo niezadługo przez wyjście z klubu „Piasta" p. Dąbskiego i jego 15 towarzyszy. Rządowi zabrakło większości nawet tak skromnej, jaką rozporządzał dotychczas, wobec czego podał się niezwłocznie do dymisji.

Nazajutrz rano wezwany zostałem do Belwederu dla przedstawienia Panu Prezydentowi swoich poglądów na sytuację, jaka się wytworzyła.

Zastałem Prezydenta wzburzonego, niemal zrozpaczonego, chwilami w głosie jego dawał się słyszeć jak gdyby szloch. Usiłowałem go uspokoić, zwracając uwagę, że w systemie rządów parlamentarnych to rzecz całkiem zwykła i naturalna, a sytuacja dotychczasowa stawała się już nie do wytrzymania. Na zapytanie, kogo bym doradzał jako szefa rządu, odrzekłem, że mianowanie premiera jest wyłączną prerogatywą Prezydenta Rzeczypospolitej, ja zaś mógłbym jedynie wyrazić ogólnikową opinię, iż powinien to być człowiek nieposzlakowany pod względem moralnym i powszechnie za takiego uznany, poza tym zaś wiedzący czego chce i nie oglądający się zbytnio na spotykane przeszkody. Na zakończenie dowiedziałem się, że Prezydent zamierza powierzyć tworzenie rządu p. Władysławowi Grabskiemu, co w milczeniu przyjąłem do wiadomości.

W Sejmie jednak, a zwłaszcza w Porozumieniu Stronnictw Lewicowych przyjęto tę wiadomość z pewnym wzburzeniem. Twierdzono, że skoro według Konstytucji mamy ustrój parlamentarny, następcą ustępującego premiera powinien być szef opozycji, którym z natury rzeczy w istniejących warunkach mogę być tylko ja. Zaznaczyłem, że jeśli nawet w zasadzie zgadzam się z tym poglądem, trudno by mi było samemu wysuwać swoją kandydaturę. Na to zaproponował Barlicki, prezes Klubu P. P. S., abyśmy udali się natychmiast we trzech (Barlicki, Chądzyński, prezes N. P. R-u, i ja) do Belwederu dla przedstawienia Prezydentowi tych względów konstytucyjnych. Opierałem się temu, jak mogłem, rzecz bowiem nie wydawała mi się smaczną, w ostateczności jednak ustąpiłem. Udaliśmy się do Belwederu, gdzie Barlicki z należnym uszanowaniem, ale dość żywo przedstawił nasz punkt widzenia. Na zapytanie Prezydenta, kto jest kandydatem lewicy, padło moje nazwisko, po czym już bezzwłocznie wezwany szef Kancelarii Cywilnej wygotował na poczekaniu pismo polecające mi utworzenie rządu i z tym po kilku minutach rozmowy rozstaliśmy się. Przed wyjściem zaznaczyłem, że rząd, który zamierzam tworzyć, opierałby się na poparciu klubów od Chrześcijańskiej Demokracji do Polskiej Partii Socjalistycznej i nie byłby ściśle parlamentarnym, zamierzam bowiem zaprosić do niego parę osób spoza parlamentu, co Prezydent z zadowoleniem przyjął do wiadomości.

Wróciwszy do Sejmu trzeba było zwołać Klub dla rozpatrzenia się w nowym położeniu, tym bardziej, że drugą wizytę w Belwederze musiałem dla pośpiechu zrobić na własną rękę. Przedstawiłem swój plan, polegający na odciągnięciu Chrześcijańskiej Demokracji od bloku prawi-

cy i przyciągnięciu jej do nas. Była to ta sama koncepcja, o której w ostatniej naszej rozmowie wspominał mi Narutowicz, koncepcja, która zresztą od dłuższego już czasu stawała się przekonaniem i koncepcją coraz większego grona osób na lewicy, jako jedyne wyjście z sytuacji dla ratowania parlamentaryzmu polskiego. Nie stawiając sprawy oficjalnie, starałem się już od dawna przekonywać w prywatnych rozmowach swoich kolegów, że nowa ta koncepcja jest nieuchronna, jeżeli Sejm nie ma utonąć w niekończących się swarach, w których nikt nie ma szans trwałego zwycięstwa. Zwracałem uwagę, że jeżeli rządy w Polsce i nadal sprawować będą „mężowie opatrznościowi", to prawa Sejmu siłą faktu będą musiały być uszczuplone, nawet jeżeli nie nastąpi krwawe starcie. Twierdzenia te nie spotykały na ogół większego sprzeciwu, zwłaszcza że stawiane były raczej teoretycznie. Teraz postawiłem je konkretnie i nagląco. Oczywiście, nie ukrywałem tego, że wciągając do spółki grupy dotychczas nam wrogie a co najmniej obce, musimy na razie zrezygnować z natychmiastowego osiągnięcia w 100% naszego programu, ale przecież to jest nieuchronna konsekwencja kompromisu, który jest podstawą polityki. W tym kompromisie zresztą szanse nasze nie wyglądają bynajmniej źle, będziemy mieli bowiem dla siebie stanowisko kierownicze i poparcie znacznej części opinii kraju, którą mieliśmy dotychczas zwykle przeciwko sobie. Opinię tę pociągniemy tym bardziej ku sobie, jeżeli uda mi się uzyskać współpracę w gabinecie Piłsudskiego i Grabskiego. W ten sposób można będzie wprowadzić z powrotem Piłsudskiego na należne mu miejsce w wojsku, uporządkować sprawy skarbowe, usprawnić administrację, zapoczątkować przynajmniej uporządkowanie stosunków naszych z mniejszościami, nie licząc wielu spraw drobniejszych, którym będziemy mogli poświęcić czas zużywany dotychczas na bezpłodne walki. A potem? — o to będziemy się martwili po upływie niemałego zapewne czasu, jaki nam zajmie wykonanie tych głównych rzeczy objętych kompromisem.

Jeżeli Klub i Stronnictwo uważają moją misję tworzenia rządu za niewskazaną, a nawet niebezpieczną dla siebie, gotów jestem natychmiast wyrzec się tej misji. Jeżeli nie chce się nią zbytnio obciążać, mogę odpowiedzialność przyjąć na siebie, tworząc gabinet półparlamentarny; prezesurę oczywiście złożę, z Klubu jednak nie ustąpię.

Na tym stanęło. Nie wszyscy byli przekonani, jawnego jednak sprzeciwu nie było. Pozostawały inne kluby. Było już za późno na jakiekolwiek rozmowy; jedynie przed samym wyjściem spotkałem p. Bron. Ta-

raszkiewicza, prezesa Klubu Białoruskiego, którego zapytałem o ich stosunek do mojego ewentualnego gabinetu. Obiecał mi swoją życzliwość, upewnił nawet, że nie będą wysuwali żadnych żądań, których realizacja mogłaby dla mnie być szczególnie kłopotliwa.

Inną oczywiście była rozmowa na drugi dzień rano z pp. Głąbińskim i Dubanowiczem, prezesami klubów prawicy. O współpracy nie mogło być w ogóle mowy, zapytałem tylko czy mamy powrócić do stosunków z czasu pierwszego Zgromadzenia Narodowego, tj. do walki na noże. Uspokojono mnie, że walka będzie się toczyła w granicach najzupełniejszego legalizmu; rozmowa trwała zaledwie parę minut.

Udałem się do Prezydium Rady Ministrów dla porozmawiania z kurtuazji z p. Witosem. Przyjął mnie bardzo ozięble, prawie oburkliwie, a na zapytanie, czy mogę liczyć na jego współpracę, odpowiedział z rozdrażnieniem, że było by to dość dziwne. Nie spodziewałem się innej odpowiedzi i pocieszałem się, że czas w takich wypadkach jest dobrym lekarzem, zwłaszcza gdy go wspomoże tak zdrowy rozsądek, jak ten, który posiadał mój rozmówca. Po powrocie do Sejmu zresztą uprzedził mnie prywatnie jeden z najwybitniejszych posłów „Piasta", że byle bym pozyskał Chrześcijańską Demokrację, nie mam się czego obawiać z ich strony, chłopi bowiem niechętni są dalszej walce pomiędzy klubami chłopskimi.

Ten sam warunek pozyskania Chrześcijańskiej Demokracji postawił mi p. Władysław Grabski, który poza tym zgodził się objąć tekę ministra skarbu.

Do Piłsudskiego, do Sulejówka udałem się po południu. Marszałek prośbę moją o objęcie Ministerstwa Spraw Wojskowych przyjął bez namysłu, zastrzegając się jedynie, że na posiedzeniach Rady będzie się zastępował zwykle przez wice-ministra, te rzeczy nużą go bowiem bardzo. Na wiadomość o objęciu koalicją rządową Chrześcijańskiej Demokracji odrzekł: „To bardzo dobrze".

Okazało się niestety, że coś się w tym rachunku nie zgadza. O konieczności stworzenia rządu opartego na prawym skrzydle na Chrz. Dem. mówiłem już dawniej i niejednokrotnie z prezesem tego ugrupowania, p. Józefem Chacińskim, oczywiście mówiłem w sposób raczej teoretyczny i prywatny. Nie spotykając zasadniczego sprzeciwu miałem prawo przypuszczać, że wykonanie tej koncepcji nie napotka na większe trudności w praktyce. Ale kiedym wróciwszy z Sulejówka wystąpił z formalną propozycją do p. Chacińskiego, do rozmowy przyłączył się p. Korfanty,

który kategorycznie sprzeciwił się wejściu Ch. D. do gabinetu. P. Chaciński milczał, oświadczając wreszcie, że taka jest decyzja Klubu. Nie było o czym więcej mówić. Udałem się do Belwederu, składając swoją misję, a kiedy p. Wojciechowski zapytał, kogo bym polecał na premiera, odpowiedziałem krótko: p. Grabskiego.

To złożenie misji ściągnęło na moją głowę gromy; są ludzie, którzy nawet i dziś jeszcze obarczają mnie zarzutem ucieczki od władzy i zaskakiwania swoich towarzyszy niespodzianymi decyzjami. W drugim z tych zarzutów jest nieco prawdy, istotnie bowiem prowadziłem swoją akcję raczej nieco samodzielnie, aniżeli jako reprezentant pewnych grup, o czym zresztą od początku wszystkich lojalnie uprzedzałem, porozumiewanie się bowiem z kilkunastoma osobami i klubami oraz stałe informowanie Prezydenta o przebiegu rokowań przy równoczesnym ciągłym asystowaniu obradom wewnętrznym Klubu uważałem za niemożliwe. Rozmowy zresztą o składzie gabinetu odkładałem wbrew zwyczajowi na koniec — i tu był mój błąd.

Co do pierwszego zarzutu — obawy władzy — uważałem go i uważam za absurd. Przyjmując misję tworzenia rządu nie ubiegałem się bynajmniej o posadę premiera, tylko chciałem zrealizować koncepcję Centrolewu, która widocznie miała w sobie coś żywotnego, skoro zrealizowana została później i trwała pewien dłuższy czas jako zorganizowana forma opozycji. Przeprowadzenie jej wówczas, na wiosnę 1924 r., było niemożliwością. Z odpadnięciem Chrz. Demokracji rachuby na „Piasta" stawały się więcej niż zawodne, zwłaszcza, że usunąłby się wówczas na pewno p. Grabski a prawdopodobnie i Marszałek Piłsudski. Zostałaby garstka ludzi należących do trzech niezbyt licznych grup, z którą nie było co mówić o dokonaniu poważniejszych rzeczy; z wielkiej wojny o wielkie zasady zrobiłaby się mała awantura, których i tak w Sejmie było aż za dużo. Można było oczywiście stworzyć rząd całkiem pozaparlamentarny, ale do tego właśnie ja — parlamentarzysta i przywódca Klubu — byłem najmniej powołany. Wolałem poprzestać na wskazaniu drogi innym, za co zresztą zapłaciłem olbrzymią cenę, bo od tej chwili stosunek mój z Klubem zaczął się psuć poważnie. Co do błędów, które wówczas popełniłem, uważam je za nieodzowny niemal warunek wprowadzenia jakiejś idei w życie i chodzi tylko o to, żeby ich nie było więcej niż sił prowadzących do realizacji. Główny błąd zrozumiałem zresztą dopiero znacznie później. Kiedy w parę lat potem rozmawiałem o tych wypadkach z p. Chacińskim i spytałem go, czy nie sądzi, że lepiej by uczy-

nił przyjmując wówczas moją propozycję, odpowiedział mi: „Bezwzględnie tak, ale czas był jeszcze nie nadszedł; Pan przyłożył nam znienacka pistolet do głowy i kazał się decydować natychmiast, a grupy myślą wolno". To słuszne i tu przyznaję się do dalszego błędu: już w czasie walki z poprzednim gabinetem trzeba było więcej czasu poświęcić na przygotowanie elementów przyszłego rządu. I rzecz druga: jest to wielkim ryzykiem dla parlamentarnego polityka wybiegać zbyt daleko ponad kursujące w opinii poglądy i koncepcje, jest to nie tyle śmiałość, co lekkomyślność.

Za granicą. Te krótkie kilka dni zmęczyło mnie nerwowo porządnie. Właśnie w tym czasie przyjechał do Warszawy dyrektor departamentu zdrowia w Lidze Narodów, p. Ludwik Rajchman, który zaczął mnie namawiać, abym wyjechał z nim do Genewy i Londynu dla zorientowania się nieco w sytuacji europejskiej. Traktowałem to z początku z uśmiechem ze względu na znaczne koszty, ale kiedy któregoś dnia Poniatowski zakomunikował mi, że grono osób, dopatrując się w tej wycieczce pożytku publicznego, zebrało na ten cel dość znaczną sumkę, trudność ta odpadła i niezadługo ruszyłem w kilkotygodniową podróż.

Pierwszym, nie bardzo miłym wrażeniem było zatrzymanie mnie na granicy szwajcarskiej dla odbycia kilkodniowej kwaratanny, ponieważ jadę z Polski; dopiero interwencja z sekretariatu Ligi Narodów skróciła tę ceremonię do kilku godzin. W Genewie poznałem wszystkich niemal dyrektorów Ligi i sporo bawiących tam stale dyplomatów, dzięki czemu mogłem choć trochę zajrzeć za kulisy odgrywających się podówczas wypadków. Na ogół były to rzeczy drobne, ale czasem w jakiejś niewiele znaczącej rozmowie zastanawiałem się głęboko nad odmiennością tamtego świata. Tak np. w czasie śniadania spożywanego z p. Filipem Backerem i Ludwikiem Rajchmanem zaczęliśmy snuć horoskopy na temat przyszłości Ligi Narodów. P. Backer słuchał raczej w milczeniu, ale w pewnym momencie zauważył: „Mnie się zdaje, że p. Thugutt ma rację; znam już ten jego pogląd z tego, co mówił na Sejmie w Warszawie". Wstaliśmy już od stołu, ale przy wyjściu zapytałem go ze zdziwieniem: „Skąd Pan wie, co ja mówiłem w Warszawie?" P. Backer uśmiechnął się i wyjaśnił, że ponieważ jest urzędnikiem angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych, idąc z kimś na śniadanie wie już o nim wszystko, co należy wiedzieć. Pomyślałem nie bez smutku, że ten mądry zwyczaj nie dotarł jeszcze do Warszawy. W parę dni później zostałem

zaproszony na śniadanie z p. Beneszem; było sporo urzędników z czeskiej delegacji i kilku wyższych urzędników z Ligi, ale mówiliśmy prawie wyłącznie my dwaj. Rozmowa była długa, pełna eleganckich ukłonów, serdecznych wynurzeń i stwierdzania konieczności zgody między naszymi narodami, ale wstałem od stołu z głębokim przeświadczeniem, że rozmawiałem z człowiekiem, w którym nie uda nam się pozyskać przyjaciela dla Polski. W kilka miesięcy później, przy ponownym pobycie w Genewie powtórzyliśmy jeszcze raz taką rozmowę, ale wrażenie pozostało takie samo.

Z Genewy zrobiłem kilkunastodniowy wypad do Włoch. Najprzód czarowny, niezapomniany tydzień we Florencji, którą wówczas dopiero poznałem, potem Rzym. Znany mi już z dawniejszych czasów poseł polski przy Kwirynale, p. August Zaleski, zapytał mi się, czy chciałbym być u Mussoliniego. Po chwili wahania odpowiedziałem twierdząco, po pierwsze bowiem ciekawość przemogła, a poza tym chciałem mu zadać pewne pytanie. Po paru dniach przyjął mnie na długiej audiencji. Początek rozmowy był dość osobliwy, mój gospodarz bowiem usiadłszy naprzeciwko mnie, zaczął mnie bez końca fiksować swoimi płomiennymi istotnie oczami przy obustronnym zupełnym milczeniu. Ale dalszy ciąg był interesujący, jak interesującą bywa zawsze rozmowa z inteligentnym i rozsądnym człowiekiem.

Zapytałem go — to był ten istotny cel wizyty — czy prawdą jest, że chciałby rozpowszechniać faszyzm po całej Europie, a między innymi w Polsce. Zaprzeczył temu żywo i ostro, twierdząc, że faszyzm jest produktem włoskim nie przeznaczonym bynajmniej na eksport; przeciwnie, przestrzega przed nim inne narody, bo tylko Włosi umieją od tysięcy lat dyskutować sztyletem a równocześnie budować takie pałace, jak ten tutaj (było to we wspaniałym zaiste pałacu Chigi). Później już rozmowa dotyczyła wyłącznie Polski, przy czym aż do końca powtarzał ciągle: nie żałujcie na armaty, to jest niezbędne w waszym położeniu.

W trakcie rozmowy zapytałem go — po uprzednim porozumieniu z Zaleskim — czy nie sądziłby, że nadszedł czas, aby Włochy i Polska podniosły swoje poselstwa do rangi ambasad; nie ma to oczywiście głębszego znaczenia, ale dla początkującej Polski ma pewną prestiżową wartość. Mussolini odrzekł, że zgodzi się na to bardzo chętnie, o ile otrzyma urzędową propozycję, a na zapytanie moje, czy mogę zakomunikować to przedstawicielom innych państw, odpowiedział, że nie ma nic przeciwko temu.

Po bytności u Mussoliniego zgłosiło się kilku włoskich dziennikarzy z prośbą o wywiad albo dłuższą rozmowę. W rozmowach tych interesowały ich wyłącznie pytania: jakie wrażenie wywarł na mnie Duce i co myślę o faszyzmie. Ton tych pogawędek był aż nadto przesycony komplementami i grzecznostkami i w jakiejś chwili powiedziałem głupstwo, za które mi później przez parę lat różni ultrademokraci robili wyrzuty, mianowicie: gdybym był Włochem, byłbym faszystą. Tak mówić oczywiście nie należało, bo to było nieprawdą, a poza tym obrażało demokratów włoskich, ale ja się przynajmniej do popełnionych głupstw jawnie przyznaję.

Z Rzymu pojechałem do Londynu, gdzie Rajchman wyrobił mi dzięki swojej dawnej znajomości z Mac Donaldem dłuższą z nim rozmowę. Treści jej nie pamiętam prócz dość charakterystycznego zakończenia. Kiedy wspomniałem o sprawie ambasad, wyraził się o niej całkiem negatywnie ze względu na koszty, jakie to za sobą pociąga. Na uwagę, że jednak Anglia posiada ich wiele w różnych krajach, oświadczył, że zamierza przystąpić do ich znoszenia, a na wzmiankę o obietnicy Mussoliniego odrzekł z pewnym zniecierpliwieniem: „Zobaczymy, co powie po rozmowie ze mną". To ostatnie było tak zdumiewające, że ucięło rozmowę.

Inną równie zastanawiającą rozmówkę miałem z p. Hendersonem, synem ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Informował się dość sumiennie o stanie spraw polskich, a w pewnym momencie zaznaczył: „A to Wilno, czy nie lepiej było by dla świętego spokoju oddać je Rosji?". Kiedym wracając przez Paryż odwiedził tam p. Pawła Painlévé, wielokrotnego premiera i wielkiego uczonego, który pytał mnie o wrażenia londyńskie, powiedziałem mu o Hendersonowej radzie. Painlévé, który był człowiekiem bardzo szczerym i impulsywnym, zamilkł jak gdyby w zakłopotaniu, a wreszcie wybuchł z serdecznym wylaniem: „Drogi Panie, ale czyby to doprawdy nie było najlepszym wyjściem?" Do licha, pomyślałem, jakże jest łatwo czynić dary z cudzego dobra, nie znając nawet jego wartości.

Po przyjeździe do Warszawy przeczytałem w paru pismach cierpkie uwagi o niefortunnych turystach politycznych, którzy na swoją rękę prowadzą politykę za granicą, przeszkadzając tym rządowi; nie chciało mi się już nawet tłumaczyć politycznym analfabetom, że każda moja rozmowa była dokonana za wiedzą lub nawet na prośbę rządu, a wprowadzanie

pewnych kwestii przez ludzi nie wchodzących w skład rządu jest zwyczajem w całym świecie uznanym i przyjętym.

Ustawy językowe. Prawami narodowościowymi interesowałem się już w czasie wojny; nie wzbudzały one wówczas zadrażnień, my bowiem staliśmy na gruncie przyznania mniejszościom praw autonomicznych, przedstawiciele mniejszości zaś przyznawali, że nadmiar polskiej ludności rolniczej będzie musiał szukać miejsca do pracy na ich ziemiach. Konstytucja nie dała im wprawdzie autonomii, ale uznała zasadniczo prawo do pielęgnowania swojej kultury narodowej. Ostre spory zaczęły się dopiero w drugim Sejmie, w którym liczba reprezentantów mniejszości wzrosła bardzo znacznie, a dotyczące ich przepisy Konstytucji zaczęły być łamane i lekceważone całkiem jawnie. Nić tradycji jagiellońskich została już doszczętnie nie tyle może zerwana, co zapomniana, mniejszości stawiały sprawę: wszystko lub nic.

W tych warunkach sądziłem, że dla państwa liczącego w swoich granicach trzecią część obywateli obcego pochodzenia, jest to jedna ze spraw najpilniejszych i że skoro nie można jej rozwiązać bez wojny domowej od razu i w całości, należy szeregiem drobniejszych reform przyzwyczajać opinię polską do szerszych koncepcji. Po moim powrocie z zagranicy zwrócił się do mnie p. Władysław Grabski z propozycją opracowania w gronie kilku osób projektu reform w sądach, administracji i szkolnictwie, stwarzających pewne uprawnienia specjalne dla mniejszości słowiańskich. Grono to miało składać się z czterech osób: Stanisława Grabskiego, jednego z przywódców Narodowej Demokracji, Eugeniusza Starczewskiego, Piastowca, Henryka Loewenherza, bezpartyjnego i mnie — stąd późniejsza nazwa Komisji Czterech. Powstanie jej miało być ujawnione, ale przebieg obrad tajny do chwili ich ukończenia. W stosunku do rządu miała mieć jedynie głos doradczy, w rzeczywistości projekty jej poszły na Sejm bez zmian. Propozycję przyjąłem, zawiadamiając o tym Klub w słowach dość ogólnikowych i uchylając na razie wszelką dyskusję, co nie zostało przyjęte co prawda zbyt życzliwie.

Pierwsze rozmowy w Komisji szły jak po grudzie, byliśmy dla siebie z p. Grabskim ogniem i wodą, a pozostali dwaj panowie, rozumiejąc, że chodzi tu właściwie o ugodę między dwoma wielkimi kierunkami polskiej myśli politycznej w Sejmie, zachowywali się przeważnie milcząco, a głos zabierali raczej w charakterze rzeczoznawców. Czasem jakiś nieważny pozornie punkt wracał kilka dni pod obrady, a równocześnie uzga-

dnialiśmy inne punkty; w ten sposób tworzył się archipelag, z którego dopiero pomału powstawał ląd stały.

Ta ciężka praca zajęła nam 15 czy 18 posiedzeń, a kiedy nareszcie była już ukończona, wahałem się między żalem, że niektóre całkiem zasadnicze punkty zmuszony byłem opuścić jak stracone forty, a radością, że raz przecie nareszcie zaczęło się o tych sprawach mówić poważnie. Z tym poszliśmy na Sejm, zaznajomiwszy uprzednio swe kluby z treścią projektów. Jeżeli chodzi o mój Klub, część jego członków była zgorszona, że zaznajamiam ich z gotowym projektem, w którym nic zmienić nie można, inni, żem dokonywał kompromisów z endekiem, ale ostatecznie uchwalono głosować za całością projektów wszystkich trzech ustaw.

Prawdziwą dla mnie i gorzką niespodzianką były później dyskusje nad tymi ustawami w Komisji Konstytucyjnej i na plenum Sejmu. Projekty traktowane były jako rządowe, ale rząd nie zabierał przy nich głosu, wprowadzającymi zaś ustawy byłem ja, pos. Kiernik i Stan. Grabski. We wstępnym przemówieniu swoim (p. str. 278) zwracałem uwagę, że jest to być może minimum tego, czego mniejszości żądają, ale zarazem maksimum tego, co się dało osiągnąć jako kompromis wszystkich stronnictw polskich. Przyjęcie tych reform nie obowiązuje mniejszości do kwitowania z dalej idących aspiracji narodowych, które rozumiem i którym gotów jestem współczuć tak długo, dopóki nie zaczną one zagrażać całości Państwa Polskiego. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się ostrej krytyki ze strony Ukraińców i Białorusinów niektórych punktów wniesionych ustaw, ale nie myślałem, że krytyka ta dojdzie aż do odrzucenia ustaw en bloc, do manifestacyjnego opuszczenia sali przed głosowaniem, a zwłaszcza do tak pełnego nienawiści tonu w przemówieniach. Jeszcze przez resztki szacunku nie nazywano mnie zdrajcą, ale posądzeń o ugodowość, o strach przed endecją nie brakło. Ustawy przeszły tylko głosami polskimi.

Muszę też z żalem stwierdzić, że podejrzenia mniejszości, iż ustawy te nie będą w praktyce wykonywane, podejrzenia, które odrzucałem stanowczo, sprawdziły się w pewnej mierze, zwłaszcza jeśli chodzi o ustawę szkolną. Miałem okazję stwierdzać to aż nadto często, odbierając potem mnóstwo skarg na działalność niższych urzędów przy obliczaniu ilości dzieci obcoplemiennych i żądań rodziców założenia szkoły z obcym językiem nauczania. Ale gdyby mniejszości i lewica posłuchały wówczas mej rady i postarały się o stworzenie urzędu kontrolującego wykonanie tych ustaw, oczywiście urzędu niezależnego, nie doszło by zapewne do tego, że musiałem się później wstydzić swojego optymizmu, a podpis pod źle

wykonywaną ustawą szkolną wycofać. I jeszcze jedno. Jeżeli mniejszości odrzuciły z taką zaciekłością ulgi, które im ustawy o języku w sądach i administracji darmo dawały, przypisać to należy dwóm przyczynom. Po pierwsze, ilość wyrobionych politycznie posłów wśród mniejszości była jeszcze mniejsza niż w stronnictwach polskich. Po wtóre, wpływy bolszewizmu w klubach mniejszości słowiańskich, wpływy może nie zawsze uświadomione ale dość silne, przeszkadzały uporczywie poprawieniu wzajemnych stosunków pomiędzy Polską a jej mniejszościami.

Wyjście z Klubu. Klub „Wyzwolenia" przez dłuższy czas uchodził za wzorowy pod względem karności. Istotnie nie było wypadku, żeby na Sejmie przy głosowaniu ktoś się wyłamał, choć uprzednio na Klubie dyskusje mogły być żywe.

Było parę przyczyn takiego stanu rzeczy. Przede wszystkim stronnictwo rosło od góry. Jakkolwiek powstało ono z połączenia trzech dawniej już istniejących grup, kierowane, i rozszerzane było przez szczupłą garstkę ludzi, której jądro stanowili Poniatowski, Bagiński, ja i kilka osób należących do prezydiów zarządu i rady naczelnej. Praktyczne cele, jakie Stronnictwo sobie stawiało z początku, były bardzo proste: walka o niepodległość, budzenie świadomości narodowej i społecznej, rozbudowa organizacji. Napięcie radykalizmu było z początku dosyć umiarkowane, podkład klasowy mało zaznaczony, jeżeli bowiem wśród członków przeważał ogromny odsetek chłopów, to byli to chłopi wszelkich kategorii pod względem stopnia zamożności; wśród warstw kierowniczych przeważali raczej średnio zamożni rolnicy.

Potem w wolnej Polsce ruch zaczął się różniczkować. Pod wpływem ostrych walk z prawicą i współzawodnictwa z „Piastem" napięcie radykalizmu wzrosło, do czego przyczyniło się niemało połączenie z wileńskim „Odrodzeniem", składającym się w znacznej mierze z chłopów białoruskich i litewskich, bardziej radykalnych od polskich. Kilku ludzi z tej grupy pod przewodnictwem głośnego potem Sylwestra Wojewódzkiego, połączywszy się z kilkoma najradykalniejszymi działaczami z Kongresówki, zaczęło ujawniać podleganie wpływom komunistycznym. W tym mniej więcej czasie nastąpiło połączenie się „Wyzwolenia" z grupą secesjonistów z „Piasta", którzy pod przywództwem Jana Dąbskiego założyli stronnictwo p. n. „Jedność Ludowa". Stronnictwo to połączyło się z „Wyzwoleniem", przy czym w ostatniej chwili, w przeddzień zwołanego do Warszawy zjazdu obu organizacji, zdarzył się wypadek dość osobliwy. Zostałem delegowany wraz z Kazim. Bagińskim na ostatnie

zebranie przedstawicieli dwóch grup, którego głównym zadaniem miał być podział władz w przyszłym połączonym stronnictwie. „Jedność Ludowa" żądała dla siebie jednej z dwóch prezesur: Stronnictwa lub Klubu; „Wyzwolenie" obie te godności chciało zatrzymać dla siebie (w praktyce dla mnie). Spór toczył się godzinami nużący i niemiły. W pewnej chwili pomyślałem, że zerwanie w przeddzień kongresu rokowań dla sprawy w gruncie rzeczy czysto prestiżowej będzie ciężkim ciosem zadanym całemu ruchowi ludowemu, i porozumiawszy się w paru słowach z Bagińskim, oświadczyłem, że oddajemy im prezesurę Stronnictwa, zatrzymując dla siebie prezesurę Klubu.

Na drugi dzień trzeba było przyznać się do najwyraźniejszego przekroczenia władzy, przy czym prosiłem o oddanie mnie pod sąd partyjny. Pod sąd nie chciano mnie oddać, ale twarze były chmurne z powodu mojego „tyrańskwa".

Moim zdaniem źle uczyniono: pod sąd należało mnie oddać; ale przewodniczący musi mieć w decydujących momentach wolną rękę i brać wszystko na swoją odpowiedzialność.

Przez połączenie wzmocnił się w Klubie kierunek prawy i wzmógł się spór wewnętrzny. Zaczęto ode mnie wymagać, żebym wystąpił z projektem usunięcia całej grupy ultraradykałów, na co nie chciałem się zgodzić, twierdząc, że jeżeli obetniemy Klubowi lewą nogę, przewróci się on na prawo.

Sprzeciwiając się zbytniemu radykalizowaniu pod względem społecznym, Klub dość niechętnie przyjmował jednak moje pomysły nadania naszej polityce charakteru bardziej realnego dla odnoszenia cząstkowych zwycięstw. Pojawiła się jakaś obłędna i dość niegodna teoria zrzucenia z siebie odpowiedzialności za rządzenie krajem i poprzestawania na opozycji, uprawianej bez mała zawodowo. Do tego wszystkiego dochodziły osobiste ambicje, personalne obrazy. Główny trzon Klubu — chłopi z Kongresówki — zachowywał się spokojnie, ale cierpiał coraz bardziej wskutek tych mało dla niego zrozumiałych swarów inteligenckich, na które nie mógł znaleźć sposobu.

Co do mnie — nie szukałem nawet żadnych sposobów. Wszelkie ataki na mnie zbywałem milczeniem, otwierając nad nimi dyskusję, podczas której siedziałem w kamiennym milczeniu; plotek nie prostowałem, oszczerców nie pociągałem do odpowiedzialności, ale to wszystko szarpało mi coraz więcej nerwy. Przy sprawach ogólniejszego znaczenia zabierałem głos zwykle tylko dwa razy: raz wnosząc sprawę, drugi—reasu-

mując dyskusję. Ciągle jeszcze dla moich wniosków znajdowała się większość, ale większość ta malała i kiedy pewnego razu przeprowadziłem swój wniosek tylko jednym głosem większości, pomyślałem sobie, że koniec się zbliża.

Wkrótce po uchwaleniu ustaw językowych zaprosił mnie p. Grabski na rozmowę ze swoim bratem. W ciągu tej rozmowy wyraził mniemanie, że skoro przeprowadziliśmy wspólnie tamte ważne ustawy, należało by dopilnować ich wykonania, i w tym celu zaproponował, ażebyśmy obydwaj weszli do jego gabinetu, przy czym Stanisław Grabski objąłby oświatę a ja sprawy zagraniczne.

Propozycja ta zaskoczyła mnie w najwyższym stopniu. Odrzekłem, że do wielu trudności, które przewiduję na drodze do zrealizowania tego pomysłu, dochodzi i to, że nie czuję się dość biegły w sprawach zagranicznych, moje zainteresowania bowiem obejmowały raczej sprawy wewnętrzne. Odpowiedziano mi na to, że gdybym chciał objąć tekę ministra spraw wewnętrznych, p. Grabski musiałby sięgnąć po sprawy zagraniczne. Poprosiłem o czas do namysłu, zdecydowany jednak wewnętrznie odrzucić propozycję.

Nazajutrz przeprowadziłem na ten temat rozmowę z dwoma najbarbardziej wpływowymi członkami Klubu: Poniatowskim i Bagińskim. Obydwaj, choć każdy z innych względów, nie odrzucali zasadniczo możliwości wejścia do rządu, protestowali tylko przeciwko równoczesnemu w nim udziałowi p. Stan. Grabskiego, zwłaszcza na stanowisku min. spraw zagranicznych. Nie doszło do żadnych decyzji.

W ciągu następnych kilku dni rozmowy z braćmi Grabskimi posunęły się tak daleko, że w zasadzie zgodziłem się przyjąć tekę ministra spraw zagranicznych, pod warunkiem zatwierdzenia tej decyzji przez Klub. Ponieważ następnego dnia musiałem wyjechać z Komisją do badania więzień na parę dni na prowincję, nie mogłem doraźnie zwołać Klubu i poprzestałem na zaproszeniu 6 czy 8 wybitniejszych jego członków dla zaznajomienia ich ze stanem rzeczy. Oświadczyłem, że żadnych wiążących mnie przyrzeczeń dotychczas nie złożyłem i nie złożę bez woli Klubu, w którego ręce oddam decyzję natychmiast po powrocie. Zawarowałem sobie najściślejszą poufność tej rozmowy do dnia posiedzenia Klubu, zarówno przez lojalność dla premiera, jak w interesie samego Klubu i moim własnym. Wszystko to zebrani przyjęli do wiadomości bez sprzeciwu, raczej jako rzecz już zdecydowaną.

To też kiedy parę dni później wracałem do Warszawy i wziąłem do ręki dzienniki poranne, osłupiałem. Całe strony zajęte były dramatycznymi opisami o wzburzeniu w Klubie „Wyzwolenia", którego prezes w sekresie przed kolegami przyjął tekę ministra spraw zagranicznych. Dowiedziałem się też o wczorajszym posiedzeniu Klubu, na którym zarzucano prezesowi zaprzedanie go w niewolę prawicy itd.

Udawszy się natychmiast po przybyciu do Sejmu, stwierdziłem, że opisy wzburzenia Klubu były całkiem ścisłe, może nawet bledsze od rzeczywistości. Uderzyło mnie najmocniej, że głównymi szerzycielami niepokoju byli niektórzy z uczestników ostatniego zebrania poufnego. Jedną z pierwszych osób, które spotkałem w Sejmie, był minister spraw wojskowych, gen. Sikorski, który długo i usilnie namawiał mnie, abym nie przyjmował teki spraw zagranicznych. Usunąłem się w głąb obszernego parku sejmowego, usiłując nieco ochłonąć i opanować straszliwy gniew, który mnie dusił.

Po południu zwołałem Klub. Nie siadając nawet na fotelu przewodniczącego, opowiedziałem historię kilku ostatnich dni łącznie z wyżej wzmiankowaną rozmową z kilkoma kolegami, jaką miałem przed paru dniami. Zaręczyli mi, że rozmowa ta pozostanie poufną do dnia zebrania Klubu, a oto jesteśmy pośmiewiskiem Warszawy. Nie wiem, kto zdradził położone w nim zaufanie i nie będę tego badał; mogę sprawcom wyrazić tylko pogardę. Co do reszty Klubu, jeżeli nie przekonała go moja kilkoletnia praca w Stronnictwie, jeżeli moi koledzy, przynajmniej niektórzy z nich, byli w stanie uwierzyć w te potworne plotki, jakie ktoś o mnie szerzy, jeżeli uważali za możliwe osądzić mnie nie zapytawszy uprzednio o istotny stan rzeczy, widocznym jest, że nie ma między nami sposobu porozumienia się. Dla uniknięcia dalszych nieporozumień oświadczam, że wszelkie pertraktacje o moje wejście do rządu zrywam i zobowiązuję się nie wznawiać ich przed upływem 3 miesięcy; poza tym proszę przyjąć do wiadomości, że składam godność prezesa i występuję z Klubu.

Uderzenie było mocne i na sali zapanowała śmiertelna cisza.

Wszystko to trwało razem parę minut, po czym opuściłem salę, żeby już do niej nigdy nie wrócić. Nazajutrz otrzymałem list z jednomyślną czy prawie jednomyślną uchwałą Klubu, wzywającą mnie do powrotu. Ale jeszcze było na to za wcześnie. Premier, którego natychmiast powiadomiłem o tym incydencie, był nim niemile zaskoczony, moja wartość bowiem na terenie sejmowym spadła oczywiście bardzo znacznie. Cofną-

łem też swoją zgodę na wejście do gabinetu, którą wyraziłem kilka dni temu w innych zupełnie warunkach.

Otwarła się też w ten sposób kwestia obsadzenia Spraw Zagranicznych. W najbliższą niedzielę odwiedziłem Pana Prezydenta w Spale, gdzie zastałem premiera. Całe popołudnie spędziliśmy na rozważaniu sytuacji bieżącej i stanęło na tym, że jesienią obejmę tę tekę a tymczasem będzie mianowany ktoś zastępczo. Nalegałem bardzo usilnie na to, aby tym kimś był p. Aleksander Skrzyński, ale dopiero po paru dniach udało mi się przeprzeć tę kandydaturę. Nawiasem mówiąc, uważałem p. Skrzyńskiego za lepszego od siebie kandydata na to stanowisko, choćby dlatego, że był bardziej przygotowany do niego fachowo. Myślałem też, że raz mianowany zostanie już na swoim stanowisku — i tak się też stało.

W tych też dniach ogłosiłem w tyg. „Wyzwolenie" wielki list otwarty do Jul. Poniatowskiego, w którym oświetliwszy ostatnie wypadki z mojego punktu widzenia, poruszyłem całokształt polityki ludowej w Polsce, nadmierną w niej demagogię i zaniedbanie najistotniejszych potrzeb kraju. List był przepojony goryczą i zrobił duże wrażenie.

Zaraz potem wyjechałem z żoną w trzymiesięczną podróż na Zachód. Byliśmy w Berlinie, Paryżu, dwukrotnie we Włoszech, w Genewie na posiedzeniu Ligi Narodów, na którym Herriot i Mac Donald rzucili swój projekt tzw. „protokółu genewskiego". Zwiedzaliśmy najbardziej urocze zakątki Europy, zachwycaliśmy się pięknem najcenniejszych dzieł sztuki, stykaliśmy się z mnóstwem interesujących ludzi, ale miałem ciągle wrażenie, że się za mną snuje jakiś czarny cień, który mi zatruwa wszystkie przeżycia i odbiera wszelką radość życia. Tym cieniem było dla mnie tak świeże jeszcze wówczas wspomnienie rozejścia się z Klubem.

Jesienią po powrocie do kraju toczyły się jeszcze jakiś czas przez trzecie osoby pertraktacje o mój powrót do Klubu. Nie odczuwałem w nich dobrej wiary, a może gniew we mnie nie spopielił się jeszcze dostatecznie, dość że oferty odrzuciłem. Zostałem dzikim posłem, tj. niczym.

Propozycje te wracały jeszcze parokrotnie — zawsze nieoficjalnie — ale choć już nie odrzucałem ich zasadniczo, odkładałem ich wykonanie na później. List do prezydium Stronnictwa, zgłaszający gotowość powrotu ze względu na ciężkie dla demokracji warunki polityczne, jakie się wytworzyły, wysłałem dopiero w 1928 r., już po zamknięciu list wyborczych, tak aby nikt nie mógł mnie podejrzewać, że wracam dla mandatu. Przyjęto mnie bezzwłocznie, ale był to jak się zdaje obu-

stronny błąd. Przykro by mi było wchodzić w dość obmierzłe szczegóły dalszych paru lat mojego pobytu w Stronnictwie; byłem w nim po prostu obłożony aresztem domowym.

Można było te sprawy załatwić inaczej. W chwili wyjścia z Klubu cieszyłem się jeszcze bardzo dużą popularnością w szerokich masach członków; można było próbować walki z Klubem, a właściwie z tymi kilkoma czy kilkunastoma osobami, które były istotnymi sprawcami zamieszania. W rok potem w czasie Kongresu Stronnictwa zgłosił się do mnie jeden z najbardziej wiernych mi i życzliwych członków, Władysław Kowalski, i prosił usilnie w imieniu własnym i wielu innych osób, abym przyszedł na Kongres i załatwił na nim ostatecznie swój spór z Klubem; ręczył, że ogromna większość sali stanie po mojej stronie, a wreszcie — szepnął mi w zaufaniu — sprowadził on ze swojego okręgu około 300 ludzi, którzy każdego czyniącego zamieszanie w mgnieniu oka wyrzucą na schody. Okazja mogła być tentująca, ale odmówiłem bez wahania, nie chcąc dawać złych przykładów w ruchu ludowym.

Czy dobrze postąpiłem? Czy w ogóle w całym tym sporze miałem rację? To zależy od punktu widzenia.

Formalnie miałem rację. Ciężki stawiany mi zarzut samowoli i despotyzmu, z jakim narzucałem Klubowi swoje zdanie, był niezgodny z prawdą, decyzje bowiem we wszystkich wielkich czy małych sprawach dotyczących Klubu poddawałem jego zatwierdzeniu, a jeśli nawet dla braku czasu musiałem zdecydować coś sam, czyniłem to z zastrzeżeniem zatwierdzenia później mojej decyzji przez Klub. Prawda, że moje propozycje były zawsze prawie zatwierdzane przez Klub, ale szanse w dyskusji były równe dla wszystkich. Na tym to tle powstał dość osobliwy zarzut, jaki mi postawiono z powodu wyjścia z Klubu: „Nie chciało mu się nawet pomęczyć nas parę godzin na posiedzeniu, które by mu w końcu przyznało rację".

Istotnie nie chciało mi się. Byłem przede wszystkim niesłychanie zmęczony kilkomiesięcznym atakiem, który znosiłem w dość pogardliwym milczeniu. Poza tym nie czułem się w niczym winnym. Klubowi i Stronnictwu oddałem parę przysług, podniosłem jego autorytet w Sejmie, nie szukałem nigdy żadnych materialnych ani politycznych korzyści dla siebie, nikomu nie wyrządziłem krzywdy. Sądziłem, że należało mi się za to trochę szacunku i życzliwości i dlatego tak mnie oburzały knute po kątach spiski i oszczerstwa; prawda, że czyniła to tylko garść warchołów albo karierowiczów, ale reszta przyglądała się temu w milczeniu. Dopie-

ro po moim wyjściu kilku moich bliższych przyjaciół stanęło w mojej obronie, ale już było za późno. Co większa, w jakiś czas już po rozstaniu się powiedział mi jeden z chłopów inteligentów: „Nie rozumiemy, co się stało; przecież my, chłopi, uformowaliśmy grupę, stanowiącą większość w Klubie, która chciała ostro stanąć w Waszej obronie a Wy nie uprzedzając nas wyszliście". Nic o tej grupie nie wiedziałem, a gdybym nawet wiedział, wątpię, czy zmieniło by to bieg rzeczy, czybym jej pomoc przyjął. Miałem wówczas, jeżeli nie w teorii to w praktyce, dość fałszywe pojęcie o polityce. Jest ona przede wszystkim grą sił, nie posiadając bowiem siły nie można niczego przeprowadzić, nie można przeto dokonać postępu, ja zaś zachowywałem się tak, jak gdyby można było pokonać przeciwników namową i zignorować pchające się naprzód zło. Co się zaś tyczy poczucia wyrządzanej mi krzywdy, trzeba zaznaczyć, że polityk nie może mieć nazbyt delikatnej skóry, a do mojej obrazy mieszało się może w pewnej mierze uczucie pychy, nie znoszącej nawet cienia posądzenia o czyn niewłaściwy. To mogło być grzechem, nie tyle w stosunku do Klubu, ile do tych licznych mas członków, które mnie obdarzały swoim zaufaniem i które miały prawo wymagać ode mnie większej wytrzymałości. Jeżeli jednak popełniłem nawet pewne błędy, zapłaciłem za nie sowitą cenę przez złamanie swojej kariery politycznej.

W rządzie Grabskiego. Po powrocie z mojej podróży uważaliśmy z p. Grabskim wszystkie poprzednie pertraktacje za skończone i niedoszłe do skutku. W połowie listopada jednak zaproponował mi Grabski ponownie wejście do jego rządu, tym razem w charakterze wicepremiera. Twierdził, że ma coraz więcej pracy w Skarbie i że pragnąłby oddać mi całą część polityczną, a zwłaszcza opiekę nad kresami i stosunki z mniejszościami narodowymi. Oświata pozostanie w rękach p. Stanisława Grabskiego, a ministrem spraw wewnętrznych będzie mianowany p. Ratajski, prezydent m. Poznania.

Nie było żadnych powodów, dla których miałbym tej propozycji nie przyjąć. A jednak był to ciężki błąd polityczny, jaki obaj — Grabski i ja popełniliśmy.

Przede wszystkim wchodziłem do rządu w całkiem nieokreślonym charakterze. Konstytucja polska nie znała stanowiska wicepremiera, byłem więc urzędowo tylko ministrem bez teki i moja funkcja redukowała się do przewodniczenia na Radzie Ministrów, jeżeli premier z jakichkolwiek względów nie mógł na niej przewodniczyć. Resztę roboty trzeba było sobie stworzyć albo wywalczyć. Ale zjawiały się nowe trudności.

P. Grabski uczynił mi swoją propozycję w dobrej wierze, jak mniemam, nic go bowiem do niej nie zmuszało. Ale ten wybitny mąż stanu o niepospolitych zdolnościach i głębokiej wiedzy miał, jak wielu w Polsce ludzi czołowych, tę wadę, że chciał pracować sam, nie znosząc koło siebie ludzi nie tylko przeciwnych, ale w ogóle innych przekonań. Stąd łatwo sobie wyobrazić, jak w praktyce mógł wyglądać podział kompetencji pomiędzy nami. Rzeczy przedstawiałyby się inaczej, gdybym miał silne oparcie w Sejmie, ale stronnictwa lewicy, na które jedynie mogłem liczyć, mało jakoś wówczas interesowały się sprawami mniejszości.

Poza tym Grabski, który jakkolwiek z pochodzenia ziemianin, w teoretycznych swych pracach szedł w radykaliźmie społecznym bardzo daleko, w praktyce szukał stale zabezpieczenia na prawicy: do gabinetu oprócz brata wciągnął Ratajskiego, a potem, jakby i tego było za mało, chrześcijańskiego demokratę Smulskiego, jako wiceministra spraw wewnętrznych; miałem więc w Radzie Ministrów przeciw sobie większość ludzi o przeciwnych mi przekonaniach albo zupełnie obojętnych w sprawach społecznych.

Po kilku miesiącach tego błyszczącego próżnowania miałem go dosyć i w kwietniu (1925) zgłosiłem swoje ustąpienie. P. Grabski namawiał mnie bardzo do pozostania a ponieważ przyczyny mojego niezadowolenia dopatrywał się w niedostatecznym określeniu moich czynności, zaproponował spisanie między nami umowy, precyzującej bardziej ściśle moje uprawnienia. Dałem się do tego namówić. Umowa zawierała trochę drobiazgów, jak prawo wglądu do sprawozdań administracji, które przeważnie nie były później dotrzymywane, i jedną rzecz ważną — utworzenie Sekcji Komitetu Politycznego Rady Ministrów do spraw narodowościowych pod moim przewodnictwem. W skład Sekcji wchodzili: minister spraw wewnętrznych lub jego zastępca, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, minister spraw wojskowych, minister reform rolnych, delegat min. spraw zagranicznych i mój sekretarz osobisty, b. starosta święciański, Zygmunt Zabierzowski.

Sekcja odbyła kilka posiedzeń; później, po moim ustąpieniu przewodniczył jej p. Stanisław Grabski, po upadku gabinetu przestała istnieć. Za czasów mojego przewodnictwa rozpatrywaliśmy na niej sprawy, które w znacznej ilości pięćdziesięciu kilku przedłożyłem do jej zatwierdzenia. Niestety, nie mam kopii tego spisu i nie umiałbym z pamięci powiedzieć, co spis ten obejmował: wiem tylko, że dotyczył on najprzeróżniejszych spraw, stanowiących szczegóły zarówno materialnego, jak kul-

turalnego życia mniejszości słowiańskich. Nie było w nim żadnego systematycznego układu; dopiero po przegłosowaniu ich wszystkich miały być ułożone w jakąś systematyczną całość. Niestety, zdążyliśmy zaledwie dojść do połowy: czy praca ta była kontynuowana po moim odejściu, nie wiem.

Poza sekcją udało mi się jeszcze dokonać dwóch rzeczy: popchnąć naprzód odbudowę województw wschodnich i uporządkować sprawę obywatelstwa. Odbudowa zniszczonych przez wojnę osiedli wyglądała w 1925 r. gorzej niż źle. Zwiedziłem umyślnie kilkanaście miejscowości w województwach poleskim, nowogródzkim i wileńskim i byłem po prostu przerażony stanem, w jakim je znalazłem, podziemnymi norami, w których ludzie mieszkali, polami pozarastałymi brzeziną, opuszczeniem całego gospodarstwa. A przecież Sejm asygnował dość znaczne sumy na odbudowę, przecież istniała Dyrekcja Odbudowy z prowincjonalnymi filiami, no i niestety, cały dziki gąszcz przepisów, w których nikt się już nie orientował. Ułożyłem się z premierem, że mi powierzy tę sprawę do załatwienia z dyktatorskimi bez mała pełnomocnictwami. Utworzyliśmy specjalną komisję, złożoną z urzędników wszystkich ministerstw, które tu w grę mogły wchodzić, i zaczęliśmy porządkować te haszcze. Bardzo często tam, gdzie przepisów było zbyt wiele, gdzie były ze sobą sprzeczne albo niewykonalne, odrzucaliśmy cały ten kram na śmietnik i stwarzali nowe przepisy, możliwie zwięzłe, jasne i łatwe do wykonania. Z początku panowie urzędnicy robili wielkie oczy na ten sposób pracy, tak dla nich niezwykły, ale ja nie zwracałem na to najmniejszej uwagi, nie wdawałem się w długie dyskusje; ustalaliśmy po prostu, niekoniecznie większością, jakiś przepis prawny a wszystko inne musiało być do niego dostosowane. Po jakimś czasie i ukończeniu pracy jeden z bardzo niechętnych mi wówczas posłów musiał przyznać z trybuny sejmowej, że w ciągu kilku miesięcy zrobiło się w sprawie odbudowy więcej niż w ciągu uprzednich 5 lat.

Drugą taką robotą ze stajni Augiasza była sprawa nadawania obywatelstwa, sprawa nie mniej zagmatwana i w skutkach przykra dla ludności, jak odbudowa. Nawet ludzie na bardzo wysokich stanowiskach nie mogli się wywikłać ze straszliwej sieci przepisów dla ustalenia swojej przynależności do państwa; cóż mówić o ludziach biednych, niepiśmiennych. Po porozumieniu się z p. Smulskim, wiceministrem spraw wewnętrznym, podzieliliśmy całą wiejską ludność kresów na 4 kategorie, z których tylko jedna, najmniej liczna, musiała załatwiać i nadal pewne

formalności dla ustalenia swojego obywatelstwa; pozostałe trzy otrzymywały je mniej czy bardziej automatycznie, niekiedy nawet bez swojej wiedzy. Oczywiście, w tym celu trzeba było we wszystkich gminach sporządzić spisy mieszkańców z podziałem na wyżej wspomniane kategorie, co sam niekiedy sprawdzałem w czasie swoich wyjazdów.

Nie udało mi się natomiast rozwiązać niesłychanie ważnej w moim rozumieniu sprawy — wprowadzenia z powrotem Marszałka Piłsudskiego do wojska. Mogło się to rzecz prosta odbyć jedynie po obustronnym ustaleniu warunków, na których można by tej pierwszorzędnej rzeczy dokonać, Komisja Wojskowa Sejmu jednak, która przepracowywała właśnie wówczas projekt ustawy o najwyższych władzach wojskowych, nie zasięgała opinii Marszałka a on sam nawet w zaufanym gronie nie chciał swoich warunków ujawnić, ani nawet nie pozwalał swojemu otoczeniu mówić o tych rzeczach z kimkolwiek. Tajemnica nie dała się jednak do końca w bezwzględnej postaci zachować i kiedy projekt sejmowy zbliżał się do stanu ostatecznego wykończenia, udawało mi się od czasu od czasu uzyskać pogląd sfer zbliżonych do Sulejówka na ten czy inny szczegół, a z drugiej strony wyjednać zmiany w projekcie, które mogły być, jak mnie zapewniano, Marszałkowi miłe. Nareszcie nadszedł dzień, kiedy oświadczono mi — oczywiście poufnie — że wszystkie większe różnice już są usunięte i że nadszedł czas, kiedy osobiste spotkanie usunęłoby resztki nieporozumieó.

Zakomunikowałem to bezzwłocznie premierowi, proponując urządzenie spotkania. Grabski zgodził się, ale prosił mnie, abym uprzednio wybadał grunt, czy Marszałek przyjmie zaproszenie. Zaraz nazajutrz udałem się w towarzystwie obecnego Marsz. Senatu, B. Miedzińskiego (czy może J. Poniatowskiego) do Sulejówka, gdzie sprawę wizyty i rozmowy załatwiłem w paru słowach; pytał tylko Marszałek, kto będzie obecny na konferencji i przedtem na śniadaniu, na co odrzekłem, że obecni będą tylko pp.: Grabski, Rataj, gen. Sikorski, ówczesny minister spraw wojskowych, i ja. Na zakończenie dodałem, że gdyby Pan Marszałek nie chciał czy nie mógł odbyć tej rozmowy w najbardziej spokojnym rzeczowym tonie, lepiej było by nie odbywać jej wcale, nie jest bowiem wykluczone, że ktoś właśnie liczy na wybuch zniecierpliwienia. W odpowiedzi usłyszałem parokrotne zapewnienie: „Będę gładki jak atłas".

Kiedy na drugi dzień przybyłem do Prezydium Rady Ministrów, zastałem już wszystkich zebranych, ale w humorach wręcz pogrzebowych. — „Co się stało?" — spytałem. — „Nie wiem — odparł Grabski —

p. Piłsudski zawiadomił mnie, że nie będzie na śniadaniu; może obraził się, że zaprosiłem także Stefana Dąbrowskiego, referenta ustawy wojskowej, którego tak nie lubi". — „Ale przecież o tym nie było mowy i po co go Pan zaprosił?". Odpowiedzią było wzruszenie ramionami i... siedliśmy do śniadania, którym cudem tylko nie strułem się. P. Dąbrowski zresztą również nie przyszedł.

Kiedy w godzinę później Marszałek wszedł do gabinetu premiera, gdzie go oczekiwaliśmy, zdałem sobie od razu sprawę, że nie obejdzie się tu bez bardzo przykrych rzeczy: był blady jak płótno i ręce mu drżały. Istotnie, zaledwie usiadł, rozpoczął w najbardziej gwałtownym tonie, nie dobierając słów, krytykować zarówno projekt ustawy, jak ludzi, którzy byli jego autorami. Łagodne interwencje Grabskiego dolewały tylko oliwy do ognia. W pewnym momencie wyszedłem z pokoju, wkrótce potem wyszedł także Rataj. Kiedy wróciłem, Marszałka Piłsudskiego nie było już, a Grabski oświadczył mi, że nie może być mowy ani o dalszych pertraktacjach, ani o powrocie Marszałka do wojska.

To było moje ostatnie spotkanie się z Marszałkiem Piłsudskim. W wypadkach majowych udziału nie brałem, sądziłem bowiem, że przy olbrzymim autorytecie Piłsudskiego można było zamierzony cel osiągnąć znacznie prościej i bez przelewu krwi. Byłem zawsze i po dziś dzień jestem z najwyższym uznaniem dla Piłsudskiego, jako dla człowieka, który targał więzy Polski z niewoli z największym zaparciem się siebie, z największą ofiarnością, a potem strzegł jej honoru, jak nikt przed nim ani po nim. Ale w sprawach politycznych mogłem iść tylko za głosem własnego sumienia. Nie mogę sobie z tego robić wyrzutów, jakkolwiek odczuwam głęboki żal, że wszelkie próby wzajemnego zrozumienia się, długie, nieraz wielogodzinne rozmowy nigdy nie mogły doprowadzić do pożądanego wyniku. Jedno mam prawo stwierdzić: nie zaniedbałem w swoim życiu politycznym niczego, coby Piłsudskiemu mogło ułatwić pracę i życie w Polsce.

Klub Pracy. Po moim wyjściu z Klubu „Wyzwolenie" zostało tam sporo ludzi o zbliżonych do mnie poglądach i niezadowolonych z tego co się stało. Kilku z nich (Kazimierz Bartel, Eugeniusz Śmiarowski, Ludwik Chomiński, Marian Kościałkowski, Bronisław Krzyżanowski, Stanisław Gaszyński, Jerzy Barański, Bolesław Wysłouch, Gustaw Dobrucki) założyło parlamentarny Klub Pracy, który się potem przekształcił na Stronnictwo Pracy. Pierwszym i bezpośrednim skutkiem tego kroku było żądanie „Wyzwolenia", abyśmy złożyli

mandaty. Żądanie to oparte było na zobowiązaniu, jakie musiał złożyć przed wyborami każdy kandydat do ciał ustawodawczych z ramienia tego Stronnictwa — do złożenia mandatu w razie wyjścia z Klubu; autorem tekstu i pomysłu byłem ja sam. Byłem bardzo nieodległy od zadośćuczynienia temu żądaniu, a jednak ostatecznie dałem się przekonać swoim kolegom i mandatu, na którym mi zresztą nie zależało, nie złożyłem. Przede wszystkim przy wyjściu tak znacznej liczby członków był to już rozłam w Stronnictwie, rzecz cyrografem nie przewidziana. Po wtóre, co znacznie ważniejsze, na drugi dzień po wyjściu swoim z Klubu pytałem za pośrednictwem Poniatowskiego, czy mam mandat złożyć, na co otrzymałem odpowiedź przeczącą. Powracanie do tej kwestii po dwóch latach wydało mi się grą, której kosztów nie chciałem ponosić.

W życiu Klubu Pracy brałem udział bardzo znikomy. Jesienią (1926) opuściłem go, w sposób zresztą bardzo dyskretny, bez ogłaszania tego publicznie.

Odtąd byłem już w Sejmie przeważnie tylko widzem. Jeszcze wygłosiłem kiedyś dłuższe przemówienie, gorąco oklaskiwane przez „Wyzwolenie", jeszcze czasem dzięki uprzejmości Marszałka brałem udział w poufnych naradach starszyzny sejmowej, pod koniec kadencji przewodniczyłem w Sądzie Marszałkowskim w wielkiej rozprawie przeciwko W. Korfantemu, zredagowałem kilka tomików wydawnictw Grupy Franko-Polskiej, wyjeżdżałem dwukrotnie na parlamentarne zebrania do Berlina (Unia Międzyparlamentarna) i do Francji, zasiadałem w następnej kadencji w Trybunale Stanu w sprawie ministra Czechowicza, ale wszystko to już były tylko iskry w gasnącym popielisku. Przyszły już inne zainteresowania i inny teren pracy. Do polityki zresztą w moim rozumieniu coraz mniej było sposobności.

CZĘŚĆ IV

Praca w spółdzielczości

Ze spółdzielczością zetknąłem się dość wcześnie, jak pisałem wyżej (str. 15). Już w 1903 roku założyłem w Ćmielowie spółdzielnię spożywców, którą prowadziłem przez pewien czas. Później w Warszawie byłem pracownikiem a potem dyrektorem jednego z towarzystw wzajemnego kredytu. W okresie politycznym mojego życia należałem do kilku spółdzielni wiejskich, ale wszystko to z braku czasu były prace dorywcze, dokonywane niejako na marginesie mojej pracy głównej.

Dopiero w r. 1928, po wyjściu z Sejmu związałem się z ruchem na stałe, najprzód opracowując dla „Społem" Związku Sp. Spoż. pewne zagadnienia teoretyczne, związane ze spółdzielczością, potem redagując organ naczelny Związku. Napisałem kilka książek i broszur, objąłem przewodnictwo Towarzystwa Kooperatystów i Spółdzielczego Instytutu Naukowego, wygłaszałem propagandowe odczyty, póki mi sił do tego starczyło.

Nie uważałem nigdy swego zajęcia wyłącznie jako posady w wielkim, dobrze rozwijającym się przedsiębiorstwie, ani jako sposobu spędzania czasu dla uchronienia się od nudów. Przeciwnie, im dłużej pracuję w spółdzielczości, tym bardziej wydaje mi się ona godna poświęcenia jej najwyższego wysiłku i całkowitego oddania się. Nie była też dla mnie nigdy spółdzielczość jedynie sposobem poprawy warunków wyłącznie swojego bytu, traktowałem ją bowiem jako wielki ruch wyzwoleńczy, jako dążenie do zmiany warunków bytu całego społeczeństwa, jako nową moralność i nowy obyczaj.

W swoim dość długim i dosyć burzliwym życiu stykałem się z różnymi ludźmi, rozmaitymi sposobami ich współżycia ze sobą. Na ogół wyniosłem stamtąd wrażenia nie pozbawione goryczy. Nie chcę twierdzić, że spółdzielczość jest rajem zrealizowanym już tutaj na ziemi. Mam na-

tomiast wrażenie, że jest ona czystszą, i uczciwszą niż wszystkie inne środowiska, z którymi się stykałem i że dlatego dać może spokój i równowagę duchową, których potrzebę odczuwa się tak mocno w dzisiejszych szaleńczych czasach.

Inna tu jest atmosfera, wyprana z brudu, chciwości i z dzikiego współzawodnictwa, inni ludzie — bardziej spokojni i przede wszystkim bardziej szlachetni. Nie trzeba się tu obawiać ani ciosu w plecy, ani wilczych dołów, kopanych w ciemnościach. Choć różne są funkcje i różny zakres władzy, wszyscy są równi nie tylko w formalnym znaczeniu, ale i w istocie rzeczy.

Czy żyłbym inaczej, gdybym musiał na nowo rozpocząć życie, nie wiem, człowiek bowiem w małym tylko stopniu może przekształcać swoje przyrodzone skłonności. Że żyłbym lepiej i może nawet pożyteczniej, gdybym się związał ze spółdzielczością 40 lat wcześniej, to pewna.

KRAJOZNAWSTWO

WIĘZIENIA SZTUKI

Ostatnie sto kilkadziesiąt lat były dla polskich zabytków sztuki okresem spustoszenia i klęsk. Ocalałe po kozackich, szwedzkich i tatarskich rabunkach resztki rozprysły się w końcowej katastrofie Rzeczypospolitej, jak rozpryskuje się w okruchy piękny porcelanowy serwis pod zapadającym się nań sufitem. Potem zaczęły powtarzać się wstrząśnienia mniejsze, ale wyprzątające z najzaciszniejszych zakątków resztki resztek.

Wielkie rody traciły fortuny, zbiory zmieniały właścicieli, czasami lokale. Nikt nie miał głowy, czasu i odwagi do ratowania tego, co było, bądź co bądź, dobrem pomniejszym, chyba tylko zgraje zagranicznych handlarzy zapuszczały w te wody drzemiące swoje sieci. Zdawało się, że niebawem cały kraj, jak szeroki i długi, stanie się typowym „miejscem pobytu", bez pamiątek, bez sztuki, bez wiatru, który uciekł, bez zieleni, która zwiędła, bez wody, której nie chce się nikomu szukać pod ziemią.

Późno, bardzo już późno nastąpił w tej mierze pewien zbawienny zwrot. Założone zostało Muzeum Narodowe, powstał Raperswil, oddano szerokiej publiczności uratowane zbiory puławskie Księżny Jenerałowej. Jeżeli ginęły i giną cenne, gromadzone przez pokolenia kolekcje, powstawały za to nowe. Tak powstały zbiory Czapskiego, powstał Gołuchów i Kórnik. W najostatniejszych już czasach kiełkować zaczęły nawet na obszarze Królestwa pierwociny usiłowań w tym kierunku. Mamy muzeum miejskie w Warszawie, kilka muzeów diecezjalnych, a w dwudziestu oddziałach Towarzystwa Krajoznawczego oczekują ofiarodawców, okazów i zabytków. Poza garstką zawodowych malkontentów i gromadką głów całkiem już maszynowo, na kształt głów cukru odlanych, nie ma u nas chyba nikogo, co by temu zwrotowi nie współczuł, nie popierał go, nie radował się nim.

Nawet ci, co mieszkając, dajmy na to, w rynku krakowskim nie mają czasu, aby odwiedzić leżące naprzeciwko muzeum, czuli zapewne z okazji niedawnych uroczystości jubileuszowych, że duma rozpiera im łono i że stała się przed ich — zamkniętymi co prawda — oczami rzecz wielka.

Olbrzymia większość społeczeństwa jednak idzie istotnie nieco dalej, oddając temu wspólnemu relikwiarzowi to, co jedynie najczęściej dać może — serce i uwagę. Wytwarza się w ten sposób ciepła, przychylna atmosfera, w której kwestia wydaje się być ustaloną, ubitą i wyczerpaną.

Otóż nie — nie jest bynajmniej ustaloną, a skoro tak, nie może też być wyczerpaną, mogłaby być co najwyżej ubitą. Zaledwie zaczęliśmy zaradzać jednemu niebezpieczeństwu, grożącemu nam ostatecznemu zatraceniu, zniszczeniu, wyprzedaniu się ze wszystkich pamiątek lepszej przyszłości, stajemy w obliczu zła nie o wiele mniejszego.

Skłonni jesteśmy, powiedzmy ostrożnie, moglibyśmy jutro być skłonni, zabić niezliczone mnóstwo żywych dzieł sztuki, poukładać je w pięknie heblowanych trumienkach i przycisnąć ciężkim kamiennym sarkofagiem, — które będziemy nazywali muzeum.

Na Starym Mieście w Warszawie stoją domy, po których zwiedzeniu szanujący się mieszkaniec śródmieścia dostaje czkawki, w najlepszym zaś razie silnych dreszczy.

Co prawda ich stan obecny tratuje rzeczywiście nogami najbardziej skromne pojęcia o higienie. Niektóre z nich po prostu ociekają od góry do dołu niechlujstwem. Podwórze jest składem najohydniejszych odpadków gospodarskich, a na ciemnych i oślizgłych schodach można wybić najzdrowsze zęby. Ale kto by przedarł się pomimo wszystko na trzecie lub czwarte piętro, zobaczy czasem rzecz osobliwą. Oto stoi np. taka, jaka stała przed dwustu laty, „cudnie rzezana" dębowa balustrada. Właściwie pozostały z niej tylko szczątki, niektóre bowiem części zastąpiono już od dawna zwyczajnymi sosnowymi kołkami, wszystko zaś pokryte jest grubą warstwą kurzu i brudu.

Ale to, co zostało, ma tak samo niefrasobliwie uśmiechnięte oblicze, jak je miało w chwili poczęcia. I oto mimo woli myśl biegnie ku tym czasom. Nie pozostało po nich już wiele, chyba jeno ta balustrada, mury i złote promienie słońca, przesiewające się przez mętne, przepalone szybki dachowej „latarni", a jednak niemal że widzimy idącego po stromych schodach współczesnego im patrycjusza miasta Starej Warszawy. I wtedy dopiero czujemy, jak dalece nierozerwalnymi więzami ta ruina schodów związana jest ze starą ruderą, wtedy przebłyskuje nam myśl, że wziąć ją stąd, wyrwać z żywego ciała i postawić w jaskrawym, bezmyślnym natężeniu pełnego światła, będzie tyleż, co zdegradować piękne dzieło sztuki zdobniczej na spróchniały rupieć.

Ale idźmy dalej. Jeżeli odważymy się wspiąć jeszcze nieco wyżej i stanąć na wąskiej ścieżce między dwoma stromo ku sobie spadającymi dachami, ujrzymy rzecz wprost wzruszającą. Oto piętrzy się przed nami i pnie wzwyż szczyt sąsiedniej kamienicy. Nad ostatnimi już oknami, na wysokości szóstego piętra umieszczone są dwa podłużne prostokąty, które z dołu wyglądają, jakby nanizane na sznurek muszelki. W rzeczywistości są to niewielkie, okrągłe płytki majolikowe, z wypalonymi na nich wizerunkami dzikich lub fantastycznych zwierząt o śmiałym i subtelnym rysunku.

Ten, kto je tu umieszczał, nie dbał o to, że z dołu na taką wysokość żaden wzrok ludzki sięgnąć nie zdoła, tylko zadowalał się świadomością, że jego dom, jego dzieło, jego pomnik rodzinny jest piękny w każdym calu, jest piękny sam dla siebie, jest skończoną i zamkniętą w sobie całością. A teraz, czy nie sądzicie, że oglądając te same płytki w gablotce mielibyśmy wrażenie przepięknych włosów dziewczęcych, odciętych od cudnej głowy?

Są jednak ludzie, którzy ważą się na to. Gromadzą sto, dwieście, tysiąc — im więcej, tym lepiej — takich płytek, takich balustrad, takich okuć, płaskorzeźb, kafli w jednej sali, pozwalają im popychać się łokciami, przeszkadzać jedno drugiemu, licytować się w piękności. Potem przyprowadzają przed nie tego przeciętnego, typowego zwiedzacza muzeów, z oślepionymi od nadmiaru rzeczy widzianych oczyma, z roztrzęsioną do ostateczności uwagą — i każą mu podziwiać. Na sto wypadków w dziewięćdziesięciu dziewięciu biedna ofiara zaledwie umie rozróżnić brabanckie koronki od przedhistorycznych garnków.

To się nazywa — zabić to co jest żywe. I to znaczy, że muzeum może stać się pod pewnymi względami cmentarzyskiem, czy jak je może trafniej nazywa francuski esteta, Robert de la Sizeranne — „więzieniem sztuki". Tylko nie trzeba stąd wyprowadzać wniosków nieco za daleko idących. Nie należy bynajmniej zburzyć wszystkich muzeów, a zawarte w nich skarby porozrzucać z powrotem po świecie. Przeciwnie, należy je gromadzić z największym wysiłkiem i nakładem. Ale trzeba pamiętać, że nawet olbrzymie ilości tego wysiłku wystarczą zaledwie na to, aby dać przytułek w muzeum temu, co już nigdzie nie ma swojego własnego kąta. Takich bezdomnych, tułających się z rąk do rąk — często plugawych rąk — pamiątek jest zawsze aż nadto dosyć i zupełnie zbytecznym jest niszczyć w tym celu to, co jeszcze wszystkimi korzeniami tkwi w ziemi.

Zaczyna u nas dziać się inaczej. Wyławia się z wiejskich kościołków cenniejsze sprzęty, wyłupuje się kamienne futryny i odrzwia, wydziera żelazne bramy i kraty, zabiera się ze starych dworków pradziadowskie zbroje albo portrety rodzinne.

Być może, że zgromadzimy w ten sposób wielkie zbiory, ale kraj zostanie ogołocony ze wszystkiego, co mu może dodawać wdzięku i istotnej kultury. Obróćmy część tej energii na zapewnienie niszczejącym szczątkom spokojnej egzystencji na miejscu, z którego wyrosły, jak kwiat z żyznej ziemi, i bądźmy pewni, że to jest również siejba na przyszłość.

(„Ziemia" 1910 r.)

„PAN BALCER"

Lud polski, który przed gnębiącą go w domu biedą ucieka do najbardziej odległych zakątków świata, nie zdobył się jeszcze dotychczas na oddanie w formie poetyckiej swych przygód, ciężkich walk, jakie musi staczać niekiedy, zwycięstw i klęsk, jakie mu przypadają w udziale. Bądź dlatego, że zalewająca go fala wypadków i wrażeń odcina się nazbyt jaskrawo od tych prawiecznych form bytowania, jakie go otaczały na rodzinnym zagonie, bądź — że ma duszę na razie zanadto zmąconą, że trzeba czasu, aby na dnie jej osadziły się czyste i piękne kryształki uczuć, dziś w rozdrobnieniu wirujących — chłop pracuje, cierpi i milczy.

Ci, którzy mieszkając z daleka od kraju, na wielkich szlakach i w pobliżu wielkich punktów przechodnich, mieli niejednokrotnie sposobność opiekowania się znędzniałą rzeszą powracających do domu wychodźców, stwierdzają dość jednogłośnie, że w przerażonym umyśle „chodzika" snują się co najwyżej jakieś straszne obrazy przecierpianych chwil, jakiś żal rzuconych na marne wysiłków, — lecz nic więcej. Tej nici śmiertelnej tęsknoty za krajem, nici, która omotuje i wżera się w każde żywiej, a nawet i mniej żywo bijące serce, tutaj nie widać, albo też była ona tak cienka, że pękła od razu i zniknęła bez śladu.

Ale czy nie ma tu czasem omyłki?

Czy nie cierpi ten, który milczy, a milczy, bo mówić nie umie. Kto by miał wątpliwości, niech mu utkwi w pamięci „Srul z Lubartowa".

Za ten lud cichy, biedny i niemy przemówiła teraz jedna z największych poetek świata, serce i głos współczesnej literatury polskiej — Maria

Konopnicka.[1]) Nie dlatego, że jej mowa jest cudnie cyzelowaną gwarą ludową, a bohaterami sześciopieśniowego poematu są wyłącznie chłopi. Nie, oczywiście nie. Ale jak w nade wszystko miłujące objęcia matczyne, wzięła poetka całą nędzę i ból, wszystkie gorzko krwawiące rany tej rzeszy bezdomnych tułaczy i wyraziła je tak mocno i tak głęboko, że ani już oni sami, choćby im rozwiązany był język, mogliby do tego coś dodać. I powstała stąd pieśń przesmutna i przemocna zarazem.

Są całe ustępy, w których odczucie cudzego bólu ma namiętność żywiołu, całe strofy pisane krwią tak gorącą i tak serdeczną, że zda się, pręży się w nich, drga i skręca każdy wiersz, każde słowo, każda litera. To nie jest cudowny spokój, złoty sen o młodości śniącego „Pana Tadeusza", ani tym bardziej bosko zrównoważona i bosko marmurowa harmonia „Odyssei". Ale kto o to spierać się będzie, skoro zaraz od pierwszych kart owieje go atmosfera rzeczy nieskończenie wielkich, choć tak powszednio małych, skoro będzie mu tak, jak żeby słyszał mocny szum skrzydeł ptaka wielkiego lotu.

Uchylona została nieco wyżej w ten sposób gruba zasłona, ukrywająca nam duszę ludu, tego ludu, o którym tak chętnie lubimy rozprawiać, na który tak chętnie lubimy liczyć, a który znamy tak mało. I to nie „ludu" w jakimś abstrakcyjnym, schematycznym pojęciu, ale w szeregu żywych, lśniących plastyką i barwą postaci. Dlatego gdyby nawet nie było to dzieło o tak szczerze natchnionej i przedziwnie kunsztownej formie — już nie mniej przeto byłoby źródłem niewyczerpanej rozkoszy dla estety i nieprzebraną kopalnią dla ludoznawcy. Boć ludoznawstwem nie jest tylko kolekcjonowanie starych kapot i łapci, ani zbieranie pieśni i gadek, ani nawet układanie w system i całość ujętych opisów etnograficznych, ale także odtwarzanie z rozpryśniętych okruchów wielkiej duszy zbiorowej. A więcej niekiedy dać nam może twórcza, błyskawicami myśląca intuicja artysty, aniżeli mozolny i ciężki krok szperacza. Być może, przemoc, jaką nad naszymi duszami ma geniusz, każe nam patrzeć na rzeczy pod kątem nazbyt subiektywnym; co nam wadzi, skoro ten kąt jest wielki?

Treść jest prosta, prawie uboga. Na niemieckim statku „z Bremenu" jedzie jakieś trzy czy cztery tysiące chłopa, z babami, z dziećmi, nawet u piersi, z siwymi jak gołębie starcami, jadą szukać za morzem lepszej doli. Jest tam „kraj cały" — Kurpie, Mazury, Łomżyńce, Płocczany;

[1]) Pan Balcer w Brazylii — Warszawa, 1910 r. Gebethner i Wolff in 4⁰ str. 396.

z nimi pan Balcer — kowal z Łukowa. Jednym roi się leżące na ziemi złoto, innym grunt, co jest — „godny, czysta glina, choć na chleb smaruj". Na boku, milczkiem nieduża gromadka narodu, do której Panu Balcerowi od razu serce przylgnęło:

„Lud ci podlaski jest! Oneć uniaty
. . . . . .
Czuj duch! Trzymają na tęgiej utroczy
Język. Słów mało, a mowa niedługa:
Skąd?... Po co?... — Duszę ratować. Znad Buga. —

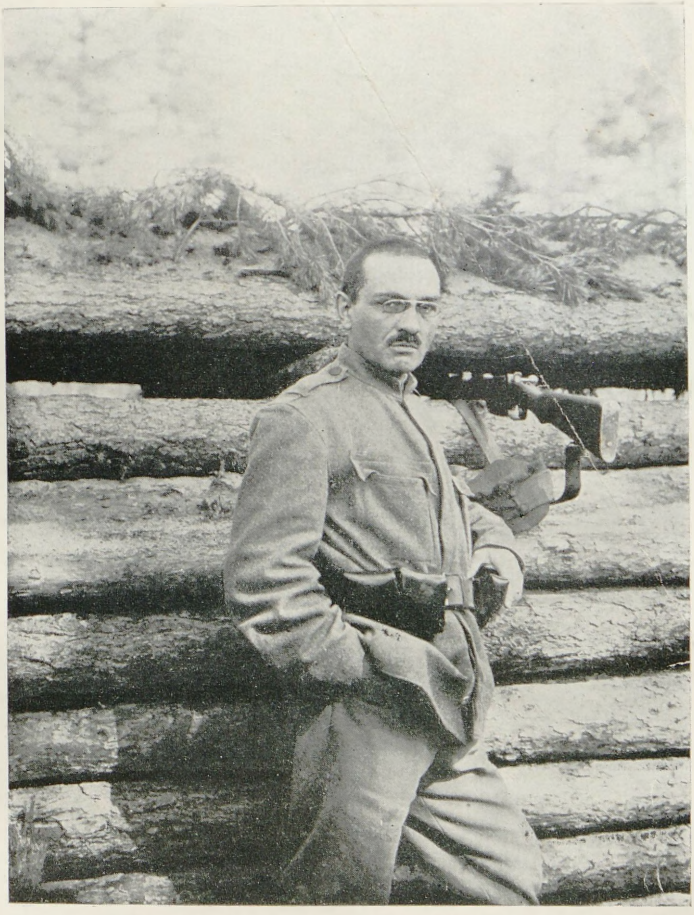
Tym przed gorejącymi jakimś dziwnym wewnętrznym ogniem oczyma snuje się na jawie coś nad złoto i nad grunt lepszego:

...„Słychać, kardynał ma z krzyżem
Przyjmować naród na tamtym tu brzegu...
... — Papież dał pismo spisować,
Co nasi księża chrzcić będą i chować".

Słowem, istotnie świat cały, świat pełen poziomych pożądań i szczytnych porywów, lud, który dawną swoją, wiekami wyrabianą i do pewnego stopnia doskonałą mądrość zawiązał, jak łach niepotrzebny w węzełek, a tu, na obcym, wrogim mu gruncie tuła się i plącze bezradnie, jak dziecko prosty i jak dziecko naiwny. Stąd pierwsze, moralne tylko, ale bezlitosne zderzenie się z twardą rzeczywistością: wylądowanie.

„— Kardynał! — krzykną. Aż z nagła otoczy
Nas zewsząd wojsko. Lud patrzy zdumiały,
Dzieci w płacz. Baby wrzasły chórem: — Rety!
Oficer krzyknął: — Marsz! — Błysły bagnety".

I pognali ich w przeklęty „dom emigrancki", gdzie długie, śmiertelnie długie dni trzeba było czekać na przyjazd komisji rozdającej grunt i gdzie tymczasem żarły ich i dziesiątkowały: nuda, niepokój, pijaństwo i febra. A gdy poszli nareszcie w bór, kiedy rzucili się na niego z głodnym zapamiętaniem wilków — nastała czarna godzina. Bo bór był mocniejszy. Nic to, że biją chłopy od najwcześniejszego ranka do późnej nocy, że „tam z toporem razem biła dusza", że nikt nie ma zmiłowania nad sobą — bór stoi. Aż upadła w nich dusza. Dusiła ich spieka, potem



Fot. chor. Kaz. Mach

1916 r.

przyszła zgniła pora deszczowa, wypełzły kąśliwe gady, trzęsła febra, dzicy mordowali im dzieci. A jak woda, która wzbiera od stóp aż po usta, zalewać ich zaczęła tęsknota.

„Hej ziemio, ziemio, że my się też ciebie
Puścili. Miedz twych i twojego płota!".

Słyszeli, że gdzieś obok — może tuż za miedzą, może za dziesiątymi górami — osiadł z dawna lud polski, że „karczma tam jest, kościół i organy", więc jak zjawy stawać im w oczach zaczęły obrazy dawnego życia.

„— Coś słychać jakby! — Coś jakby w tej stronie! —
A drudzy oczy wytężą i uszy...
Lecz tylko pustka podzwania w tej głuszy".

I kiedy spaliła na panewce przednia, ale niewykonalna myśl, wybrać co najtęższe głowy

„I do angielskiej niech idą królowy.
Że katolicki lud tu jest krzywdzony!
I że tu naród na pomoc ją woła!"

— kiedy obwiesił się na niedociętym drzewie Przykuła, i zwłaszcza kiedy narzucić im chciano szarwarki, buchnęło, jak z zerwanych stawideł: — Wracać! I poszli. Bez żywności, bez dróg, bez języka poszli wprost ku wschodowi, ku morzu, kierowani instynktem rannego zwierzęcia, które chce skonać u siebie. Poszli w twardą, krzyżową drogę przez ciemne, ponure puszcze, przez spalone słońca pożarem stepy, przez zdradne trzęsawiska i przez zwały gór, które trza było brać, jak fortece. Ciągnęła ich tęsknota, gnała nędza, u boku szła śmierć. Jak się kruszy i sypie ziarno z dostałego snopa, kiedy go włóczyć po grudzie, sypał się z nich trup tak gęsty, że jeno garstka doszła do morza.

A jest w tej powrotnej drodze jedna scena, pozornie mniej barwna, i mocna, która wraca przecie potem i przypomina się uporczywie, jak symbol, która pali, jak skoncentrowane do kilku kropel morze zawodu i bólu. Oto klęka na gołej ziemi z odkrytą głową Piotr Bugaj i grzmotnąwszy się w piersi, bierze w garść szczyptę czerwieniejącej się w łunach zachodu ziemi i wznosi ją ku niebu:

„...Ty, cudza ziemio! Alboś ty jest Boża,
A my się, grzeszni, na twym struli chlebie,
Albo my — prawi, a tyś jest czartowska...
Niechże nas teraz rozsądzi moc Boska!...
. . . . . .
Ścisnął... Przez palce krew zdała się kapać".

Za to nad morzem znaleźli swojaków. Było ich tam z pół setki spod Inowrocławia, były wozy w półkoszki, „chłopy w lejbikach nędznych, w chustach baby", był ład i bogactwo, jakie Pan Balcer chyba u brata-księdza widywał, co siedzi w samiuśkim Krakowie, a zwie się Balcerski. Tylko kiedy mu gospodarz te bogactwa nad Polskę zaczął wychwalać, kiedy dzieci z polska po brazylijsku gadały, zmarszczył się, krzywo spojrzał Pan Balcer. On już inny jest człowiek. I czy to się zaczęło jeszcze tam, skąd duszę uciekał ratować, czy w boru, w strasznych chwilach zmagania się z nim i w obłędnych momentach żalu, co dusił za gardło — jemu w inny rytm tętni krew w żyłach. I kiedy w ostatniej pieśni zacznie nam ten kowal z Łukowa wykładać, co to jest Polska, to się czuje i widzi, że to nie „chłop", nie „cham", jeno taki, co ma tyleż w sobie fantazji i serca, jak i ci, co brali szańce. To już brat.

„Ziemio ty nasza! Cóż nam się ostało,
Jeno ty sama i twe miłowanie!
. . . . . .

Wyszedłem z ciebie, staję się łachmanem...
Że pyta lada kiep: — Gdzie ziemia twoja?
. . . . . .

Nie dbaj, łba podnieś, bo cię też do smutku
Nikto nie zwiąże! Zdzierż górnie psubrata,
Rzekąc: — A gdzieżby? W samym środku świata!
Chcesz — wierzaj! Nie chcesz? Wolna przed się droga!
Gdzieżeś ją mniemał być? Kędyś na stronie?
Na szarym końcu? Za piecem? U progu?
. . . . . .

My, Polska, zawsze stalim bliżej Boga...

To pewna, że od czasów wielkich romantyków mało serc biło u nas tak tęgo i górnie, jak temu chłopu znad Buga, kiedy w nie koścista ręka losu zaczęła kołatać.

A język? To już jest rzecz właściwej krytyki literackiej. Przestańmy na tym, że liczne jeszcze pokolenia uczyć się na nim będą i pieścić się nim i korzyć się przed jego świeżością i mocą. Czasem jest, jakby kto marmur zapamiętałym zamachem ciosał, czasem, jak gdyby ten sam marmur płatkiem kwiatu wygładzał.

Czy są na tym słońcu plamy? Być może. Bez nich słońce nie byłoby — słońcem.

(„Ziemia" 1910 r.)

PRZYRODA I CZŁOWIEK

Dwie są pozornie wręcz przeciwstawne, w rzeczywistości z jednego rosnące pnia właściwości umysłu ludzkiego: wrodzone, głęboko zakorzenione zamiłowanie do szablonu i banalności oraz zaciekła pogoń za wszelkiego rodzaju osobliwościami.

Im jakieś zjawisko, jakiś szereg zjawisk jest trudniejszy do ogarnięcia, tym chętniej poprzestajemy na wytartych liczmanach myśli, zadowalając się ujęciem cech czysto zewnętrznych, czasem wprost przypadkowych. Potem, kiedy już z nadmiaru tej wody z cukrem rodzi się chciwość, przerzucamy się w drugą ostateczność — szukamy form dziwacznych, drażniących, ekscentrycznych, pod którymi kryje się ta sama banalność. Tu i tam za wspólne podłoże podobnemu traktowaniu rzeczy służy zwykłe lenistwo.

Takim jest najczęściej nasz stosunek do natury. Były podobno czasy, kiedy była ona człowiekowi — matką. Ale to było tak dawno, że nawet zbiorowa pamięć ludzkości nie jest w stanie tak daleko cofnąć się wstecz. Z czasem stosunek zmienił się, zwyrodniał. Z dziecka człowiek stał się napastnikiem, potem zwycięzcą, nareszcie posiadaczem.

Dziś natura jest dla nas przede wszystkim roboczym bydlęciem. Używamy jej usług tak, jak się używa konia dorożkarskiego, którym nie ma celu bliżej się interesować, jak się używa posłańca, któremu oddaje się list, ale na którego się nie patrzy.

Poza tym służy nam jeszcze do dekoracji. Akceptujemy ją łaskawie w celach ornamentacyjnych, oczywiście po ścisłym dostosowaniu do na-

szych potrzeb i pojęć, po wyrównaniu i poprawieniu jej. Wonne kwiaty o przedziwnie delikatnych płatkach usadzamy w geometryczne figury, z rosochatych konarów drzew formujemy altany i szpalery, a stawy czyścimy starannie, żeby wyglądały, jak gdyby je tylko co pokojówka czy lokaj wyfroterował.

Czasami odwiedzamy ją też na jej własnym terenie, spotykamy się z nią oko w oko tam, gdzie jeszcze nie wszystko jest urządzone, poprawione i dostosowane. Wtedy przede wszystkim szukamy osobliwości. W górach nosimy w kieszeni tabelkę z dokładnym obliczeniem wysokości każdej z nich oddzielnie, żeby przypadkiem nie okazać więcej zachwytu górze siedemsetmetrowej, aniżeli się należy tej, co ma okrągłe tysiąc; w lasach wyszukujemy najgrubszych drzew, w urwistych jarach — kamieni, które by jak najmniej do kamieni były podobne [1]). Jeżeli jesteśmy konsekwentni, wyobrażamy sobie raj, jako wielki ogród, w którym drzewa rosną korzeniami do góry, wody w strumieniach płyną od ujścia do źródeł, a po łąkach zarosłych czerwoną trawą, przechadzają się cielęta o czterech obowiązkowo ogonach.

To właśnie jest, jak sądzę, między innymi powodem, dla którego nasi wielcy podróżnicy — mówię „wielcy", bo słowa „duży" w pierwszym przypadku liczby mnogiej nie używa się — lekce sobie traktują nasze swojskie widoki. W nich nie ma co oglądać. Góry nie są dosyć wysokie, jeziora dosyć głębokie, a w lasach nie rośnie ani lotos raz na sto lat kwitnący, ani nawet zwyczajna palma. To co jest, redukuje się do głupich sosen na głupim piasku, przykrytych równie niemądrym niebem. Wszystko to razem można w ostateczności z jednakowym skutkiem obejrzeć u siebie w domu na obrazkach dziecinnych książek.

A szkoda. Próżnym było by staczać bój — zwłaszcza, że bez nadziei zwycięstwa — czy nasza natura jest piękna czy brzydka. Czy ona zresztą gdziekolwiek może być brzydką i co jest w ogóle pięknym w naturze? Ona sama nic o tym nie wie. Oblicze swoje kształtowała w przedwiecznie zamierzchłych czasach pod wpływem sił i działań kosmicznych, które my dziś zaledwie z trudnością zaczynamy odcyfrowywać. Najmniej pewnie wówczas brane były pod uwagę nasze obecne kanony estetyczne, nasze upodobania, zmienne z dnia na dzień, nasze mody i snobizmy.

---

[1]) Rzecz prosta, nie mówię o przyrodnikach, studiujących osobliwości natury dla celów naukowych.

W tym właśnie cały jej urok, że jest, jaką jest, że nie chce i nie może być inną. Może tylko pod wpływem interwencji człowieka usuwać się, ginąć, wymierać, poddawać się biernie niezliczonym operacjom, amputacjom, kastracjom, ale w istocie swej pozostaje tym, czym była.

I jeżeli potrafimy w tę właśnie istotną treść jej wniknąć, jeżeli z kształtów i form widzialnych potrafimy odgadnąć czy odczuć jej wewnętrzne oblicze, nie będziemy zastanawiali się nad tym, czy ono jest groźne czy wdzięczne, wesołe czy ponure, bujne czy bezpłodne, zobaczymy natomiast na pewno, że jest świeże i wielkie, że daje to ukojenie, jakie duszy ludzkiej sprawia widok rzeczy odwiecznych.

My dziś w miastach żyjemy życiem szalonym. Życiem nieszczęśliwym, głupim i małym.

Olbrzymia większość chodzi w ciężkim, nieraz krwawiącym jarzmie codziennych obowiązków, bez możności wytchnienia, bez sposobu podniesienia choćby na chwilę oczu utkwionych w ziemię — do góry. Część czasu oddajemy sprawom i obowiązkom publicznym, podejmowanym w chwili zapału, spełnianym potem dla braku sił często niewystarczająco i źle. Tak zwane „wolne chwile" oddajemy stosunkom towarzyskim albo bezmyślnie oszałamiającej zabawie. Dla siebie nie pozostaje nic. Myśleć o sobie, pamiętać, że każdy człowiek jest światem zamkniętym w sobie, że zależnie od wypełniającej go woli ten świat może być lepszym lub gorszym, doskonalszym lub mniej doskonałym — na to się nie ma już chęci ani czasu. Wielu ludzi uważa taką dbałość o siebie wprost za dzieciństwo, za rzeczy przesadzone i śmieszne i sądzi, że na to, jak na wszystko inne, są już gotowe sposoby i recepty, fabrykowane masowo na użytek publiczny. Odmienia się duszę w miarę zużycia, jak się odmienia znoszone skarpetki lub chustki do nosa — i basta.

A potem, kiedy przyjdzie jakaś katastrofa moralna, jakieś straszne załamanie wewnętrzne, jakiś ból, od którego drą się trzewia na strzępy, okazuje się, że nie mamy w sobie nic, czym byśmy mogli stawić opór, łatać szczerby i odradzać się.

Jest cudnie piękny i głęboko mądry życiowo grecki mit o Anteuszu. Ten, ilekroć zwyciężonym był i powalonym na ziemię, odzyskiwał w dotknięciu z matką-rodzicielką całą świeżość, całą siłę uprzednią.

Dlaczego nie chcemy naśladować go? Dlaczego w momentach, kiedy piersiom brakuje już tchu, a w głowie huczy złowrogo próżnia, nie idziemy po prostu gdzieś przed siebie, w las, w pole, daleko od ludzi, a blisko tego, co się tyle razy oglądało, a tak mało widziało?

Dlaczego w tych gorzkich chwilach, kiedy człowiek czuje, że idzie już do dna, nie ucieka do prastarej ziemi-pocieszycielki — odnaleźć siebie?

Na to nie potrzeba być ani poetą, ani osobnikiem obdarzonym wyjątkowym darem zatapiania się w kontemplacji. Idzie się przecież czasami w chwili strapienia do ludzi wyjątkowo dobrych, zdrowych i czystych, nie na to, żeby z nimi o swoich kłopotach gadać, jeno dlatego, że ich obecność działa niekiedy jak balsam.

Dobrą, zdrową i czystą jest natura. Ale trzeba zwrócić się do niej bez uprzedzeń, bez lekceważenia, bez pychy.

. . . . . .

Z gęstych i mrocznych borów łysogórskiego podnóża wypływa niewielka rzeczka Kamienna, która prawie na wprost Józefowa wpada do Wisły. W środkowym swym biegu, od Kunowa po Ćmielów, stanowi ona wyraźną, mocno zaznaczoną granicę geologiczną i kulturalną między żyznymi, z dawien dawna uprawnymi łanami sandomierskimi a lesistymi pustkami, które się aż poza Ciepielów, pod Solec ciągną.

Kiedy się w ciepły lipcowy wieczór przechodzi z prawego brzegu na lewy, różnica ta bije w oczy. Tylko co wyszliśmy z gwaru, zamętu, nieprzerwanego łańcucha wozów ze zbożem, towarami, ludźmi, z gorączkowego krzątania koło żniw, z długiego szeregu dymiących i szumiących fabryk.

Tutaj pustka i cisza. Na dalekim widnokręgu siniejąw sędziwej zadumie Łysogóry, za które stacza się spracowane i uznojone słońce. W ostatnich jego gorąco czerwonych promieniach gorzeją sosny. Ma się wrażenie, że one naprawdę płoną i że od tego żaru topi się, spływa żywica, której tak silny zapach unosi się wkoło.

Jedyny to zresztą żywszy, cieplejszy ton w tej pustce. Niebieszczeją tylko miejscami wrzosowiska, gdzie indziej jakby jakaś potężna a złośliwa pierś jednym podmuchem zmiotła z powierzchni ziemi wszystko, oprócz kamieni i piasku. Opodal żółci się sypka, piasczysta krawędź doliny, zbiegająca do samej rzeki.

Coraz ciszej, coraz puściej, coraz ciemniej. Już tylko w dogasającym zmierzchu połyskują metalicznym odblaskiem fale rzeki, chlupocącej o koślawe, pokraczne pale starego mostu. W głąb lasu idzie od niego zwykła leśna ścieżyna, wydeptana bosą nogą wiejskiego pastuszka, kusząca czymś tajemniczym, nieznanym.

Cisza taka, a w wiosce o trzy, cztery wiorsty odległej słychać, jak skrzypi żuraw studzienny, słychać, zda się, jak woda z wiadra wylewa się z pluskiem w koryto. W pewnym momencie majaczeje na brzegu krawędzi jakiś kształt smukły i pierzchliwy, jakieś nozdrza wciągają nieufnie powietrze i chrapią; potem lekki i suchy tupot racic, bijących chybko o ziemię. Potem już nic. Od leśnych pustaci wieje jakiś głęboki smutek, od którego coś w duszy zaczyna mięknąć i drżeć. Taje, spływa bezgłośnie skorupa, narosła od niepamiętnych już czasów. Zwracają się w głąb oczy, trwożliwe, ciekawe, zdziwione. I tak jest z tym smutkiem dobrze.

A wtem z nagła uderzy wiatr. Zakołyszą się, zaskrzypią żałośnie sosny. Z brzegu sypie się suchy, siekący piach. I jak głębokie westchnienie ciężko przez sen oddychającej piersi, nadlatuje gdzieś z głębi lasu szum drzew.

Chciało by się przypaść do ziemi i objąwszy ją mocno, po dziecinnemu rękoma wyszeptać cichymi usty: Mojaś ty, moja, moja jest.

(„Ziemia“ 1910 r.)

WISŁA

Ilu z nas też naprawdę zna Wisłę? No, oczywiście znamy ją wszyscy. Jest to rzeka, ba, nawet „rzek naszych królowa“, składająca się latem przeważnie z piasku z dodatkiem mniej lub więcej mętnej i brudnej wody, od czasu do czasu urządzająca efektowne widowisko potopu na małą skalę i odznaczająca się tą osobliwą jak na królowę cechą, że poniżej Warszawy jest ściekiem nieczystości ośmiuset-tysięcznego miasta.

Jest rzeką wybitnie polską, brzegi ma nie tylko w Prusiech, ale i w Królestwie Polskim obsadzone gęsto przez Niemców, miejscami zaś chodzą po niej — usiłują przynajmniej chodzić — statki świętujące w soboty.

Z tym wszystkim, nawet bardzo ostrożny człowiek mógłby się śmiało założyć, że w Warszawie jest kilkanaście tysięcy osób, które Wisłę widują raz na 5 lub 10 lat, a kilkadziesiąt tysięcy takich, których najdłuższa wyprawa Wisłą sięgała Młocin lub Saskiej Kępy. Za to tych, którzy by ją przejechali czy brzegi jej zeszli od źródeł do ujścia, jest może dziesięciu, może trzech, a być może, że wcale ich nie ma.

Jak na liczbę osób, którym sprawy krajoznawstwa swojskiego leżą na sercu, liczbę, wynoszącą na obszarze ziem polskich nie mniej chyba, niż jakieś grube setki tysięcy — jest to nieco za mało. Niewspółmierność pomiędzy ciekawością a chęcią czy możnością jej zaspokojenia jest istotnie nieco zanadto rażąca.

Otóż właśnie — chęcią czy możnością? Przypuszczam, że chęć bliższego zapoznania się z jakąś osobą, faktem, zjawiskiem wyraża się normalnie w usiłowaniu zbliżenia się do nich, obcowania z nimi, zawarcia stosunku bezpośredniego, osobistego. Są w samym Królestwie nad brzegami Wisły trzy towarzystwa wioślarskie, towarzystwa, których działalność związana jest z natury rzeczy z tą rzeką i z których najliczniejsze — warszawskie liczy około 800 członków, z tych czynnych tj. jeżdżących po wodzie — dajmy na to — połowę. Zatem 400 na 800 tysięcy mieszkańców Warszawy, czyli jeden wioślarz na 200 mieszkańców. I znowu — czy to nie za mało cokolwiek? A przecież poza urządzaniem igrzysk i zapasów sportowych, poza wożeniem pięknych, a nawet i mniej pięknych dam i zabawianiem ich na balach i podwieczorkach, członkowie tych towarzystw odbywają dalekie, kilka, czasem kilkanaście dni trwające wycieczki o charakterze raczej już krajoznawczym niż sportowym, zwiedzają nieraz wielki szmat własnego kraju, docierają do miejsc, leżących dla braku prawidłowej komunikacji poza nawiasem dzisiejszego ruchu turystycznego.

Z nieuniknionej konieczności znają Wisłę we wszystkich jej wyglądach, równie dobrze cudną letnią słoneczną porą, kiedy na szerokie roztocza wodne leje się powódź blasku i ciepła, jak w posępne, o jesiennym wyglądzie dni „morki", silnego, od Bałtyku dmącego wichru, który krótką, gniewną i groźną falą chlaszcze o burt łodzi.

Jaka szkoda, że tak mało wśród nich jest poetów, powieściopisarzy, ludzi pióra, że wskutek tego do dziś dnia Wisła — mniej w tym od Niemna szczęśliwa — nie może się doczekać, aby ją zaawansowano na temat godny powieści, poematu, no, choćby sonetu czy fraszki wreszcie. Pisał ci o niej nieboszczyk Klonowicz w swoim „Flisie" i pisał nawet z dużym poczuciem tego, co z tego tematu wziąć trzeba, ale że był człowiek bez wielkiego talentu i że się to działo dość dawno, czas było by go zluzować.

A malarze... Jest ich kilku, z doskonałym Rapackim na czele, którzy od czasu do czasu dają dobre studia znad Wisły, są arcydzieła Gierymskiego, ale po pierwsze to są studia nie z Wisły, tylko znad Wisły,

a po wtóre znacznie więcej, nie mówię już malarzy, ale pejzażystów, odwraca się po prostu od Wisły plecami i uważa, że jest „głupia", że brzegi ma płaskie i nudne, wodę o kolorze stale mdłym i bezbarwnym i że w ogóle można się bez niej obejść. Zapewne, obejść można się bez bardzo wielu rzeczy, są jednak takie, bez których łatwiej jest żyć niż dyskutować, a mianowicie dokładna znajomość przedmiotu, o którym się mówi. Dodam już tylko, że kiedy Andriolli, człowiek równie mocnego talentu rysownika, jak szerokich, oryginalnych gestów osobistych, szukał raz towarzysza do podróży łódką do Gdańska, nie mógł go znaleźć.

Na to, żeby poznać Wisłę, niedość jest popatrzeć na nią w wolnej chwili czy w przejściu, z mostu lub z bulwaru, z miejsc zatem, gdzie przygłuszającym wszystko wrażeniem jest łomot przejeżdżających dorożek, nudny brzęk dzwonków tramwajowych i wzajemne poszturchiwanie się przechodniów. To nie jest Wisła, to są tylko brudne, zaniedbane, nieszczęśliwe wybrzeża, z nieodłącznym zresztą wielkomiejskim kurzem, zaduchem i pospolitością. Ale proszę pojechać o kilka wiorst, choćby tam, gdzie w Warszawie kończą się już ostatnie domy Solca i Czerniakowskiej, straszne, ohydne czteropiętrowe baraki, gdzie rzeka nagłym i gwałtownym zakrętem rozszerza nam doraźnie widnokrąg i wyzbywa się mrowia domostw, klitek i budek, co ją nieco poniżej obsiadło.

To już nie jest, jak tam pod mostem, jakiś kanał, wypełniony martwo cieknącą wodą, bez wyrazu i bez charakteru. To jest już wielkie, potężne „indywiduum geograficzne", coś, co żyje, co chce i myśli bez mała. Jeżeli to jest trochę wietrzny, nieco krwawy zachód słońca, jest to także jeden z najbardziej czarujących widoków, jaki w Polsce można zobaczyć. Płynąc środkiem i siedząc w niskiej łódeczce, widzi się bardzo mało brzegów; gdzieniegdzie tylko błękitnieją w oddali duże kępy wyniosłych, krzepkich, rozłożystych topoli nadwiślańskich albo nieco bliżej czernią się pod światło i ciągną długim fantastycznym jak gomon pochodem powykrzywiane pnie wierzb. Górą krwawią się, jakby jakimś wewnętrznym gorejące ogniem obłoki, jedne do świetnej przejrzystej czerwieni rozgrzane, inne już jakby przysnute dymami. Czasem na tym rdzawym, posępnym tle śmignie zawrotnie i chyżo śnieżno-białe skrzydło rybitwy, rozlegnie się jej przejmujący metaliczny krzyk. A dołem toczą się ciężkie, spokojne w swojej niczym nie powstrzymanej masie i mocy wody. Na ich błękitnej, bardzo ciemno-błękitnej powierzchni

zapalają się i gasną natychmiast miliony iskier; zdawać by się mogło, że spodem, od dna płynie jakiś piekielnie rozpłomieniony nurt ognia, który tę górną powłokę na krótką chwilę rozdziera. Pomału wszystko sprowadza się do tych dwóch zasadniczych, odwiecznie prostych i odwiecznie potężnych tonów: płomiennego żaru u góry i od zachodu i wypierającego go od dołu i od wschodu cienia. W niektórych tylko miejscach, zwłaszcza na dalszych planach, te dwa pierwiastki tak się łączą i przenikają wzajemnie, jak gdyby rozproszkowane do najdrobniejszych cząsteczek światło przesycało ciemny, prawie że gęsty błękit.

A kiedy już zgasną ostatnie zorze, kiedy w bezksiężycową noc ostatnią skrę światła stłumi i przydusi bezwzględnie czarny całun, zostaje tylko cichy plusk fal niespracowanie dalej idących. One jedne już tylko czuwają, idąc mimo nas od błękitnej wężem się wijącej Pilicy, od świeżych szmaragdowych łąk Wieprza, z drzemiących podkarpackich bagienek i szalonych potoków tatrzańskich. Coraz większa teraz jest w tej bezbrzeżnej, nieskończonej topieli wód moc, coraz większa tajemniczość i obcość. Czasem tylko wysunie się z nocnego pomroku, minie nas — jak zjawa — wielki, groźny kadłub berlinki, żeglującej ku żółtym i czerwonym światełkom, którymi nurt wyznaczono. Czasem, już płynąc z powrotem, otrzemy się nieomal o „zaszrykowaną" tratwę, „głową" ku przodowi, „jałową" ku tyłowi zwróconą, spojrzymy na buchające wysoko i szamoczące się z wiatrem płomienie ogniska na niej. Ale tego trzeba się strzec, bo woda ciągnie pod tratwę, a podniesione w górę „drygawki" sterczą, jak groźny płot dzid, broniąc dostępu.

I dopiero kiedy się ma cały szereg takich wycieczek za sobą, kiedy się dostąpiło zaszczytu pewnego spoufalenia z tą — tym razem już na serio powiedzmy — „królową", kiedy się zczerniało od słońca, na wskroś przemiękło od słoty i naborykało z wichurą, wtedy dopiero można powiedzieć, że się zna Wisłę. A i to tylko w pewnym, nieskończonym dla danego osobnika, ale szczupłym dla niej samej zakresie osobistych nastrojów i doświadczeń. Trzeba oczywiście iść dalej, tak daleko, jak tego waga przedmiotu wymaga. Trzeba jak gdyby wznieść się na pewną wyżynę, ogarnąć ją od źródeł do ujścia, rozpatrzeć nie tylko w kolorystyczno-nastrojowych szczegółach, ale i w tych wszystkich dziedzinach, w których ona tak przemożny wpływ wywiera. Zatem, nie mówiąc już o najobszerniejszych badaniach fizjograficznych — w dziedzi-

nie etnografii, gdzie Wisła zjawia się, jako ważna i ścisła granica poszczególnych naszych kultur ludowych, w dziedzinie handlowo-ekonomicznej i pod względem historycznym.

Ale tu zaczyna się dopiero prawdziwy kłopot. Tu kończy się „niechcenie", a zaczyna niemożność. Wstyd powiedzieć, ale my do dziś nie mamy wystarczającej rozmiarami i wartością prac dokonanych monografii Wisły. Mają ją oczywiście Niemcy, którzy już w 1855 r. opracowali i wydali w Kwidzyniu pod przewodnictwem Fr. Brandstaetera duży, o 570 stronicach tom z 36 litografiami. Jest to nawet praca, jak na owe czasy, poważna, a jak na Niemców — w stosunku do nas przychylna i uczciwa, ale najmniej nawet szowinistycznie usposobiony człowiek przyznać musi, że brać w tym wypadku od obcych było by tyleż, co zapożyczać się u sąsiada na utrzymanie własnego domu, i to zapożyczać się na lichwiarskie procenty.

Czas było by skandalowi tamę położyć. Nie dlatego, żeby krajoznawstwo polskie wypełniło już wszystkie swoje zadania i powinno się było spieszyć z wypełnieniem ostatniego z nich — monografii Wisły, tylko dlatego, że wobec i pomimo mnóstwa czekających nas robót, zaczynać należy od najważniejszych. A mało znam bardziej ważnych niż dorzecze rzeki, wzdłuż której leżą najrdzenniejsze ziemie polskie i przy której się lwia część dziejów naszych rozegrała i rozgrywa.

Kto tej pracy powinien się podjąć? Sądzę, że przede wszystkim Towarzystwo Krajoznawcze. Ono jedno rozporządza dostosowaną do celów powyższych organizacją, ma pewną w tym kierunku wprawę — choćby ze względu na rozpoczęte badania zbiorowe Łysogór — grupuje koło siebie grono ludzi wystarczająco kompetentnych i posiada najniezbędniejsze pomoce naukowe. Nie tylko jednak nie wyłączone jest, ale oczywiście nawet jak najbardziej pożądane współdziałanie innych instytucji i osób, pragnących przyczynić się do postawienia tej ogromnej, jak na nasze stosunki, imprezy na należytym stopniu.

O ile wiem, przed 10 czy 12 laty Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie już się tej pracy podejmowało. Wykonanie jej powierzone było Sygietyńskiemu i najodpowiedniejszemu może z ówcześnie żyjących Polaków — Dygasińskiemu. Niestety, przez śmierć tego nieodżałowanej pamięci pisarza sprawa poszła w odwłokę i jaki jest jej stan obecny, nie umiem powiedzieć. Że jednakże w tej czy w innej formie Towarzystwo Wioślarskie skłonne byłoby do dawnych swych planów powrócić

i usiłowania swoje połączyć z pracami Tow. Krajozn., o tym, znając jego dotychczasową działalność i szeroko pojętą inicjatywę społeczną, z jaką zwykło występować — nie wątpię. Nie mówiąc zaś już o pomocy materialnej całego Towarzystwa, czynna pomoc ze strony jego obeznanych praktycznie z rzeką członków byłaby czynnikiem jak najbardziej doniosłym i pożytecznym. Oprócz tego nie ma żadnej zasady do przypuszczeń, że takich instytucji nie znalazło by się u nas więcej, choćby dlatego, że ludzi i towarzystw zainteresowanych bezpośrednio w poznaniu Wisły u nas jest bezmiar.

Choć to jeszcze gruszki na wierzbie, pozwolę sobie pomarzyć, jak moim zdaniem taka praca wyglądać powinna. Musi to być zatem duży, 500—600 stronic mający tom formatu „Polski", wydawanej przez Macierz Szkolną we Lwowie, ale lepiej pod względem typograficznym wykonany, na ładnym, trwałym papierze, z bezwzględnie pięknymi ilustracjami, odbitymi nie tylko z wzorowych zdjęć fotograficznych, ale i ze specjalnie zamówionych rysunków. Działów powinien zawierać pięć: fizjograficzny, etnograficzny, ekonomiczny, historyczny i malowniczo-opisowy. W etnograficznym uwzględnić by należało, czym jest Wisła w życiu, pojęciach i wierzeniach ludu, rezerwując osobny rozdział dla flisactwa i retmaństwa. Dział ekonomiczny włączyć powinien roboty konieczne do wykonania, aby Wisła była wielką arterią komunikacyjną, a przestała być wielkim szkodnikiem, przy czym niemożność przeprowadzenia robót takich przez nas samych nie jest żadną zgoła wymówką. Prace o handlowym znaczeniu Wisły (dziś i na jutro) byłyby oczywiście pierwszorzędnego znaczenia ze względu na spopularyzowanie tych arcyważnych pomysłów wśród ogółu (Ogłaszał je p. Edm. Krzyżanowski w Gaz. Przemysł.-Handl.). Dział historyczny poza uwzględnieniem znajdujących się nad brzegami rzeki zabytków, powinien by jak największy nacisk położyć na wyświetlenie dziejowego znaczenia Wisły w ukształtowaniu się państwa i społeczeństwa polskiego. Dział wreszcie opisowy oparty powinien być bezwarunkowo na bezpośrednich naocznych wrażeniach, i oprócz szczegółowego opisu wybitnie malowniczych miejscowości nadbrzeżnych ustalić powinien kilka zasadniczych typów nadwiślańskiego krajobrazu.

Całość, oparta na jak najbardziej ścisłych i rzeczowych podstawach, trzymana być winna w tonie przystępnym, z odrzuceniem do wydawnictw specjalnych nazbyt specjalnego i suchego podkładu naukowego.

W ten sposób powstałoby dzieło nie tylko poważnej i trwałej wartości, ale pociągające ku sobie każdego, kto Wisłę chce poznać i bliżej poznawszy — pokochać. A takich wszak chyba u nas nie zbraknie.

(„Ziemia" 1910 r.)

KRAJOBRAZ POLSKI

Pan Ferrucio Lupis, krytyk i esteta włoski, był w Polsce, zwiedził ją od Tatr po puszcze litewskie, wchodził do nędznych chat włościańskich, przystawał u krzyżów i figur przydrożnych, dziwił się wielkiej ilości jęczących na rozdrożach wiatraków. Po powrocie opisał wrażenia swoje w mediolańskim dzienniku „Il Tempo" pod tytułem „Paesaggio polacco", co p. M. Trzebiński w dosłownym tłumaczeniu podał do naszej wiadomości w jednym z dzienników warszawskich. Dowiedzieliśmy się tą drogą, że przyroda polska wydała z siebie „arcydzieło smutku i melancholii", że kraj nasz, to „uboga równina, która skłania do rozmyślań wolnych od wszelkich pokus rozkoszy i zbytku", że „nie ma tu wytwornych ogrodów, nęcących swą lubieżną cienistością, lecz moczary lub piachy, pola nagie a smutne, które zmuszają umysł ludzki do zagłębiania się w najzawilsze sprawy życia". Artykuł jest zresztą ładny i ciepły, trzymany w tonie dla nas zupełnie życzliwym, nie bardzo nawet klepiącym po ramieniu, raczej przez szkła zaciekawionej sympatii oglądający naszą nędzę hyperborejską. Z tym wszystkim jest nie tyle w szczegółach, ile w samym swym ogólnym założeniu z gruntu fałszywy, pisany tak, jak się pisze wrażenia o kraju, który się zna z obrazków.

Jest to Polska malowana na dekoracje teatralne do sztucznego światła kinkietów, rzutem pędzla mocnym, grubym i nieco sentymentalnym. Przede wszystkim pan autor nie rozróżnił tego, co jest istotne, od tego, co jest przypadkowe. Bo brać nędzę, opuszczenie i brud za coś od natury ziem polskich nieodłącznego, jest to, powiedzmy bez gniewu, mylić się wyrokując nieco zbyt pospiesznie. Co prawda, jest to błąd bardzo łatwy do usprawiedliwienia. Kiedy się widzi „pola i ugory nie pokrajane w symetryczne zagony", gdzie jest brak niemal zupełny „białych willi wesoło dokoła rozsianych, jak u stóp naszych Apenin", gdzie spotyka się ludzi nadmiernie spokojnych, mało uzewnętrzniających swoje wrażenia, jakby podejrzliwie strwożonych, tam — zwłaszcza kiedy się

Włochem jest — łatwo dać się unieść uczuciu może idącego nazbyt daleko smutku. Ziemia, której jest odjęte jej najświętsze prawo — rodzenia, ludzie, którzy nie zadośćczynią swym najnaturalniejszym potrzebom łatwego i swobodnego ujawniania swoich wrażeń na zewnątrz, którzy nie śpiewają, nie śmieją się głośno w miejscach publicznych, nie hałasują w napadzie dobrego humoru, których pierwszym zapytaniem jest zawsze „czy wolno" — taka ziemia i tacy ludzie są pełni smutku. Ale to jest smutek nic z przyrodą ziem naszych nie mający wspólnego.

Szkoda, że ten spostrzegawca przelotny nie zna zapewne naszego języka, że nie możemy mu dać do przeczytania choćby — Reja. Zobaczyłby, jak to wielkie dziecko o sangwinicznym temperamencie i nieco zaniedbanym wychowaniu umie się bawić, jak wszystkimi porami tryska z niego wesołość i zdrowie i jak krzepko tysiącem korzeni związany jest ten człowiek z ziemią, która go wydała. Przeczytalibyśmy mu też i Kochanowskiego, humanistę, bywalca, Europejczyka, umysł polerowany i szeroki, zarazem typowego szlachcica, siedzącego sobie na nędznych piaskach kozienickich, dziś jeszcze ubogich i pustych. I zobaczyłby, jak w cudne popołudnie lipcowe, kiedy ziemia pachnie i przeciąga się, jakby omdlała, kiedy lekkie a gorące dotknięcie wiatru muska i całuje po twarzy, przedstawia się ten „biedny i smutny" świat, siedzącemu pod lipą, która

„swym cichym szeptem sprawić umie snadnie,
że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie".

Idąc dalej zobaczyłby, jak największy z wielkich naszych — Mickiewicz, człowiek, którego życie było nieustającym bojowaniem, który wziął w siebie moc milionów, żeby jej użyć za dźwignię do wyważenia drzwi, co nas nimi zaparto, mógł w chwilach wytchnienia tworzyć obrazy nieporównanej słodyczy, harmonii i ciszy, mógł w rozmodlone a tęskne oczy chłonąć cały czar i wdzięk ziemi, co zaprawdę nic z tundrą syberyjską nie ma wspólnego. A przecież ci ludzie, to kość kości, to krew krwi naszej. Przecież oni mówią tylko to, co my wszyscy, mówić jak oni nie umiejąc, nie mniej od nich głęboko czujemy. Czyżeśmy więc istotnie tak beznadziejni, smutni — my i ziemia nasza? Czyż naprawdę my jesteśmy jakimś godnym litości narodem pariasów, skazanym na grzebanie się w błocie ziemi, która nic z siebie ponad smutek wydać nie umie?

Ejże, panie Włochu, każdy ma swoje ideały i każdy inaczej sobie swój raj wyobraża, a chociaż twój kraj taki piękny, taki jasny, taki słoneczny, przecie my ze swoim nie idziemy do handlu. Bo tyle tylko jest pewne, że każdy z nich jest inną pięknością piękny i że my — równie zresztą jak wy — tak dalece się ze swego gruntu czujemy wyrośli, że piękno innych ziem możemy nawet na chłodno ocenić rozumem, możemy sobie w nim dla kontrastu na chwilę podobać, ale odczuwać całą głębią swej duszy możemy tylko swe własne. Innych my światów ludzie jesteśmy — ale nic więcej ponad to.

Ty jesteś synem suchej, zwięzłej i żywej rasy łacińskiej, wstrzemięźliwej w jedzeniu i piciu, choć skłonnej do szukania rozkoszy i sybarytyzmu, o umyśle ruchliwym i giętkim, o zmysłach bardziej wyostrzonych i wrażliwych. Żyjesz w kraju, gdzie światło kładzie się plamą jaskrawą i twardą, gdzie w idealnie czystej atmosferze nie mniej twardo rysują się potężne i wzniosłe kontury sylwetek gór. Jesteś — zupełnie jak twoja przyroda — łatwo skłonny do przejść od rozkosznego, lubieżnego omdlenia do namiętnie gwałtownych wybuchów, jesteś wskutek swej odrębności i krańcowości bardziej niż człowiek jakiejkolwiek bądź innej rasy trudny do przystosowania się do obcych sobie warunków, do zrozumienia innej niż twoja własna kultury.

My, przeciwnie — jesteśmy ludzie miękkich konturów. Ziemia nasza rzadko tylko i gdzieniegdzie dźwiga się ku górze szańcem majestatycznych gór, na ogół zaś jest równa, z lekka, jak pierś cicho przez sen oddychająca, sfalowana. Jeziora nasze nie biją o kamienny brzeg, jak wasze morza, wałem groźnym, rozchełstanym u grzbietu, ryczącym, jeno się kładą na jego pachnące murawy falą miękką, pieściwą i cichą. Sady pełne są słodkiego jak uśmiech dziecka zapachu, a groźne na pozór, potężnymi trzonami pni strzelające wzwyż bory, mają w sobie po wejściu w nie jakąś dziwnie łaskawą dobrotliwość i spokój. I kiedy iść na obsypane kwieciem miedze, kiedy kłosy wyrosłego jak las zboża zaczną bić z lekka po twarzy, myśli się, że na tej ziemi zeszło się wszystko, co chce żyć spokojnie, równo i cicho, bez wstrząsających namiętności i bez dochodzących do tragizmu opadań fal ducha.

W powietrzu, za wyjątkiem dni bardzo rzadkich, wiszą zawsze lekkie mgły i opary, które do reszty zmiękczają łagodne zarysy ziemi i przykrywają jakby przejrzystą zasłoną jej oblicze. Przez to jest ona mniej podobna do kutej z marmuru twarzy klasycznej piękności, ale przez

to też ma w sobie wdzięk, ciepło i jakiś rozpromieniający ją uśmiech wewnętrzny, którego tamtej zwykle brakuje.

A na tej ziemi siedzą ludzie spokojni, aż do zbytku nawet pogodni i cisi.

Może to być ich siła czy słabość, a w połączeniu z pewną miękkością i brakiem energii — ich nieszczęście, ale przede wszystkim jest to ich najistotniejsza cecha, odwieczny i lekkiej tylko zmianie uległy rysopis duchowy. Dziś na wierzchu leży gruz, jakim nas kataklizmy dziejowe obsypały, na gruzie, jak zwykle w ruinach, krzewi się niejedno zielsko, ale rdzeń rdzenia duszy polskiej jest bezsprzecznie ten sam, co był dawniej: ważki, zdrowy i tęgi, jak dostały pszeniczny kłos.

A któż jest lepszym, głębszym wyrazem swej ziemi, jeśli nie ludzie, którzy ją zamieszkują? Któż, jeśli nie oni, jest najistotniejszym, najlogiczniejszym uzupełnieniem krajobrazu, jego kluczem i jego częścią składową. Związek między człowiekiem i podłożem, na którym on wyrósł, jest tak ścisły, tak nierozerwalny, że nie tylko, co jest rzeczą powszechnie uznaną, rasa jest wypadkową swoich przyrodzonych warunków bytu, ale i odwrotnie, choć może w stopniu mniej znacznym, krajobraz każdej krainy ulega zmianie, zależnie od zmiany charakteru zamieszkującej ją rasy.

Może nie było potrzebne zatrzymywać się i rozszerzać tak długo nad pobieżnym, powierzchownym przez to wrażeniem cudzoziemca, na którym nam nic nie zależy i o które nie warto kruszyć kopii. Ale zamiast jego fałszywych i płytkich spostrzeżeń postawić swoje własne, głębiej uzasadnione spostrzeżenia — nie byłaby to rzecz małej wagi. Studium nad określeniem istoty i rodzajów krajobrazu polskiego mogłoby być robotą nie tylko wdzięczną i w plon bogatą, ale nawet do głębszego wniknięcia w duszę narodu potrzebną. Do tej pory robili to u nas i robią mistrze pędzla i pióra, artyści, którzy z natury rzeczy muszą i mogą dawać raczej fragmenty niż całość, którzy na naturę patrzą przez pryzmat nazbyt może wrażliwego temperamentu swojego. Całości, szerokiego tła, jakie rzucił w swoich olśniewających pracach malarstwu niderlandzkiemu lub włoskiemu Taine, nie dał nam nikt jeszcze. I nikt jeszcze w sposób wystarczająco jasny i ścisły nie określił, pod wpływem jakich sił przyrody kształtował się pejzaż polski i jego tysiączne odcienie, jak te same siły wpływały na rozwój duszy narodu i w czym ta dusza do pejzażu jest podobna, jak jest od niego zależna, jak pod różnymi postaciami wyrażają one obiedwie jedne i te same wartości.

Gdyby ta robota była zrobiona, gdyby jej wyniki uległy szerokiemu rozpowszechnieniu i wniknęły w świadomość szerokich warstw, mniej by było wśród nas samych dość lekceważącego patrzenia przez ramię na piękno swojego kraju i jego pod tym względem stosunek do innych. I spokojniej, z głębszym w duszy przeświadczeniem moglibyśmy takim litującym się nad nami jak p. Luppis spostrzegawcom powiedzieć, że jeżeli nawet słońce u nas jest bledsze, to w każdym razie promienie jego świecą dość mocno, żeby dojść do głębi serc naszych.

(„Ziemia", 1910 r.)

LITERATURA KRAJOZNAWCZA

Krajoznawstwo, jak wszystkie inne gałęzie wiedzy, ma i mieć powinno dzieła tzw. klasyczne, dzieła zatem, których treść może być zdrowym pokarmem duchowym dla długiego szeregu pokoleń, dzieła, których twórcy patrzyli pod szerszym kątem widzenia, nie ograniczając się do uwzględniania potrzeb chwili bieżącej.

Fakt, że krajoznawstwo jest nauką operującą materiałem, którego wartość z biegiem czasu nie tylko zmniejsza się, ale znika zupełnie, nie zmienia bynajmniej postaci rzeczy. Jeżeli bowiem zmienny jest sam materiał i metody badania, to nie jest zmienne natomiast to, co autor, co człowiek wnosi od samego siebie: siła i głębokość umysłu, jasność i dokładność rozumowania, zapał zresztą, z jakim twórca przystępuje do sprawy.

Tak, zapał. Niekoniecznie ten, który się objawia w gładko i głośno brzmiących słowach albo w potrójnym wykrzykniku na końcu zdania, ale ten, który działa wewnątrz człowieka, jak nakręcona do niezwykłego napięcia sprężyna, który go pcha do przełamywania trudności właśnie dlatego, że są wielkie, do schodzenia z szerokiego i wygodnego gościńca myśli, bo jest zbyt szeroki i nazbyt wygodny.

Takich pięknych, klasycznych dzieł ma nawet dość ubogie na ogół krajoznawstwo polskie niemało i nie jest słuszne, że większość ich jest znana zaledwie z tytułu, że każdy je chwali, wyraża się o nich z uznaniem, uważa za chlubę i zaszczyt piśmiennictwa narodowego, ale mało kto je czyta, mało kto zna choćby z widzenia.

Jednym z takich klasyków literatury krajoznawczej polskiej jest Pol. To się znaczy, jednym z tych, o których każdy ma sobie za obowiązek

wiedzieć i którego się w świątyni krajoznawstwa stawia na ołtarzu tak wysoko, że nikomu nawet na myśl nie przyjdzie zdjąć go i bliżej się z nim zapoznać. Jeszcze z arcypopularną „Pieśnią o ziemi naszej" jest pół biedy; tę dajemy bodajże dzieciom (do lat 10) do ręki, żeby się z niej uczyły „wierszy". Ale o głębszych i większych rozmiarami „Obrazach z życia i natury" głucho już jest natomiast zupełnie. Tyle tylko, że każdy po kolei z podręczników historii literatury ojczystej uważa za stosowne stwierdzić w przelocie, że jest to dzieło, którego niedostatecznie głęboki podkład wiedzy kompensuje gorące umiłowanie przedmiotu. Zatem, co na jedno wychodzi, dzieło, w którym dobre chęci starczą za uczynek i które można od biedy nabyć, nawet ładnie i kosztownie oprawić i postawić spokojnie na półce.

Otóż zdaje się, że tego rodzaju wyrok jest wydany nie tyle z krzywdą Pola, ile ze szkodą dla samego krajoznawstwa, dla sprawy zapuszczenia przez nie głębszych korzeni u nas i zwłaszcza dla ustalenia wyobrażeń, czym krajoznawstwo być powinno.

Nie wchodzę w to, jaka jest ściśle naukowa wartość tej pracy. Na to, żeby wydać wyrok bezstronny i dostatecznie uzasadniony, trzeba by być dobrym i gruntownie wykształconym botanikiem, zoologiem, geologiem, etnografem, lingwistą, historykiem, z tylu bowiem co najmniej stron patrzy autor na każde zjawisko i w każdym wypadku idzie na drodze swoich rozumowań jeżeli niedość głęboko, to dość daleko bądź co bądź. Ale przypuśćmy, że jego wysiłki w tym kierunku są istotnie straconym zachodem, że z dzisiejszego punktu widzenia rozumowania jego i poglądy są za mało ścisłe i niewystarczające, że takie były nawet w chwili pisania dzieła. Pozostaje do zbadania kwestia, co w ogóle z dzisiejszych poglądów, a zwłaszcza z dzisiejszych syntez, formuł i określeń ogólnych zostanie za 50 czy za 100 lat. Przypuszczam, że najsumienniejsze z dzieł i najgruntowniejsi z autorów nie mogą sobie w tym kierunku rościć pretensji do nieśmiertelności i że niemiłosierny pod tym względem czas znacznie wyrówna różnicę. Poza jednym czy kilkoma szczegółami, jakie się komuś uda zbadać i ustalić, reszta wskutek doskonalszych metod badania, wobec nowych zupełnie punktów widzenia ulegnie zaprzeczeniu, zmodyfikowaniu, przejdzie do archiwum. Pozostanie jako zdobycz osobista coś mniej czy więcej nikłego i to, co jest najmniej zmienne — dusza, którą autor włożył w swą pracę.

Otóż ta dusza, jaką Pol w swoich pracach ujawnia, jest tak głęboka, tak świeża i mocna, sposób i metoda, jakie on do swych badań stosuje,

są tak doskonałe, że pomijając wartość wyników, na nim właśnie więcej niż na wielu z jego współzawodników można będzie przez długie lata uczyć się poznawania swojego kraju.

Na szczęście czy na nieszczęście swoje i czytelnika Pol jest przede wszystkim artystą. To się znaczy, ma jako taki zmysły daleko więcej niż przeciętny śmiertelnik czułe i czujne. Widzi i słyszy dużo, szybko i uważnie, nie opuszcza rzeczy całkiem nawet nikłych pozornie, nawet może drugo czy trzeciorzędnych w istocie, ale zmysłowo, zewnętrznie silnie uderzających na razie i mocno się potem utrwalających w pamięci.

Jeżeli jest nad Bałtykiem, notuje od razu kolor wody, zależność jego od pory dnia, stosunek między barwą wody i kolorem nieba, między tym ostatnim i szerokością geograficzną. Robi trafne i bystre spostrzeżenie, że na Bałtyk patrzymy stojąc na brzegu zawsze ze słońcem od tyłu lub z boku, wskutek czego gra światła na fali traci dużo na wyrazistości i ożywieniu.

Na stepie ukraińskim wie, jak szumi trawa rano a jak po zachodzie słońca; gdzie indziej notuje, jakie są odrębne zapachy każdej z ziem polskich. Na jeziorach mazurskich widzi nie tylko tańczący słup słonecznego światła i srebrną dróżkę księżyca, ale słyszy i rozróżnia wszystkie głosy jeziornej natury: krzyk czajek i rybitw morskich, wrzawę dzikich kaczek, pisk kulonów, hukanie bąków i kruczenie żurawi. Wszędzie i zawsze chodzi, nie jak zatopiony w abstrakcjach teoretyk, dla którego natura sprowadza się do cyfry i suchego szkieletu myśli, ale jak człowiek, dla którego wszystkie te tony i barwy są pojedynczymi głosami wielkiego hymnu, do którego trzeba własną duszę dostroić, jeżeli go się chce dokładnie zrozumieć.

Polowi przychodzi to tym łatwiej, że o pomoc idzie do tych, którzy jeszcze nie wszystkie nitki łączności z żywą naturą zerwali — do ludu. Zapuszcza się z nim w długie, kilkotygodniowe wycieczki po mrocznych ostępach lasów pokuckich, pływa po bezbrzeżnie rozlanych wodach Polesia, osiada w chatach węglarzy litewskich, na Rugii z rybakami jeździ na nocne połowy, z góralami Beskidu chodzi na Węgry. Nie narzuca im swoich wyobrażeń, nie przykłada do ich naiwności swojej oschłej i sztywnej miary, jeno uczy się od nich i przy nich, traktuje ich jak jedno ze zjawisk natury, którą bada, stara się zrozumieć naturę przez ludzi i ludzi na tle natury.

Dzięki temu zakres jego spostrzeżeń osobistych jest rozszerzony przez ich odwieczne doświadczenia, instynkty i intuicję i dzięki temu dla chłod-

nego, metodycznego rozumowania naukowego zdobyty jest w ten sposób materiał pomocniczy niepośledniego nieraz znaczenia.

Oprócz tego przy tak ciągłym obcowaniu z ludem Pol nie tylko umie pewne zjawiska natury głębiej i świeżej odczuwać, ale je także umie trafniej i lepiej po polsku nazwać. Przez to język jego nabiera dosadności, przez to aż pachnie po prostu lasem i łąką, jeziorem i stepem. Nasze słownictwo zawodowe, o które dziś uporczywie, choć z niewielkim skutkiem, jak dotąd, walczymy, było kiedyś bogate i bujne, jak życie, które je wydało. Oczywiście miało za przedmiot nie rzemiosło lub handel, które w głąb życia narodowego nie wniknęły, tylko to, co było jego treścią codzienną: myśliwstwo, rybołówstwo, rolnictwo. Proszę sobie przypomnieć owe niezrozumiałe już dziś korabie, nawy, szkuty, promeny, komiegi, galary, statki, dubasy, owe włoki, wędki, więcierze, potrestnice, słabnice, wiersze, zabrodnie, niewody i żaki, które cytuje Szajnocha, choć ich już nawet nie potrafiłby pewnie wytłumaczyć. Proszę przeczytać, co podaje na kilku kartkach swojej prześlicznej książki o Kazimierzu Wodzickim, jako myśliwym, Aleksander Rembowski, ile on tam notuje staropolskich wyrażeń myśliwskich, których dziś już nie tylko nie dzielny, ale i najdzielniejszy nasz łowca zaniechał. Taki jest oczywiście nieuchronny porządek rzeczy. Z chwilą, kiedy pewna część życia ogólnego podupada, zamiera, kiedy ze stopnia czynnika pierwszorzędnej doniosłości przechodzi do rzędu zabawki, zwiędnąć i opaść jak liść suchy musi to także, co jest jego wyrazem, jego mową pozornie bezużyteczną. Pozornie, bo niestety, skutek idzie tu zwykle dalej niż przyczyna, a za odrzuceniem nazw rzeczy, które zniknęły z powierzchni życia, idzie aż nadto często zupełne pomieszanie nazw, wyrażających pojęcia do dziś dnia istniejące i różne od siebie. Wszak l a s, g a j, b ó r a p u s z c z a, to są pojęcia, których nie należało by mieszać ze sobą, tym bardziej, że o tym każdy słownik języka poucza — a jednak w życiu i języku potocznym różnice te zacierają się coraz bardziej i traci na tym nie tylko sprawność i bogactwo języka, ale i znajomość natury ojczystej.

Otóż Pol umie jeszcze rzeczy po imieniu nazywać. I to nie tylko w pełnych finezji rozróżnieniach sosny od sośniny, sośniaka lub chojaka, ale także w tym wszystkim, co się tyczy życia natury i przemian, jakie w niej dostrzegamy. On torfowiska leśnego nie nazwie inaczej, jeno p u s t a c i ą; sosna, kiedy w pień strzeli, jest u niego g o n n a, a po płytszych wodach leżą nie pnie obalonych drzew, tylko p r ą d o w i n y. O s t r ó w i k ę p a, to nie wyspy, jak się dzisiaj niejednemu wydaje,

jeno brzeg każdy zarosły na wysokim, suchym ostrowiu — lasem wyższym, a na niskiej podmokłej kępie — wikliną.

I tym więcej uznać musimy te „Obrazy" za niewyczerpaną językową kopalnię, im chętniej zgodzimy się na zdanie Pola, że „w języku i zapatrywaniu narodu naszego na naturę leży klucz do poznania natury miejscowej".

Ale Pol jest nie tylko artystą, który poszedł pić do krynicy ludowej, ale również i przede wszystkim szczerym, dużej miary i zdrowym poetą.

Wskutek tego każde najprostsze zjawisko nabiera pod jego piórem takiej plastyki i wyrazistości, żyje takim mocnym, swoistym życiem, że zdumiony i uradowany czytelnik znajduje się niebawem oko w oko w obliczu natury, której głębi może nie mógłby sam tak łatwo odczuć. Przy tym żadnej pozy, żadnej afektacji, żadnego brania rzeczy przez papier i malowania jej atramentem. Raczej może nam się zdawać, że ktoś, kto już od dawna i głęboko spoufalił się z tym światem, dla nas tak bliskim i tak obcym zarazem, bierze nas z prostotą za rękę i prowadzi do miejsc, o których zapomnieliśmy albo do których nie umieliśmy drogi odnaleźć. Kiedy nam mówi o lesie, czujemy bez mała zapach smółki i zdaje nam się, że pod stopami ugina się i pręży bujny kobierzec mchu. Kiedy nam opowiada o burzach — a robi to tak często i tak chętnie — zdaje nam się nieomal, że nam dech w piersiach zapierają gorące, rozszalałe podmuchy wichru, że przymykają się oślepione przeraźliwym światłem błyskawic oczy. A że to jest przewodnik, który zna wszystkie zakątki Polski, który z dzikiego Pokucia idzie na daleką, pełną cichych grobowisk Roję, z sennych puszcz litewskich na szeroki, spalony step Ukrainy, który znał, schodził i opisał Tatry, kiedy się u nas jeszcze prócz Staszica i Goszczyńskiego o nich nikomu nie śniło — więc czytanie tej książki jest nie tylko królewską zabawą, ale poznawaniem ziemi ojczystej w całej jej różnorodności, w całym przepychu.

Tę książkę — od dawna już wyczerpaną — należało by jak najrychlej przedrukować. Jeżeli pod względem naukowym jest przestarzała, można ją zaopatrzyć przypisami, które omyłki sprostują. To nie jest racja, dla której by tyle szczerego jak złoto uczucia, tyle głębokich, trafnych spostrzeżeń, tyle włożonego w nią życia iść miało na marne. Do nowego wydania należało by dodać koniecznie świetne ilustracje Kossaka, z jakimi „Obrazy" były pierwotnie drukowane w Tygodniku Ilustrowanym, a które ominięte zostały w wydaniu książkowym — tym bardziej, że mało jest zapewne w historii sztuki ilustracji, które by tak

doskonale, tak organicznie z treścią były związane, jak tu właśnie Kossak z Polem.

Przedrukujmy tę książkę, jako pierwszy tom klasyków krajoznawstwa polskiego. Nikt lepiej od niej nie potrafi wyprowadzić nas na szerokie przestworza pól i w ożywczy chłód lasów, gdzie zmęczona, zwyrodniała niemal dusza mieszkańca współczesnych miast będzie mogła rozprostować się i spojrzeć — ku słońcu.

(„Ziemia", 1910 r.)

GRUNWALD

Stoimy przed rocznicą Grunwaldu. I bez względu na to, czy uroczystości, jakie się za dni kilka w naszej historycznej stolicy odbędą, będą miały charakter świetny czy nikły, bez względu na restrykcje i zastrzeżenia, jakie pewna część społeczeństwa przeciwko nim miała, mało zapewne jest wspomnień, które by miały większą wagę, które by się w szerszych kołach serc po polsku bijących odzywały. Sądzę nawet, że w gruncie rzeczy wszelkie zastrzeżenia, o ile były, mogły być skierowane przeciwko sposobowi obchodu, przeciwko wynikającym z niego konsekwencjom i reakcjom politycznym, ale nie przeciwko momentowi, którego doniosłość narzuca się z siłą wprost żywiołową.

To nie jest święto literatury lub sztuki, które w zbożnym skupieniu obchodzić będą warstwy wybrane i któremu dla dekoracji doda się garstkę mniej czy więcej barwnie ubranych delegacji chłopskich; to nie jest chwila, której istotny sens trzeba ludziom wykładać z katedry, której smak i wrażenie trzeba odnajdywać na dnie duszy, zmęczonej wartkim biegiem codziennych spraw, codziennych trosk i kłopotów.

Dziś, jak przed laty pięciuset, rozumiemy ją wszyscy, od najwyżej w hierarchii duchowej stojących do nizin zalanych cieniem, i jeżeli czemu można się dziwić, to temu, że to już pięćset lat przeszło, że już całe liczne szeregi pokoleń pokładły się w grobie, że między nami a tym dniem chwały stoi tylu innych ludzi, tyle zdarzeń i pamiątek, a przecież widzimy go, jakżebyśmy sami brali udział w śmiertelnym boju, jakżeby nam jeszcze pot z twarzy nie ociekł, nie ostygła krew w tętnach tak mocno bijąca. Dziś, w dowolnie wybranym terminie pięciuset lat naród polski święci rocznicę Grunwaldu, ale w istocie rzeczy my tę rocznicę

obchodzimy co dzień, my nią żyjemy, bo jeżeli skończony jest rozdział, nie zamknięta jest księga i każde nowe pokolenie dopisuje do niej treść swego życia, treść w nieprzerwanym logicznym związku ciągnącą się od pierwszej do ostatniej karty.

I dlatego, jak słusznie zauważył Sienkiewicz, chcieć stawiać temu żywiołowemu pędowi tamę, było by straconym zachodem, jeżeli nie szaleństwem, było by w najlepszym wypadku marnowaniem sił, które warte są lepszego celu. Chcieć wyrzucić Grunwald poza nawias życia narodowego, chcieć zmusić społeczeństwo do wyrwania go ze swojej pamięci można by chyba uśpiwszy naród jakim kamiennym snem, w którym nie ma walki ani cierpienia, nie ma pokrzepienia z dokonanego wielkiego czynu i nie ma wobec tego nadziei.

Inna rzecz — jak święcić. Jeżeli to ma być widowisko, choćby ono było najświetniejsze i najwspanialsze — nie stać nas na nie. Jeśli ma być kadzidłem próżności, którym ból nasz narkotyzować zechcemy — to jest trucizna. Że to nie jest i być nie może urzędowym, bezdusznym aktem, odbytym jak za pańszczyznę, o tym chyba nie potrzeba wspominać. Chyba raczej — jeżeli już koniecznie klasyfikować potrzeba — jest to święto obozowe, moment wytchnienia i skupienia się wśród walki, chwila obrachunku rzeczy zrobionych i tych, które są do zrobienia. Jeżeli czas, zapał i środki nie mają być zmarnowane, jeżeli pięćsetna rocznica nie ma być pustym brzmieniem bez treści, starać się należy, żeby coś po niej widocznego zostało, żeby nie była polem pustym i martwym, na którym kilkadziesiąt tysięcy ludzi z całej Polski zjechało się, pogadało i udeptawszy ziemię nogami rozeszło się w spokoju sumienia do domów.

Jeden z takich czynów jest już na wpół dokonany: to dar szkolny grunwaldzki. Ale to nie jest wszystko — to są tylko pieniądze, to się znaczy rzecz względnie najmniejsza, część obowiązku względnie najłatwiejsza do wykonania. I to jest tylko szkolnictwo, które bezsprzecznie jest naszą największą troską i najcenniejszym skarbem, ale które całej treści życia nie wyczerpuje. W takich zaś uroczystych momentach powinien dań swoją płacić każdy człowiek, każda grupa, każda, jeśli tak wolno powiedzieć, chorągiew duchowa, i to nie tylko pieniędzmi, ale własnym, osobistym czynem, wedle sił swoich i środków wysiłkiem ducha, umysłu, woli. Gdybyśmy na obchody krakowskie przyjechali z pewną sumą rzeczy już dokonanych, czynów konkretnych, jeżeli nie podsumowanych, to przynajmniej zapoczątkowanych, było by to bezsprzecz-

nie najwspanialszym uświetnieniem uroczystości. Że tak jednakże niestety nie jest, musimy ten dzień uważać nie za dożynki, lecz za siejbę, nie za koniec, lecz za początek pracy.

Nie mam zamiaru podsuwać żadnych pomysłów i planów. Te zrodzą się, powinny się zrodzić na miejscu, w Krakowie, powinny i mogą być obmyślone i wykonane w poszczególnych pomniejszych grupkach zawodowych czy terytorialnych. Chciałbym tylko w najpobieżniejszy, najskromniejszy sposób zaznaczyć jeden z najbardziej naturalnych spadków dla ujścia energii i dobrej woli, jakie się mogą ujawnić z okazji obchodów grunwaldzkich.

Mam na myśli dokładniejsze poznanie zagrożonego dzisiaj terytorium, chciało by się powiedzieć: terenu wojny — która się toczy bez przerwy, bez wytchnienia i bez pardonu. W tym kierunku pcha nas sam charakter rocznicy dziejowej, sama treść i wewnętrzne znaczenie bitwy grunwaldzkiej. Proszę sobie tylko dobrze przypomnieć, jak i dlaczego ta bitwa została wygrana.

Przez czas jakiś pod wpływem kłamliwych i bałamutnych naciągań historyków, a zwłaszcza publicystów niemieckich, uchodziło nawet u nas za pewnik, że zwyciężyliśmy masą. Ale nowsze, o ile to jest w ogóle możliwe, jak najbardziej zbliżone do prawdy badania, wykazują, że była wprawdzie po stronie polsko-litewskiej pewna przewaga liczby, nie tak jednak znaczna, żeby mogła rozstrzygać o losie bitwy, tym bardziej, że jak wiemy, w owych czasach daleko bardziej niż dziś zwyciężała nie liczba, tylko męstwo, sprawność i wyrobienie bojowe.

Ani przez ślepą grę losu, przez przypadek nie wzięliśmy góry. Przebieg bitwy był najzupełniej normalny, raczej dla nich niż dla nas początkowo korzystny, potem wygrany dzięki lepszej może taktyce, dzięki bezprzykładnej przede wszystkim wytrzymałości i napięciu woli ze strony zastępów rdzennie polskich. Ale jest oprócz tego w samej bitwie moment mimochodem tylko przez jej monografistów uwzględniony, a niepośledniego, jak sądzę, znaczenia: wojska polskie przyszły na plac boju wieczorem dnia uprzedniego, krzyżackie dopiero nad ranem. To się znaczy, Polacy mieli czas wytchnąć, odpocząć, przygotować się do bitwy i obrać dogodniejszą dla siebie między lasami pozycję, nieprzyjaciele ich zaś musieli przyjąć i stoczyć bitwę w czasie i miejscu narzuconym sobie przez okoliczność. To nie jest tak dalece, jakby się mogło zdawać, dzieło przypadku, to jest kwestia obliczeń, przewidywań i znajomości terenu, dodajmy — terenu położonego w kraju, który był w ręku

przeciwnika. I jeżeli dodamy, że poza samą bitwą grunwaldzką cały uprzedni przebieg „wielkiej wojny" miał ten sam charakter, że działania wojsk koronnych i litewskich przeprowadzone były według ściśle obmyślonego i co ważniejsze — ściśle wykonanego planu, działania zaś krzyżackie znamionowały chwiejność i bezplanowość, nie trudno będzie zrozumieć, kto i dlaczego wygrał, kto musiał wygrać. Proszę zaś sobie przypomnieć, że jeżeli dziś — wobec map, kolei żelaznych, telegrafów, planów mobilizacyjnych — nie jest łatwe operowanie wielkimi masami na wielkich przestrzeniach — to w owych czasach sprowadzenie dwóch z przeciwległych krańców państwa dążących do Czerwińska armii w jednym dniu musi być uważane za arcydzieło, które się tylko dzięki najwyższemu napięciu myśli i woli udać mogło i udało. I dzięki jak najdokładniejszej znajomości dróg, rzek, leżących zawadą na drodze bagien, odludnych puszcz i bezdroży. Wiemy, jak wielką wagę do tego przywiązywano podówczas, jak wiele poświęcono starania dla poznania nie tylko swojego, ale i cudzego terenu przyszłej wojny, jak wywiadowcy polscy chodzili w Prusach, jak badali stosunki, ludzi, twierdze, przejścia, środki, zapasy. Wiemy także, że strona przeciwna, że Krzyżacy, choć bliżej pod niektórymi względami cywilizacji zachodu stojący, zaniedbywali tego, więcej w siłę ramienia niż w siłę umysłu wierząc. I dlatego w końcowym wywodzie możemy spokojnie, lecz z uczuciem usprawiedliwionej dumy stwierdzić, że bitwę wygrali ci, którzy do niej byli lepiej przygotowani, którzy pod tym względem wznieśli się na wyższy, bardziej naprzód posunięty punkt traktowania sprawy. Że, mówiąc innymi słowy, pomimo swoich potężnych zamków, i zbrój kunsztowniej hartowanych, i przepięknego Malborga, i pierwszej w Europie poczty, i sprężystej administracji, machina państwowa krzyżacka działała gorzej niż bezwładna na pozór organizacja młodocianego Państwa Polskiego i że w tej organizacji znajomość własnego kraju, własnych sił i środków odgrywała rolę pierwszorzędnej doniosłości — jak zawsze.

A my dzisiaj? Nie chciałbym mówić gorzkich impertynencji, ale jak myślicie — ilu jest dzisiaj Polaków, którzy dość słabo wyobrażają sobie, gdzie leży Grunwald, i ilu jest takich, którzy by znaczniejsze bodajże miejscowości, leżące na drodze z Krakowa do Grunwaldu potrafili bez mapy wymienić? Mniejsza zresztą o Grunwald, pod którym my dziś ani jutro bitwy staczać nie wybieramy się. Ale jeśli chodzi o ogólny stan wiadomości naszych o sprawach tamtejszych, o p o l s k i c h sprawach w zaborze pruskim, czy lepiej rzeczy się mają? Przecież w tym

kierunku dochodzimy do granic wprost niedopuszczalnych, kompromitujących.

Bo jakże nazwać nareszcie i jakim wypada mówić tonem o fakcie, że więcej zapewne inteligentnych Polaków z Królestwa zna Paryż (o Berlinie już milczeć wolę) niż Poznań, że za wstyd uchodzi nie znać znaczniejszych miast Szwajcarii, ale nie jest wstydem nie znać na pamięć miast bodajby powiatowych z naszych kresów zachodnich i zwłaszcza nie znać ich w polskim brzmieniu. Od czasu do czasu lubimy się zabawiać w Kolumbów, odkrywając całe nowe obszary i kraje, jak Mazury Pruskie, o rdzennie polskiej ludności, jak Kaszuby, tysiącem nici z polskością związane. Ale to zresztą nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji, bo po przepięknych Mazurach Pruskich jeżdżą sami Niemcy (w wielkiej ilości), a na gdańskim wybrzeżu Bałtyku nawet ci, którzy byli w Sopotach, twierdzą, że nie mogli czy nie chcieli odnaleźć śladów polskości.

Najpoczytniejszy dziennik warszawski prowadzi od kilku lat z uporem godnym lepszej sprawy kampanię przeciwko Sopotom, a fakt, że na „zgermanizowanym doszczętnie" wybrzeżu powstało w czasach ostatnich kilkanaście stowarzyszeń czysto polskich i dwa pisma polskie, puszcza się mimo uszów, albo się o nim wie tyle, co nic. To też mamy „Przewodnik po Europie", ale nie mamy — bo i dla kogo — przewodnika po Śląsku Pruskim, po Prusiech Zachodnich i Wschodnich, po Poznańskim zaś jeden (dosłownie jeden), z samego zresztą wyglądu i rozmiarów na jak najskromniejszą garsteczkę przyjezdnych Polaków obliczony.

Tak, tym razem w wojnie, jaka się na tym nieszczęsnym skrawku ziem naszych toczy, Niemcy są lepiej uzbrojeni, lepiej przygotowani. Przed kilkoma tygodniami pozwoliłem sobie zwrócić na tym miejscu uwagę na niektóre z ich wydawnictw, po prostu zagrażające naszemu umysłowemu stanowi posiadania na wysuniętej na zachód placówce. Powtarzam, że książki, które tam wymieniłem, są wzięte na chybił trafił, są drobną cząstką ogromnej literatury, jaka na naszej ziemi powstaje o nas — przeciwko nam.

Podkreślam to jak najmocniej. Jeżeli kto zarzuci mi, że niepotrzebnie o rzeczach tak znanych i uznanych mówię dwa razy, odpowiem, że nie mówić, ale wrzeszczeć by należało, i nie raz, nie dwa razy, ale tak długo, póki sprawy inną, lepszą nie pójdą koleją. To jest abecadło, ale my się na nie zdobyć nie możemy, choć lubimy tworzyć ody i hymny.

Na wystawie przyrodniczej w Warszawie wystawiona jest niezwykle ciekawa i plastyczna praca prof. Romera, uzmysławiająca procentowy stosunek prac krajoznawczych o Polsce, wydanych w różnych językach. Wstyd powiedzieć, że w niektórych działach język polski zaznaczony jest ledwie wąską kreseczką obok grubego prostokąta niemieckiego, obok grubszych znacznie działów: rosyjskiego, nawet łacińskiego, nawet angielskiego. To jest także przegrana bitwa, jedna z wielu przegranych, które daj Boże, żeby nie sprowadziły ostatecznie przegranej całej kampanii.

Myślę, że teraz z racji uroczystości grunwaldzkich warto by było o tym pomyśleć. To było by właśnie w duchu grunwaldzkim. Nie jedno okolicznościowe wydawnictwo, ale niekończący się ich szereg trzeba tworzyć; nie jedną wycieczkę, ale stały, nieustający kontakt, stałą wzajemną naukę, stały uścisk dłoni, który się nie rozerwie za życia.

Są trudności — przełamać je. Tamci spod Grunwaldu swoich wiadomości też w encyklopedii nie szukali. Jeżeli brak jest środków — można je wynaleźć; jeżeli przy zwiedzaniu na wpół zniemczonych miejscowości trudno liczyć na gościnne przyjęcie — nie jedziemy tam po laury, ani na spacer pod łukiem triumfalnym. Tylko się wyzbyć z serca lenistwa i lekceważenia tego, co swoje, i apatii, z którą można od biedy krytykować, zrzędzić i stękać, ale z którą żyć nie podobna.

(„Ziemia", 1910 r.)

ZABYTKI

Źle się u nas wiedzie starym zabytkom.

To, co się da zdjąć z kołka lub wyjąć z szuflady, idzie najczęściej na handel do zagranicznych handlarzy lub jest wyrzucone na strych, jako rupieć bezwartościowy. To, co jest mniej wygodne pod tym względem, co się nie da opakować i łatwo spieniężyć, przerabia się na obory, browary lub spichrze, rozbiera do fundamentów, zgładza z powierzchni ziemi. Czasem koszt wyłożony na rozbiórkę, na zniszczenie wynosi tyle, że by za te same pieniądze można było mocno i na długo podeprzeć walący się w gruzy budynek — ale jest w tym zaciekłym i bezmyślnym niszczycielstwie jakiś upór złowrogi, jakaś niemal gorączka złego czynu, na którą nie umiemy czy nie chcemy znaleźć lekarstwa.

Gdyby stare mury mówić umiały! Albo raczej ci, którzy się czują dosyć zuchwali, by na nie rękę podnosić, gdyby umieli ich słuchać. Bo one mówią. Trzeba tylko ucho ku nim czujnie i życzliwie nachylić, żeby usłyszeć cichy, nieustający szept opowieści o tym wszystkim dobrym i złym, o całej radości i wszystkiej nędzy, jakie się w nich i koło nich plątały, o woli mocnych, którzy te kamienie dźwignęli, i o bezwoli słabych, którzy im dali się rozpaść. Ten język ludzi i rzeczy umarłych jest tak jeszcze żywy, tak wyraźny, że tylko chcieć, a zrozumie się go, tylko się wyrwać na chwilę z nędznego, małostkowego koła małych codziennych interesów i lichych kramarskich korzyści.

Gdyby stare mury płakać umiały! Albo raczej gdyby miały moc w sobie bronić się od zwykłej, ordynarnej grabieży...

Ale nie mają. Więc wobec tego wali się z dnia na dzień to, co stulecia wznosiły, w czym się długie szeregi pokoleń kochały, co mogło by być niepożytym pomnikiem chwały i dumy, co bezsprzecznie było dekoracją i tłem niejednej z barwnych, wstrząsających scen wielowiekowego dramatu, któremu na imię: dzieje Polski.

Nic się nie stało nowego. Nic, co by na szczególne podkreślenie i wyróżnienie zasługiwało. Zginął, znikł z powierzchni ziemi Brok. Więc cóż z tego? Ginęły i giną niepowrotnie zabytki o wiele wartością swoją ważniejsze niż ta letnia biskupów płockich siedziba, dlaczegóż nie miał zginąć Brok? U nas, gdyby można to wszystko okiem i uchem ogarnąć, nie ma dnia, nie ma godziny ani minuty, żeby na obszarze dawnych ziem Rzeczypospolitej nie waliły się gdzie stare ruiny w gruz, nie opadał tynk, nie pełzły na słońcu i deszczu freski. A cóż Brok? No nic, oczywiście. Tylko że śmierć czy to człowieka, czy rzeczy pracą rąk jego i ducha stworzonych ma w sobie zawsze coś okrutnego, ma też szczególną powagę i dostojeństwo chwili, której już z powrotem nie cofnie nic.

Jeszcze kilka miesięcy temu był żywy. Jeszcze na wiosnę tego — 1910 — roku, kiedy się o zamierzonym czynie zniszczenia rozeszły wieści, była, jak się zdawało, możliwość uratowania go od zguby, podnosiły się liczne głosy proszące, perswadujące. Dziś to już tylko kwestia przeszłości, kwestia żalu za tym, co obecnie jest już tylko rozpływającym się w przestrzeni i czasie echem, kwestia jednego zgrzytu więcej w naszym życiu współczesnym. O jedną starą ruinę mniej, o jedną nową oborę ze starych cegieł więcej. Oto wszystko.

To nie jest akt oskarżenia. Najmniej tu chodzi zapewne o właścicieli, o ludzi, którzy bezpośrednio byli sprawcami zniszczenia. Ci przynajmniej

stawiali sprawę dość jasno i bardzo prosto. Do utrzymania starych murów nie czuli się na siłach. Różnicy między cenną Firlejową budową, w której cyzelował swoje kunsztowne ody Sarbiewski, a zwykłą karczmą przydrożną nie widzieli. Nie mieli natomiast nic przeciw temu, żeby społeczeństwo, które im z tego zarzut robi, które tak mocną zdaje się przywiązywać wagę do rzeczy podług nich bezwartościowej, poszło dalej konsekwentnie tą samą drogą, nabyło od nich mury, a przynajmniej podjęło się ich konserwacji. Ale społeczeństwo także nie chciało. W prostym i niezawodnym następstwie Brok rozebrano i dziś oprócz środkowej czworobocznej baszty, sterczącej jak komin ze spalonych czworaków, nie pozostało już nic. Chyba trochę żalu i wstydu, ale to się nie liczy.

Ale jest pewna niedokładność w rozumowaniu i tych, którzy tak lekką ręką dokonali tego przykrego czynu, i tych, którzy na to dozwolili, pewne obrażenie przepisów prawnych, no — nie prawa cywilnego albo karnego oczywiście, ale wyższego ponad nie prawa moralnego.

Panowie właściciele zburzyli mury, bo były ich — wedle ksiąg hipotecznych — własnością. Społeczeństwo pozwoliło na to, jako ogólny i zbiorowy posiadacz wszelkich dóbr duchowych narodu.

Otóż w tym — co do tytułu własności — zaszła zdaje się gruba pomyłka. Bo posiadaczem moralnym takich niematerialnych wartości jest wprawdzie istotnie społeczeństwo, ale bynajmniej nie w osobie jakiegoś wyznaczonego po temu grona ludzi, ani nawet w osobie dziś żyjącego pokolenia, tylko w abstrakcyjnej woli narodu, która się z pokolenia na pokolenie przelewa. Nie jesteśmy właścicielami tych rzeczy, jeno ich depozytariuszami i w takim je stanie, jeśli nie lepszym, oddać winniśmy swoim następcom, w jakim je od przodków otrzymaliśmy. Stąd wynika nie tyle prawo do posiadania i używania pewnych wartości, ile o b o w i ą z e k czuwania nad tym, żeby nie niszczały. To jest bardzo proste i zdaje się bezspornie uznane. Tyle tylko, że w praktyce dość różnie się ten obowiązek różnym ludziom przedstawia. Na ogół uważa się, że jest to jeden z tych obowiązków pomniejszych, jeden z tych, których się przestrzega, o ile to szczególnego wysiłku i trudu nie wymaga, a które się jak w skołatanym burzą okręcie wyrzuca bez ceremonii za burtę, skoro się stają niepotrzebnym balastem.

Tak przynajmniej zdają się mówić fakty. Dawniej zabytki niszczały wskutek wojen, najazdów, grabieży, pożarów, upadku małych i wielkich fortun, rewolucji i powstań, konfiskat i zsyłek. Nie było rąk, nie było głów, nie było czasu i środków po temu. Potem czasy nastały spo-

kojniejsze, ale takie, kiedy za obrzucenie wapnem starej baszty albo podparcie krzyża przydrożnego bez stosownego pozwolenia płaciło się grzywny lub szło do kozy. Tłumaczeniem była zatem fizyczna niemożność. Zdawało się natomiast być pewne, że byle nam było dozwolone, byleśmy wolne poczuli ręce, potrafimy wypełnić to, co do nas należy, to, co nam głęboko na dnie serca leży. A dziś co? Dziś już wolno — nie idzie się za to do kozy, nie płaci się grzywien, dziś mamy już w Warszawie istniejące od kilku lat Towarzystwo Opieki nad Zabytkami ze śmiesznie skromną składką jednego rubla rocznie — i dziś, jak dawniej, wali się i przewraca to, co się za tamtych najgorszych czasów obalić nie zdążyło. Proszę tylko dobrze porachować, ile w ciągu tych ostatnich lat zniszczało doszczętnie ruin i ile ich się dało przy istniejącej organizacji i względnej możności czynu od zagłady uratować. I ilu, jak myślicie, członków ma wspomniane Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, towarzystwo, które przecie nawet przy szczupłości swych środków i niemożności postawienia swego veto w formie obowiązującego prawnie zakazu już to i owo zrobiło, już mogło uzyskać do siebie i swej działalności zaufanie? — No — dziesiątą część mieszkańców Królestwa, setną, tysiączną... Otóż ma ich niewiele co więcej niż tysiąc, to się znaczy jednego na dziesięć tysięcy. To jest więcej niż smutne, to jest po prostu niezrozumiałe.

Sam w swojej skromnej działalności agitatora i inkasenta spotykałem niejednokrotnie ludzi, którzy wręcz odmawiali zapisania się na członka z opłatą jednego rubla rocznie. Często byli to ludzie zamożni, czasem bogaci. Jeden rubel więcej wydany, mógł to dla nich być jeden krawat mniej w garderobie, jedna mniej przejażdżka na gumach (nie mówię Boże broń o śniadaniu, bo oni by się wstydzili zjeść śniadanie za rubla), jedna mniej błahostka, do której sami nie przywiązują wagi. Niektórzy z nich próbowali swoją odmowę teoretyzować: kraj jest na to za biedny, zbyt wiele jest ważniejszych potrzeb do załatwienia. Jakich? No, różnych, bardziej palących czy bardziej produkcyjnych. Zapewne, łatanie starych dziur produkcyjne być nie może. Towarzystwo dywidendy nie daje, a co kogo pali i boli, to jest rzecz względna, osobista i niekiedy drażliwa.

Być może, że wzmiankowane Towarzystwo za mało daje znać ludziom o sobie, za mało się reklamuje, za mało wytęża się w kierunku uświadamiania i urabiania opinii publicznej, za mało urządza wystaw, odczytów, zebrań, pokazów, a za dużo zamyka się w ciszy gabinetowej,

do której szerokie, jak najszersze warstwy dostępu nie mają. I tu nie jest miejsce na rozbiór, jaka dla niego byłaby droga najbardziej wskazana, najpłodniejsza w owoce — choć może z innych względów niedość bezpieczna w skutku [1]). Rozumiecie już. Ale gdyby nam kto dziesięć lat temu powiedział, że wśród nas są dziesiątki tysięcy takich, którzy się niczym nie zechcą przyłożyć do uratowania tych skromnych resztek, które pozostały...

A przecież chyba naszym ideałem nie są jakieś świeże i dziewicze ziemie Australii, na których bodajby tylko wszystko, co się zasieje, najbujniej rosło, ale na których nie ma co konserwować, bo to nie jest spuścizna po dziadach, jeno nowy warsztat do pracy. Przecież my chyba naprawdę i szczerze czujemy swoje prawo do ziemi i wiemy, że takie omszałe mury ważą więcej niż najstarsze pergaminy...

Gdyby ktoś u nas odkrył przypadkiem nieznany rękopis Kochanowskiego czy Reja, Modrzewskiego czy Skargi, przecież by to uważał za wielką, bezcenną zdobycz narodową, za niewątpliwe pomnożenie jego bogactw, za rzecz, którą zniszczyć, a nawet nie otoczyć dostateczną opieką może tylko głupiec albo szaleniec. Ale skoro czcimy mistrzów pióra, skoro myśl pisaną tak wysoko stawiamy, dlaczego pokochać dość gorąco nie chcemy myśli zaklętej w kamień — wszak ci jest równa tamtej. Czyżby wisiało nad nami fatum, które z żelaznym spokojem czeka nieuchronnego starcia z powierzchni ziemi wszelkich śladów naszej przeszłości, które się wówczas zapyta, czy się jeszcze z tą przeszłością związani czujemy? Czy też, jak to raczej może tłumaczyć sobie należy, jest to w dalszym ciągu to samo lenistwo ducha, ten sam bezwład woli, to samo „niechcenie chcieć", które wleczemy jak kulę u nogi za sobą.

Niedość jest w zasadzie uznawać szkodę, jaka się dzieje. Niedość jest tworzyć towarzystwa i dać im potem upadać czy wegetować. Staniemy na mocnym gruncie wtedy dopiero, kiedy cały nasz myślący i czujący ogół poczuwać się zacznie do obowiązku, kiedy czynić zacznie, co mówi, żeby szkodzie zapobiec, kiedy za poniesione straty sobie zechce winę przypisać. Bo on jest winien, on jeden. Nie ten tam jakiś właściciel, wszystko jedno kto: Żyd zbogacony czy jegomość ze zbyt wielką podług

[1]) Podług zanotowanych w ostatnich dniach pogłosek Tow. Op. n. Zab. zostało zawezwane przez Kom. do Spraw Towarzystw w Kr. P. do złożenia pewnych wyjaśnień, tyczących się jego działalności dotychczasowej. Powstrzymując się od komentarzy, choć pamiętając, że w tym kierunku u nas słowo „nieprawdopodobne" nie ma zastosowania, ufamy, że tej jawnej i legalnej pracy nikt tamy nie położy.

miary swej głowy mitrą dziedziczną, czy ciemny chudopachołek. Ogół tylko w naszych, przynajmniej dotychczasowych warunkach — może powiedzieć dość wyraźnie i stanowczo: nie wolno; ogół tylko powinien, musi nawet zdobyć się, skoro nie wystarcza zakaz moralny, na wysiłek pieniężny, na odkupienie „gruzów", na podtrzymanie ich.

Wiemy, czyje ciemne, biedne, nieodpowiedzialne ręce dziś są bezpośrednim sprawcą zagłady, kto w ciemne noce rozkrada cegły, żeby z nich komin sobie wystawić albo walącą się ścianę podeprzeć. Ale co ich synowie czy wnuki powiedzą o tych, co rabować dawali?

Wiemy też, że na wszystkich szczeblach drabiny społecznej są ludzie, do których zysk osobisty mówi mocniej i zrozumialej niż jakiś tam zamierający głos przeszłości, której nie rozumieją ani rozumieć nie chcą.

Ale reszta — ci, którzy w głębi serc swoich kochają, którzy czują i cierpią. Ci niechaj mówią.

(„Ziemia", 1910 r.)

BÓR ŁYSOGÓRSKI

Spomiędzy cichych i sennych opłotków Nowej Wsi Słupi pnie się w zakosy droga ku Łysej Górze. Z daleka, z rynku wzniesienie wydaje się łagodne, ale tutaj, kiedy tętna bić w skroniach zaczną, nogi omdlewają, a rzęsisty pot oczy zalewa, nabiera się rychło zgoła odmiennego o tej łagodności przekonania. Zwłaszcza kiedy w taki bezwietrzny, upalny letni dzień nagle bezdrzewne zbocze zalewają potoki niemiłosiernego słońca.

Cisza tu jest zresztą i spokój, nie pozbawiony jakiegoś przedsmaku dzikości. Od miasta ciągną się do stóp góry małe, skromne poletka, obsiane zbożem, gdzieniegdzie przerwane rozmiękłą łączką, gdzie indziej zasiane gruzem, który się sypie od szczytu. Na granicy między polami i borem gruz ten przechodzi w potężne zwały skał, ciemne, mchem i krzakami obrosłe, groźne, jak resztki szańca, który niegdyś w piekielnym natarciu jakieś tytaniczne siły zburzyły.

Z boku, tuż u wstępu do lasu, sterczy okaleczony posąg słynnego pielgrzyma, co się raz na sto lat ma o ziarnko maku naprzód ku klasztorowi posuwać, a kiedy dojdzie, nastanie dzień sądu. W to kryształowo jasne przedpołudnie, kiedy w przemocnych uściskach słońca ziemia

jakby omdlewa z rozkoszy i niemocy, kiedy ze zbielałego nieba nawet ptak chętnie przypada ku ziemi i nie słychać nic, jeno z cicha przelewający się brzęk rojów muszek, ten potworny obecnie pątnik wznosi swoją straszliwie okaleczoną twarz ku górze, wzywając pomsty czy miłosierdzia, skarżąc się jękiem stworzeń, które z cichej zadumy brutalnie wyrwano, którym wiekuistego spokoju już nikt i nic nie powróci.

A tuż za nim, jakby go chciał wziąć w swoje objęcia, stoi wielką i ciemną ścianą bór. Na pierwszy rzut oka idzie od tej nie przebitej okiem czerni prawie lęk. Kontrast między nie objętym okiem wzorzystym kobiercem pól i łąk, jaki leży pod nami, i tym głuchym i ciemnym borem jest tak mocny, że by nawet najbardziej w myślach zatopionego wędrowca obudził z zadumy. Tam, na dole, cały przepych i cały wykwint tonów przelewających się łagodnie jeden w drugi, miękkich, stonowanych oddaleniem i rozpylonym w lekkich opalach światłem — tu jeden tylko ton, ale tak mocny, tak surowy, tak przygłuszający wszystko, jak huk dzwonu wieżowego, od którego trzęsą się i drżą mury i który kryje, głuszy i wbija w ziemię świegotanie małych dzwoneczków. Z góry leje się jak przedtem potop światła i żaru, ale przez te potężne konary na ziemię spada już tylko delikatny, złocisty deszcz światełek, kładących się lekko na ciemne i miękkie mchy. Dopiero kiedy oczy rozpatrzą się w mroku, czuje się, że ta siła, która z daleka wydawała się taka groźna i mroczna, jest nie tylko piękna, ale i dobrotliwa. Od wilgotnej pomimo skwaru ziemi idzie chłód, górą chodzi po wyniosłych konarach drzew ciągły i cichy szmer, któremu jak słodka fletnia towarzyszy plusk prześlizgującego się dołem z pośpiechem strumyka. Wielkie, ale nagie, istotnie groźne turnie i wierchy są ponad wszelkie miary ludzkie wyniosłe, mają w sobie coś z małostkowością i cierpieniem człowieka niewspółmiernego, coś majestatycznie ponad nasze dla nich uczucie wzgardliwego; wielkie wody nawet wtedy gdy leżą senne, bezwładne, zawsze mają coś w swojej zwodniczej piękności zdradliwego, coś, co napełnia nieufnością, co pcha do nich a powstrzymuje. Ale taki stary, odwieczny bór jest nie tylko mocny, ale i sam jakby przygarnia do siebie. Zwłaszcza, kiedy iść w jego głąb, kiedy zacząć wydzielać z ogólnego wrażenia poszczególne nastroje.

Bo i tu, chociaż olbrzymią większość drzew stanowią jodły, z mniejszą znacznie domieszką buków, modrzewi i dębów, rozmaitość obrazów leśnych, a zwłaszcza nastrojów, jest wielka. Oto ku wschodowi od wejścia od Nowej Słupi wtula się, jak między uściski dwóch potężnych ramion,

mała, śmiejąca się, światłem zalana polanka. Nad nią stromo ku górze dźwiga się ściana górska, gęstym grzebieniem jodeł porosła. Ale jakich jodeł! Te, któreśmy widzieli u wejścia, są przy nich niczym i widocznie tu jest najstarsza, nie tknięta od wieków siekierą poręba. Jak w niebo bijący słup wody, tryskają w górę gonne pnie niepokalanie równe, zawrotnie śmigłe, zuchwałe. Czasem rozbiegają się, dając miejsce u stóp swych krzakom i skałom, czasem zbiją się w ciasną gromadkę i są wtedy jak jakiś wzniosły, grzmiący akord, który wieczyście bije od nizin wzwyż. Mimo woli ręka sięga do czapki, jakby się weszło do cudnej kaplicy gotyckiej, gdzie mistyczny, zielonkawo-złotawy półzmrok sączy się z wysokich okien na posadzkę. Mimo woli też zwalnia się kroku, zwłaszcza że drogę coraz częściej zagradzają poszarpane złomy skał ostrych, obślizgłych. Warto jednak dojść do samego szczytu, bo widok, jaki się stamtąd roztacza na tyły Pasma Opatowskiego, na kraniec Łysej, na wciśniętą między te dwie wyniosłości, otoczoną dokoła lasem wioskę Trzciankę — to znowu jeden z piękniejszych widoków, jeden z niewielu, które nam wieki ubiegłe zostawiły na pokaz.

W ogóle znaleźć w przeludnionym Królestwie taki kąt cichy, takie odludzie, jak tu, w tym boru, nie jest rzecz łatwa. Można iść godzinami, można iść dzień cały bez mała, nie spotkawszy żywej duszy przed sobą, nie widząc nic, jeno mchy i skały u stóp i lazurowy sklep nieba nad sobą. Tak było do niedawna przynajmniej, bo dziś bezwzględne, bezcelowe — czy może właśnie celowe — cięcie poręb wybija w tym nieprzebitym murze szczerby dotkliwe, haniebne. O uwzględnianiu piękności krajobrazowych, o oszczędzaniu wąskich bodajby pasków zieleni dla zakrycia i uratowania widoku wzdłuż drogi, którą rok rocznie chodzą setki turystów, nie ma i zdaje się nie może być mowy. Coraz też trudniej wynaleźć jakiś głuchy, całkiem w sobie zamknięty ostępik, choć ostatecznie jest ich jeszcze po dziś dzień dość sporo.

Niektóre leżą nawet blisko od zwykłego szlaku, którym turyści w Nowej Słupi do Ś-tej Katarzyny przechodzą, i jeżeli nie są dość odwiedzane, to dlatego, że na zwykły gust mało jest w nich pociągającego. Do takich miejsc należy wejście do klasztoru świętokrzyskiego od Słupi nie drogą, ale wprost przez las od strony północnej. Dołem bronią dostępu grzęzawiska, wyżej ścieżki giną w rumowisku, na którym nie trudno choćby i kark skręcić. To gołoborza, słynne zaspy kamieni, którym Łysogóry nazwę swą zawdzięczają. Istotnie mroczno tu jakoś i niemiło, nawet w najpiękniejsze dni letnie. Ziemię zalega gruby pokład kamieni

wszelkich wielkości, wszelkiego wyglądu. Czasem to wygląda jak zwaliska przedwiecznego zamku, czasem — jak grad kamienny, którym jakieś złe bóstwo w napadzie gniewu wbiło las w ziemię. Tylko że las nie ustępuje, że pomimo wszystko młode drzewka wydzierają się spod kamiennego płaszcza i jest w tej rozpaczliwej walce jakaś niepojęta zaciekłość i groza, zwłaszcza gdy stare, po bokach stojące jodły pochylają się w podmuchu wiatru i wydają z siebie ten dziwny, właściwy im suchy klekot, jakby stękanie, jakby jęk głuchy.

Jest też tuż obok „drogi królewskiej" miejsce, którego, o ile wiem, nikt prawie nie chodzi odwiedzać. Dołem krze gęste, górą, jak wszędzie, kolumny jodeł. Wśród nich na łagodnym zboczu wzgórza krzyż wielki, usypany z kamieni, do kilkudziesięciu kroków wzdłuż większego ramienia mający. Co to? Kto tu leży, kto sypał te kamienie, dziś już gęsto krzakami przerosłe? Nikt z miejscowych nie umiał dać odpowiedzi, choć niewątpliwie krzyż był ludzką ręką sypany i w nie nazbyt odległych czasach.

Kiedym tam był po raz pierwszy, był wietrzny, krwawy zachód po słocie — na tle tej pożogi mrocznie i posępnie tkwiły potężne pnie jodeł, stojących jak straż nad rozciągniętym na mchach leśnych rycerzu-olbrzymie. Po niebie gnały, jak tabuny rozszalałych rumaków, rdzawe, rozwichrzone obłoki, las grał jakąś pieśń smutną, niezapomnianą, z każdej szpileczki jagód, z każdego listka mchu zdawała się sączyć krew żywa, stygnąca...

Z ciemnej, sobie samej tajonej pomroki wstają w zmąconej duszy jakieś mary, jakieś widziadła. Jak żeby się odwaliła z głuchym łoskotem płyta grobowca, jak żeby zgrzytnęły zardzewiałe, z dawien dawna nie otwierane wrzeciądze...

A tuż obok i klasztor, od otaczającego go kołem boru ciemny, prawie ponury, od dogasającej pożogi chmur krwawy, niemal straszny. Ktoś z pustoty uderzył w wielki, prastary dzwon. Od potężnego dźwięku drży zda się cała góra kamienna, prężyć się i rozprężać, jak ktoś, co śni zły sen... Ziemia tu jest od wieków przesiąkła nie tylko chwałą, ale bólem i krwią. W to świętością i bogactwami słynące miejsce biły jedna za drugą fale najeźdźców, coraz gorsze, coraz groźniejsze, tatarskie, litewskie, szwedzkie... Aż nie zostało nic, jeno pamięć o nich, te trochę murów i bór.

(„Ziemia", 1910 r.)

MIECZYSŁAW BRZEZIŃSKI

Na posępnym niebie Polski porozbiorowej świecił zawsze ideał oświaty ludowej, jak gwiazda o świetnym, chociaż smutnym połysku. Bywały chwile, że zasłaniały ją gęste i groźne chmury, zdarzało się, że za samo podniesienie oczu ku gwiaździe karano ostro, bezwzględnie. Ale ona sama nigdy nie groziła zgaśnięciem i zdawało się nawet, że te setki tysięcy zmarnowanych wysiłków, żyć u korzenia złamanych, ofiar nad życie boleśniejszych niekiedy, podsycają jej wiecznie płonący ogień, ogień święty, do którego dusza narodu porywała się z nieukojoną tęsknotą.

Gwiazdy, jak wszystkie rzeczy odwieczne, mają to do siebie, że je czci i uwielbia każdy. I dlatego w nieprzebranych szeregach tłumów, które przed tym ołtarzem zanosiły modlitwy, nie brak było równie zoranych głęboką i frasobliwą myślą czół mędrców, jak i prostaków, możnych książąt, jak i biedaków, oddających swój grosz ostatni, ludzi zimnych pozornie, oderwanych od pnia ojczystego, jak i zapaleńców trzymających, zdawało by się, całe swoje istnienie w ręku, żeby je rzucić umiłowanej idei w ofierze. Zależnie od czasu, okoliczności i środków rozmaite bywały wyniki ich pracy, ale jasną jest rzeczą, że nigdzie bardziej jak tutaj wskaźnikiem wartości ofiary mogła być chęć, a nie wynik, zwłaszcza gdy i tak los niezłomnie przeciwny wyrównywał niebawem wszystko do jednego poziomu.

Stąd, od najświetniejszych niekiedy imion, które stoją jak słupy graniczne, od Czackich, Czartoryskich, Śniadeckich, do późniejszych ich następców, walczących bez nadziei, bez możności nawet zwycięstwa, jest nieraz krok tylko jeden. I kto wie, gdyby ściśle zmierzyć na szali, czyby tym abnegatom, walczącym bez nadziei nagrody, bez chwały i bez oklasku, nie należało dać pierwszego miejsca w szeregu.

Taki właśnie jeden pracownik z rękoma urobionymi po łokcie, taka dusza z czystego złota odlana, taki rycerz bez strachu i skazy odszedł od nas niedawno... Mówię o śp. Mieczysławie Brzezińskim. Za jego skromną trumną szły wielotysięczne tłumy uczniów, wychowańców, towarzyszy niewdzięcznej roboty, gorących, czcią przejętych wielbicieli pracy, którą gdzie indziej sumiennie i dobrze wykonują płatne sługi, a której u nas oddają w ofierze ostatnie siły najlepsi synowie narodu.

Dusze istotnie wielkie i czyste, dusze dostojne, mają to do siebie, że ich wartość niekoniecznie jest ściśle współmierna wynikom ich

pracy. Tak jest wszędzie, tak jest po stokroć tym więcej u nas, gdzie przy podsumowaniu poszczególnych pozycji działalności życiowej nieraz obca ręka przekreśla całe kolumny. I jeżeli śmierć tego niezastąpionego na razie pracownika odezwała się tak powszechnie głębokim echem w najszerszych warstwach społeczeństwa polskiego, znak to nieomylny, że nie zamarł u nas jeszcze zdrowy instynkt narodowy, umiejący ocenić i odczuć wielkość ofiary życia, złożonego bez zastrzeżeń idei, która jak kwiat bujny, chociaż krwawy wstaje ciągle spod gruzów.

Leży to w ludzkiej naturze, że uczuciom swoim pragnie nadać kształt bardziej zmysłowy i trwały. Więc i tu z głęboko poruszonych serc, w imię wdzięczności pozgonnej wyłonił się projekt uczczenia pamięci zmarłego, wyłoniło ich się nawet, jak się zwykło w Polsce wyłaniać — parę, z których każdy ma dobre racje za sobą. I jakkolwiek najprostszym, najlogiczniejszym wydaje się zamiar odkupienia praw autorskich zmarłego, ufundowania przez to doskonałej biblioteki ludowej imienia Brzezińskiego i spłacenia bodaj w części długu wdzięczności wobec pozostałej rodziny, próżno dziś dyskutować, skoro ofiarność już się rozdzieliła i nie łatwo ją będzie do jednego łożyska sprowadzić.

Są zresztą bodaj, w przeciwstawieniu do tych materialnych oznak współczucia i żalu, konsekwencje bardziej idealne, bardziej jeszcze niezbicie z głębokiego poczucia straty wynikające. Jest nie cierpiący momentu zwłoki mus i konieczność prowadzenia dalej pracy, od której opadły ręce tego, co odszedł, choćby gorzej, choćby z mniejszym talentem — nie każdy się rodzi Brzezińskim — ale coraz szerzej, coraz wytrwalej. To jest ofiara, jaką nie tyle od siebie, co z siebie powinien dać każdy — człowiek, stan, grupa, jaką przede wszystkim dać powinna każda gałąź wiedzy współczesnej.

Że to będzie pro domo nostra, dodajmy, jaką powinno hojną, pospieszną ręką dać krajoznawstwo polskie. Nie dlatego, żeby ono od innych nauk stało wyżej czy niżej. Układanie hierarchii i drabin naukowych może być ciekawym i nie pozbawionym wartości dociekaniem teoretycznym, w praktyce jednak sądzę, że umysł ludzki płonąć może na wszystkich szczeblach tej drabiny światłem jednakowo mocnym i potrzebnym i że drabina, której by brak było szczebli, byłaby sprzętem niewielkiej użyteczności. A jeśli komu na dość pustym polu naszej literatury ludowej rumienić się wypadnie, to w pierwszym rzędzie krajoznawcy bezsprzecznie, przy czym bardzo względnej wartości pociechą może być dla niego ogólny stan ubóstwa tej gałęzi wiedzy w Polsce, stan przy-

bierający niekiedy w porównaniu z *obcym krajoznawstwem o ziemiach polskich* wprost zatrważające, skandaliczne rozmiary. Przy tym widzimy zjawisko dość dziwne, choć wcale na naszym gruncie nie tak rzadkie, jakby się to mogło zdawać na pozór. Mamy pewną ilość prac krajoznawczych — i niekrajoznawczych — ważkiego stempla, sumiennie i z dużym przygotowaniem zawodowym wydanych, mamy Romerów, Bujaków i — niedocenionego bodaj Nałkowskiego. Trochę niżej i w znacznie mniejszej ilości mamy garsteczkę opracowań dla przeciętnego inteligenta przewodników, monografijek, opisów. Na samym zaś dole nie mamy prawie nic zgoła. Zdawało by się bez mała, że u nas o własnym kraju mogą i chcą wiedzieć tylko najwyższe typy umysłów, tylko ludzie poświęcający się wyłącznie i zawodowo nauce — dla reszty jest to rzecz obojętna. Bo wyłączmy, wykreślmy, wyrzućmy za okno czy za drzwi bodajby tę — również zresztą niezbyt liczną — część literatury krajoznawczej, która się nazywa „szkicem na najnowszych źródłach opartym", a która jest najczęściej ramotą, bezmyślnym i nieuważnym przepisywaniem z książek, nad którymi od szeregu lat przechodzi się do porządku dziennego, albo których autor nie raczył nawet dokładnie przeczytać.

To, co pozostanie, będzie zaiste niewielkim balastem, a w stosunku do warstw niższych pod względem przygotowania umysłowego jest wręcz niesumiennym wykręcaniem się z obowiązku ciążącego na nauce.

Są umysły spokojne i z samym sobą w zgodzie żyjące, które wyobrażają sobie, że chłop polski jest po dziś dzień glebae adscriptus, że się nie wypuszcza dalej, jak na odpust do trzeciej parafii i — że mu z tym dobrze. O tym, że ten chłop „odkrył" na własną rękę Paranę i Stany Zjednoczone, trafił do Francji i Szwecji, nie mówiąc o corocznych „saksach", że obecnie wybiera się na Syberię, o tym taki pan, choć jest stałym i żarliwym czytelnikiem kurierka, zwykle nie pamięta i jeśli w czym ma rację, to w stwierdzeniu smutnego faktu, że ten chłop-bywalec zna niezgorzej Bremę, Chicago lub Kopenhagę, ale na pewno nie zna Lublina, jeśli go los posadził pod Częstochową. Stąd też wysnuwa fałszywy wniosek, że chłopa znajomość własnego kraju nie interesuje, a bodaj nawet, że mu jest niezupełnie potrzebna. Czas zaś byłby najwyższy ustalić pewnik, że twarde okoliczności życiowe wypędzają tego chłopa z domu na najbardziej obce i odległe zagony, że mu w tym należy okazać istotną i rzetelną pomoc i że jeśli swej własnej siedziby nie jest ciekawy, to go do niej zaciekawić nie tylko można, ale należy.

Było by to nawet bez wątpienia bardziej pilną potrzebą niż zasilanie go wiadomościami o krajach i rzeczach obcych, które dlatego właśnie, że obce, że tak rażąco odskakujące od naszego szablonu, z trudem mogą systematycznie ułożyć się w głowie nie nawykłej do porządnego myślenia i nie mogącej rozporządzać dość sprawnym kryterium porównawczym. Nawet u tych osobników z ludu, które zwiedzały obce kraje, które zatem chwytały i przyswajały sobie obce zjawiska życia w sposób względnie najłatwiejszy do utrwalenia w pamięci, całokształt myśli i spostrzeżeń zebranych w podróży przedstawia się zwykle dość chaotycznie, kiedy indziej wręcz groteskowo. Porównanie natomiast swojego bezpośredniego obszaru z obszarem o miedzę leżącym, pod wieloma względami podobnym, pozwala łatwiej uchwycić samodzielnie różnice i — o to wszak głównie chodzi — dojść do uogólnień własnych, niezaprzeczenie dobytek umysłowy powiększających.

Pod wpływem najróżnorodniejszych czynników społecznych, ekonomicznych, politycznych, a nawet i historycznych poszczególne części dawnej Rzeczypospolitej, nawet część Polski etnograficznej, przedstawiają dziś pod każdym względem nieskończone bogactwo odcieni i kontrastów, poczynając od wysoce rozwiniętej kultury zachodu do jakichś całkiem archaicznych jeszcze niemal form bytowania. Jest to w zmniejszeniu i zarazem w ułatwiającym zrozumienie uproszczeniu obraz współczesnej Europy, z wielce poglądowym, namacalnym wyjaśnieniem skutków różnorodnych metod i sposobów traktowania jednej i tej samej ziemi, jednego i tego samego społeczeństwa. I kiedy jakiś mieszkaniec Psiej Wólki na piaskach mazowieckich czy podlaskich potrafi zrozumieć różnice i uchwycić podobieństwa, jakie go dzielą i łączą z pierwszą lepszą wsią z Poznańskiego, będzie to niewątpliwie wielki dzień jego życia umysłowego, będzie to wejście na pierwsze wzniesienie pagórka, z którego się roztacza rozległy horyzont, a zarazem będzie to spokojne rozejrzenie się po swoim domu, którego pokoje są wprawdzie pozamykane warownymi kłódkami, ale który jest większy i wspanialszy, niż by się jego posiadaczom z ciasnego zakątka mogło wydawać.

Przypominam sobie, że kiedy przed wielu laty jakaś komisja sanitarno-higieniczna zwiedzała urządzenia miejskie w Poznańskim, opisy jej umieszczone w pismach codziennych spotykały się ze zdumieniem szerszych warstw oświeconej publiczności. Jak to, więc tuż zaraz o miedzę, na naszym własnym gruncie, choć dokonane obcymi rękami, dzieją się rzeczy, o których się nam nawet nie śniło dotąd — i my o tym nie wie-

dzieliśmy? A teraz pomyślcie, jaki musi być zasób wiadomości w tym kierunku tego poczciwca z Psiej Wólki, jakie on ma pomoce i dźwignie, żeby podważyć nimi swoją ociężałość, nędzę, ciemnotę, bezradność, żeby z zaściankowego parafianizmu stać się Polakiem, to się znaczy, mieszkańcem Europy środkowej.

Nie wynika przecie stąd oczywiście, żeby go zacząć fetować kolumnami cyfr, których nie zgryzie, i suchymi opisami, które wypluje. Książki dla ludu muszą być pisane z takim samym, jeżeli nie większym talentem pisarskim, z takim samym umiłowaniem przedmiotu, jak każda inna książka, która chce kogoś czegoś nauczyć, której autor chce i może oddać komuś część bogactwa swej duszy. I jeżeli jest to u nas już zrozumiane w stosunku do dzieci, dla których nie lenią się pisać najpierwsze w Polsce pióra, oczekiwać z niecierpliwością i utęsknieniem należy dnia, kiedy będzie to zrozumiane w stosunku do ludu, który też jest jeszcze dzieckiem, tylko bardziej opuszczonym i nieszczęśliwym niż nasze dobrze i troskliwie chowane pociechy.

Tak, trzeba, żeby się gorliwie wzięli do rzeczy ci, którzy są mocni i władni, ci, którzy mogą nauczyć i pociągnąć innych za sobą. Bo to się nie da ująć w żadne regułki i nigdy nie będzie przepisu na sporządzanie dobrej, głową i sercem pisanej książki. Tu trzeba, żeby przeciął dróżkę przez haszcze ktoś, kto może dać z siebie wiele i kto daje rękę nie znającą wahania. Tak jak dawał ukochany za to przez wszystkich Mieczysław Brzeziński, któremu cześć niechaj będzie i chwała.

(„Ziemia" 1911 r.)

Z WRAŻEŃ KASZUBSKICH

Może to być paradoksem bez mała, może się to nim wydawać przynajmniej, ale pod pewnymi względami łatwiej warszawiakowi odnaleźć i zrozumieć tych Kaszubów w Warszawie, niż tam u nich, na własnych ich śmieciach.

W Warszawie, kiedy weźmie do ręki dobrą i poważną książkę o Kaszubach, sprawy mu się przedstawiają może nieco sucho, nieco ogólnikowo, ale przejrzyście, prosto i jasno. Na Kaszubach ku niemałemu swojemu zdziwieniu konstatuje przede wszystkim brak — Kaszubów, których przyjechał oglądać. Co prawda, brak tu także i tych, o których

istnieniu trudno wątpić nawet sceptykom — brak Polaków. Na oko, na pozór są tylko Niemcy, Niemcy i Niemcy.

Takie jest już pierwsze zaraz wrażenie, bodajby w Tczewie, po którym się, czekając półtrzeciej godziny na pociąg do Pszczółek, chodzi wszerz i wzdłuż, szukając bez powodzenia Polaków. Takie są Pszczółki, w których znowu przez godzinę oglądać można wieś bogatą, schludną i — zewnętrznie zupełnie niemiecką, takie zresztą są i sama Kościerzyna czy Wejherowo, dwie stolice Kaszubszczyzny dzisiejszej. Czego nie brak, co prawda, to polskich nazwisk na szyldach. Tych jest co najmniej połowa. Ale u tych rozmaitych Szczerbińskich, Majtkowskich, Prądzyńskich, którzy już nawet swój ogonek przy *a* zdążyli zagubić, witają cię najczęściej grzecznym „guten Tag", potem ty, warszawiaku, trochę skonfudowany tą niespodzianką, a trochę dumny ze swego poliglotyzmu, odpowiadasz im także „guten Tag" — i rozmawiacie sobie po niemiecku. Dla ścisłości dodać zresztą należy, że pierwsze „guten Tag" pada zwykle nie z ich ust, jeno z twoich, i że bardzo często oni naprawdę po polsku nie umieją. O tym oczywiście, żeby na ulicy ktoś z ludzi tzw. „przyzwoitych", wyglądający na urzędnika, inteligenta czy choćby kupca, mówił po polsku czy po kaszubsku, nie ma co mówić.

Więc idziesz szukać Kaszubów na wieś. Po drodze mijają cię wozy ładowne z dobrze odżywionymi woźnicami, którzy mruczą pod nosem „Morgen", i grzeczne, śmiałe, czysto umyte i odziane dzieci, które cię znowu uprzejmie pozdrawiają „guten Tag", czasem, choć rzadziej — „sei gelobt Jesus Christus". I tak dalej i dalej, w sklepiku i w oberży, na drodze i na polu, do znudzenia, do obrzydzenia, do rozpaczliwego machnięcia ręką i zaklęcia w pień brzydko, po chamsku. — Więc to już tak...

Zanim sobie pozwolę dać najskromniejsze bodajby wyjaśnienie tych drażniących zagadek, chciałbym przytoczyć tytułem ilustracji jeszcze parę żywych przykładów. Oto „Bazar" wejherowski, wielki, zasobny, dziesięć lat istniejący sklep bławatny spółkowy polski. Półki uginają się pod stosami materii, zdaje się, że słychać i widać, jak przedsiębiorstwo rozrasta się, rozsadza ściany, zdrowe, mocne, jędrne. Kilkunastu młodych ludzi i młodych panienek czeka kupujących i dyplomatycznie wita gościa niemym ukłonem, czekając, jakim językiem odezwać się należy. W głębi jakieś towarzystwo targuje palto letnie... po niemiecku. „To Niemcy?" — pytam pana zarządzającego. — „Nie, panie, to Kaszubi. Zresztą bywają też i Niemcy". — „Tu, w polskim sklepie spółkowym?" —

„Oczywiście. Jesteśmy największym takim sklepem w mieście i żaden z miejscowych kupców niemieckich tego rodzaju równać się z nami nie może". To jest niezłe: Kaszubi, zakładający sklep dla bojkotowania Niemców i mówiący w sklepie po niemiecku. Idźmy dalej. Jeden ze znanych działaczy polskich najmuje pomocnika mularza. Przez dwa dni chłop nie rozumie ani słowa po polsku, na drugi dzień wieczorem przyznaje się po cichu, że jest Kaszubem. Teraz lody już pękły i kiedym właśnie wszedł na podwórze dzień potem, szukając drzwi wejściowych, mniemany Niemiec podszedł do mnie, pytając: „was wünschen Sie" i potem ciszej, z resztą nieufności w głosie i błyskiem oczów: „niech pan idą tam, na prawo". To już jest na pewno jutrzejszy, a może i dzisiejszy członek „Banku Kaszubskiego" czy „Macierzy Kaszubskiej".

W Wejherowie u fary nabożeństwo majowe. Niezbyt wielki kościołek z kilkoma ładnymi reminiscencjami doby dawniejszej przepełniony po brzegi: — nieco dam kapeluszowych, większość w chustkach, w kruchcie moc mężczyzn — wyrobników i elegantów, zresztą niemych i niewiadomych. Czekam już trzy kwadranse, czekam jak co dzień w coraz innym kościele, żeby się przekonać, w jakim języku ludzie będą śpiewali i jak ksiądz mówić będzie. Nareszcie rozlegają się dźwięki organów, sączy się z góry jakaś słodka jak średniowieczne misterium melodia. Potem, jak haft wzorzysty a prosty, wplatają się słowa:

„Maria, du holde...

Zatem po niemiecku. Jest coś w duszy człowieka, nawet takiej, która się już modlić nie może czy nie umie, co się wzdryga na słowa modlitwy innym językiem szeptane niż ten, w którym go matka uczyła. I oto ta słodka i wykwintna w swej prostocie pieśń spływa na serce, jak krople piołunu. Chwila jest, pomimo perswazji i rozumowań, bolesna, chwila niechęci i buntu. Ale kiedy spokój powraca pomału, spostrzega się rzecz dziwną. Na razie zdawało się, że cały kościół śpiewem rozbrzmiewa, teraz widzi się, że śpiewa przygarstka „dam" od wielkiego ołtarza, reszta, te chustkowe, modlą się, modlą się nawet żarliwie, nie podnosząc oczu od książki, ale — milczą. Tam na ulicy nie chcą mówić swoim językiem, w kościele nie chcą modlić się w obcym. Tragedia dusz, które tu, w obliczu swojego Boga roztwierają serca szeroko, ale usta zacinają twardo i mocno...

Posiedzenie Towarzystwa Ludowego w jednym z najdalszych zakątków kresowych. Dzięki uprzejmości dzisiejszego prelegenta mam możność zasiąść w kątku jako gość niemy a chciwy usłyszenia rzeczy tak

nowych dla siebie. Między sumą a posiedzeniem posilamy się w bocznym pokoiku oberży wiejskiej obiadem. W pewnym momencie i w porywie zniechęcenia do kotleta, który ma wszelkie cechy pochodzenia z kuchni niemieckiej, wychodzę do sali ogólnej. Oberżysta jest Kaszubem, ale na sali słychać słowa wyłącznie niemieckie. Twarze szczere, mocne, oczy tylko jakieś smutne, jakieś nieufne, jakieś takie... nasze. „To Niemcy?" — pytam się swego łaskawego przewodnika. „Kaszubi, panie, zobaczy ich pan za chwilę na posiedzeniu. Ale poza domem wolą mówić po niemiecku, bo to „fajna mowa". Jakoż za chwilę zbieramy się w jakieś 50 osób w paru szczupłych pokoikach jednej z chat wiejskich. Te same twarze i oczy te same, ale tu już po niemiecku nie mówią. Po kilku słowach wstępnych rozlega się z pewnym uroczystym nastrojem, z dużym przejęciem się „Serdeczna Matko". Potem odczyt. Prelegent okazuje się urodzonym mówcą ludowym. Jakby w odpowiedzi na ten splot nierozwikłanych kwestii, który kłębi się we mnie, na te pytania, które się gwałtem cisną na usta, mówi o tym haniebnym zwyczaju — stroić się w obce piórka, obcym, choćby „fajnym" mówić językiem.

Mówi im, że się wstydzą być Kaszubami, a on właśnie uważa, że mało jest na świecie tak wielkich zaszczytów, które by się z tą godnością — być Kaszubem — mogły porównać. Że choć mówi po polsku, ale sam się czuje Kaszubem, bo miał matkę i babkę Kaszubkę, a wreszcie po polsku czy po kaszubsku, to wychodzi na jedno i niejednego by się mógł dzisiejszy obcą pleśnią zwalany język polski nauczyć od szczerej jak złoto mowy kaszubskiej. Że jakże nie być dumnym będąc Kaszubem, kiedy się spojrzy na wspaniałe kościoły, fundowane przez szlachetne książęta pomorsko-kaszubskie, a fundowane wówczas jeszcze, gdy na miejscu niejednej z wielkich stolic dzisiejszych wiatr tylko piasek w pustym polu przewalał. I że choć ten Niemiec dmie się i puszy, niedawna to tam jego chwała i niedługa zapewne.

Milczkiem i w skupieniu słucha zgromadzenie przemowy. Czasem jakby błysk jaki w oczach zmrużonych od wysiłku myślowego, czasem jakby chmura nieufności czy niewiary na czole. Dopiero kiedy mówca cytuje znany fakt o dziecku, co w szkole niemiecki pacierz przetrzepało prędko i byle jak, ale swój, polski odmówiło pobożnie na klęczkach, zakołysał się mur słuchaczy. „Jo, jo, toć to w swojej wierze świętej inaczej" [1]).

Potem nocleg i wizyta u gbura zachodnio-pruskiego. Nie takiego, oczywiście „gbura", jakich mamy bez liku w Warszawie, bo ten warszaw-

[1]) Wyrażenia ludowe cytuję po polsku, obawiając się nieścisłości.

ski jest już pojęciem i wyrazem pochodnym, i on to w cudzysłów powinien być brany, tylko u średniego posiadacza ziemskiego, typu przejściowego między uwłaszczonym chłopem a wielkim posiadaczem. Warstwa to z dawien dawna, z czasów Rzeczypospolitej zamożna, osiadła, poczucie swej wartości społecznej mająca, częściowo drobna szlachta, częściowo dawni oczynszowani włościanie. Mój gospodarz, średnio jak na gbura zamożny, jest szczęśliwym, choć może niezbyt ze względu na warunki miejscowe spokojnym posiadaczem 270 morgów ziemi, 8 koni dużej wartości i ceny, 16 pięknych krów, ładnego domku z piętrową facjatką, kilku pokoi wypełnionych meblami, świadczącymi o gustach skromnych, ale już dużo śmielszych niż przywykliśmy u naszego nawet najzamożniejszego włościanina spotykać. Do pomocy służy dwóch parobków, mieszkających przy koniach, w schludnym pokoiku z oknem i podłogą; zresztą namulone ręce nie tylko gospodarzy, ale i dzieci — córka kończyła wyższą pensję w Kościerzynie — świadczą, że praca nawet twarda, pomimo wolanciku, którym się jeździ do kościoła, nie jest tu mitem ani hańbą. Na oknie „Śpiewnik Polski", z którego się w niedzielę i wieczorami śpiewa piosenki, takie proste, kochane piosenki, które nam się wydają złotym choć nieco zamierzchłym wspomnieniem młodości, ale tam są nowym, czystym i świeżym promieniem polskości. Na stoliku garstka pocztówek z Zakopanego i albumik z Krakowa — to wspomnienie wyjazdu syna, gimnazjasty, na obchód grunwaldzki [2]). Jak oni to tam wspominają, jaka to była epoka, jaki dzień wielki, świąteczny. Niestety, młodego podróżnika nie było w domu i nie mogłem się go rozpytać o wrażenia z wycieczki, aleć to łatwo sobie dośpiewać. Wyobraźcie sobie ludzi, którzy całe długie czy krótkie życie widzieli polskość pomiataną, popychaną nogami, gnaną za drzwi, jeżeli nie do kozy, i którzy stanęli olśnieni wobec tego dnia wspomnień o chwale wielkiej, chociaż minionej. Wyobraźcie sobie istotę, w którą od najwcześniejszego dzieciństwa wmawiano, że jest płazem, że powinna tylko pełzać, kryć się i z drogi usuwać, a która pewnego dnia czuje w sobie siłę i śmiałość do lotu, do szybowania tak wysoko, że się stamtąd widzi setki mil, wielkie góry, i wielkie morza, i drogi odwieczne, idąc z najzamierzchlejszych mroków przeszłości w jakieś jutro nieznane...

I oto dopiero kiedy się tu stanie, na tym twardym gruncie gburskiej siedziby, kiedy się posłucha słów, wymawianych trochę z niemiecka, ale

[2]) Ze względu na nieuchronną konieczność dyskrecji i ostrożności zmuszony jestem przemilczeć nie tylko nazwisko gościnnych gospodarzy, ale nawet nazwę wsi.

pomyślanych i odczutych już całkiem z polska, czuje się, że to jest grunt pewny, że jeśli się przedtem zżymało ramionami i machało ręką, to chyba dlatego, że pierwsze wrażenia mogą być tak samo zawodne i fałszywe, jak pierwszy rzut oka, w które wiatr sypie piaskiem i śmieciem. Że reszta to tylko pozór, który by się rozwiał doszczętnie, byle by tylko siły w piersiach starczyło dmuchnąć na niego potężnie.

Oczywiście, gdyby się było cudzoziemcem — Francuzem czy Anglikiem — wyjechało by się stąd z niezłomnym przekonaniem, że polskość tu doszczętnie w ziemię wdeptano, czy raczej z korzeniem z niej wyrwano. Gdyby się było Poznańczykiem, gdyby nie znając kraju, znało się jednak warunki ogólne i umiało czytać rebusy narodowościowe, trafiło by się do ładu ze swoimi własnymi wrażeniami znacznie prędzej, znacznie łatwiej. Ale kiedy się jest mieszkańcem Królestwa, kiedy się nagle przechodzi z warunków — mniejsza o to, gorszych czy lepszych, ale tak zasadniczo odmiennych — nie jest niemal rzeczą możliwą uchronić się od pierwszego złudnego wrażenia, nie zapomnieć o tym wszystkim, co się już przedtem w domu o Kaszubach wiedziało i co malowało kraj nieco odmiennie.

I to jest może główną przyczyną, dla której opinia publiczna nasza dała sobie przez lat kilka narzucać płytkie i niedorzeczne hasło bojkotu wybrzeży Bałtyku, jako całkowicie zniemczonych. Trzeba na te rzeczy patrzeć wytrwalej i dłużej, trzeba zwolna przyzwyczajać oko do perspektywy całkiem różnej od tej, w której się pewne zjawiska życia zwykło oglądać. Wtedy dopiero równolegle z długim szeregiem faktów i spostrzeżeń bolesnych, drażniących, bijących w łeb jak obuchem, snuć się zacznie inny szereg faktów, równie niezbitych, równie, jeśli nie więcej, w swej plastyce wielomównych, zdumiewających.

Bo jakże się nie zdumieć, kiedy się dowie, że w Tczewie, tym samym Tczewie, w którym się na próżno trzy godziny uchem dźwięk słowa polskiego łowiło, przy ostatnich wyborach kościelnych przeszli zwartą ławą sami Polacy — ani jeden Niemiec. Dajmy na to, rozstrzygało nie miasto, ale okolica, ale wieś, która pozostała polską, kaszubską — ale i tej wsi trudno to było z twarzy wyczytać. W Pucku, w wielkim, potężnym kościele krzyżackim są na ławkach kościelnych naklejone karteczki z nazwiskami osób, którym przysługuje prawo zasiadania tam podczas nabożeństwa. Pamiętać trzeba, że Puck jest bodaj jednym z najbardziej zniemczonych miasteczek na Kaszubach. Otóż na tych kartkach widzi się u góry napis „deutsche Andacht" (nabożeństwo niemieckie) — pod

nim jedno, dwa najwyżej nazwiska, u spodu „polnische Andacht" i poniżej sześć nazwisk, jak obszył, tj. tyle, ile jest miejsc w ławce. W Kościerzynie na rynku cały szereg nazwisk polskich na szyldach należy do niewątpliwych Niemców, niekiedy hakatystów, ale tuż obok cały szereg nazwisk czysto niemieckich należy do szczerych, niekiedy żarliwych Polaków. Nie ma natomiast ani jednego rzeźnika, ani jednego bławatnika Niemca. Jeśli sam chodzisz po Sopotach, a zwłaszcza jeśliś jest nadobną warszawianką, usiłującą za pomocą czterech posiadanych wyrazów niemieckich udawać przed Polakami Niemkę, wyda ci się miasto doszczętnie niemieckim i co najwyżej, na pociechę powiesz sobie, że ono polskim czy kaszubskim właściwie nigdy nie było, chyba kiedyś tam, póki jeszcze Gdańsk, sam mały będąc, niemczyć ubogiej wioski rybackiej nie zaczął. Ale idźmy o przedwieczornej porze, kiedy ludzie pracy do domu wracają, na bardziej odległe uliczki, idźmy zwłaszcza w towarzystwie szanownego sędziego Ch., znanego tamtejszego działacza i budziciela polskości — co drugi człowiek przywita nas: „dobry wieczór", albo „niech będzie pochwalony".

A spółki, a towarzystwa, a banki. Toż to są nie szańce sypane z dnia na dzień, ale mur twardy, mur na długie pokolenia kładziony, o który się niejedna fala rozbije i złamie. Juścić, nie ma u nas nikogo, kto by bodaj w najoględniejszych zarysach czegoś o tym nie słyszał, ale trudno oprzeć się pokusie rzucenia tu najszczuplejszej bodajby wiązanki cyfr, tak niesłychanie w swojej suchej zwięzłości wymownych.

Bo oto Bank Kaszubski w Sopotach (założony w r. 1909) ma już w pierwszym roku 24 członków i 50.496 marek depozytów; w Kartuzach (1908 r.) tak bardzo zniemczonych i całe swoje istnienie, równie jak nazwę zawdzięczających niemieckiemu klasztorowi — członków 68, depozytów 31.920 m.; w Pucku (1907 r.) członków 113, depozytów 146.704 m.; w Tczewie (1906 r.) 155 członków, depozytów 255.324 m.; w Wejherowie: bank (1906 r.) 308 członków i 621.155 m. depozytów; „Kupiec" wejherowski — towary bławatne (1903 r.) 1462 czł. i 122.750 m. udziałów; w Kościerzynie spółka parcelacyjna (1904 r.) 154 czł. i 242.805 m. depozytów; bank w Kościerzynie (1902 r.) czł. 999, depoz. 366.737 marek. Podkreślam daty powstawania banków, lata, jak widzimy, najostatniejsze; zaznaczam też, że cyfry brałem z ostatniego sprawozdania Związku Spółek Zarobkowych w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich za r. 1909 i że od tej pory poszliśmy już tam naprzód. Tam, gdzie się napotyka datę założenia dawniejszą, tam i cyfry dosię-

gają wysokości po prostu zdumiewającej. Starogard (1897 r.) ma 908 członków i 1.652.138 marek depozytów; Tuchola (1872 r.) — 989 członków i 1.448.942 marki depozytów. A jakkolwiek tak dobrze Tuchola, jak Starogard leżą już na terytorium czysto polskim, nie kaszubskim, wolno stąd wnosić, że byle tamtym kaszubskim organizacjom dać czas do rozrostu, okrzepną i one na pnie całkiem potężne.

Poza bankami domy ludowe. W Wejherowie przy sklepie spółkowym (żelazo i towary kolonialne) „Merkur" jest od kilku lat ogromna sala na posiedzenia towarzystw polskich; w Kościerzynie w tym roku nabyto dom piętrowy murowany z 4 morgami gruntu, na których postawiono salę na 800 osób, największą w mieście; w domu tym mieści się hotel (b. przyzwoity), restauracja, czytelnia, redakcja „Gryfa", w sali scenka teatralna. A i to pamiętać się godzi, że jeśli Kościerzyna dziś jest ośrodkiem ruchu umysłowego kaszubskiego, jest też współrzędnie siedliskiem najbardziej wytężonej agitacji hakatystycznej, w pierwszorzędnym, najjadowitszym gatunku.

A towarzystwa. Tych jest aż za dużo bodajby. W samej Kościerzynie, liczącej 6000—7000 mieszkańców, w tym około 50% Kaszubów i Polaków, jest ich aż 14. Jest zatem: 1) Tow. Przemysłowców Katolicko-Polskich, kupcy, drobni przemysłowcy (założ. około 1886 r.) — członków około 50, bywało do 100; 2) Towarzystwo Młodzieży Chrześcijańskiej (secesja z Tow. Przemysł.) — członków około 30; przyjmuje czeladników, synów majstrów; 3) „Sokół" — słabo wegetujący; 4) Filia Tow. Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu — członków około 15, subiektów, po kaszubsku „kupczyków"; 5) Tow. Śpiewackie „Halka" — chwilowo nie ćwiczy; w braku dyrygenta ma chóry prowadzić dr red. Majkowski; 6) Tow. Czytelni Polskiej od $1^1/_2$ roku — członków 68, płacących po 50 fenigów miesięcznie, tomów około 1000, w tym 235 beletrystyki i 73 poezji; członkowie towarzystw, które dały czytelni zbiory lub zapomogi, płacą 25 fenigów miesięcznie; w roku 1910 pożyczono 1186 tomów do domów, nie licząc czytanych na miejscu (8—10 wiecz. codziennie); 7) Tow. Wyborcze na pow. kościerski; 8) Tow. Wyborcze na m. Kościerzynę do wyborów komunalnych; 9) „Dom Kaszubski" w likwidacji po założeniu „Bazaru", o którym była mowa powyżej; 10) „Bazar" towarzystwo z kapitałem 30.000 marek w 500-markowych udziałach, hotel, sala, czytelnia; 11) Tow. Ludowe Oświatowe (1910 rok) — członków z górą 100; 12) Spółka Wydawnicza — członków

około 50 z udziałami po 25 marek — wydaje „Gryfa"; 13) Bank Ludowy; 14) Spółka Parcelacyjna.

Bez wątpienia było by lepiej, gdyby tych towarzystw było mniej o połowę, o dwie trzecie nawet, gdyby tym samym mogły głębiej puścić korzenie, bujniejszym strzelić pędem. Jest w tym trochę tytułomanii, nieco niesforności — ogólnie polskiej, nieco chwytania za poły tych, co się naprzód wydzierają. Ale jest też i jakiś żywiołowy pęd samoobrony i mocne przecieranie długo zaspanych oczów, i chwytanie za broń — kulturalną — gdzie się da pełną garścią.

W czasie swej parotygodniowej na Kaszuby wycieczki różnych zdarzało mi się spotykać ludzi, niemniej różne słyszeć poglądy. Od krańcowego optymizmu, prącego naprzód z pogodnym uśmiechem, do nie mniej skrajnego pesymizmu, łamiącego ręce i — też drepcącego za tamtym. Ale nie spotkałem człowieka, który by mógł zamknąć oczy na ten niebywały rozkwit ekonomiczny, na potężny odruch narodku, budzącego się z głębokiego snu tylu wieków.

Bo ostatecznie, co tu było przedtem i z kim tu germanizacja walczyła? Naprzód była niezależność państwowa kaszubsko-pomorska, po której już zresztą z dawien dawna mogiły trawą zarosły. Potem był żelazny, niemiłosierny bunt krzyżacki, wdeptujący wszystko w ziemię, potem wreszcie była Polska, ale taka jakaś daleka, taka mityczna bez mała, jak bóstwo na niebie. Tu, jeśli o wpływ kulturalny chodzi, panował nie Kraków i nie Warszawa, tylko Gdańsk, którego wpływy, choćby w architekturze, widać do dziś w każdym miasteczku, panowała Oliwa, Kartuzy, Królewiec, gdzieniegdzie morze, łączące kraj z obcym, nie polskim światem. Proszę sobie przypomnieć, jakie daje temu świadectwo w swoich pamiętnikach Wybicki, urodzony w Bendominie o 5 mil od Gdańska, późniejszy żarliwy protestant na sejmie warszawskim, jeszcze późniejszy twórca hymnu narodowego i współpracownik Dąbrowskiego. „Akademia krakowska tyle była znana na Pomorzu, co paryska", to jest, powiedzmy nawiasem, wcale. Na myśl o wyjeździe do stolicy „ukochanej mojej matce, lubo majętnej, zdało się rzeczą niepodobną, aby mnie do Warszawy przyzwoicie mogła wyprawić. Tak wcale związku ze stolicą kraj nasz nie miał".

Tyle szlachcic z dostatniego, powierzchownie bodajby opolerowanego domu. A cóż łyk małomiejski, którego całkowicie w potężnej swej garści trzymał Gdańsk, cóż chłop, nie podnoszący nosa od ziemi. To też po rozbiorach pękła, zdawało by się, ostatnia nić. Naszych walk, naszych



Fot. Marian Fuks

1918 r.

zapałów i szamotań nie dochodziły tam nad morze nawet echa dalekie, oprócz chyba wojen napoleońskich, gdzie Polak na równi z Francuzem był zapewne uważany za wroga, za najeźdźcę i niszczyciela. W pierwszej połowie XIX wielu Kaszuby są dla nas zapomnianym mitem, dla Niemców dziczą i pustynią „od Boga i ludzi zapomnianą". Potem na ten grunt ubogi, surowy przychodzi nowoczesna kultura, oczywiście niemiecka. Wypędza resztki obyczaju domowego, zdziera strój, przebudowuje praktycznie, wygodnie i haniebnie mieszkania, daje zresztą ludności za to korzyści całkiem realne, całkiem namacalne — drogi, koleje, poczty, apteki, uczy ją i zmusza pracować, odrywa od pierwotnego rybołówstwa, wypędza siłą z jezior, uczy pracy na roli. I całkiem współrzędnie, w czasach zwłaszcza najostatniejszych, całkiem świadomie i celowo — niemczy.

W pierwszej połowie ubiegłego stulecia rząd sam wprowadził język polski do szkół, dziś wygnał go stamtąd doszczętnie. Od szóstego roku życia dziecko musi być istotą dwujęzyczną, potem przychodzi wojsko lub służba w mieście. Na wszystkim ciąży groza najsurowszego zakazu mówienia po swojemu, po polsku, czy nawet po kaszubsku, zakazu gorzej niż policyjnego, bo opartego na niebywałym nacisku całego społeczeństwa niemieckiego. Kupiec Kaszub nie może wywiesić szyldu polskiego, bo straci klientelę niemiecką; hotelarz czy restaurator boi się przy swojej służbie rozumieć gościa Polaka, nauczyciel-Kaszub rozmawia wprawdzie w domu rodziców z przyjacielem lat dziecinnych po kaszubsku, ale już na schodach rozumie go tylko po niemiecku (autentyczne). Ta część społeczeństwa niemieckiego, która chce zachować nieco uczciwości, a choćby rozsądku, milczy sterroryzowana, a jeśli nie milczy — woła na puszczy. Powstaje np. Towarzystwo do badania Kaszub w Kartuzach, ale i to już jest ciężką obrazą niemieckości, niemieckich interesów, niemieckiego honoru.

W przedmowie do książki Gulgowskiego o Kaszubach, książki, jeśli nie wrogiej polskości, to ignorującej ją, prof. Sohnrey potępia wprawdzie te zaciekłości, tę zachłanność nadto drapieżną, nadto wyraźną, ale gromi też i dr. Lorentza, przewodniczącego wspomnianego towarzystwa w Kartuzach, że pozwolił przetłumaczyć swój artykuł do „Gryfa". I te słowa „obiektywnego krytyka niemieckiego" Sohnreya, który za tę właśnie przedmowę jest teraz celem zapalczywych napaści ze strony nieprzejednanych, są nazbyt znamienne, żeby ich tu nie przytoczyć w całości w dosłownym nawet tekście: „Auf so heissem Boden darf auch der

rein wissenschaftliche Schriftsteller nicht naiv oder gleichgültig jenseitz der feindlichen Gewalten stehen". To by warto było ryć na kamieniu, bo dalej już chyba iść — w robionej naiwności względem własnego sumienia — nie można.

Ale oto dzieje się rzecz nadzwyczajna. Pod naciskiem ataku, wykonywanego z legendarną „furią teutońską" te ginące 140.000 drobnego szczepu ugina się dosłownie. Traci język, traci wszystkie cechy zewnętrzne, odróżniające go od innych. Dziś chłop czy drobnomieszczanin chodzi ubrany jak zwykły proletariusz miejski, mieszka we wsiach, które na gwałt otrząsają się z resztek swojej kaszubskości i stają się niemożliwie, do obrzydliwości banalne, wyzbywa się swego zdobnictwa, które zresztą nigdy tu w tych zapadłych pustkach nie wznosiło się na wyższe poziomy, wstydzi się swej gwary i pozornie udaje — Niemca. Z drugiej strony podpiera go agitacja „wielkopolska", czterech czy pięciu ludzi, którzy go namawiają, by został sobą. I jako odpowiedź, jako wynik, powstaje ruch młodokaszubski, wspaniały rozwój banków i towarzystw, szerząca się samorzutnie jak ogień oświata polska. Że to wszystko jest sprawą ostatnich kilku lat, ostatnich niemal miesięcy, więc górą widać stronę dotychczas mocniejszą, stronę nacierającą. To, co się rodzi, co odżywa, co krzepnie, jest u spodu, kiełkuje, rozsadza pomału warstwę pokostu, którą je nakryto. Zresztą to są w ogóle sfery, które się mniej uwydatniają i mniej afiszują, powiedzmy. To jest jeszcze bieda, niekiedy wręcz prostactwo. I stąd powstają u przyjezdnych pomyłki, stąd niedopatrzenia, niedostrzegania rzeczy najoczywistszych, fałszywe wnioski i fałszywe hasła.

Bo pomimo wahań i złudzeń najistotniejszą treścią i podłożem jest tu nie co innego, jeno polskość, jeno — jeśli wolicie — kaszubskość. Wszystko inne jest tylko — nalotem.

(„Ziemia" 1911 r.)

NAD GROBEM WIELKIEGO CZŁOWIEKA

Umilkły już dźwięki dzwonów żałobnych, ścichły echa wygłoszonych nad świeżą mogiłą Bolesława Prusa mów, pochwał i ubolewań. Życie, niepowstrzymane w swoim pochodzie, idzie wciąż naprzód, zasypując, jak piaskiem, nawałą nowych wrażeń, nowych smutków i strat mogiłę, która się nad drogimi wszystkim zwłokami zamknęła.

Życie idzie naprzód i my, którzy cząstką jego jesteśmy, idziemy z nim razem — tylko wciąż jeszcze wielu z nas przychodzi ochota obejrzeć się za siebie, poszukać, gdzie jest ten, który przez tak długie lata szedł przodem, który był nam czymś więcej niż znakomitym pisarzem, który prosił i przekładał jak brat, jak przyjaciel, jak nauczyciel, uczył, życie swoje w tę naukę wkładając, świecił i grzał i zawsze, sam pod ciężarem znużenia upadając, innych od desperacji odwodził.

To pewna, że ze współczesnych nam mało komu danym było tak trwały sobie w sercach żyjących pomnik postawić, mało czyje wspomnienie tak będzie niezależne od smaku dnia dzisiejszego, mody, prądów literackich i teorii społecznych, jak tego właśnie — między największymi wielkiego.

Nie był z tym wszystkim naszą „sławą narodową" na pokaz, nie był także znakomitością na eksport. Pomimo wielkiej poczytności nie miał w sobie daru — nie mógł czy raczej nie chciał — porywania za sobą tłumów łatwym „pióropuszowym" gestem. Pomimo znacznej ilości przekładów na obce języki, nie reprezentował w opinii świata Polski współczesnej, nie uchodził za jej typowego przedstawiciela i — można przypuszczać — nie był tam nawet dość rozumiany.

To się może wydawać na pierwszy rzut oka dziwnym, czymś więcej nawet niż dziwnym, bo niesprawiedliwym. Porównywano go wszak tylokrotnie — u nas i gdzie indziej — z Dickensem, a nie chciano przyznać, że jeśli Dickensowi dorównywał siłą i świeżością talentu, przewyższał go wielokroć jako obywatel, przerastał go poczuciem nigdy niedość spłaconego obowiązku, jaki wielki pisarz ma wobec współczesnego sobie pokolenia.

A jednak nie ma w tym nic dziwnego. Żeby Prusa ocenić, będąc Włochem czy Francuzem, Niemcem czy Rosjaninem, niedość było na szali sądu ściśle literackiego ważyć świetność i głębokość jego humoru, oglądać w bliższej czy dalszej perspektywie nieskończony szereg życiem drgających postaci, które światłem serca swego prześwietlił, które potęgą wyobraźni swojej w żywy kształt zaklął. Może im się poza tym, tym dalekim od nas pod niejednym względem cudzoziemcom, zdawało niejednokrotnie, że poglądy i rady, jakie ten obcy pisarz ziomkom swym dawał, zbyt są już małe, zbyt już od dawna treścią i przykazaniem dnia powszedniego tam, na szczęśliwym zachodzie będące.

Ale, żeby sprawiedliwszy sąd wydać, trzeba było przyjść tu, trzeba było żyć pod szarym, beznadziejnie niekiedy szarym niebem naszych sto-

sunków, mieć nogi pokrwawione od chodzenia po wszystkich ścieżkach ku wyjściu zamkniętych, mieć ręce zdrowe i mocne, ale od nieskończonego podejmowania robót na zagładę skazanych omdlałe; trzeba było przyjść tu i wszystko to przetrwać, wszystko przeżyć, nie padając z wyczerpania, nie zakrywając sobie oczu z rozpaczy, nie spalając się bezpłodnym gniewem i nienawiścią, nie zatruwając źródeł, z których samemu gasić pragnienie i innym pić dać potrzeba. To byłaby dla tamtych — wolnych i szczęśliwych — perspektywa całkiem odmienna i nowa, taka, w której się o wielkości rzeczy i ludzi nabiera zgoła innego pojęcia. Wtedy by się z łatwością przyznało, ile wart jest ten, który nie tylko nad strzaskaną kolumną rozpaczać potrafił, ale i każdą niepotrzebnie zdeptaną trawkę miłował, jak się miłuje coś nieskończenie drogiego i bliskiego. Jeśli wolno użyć paradoksu, był Prus dla nas i dla obcych bezsprzecznie olbrzymem, ale go nasza małość przed światem zasłaniała.

On sam przecie — Wielki Zmarły — umiał sobie z tego zdawać sprawę wybornie. Czuł i wiedział chyba, o ile łatwiej, o ile, w najlepszym nawet tego słowa znaczeniu, popłatniej było by cyzelować drobne klejnociki — nowelki — czy stawiać potężne monumenty przyszłej swej chwały, wszędzie i przez wszystkich jednakowo — jak „Faraon" — cenione. Jednak wolał lwią część swej duszy rozproszyć w twórczości drobnej, z natury rzeczy nikłej i nietrwałej, w „Kronikach", pisanych tak nieprawdopodobnie długi szereg lat z niesłabnącą werwą i siłą talentu. Każdy, ktokolwiek bodaj z lekka dotknął się tego, wie, jakim piekielnym młynem, rozcierającym najtęższe talenty na miazgę, jaką niechybną zatratą i rozkruszeniem siły pisarskiej jest to obowiązkowe tworzenie efemeryd, skazanych z góry na zagładę, tych drobnych wskazań i oświetleń dnia dzisiejszego, o których jutro nie chce i nie może pamiętać. I jeżeli robi to człowiek takiej miary — jako pisarz i jako człowiek — jak Prus, ma się nieuchronnie wrażenie, że ktoś, kto mógłby być profesorem uniwersytetu, wolał zostać nauczycielem ludowym, a gdyby tym najmniejszym był nawet bratem i ojcem, nie mógłby ich troskliwiej i serdeczniej prowadzić za rękę, nie mógłby rzeczy tak prostych wykonywać w sposób większy i doskonalszy.

Ale dlatego też nie ma chyba dzisiaj w Polsce człowieka, który by mógł o sobie powiedzieć, że nic Prusowi nie winien. I to najzupełniej niezależnie od tego, czy był jego gorącym zwolennikiem czy przeciwnikiem — i takich nie brakło — literatem czy rzemieślnikiem, artystą czy zjadaczem chleba. Bynajmniej nie dlatego, że wielki pisarz był człowie-

kiem istotnie głęboko i wszechstronnie wykształconym, że ogarniał bardzo szerokie i bardzo różnorodne horyzonty, że poruszał tematy, wchodzące w zakres najrozmaitszych specjalności i upodobań. Takich ludzi jest zawsze, zwłaszcza u nas, pod dostatkiem, jest ich niekiedy aż nadto, co prawda. I nie dlatego, żeby Prus chciał być lub mógł być nieomylnym, granitowo pewnym; — przeciwnie, mylił się i sam często z błędnej drogi powracał, do omyłki przyznając się, stwierdzając, że jest człowiekiem, nie kamienną opoką ani zimną tabliczką mnożenia. Ale te prawdy, które nam do znudzenia głupców i zniecierpliwienia ludzi pustych i małych podawał, były to prawdy tak zasadnicze i proste, tak w prostocie swojej niekiedy powszechne i wzniosłe, że się bez nich obyć nie można było nigdy i nigdzie, a najmniej w tych trudnych, ach jak trudnych niekiedy, drogach, którymi chodzić musimy w Polsce dzisiejszej.

Nigdy ten człowiek np. nie pisał o krajoznawstwie. Nie opracowywał szeroko ujętego, a ściśle do najdrobniejszych szczegółów pogłębionego planu prac na tym polu, nie stworzył, przykładem żywym wojując, doskonałej monografii. Miał szczere i głębokie, bardzo bezpośrednie odczucie natury i krajobrazu swojskiego, miał poza tym, jak wiadomo, ogromne upodobanie do operowania ścisłymi danymi statystycznymi, co go zresztą w połączeniu z wybitnie literackim bądź co bądź charakterem jego umysłowości wprowadzało czasami wręcz na manowce. Poza tym nic. Jego w ostatnich już latach kreślone kartki z podróży na Wołyń albo szkice lubelskie były raczej świetną jak zwykle igraszką stylową, były pretekstem do rozsypania jeszcze raz przed czytelnikami mnóstwa myśli — arcygłębokich, spostrzeżeń — arcyindywidualnych, ale nie były zaokrągloną całością wiadomości i sądów o Wołyniu i o Lublinie; nie były, bo po prostu być nią nie chciały.

A jednakże? Czyżby istotnie trzeba było kogokolwiek przekonywać, że i na tym polu Prus, wielki pisarz, wielki literat, służyć może nie za wzór może, ale za przewodnika, nie mniej od innych, patentowanych, pewnego. Czy każdemu, co w kraj idzie, chcąc na osobistą własność zdobyć jego możliwie pełny i wszechstronny obraz — to jest wszak chyba najprostsza definicja krajoznawstwa — czy taki człowiek nie znalazłby w całej działalności pisarskiej Prusa setek i tysięcy myśli i wskazań ubocznych, nic z jego celami pozornie nie mających wspólnego, a przecie jakby żywcem do nich pasujących, jakby dla niego umyślnie pisanych.

Więc przede wszystkim, czego szukać? Wiemy, jak dalece wszystko, cokolwiek działo się na ziemiach polskich, stale, żywo i niezmiennie zajmowało wielkiego pisarza, jak dalece potrafił wyłamywać się spod fascynującego wpływu wielkich, „epokowych" wypadków, żeby tuż obok nich czy poza nimi odnajdywać rzeczy drobne, nikłe, niepostrzeżenie zwykłemu oku uchodzące, i żeby z nich, z tych okruchów, odtwarzać sobie tło i podłoże, na których tamte wielkie rosną.

To też znał swój kraj, jego ziemie i jego ludzi ten powieściopisarz i felietonista, jak mało kto może. A z tego nieustającego zainteresowania się, jakim darzył wszystko, co się w Polsce dzieje, co w niej rośnie i co w niej więdnie, płynie głęboka nauka, jak tę całość trzeba szerokim i troskliwym spojrzeniem obejmować, niczego nie odrzucając, niczym nie gardząc, nie zamykając się w ciasnych komórkach osobistych czy chwilowych upodobań.

Mówił także, dlaczego tak trzeba robić, powracał ciągle i niezmordowanie do tego samego, wijącego się jak nić szara tematu „użyteczności". Ten dziwny człowiek, który powtarzał niezmordowanie: „Pracę twoją kieruj raczej ku tworzeniu rzeczy użytecznych, aniżeli ku niszczeniu szkodliwych" i który potrafił zarazem pisać ślicznie, głęboko przemyślane i głęboko odczute uwagi o „użyteczności" barwy i zapachu róży. Jak westchnienia kochanka marzącego o szczęściu, spływały czasem spod tego złotego pióra przedziwne żądania wolności dla ziemi, żeby rodziła, żeby się w tym obradzaniu czuła szczęśliwa. Wierzył, że w tym bezgranicznym zespoleniu ziemi z człowiekiem, w nierozerwalnym ich zrośnięciu leży przyszłość i odrodzenie, wierzył zresztą, już nie jako Polak tylko, ale jako członek wielkiej rodziny ludzkiej, że nic człowiekowi takiego szczęścia i spokoju dać nie może, jak odrzucenie z siebie drobnych, fałszywych nieraz trosk i zabiegów, stanięcie oko w oko z wszechukoicielką naturą. „Naród nasz uważałbym — pisze w swoich niedocenionych uwagach „O najogólniejszych ideałach życiowych" — za prawdziwie szczęśliwy dopiero wówczas, gdyby każdy człowiek, choćby najuboższy, mógł przynajmniej tydzień w ciągu lata poświęcić na jaki dalszy spacer. Jestem pewien, że ludzie byliby lepsi, gdyby mogli swobodnie, bez trosk, choć przez krótki czas przypatrywać się ziemi i niebu". I kilka lat jeszcze przed utworzeniem Tow. Krajoznawczego wskazuje na konieczność założenia „Towarzystwa wspólnych wycieczek", nie wątpiąc, że rzecz pozornie tak błaha może obrodzić bujnym, zdrowym, „użytecznym" owocem. I nie omylimy się chyba, twierdząc, że „użytecznym" znaczyło

w tym wypadku tyle, co przybliżającym nas bodaj o włos do celu, do sprowadzenia na tę nieszczęsną ziemię nie tylko wolności, ale ładu i spokoju, szczęścia i dobrobytu, równowagi dusz i harmonii życia. Bo to było bez wątpienia najbardziej zasadniczym tonem tego wielkiego serca, to było uczuciem, wypowiadanym wstrzemięźliwie, niekiedy wręcz oschle, ale przenikającym je na wskroś, umiłowanym tak gorąco i potężnie, jak się miłuje coś największego i najdroższego, coś, o czym się milczy, ale bez czego żyć nie umie się i nie chce.

I dopiero ze skojarzenia tego bezdennie głębokiego serca z osobliwą trzeźwością umysłu wynikła ta przedziwna metoda, w której nikt mu dorównać nie zdołał. Ten szczery, z Bożej łaski poeta ubierał najpodnioślejsze pomysły swoje w formę zagadnień matematycznych, a wyrażał je tak prosto i łatwo, że się najmniej rozwiniętemu czytelnikowi wydawało, że myśli jego myślami. Serce miał jak stos ofiarny płonące, ale oczy patrzyły bystro i chłodno. Mówił prawdy koronujące szczyty myśli ludzkiej, ale mówił o nich, jak o rzeczach zwykłych, codziennych.

Gdyby nie był humorystą, mógł był być zapewne prorokiem: nie brakło mu po temu ani żaru uczucia, ani siły ducha, ani oczu orlich, widzących rzeczy najdalsze.

Nie pora dziś mierzyć, czy ta pierś była na miarę Fidiasza skrajana. Ale dopiero patrząc na tego człowieka z pewnego oddalenia potrafimy ocenić, jak dalece on, który nikogo nie naśladował, z nikim nie współubiegał się, potrafił stać się niezastąpionym, jak bez zastrzeżeń należał mu się, więcej niż komukolwiek z żyjących — tytuł jeden z największych, o ile szczerymi ustami jest dany — tytuł mistrza.

(„Ziemia“ 1912 r.)

POLITYKA

DLACZEGO JESTEM LUDOWCEM I DEMOKRATĄ

Winą jest zapytania, postawionego tak personalnie, że będę musiał rozpocząć od zwierzeń może zbyt osobistych. Co gorsza, zdaję sobie całkowicie sprawę, jak łatwo jest zboczyć na grząskie manowce słów pustych i zawodnych, szukając źródeł swoich poglądów politycznych we własnych upodobaniach czy uprzedzeniach. U Anglosasów sprawa wygląda nieporównanie prościej. Przynależność do jednego z dwóch wielkich stronnictw narodowych w Stanach Zjednoczonych A. P., nie różniących się niczym w swojej ideologii, bywa po prostu wynikiem przypadku, czasami bezpośrednich korzyści materialnych, niekiedy jest dziedziczoną, jak dom, kapitał w banku albo akcje przedsiębiorstwa przemysłowego. Niewątpliwie, mają te względy pewną wagę i w Polsce. Ale u nas szuka się poza tym pewnego programu, który by realizował nasze korzyści osobiste na tle dobrobytu ogólnego i który by formułował nasze najogólniejsze poglądy na dobro i potrzeby państwa. Pozostawało by ustalić, w jakim związku przyczynowym pozostają owe najogólniejsze poglądy człowieka z jego zasadniczymi cechami charakteru. Rzecz nieopisanie trudna, zważywszy jak skomplikowaną formułą jest osobowość człowieka, jak wiele w tej formule jest niewiadomych, jak dalece niewiadome te są zmienne, zależne od okoliczności i czasu. Rozłożyć myśl i uczucie ludzkie na kilka zasadniczych i ściśle określonych pierwiastków znaczyło by tyle, co wyjaśnić w nim wszystkie stany podświadome, określić rolę, jaką odgrywają atawizm i instynkt społeczny, wydzielić i sprecyzować doniosły wpływ przypadku. Wszystko to jest zadaniem raczej psychologa niż czynnego polityka, zwłaszcza jeżeli, jak ja, nie ma on szczególnego upodobania do grzebania we własnych trzewiach.

Tym niemniej należy spróbować. Nie łudzę się, żeby rysunek, który nakreślę, był wystarczająco jasny. Być może uda mi się jednak, schodząc po stopniach w głąb swojego ja, dotrzeć do jego zasadniczych pier-

wiastków, do najgłębszych pokładów, skąd biją źródła czynów. Być też może, zachęci to innych do prób bardziej udanych.

*

Busolą, którą coraz więcej ludzi kieruje się przy kształtowaniu swych opinii politycznych, jest ich przynależność klasowa i wynikający z niej instynkt klasowy. Jest się robotnikiem — wstępuje się do partii robotniczej; jest się chłopem — wstępuje się do stronnictwa chłopskiego. Rzeczywistość jest wprawdzie mniej prosta niż te założenia ogólne, w Polsce bowiem nie wstępuje się do partii robotniczej na przykład, tylko do jednej z czterech partii robotniczych. Tym niemniej będzie to w każdym wypadku szukanie tak czy inaczej pojętej obrony interesów swojej klasy, co jest aktem rozumowym, i zadośćuczynienie potrzebie formowania mniej czy bardziej jednorodnej gromady, co jest instynktem społecznym.

Oczywiście wszystko to nie ma w stosunku do mnie żadnego bezpośredniego zastosowania. Pochodząc z inteligenckiej rodziny mieszczańskiej, należę do najbardziej zdeklasowanej w świecie warstwy społecznej. Ale właśnie ze względu na te krótkie korzenie w grupie społecznej, ze względu na poczucie bezsiły, jeżeli chodzi o natychmiastowy czyn, szukam związku z gromadą ludzi, od których różni mnie pochodzenie, sposób życia, często interes materialny, ale z którymi łączy mnie świadoma czy nieświadoma chęć zbudowania potężnej dźwigni do postawienia na nogi Polski — innej i lepszej Polski. Mniejsza mi o to, czy jest to obawa przed osamotnieniem, czy kult siły, bez której w dziedzinie politycznej zrealizowana idea waży mało co więcej niż bezpłodne marzenie. Nie chodzi mi o subtelności klasyfikacji. Biorąc praktycznie, jest to rzecz całkiem namacalna — owo dążenie do tworzenia zbiorowej siły.

Jeżeli zaś w niektórych wypadkach zbiorowość tę ograniczam do jednej klasy, jeżeli nawet zwalczam fałszywie pojętą jedność narodową, robię to przez poczucie sprawiedliwości. Mierzi mnie taki stan rzeczy w Polsce, przy którym nawet ludzie o szlachetniejszych popędach, dobrzy chrześcijanie czy wysoce uspołecznieni, godzą się z tym bezmiarem krzywdy, który nas zalewa jak morze błotniste. Zdarzało mi się parokrotnie oddać tej wielkiej zbiorowości, którą nazywamy ojczyzną, to wszystko, co dać mogłem, tj. samego siebie. Nie umiałbym jednak, wyznaję to szczerze, poza wyjątkowymi chwilami najwyższego niebezpieczeństwa dla kraju, stawiać wyżej obowiązku patriotyzmu ponad obo-

wiązek walki o sprawiedliwość społeczną, nie rozumiem nawet, po co mamy te dwa pojęcia przeciwstawiać sobie. Oczywiście, wolę Polskę niedoskonałą niż żadną, wątpię jednak, czy niedoskonała mogłaby się długo ostać. Dążenie do doskonalenia jej jest punktem rozumowanego programu, o którym pomówimy za chwilę; jeżeli chodzi o jego uczuciowy podkład, można by owo poczucie sprawiedliwości uważać po prostu za dumę człowieka, który się wzdraga żyć kosztem cudzej pracy i wywalczać dla siebie przywilej. Może być zresztą, że dojść do tego punktu widzenia jest mi tym łatwiej, że instynkt posiadania mam rozwinięty dość słabo.

Wydaje mi się też, że najcenniejsza z tych niewielu rzeczy, które warto posiadać, poza wzajemnością tych, których się kocha, jest wolność. Nienawidzę ucisku, nie tylko ucisku obcego najeźdźcy, ale we własnym wolnym kraju, tego wszystkiego, co tamuje swobodę rozwoju, równie dobrze przywileju, który jest złym podziałem uprawnień, jak autorytetu, który się siłą narzuca na opiekuna, jak skostniałej doktryny, która myśli nakłada więzy. Wiem, jak łatwo jest w tym miejscu dopisać na marginesie — „tradycje anarchii". Ale istotna wolność nie ma nic wspólnego z anarchią, tak jak zdrowa, mocna i sprężysta noga nie ma nic wspólnego z potworną nogą, którą rozdęła elephantiasis. Natomiast na najgłębszym dnie duszy każdego demokraty musi leżeć umiłowanie wolności, której wszelkie ograniczenia odbywają się przede wszystkim kosztem małych i słabych.

I jeszcze jedno. Właściwością programów demokratycznych jest, iż sięgają one daleko, są tym samym trudniejsze do wykonania. Nie należę do ludzi, którzy każdą sprawę traktują przede wszystkim od strony trudności, jakie przedstawia jej załatwienie, i dlatego nie jestem konserwatystą. Posiadam natomiast, jak mi się wydaje, pasję budowania życia z pierwiastków realnych, i dlatego nie mogę być komunistą.

Oto wszystko, co w najogólniejszym skrócie tyczy się psychicznego podłoża moich przekonań politycznych. Ważniejszym będzie zapewne rozumowanie, które te instynkty i upodobania uzasadnia.

*

Kto by chciał drogą rozumowania nakreślić program polityczny dla Polski, będzie musiał przede wszystkim ocenić obecne pierwiastki jej siły i przewidzieć jej możliwości rozwoju na jutro. Oczywiście, rachunek taki musi być robiony możliwie bezinteresownie i trzeźwo, zarówno bez

jałowego narzekania spuchniętą wątrobą, jak bez wmawiania w siebie, iż wszystko będzie dobrze, co jest specyficzną odmianą polskiej lekkomyślności. Nie ma zresztą żadnego powodu, abyśmy prawdzie nie mieli spojrzeć ostro w oczy. Ocena naszego dziesięcioletniego dorobku nie wypada bynajmniej ujemnie. W każdym razie nie budujemy już naszego państwa w szczerym polu, jak to bez mała miało miejsce w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości — bez skarbu, bez wojska, z administracją w znacznej mierze amatorską, ze straszliwym brzemieniem zniszczenia wojennego, ciemnoty i braku umiejętności. W niektórych dziedzinach tempo rozwoju naszego jest nawet większe niż w innych państwach. Ale tu właśnie leży niebezpieczeństwo błędu.

Polska nie jest uczniem klas początkowych, którego się chwali za pilność i dobre postępy, tylko współzawodnikiem na wielkiej arenie świata, na której inne narody, szczęśliwsze czy bardziej uzdolnione, dawno już osiągnęły niebywałą w stosunku do nas potęgę. Wobec tego naczelnym zagadnieniem naszej polityki jest nie sama tylko szybkość rozwoju, ale to, czy Polska zdąży dość mocno okrzepnąć, zanim po dobrej koniunkturze, której zawdzięczamy odzyskanie wolności, przyjdzie nieuchronną koleją losów zła koniunktura. Wyjść cało z takiej złej potrzeby można tylko albo siłą, zwyciężając swych nieprzyjaciół — rachuba dość zawodna w naszym położeniu geograficznym — albo budząc rzetelne zainteresowanie w gronie swych przyjaciół. W stosunkach międzynarodowych nie można inaczej wzbudzić czyjegoś zainteresowania, jak będąc mu pożytecznym, dając mu do wymiany określone wartości moralne czy materialne. Ale na to, żeby je dawać, trzeba je mieć w nadmiarze, trzeba produkować dużo, tanio i dobrze, trzeba też chcieć i umieć z każdego wysiłku obracać część pewną na powiększenie warsztatu pracy.

Na tej drodze warunkiem wstępnym będzie podniesienie do najwyższego stopnia energii narodowej. Nie wystarczą tu czynniki wyłącznie materialne: wielkie kredyty zagraniczne, dobre urodzaje, pomyślne chwilowo koniunktury gospodarcze. Nie wystarczą tym mniej sposoby oficjalne: odezwy rządu, wykłady w szkołach, mniej czy bardziej wymowne i szczere kazania z ambon czy w prasie. Droga, jaka od Polski obecnej, mogącej imponować swoją masą — obszarem czy ilością mieszkańców — prowadzi do Polski, która by zaimponowała swoim ciężarem gatunkowym, jest nie tylko długa, ale i dotkliwie przykra miejscami.

Żeby nie zejść z niej ani nie ustać w omdleniu, nie oszaleć w buncie i nie zgnić w gnuśnej obojętności, trzeba mieć mocną decyzję pójścia aż do ostatka swych sił i głębokie przeświadczenie o konieczności ofiary na rzecz przyszłości. Jeżeli chodzi o naród, nie uczyni on większego wysiłku, o ile nie będzie go prowadziło jakieś wielkie hasło, będące prawdą dla wszystkich dostępną, która by wzmogła jego wiarę w siebie, która by wolę jego napięła jak łuk.

Nie znam hasła, które by było bardziej zrozumiałym dla wszystkich, niż wpojenie w ludzi przekonania, że państwo ma być owocem ich pracy i że od tego obowiązku, który jest zarazem prawem, nikt nie może być ani odepchnięty ani zwolniony.

Zapewne, Polska to wielka rzecz, jak chce tego poeta. Ale żeby była szacowana za wielką, musi być przede wszystkim uznana za swoją.

*

Może się to twierdzenie wydać komuś mocno przesadzonym albo zgoła nawet fałszywym. Nie trudno mu będzie odnaleźć w dziejach świata przykłady narodów, które się zdobywały na wielkie i skuteczne wysiłki, na akty najbardziej żarliwego patriotyzmu, a których obywatele nie byli bynajmniej pełnoprawnymi gospodarzami swojego państwa. Tak było w przedwojennych Niemczech, tak było w carskiej Rosji, które odbierając wolność tylu narodom, nie umiały jej zyskać dla siebie. Ale oba te przykłady nie mówią nam nic, jeśli nie mamy zagubić się w teoretycznych dociekaniach, które tak często obracają się w pustą grę słów, ale zająć się konkretnym wypadkiem obecnie żyjącego pokolenia polskiego, tak zasadniczo różnego od Niemców i od Rosjan.

Osobliwą cechą narodu polskiego jest to, iż z rzadkimi wyjątkami zawsze poświęcał on nieznaczną stosunkowo część swojej energii na budowę i obronę swojego państwa. W okresie świetności, za Piastów i Jagiellonów, zakres działania państwa był jak wszędzie bardzo nieznaczny. W okresie upadku, za królów elekcyjnych, energia narodu obracała się raczej na osłabianie państwa niż na jego wzmacnianie. Podczas niewoli państwo zaborcze było synonimem zagłady życia narodowego i musiało być zwalczane wszelkimi dostępnymi sposobami. Dopiero po odzyskaniu wolności, zwłaszcza w pierwszych jej latach, wszystko, co było bardziej uświadomionym w narodzie, rzuciło się do kładzenia nowych fundamentów, oddając państwu swój cały czas i energię, niekiedy cały majątek, czasami nawet swe przekonania. Nie-

stety, ci ludzie o wysokiej wartości byli znakomitą mniejszością: trochę inteligencji z wolnych zawodów, nieliczne jednostki spośród mieszczaństwa, wierzchołki klas robotniczej i chłopskiej. Reszta zachowywała się nieufnie, niekiedy niechętnie; dość powszednim typem był obywatel, odzyskaną niepodległość traktujący jak rentę, której pewna część winna być zapisana na jego konto w Wielkiej Księdze Długu Narodowego.

Na dnie duszy najliczniejszej z klas, klasy chłopskiej, pełzały jak dym ze źle dogaszonego ogniska wspomnienia pańszczyzny, straszliwych krzywd, od których w szlacheckiej Rzeczypospolitej nikt ich nie chciał czy nie umiał obronić, nędzy i upodlenia, trwających do dni ostatnich. Na olbrzymich obszarach b. zaboru rosyjskiego lud nie sprzedał wprawdzie duszy niepowołanym opiekunom z ramienia rządu najeźdźców, ale pozwolił pogłębić się jeszcze przepaści między sobą a klasami posiadającymi, do której zasypania brakło obustronnie siły i chęci. Nie wciągnięta w orbitę aspiracji politycznych narodu polskiego, uważała je tym samym ta ciemna, złowrogo milcząca masa za rzecz sobie obcą, za „pańskie" fanaberie, których urzeczywistnienie groziłoby może wzmożeniem niedoli. A kiedy po czterech latach nadludzkich wysiłków dla utrzymania się przy życiu stanęła oko w oko w obliczu nowego Państwa Polskiego, powitała je z westchnieniem ulgi jako zakończenie klęsk wojny i ucisku okupacyjnego, ale na razie z niewielką wiarą i mniejszym jeszcze zrozumieniem. Gotowi do walki i do ofiary działacze ludowi, zorganizowani w stronnictwach, byli podówczas cienkim dopiero nalotem.

A przecież od dobrej woli tłumów zależała sama możność rozpoczęcia budowy państwa. W czasach normalnych państwo dla podtrzymania swojej powagi i przeprowadzenia swych żądań rozporządza siłą materialną nieskończenie wielką w stosunku do oporu jednostki. W pierwszych miesiącach swojego odrodzenia była Polska niemal wyłącznie autorytetem moralnym, nie mającym do rozporządzenia innych jak perswazje sposobów działania. Autorytet ten był tym mniejszy, że oswobodzone od najazdu terytorium było kupą dymiących zgliszcz, trudności powojennego życia wzmagały się z przerażającą szybkością, a gorsza od wojny na wszystkich granicach wdzierała się do kraju fala miazmatów gorączki rewolucyjnej rosyjskiej, najbardziej straszliwego buntu niewolników, jaki świat przeżył.

*

Nie można było przecież, nawet rozumując całkiem teoretycznie, odsuwać zupełnie narodu od życia państwowego, albo go traktować jak materiał bezwolny i martwy. System oświeconego absolutyzmu w samym założeniu swoim przypuszcza istnienie ustalonych jeżeli nie skostniałych form życia społecznego, pewną wiarę w nadprzyrodzone bez mała pochodzenie władzy, znajdującej się w rękach ludzi rządzących, pewne poza tym zadowolenie z ogólnych warunków życia lub pewną rezygnację. My zaś rozpoczęliśmy tworzyć państwo nazajutrz po jednym z największych wstrząsów psychicznych ludzkości, w momencie załamania się wszelkiej niemal wiary w stałość dotychczasowych form i wartość dotychczasowych systemów rządzenia. Równocześnie państwo, stojące w obliczu niesłychanych, nieznanych dotychczas trudności gospodarczych, zmuszone było niemal codziennie występować w stosunku do ludności z nowymi żądaniami ofiar, obarczać ją nowymi ciężarami, przerastającymi nieraz wszelką jej możność. Otóż dobrze urządzone państwo w czasach normalnych powinno być cicho idącą maszyną, nie przypominającą zbyt często o swoim istnieniu. Kiedy zaczyna ono zbyt często przychodzić do obywatela ze swoimi kłopotami, staje się ciężarem i traci jego zaufanie; stąd po przegranych wojnach konieczność rozszerzania praw i swobód obywatelskich. My po wojnie znaleźliśmy się w położeniu państwa, które ją wygrało, ale koszt odzyskania wolności okazał się niewątpliwie ciężarem zbyt wielkim na barki jednego pokolenia. Żądać w tych warunkach, ażeby olbrzymio przeważająca część narodu, ciężko przez zniszczenia wojenne dotknięte klasy pracujące dały komukolwiek nieodwołalne pełnomocnictwa do urządzania dla nich Polski, żeby się zrzekły nawet prawa nadzoru, było by dość doktrynerskim złudzeniem.

Kto by zresztą zapomniał, że system biurokratyczny ma skłonność do niesłychanie łatwego skostnienia, że traci on bardzo szybko nie tylko kontakt z życiem, ale poczucie rzeczywistości, musiałby pamiętać, iż trudno było Polskę budować biurokratycznie, skoro nie było w niej gotowej biurokracji, zadowalającej najbardziej nawet skromne wymagania i potrzeby.

Jest to tak oczywistym, że w pierwszych latach istnienia naszego odrodzonego Państwa, w okresie układania konstytucji i pierwszych ordynacji wyborczych nikt nie pozwolił sobie publicznie zaprzeczyć, iż jednym z najpilniejszych zadań polityki polskiej jest wciągnięcie ludu w orbitę zagadnień państwowych. Wątpliwości przyszły dopiero póź-

niej, trochę dlatego, że aparat nie działał dość sprawnie, więcej może jeszcze przez wzgląd, iż minął, zdawało się, moment, kiedy odmawiać masom głosu nie było rzeczą bezpieczną. Dzisiaj wątpliwości te zaczynają zgęszczać się coraz bardziej. Przed kilku laty podstawy światopoglądu demokratycznego — równe głosowanie powszechne i nadzór nad działalnością rządu — były dla wszystkich bezsporne, jakkolwiek różnice poglądów na konsekwencje, które z tych zasad wypływają, wywoływały ostry spór polityczny. Obecnie podkopuje się same fundamenty, podkopuje się je ze wszystkich stron: faszystowskiej, komunistycznej, zwolenników monarchii, nacjonalistów, sceptyków, którzy się do niczego nie zdążyli przywiązać, potężnej partii nie chcących rozumieć, którzy nade wszystko szukają taniego lekarstwa na spokój.

I jakkolwiek jest to niewątpliwie stratą drogocennego czasu, trzeba wrócić do punktu wyjścia, żeby raz jeszcze wybrać drogę, którą iść chcemy.

*

Nie wątpliwością już, ale ciężkim zarzutem, powtarzanym z uporem maniaka, jest oskarżanie demokracji o obniżanie poziomu życia politycznego, o oddawanie losów państwa w ręce niepowołane. Nawet kiedy jest szczery, zarzut ten polega na nieporozumieniu. Tylko w okresach rewolucji dobiera się ludzi, biorąc pod uwagę wyłącznie ich wierność doktrynie i ich gotowość do czynu. W czasach normalnych doktryna demokratyczna nie jest skłonna bynajmniej powierzać jakichkolwiek funkcji państwowych ludziom, którzy do ich pełnienia nie są dostatecznie przygotowani. Jedynym pozornym od tego wyjątkiem są czynności ustawodawcze. Ale i tutaj strzeżmy się błędu. Czynności ustawodawcze nie polegają tylko na nadawaniu ustawom poprawnej formy prawniczej, do czego w parlamencie znajdzie się zawsze wystarczająca ilość specjalistów, ale na stwarzaniu przepisów, regulujących życie, które bujnie i samorzutnie rozwija się poza murami zgromadzenia. Bez znajomości prawa ustawy będą wadliwie zredagowane; bez znajomości życia będą martwą literą i hamulcem niesłychanie szybko złamanym. Być może — nie jestem tego wcale pewien — gdyby parlament składał się z samych profesorów prawa, skutek ich pracy byłby nieposzlakowanym pod względem ścisłości prawniczego myślenia, ale życie płynęłoby ponad ich głowami, a w chwilach wielkiego napięcia może poprzez ich trupy. Tyczy się to zresztą nie tylko doktorów praw. Gladstone twier-

dził, iż w ciągu całego swojego długiego życia nie widział żadnej większej reformy, którą by się udało wprowadzić bez zaciekłego oporu specjalistów.

Ostatecznie wymagania, jakie się stawia wyborcy, nie są zbyt wielkie. Nawet tam, gdzie wprowadzono już referendum, jego zadanie ogranicza się do ryczałtowego przyjęcia lub odrzucenia ustawy, nie wchodząc w jej szczegóły. Tam, gdzie referendum nie ma, państwo prosi go raz na kilka lat, aby zechciał wyznaczyć swojego przedstawiciela, który by zgodnie z jego interesami i wolą regulował jego stosunek do państwa. Nie przeczę, iż mogą przy tym zachodzić liczne pomyłki. Niekiedy wybrany przedstawiciel zawodzi okazane mu zaufanie, kiedy indziej okazuje się w ogóle niegodnym zaufania. Ale nie znam systemu, który by nas od takich omyłek zabezpieczył. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli zaprowadzić komisje egzaminacyjne dla idealnych prawodawców. Nie zabrakło by do nich, być może, ludzi dość światłych, zabrakło by na pewno ludzi dość beznamiętnych. Polityka nie jest rozwiązywaniem zadań algebraicznych ani rozbiorem tekstów łacińskich, ale grą żywych sił. Szukać w niej beznamiętności to tyle, co szukać chłodu w cieniu wielkiego pieca.

Ludzie myślący może a skłonni do gwałtownego działania byliby gotowi iść aż do końca, zaprzeczając narodowi wszelkiego prawa wypowiadania swojej woli. Nie wydaje mi się to ani mądrym, ani nawet wykonalnym. Nawet w absolutnych monarchiach władca mógł łamać opór jednostek, ale musiał się liczyć z nastrojami mas, jeżeli nie chciał ściągać sobie na głowę zamachów i buntów. Był swego rodzaju także pełnomocnikiem narodu. Różnicą było to, iż wybierało się dynastie, a dzisiaj wybiera się posłów, co nieco zmniejsza niebezpieczeństwo płynące z pomyłek. Istnieje jeden tylko system, w którym się nie mieści w najmniejszym nawet składniku wola narodu: system oparty na uznaniu boskiego pochodzenia władzy. Ale i ten system w praktyce nie zabezpiecza bynajmniej od wstrząsów, wywołanych pomiataniem woli ludności. Zresztą jest on już tylko wspomnieniem.

Na jego miejsce pleni się dziś w Europie jak chwast teoria ludzi nadprzyrodzonych. Zjawisko to jest skutkiem osłabienia demokracji, nie mogącej dość szybko przezwyciężyć niesłychanie powikłanych trudności życia powojennego, zaleczyć wszystkich ran, uspokoić rozigranych nerwów, ułagodzić zdziczałych obyczajów. Jako forma ustroju żyje ta nowoczesna odmiana dawnego kondotierstwa tak krótko, iż trudno jest

wydać sąd o jej trwałości i zdolności do życia. Jako teoria jest pełna naiwnych sprzeczności podlanych dość obficie kłamstwem.

Za punkt wyjścia służy mu niewiara w zwykłego człowieka, którego uważa za stworzenie tępe, niezdolne ogarnąć szerszych zagadnień państwowych, skazane na wiekuiste nieuctwo, łatwo dostępne przekupstwu, nie umiejące w gromadzie żyć inaczej, jak pod grozą brutalnych kar. Nie wierząc, żeby potrafił bez szkody dla państwa obrać swojego przedstawiciela, posła, którego zna, którego widuje, który mu zdaje sprawozdanie ze swojej działalności, zmusza go się do zrzeczenia się wszelkich swoich uprawnień na rzecz wodza, którego nie zna i nie może poznać, który jest dla niego legendą, zwykle fałszywą legendą, ukrytą w chmurach najbardziej bezceremonialnej demagogii. Gdyby się ten system, przeżywając swoich twórców, miał na stałe utrzymać, powstawałyby zapewne przy plebiscytach dających inwenstyturę wodzom potężne spółki akcyjne dla przeprowadzenia swoich kandydatów, w których ludzie majętni lokowaliby duże kapitały, spodziewając się w razie wygranej sutego zysku. W praktyce rzecz załatwia się prościej, kandydat bowiem na wodza stwarza fakt dokonany, obejmując zawczasu swoje miejsce siłą. Ponieważ jednak naród nie poddaje mu się bez reszty, zachodzi potrzeba dalszych gwałtów, które stają się stałym czynnikiem i regulatorem życia państwowego. Teoria nie przewiduje, jak rozstrzygnąć spór dwóch kandydatów, z których każdy, posiadając część siły, pretenduje do uprawnień człowieka nadprzyrodzonego. Praktyka wielowiekowa natomiast stwierdza, iż wódz, nie mogąc rządzić i rozstrzygać w każdym wypadku sam, musi przekazywać część swojej władzy otoczeniu, które go wyniosło i które staje się obywatelami wyższej klasy. Pojęcie państwa, jako normy prawnej, czasem samo państwo, ginie w tym wszystkim, oczywiście doszczętnie.

W zamian za to otrzymuje się rzekomo jednolitość i sprężystość władzy, podporządkowanie wszystkich i wszystkiego interesom państwa, rozkwit gospodarczy. Istotnie, niekiedy tak bywa — jeżeli wódz jest Napoleonem. Ale Napoleonów nie hoduje się, a i tak za świetny okres jego rządów Francja zapłaciła cenę straszliwą. Żeby zagarnąć całą w państwie władzę, wystarczy mieć przy sprzyjających okolicznościach drapieżną wolę, jak najmniej skrupułów, umiejętność usuwania współzawodników, trafną ocenę sytuacji. Inne cechy umysłu i charakteru są dodatkiem, który kraj może wygrać, jak się wygrywa los na loterii.

240/30
240
3
240

Nawet „dobry tyran", który by był umiejętnym administratorem, miał szlachetną ambicję pozostawienia po sobie rzeczy wielkich i trwałych, traktował kraj nie jak łup zdobyty na wojnie, ale jak zbiorowość, której jest cząstką, gromadzi przeciwko sobie opór, który go zwala przy pierwszej złej koniunkturze. Warunkiem jego władzy jest karność; nie tylko łamie on wolę, która się przeciwstawia jego rozkazom, ale musi tępić samodzielną myśl, z której by się mogła zrodzić prowadząca do oporu różnica zdań. Narody zaś europejskie od długiego już szeregu pokoleń starają się rozwijać w swoich obywatelach zdolność samodzielnego myślenia i działania, dając im wolność ograniczoną jedynie ustawą. Stąd między tymi dwiema koncepcjami zasadniczymi — karnością i wolnością — leży w rozumieniu faszyzmu przepaść, przez którą nie przerzuci mostu nawet najbardziej zuchwałe kłamstwo. Faszyzm, którego istotą jest wiara w ludzi nadprzyrodzonych, musi żądać dla nich nadzwyczajnych uprawnień niweczących wolność. Słowo nadrzędne, które by pogodziło ograniczoną prawem wolność z karnością, która jest poddaniem się prawu, może dać tylko demokracja. Tym słowem nadrzędnym może być tylko prawo, które jest wyrazem woli ogółu.

*

Gdzie nie ma prawa, tam nie ma wolności. Mówiąc „wolność", nie mam bynajmniej na myśli stanu, w jakim żyją pierwsi pionierzy na dzikich stepach, ale współżycie ludzi w wielkich gromadach, gdzie możliwie największa możność rozwoju swoich sił i uzdolnień nie może przynosić innym ludziom szkody.

W pokoleniach urodzonych w Polsce po trzecim rozbiorze wspomnienie dawnej swawoli szlacheckiej wywoływało zwykle odruch lęku. Oczywiście, swawola ta była nadużyciem wolności. Kto jednak z przejedzenia dostanie śmiertelnej choroby, nie może powstrzymywać się od jedzenia do śmierci. Poza tym należało by się porozumieć, czy w dawnej Polsce była istotnie wolność. Kto w niej był wolnym? Nie chłop, który był niewolnikiem; nie mieszczanin, którego nawet w życiu prywatnym ścigały poniżające jego godność zakazy; nie drobny szlachcic, który był sługą magnata albo ofiarą jego samowoli; nie wolne zawody, które traktowano z pogardą; nie ludzie spokojni, których prawo nie mogło obronić od napaści warchołów; nie król, który był najdostojniejszym z niewolników. Wolną istotnie była bogata szlachta, kilka czy kilkanaście tysięcy ludzi, ale to była wolność dość barbarzyńska. Jeżeli

reszta narodu nie potrafiła zbudować państwa, które by poskromiło ich samowolę, jeżeli wskutek tego panowała anarchia, to jest to raczej złe rozumienie wolności, aniżeli jej nadużycie, nadużywać bowiem można tylko tego, czego się używa. Może po prostu była to nieumiejętność zorganizowania zbiorowego życia, której i dziś dajemy dość przykre dowody.

W porównaniu z polskim magnatem ośmnastego wieku jest dzisiejszy Szwajcar skrępowany tysiącami zakazów, o których tamten nie miał nawet pojęcia. Nie tylko za kradzież, gwałt i oszustwo prawo karze go doraźnie i nieodwołalnie, ale w drobnych nawet szczegółach codziennego życia nie wolno mu postępować według własnego upodobania: nie może chodzić lewą stroną chodnika, ani stawać na jezdni, nie wolno mu pluć na ziemię w miejscach publicznych, musi się powstrzymać od śpiewania nawet we własnym domu o zbyt późnej godzinie. A jednak jest on wolnym. Wolnością bowiem w znaczeniu społecznym nie jest możność postępowania według własnego upodobania, ale możność wpływania na powstawanie przepisów, które nas krępują. Wiem, jak łatwo jest zauważyć w tym miejscu, że dla olbrzymiej ilości ludzi — ciemnych, biednych, niedołężnych, nieustosunkowanych — ta możność wpływu na powstawanie norm prawnych jest czystym złudzeniem. Być może, ale w ustrojach nie budowanych na podstawie wolności jest ona złudzeniem nawet dla bogatych i światłych, jeżeli nie należą do kliki rządzącej.

Jeżeli chodzi o Polskę, nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy ją straszyć nadużyciem wolności, której ona ani nie bardzo chce, ani nie umie używać. A jednak ta dobrze praktykowana wolność może dać jej parę darów dość cennych. Da jej przede wszystkim poczucie odpowiedzialności. Wygląda to na herezję, jest bowiem komunałem powszechnie uznanym, że ustrój demokratyczny rozproszkowuje i gubi poczucie odpowiedzialności. Czy gubi je u góry, w sferze rządzących, pomówimy za chwilę. Na razie chodzi mi o odpowiedzialność za losy państwa, do której powinien się poczuwać każdy z nas. Dawny szlachcic polski mało się troszczył o to, kto i jak rządził Polską, o rządzeniu bowiem w ogóle chętnie nie słuchał. Czasu niewoli nie mogło być mowy o braniu odpowiedzialności za czyny rządów zaborczych. Gdyby ten stan rzeczy miał w wolnej Polsce trwać nadal, obywatel polski stałby się po prostu jedynie jej mieszkańcem, zwalając na czyjeś barki trud i odpowiedzialność za sposób rządzenia i pocieszając się, że on czy oni załatwią to bez niego, nie przeszkadzając mu w zarobkowaniu na życie, zabawie czy lenistwie. Myślę, że taki człowiek nie byłby całym czło-

wiekiem, a taka Polska składałaby się z drobnej ilości ludzi, będących jej wolą, jej wyrazem, jej racją bytu — i wielkiej masy martwej, ciężkiej jak glina. Lepiej, gdy wolność da tej masie nie tylko prawo, ale i obowiązek zajmowania się sprawą publiczną, bodajby na początek raz na kilka lat przez oddanie kartki wyborczej. Będą się na razie mylili i wcześniej czy później będą szukali błędu. Ponieważ te błędy są nieuchronne, słusznym będzie, jeżeli się wszyscy do nich przyznamy, zamiast odwiecznym polskim zwyczajem obarczać odpowiedzialnością za nie tych tylko, którzy podjęli się czynu. W ten sposób wzmacnia się nie tylko państwo, mocniej związane ze swoimi obywatelami, wzmacniają się też dusze ludzkie, nabywając zdolność samodzielnego czynu, jedynego czynu, który posiada wartości twórcze.

Wolność jest tym lepszą szkołą obywatelstwa, iż jest szkołą jawną. Żaden ustrój antydemokratyczny nie może być jawny. Ciężko jest rządzącym ujawniać swe błędy ludziom, którzy mają prawo sądu nad nimi. Było by niedorzecznością okazywać je ludziom bezsilnym, którzy nie mogąc przeciwdziałać złu, wpadaliby w rozpacz prowadzącą do szaleństwa. Ale ta jawność nie tylko ułatwia ogarnięcie szerszych horyzontów, ale jest słońcem, które tępi miazmaty nadużyć. Nie wiem, czy tylko republika, jak twierdzi Monteskiusz, stoi cnotą obywateli, żaden bowiem ustrój nie ostoi się, kiedy go przeżre korupcja. To pewna, że nigdzie walka z nadużyciami nie jest łatwiejszą, niż tam, gdzie panuje wolność słowa i prasy i gdzie nadmierną gorączkę złota spędza się środkami ustawodawstwa socjalnego. Oczywiście, w ostateczności wszystko to sprowadza się do prawidłowego funkcjonowania sądów, które mogą być sprawiedliwe i w absolutnej monarchii. Ale w ustrojach arystokratycznych sędziowie bywają nieraz sprawiedliwsi aniżeli ustawy, a mimo wszystko anegdotkę o młynarzu z Sans-Souci, który groził Fryderykowi sędziami w Berlinie, wymyślił zapewne sam król. W każdym razie możność oczyszczania się z niechlujstwa moralnego, które pozostawiła po sobie niewola, jest sprawą dla Polski najwyższej wagi.

Szereg dobrodziejstw, jakie przynosi wolność, można by oczywiście bardzo znacznie przedłużyć. Ale dążenie do wolności nie jest skutkiem rozumowań o pożytkach, które ona daje. Potrzeba wolności jest jednym z najbardziej naturalnych uczuć ludzkich, tak jak głód albo potrzeba wypoczynku. Człowiek instynktownie odrzuca od siebie wszystko, co go uciska zarówno materialnie jak moralnie, i w obronie wol-

ności przelało się już zapewne tyleż krwi, co dla jej zniesienia. Nie znaczy to, żeby nie było okresów, w których uczucie wolności przygasało nawet w wielkich narodach niemal doszczętnie. Niekiedy jest to skutkiem słabego rozwoju umysłowego danego narodu, kiedy indziej władzę tworzy najazd, który w obcym środowisku utrzymuje się jedynie uciskiem. Czasami wynika to z doktryn religijnych, które ślepe posłuszeństwo bóstwu przenoszą do stosunków doczesnych, czasami utrata poczucia wolności jest po prostu reakcją po nieudanych próbach jej zorganizowania. A jednak wraca ono zawsze, a jednak jest wieczne. Jest nicią przewodnią dziejów Anglii od czasów najazdu normandzkiego; jest jednym z głównych czynników rozwoju Europy od czasów pierwszej rewolucji francuskiej. Po wielkiej wojnie światowej niewątpliwie tu i ówdzie widzimy załamania dość znaczne, nic jednak nie uprawnia nas do twierdzenia, że będą one stałe, a nawet długotrwałe.

W Polsce, poza dość niewyraźnymi w tej mierze nastrojami klas oświeconych, instynkt wolności w warstwach ludowych jest niemal równoznaczny z uczuciem niechęci do tych, którzy je dawniej uciskali. Będzie rzeczą ze wszechmiar pożyteczną, jeżeli nie przybierając form bardziej gwałtownych, niechęć ta znajdzie swój wyraz w utrwaleniu republiki szczerze demokratycznej. W każdym razie nie widzę możności ani potrzeby przeciwdziałania rodzącemu się u ludu świadomemu umiłowaniu wolności, która jest w stanie podnieść dusze ludzkie na wysoki poziom i związać je silnie z państwem, które będzie tworem ich rąk.

*

Przeciwdziałać pogłębiającemu się poczuciu wolności należało by tylko w jednym wypadku — gdyby prowadziło ono do budowania państwa pozbawionego zadatków życia. Obawy te rozprasza historia. Ostatnią wojnę wygrały państwa, w których zasady wolności ugruntowane były znacznie więcej niż w Niemczech i Rosji. Rozwój gospodarczy drugiej połowy XIX wieku był wprawdzie równie silny w cesarskich Niemczech, jak w republikańskiej Francji albo w Anglii, która jest tylko z tytułu królestwem, z tą jednak różnicą, że rozwój materialny Niemiec odbywał się w znacznej mierze kosztem ich duchowego rozwoju. Wartość zresztą ustroju polega nie tylko na tym, ażeby z pracy narodu otrzymać jak największe wyniki, ale także na tym, żeby zdobytych rezultatów nie osiągało się kosztem śmiertelnego wysiłku części czy całości narodu.

Są ludzie tak zafascynowani siłą i świetnością państwa, że gotowi by mu byli poświęcić interesy narodu. Zapominają, że państwa nie można oddzielić od narodu, jest ono bowiem jego funkcją, jego narzędziem do zapewnienia sobie pokoju i szczęścia. Wprawdzie naród nie jest tylko obecnie żyjącym pokoleniem, ale każde ze zmieniających się pokoleń ma prawo do swojej cząstki szczęścia. Może ono być mniejsze lub większe, zależnie od okoliczności, w jakich żyjemy, i niewątpliwie państwo ma prawo wymagać niekiedy od swoich obywateli ciężkich poświęceń, którym samo nakreśla granice. Tak samo rodzina żyjąca w obecnym ustroju gospodarczym ma prawo wymagać w imię rozsądku od swojej głowy, aby część zarobków odkładał dla zabezpieczenia przyszłości, albo nawet dla przekazania potomstwu. Nie byłby jednak rozsądną głową rodziny, kto by odkładał zbyt wiele, narażając się na śmierć z wycieńczenia. Tu nie ma żadnej linii demarkacyjnej i żadnych stałych reguł: ile oddać należy państwu, może ocenić tylko surowe dla siebie samego sumienie i chłodny rachunek. Taki rachunek robi się w każdym ustroju, jeśli się nie chce zabić narodu. Żaden z nich tak jak demokracja nie uwzględnia w nim praw i interesów człowieka.

Demokracja nie czyni z państwa istoty, która by żyła sama dla siebie i która przedtem znajduje się nie tylko ponad interesami zwykłych ludzi, ale ponad ich moralnością. Złego bóstwa, dla którego pożytku nie tylko wolno, ale trzeba kłamać, oszukiwać i zadawać gwałt, którego nienasycony głód trzeba zaspokajać, poświęcając mu słabszych sąsiadów. Demokracji nie olśniewają świetne pióropusze rycerskie, jeżeli ci, co je noszą, nie walczą w obronie sprawiedliwego pokoju. Czci ona bohaterstwo, które ma zresztą za surowe spełnienie obowiązku, ale gardzi sławą, jeżeli ona jest tylko triumfem brutalnej siły. Wywalczywszy szacunek dla praw małego człowieka, walczy w społeczeństwie narodów o prawo małego państwa. Niejednokrotnie już dawała przykład najcięższych ofiar w obronie swojego kraju, ale bezpieczeństwo jego upatruje przede wszystkim w poprawie etyki międzynarodowej. Chce także silnego państwa, ale siłę jego widzi raczej w zdolności do pracy, w poszanowaniu prawa, w umiejętności zorganizowania zbiorowego życia.

Zarzucają jej, że w logicznym rozwinięciu swojej koncepcji musi być słabą w najgłębszym ośrodku swojego ustroju, w punkcie rządu, który musi być słaby i chwiejny. Pomijam, czy rząd jest istotnie najgłęb-

szym ośrodkiem ustroju, czy nie jest nim raczej oparta na prawie współzależność naczelnych władz w państwie. Ale nawet jeżeli chodzi o siłę czy słabość rządu, musielibyśmy się wprzód porozumieć, co uważać będziemy za silny rząd. Jeżeli silnym będziemy nazywali rząd, który w sporze z obywatelem musi mieć zawsze ostatnie słowo i który w obronie swojego autorytetu gotów jest każdej chwili sięgnąć do argumentu przemocy, taki rząd nie jest istotnie ideałem demokracji. Nazywa ona rząd silnym wówczas, gdy potrafi nakazać posłuch prawu, wie czego chce, w nieuniknionym kompromisie nie odstępuje istoty swoich przekonań i umie zyskać zaufanie obywateli. Ten ostatni punkt jest niewątpliwie trudnym w epoce głosowania powszechnego, zwłaszcza jeżeli sprawę rozważać teoretycznie. Przyjrzyjmy się zatem raczej praktyce życia. We Francji, za trzeciej republiki „walc portfelów" przybierał istotnie niekiedy tempo zawrotne, jeżeli jednak ministrowie w niej zmieniali się szybko, dawniej często zmieniały się dynastie. Ministrowie zresztą, którzy istotnie mieli coś do zrobienia, trwali i za republik często tak długo, dopóki nie spełnili swego zadania. Tak było w Combesem, tak z Waldeck-Rousseau, z Clemenceau podczas wojny, z Poincaré'm po wojnie. Zmiana ministra nie oznacza zresztą jeszcze zmiany kierunku. W państwach Europy kontynentalnej ilość kierunków myśli politycznej jest znacznie mniejsza niż ilość stronnictw. Stronnictwa walczą ze sobą zaciekle o władzę, ale jeżeli chodzi o Francję, w której przybiera to najbardziej drastyczne formy, w jej polityce przedwojennej znać było wyraźnie wielkie linie rozwojowe, wznoszące się wzwyż ze świetnym nieraz wynikiem, niezależnie od zmian gabinetów; te linie nie trudno wykreślić w dziedzinie oświaty, stosunku między kościołem a państwem, ustawodawstwa socjalnego, wzrostu siły zewnętrznej. To są rysy trwałe na tle kalejdoskopu gry politycznej, gry drugorzędnego znaczenia. To jest źródło władzy, którego brak tak się wyrzuca republice, stalsze niż kaprysy chwiejnego monarchy. Tam zresztą od dawna już zrozumiano, że rolą ministra jest nie tyle „rządzić" w ministerstwie, ile nadawać jego czynnościom impuls w określonym politycznym kierunku. Nie wiem, czy wobec tego wszystkiego ministrów francuskich można nazwać członkami silnego rządu. Myślę jednak, że obejść czy naruszyć bezkarnie prawo, knuć spiski przeciwko państwu, warcholić trudniej było we Francji niż mimo wszelkie pozory w przedwojennej Rosji, której rząd wielu ludziom wydaje się po dziś dzień uosobieniem niewzruszonej potęgi, a w której jednak przekupstwem czy stosunkami radzić sobie było dość łatwo.

Tak było przed wojną, we względnie uregulowanych stosunkach międzynarodowych, przy mniejszym napięciu sporu społecznego i mniejszym zakresie działania państwa. Wojna i trudności życia powojennego wprowadziły pewne zmiany, nieistotnej zresztą natury. Rządy nie przestały się wprawdzie zmieniać, nawet w państwach bez mała absolutystycznych, jak Rosja, w państwach demokratycznych natomiast otrzymały pełnię władzy, której dawniej nikt nie śmiałby proponować. Rząd szwajcarski otrzymał pełnomocnictwa, na których podstawie mógł nie tylko zaciągać bez ograniczenia długi, zwiększać podatki, ograniczać prawa obywatelskie, ale nawet postępować wbrew konstytucji i zmieniać kodeksy cywilny i karny, otrzymał zatem uprawnienia większe niż rząd rosyjski, który robił to samo, ale bez pieczęci prawa. Po wojnie rządy austriacki i niemiecki otrzymały od swoich parlamentów upoważnienia do czynienia wszelkich zarządzeń, jakie by uważały za potrzebne ze względu na interes państwa. W Polsce rząd otrzymał nie tak daleko idące, bardzo jednak znaczne pełnomocnictwa skarbowe. Okazało się w sposób nie ulegający zaprzeczeniu, iż najbardziej elastyczny z ustrojów ustrój demokratyczny nie żywi wprawdzie żadnego zachwytu dla siły rządu jako celu, który należy sam w sobie adorować, ale zdobywa się z łatwością na danie rządowi tyle mocy, ile jej wymagają okoliczności. Pod jednym tylko warunkiem, iż to jest moc z plenipotencji, na okres przejściowy i do zdania rachunku.

Są dwa inne jeszcze warunki niemal niezbędne, aby rząd w demokracji był silnym. Nawet wtedy, kiedy składa on się z ludzi o jasnym umyśle, tęgim charakterze i umiejętności pociągania za sobą ludzi — chwytem demokracji jest przecież perswazja — każda jego myśl, zamiar i czyn muszą znaleźć oddźwięk w społeczeństwie. Nie może on być gronem zawodowców w obojętnym tłumie, który swoją ojczyznę traktuje jak wynajęty przypadkowo lokal. Polityk jak artysta nie może czerpać z siebie, bowiem zabraknie mu tworzywa, albo zacznie tworzyć idee obce i niepotrzebne swojemu otoczeniu. Nie tylko musi on być jak najściślej związany ze swoim narodem czy jego częścią przynajmniej, ale musi mieć dokoła siebie ludzi, którzy by byli jego głęboko zapuszczonymi w grunt korzeniami. Nie chodzi o wyszkolonych urzędników ani o płatne hieny wyborcze; chodzi o ludzi, którzy by tworzyli opinię, jakiej rząd jest wyrazem. Jeżeli ta opinia będzie silną, świadomą swoich dążeń i okoliczności, w jakich je może realizować, silnym będzie i rząd, jakkolwiek poszczególni ludzie mogą się w nim łamać i ginąć.

Ta opinia musi być formowana i prowadzona przez elitę. Sprawa tworzenia elity w demokracji jest sprawą pierwszorzędnej wagi, i to jest warunek drugi. Na pozór wygląda to na paradoks, gorzej nawet, na zaprzeczenie samej istocie swojej. Demokracja jest ustrojem opartym na równości, elita przypuszcza istnienie hierarchii. Sprzeczność jest tylko pozorna. Na najgłupszym nawet wiecu nie obiecuje się, iż zrealizowanie ideałów demokratycznych przyniesie zrównanie uzdolnień. Demokracja równa uprawnienia, nie równa i nie może równać czynności i stanowisk. Elitą w pewnym rozumieniu w szybko idącym pociągu jest maszynista, palacz i brygada konduktorów; w zakładzie przemysłowym kierownicy techniczni i wysoko wykwalifikowani robotnicy; w zakładzie naukowym ci, którzy już umieją. W państwie ci, którzy potrafią je obsłużyć. Nie można sobie wyobrazić, ażeby państwo współczesne, będące wielkim i skomplikowanym zagadnieniem technicznym, skarbowym, prawnym, historycznym, mogło istnieć bez wielkiego zastępu ludzi, którzy je rozumieją i którzy spośród siebie wydają specjalistów. Nie jest też do pomyślenia, ażeby rząd, nie mający tego wielkiego rezerwuaru sił ludzkich, mógł działać z oczywistym pożytkiem, czyli być silnym. Sprawa tworzenia elity była już ważną, jak myślę, nawet w despotiach perskich. Sądzę jednak, że tworzenie jej nigdzie nie jest ani bardziej ważnym, ani łatwiejszym niż w ustroju demokratycznym. Zarzucają mu, iż sposobami, które wydostają w nim ludzi na wierzch, są wyłącznie twarde łokcie i demagogia. Nie mam żadnej wątpliwości, że tak było zawsze, być może, tak będzie zawsze, co najwyżej, jeżeli chodzi o przeszłość, należało by zamiast demagogii napisać „intryganctwo". W każdym razie łatwiej wyobrazić sobie niedołężnego ministra, który osiwiał w wiernej służbie królowi i jego faworytom, niż głupca, który by się w republice potrafił na tak wysokim stanowisku długo obronić naciskowi współzawodników i oburzeniu kompromitowanych przez niego przyjaciół. Bądź co bądź jawność, z jaką się dzisiaj walka odbywa, ma swój smak i ma swoją wartość.

Tworzenie elity wymaga pewnego planu. Oczywiście, w całym narodzie budzimy w tym celu energię i staramy się podnieść go na wyższy stopień zrozumienia warunków, w których ma działać. Zakładamy w tym celu szkoły, piszemy książki, otwieramy specjalne instytucje. Oczyszczamy w nich i wydobywamy na wierzch dodatnie pierwiastki duszy ogólno-ludzkiej, kładziemy szczególny nacisk na specyficzne pierwiastki polskie. Ale to nie wystarcza. Jeżeli istotnie chodzi nam o podniesienie w narodzie polskim napięcia energii, o którym mówiłem uprzednio, mu-

simy pamiętać, że energia ta wzmaga się najłatwiej w ruchach psychiki zbiorowej, w rozpłomienionej psychice klas. Klasy społeczne istnieją i walka klas istnieje, choćby się to komu nie podobało. Można w niej nie przekraczać pewnych granic, poza którymi stare społeczeństwo zostałoby rozsadzone, zanim byśmy zdołali ukończyć kształtowanie nowego. Można ją w pewnych zbyt niebezpiecznych dla całości momentach łagodzić albo zawieszać. Nie widzę jednak powodu, aby wyrzekać się potężnej dźwigni, którą można uspołecznić jednostkę, zwalczając w niej zarazem ospalstwo i bierność. Kto zaś nie zaprzecza istnieniu walki klas, musi ją włączyć do swojej koncepcji politycznej, tak aby przyspieszyć i ułatwić budowę państwa. Pozostawienie sporu społecznego poza nawiasem idei państwa musiało by stworzyć dwa ośrodki życia i siły wrogie sobie przez to samo, że całkowicie odrębne.

W praktyce myślę, że każde państwo i w każdym okresie rozumiejąc to, brało udział w walce klas i na jednej z nich się opierało. Nawet taki ustrój, jak faszyzm, który w teoretycznym założeniu swoim powstaje dla poskromienia walki klas, w rzeczywistości bierze w niej udział, przechylając się mniej czy bardziej dyskretnie na prawo choćby dlatego, że lewa strona daje mu żywszy odpór. Gdyby teorię swoją rozwinął konsekwetnie i szczerze do końca, stworzyłby państwo podobne skalistej wysepce, dokoła której płynie wartki nurt życia, poza tym zaś, chcąc utrzymać w ryzach społeczeństwo z jego antagonizmami, musiałby w stosunku do niego grać rolę najazdu. Polska nie jest i nie może być na tej płaszczyźnie wyjątkiem. Za czasów Jagiellonów doszła do świetnego rozkwitu, opierając się na wielkich rodach magnackich. Za Wazów cofnęła się, wysuwając na pierwszy plan średnio zamożną szlachtę, której nie potrafiła zorganizować. Dziś będąc osobliwą mieszaniną przeżytków szlachetczyzny i bujnie kiełkującego nowego życia ludowego, waha się, nie uczyniwszy w żadnym kierunku stanowczego wyboru.

Wybór jednak, uczyniony z pominięciem wszelkiego interesu osobistego czy klasowego, nie wydaje się być zbyt trudnym. Jeżeli chodzi o szlachtę polską, czyli raczej o te do dna już przemieszane warstwy, które usiłują reprezentować jej tradycje, jest ona niewątpliwie zjawiskiem schyłkowym. Próżnym było by powoływać się na jej bezsporne zasługi minione, zbędnym przypominać jej również bezsporne błędy i grzechy. Jak chce tego moralność nowoczesna, w życiu, a więc i w polityce, każdy człowiek i każda klasa odpowiada wyłącznie za siebie, za

każdy swój czyn i każdą godzinę swojego życia. Poza okresami zastoju, w których rządzą jeszcze wspomnienia i formy bez treści, w polityce ważna jest tylko rzeczywistość dnia dzisiejszego. Otóż ta rzeczywistość dla resztek szlachty polskiej, czy jeśli kto woli — dla polskiego ziemiaństwa od dawna pochylona jest ku zstępowaniu jej w dół. Jednostki mogą jeszcze robić fortunę, odgrywać wybitną rolę, być w tej czy innej dziedzinie wartością pożyteczną. Jako grupa utraciła ona po ostatnim powstaniu olbrzymią część swojego stanu posiadania, który kruszyło i podmywało zalewające ją chłopskie morze, a w wolnej Polsce nie zdobyła żadnego wpływu, żadnego samoistnego stanowiska. Władzę w państwie otrzymać by mogła tylko w jednym jedynym wypadku: gdyby wyłączyć warstwy ludowe przepisem prawa od udziału w życiu publicznym, co zresztą skazało by nas nie tyle nawet na rewolucję, co na nieokiełznany wybuch bezrozumnego szaleństwa. To, co pozostało, będzie przez dłuższy jeszcze czas poważną pozycją w gospodarce narodowej; zarodkiem nowego życia już nie jest. Mieszczaństwo, obraz nieudolności i zacofania u dołu, u góry w znacznej części swojej zaledwie zaczyna wchodzić w orbitę polskości. Ludzie wolnych zawodów, stosunkowo nieliczni, zdeklasowani, oderwani od gruntu, z którego wyrośli, o małej sile skupiania się, wyssani często przez nędzę, z trudem niemałym i z miernymi przeważnie wynikami pogłębiają kulturę narodu, w życiu społecznym są czynnikiem najczęściej biernym.

Pozostaje robotnik i chłop. Mnóstwo przywar szpecących ich jak liszaje narosłe w niewoli, nie starte jeszcze przez wolność. Materiał jeszcze surowy, politycznie często niedość obliczalny, niekiedy sypki jak piasek. Ma natomiast niesłychaną zaciekłość w pracy, wielką łatwość uczenia się, cudowną zdolność przetrwania najcięższych nawet warunków. Jest poza tym najgłębszym, najbardziej jednorodnym i czystym pokładem duszy polskiej, z którego dziś już na nieco wyjałowione pola naszej literatury i sztuki biją mocne, ożywcze źródła. W młodszym zwłaszcza pokoleniu ma niepohamowany pęd do wiedzy, ciekawość życia, gorącą, może nieco naiwną wiarę i miłość do ojczyzny, która mu się objawiła niedawno. W stosunkach społecznych ma poczucie swojej odrębności, swoich uprawnień, często swojej krzywdy; wszystko to miarkowane dużym uczuciem sprawiedliwości i dużą dozą rozsądku. W położeniu międzynarodowym Polski daje jej największą rękojmię spokoju, wojna bowiem nie leży ani w jego interesie, ani w jego upodobaniach, w nieuchronnej zaś obronie zdobyłby się na większy niż inne klasy wysiłek. W położeniu wewnętrz-

nym ma większe niż kto inny dane odnaleźć drogę chlubnych tradycji jagiellońskich, które dały świetną syntezę tylu różnych narodowości. Zdaje sobie sprawę, że jeśli nawet otrzyma w Polsce prawa syna pierworodnego, musi odpowiadać za całość i wszystkim życie uczynić znośnym.

Jeśli wybieramy republikę jako typ ustrojowy, jest on jej gotowym materiałem wtedy, kiedy inne klasy trzeba z trudem doprowadzić do ideałów demokratycznych, które są zaprzeczeniem ich dawniejszych poglądów. Słusznym też jest, że chce pozostać sam sobą. Dotychczas docierał do wyższych warstw w pojedynkę, dając w wyniku mało wdzięczne typy dorobkiewiczów. Lepszym i bardziej celowym będzie, jeśli dotrze szeroką, zwartą masą, rozwijając swoje najcenniejsze pierwiastki i przejmując z kultury szlacheckiej i mieszczańskiej tylko to, co godnym jest utrzymania.

Wtedy dopiero planowe tworzenie elity polskiej według ściśle określonego wzoru będzie łatwym i prostym. Wtedy też typ nowego Polaka, dopasowanego do potrzeb i warunków chwili, będzie pozbawionym sprzeczności wewnętrznych i mającym widoki zdrowego rozwoju.

*

Oto są pobieżnie ujęte względy, dla których drogą rozumowania dochodzę do tych samych wniosków, do których popychają mnie wewnętrzne upodobania, instynkty i nastroje psychiczne.

Nie przeczę, że Polska może istnieć — gorzej według mnie — i rozwijać się — wolniej — w innym ustroju. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy iść wbrew wielkiemu prądowi dziejowemu, jednemu z najstalszych prądów, mimo chwilowe wahania się i nawroty. Sądzę też, że dla Polski szybkość rozwoju może być w pewnych warunkach kwestią bytu po prostu.

Łatwym jest zarzut, że niebezpiecznym jest wprowadzanie ustroju demokratycznego w kraju, który nie jest zdemokratyzowanym ani pod względem struktury społecznej, ani pod względem psychiki, w którym nie ma elity, nie ma opinii publicznej, nie ma gotowych ludzi do obsługi skomplikowanej maszyny. Bardziej niebezpiecznym wydawało by mi się tworzenie demokracji wbrew woli świadomej państwa.

(„Przegląd Współczesny" — październik 1929 r.)

CO BY NAS MOGŁO POŁĄCZYĆ

Sprawa pozornie dość beznadziejna, skoro nas w chwili przełomowej nie mogło połączyć pragnienie najnaturalniejsze, najbardziej żywiołowe i bezpośrednie — pragnienie niezależności.

Dzień 5-ty sierpnia 1915 roku wrył się pod tym względem na długo w pamięć uczestników zebrania, które miało być jakimś jednoczącym wszystkie grupy akordem, miało zdobyć się na najskromniejszy, byle godny wyraz uczuć i poglądów ludności Warszawy wobec wkraczających wojsk niemieckich. Nad zebraniem unosiła się niewątpliwie daleko posunięta chęć do kompromisu. Niestety, przy najdalszym nawet posuwaniu tej ustępliwości okazało się, że stycznych punktów brak niemal zupełnie, że pośrodku leży jakaś opoka nieporozumień czy dezorientacji, niemożności czy wręcz niechęci do wspólnego czynu, może do jakiegokolwiek czynu. W chwili, gdy delegat jednej z najbardziej krańcowych grup cofnął się do niewiarogodnego jeszcze dzień przedtem minimum, kiedy nie żądał od obecnych niczego więcej ponad stwierdzenie, że nie ma w Polsce nikogo, kto by tej Polski nie chciał widzieć wolną, wolną od *wszelkiej* niewoli, że poza tym wszyscy w niej uchylają czoła przed *moralną* wartością Legionów, w tej chwili nie mogło już być mowy o najwęższej bodajby jednoczącej rozbieżności poglądów platformie politycznej. Za cenę najwyższych ustępstw i najwyższego wysiłku żądano już tylko uznania dla pewnych wartości idealnych; rezygnowano ze wspólnej polityki czynu, dążono do ujawnienia pewnych wspólnych, zdawało by się, niewątpliwie wspólnych w najogólniejszych granicach — uczuć.

W tych warunkach miało się prawo wymagać jednomyślności. Okazało się jednak, że nawet w tych warunkach pozostała ona chimerą. Dwom z grup obecnych na zebraniu krok taki wydał się nazbyt awanturniczym. Rzecz osobliwa, szczególną opozycję wzniecił punkt pierwszy: stwierdzenie dążeń do niepodległości. „Mamy ją jak wszyscy w sercu, wahamy się jednak twierdzić, czy nadszedł już dziś czas, w którym ujawnienie żądzy niepodległości byłoby czynem politycznie wskazanym i koniecznym". Tak brzmiało mniej więcej dosłownie oficjalne oświadczenie jednej z grup. I pomimo zmian i zastrzeżeń, jakie przeciwko własnym słowom usiłowano wnieść w kilka godzin później, było to istotnie głosem jej najtajniejszych przekonań, skoro ogłoszona w druku odezwa tej grupy mówi o wszystkim: o Opatrzności, o nieszczęściach kraju,

o niezbędnej w ciężkim kryzysie cnocie obywatelskiej i poczciwości duszy, jeno o wolnej Polsce nie mówi, nie znajduje dla niej jednego słowa.

W obliczu uchodzącego ciemięzcy, w obliczu wkraczających wojsk obcych stanęła stolica kraju, Warszawa, bez słowa protestu, bez tego naturalnego gestu, jakim człowiek więziony wyciąga ręce ku światłu, ku słońcu, ku swobodzie...

Sytuacja, jaka się wskutek tego wytworzyła, była daleka od zadowolenia którejkolwiek ze stron. Rzadko kiedy nawet stoczona bitwa kończy się tak doszczętną przegraną obu stron walczących.

Na opuszczonym pobojowisku unosiły się trujące miazmaty bezwładu i impotencji, złamanych nadziei i niedociągniętych pożądań... Można się było obawiać, że nadchodząca rzeczywistość z całą swoją bezlitosną, kamienną bezwzględnością przeciągnie po nim jak walcem, wtłaczając wszystko pod ziemię, pozostawiając po sobie pustynię.

Błędem jednak, więcej niż błędem, bo występkiem było by chcieć stąd wysnuwać wnioski za daleko idące. Nie mogło być przede wszystkim w tym wypadku mowy o kwestionowaniu czyjejkolwiek dobrej woli obywatelskiej, a doprawdy w ostatnich latach dziejów Polski porozbiorowej nie było to pociechą do zbytku częstą. Nie można też było mieć wątpliwości, że sam rozwój wypadków, sam fakt usunięcia głazem ciążącego panowania rosyjskiego w Warszawie pchać będzie ludzi i wypadki dalej. Sprawa polska weszła na pochyłość, po której nabierając rozpędu musiała się toczyć, za naszą wolą czy bez naszej woli. Jakkolwiek krótkim jest czas, który od owego momentu upłynął, nie można mieć co do tego jakichkolwiek wątpliwości: w Warszawie, która się po dziś dzień na żadną wspólną akcję nie zdobyła, w Warszawie podzielonej na trzydzieści obozów i ciągle przecierającej oczy po długoletnim letargu przestało jednak już być zagadnienie niepodległości straszakiem. Nie traktuje go się jeszcze jako realnego celu polityki narodowej, ale nie wzrusza się już z politowaniem ramionami, nie marszczy i nie robi grymasów, no i nawiasem powiedziawszy — nie ogląda się, czy z za węgła nie podsłuchuje jakaś podejrzana figura.

Próżnym by dziś było toczyć całkiem jałowe spory, jak dalece taki stan rzeczy odbiega od ideału, który ktoś sobie w bezsennych, męką duszną i trwożnym oczekiwaniem przepojonych nocach wymarzył, jakiego ktoś całą mocą rozżarzonej do ostatecznych granic tęsknoty oczekiwał. Śmiała czy trwożliwa, radykalna czy oportunistyczna — musi się wszelka polityka opierać na faktycznym stanie i nastroju społeczeństwa w danym

momencie, musi z istniejących przesłanek wyprowadzać beznamiętnie i chłodno wnioski, jeśli nie ma być polityką fałszu i blagi, polityką oszusta albo polityką głupca i doktrynera. Otóż ktokolwiek znał i głębiej rozumiał duszę popowstaniowej Warszawy, mógł się czuć jej obecną postawą dotkniętym i rozżalonym, nie mógł i nie miał po prostu prawa spodziewać się po niej czego innego. Ci, którzy przyjeżdżając z obcego terenu składają całą winę za rozbicie, za martwotę Warszawy na szczerze niepodległościowe grupy, na ich bezpłodność i nieudolność do lepienia czegoś, w czym tętniłaby krew, w czym drgnęłoby życie, — ci raz jeszcze dają świadectwo prawdzie, jak dalece krytyka jest łatwą, jak dalece trudną jest sztuka. Finał ostatniego półwiecza panowania Moskwy w Warszawie był taki, bo innym być nie mógł.

I zanim potępimy tych, których milczenie krwawi nam serce, których argumenty wydają się nam być zniewagą dla sprawy, przypomnijmy sobie ich dzieciństwo — dzieciństwo w domu żałoby, ich wiek męski — wiek życia w domu niewoli. Z małymi wyjątkami wszyscy my jesteśmy ludzie popowstaniowi. Wszystkim nam wbijano w głowy, jak gwoździe w twarde drzewo obuchem, owe prawdy wieczne, niewzruszone, nie podlegające wątpieniu, owe żelazne prawa życia buntowników czy synów buntowników: tak jak jest, tak być musi na wieki, to co jest, jest naturalnym, na zawsze zakrzepłym porządkiem rzeczy, któremu sprzeciwiać się jest gorzej niż zbrodnią — jest bezmyślnym marzeniem. Przypomnijmy sobie owe pierwsze, młodzieńcze odruchy, nie już buntu, nie protestu nawet, ale po prostu zniecierpliwienia na bezczelność, na łotrostwo przemocy i owo zastygłe w oczach przerażenie starszego otoczenia. Czcimy, niekiedy chełpimy się tradycją bojów o wolność, ale powiedzmyż sobie raz to nareszcie, że my już we krwi mamy także inną tradycję — tradycję niewoli, której setną rocznicę dawno już obchodziliśmy, plugawe wspomnienie męki i bata, które wciąż krwawi i które na pewno nie dźwiga ku gwiazdom. Strachem i głodem można obłaskawić nawet tygrysa, a zaiste już i społeczeństwo przedpowstaniowe tygrysem nie było.

I oto tego na pół oślepłego w lochu więziennym męczennika wywlekają na ostre światło dzienne. Wywlekają go nie ręce braterskie, ale ręce, na które od dziecka przywykł patrzeć — i słusznie — jak na ręce wroga. Umysł ma jeszcze zgorączkowany widziadłami zgody z własnym oprawcą, trzęsie go zwierzęcy, po prostu lęk przed straszliwą klęską wojny, która się zwaliła jak huragan zniszczenia, dławi go czad świeżo rozlanej krwi — i oto pytają go: nie wiem, czy nie wpadniesz w inną, której

się więcej jeszcze lękasz, niewolę, ale czy chciałbyś być wolnym? Doprawdy więcej jest w jego milczeniu nieszczęścia niż sromu.

Gdybyż przynajmniej dotychczasowe życie dawało tym ludziom możność przywiązywania się do instytucji publicznych, które byłyby bodajby zaczątkiem państwowości własnej, a których obrona i utrwalanie nie byłyby obroną szańców rozwalanych z podeptaniem wszelkich praw, systematycznie, z zimną, nieubłaganą wzgardą. Gdyby było w tej rosyjskiej Polsce coś, na czym można by było dźwignąć duszę narodową z prochu, z poniżenia, z rozbicia. Gdyby przez praktykę życia publicznego, przez coś więcej niż czytanie przeglądu politycznego w kurierku można było nauczyć się orientowania w szeregach międzynarodowych zagadnień. Gdybyż ta Warszawa przeczuwała, jeśli dowieść sobie tego rozumowo nie mogła, jak dalece, jak zasadniczo dzień 5 sierpnia różnym był od dnia poprzedniego, chociaż na pozór zmieniły się tylko mundury. Ale że według elementarnych pojęć prawa międzynarodowego miasto się stawało przez fakt wyjścia wojsk rosyjskich bezpańskie, że taką interpretację prawa może i musi nawet potwierdzić życie i dalszy rozwój wypadków wojennych — o tym zdawał się nikt nie wiedzieć w Warszawie. I nie czuło się nic, jeno straszliwe przygnębienie przy zmianie obroży, i nie dźwignął się do góry kark mimowolnym przeciwko wszelkiej obroży odruchem. Gest obitego jak pies niewolnika i na pociechę — przemądra, starcza, do szpiku kości zgniła teoria neutralności.

E pur si muove! A jednak letarg to był — nie śmierć, której nie cofnie, nie odwoła nic. Wystarczyło tak niesłychanie skromnego dopływu świeżego powietrza do zatrutej atmosfery kaźni, żeby po kilkunastu dniach nowego życia zaczęto rozumieć pewne rzeczy, których dotychczas rozumieć nie chciano czy nie umiano, przestano się wzdrygać na to, co dotychczas pokrywało twarze wściekłością i wzgardą. A przecież ta nowa szkoła była twardą, jak tylko może być twardym czas wojny prowadzonej przez naród, który umie dojść do bezwzględnego, najwyższego napięcia sił własnych i cudzych.

Nie przegniła doszczętnie dusza polska. Coś się w jej najtajniejszych, mrocznych głębinach poruszyło, coś woła, i tęskni, i płacze odwiecznym żalem. Zakiełkował, wszedł rzucony, zdawało się, na opokę posiew: u jednych, urodzonych „buntowników" strzelił żywszym, bujniejszym pędem, u innych, gdzie był przysypany piachem, jak całunem śmiertelnym, przebija sobie drogę z trudnością. Jednak wschodzi coraz gęściej. I dlatego coraz rzadziej słyszy się wyliczanie rzeczy, które by nam były

pożyteczniejsze na razie niż niepodległość, od szczerej, braterską dłonią rosyjską udzielonej autonomii począwszy, skończywszy na rozpoczętym tak fortunnie przed rokiem zjednoczeniu ziem polskich, które miało być etapem do wolnej Polski, a stało się, mimo woli zapewne, etapem na Sybir i do wewnętrznych gubernii cesarstwa rosyjskiego.

Dziś wolno już żywić nadzieję na wyzdrowienie chorego. Można mniemać, że o ile coś znowu duszy narodowej nie strwoży, opadną na dno męty i obaczy się w duszy swej Polska jak w zwierciadle. Odnalazłszy się zaś powie niezłomnym, niezmożonym głosem: Chcę żyć.

To jedno by nas mogło połączyć.

Pragnąłbym nie być źle zrozumianym. Tu nie chodzi o żadne „orientacje", tym mniej o uroczyste odwoływanie czegokolwiek czy ekspiację. Tu w ogóle nie chodzi o jakiekolwiek programy polityczne, które by nas mogły zjednoczyć, bo niestety, gdybyśmy z partyjnych programów swoich zaczęli odrzucać to, co nas różni i jątrzy, zostało by jedynie hasło nie angażowania się w żadnym kierunku, nie narażania niczego i nie narażania się nikomu. Linia ruchu złamać by się wówczas niewątpliwie musiała w punkcie absolutnej bezczynności.

Tego nikt szczerze i głęboko wierzący w słuszność swoich założeń i twierdzeń proponować i żądać nie może. Dziś — jak 5 sierpnia — nie może być mowy o wspólnym programie politycznym, może jedynie być mowa o obronie pewnych wartości idealnych i o wyciągnięciu stąd pewnych wniosków w pracy codziennej.

Praca czysto polityczna musi iść swoim torem. Im ten tor będzie czystszy, wyraźniejszy, głębiej wyryty, tym lepiej, jeśli nie dla nas żyjących, to dla tych, co po nas przyjdą. Ci, którzy przez dwanaście miesięcy w najstraszniejszych warunkach trwali mimo wszystko przy swoich wierzeniach, nie ustąpią z nich na pewno dziś, kiedy im się do pewnego przynajmniej stopnia rozwiązały usta i ręce. Pójdą, jeśli trzeba będzie, pójdą przeciwko innym. Ale jeśli walka ta nie ma stać się walką obustronnie nazbyt bolesną, trzeba, żeby walczono tylko o wybór dróg. Żeby się ci ludzie nie snuli we własnym kraju jak na obczyźnie, żeby z najgłębszych pokładów duszy narodu wyłoniły się jakieś łączące wszystko wiązadła.

Otóż można wierzyć, że się znajdzie w Warszawie pewna ilość ludzi — mniejsza o to, wielka czy mała — którzy zechcą wytężyć siły dla odbudowy życia polskiego, bezwzględnie niezależnego, czystego życia polskiego; że ci ludzie, niezależnie od tego, w jakim sojuszu zewnętrz-

nym upatrują dla kraju zbawienie, jak wyobrażają sobie jego przyszłość, zechcą tymczasem wytworzyć i wtłoczyć w formy rzeczywistości tak wielką ilość wartości polskich, na jaką ich będzie stać, na jakie okoliczności i warunki zewnętrzne pozwolą. Oczywiście, napotkają mnóstwo przeszkód: złamią je czy ominą; zrobią część roboty, jeśli nie będzie można zrobić całej. Nie będą przesądzać, kto się przy Polsce ostoi, czy też może ostoi się ta Polska sama przy sobie. Nie będą zapominali ani na chwilę, że teraz jest moment, kiedy wszelkie, najfantastyczniejsze wczoraj przypuszczenia mogą się jutro stać faktem realnym; że nie tylko podług prawa międzynarodowego, ale podług prostych wskazań zdrowego rozsądku wszystko jest teraz przejściowe, nic zaś nie jest i nie może być przesądzone. Jako najważniejsze wyznanie wiary powtarzać sobie będą, że ostateczne ukształtowanie się losu Polski zależy od tysiąca czynników, że jednym z tych czynników — zaprawdę nie ostatnim — jesteśmy i musimy być my sami. Nie będą brać imienia Polski na daremno, ale to, co czynić będą, będą dla niej czynili, pamiętając, że nie ma poza Polską dla Polaka zbawienia. Prostą, szczerą, wierzącą modlitwą modlić się będą o Polskę szczęśliwą i wolną. Jeśli kiedy, to w tym roku straszliwym zerwą z niegodnym zwyczajem podawania tej Polski na wety uczt politycznych, a uczynią ją swoim chlebem codziennym, spożywanym bez afektacji, ale i bez wstydliwości. Przestanie już raz być ta niepodległość nasza niedopowiedzianą pointe'ą utworów literackich, głęboko ukrytym domyślnikiem, który się kornie milcząc puszcza mimo uszu. Powstanie czyn!

Albo raczej świadoma celu wola powiąże oderwane czyny, spręży się w tym jednym kierunku. Boć czynów, bardzo nawet niekiedy ważkich i cennych, nie brak nam i dzisiaj. To, co się robiło u nas od lat kilkunastu, co nabrało wyjątkowego natężenia podczas wojny obecnej, jest nie tylko ilościowo, ale i jakościowo wartością zgoła nie znikomą, na pewno godną wysokiego szacunku. Pomimo pewne usterki, niedociągnięcia i pewien nieunikniony chaos, wszystkie te środki samopomocy społecznej, wszelkie usiłowania odbudowy kultury materialnej kraju, jakich świadkiem i terenem była Warszawa od chwili wybuchu wojny, dowiodły ogromnej ofiarności, niezaprzeczonej dobrej woli. Była to niewątpliwie zdrowa i mocna reakcja na niebywały ogrom klęsk, jakie się na nas zwaliły. Działalność całej sieci komitetów obywatelskich, stworzenie w kilka dni po odebraniu Warszawy wielkiego aparatu sądownictwa polskiego, cenny i piękny dekret o nauczaniu powszechnym — cokolwiek

by się tam dało odnaleźć lichszego czy wręcz ujemnego — są to wielkie wygrane bitwy. Nie tylko potrafiły — o co łatwiej — zdobyć uznanie i wdzięczność własnego społeczeństwa, ale zastanowiły, ale nakazały szacunek dla tęgości duszy polskiej obcym.

Niestety, jakiś fatalny błąd umysłowy czy nieszczęsny zanik woli, jakieś pęknięcie czy rozdarcie wewnętrzne odejmuje tym rzeczom znaczną część ich narodowego waloru, hamuje je w skoku ostatecznym, decydującym. Tworzy się te rzeczy, wykonywa się te prace, zaiste nie małe i w nowych warunkach nie łatwe, w imię jakichś abstrakcyjnych cnót obywatelskich — nie chce się ich tworzyć w imię żywej, wolnej Polski. Dźwiga się potężne mury, stawia się śmiałe filary, ale waha się nakryć to wszystko dachem, który by był koroną i tarczą. Cokolwiek bądź poczyna się, poczyna się z pamiętaniem o wczorajszym niewolnictwie, z rozkładowym, trującym lękiem o jutro. W każdym uczynku, w każdym rozważaniu pełno jest przemądrych zastrzeżeń, arcydoświadczonej rozwagi, trzeźwego przewidywania wszystkich możliwych i niemożliwych katastrof, gwałtów, zakazów, represji, jakie jutro mogą się na zgięty nasz grzbiet zwalić, nie ma tylko spokojnej, ale mocnej woli do życia własnym życiem. I oto w obszernym gmachu, jaki sobie społeczeństwo dźwiga wśród największej z wojen świata, jest wszystko, tylko nie ma śladów wiary budowniczego, że to, co buduje, będzie jego domem, a nie hotelem dla gości z całego świata.

Niewątpliwie, przesądzają takie metody działania nie tylko o wewnętrznym nastroju społeczeństwa, ale o wrażeniu, jakie nasza postawa czyni na obcych, o szacunku, jaki jest do zyskania, o wzgardzie pełnej lekceważenia, jaka może być jutro podłożem i rozgrzeszeniem wszelkich praw wyjątkowych, wszelkich gwałtów antypolskich.

Weźmy parę przykładów. Oto powstaje Wydział Oświecenia Narodowego. Powstaje tak szybko, jak tylko na to pozwalają okoliczności. Stwierdza tym po raz setny, że naród polski w dobie porozbiorowej za jedną z najpierwszych, najważniejszych swych spraw uważa sprawę oświaty powszechnej, że po stokroć na tym polu zdeptany i znieważony, powraca na nie ze szlachetnym uporem, z niewiarogodną wytrwałością. Gdyby Komitet Obywatelski nie pozostawił po sobie nic innego, jeno ten jeden dekret o nauczaniu powszechnym, zasłużyłby tym na wdzięczną pamięć, na rzetelny szacunek. Niestety, ludzie, którzy owo prawo tworzyli, niewątpliwie ludzie dobrej woli i czystych rąk, nie mogli się wyzbyć pewnych nałogów myślowych, nie umieli się opędzić przewidywa-

niom, co będzie jutro, jeżeli... Przede wszystkim nie mogli uprzytomnić sobie, że działają w tej chwili w niczyjej pod względem prawnym Warszawie, że w niej dąży każdy do zatknięcia swojego sztandaru, choć miejsce w tej byłej stolicy jest tylko na jeden sztandar. I oto powstaje szkolnictwo z silnymi przywilejami dla języka rosyjskiego, i oto trzeba było aż ostrej walki pewnej części społeczeństwa, aby ten wstyd zetrzeć z oblicza polskiej Warszawy. O ileż było by godniejszym, gdyby tej walki, zaiste nie zaszczytnej, nie trzeba było wytaczać, gdyby tego zwycięstwa nie trzeba było odnosić.

Inna sprawa, sprawa zapewne drobna i sama w sobie błaha. Tylko, że nawet morze składa się, równie jak szklanka wody, z oddzielnych kropel i od razu, jednym łykiem wyczerpać go nie można. Sprawa spolszczenia zewnętrznego miasta. Trzeba było aż naporu władz niemieckich, aby usunąć napisy rosyjskie. Dyplomacja czy strach? I czy nie było by naturalnym całkiem odruchem zrzucić z siebie widome oznaki niewoli, jak uwolniony więzień zrzuca z siebie łachy więzienne. Niestety, Warszawa zdobyła się jedynie na słowa protestu i lekceważenia dla nawoływań i perswazji w tym kierunku; wyjątkowo spokojny artykuł jednego z pism w tej sprawie nazwany był prowokacją. Doprawdy, trudno by w takim razie ustalić, co mianowicie może nie być prowokacją, dążąc zarazem do utrwalenia i podkreślenia polskości.

Obserwacja życia paru ostatnich w Polsce pokoleń prowadziłaby pod tym względem do wniosków niezbyt wesołych. Jeżeli chodziło o nagięcie się do istniejących warunków bytu narodowego, o ustąpienie najłatwiejszą, najkrótszą drogą przed trudnościami, jakie się przed polskim życiem piętrzyły, o wchodzenie na ścieżki i manowce kompromisów, nie zawsze czystych, ale zawsze niemal nieobliczalnych co do skutków — nie było ofiary, której by się nie składało na tak osobliwie zbudowanym ołtarzu dobra Ojczyzny. Ale jeśli jakiemuś sercu gorącemu, jakiejś głowie śmielszej czy dalej patrzącej zachciało się coś robić czy coś ratować dla Polski — nie dla jakichś tam cząstkowych, wątpliwych co do ostatecznej wartości korzyści dla polskości, ale dla Polski, jako dla odwiecznej tradycji, dla Polski, jako dla pojęcia historycznego — wahano się co najwyżej, czy to nazwać wariacją czy wręcz prowokacją.

To było jedną z głównych przyczyn, dla których prądy niepodległościowe przegrały tak fatalnie w Królestwie w początku obecnej kampanii, dlaczego wraz z nimi przegrała ją wówczas Polska. Dopiero dziś, kiedy straszliwy taran wojny rozwalił gmach zmurszałej państwowości

rosyjskiej, razem z nim walić się poczyna całe to nędzne rusztowanie małodusznych wykrętów od czynu, fałszywych nadziei, bezmyślnych przewidywań. Hańbą i nieszczęściem tzw. orientacji rosyjskiej było nie to, że sprzymierzała się z wrogiem, bo ten zarzut, zgoła zresztą bezmyślny, dotyka obu stron zarówno, ale że wykluczała z góry wszelką możność czynu istotnie i ostatecznie wyzwalającego, wykluczała go już w zasadzie, à priori. Dziś, kiedy Warszawie przestało przysługiwać zaszczytne miano — „gubernskago goroda Priwislinja", otwarła się ta droga do czynu.

Nic więcej jeno droga. Nic więcej jak tylko pewna możliwość. Bo kalkulacji bezwzględnie pewnych być tu, jak nigdy i nigdzie, nie może i tylko szarlatan polityczny może społeczeństwu swojemu obiecywać bezwzględną pewność zwycięstwa i powodzenia. Na razie dość, że istnieją pewne możliwości, pewne prawdopodobieństwa, których wczoraj być nie mogło, że przy ucieleśnieniu ich możemy być czynnikiem realnym. Wreszcie, co doprawdy jest wartością jedną z najprzedniejszych, usunięta została ohydna zmora deprawacji i niszczycielstwa moskiewskiego, cały ów do fantastyczności posuwany system, w którym życiem było pełzanie pod przeszkodami, zasadą — zgnilizna, najważniejszym środkiem — łapówka, a niezawodnym skutkiem — rozkład duszy i wstręt do wszelkiej śmielszej narodowej koncepcji, do której wykonania brak było sił, warunków i chęci.

Jakim będzie jutro, nikt nie wie. Jesteśmy niewątpliwie współczynnikiem jednej z najbardziej zawikłanych, drażliwych, nieszczęsnych spraw — sprawy polskiej. Ale cokolwiek by się stać mogło — od wyzwolenia do katastrofy podziałowej — podnieść lub obniżyć wartość tej sprawy możemy przede wszystkim my sami. Możemy mimowolnie podkreślić twierdzenie wrogów, że jesteśmy próchnem, przez które twarde żelazo przechodzi bez oporu; możemy też jednak przeciwnie — zyskać ich szacunek, jako ciało stałe i ważkie. I czy ktoś — mniejsza o to kto, bo pod tym względem nie ma różnic, jak nie może być złudzeń — będzie nas uważał za czynnik współtwórczy, z którym coś wspólnie się podejmuje, czy zamierzać będzie rozbić nas, usunąć ze swej drogi, unicestwić, stopień naszej odporności, naszej zewnętrznej tęgości będzie dla niego, jak jest dla nas, pierwszorzędnej wagi pytaniem.

A próbą tej odporności będzie przede wszystkim chwila obecna — krytyczny moment wojny, najwyższego wysiłku sił, nie tylko militarnych, ale wszelkich, jakie naród posiada. Im więcej zwartej, spoistej więzi przedstawiać będzie żywe ciało Polski, tym trudniej będzie patrzeć na

nie jak na kupę lotnego piasku. Im bardziej to ciało będzie swoiste, obce w każdym organizmie, do którego by je wcielano, tym większa dla tego organizmu trudność przyswajania go, tym większe dla tego organizmu niebezpieczeństwo.

Ale takim ciałem dziś jeszcze ta Polska nie jest, za takie bynajmniej u żadnego z sąsiadów swoich nie uchodzi. Takim należy ją dopiero w granicach możliwości, w warunkach chwili zrobić.

Na tej drodze wspólnego ozdrowicielskiego czynu zbliżą się niewątpliwie rozbite na przeciwstawne bieguny poglądy, uciszą namiętne a tak bezpłodne, tak żałosne w skutkach wzajemne oskarżenia i podejrzliwości.

Zapewne, choćbyśmy nawet wszyscy równie mocno, równie żarliwie tej wolnej Polski pragnęli, pozostałyby dziś jeszcze różnice zdań, czy już teraz jest moment, kiedy całą siłę narodu rzucić na szalę należy. Ale przede wszystkim nim tamto zagadnienie — dziś tak skomplikowane, jutro, być może, tak proste — rozstrzygniemy, uwierzmy wszyscy i za wiarę tę chciejmy dać wszystko, że Polska jutro być *może*, choć bynajmniej nie *musi*.

I że bez nas się Polska wolną stać nie może. A gdyby nawet się stała, gdyby spadła nam jak los wygrany na loterii, nosiłaby od pierwszej chwili w sobie zarodki śmiertelnej depresji — niezasłużonej, niezapracowanej nagrody.

Rachuby nasze — jakkolwiek są trzeźwe i chłodne — mogą się okazać zawodne. My, co chcemy być świadkami najradośniejszego dnia od chwili ostatniego rozbioru, będziemy może raz jeszcze patrzyli, jak kirem i rozpaczą pokryje się nasza ziemia. Owoce tego, co posiejemy, spożywać będą, być może, dalekie pokolenia, dla nas pozostanie jeno ocet i żółć. Straszliwym ostrzem zwróci się może przeciwko nam fatalność i zniszczejemy, jak niszczało tyle w Polsce pokoleń.

Ale niech się Polska siebie samej nie zaprze...

To jedno nas może połączyć.

(„Myśl Polska“ 1915 r.)

ODEZWA W SPRAWIE WOJSKA

Z powodu odezwy, jaką władze okupacyjne wydały w sprawie wojska polskiego, rozlepił C.K.N. na murach Warszawy następujące obwieszczenie:

Polacy!

Władze okupacyjne wydały wczoraj odezwę o wojsku polskim. Odezwa ta wywołała zaniepokojenie i różnorodne pogłoski, wobec których Centralny Komitet Narodowy, stojąc niezmiennie na swym stanowisku, stwierdza, co następuje:

Armia narodowa jest niewątpliwym następstwem proklamowania Państwa Polskiego. Dążyć do jej utworzenia, uważać ją za skarb swój najcenniejszy musi naród polski, jeśli nie chce spaść z powrotem do poziomu niewoli.

Armię, będącą najczystszym wyrazem woli i zapału narodu, musi powołać Rząd Polski, jedynie uprawniony szafarz krwi polskiej.

W Legionach, które od dwóch lat z górą walczą bohatersko z przemocą moskiewską, mamy nie tylko gotowe kadry, ale dowód, że Naród Polski potrafi się zdobyć na męstwo i hartowną wolę w odpieraniu przemocy i gwałtu. W niezłomnym twórcy polskiego ruchu zbrojnego, w Józefie Piłsudskim, mamy Wodza, w którego ręce może Naród Polski złożyć miecz swój z całą ufnością.

W uprawnionej nadziei, iż powyższe postulaty spełnione zostaną, wzywamy Was, Polacy, byście się na rozkaz Rządu Polskiego stawili pod narodowe sztandary.

Centralny Komitet Narodowy

Warszawa, 10 listopada 1916 roku.

PRZEMÓWIENIE GEN. BESELERA

Dnia 15 grudnia 1916 r. gen. Beseler wygłosił dłuższe przemówienie do polskich działaczy niepodległościowych. Przemówienie to w streszczeniu umieszczone było w N-rze 44 „Biuletynu" z 1916 r., po czym dodane były następujące uwagi Redakcji:

Do tych słów trzeba dodać mały komentarz. Znaczna część tych argumentów, jakich użył gen. Beseler, uznana była w obozie niepodległościowym już dawno za słuszną, zanim jeszcze zamieszkał on na zamku królewskim. Że teraz wypowiedziane nam zostały w sposób bez-

względny i szorstki, bez mała brutalny, nie zmienia to w niczym ich istotnej wartości. W polityce rzeczą najważniejszą nie jest kwestia formy, tylko jasność i trzeźwość myśli oraz ścisłe precyzowanie żądań, jakie się stawia stronie przeciwnej. Szczególnie w polityce międzynarodowej najgorszym romansem byłby ten, którego główny wdzięk opierałby się na niedomówieniach. Dużo z tych rzeczy, które gen. Beseler pod adresem społeczeństwa polskiego powiedział, jest twardym uderzeniem w ropiejącą ranę. Najboleśniejszym jest jednak fakt, że i bez uderzenia rana nie przestaje być raną. Kiedy słyszymy, że nie myśmy wydarli Polskę z przemocy moskiewskiej, jest to przypomnienie rzeczy niezmiernie dla nas przykrej, jednak — niestety — rzeczy nie ulegającej zaprzeczeniu. Nie możemy też, choćbyśmy chcieli, powiedzieć dziś Niemcom „Precz z rękami", bo cofnięcie o szerokość Królestwa wału obronnego byłoby niestety równoznacznym z napływem fali rosyjskiego najazdu, pod którą zamarłoby kiełkujące życie.

Ale jeśli nawet w przemówieniu gen. Beselera było tak dużo bezwzględnej, choć tak gorzkiej prawdy, trzeba pamiętać, że to jest prawda pojęta dość jednostronnie. Prawda, tak jak się ona przedstawia ze stanowiska Niemiec, upojonych swoim zwycięstwem i przekonanych o swojej bezwzględnej nad nami, co się tyczy organizacji, wyższości i przewadze. Otóż my, najbardziej dziś kaleki i bezsilny naród świata, mamy również swój kąt widzenia i kto nie chce go uznać w zasadzie, ten musi się potknąć niebawem o nieuchronne nieporozumienie.

Tym naszym kątem widzenia jest chęć posiadania, nie od razu może najlepszych czy najdoskonalszych, ale własnych form bytu. Wojsko, administracja, sądownictwo, szkolnictwo, to nie są bezduszne schematy, w które można wtłaczać żywy organizm, ani to nie są nawet ubrania, które można — choćby obce — przywdziewać, przyciąwszy je na swoją miarę. To jest raczej skóra, która musi narosnąć z soków własnego organizmu. Wolimy przeto wielokrotne pomyłki, próby i własnym trudem zdobywane doświadczenie niż narzucanie nam obcych, gotowych form, które by nas nieuchronnie raniły. Rozumiemy, że uczyć się musimy przez długie jeszcze lata. I że nie znajdziemy w wielu dziedzinach lepszych od Niemców nauczycieli, ale niechby ten nauczyciel dozwalał uczniowi wyrabiać się torując drogi własne, a nie kazał mu się uczyć lekcji na pamięć. Aż nazbyt często ze strony władz niemieckich słyszymy wezwania do ufności w ich szczere, dobre chęci. Co się nas — demokratycznej lewicy — tyczy, okazujemy tę ufność od dawna. Gdybyśmy jej

w sobie nie mieli, nie propagowalibyśmy sojuszu z państwami centralnymi, nie opieralibyśmy na nim przyszłości Polski, ale bezwzględnie i ostro staralibyśmy się zorganizować odpór opinii polskiej przeciw wrogiemu nam najazdowi. Groza represji nie powstrzymałaby nas, jak nie powstrzymała rosyjska ochrana, zsyłka i knut. Ale sądzimy, że przy szczerych nawet względem Polski zamiarach, że przy całym głębokim zrozumieniu swego i naszego interesu rząd okupacyjny nazbyt nieraz zazdrośnie strzeże atrybutów swej władzy. Zbyt często może słyszymy o „koniecznościach wojennych" i zbyt szeroko te konieczności obejmują całe nasze odradzające się życie. Pod tym płaszczem zaczynamy się dusić po prostu. Nie ma np. u nas głowy tak szalonej, która by twierdziła, iż w rozbitym, stratowanym kopytami wojny kraju można własnymi siłami stworzyć z dnia na dzień własne, narodowe szkolnictwo. Nie znajdzie też się jednak nikt, kto by wątpił, że tylko własny, z własnej duszy wysnuty system oświaty może mieć dla nas wartość bezwzględną. Naród polski nie potrzebuje pod tym względem zdawać egzaminów — zdawał je w postaci Komisji Edukacyjnej, pierwszego w Europie ministerium oświaty, już sto kilkadziesiąt lat temu. I doprawdy tamten patent ma swój niezaprzeczony walor po dziś dzień. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć, co ma wspólnego sieć rowów strzeleckich z podręcznikami szkolnymi, obawiamy się natomiast, że bezcelowe upieranie się w „niepodległej" Polsce władz okupacyjnych przy swoim w tej mierze prawie nadzoru wywiera najgorsze wrażenie tam właśnie, gdzie podejrzliwość usunięta być winna szeregiem faktów jasnych, niezaprzeczalnych, niosących uspokojenie i powszechną ufność.

Państwa centralne przystępując do budowy Państwa Polskiego muszą zgodzić się z faktem, że naród nasz chce mieć własną wolę i że ta wola musi tężeć i wyrabiać się coraz bardziej. Z gromady niewolników nie wytworzy się państwa, więc jeśli tworzenie państwa jest punktem wyjścia, trzeba pogodzić się z konsekwencjami, które nieuchronnie muszą towarzyszyć pożytkowi, jaki wolna Polska da Niemcom i Austrii.

W praktycznym rozwiązaniu tych spraw na pierwszy plan wysuwa się — i tak też wysunięta została — sprawa wojska. O tej sprawie palącej i drażliwej pomówimy niebawem.

(„Biuletyn" Nr 44 1916 r.)

LIST DO MARSZAŁKA KORONNEGO WACŁAWA NIEMOJEWSKIEGO

Jaśnie Wielmożny Panie Marszałku

Zaszczycony wezwaniem Tymczasowej Rady Stanu do wzięcia udziału w komisji dla opracowania organizacji rządu Królestwa Polskiego, czuję się zniewolonym złożyć na ręce J. W. Pana kilka słów wyjaśnień, dlaczego po pierwszym jej w dniu wczorajszym posiedzeniu nadal udziału w pracach komisji nie będę mógł brać.

Należę — co nietajnym jest Radzie Stanu zapewne — do kierunku politycznego, który od dłuższego już czasu, od chwili zaprzepaszczenia sprawy tworzenia naszej armii narodowej i oczywistego zwichnięcia realizacji Państwa Polskiego, uważał dalsze istnienie Tymczasowej Rady Stanu za bezcelowe, tym samym zaś za szkodliwe. Tak, i z tych względów dawałem swój głos publicznie na posiedzeniu Rady Narodowej dn. 3 maja, posiedzeniu zakończonym uchwałą, dążącą do zamknięcia okresu, otwartego 15 grudnia r. ub. ustawą powołującą do życia Tymczasową Radę Stanu dla realizacji aktu 5 listopada. Tak, zupełnie otwarcie i lojalnie miałem zaszczyt przedstawić swój i towarzyszów swoich pogląd na sytuację bieżącą na poufnych posiedzeniach, na które w imieniu Rady Stanu J. W. Pan raczył mnie wezwać łącznie z przedstawicielami Międzypartyjnego Koła Politycznego. Od tej pory nie zaszło nic takiego, co by mogło zachwiać moje poglądy — nic, nie wyłączając odpowiedzi państw centralnych z dn. 8 czerwca, którą uważać muszę za jawną, nieobsłoniętą nawet żadnymi względami kurtuazji dyplomatycznej odmowę na żądanie, sformułowane w imieniu społeczeństwa polskiego przez Tymczasową Radę Stanu dn. 1 maja rb. Dziś więcej niż kiedykolwiek dalsze istnienie konstytucji, powstałej w najlepszym wypadku z obustronnego nieporozumienia, jeżeli nie z jednostronnej złej wiary, uważać muszę za szkodliwy maniak, pociągający nas ku szkodzie sprawy po drodze bez wyjścia.

Jeżeli przeto na wezwanie J. W. Pana stawiłem się w porozumieniu ze swoimi towarzyszami gotów do współpracy, nie znaczyło to i znaczyć nie mogło, abym gotów był Tymczasowej Radzie Stanu służyć radą, jakich szukać należy sposobów do odbudowy naszego Państwa w ciasnych granicach terenu pracy, pozostawionego do naszej dyspozycji przez państwa okupujące. Według mego głębokiego przekonania jedyną

odpowiedzią, jaką Rada Stanu mogła dać dn. 8 czerwca na zaproponowane sobie warunki pracy, mogło i winno było być jej natychmiastowe rozwiązanie się, nie dlatego, żeby możność oparcia się Polski o państwa centralne miała być już stanowczo i nieodwołalnie przesądzona, ale że warunki z dn. 8 czerwca nie są tym minimum, przy którym naród polski mógłby zacząć swój przyszły stały sojusz z państwami centralnymi rozważać. Stąd w prostym i niechybnym następstwie wynikał dla mnie wniosek, że w odpowiedzi na odpowiedź, jaką by Rada Stanu w imieniu społeczeństwa polskiego państwom okupacyjnym złożyła, winno być ujęte i możliwie dokładnie sprecyzowane właśnie owo minimum, bez którego Polska i jej mieszkańcy mogą pozostać przedmiotem okupacji czy nawet wręcz ucisku i wyzysku, ale nie chcą być nadużywanym w łatwowierności swej sojusznikiem. Owo minimum, jak mniemałem i jak dziś — śmiem twierdzić — mniema wszystko, co w Polsce jest żywym i czystym, winna być zasada władzy, zasada przyznania narodowi polskiemu nie tylko prawa samookreślenia się i samoistnego rządzenia, ale prawa tytułu gospodarza na własnym dziedzictwie, niezależnie od wszelkich konieczności wojennych, które uwzględniać należy, i od różnicy sił, o której zapominać nie można.

Do określenia w szczegółach tej właśnie zasady wzywa nas, jak sądziłem, Tymczasowa Rada Stanu. Wzywa nas tym pochopniej, gdy mocą własnej z dn. 1 maja uchwały szuka dróg do porozumienia ze społeczeństwem wiodących, gdy po kilkumiesięcznych syzyfowych wysiłkach przekonała się już dowodnie o niewystarczających, że nie powiemy — żadnych skutkach swej pracy, nie mniej niewystarczającej swej kompetencji do decydowania w przełomowym momencie spraw, przesądzających w imieniu narodu polskiego dalszą jego drogę a nie najbliższą tylko przyszłość.

W tym charakterze przedstawiciela społeczeństwa i co oczywiście zaprzeczyć ani ukryć się nie da — przedstawiciela jednego z polskich kierunków politycznych, stawiłem się wczoraj na Wasze, Szanowni Panowie, wezwanie. Nie dla czczej formalistyki, ale dla uniknięcia grożących w najbliższej przyszłości nieporozumień uważałem za konieczne tym właśnie swój charakter zaakcentować i ustalić, wyciągając stąd zarazem wnioski, których ujawnienie i uchwalenie wydawało mi się koniecznością, wspólną ze strony członków komisji gwarancją, zabezpieczającą płodność ich pracy.

Wniosków tych, pozwalam sobie J. W. Panu przypomnieć, było trzy. Przede wszystkim zależało mi — i nie mnie tylko, ale również i jednemu

z najwybitniejszych przedstawicieli prawicy — na ustaleniu charakteru i kompetencji komisji, nie jako zwykłego przy Radzie Stanu organu opiniodawczego, ale jako samodzielnej bez mała instytucji, powstałej drogą porozumienia Rady Stanu ze społeczeństwem. Dla ominięcia szkopułów natury formalnej i drażliwości osobistych gotów byłem poprzestać na zgłoszonym przez członka Rady Stanu p. A. Łuniewskiego wniosku, nakazującym zasiadającym w komisji członkom Rady Stanu solidarną obronę uchwał komisji na plenarnym zgromadzeniu Rady Stanu. Środek ten, o ile byłby przyjęty jednomyślnie przez członków Rady Stanu zasiadających w komisji, uważałem za wystarczający. Co do zakresu prac komisji rozumiałem go jako sformułowanie w imieniu społeczeństwa polskiego minimum żądań i warunków, na jakich można by wspólnie z okupantami do pracy nad odbudową Państwa Polskiego przystąpić. Punkt ten poruszony w rozprawach urywkowo i nie wyjaśniony wystarczająco nie wydawał mi się dość mocno ustalony w przekonaniu poszczególnych członków komisji, z których niektórzy władni się uważali jedynie opracowywania planu prac, opartego na odpowiedzi państw centralnych z dn. 8 czerwca.

Trzecim wreszcie i nie najmniejszej wagi wnioskiem był skład osobowy komisji. Zasiadając w niej w charakterze przedstawiciela społeczeństwa, nie mogłem nie zaznaczyć, że zdaniem moim, skład komisji odzwierciadlać winien w przybliżeniu bodajby istniejący w życiu stan rzeczy i układ sił i kierunków politycznych. Stąd wniosek mój żądający przyznania kierunkowi przeze mnie reprezentowanemu, tzw. kierunkowi radykalnie-niepodległościowemu, obejmującemu Polską Partię Socjalistyczną, Polskie Stronnictwo Ludowe, Zjednoczone Stronnictwo Demokratyczne i Partię Niezawisłości Narodowej, dodatkowych pięciu miejsc w komisji. Wniosek ten ku mojemu głębokiemu i szczeremu żalowi upadł, wobec czego nie widziałem innego wyjścia, jak zgłosić swoje ustąpienie z komisji.

W chwili obecnej nie pozostaje mi nic innego, jak raz jeszcze wyrazić J. W. Panu moje najszczersze ubolewanie, że ostatnia próba współpracy grup lewicy niepodległościowej z Tymczasową Radą Stanu zakończyła się tak smutnym i stanowczym niepowodzeniem. Nie będę trudził J. W. Pana szerszym rozwijaniem motywów, dla których przy postanowieniu swoim twardo stać musiałem. Nie wątpię też, że J. W. Pan sam bez moich przekonywań uznać raczy, że chodzi tu w danym wypadku o coś więcej niż o zwykłą o mandaty walkę. Niech mi wolno

będzie przeto stwierdzić to tylko, co wydaje mi się bezspornym a koniecznym dlatego, by pewne rzeczy, nie przestając być przykrymi, były przynajmniej jasnymi dla wszystkich.

Kierunek, w którego imieniu występowałem, dał, śmiem mniemać, wystarczające czasu wojny dowody swojej żywotności i swojego najdalej idącego sprawie ojczystej oddania się. Stworzył i zapełnił szeregi Legionów, walczył o honor i interes Polski, tak jak ten honor i interes rozumiał, nie cofając się przed nikim i niczym, walczył równie ostro i twardo w pierwszym roku wojny jak w dwóch następnych. Oddawał Polsce to wszystko co miał do oddania — krew, wolność i skromne swoje zasoby. Nie pretendując do tego, by on jeden był całą Polską, czuł przecie i po dziś dzień czuje, że bez niego Polska nie byłaby Polską. Przede wszystkim zaś ma świadomość, że on jeden tej Polsce w chwili potrzeby może dać to, czego jej tak bardzo brakuje — świeżą, gorętszą krew i moc, jaką daje masa. Otóż jeżeli w chwili, w której przychodzi się do powzięcia największych decyzji, kierunek ten ma być powołany do głosu w ilości wyłączającej wszelki istotny wpływ, w tej chwili, nie żądając dla siebie zaufania, jakiego ktoś być może chce nam odmawiać, musimy jednak spokojnie ale stanowczo stwierdzić, że i my nawzajem do nikogo zaufania nie mamy tak wiele, aby dać mu całkowite pełnomocnictwa do prowadzenia spraw narodu polskiego. I dlatego tam, gdzie się mają ważyć sprawy najwyższej wagi, musimy być w ilości, jaka nam się należy ze względu na naszą siłę i na nasz dotychczasowy dorobek, albo nie być wcale. Żadną zaś miarą nie możemy być czczą dekoracją ani parawanem, za którym ukrywane mają być rzeczy kształtujące się wbrew naszej woli.

To są rzeczy, Panie Marszałku, tak jasne i proste, że jak sądziłem, dla nikogo już wątpliwości ulegać nie mogą. I dlatego decyzja Panów nie tylko wysoce zabolała mnie, ale nie mniej wysoce zdziwiła. Sądziłem, że w chwilach niebezpieczeństwa narodowego, kiedy chodzi o jednoczenie sił, wszystkich sił, jakie naród może mieć do dyspozycji, nie będzie mogło być dwóch na tę sprawę poglądów, całkiem niezależnie od tego, czy mówi o tym konserwatysta czy czerwony radykał, czy komuś nasze towarzystwo jest miłe czy przykre. Sądziłem, że w momencie, kiedy hasła demokratyczne zaczynają rozlegać się nawet z wysokości tronów, Polska niekoniecznie ma pozostać twierdzą feudalizmu, bodajby ze względu na swoje bezpieczeństwo. Z najgłębszym też żalem przekonałem się, że owo pospolite ruszenie, na jakie przyszła już dziś

w Polsce pora, pojmowane jest przez Tymczasową Radę Stanu całkiem osobliwie i że dla kierunków radykalnych w tym wojsku narodowym pozostają po staremu tylko miejsca ciurów.

Obawiam się, że nie będzie to z pożytkiem dla sprawy. Poza tym zaś mogę jedynie złożyć Radzie Stanu gorące życzenia, aby na drodze, na którą idzie, na której walczyć będzie musiała nie tylko z trudnościami, ale i z częścią własnego społeczeństwa, udało jej się odnieść jak najmniej groźne dla Polski zwycięstwo.

Przy tej sposobności niech mi wolno będzie, Panie Marszałku, złożyć wyrazy swego najgłębszego szacunku i uszanowania.

(„Z Dnia", dn. 26 czerwca r. 1917).

KONSOLIDACJA

Od kilku tygodni kraj żyje pod znakiem konsolidacji. Jeszcze była ogólnikowym zaledwie szkicem, już kierowano do niej różne żądania, już znać było jej wyraźny wpływ na przebieg różnych zjawisk życia publicznego.. Zdawało się, że konsolidacja będzie tym ogólnym i cudownym lekarstwem, które wszystko w życiu naszym uzdrawia, wszystkiemu zapobieży, której wpływy i siły będą po prostu nieograniczone. Gdy odwrotnie — rozeszła się wiadomość, że się konsolidacja rozbiła, zapanowała depresja równie powszechna, jak poprzednio zapał. W obu wypadkach zbyt wiele było nerwów, za mało natomiast zrozumienia podłoża, na którym owo zjawisko rozwija się.

Przede wszystkim równie nieścisłym było by dziś twierdzić, że konsolidacja rozbiła się, jak tydzień czy dwa temu, iż jest faktem dokonanym. Można by co najwyżej zgodnie z prawdą ustalić, że rokowania, mające na celu doprowadzenie do zjednoczenia wszystkich odłamów myśli politycznej polskiej, uległy zawieszeniu i że powodem zawieszenia było nie tyle ściśle określone nieporozumienie co do jakiegoś punktu, jasno przez obie strony sprecyzowanego, ile obustronne odczucie, iż moment, który by mógł obu kontrahentów sprowadzić na wspólną platformę, jeszcze nie nadszedł. Wobec tego rzeczą najważniejszą nie jest kwestia, czy konsolidacja doszła lub nie doszła do skutku, ale czy dalszy rozwój wypadków, czy życie samo będzie dotychczasowe różnice pogłębiać czy wyrównywać. Otóż jakkolwiek odpowiedź na tak postawione zapytanie nie może być niczym więcej niż subiektywnym wróżeniem,

jakkolwiek w ocenie nastrojów psychicznych, od których dojście czy niedojście do skutku konsolidacji zależy, można się bardzo łatwo i bardzo grubo pomylić, śmiemy niemniej przeto twierdzić, że konsolidacja musi dojść do skutku, jest ona bowiem tą jedyną drogą, jaka dla Polski stoi otworem. Dotychczasowy rozwój wypadków obalił już tyle założeń, przekreślił tyle rachub, iż coraz mocniej i powszechniej czuje się, jak dalece naród polski mimo wszelkie te czy inne sympatie i „orientacje" zredukowanym jest do liczenia na własne wyłącznie siły. Odczucie to jest w społeczeństwie naszym tak mocne, iż niewątpliwie każdy człowiek, każda grupa, która by się chciała zasadniczo temu sprzeciwiać, wcześniej czy później będzie zmieciona z powierzchni życia. Stąd oczywista konieczność poczynienia przez każdą z grup jak najdalej idących wysiłków i ustępstw, jak najstaranniejszej rewizji dotychczasowych swoich programów i zbadania, ile z nich można i należy ustąpić dla doprowadzenia zgody do skutku.

Twierdząc, że tak będzie, nie mamy zamiaru twierdzić, że tak jest już dzisiaj, niestety bowiem nie jest widocznym, aby — co się tyczy dwóch zasadniczych kierunków myśli politycznej polskiej — obie strony jednakowo chętnie i łatwo szły na spotkanie. Gdyby panowie pasywiści mniej cieszyli się swoim triumfem, dość żałosnym zresztą triumfem, równającym się uciesze z niemożności budowania Polski według aktywistycznej recepty, a sumienniej zważyli, na jak wielkie niebezpieczeństwa naraża kraj ich uporczywe trwanie przy metodzie bezwładu, było by niewątpliwie łatwiej dojść do pierwszych bodajby punktów porozumienia. Niestety, to co się słyszy, a zwłaszcza to co się wyczuwa w rozmowach z nimi, jest niczym innym, jak nie chcącym nic widzieć, niczego słuchać i nic przede wszystkim rozumieć obstawaniem przy pierwotnych z początku wojny zapałach i marzeniach. Że się na miejsce Rosji podstawia koalicję, na miejsce wielkiego księcia rząd tymczasowy rosyjski albo radę delegatów robotników i żołnierzy, w niczym to postaci rzeczy nie zmienia, skoro jedynym dla Polski wskazaniem ma być bezwład zupełny, ma być nie tylko niedopuszczenie do budowy państwowości polskiej, ale rozcieranie wszystkiego w kraju na proszek, przy równoczesnym przerzucaniu punktu ciężkości na tamtą stronę rowów strzeleckich. Bo takim jest niewątpliwie hasło dnia w tamtym obozie. Ku temu się idzie, mniejsza o to — świadomie czy nieświadomie, posuwając się po linii rozumowanego programu czy ulegając pewnym nierozumowanym przesądom i wstrętom.

Krążą wieści, że w ostatnich dniach nadeszły od pozostających w Rosji przywódców Narodowej Demokracji wyraźne w tym kierunku wskazania: trwać i do niczego nie dopuszczać. To pewne, że jeśli nawet dyrektywy takie nie nadeszły, miejscowi działacze stosują się do nich w całej rozciągłości. Gdyby było inaczej, nie mogło by już być żadnych różnic między pasywistami a obozem aktywnym. Obóz ten w ogromnej swojej większości, w całej zdrowszej swojej i uczciwszej masie zdaje sobie dziś sprawę i nie tai tego przed nikim, że moment realizowania swego programu musi na razie odłożyć na dalszy plan, zajmując się przede wszystkim walką o zdobycie warunków, w których tę realizację można by było rozpocząć.

Obóz ten gotów jest nie tylko do opozycji, ale do ostrej nawet walki, do walki jednak prowadzonej o prawo do rozpoczęcia pracy państwowotwórczej. Nie przesądza przyszłych sojuszów, nie zrzeka się niczego, nie uzależnia się od nikogo, nie wiąże sobie rąk równie dobrze ślepym do okupantów zaufaniem, jak ślepą do nich nienawiścią. Chce przede wszystkim podnieść sprawę naszą do wysokości, na której Polska w stosunkach międzynarodowych będzie stroną równą między równymi, między wolnymi wolną.

Inaczej panowie pasywiści. Ostrej i otwartej walki z okupantem nie chcą, nie tylko dlatego, że go ślepo nienawidzą, ale że go się śmiertelnie boją, przede wszystkim zaś dlatego, że w tej walce trwoży ich równie zwycięstwo, jak i przegrana. Zwycięstwo bowiem zaznaczyłoby pewną możność rozpoczęcia budowy przez okupantów czy przy okupantach, oni zaś wolą czekać. Czekać na zwycięstwa koalicji, na wejście wojsk rosyjskich do Berlina, na drodze do którego leży niestety Warszawa, na to wszystko, co wymaga najmniejszego jeżeli nie żadnego ze strony polskiej nakładu pracy i sił, a co ma dać Polskę wyżebraną, wyszachrowaną czy choćby wygraną na loterii. Wiążąc triumf Polski ze swoim triumfem partyjnym, rzucają dla tego mizernego celu najwyższą stawkę, jaką rzucić można — dobro kraju, oddawanego w stanie zupełnie bezbronnym i bezwolnym na pastwę losu i szczęśliwego wypadku, rzucają wartość historycznego momentu, na który czekało kilka pokoleń.

Na tej drodze spotkać się trudno. Pozorny triumf programu pasywistycznego, triumf, jaki im dały uchwały galicyjskiego Koła Sejmowego o zjednoczeniu ziem polskich i dostępie do morza, sprawy bynajmniej nie upraszcza i jest, ściśle mówiąc — triumfem przywłaszczonym. Jeżeli Galicja po trzech latach walki i najcięższych ofiar staje dziś do naj-

ostrzejszej z rządem swoim walki i wysuwa na pierwszy plan hasło zjednoczenia, nie znaczy to bynajmniej, by po najcięższych nawet z państwami centralnymi doświadczeniach, przy najbardziej nawet żywiołowej do nich wśród najszerszych warstw niechęci, ta Galicja i razem z nią cały obóz aktywistyczny wyrzekały się prawa do odegrania czynnej roli w wojnie światowej, prawa do wysiłku, ofiary i czynu. Gdyby nawet hasło zjednoczenia zapanowało niepodzielnie we wszystkich obozach polskich, zbieżność programów będzie całkiem pozorna i panowie pasywiści tak długo nie będą mieli prawa triumfować z tego powodu, jak długo nie złożą dowodu, że Polsce gotowi są służyć czymś więcej niż papierowymi programami i drewnianym przy bezczynie oporem, że chcą sprawę polską uniezależnić od wszystkich istotnie obcych czynników. Jeśli się wreszcie tak niezłomnie przekonanym jest o konieczności bezwzględnej walki z państwami centralnymi, walki na śmierć i życie, wykluczającej możność chwilowej bodajby współpracy, trzeba stąd umieć konsekwencje wyciągnąć i walkę rozpocząć istotnie. Ochoty do tej walki widzimy u pasywistów równie mało, jak w ogóle ochoty do jakiejkolwiek dla Polski pracy. Nie widzieliśmy jej w momencie powstania Rady Stanu, do której drzwi szturmowali dosyć natarczywie, i nie widzimy jej w dalszym ciągu dzisiaj, kiedy się całą energię zużytkowuje do wysiłku hamulca.

Tworzyć coś wspólnie możemy zacząć bodajby dzisiaj. Rozwalać to, co jest w Polsce zawadą i gruzem, potrafi obóz czynu niewątpliwie sam, bez pomocy przyjaciół, do których szczerości nie nabrał zaufania dotychczas.

Powaga chwili i interes Polski wymaga jednej myśli dziś w Polsce i jednego czynu. Oczywiście jednak — myśli twórczej i czynu, który by nie był prostym zdaniem się na łaskę losu. Po tylu doświadczeniach i po tylu klęskach można by dziś pogodzić się na gruncie nieodzownej ze strony Polski neutralności, przestrzeganej przez nią tak długo, dopóki jedna ze stron walczących nie zaproponuje krajowi warunków, roztwierających przed nim erę istotnej realizacji marzeń o własnym bycie państwowym. Czy to będzie według poszczególnych przewidywań ta czy inna strona, rzecz to już drugoplanowa, choć oczywiście przede wszystkim trzeba mieć na oku, kto kraj trzyma w ręku i kto tworzyć niepodległe Państwo Polskie nie tylko chce i obiecuje, ale istotnie może. W każdym jednak razie zrzekać się budowy państwa dlatego, że się ma większe do koalicji niż do państw centralnych zaufanie, zrzekać się zasadniczo i nie-

zależnie od wszystkich koniunktur, od wszelkich warunków, jest pomysłem, którego zwykły zdrowy rozsądek pojąć nie może. I dlatego niewątpliwie trzeba motywów takich poglądów szukać nieco głębiej, dlatego znaleźć je można dopiero w strasznej współczesnej duszy polskiej chorobie, jaką jest wstręt do wszelkiego zdecydowanego czynu. Wszystko inne jest okłamywaniem samego siebie.

(„Z dnia", Nr 9, dn. 7.VI.1917).

WARTOŚĆ CZYNU 7 LISTOPADA

Mało jest zapewne w historii naszej czynów, których by wartość oceniona była w sposób tak krańcowo rozbieżny, jak ów właśnie rzekomy „zamach stanu" 7 listopada. Nie tylko dlatego chyba, że zbyt blisko jeszcze niego stoimy. Wszak w ocenie późniejszych dwumiesięcznych rządów gabinetu Moraczewskiego spotykamy niekiedy u najbardziej nieprzejednanych jego wrogów momenty łagodzące ostrość i bezwzględność sądu, momenty tłumaczące, jeśli nie usprawiedliwiające. W sądach o krótkim okresie życia rządu lubelskiego krańcowemu potępieniu przeciwstawia się jedynie bezwzględne uznanie. Na ten krótki, zwięzły fakt patrzy się dotychczas przez sentyment, traktuje się, jak ogniwo wyłamane w łańcuchu zjawisk poprzedzających go i będących jego prostym następstwem. Nadszedł już, śmiem sądzić, czas, w którym od wyroku uczuć wolno się odwołać do chłodnego sądu rozumu.

Przede wszystkim, ów gwałtem aktowi 7 listopada narzucony charakter zamachowy. Zamach stanu? — przeciwko komu? Przeciwko Radzie Regencyjnej, nie uznawanej przez 9/10 kraju, czy przeciwko rządowi p. Świeżyńskiego, który w przeciągu całych dni 13 trzymał z rąk owej Regencji władzę, użył tej władzy do wytoczenia jej wojny i rozpłynął się w nicość? 7 listopada rządu już w Warszawie nie było, nawet takiego rządu, jaki mógł był powstać pod opiekuńczym skrzydłem okupanta. Była tylko Rada Regencyjna, skwapliwie poszukująca możliwie przyzwoitego do swego zgonu sposobu. Cokolwiek bądź by można o niej powiedzieć, nie była — to pewna — ośrodkiem, dokoła którego mogłaby skupić się Polska. Jakkolwiek było ją sądzić, trudno się w niej było dopatrywać chorążego, który ująwszy sztandar powiedzie naród przeciwko śmiertelnie ugodzonemu, ale groźnemu jeszcze na ziemiach polskich

okupantowi. Jeszcze się nie zatarły w ludzkiej pamięci komplementy składane imieniem Polski w Berlinie „aniołowi pokoju" przez dostojnych wodzów i ojców narodu.

Nie, ten zamach stanu był wymierzony przeciwko Beselerowi jedynie. To była jego treść, jego racja, jego cel. Nie wydawało się godziwym pewnej grupie ludzi, aby żołdak niemiecki bezcześcił dłużej ziemię naszą z racji polskiego tchórzostwa i nazbyt już misternych a fałszywych rachub wyższej polityki. Musiał zrodzić się czyn. Po pierwsze po to, iżby Niemiec dłużej w Polsce nie siedział. Po wtóre dlatego, iż cios go był winien dosięgnąć, nim z Polski, miejsca swoich zbrodni, on wyjdzie.

Te proste założenia wpływały bezpośrednio na sposób wykonania czynu, sposób, który po dziś dzień piętnuje się mianem zbrodni narodowej. Obwołania rządu w Lublinie dokonano istotnie z pominięciem wszelkich prób ogólnonarodowej konsolidacji, z odtrąceniem nawet jakoby wszelkich rąk wyciągających się ku pomocy. Ustalmy przede wszystkim, że ręce wyciągały się podówczas czy przedtem do podzialu władzy, do walki nie wyciągnęła się żadna. Pomińmy poza tym nastroje psychiczne ludzi, którzy prób doprowadzenia do zgody wewnętrznej, prób wytworzenia jednolitego frontu narodowego dokonali czasu wojny długi, bolesny szereg i dla których każda nowa próba była nowym zawodem. Ludzi, których chęć łączenia się odtrącono tezą o wyższej wartości prowadzenia dwóch przeciwstawnych sobie polityk, z których przecież jedna wygrać musi los główny na pewno. Ludzi, którzy dla ratowania szczątków wojska gotowi byli po ciężkiej walce wewnętrznej przyjąć na siebie aż nadto odpowiedzialny ciężar współrządów w gabinecie p. Świeżyńskiego i którym ofiarowano zaszczytną rolę komparsów. Te względy subiektywne byłyby całkiem nieważkie. Zagadnieniem istotnym, przesądzającym o możliwości czynu zamierzonego, o korzyści lub klęsce dla kraju, była możność czy niemożność porwania za sobą masy. Otóż pod tym względem nie było i nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Materiałem, który można było rzucić na Niemców, była garść młodzieży zorganizowanej wojskowo, było trochę robotnika miejskiego i nie nazbyt doprawdy liczny tłum uświadamianego gorączkowo chłopa. Wszystko to — słusznie czy niesłusznie — przepojone do głębi nieufnością do tych warstw, klas i stanów, które widziało ponad sobą czy poza sobą, do wszelkich rządów pańskich, z którymi nie stykało się codzień, nie spotykało się w mrocznych podziemiach, w przygotowaniach do jutrzejszej walki. Nie było jeszcze człowieka, któ-

ry by jak łańcuchem spoił tę masę swoim osobistym autorytetem — nie było Piłsudskiego. W tych warunkach każdy nowy wódz na czele równał się ubytkowi stokrotnie większej liczby szeregowców. Tych szeregowców nie było bynajmniej zbyt wielu. Dodajmy do tego śmiertelny strach przed niekończącymi się dyskusjami, zabójczym odwoływaniem się do stronnictw, przeklętym kluczem partyjnym, do szaleństwa doprowadzającym kłóceniem się o przecinki w chwili, kiedy trzeba było jednego słowa, jakiegokolwiek słowa, byle było tak mocne, żeby najbardziej zarosłe ucho przedarło. Nie, inaczej jak samym iść do tych spraw nie tylko nie było można, ale nie było wolno.

Zarzut rozdzierania Polski mógłby być w jednym wypadku dla sprawców czynu lubelskiego ciosem zabójczym: gdyby im dowiódł, że rządy ich były nie tylko z genezy swojej, ale w działaniu swoim partyjne. Ale tak postawiony zarzut odeprzeć oni mogą z całym spokojem. Ująwszy władzę ujęli ją nie po co innego, jeno żeby piętrzące się coraz groźniej sprzeczności i powikłania wewnętrzne rozwiązać pokojowo w sejmie, do którego zwołania dążyli z całą siłą, na jaką ich było stać. Nie wydawali praw przynoszących korzyść ich partiom, ich ludziom, ich poplecznikom. Nie narzucali nikomu — najmniej Polsce — swoich programów. Znacznie częściej i twardziej mówili swoim ludziom o obowiązkach, jakie mają w stosunku do Polski, niż o tym, co Polska im winna. Nie rozpętywali sił, które mogły na długie czasy zapewnić im władzę kosztem zniszczenia kraju. Przyjmowali na siebie odpowiedzialność za wszystkie klęski, niedomagania i choroby trapiące nas po dziś dzień, widząc, że wyrównać je w opinii tłumu mogą jedynie kosztem własnej popularności, kosztem nieuniknionej w przyszłych wyborach przegranej.

Za to wszystko poza przekonaniem o spełnieniu obowiązku mieli jedną zapłatę. Utwierdzili się w przekonaniu o niezrównanej wartości materiału, z którego jutrzejsza Polska powstanie — o niezrównanej wartości ludu polskiego. Ten chłop, w którego sercu wiekowe krzywdy osiadły zjadliwą goryczą nieufności, niekiedy nienawiści do dworu, ten robotnik uważany do niedawna przez swego łaskawego chlebodawcę za najmniej wartościową część jego maszyny, zdali egzamin w chwili potrzeby narodowej nad wszelki podziw, nad wszelkie spodziewanie, nad jakiekolwiek wszelkich idealistów, marzycieli, szaleńców rachuby. Ich ojcowie dobijali powstańców roku ostatniej klęski. Oni sami dąsali się pierwszego roku wojny na Polskę, rzecz pańską, do niczego im nie-

potrzebną, śmierdzącą pańszczyźnianym posmakiem. W ciągu wojny szli do tej Polski w butach siedmiomilowych i — doszli na sam czas. Za winy ojców swoich popełniali czy popełniać byli gotowi takie same szaleństwa, jakie lat temu z górą pięćdziesiąt popełniała nieszczęsna młodzież szlachecka. I to nie dla budowania swojej stanowej Ojczyzny, ale dla powiększenia takiego Polski, aby w niej móc żyć swobodnie razem z dawniejszym swym panem-ciemiężycielem.

Więcej spokoju, więcej wyrozumiałości niż ujawnił w owe dni listopadowe chłop polski i polski robotnik — nie można było wymagać. Był przecie sam, był w kraju najmocniejszym, był panem. Przeżył cztery lata wojny, przeszedł najlepszą szkołę zdziczenia i deprawacji. I nigdzie ani jednego wybuchu, nigdzie dzikiej nienawiści stanowej czy klasowej. Nigdzie użycia swej siły. Nie brakło przecież po temu okazji i możności łotrowskich podszeptów, nęcącej łatwością występku pokusy. Z tej walki z chwilą zdradliwą, z samym sobą być może niekiedy, wyszedł czysty, mocny i zdrowy. To jego kapitał moralny na ciężkie walki jutrzejsze.

I to najwyższa wartość czynu listopadowego.

(„Gazeta Polska" 4. XI. 1919 r.)

ZGODĄ CZY NIEZGODĄ

Zgodą czy niezgodą... mamy budować Polskę Ludową?

Oczywiście — zgodą. Tak długo jak się da, wszędzie gdzie tylko będzie to możliwym. Zaoszczędzimy w ten sposób do pożytecznej pracy sił, nie tracąc ich na spory, nie zawsze konieczne. Wzmocnimy Polskę, robiąc ją bardziej odporną na klęski i napady. Życie w niej zrobimy cichsze i milsze. To też z całym głębokim przekonaniem oświadczam: budujmy Polskę zgodą.

Tylko musimy się wprzód porozumieć, co zgodą nazywamy.

Jeżeli zgodą ma być szanowanie prawa, choćby ono dla nas było przykre i niekorzystne, nie znam słów dość mocnych, zaklęcia dość świętego, ażeby do tego wszystkich i zawsze w Polsce namawiać. Łamaniem praw zginęła swego czasu Polska. Nie nam, ludowcom, naśladować najgorsze wybryki szlacheckie.

Czy prawo jest złym czy dobrym, wolno to każdemu w swoim sumieniu rozważać. Wolno też każdemu dążyć do zmiany złego prawa

na dobre. Ale o tym, czy prawo, choćby złe, ma być wykonywane, stanowi tylko większość. Kto się nie chce poddać woli większości, ten jest warchoł. Trzeba go jak zły chwast wyrwać i spalić.

Nic to nie zmienia postaci rzeczy, jeżeli ktoś łamiąc prawo sieje niezgodę nie dla swojej osobistej korzyści, ale przez swój upór, przez swoją zarozumiałość, po prostu dlatego, że tak mu się lepiej wydaje. Pycha jest tak samo przeklętym wspomnieniem naszej przeszłości, jak warcholstwo. Trzeba ją zakopać w najgłębszy dół i przywalić najcięższym głazem.

Ale to nie jest jeszcze wszystko. Kto chce szczerej i trwałej zgody, ten nie może poprzestać na tym, że prawo szanuje. Prawo nie może być zbyt wielkim ciężarem, który grzbiet łamie, ani żelaznym batem, którym się przymusza ludzi do posłuszeństwa. Prawo musi być sprawiedliwe, wtedy będzie podstawą istotnej zgody. Sprawiedliwości zupełnej nie ma nigdzie na świecie, niewiele jej też jest w Polsce. Olbrzymio większa część drobnych rolników pracuje na tak nędznych skrawkach ziemi, że się na nich nie może wyżywić i ucieka z Polski za granicę, jak krew ucieka z rany. Robotnik miejski pracuje tylko osiem godzin, ale zarabia mniej niż potrzeba na najskromniejsze życie. Na tej samej ziemi długi szereg hultajów i rabusiów dorobił się już w powojennej nędzy polskiej olbrzymich fortun, łupiąc skarb, tucząc się pracą innych ludzi. Pomimo istnienia licznych partii ludowych i robotniczych, pomimo, że mamy powszechne prawo głosowania i ustrój republikański, stan rzeczy nie zmienia się na lepsze.

Radzić komuś, żeby swojej krzywdy dochodził toporem albo brauningiem, to zbrodnia, to nie tylko zbrodnia, lecz głupstwo, bo nędzy się ani toporem ani brauningiem nie zabije. Ale tylko ślepy albo człowiek, który dobrowolnie oczy zamyka, nie widzi, że rozpaczliwie gorzkiej biedzie naszej winna nie tylko wojna, nie tylko złe urządzenie państwa, ale sobkostwo tych, którzy mają zbyt wiele, a wszelkie dążenie do sprawiedliwego podziału ze strony pokrzywdzonych nazywają sianiem niezgody.

Co do mnie, myślę, że Polskę zgodną, spokojną i bezpieczną od bolszewizmu mieć będziemy tylko wówczas, kiedy od nikogo w niej nie trzeba będzie wymagać zgody na chorowanie z głodu, na przymusowe i dziedziczne nędzarstwo. To nie byłaby zresztą zgoda, tylko obłuda.

I jeszcze jedno. Jest w Polsce z dawien dawna zwyczaj zawierania zgody dla nic nierobienia. Jeżeli Paweł z Gawłem dojdą do rozstajnych

dróg i jeden chce iść w prawo a drugi w lewo, godząc się siadają pod przydrożną figurą i nie idą nigdzie. Mam ten zwyczaj za niemądry i niemoralny. Nie trzeba narzucać innym swojego zdania ani kijem, ani nawet krzykiem. Nie wolno pożądać cudzego dla siebie, żądać więcej niż potrzeba do porządnego życia. Ale jeśli się wie, czego chce, jeżeli się zna swój cel i idzie do niego uczciwą drogą, nie wolno też ani ustawać w drodze ani dać się z niej odwieść. Godzić się z tym, że istnieje zło, jest to to samo, co czynić źle samemu. Pobłażać złu nie jest szukaniem zgody, ale tchórzostwem i ospalstwem. Z chwilą, kiedy się nie szuka osobistej korzyści, kiedy się wyczerpało wszelkie sposoby spokojnego przekonania przeciwnika, kiedy grozi nieszczęście a zuchwałe zło skacze jak głodny wilk do gardła, trzeba się w sumieniu swoim zapytać, czy nie uczciwiej będzie stać przy swoim niż iść na ugodę, która będzie tylko wykręcaniem się od obowiązku.

Przywaliło nas wszystkich ciężkie brzemię. Kto przypuszcza, że „słomiana zgoda lepsza niż złota niezgoda", niech pamięta, że na słomianym powrósle ciężkiego brzemienia nie udźwigniemy.

(„Ruch Ludowy" Nr 5 z 1926 r.)

NASZE CELE

Nie jesteśmy wyrazem żadnej partii, nie jesteśmy żadną organizacją. O zespole redakcyjnym naszego pisma można mówić, jako o pewnej zbiorowości tylko ze względu na niektóre poglądy, które nas łączą. Ta zbieżność poglądów ujawnia się szczególnie w zapatrywaniach na Polskę dzisiejszą. Należąc do odmiennych grup politycznych czy nie należąc do żadnej, przychodzimy z różnych stron świata, ale droga, którą iść chcemy, jest jedna. Wszyscy niewątpliwie jesteśmy szczerymi republikanami, głęboko przeświadczonymi o tym, że przyszłość Polski, jej świetność i moc, jej zdrowie a może nawet jej byt zależy od zupełnego zdemokratyzowania nie tylko ustroju państwa, ale dusz ludzkich i podstaw życia gospodarczego. Te nasze przekonania nie są ani kartą do gry, ani podniszczonym bagażem, który się wozi ze sobą, ale którego się nie używa. Wierzymy mocno w to, co będziemy mówili, a demokracja, która jest naszym punktem wyjścia w rozwiązaniach teoretycznych, w życiu Polski jest celem, do którego dążyć będziemy poprzez wszystkie

przeszkody, nie płosząc się chwilowym niepowodzeniem, nie cofając się nigdy od walki.

W ostrej, byle uczciwej walce widzimy zadatek odrodzenia psychiki narodowej, jedyny sposób utworzenia mocnej, świadomej swych obowiązków opinii publicznej. Nigdy, od czasów już całkiem zamierzchłych, nie była ona u nas dość silną. W długotrwałym okresie uwiądu Rzeczypospolitej szlacheckiej rozbijało ją warcholstwo, poniżała ciemnota, plugawiła całkowita niemal zatrata instynktu państwowego. Potem przyszła niewola, w której, nie mówiąc już o jadzie, jaki sączył się w żyły narodu, utrudnionym zostało samo już nawet formowanie poglądu zbiorowego, drogowskazu dla jednych, hamulca dla innych. W wolnej Polsce, którą trzeba było sklejać z trzech rozbitych kawałków, z mnóstwa narosłych indywidualnie dziwactw, mało skłonnych do wspólnego działania, z nieprzezwyciężonych zdawało się trudności, które nawet mocne charaktery spychały z twardej drogi zasad na grząskie ścieżki układów z własnym sumieniem, wzrost i okrzepnięcie zdrowej myśli narodu nie mogły nastąpić ani zbyt szybko, ani w mierze wystarczającej. Wieloletnie odcięcie od źródeł życia zachodu, sprowadzenie form bytowania do kształtów nazbyt już uproszczonych, nałogi myślowe niewoli, być może przywary charakteru narodowego były przyczynami, dla których niejednokrotnie poglądy ogromnych odłamów społeczeństwa błąkały się po manowcach. Czasami była to pochwała zbrodni, kiedy indziej wyparcie się najlepszych tradycji narodu, aż nazbyt często były to przekonania, z których potem wycofywać się trzeba było ze szkodą, niekiedy ze wstydem. W ostatnich latach doszła do tego wszystkiego niewiara we własne siły, niechęć czynu i wstręt do brania za cośkolwiek odpowiedzialności, kult ludzi nadprzyrodzonych, na których barki można by zwalić cały trud myślenia i pobierania decyzji, gwałtowne nawroty z drogi całego życia, kruszenie legend, co jest rzeczą czasami nawet pożyteczną, przez topienie ich w bagienku pospolitości, co jest dosyć obmierzłym.

Na szczęście, ma się już temu wszystkiemu pod koniec. Nastaje czas, kiedy nawet ludzie nie mający jeszcze odwagi czynu zaczynają już chcieć rozumieć, o co właściwie toczy się w Polsce spór. Stany emocjonalne, w których się tak łatwo od adoracji przechodzi do popłochu, w których jakże często myśli się wątrobą albo instynktem osobistego użycia, ustępują chęci rozumowania, po którym by się kraj podzielił na wyraźne, świadome swoich celów odłamy. Poprzez bierność i trwogę przed od-

powiedzialnością wkracza żelazna logika naturalnego rozwoju wypadków, która nie znosi czynów niedociągniętych, porzucanych w drodze zamiarów, myśli niedomyślanych. Wcześniej czy później nadejść musi chwila, kiedy gorszący, zabójczy dla Polski spór między naczelnymi instytucjami Państwa musi być rozstrzygnięty w tej czy innej formie przez naród, przez jego wolę, przez jego opinię.

Być może, nastąpi to w formie walki. Nikt nie zna ani godziny, kiedy ona wybuchnie, ani formuły, którą się zakończy. Nie będąc ani stronnictwem, ani kliką do zagarnięcia władzy dla samego jej posiadania, nie jesteśmy zainteresowani w tej sprawie. Myślimy tylko, że pożyteczną będzie ta walka wówczas, kiedy będzie się odbywała w imię pewnych ideałów, kiedy będzie starciem odmiennych światopoglądów, a nie bliźniaczo do siebie podobnych apetytów.

Jeśli walka, jak tego gorąco chcemy, zakończy się zwycięstwem demokracji, będzie to dopiero początek nowego okresu, w którym śmiałość decyzji będzie musiała dorównać energii myślenia. W dotychczasowych swarach o władzę chodziło przede wszystkim — i to jest naturalne — o powalenie przeciwnika. Ale jutro, w razie zwycięstwa, głównymi przeciwnikami demokracji będą: polska nędza, z której się musimy leczyć pokoleniami, przestarzały i niesprawiedliwy ustrój społeczny, który trzeba starać się poprawić środkami pokojowymi, zacofanie społeczeństwa, od którego trzeba odbiec w siedmiomilowych butach, nieumiejętność zorganizowanej pracy, nietknięta sprawa mniejszości, która jest dynamitem leżącym pod łóżkiem. To są tylko sprawy najważniejsze, wymienione na chybił trafił, ale i tych wystarcza. Wejść w ten gąszcz, zapominając o potrzebie zracjonalizowania naszego życia, o niezbędnej konieczności śmiałych konstrukcji, które by były planem olbrzymiej pracy, było by zagubić w nim swoją drogę od pierwszej zaraz chwili.

Powtarzać jeszcze raz, że Polska cofnięta w rozwoju, osłabiona niewolą, nadała sobie osiem lat temu ustrój, który jej się jak zbyt długa koszula plącze między nogami, było by zbędnym..! Było by także fałszywym w tym rozumieniu, że każdy inny ustrój plątałby się jej tak samo, minęły zaś czasy, kiedy narody i niemowlęta krępowano powijakami. Ale pogłębienie demokracji, jeśli w niej żyć chcemy, jest obowiązkiem każdego z jej wyznawców, w świecie politycznym bowiem żyje tylko ten, kto się rozwija. Nie jest to zresztą nawet zadaniem zbyt trudnym. Demokracja polska nie jest podrzutkiem ani towarem importowanym z zagranicy; ma ona w Polsce poprzedników, którzy siłą umysłu i wartością

charakterów wybiliby się na czołowe miejsca, gdyby takie istniały w więzieniu. Jeżeli zaś chodzi o Polskę obecnie żyjącą, ma ona pierwszorzędny materiał ludzki do budowy demokratycznego ustroju. Prawda, nie zawsze jest on świadomym swoich sił, nie zawsze widzi swe drogi.

Wskazać mu je, oczyścić rudę, uczynić życie własne i życie Państwa lepszym i zrozumialszym, uchronić je zarówno od zasklepienia w pierwotnym bycie, jak od anarchii, której przykłady idą ku niemu z góry, jest najpilniejszym zadaniem demokracji.

Temu zadaniu pośrednio i my chcemy poświęcić swe siły.

(„Tydzień“ 1929 r.)

ŹLE POJĘTA MIŁOŚĆ OJCZYZNY

My, Polacy, uważamy się za naród o bardzo wysokim napięciu patriotyzmu. Nie będę się wdawał w szczegółową ocenę tego świetnego o sobie mniemania. Niewątpliwie, przez cały okres naszej historii porozbiorowej przewija się kuty ze szczerozłotych ogniw łańcuch czynów istotnie bohaterskich, ofiar z wolności, mienia i życia, roztapiania się w zbiorowości, która była tylko wspomnieniem, która mogła być tylko nadzieją. W niepodległej już Polsce bywały momenty, kiedy odczuć już można było wyraźnie, że w piersi narodu polskiego serce bije tonem mocnym i czystym. Pierwsza nasza pożyczka wewnętrzna, pożyczka Odrodzenia, dała w kraju ociekającym jeszcze krwią, wyssanym z najpotrzebniejszych środków do życia, olbrzymią w stosunku do naszej nędzy sumę 45 milionów dolarów. Ludzie średnio zamożni oddawali niekiedy całe swoje majątki, zgarbione w pracy długiego i ciężkiego życia nauczycielki albo robotnicy, zarabiający poniżej kosztów utrzymania, rzucali oszczędności szeregu lat. Jeszcze w kilka lat później, po dotkliwych naukach inflacji sto milionów na Bank Polski zebraliśmy w czasie zadziwiająco krótkim, nie wyciągając po obcą pomoc ręki. Ludzie o świetnych kwalifikacjach zawodowych — adwokaci, inżynierowie, lekarze — porzucali swoje sute zarobki dla głodowych pensji na urzędzie państwowym.

To wszystko warte było szarży pod Somo-Sierrą. Pozostawało by tylko do ustalenia, jak wysokim był odsetek tych ofiar. W przeciwieństwie do świetnej legendy rycerskiej Rzeczpospolita nie chodzi w kołpaku

z czaplich piór. Rzeczpospolita jest szara, jak szarym jest życie człowieka pracującego. Stoi ona nie świetnymi czynami jednostek, ale wysoką wartością i przywiązaniem do niej przeciętnego obywatela. Zasadniczym warunkiem jej trwania i rozwoju jest ogólna suma patriotyzmu u ogółu jej obywateli. Było by rzeczą niezmiernie ciekawą móc wymierzyć tę ilość w sposób możliwie dokładny. Ale na razie chodzi mi o co innego. Chodzi mi nie o ilość, tylko o jakość naszej miłości ojczyzny. Co do ilości, powiedzmy, że była ona co najmniej wystarczająca, jeżeli pozwoliła nam przetrwać okres niewoli, nie dając sobie wyrwać języka, nie zatracając świadomości narodowej, nie pozwalając się doszczętnie znieprawić.

Mniej zadowalająco stoi sprawa pod względem jakości. Przede wszystkim byliśmy zawsze narodem, który nie bardzo umiał znaleźć i ocenić swoją właściwą wartość: cenił ją niekiedy zbyt nisko, kiedy indziej, może częściej, cenił ją nazbyt wysoko. Przy wielkiej zdolności naśladownictwa przejmował dobrowolnie obcy obyczaj, kulturę i język, nie zawsze robiąc korzystną zamianę. W innych wypadkach, zwłaszcza w stosunku do narodów mniejszych i słabszych, miewaliśmy niekiedy tak wysokie pojęcie o sobie, że nie pozwalało nam ono dostrzec, iż tamci mają swoje własne formy życia, nie wiadomo — gorsze czy lepsze od naszych, ale na pewno bliższe im i milsze. W tym wypadku była to po prostu megalomania narodowa, która niegdyś była skutkiem poczucia odrębności gatunku rodu czy szczepu, a później po prostu wyrazem pewnej próżności. Nie jesteśmy co prawda pod tym względem żadnym wyjątkiem. Każdy niemal z narodów uważał swego czasu swój kraj albo swoją stolicę za „pępek świata" po prostu. Z bardzo pod tym względem pouczającej i bardzo zabawnej broszurki p. Bystronia pod tytułem „Megalomania narodowa" można się dowiedzieć, że w Anglii istnieje parę towarzystw, poświęcających się przekonaniu swoich rodaków, iż są właściwie potomkami zaginionych dziesięciu pokoleń żydowskich, co oczywiście daje im prawo do władania światem. Niemcy, którzy w złej czy dobrej sprawie lubią iść aż do końca, nie poprzestają już na tym, że są wybranym przez Boga narodem, ale uważają się za naród-bóstwo (Gottvolk).

Myśmy tak daleko na szczęście nie zaszli. Wprawdzie mesjanizm chciał uczynić Polskę Chrystusem narodów, a poczciwy Pan Balcer Konopnickiej, kowal z podlaskiego Łukowa, unita, męczennik i wychodźca wyrzucony z Polski za morza, gdyby go pytał lada kiep: „Gdzie ziemia twoja" — zamierza odpowiedzieć:

„Nie dbaj, łba podnieś, bo cię też do smutku
„Nikto nie zwiąże! Zdzierż górnie psubrata,
„Rzekąc: — A gdzieżby? W samym środku świata...
„My, Polska, zawsze stalim bliżej Boga".

W obu tych wypadkach mamy do czynienia z niewątpliwą przesadą, ale ta przesada ratowała ludziom życie. Na rumowisku ojczyzny albo na dalekim i gorzkim wygnaniu trzeba się było leczyć bodaj mirażem od zalewającej duszę trucizny rozpaczy i niewiary. Dziś, kiedyśmy rumowisko dość znacznie już uporządkowali, kiedy kozaków, którzy gnali Pana Balcera nahajami za morze, dawno w Polsce już nie ma, a krew wylana na Podlasiu wsiąkła już w ziemię, czas było by nadać swojej miłości do kraju treść może mniej poetycką, ale bardziej rozsądną. Obawiam się bowiem, że ta przesada w uwielbianiu swojej ojczyzny, której ślady spotykamy po dziś dzień u nas, pociąga za sobą skutki bynajmniej nie tak błahe, jakby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać.

Kto się uważa za naród-bóstwo, a choćby tylko za naród wybrany przez Boga, ten musi się domagać szczególnych przywilejów dla siebie. Więcej ziemi, więcej praw, więcej zysków. Nawet niezbyt wielkie narody marzą o tym, żeby ich państwa stały się mocarstwową potęgą; chciałyby zaawansować na „gubernatorów świata" i narzucać innym swą wolę. W tym celu zakłada się ligi mocarstwowego znaczenia państwa, wtedy kiedy należało by przede wszystkim wytępić w kraju ostatecznie wszy i nauczyć wszystkich jego mieszkańców używania mydła w dostatecznej ilości. Ludzi ogarnia szaleństwo wielkich cyfr: wielkich armii, wielkich budżetów, gdyby się tylko dało, wielkich kolonii, w których by na początek można było topić wielkie kapitały. W ten sposób rodzą się psychiczne podstawy imperializmu, tak jak przez anarchiczną produkcję nadmiaru towarów, dla których trzeba siłą zdobywać nowe rynki, rodzą się jego podstawy gospodarcze.

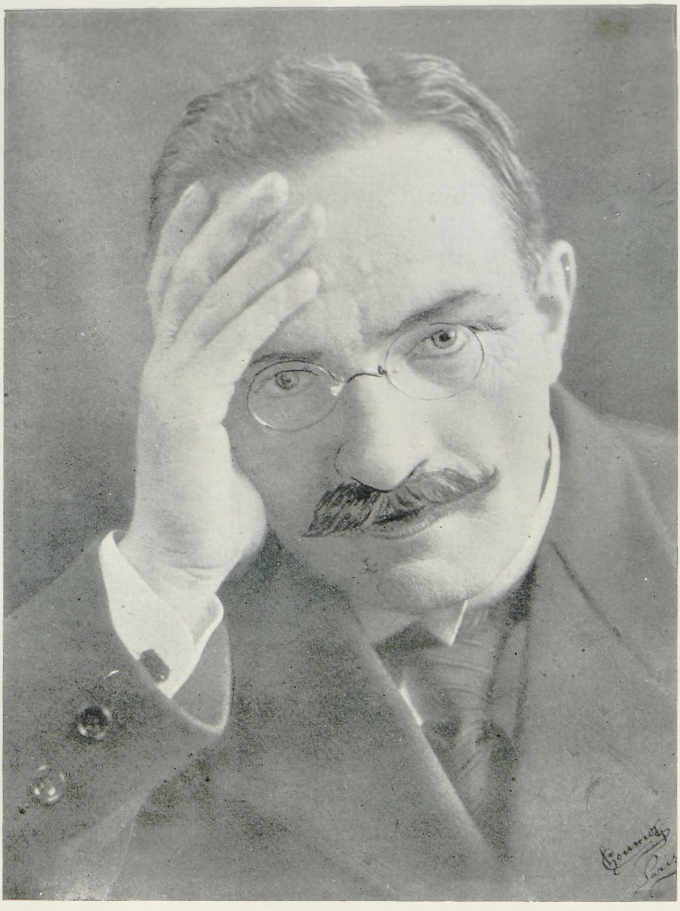
A potem przychodzi rzecz najgorsza. Ojczyznę swoją stawia się na tak wysokim piedestale, że stoi ona tam w zupełnej niemal próżni. Norm prawnych, które by państwo z chęcią czy bez chęci musiało wykonać, są zaledwie zaczątki. Moralność ogólnoludzka wielu ludziom wydaje się rzeczą dość mętną, jeśli nie śmieszną, zwłaszcza gdy samo słowo „ludzkość" w zestawieniu z ojczyzną wydaje im się dość podejrzanym. Wszystko, co się tyczy państwa, jest traktowane wyłącznie z punktu widzenia

celowości i jego własnego pożytku. Pro publico bono można zabijać, kraść, oszukiwać i można nawet ubiegać się o nagrodę za te chwalebne czyny. Ale ponieważ inni myślą i czynią to samo, w pewnym momencie wszystko redukuje się do prostych aktów siły. Jeżeli się samemu nie jest dość silnym, szuka się doraźnych wspólników — mocniejszych.

Skutkiem tych pięknych metod była właśnie ostatnia rzeź świata. Na samo jej wspomnienie wszystkie narody wstrząsa do dziś dnia dreszcz zgrozy, co nie przeszkadza, że coraz częściej i coraz bardziej otwarcie mówi się o nowej, jeszcze gorszej rzezi.

Zdawało by się — po co mówić to wszystko? Polityka zewnętrzna Polski jest przecież bezwzględnie szczerze pokojowa; nie zagraża nikomu, nie pożąda niczyjego dobra. Nie zaprzeczam temu. Chciałbym tylko, aby taką pozostała na zawsze, nie z musu, nie z obawy, ale z najgłębszego przekonania, że to jest dla Polski jedyny sposób zapewnienia sobie trwałego i istotnego bezpieczeństwa. Żeby nie tylko nie przeciwdziałała próbom zorganizowania pokojowego współżycia narodów, ale stała się jego najżarliwszym, najczynniejszym znawcą. Myślę, że w tym celu będziemy musieli jednak dokonać uprzednio dość daleko idącego przewartościowania naszych pojęć o ojczyźnie i naszych w stosunku do niej obowiązkach. Być może, będzie nam tego łatwiej dokonać, jeżeli do tych twierdzeń teoretycznych przyłożymy trzeźwą miarkę rzeczywistości.

Mamy dwóch potężnych sąsiadów, z których jeden kwestionuje nam granice, drugi zaś podkopuje się pod ustrój społeczny. Nie wiem, czy już czas mówić o grożącym Polsce wcześniej czy później ataku. To pewna, że znajduje się ona pod straszliwą presją tych dwóch kolosów o olbrzymiej masie, wielkiej prężności i złych tradycjach historycznych. Poza tym mamy sojuszników, traktujących nas nieco jak ubogich krewnych z prowincji, którzy mają jakieś przykre procesy w mniej znanych sprawach i którzy mogą lada dzień poprosić o pomoc materialną w najmniej odpowiednim momencie. Jeden z możnych tego świata, p. Mussolini, oświadcza publicznie, że jego zdaniem małe państwa za kilkadziesiąt lat znikną po prostu z mapy, a my wciąż jeszcze nie wiemy, od ilu to milionów mieszkańców i ilu tysięcy armat zaczyna się duże państwo; nie wiemy więc, czy w tym uniwersalnym szlachtuzie mamy być tymi, którzy rżną, czy tymi, którzy idą pod nóż. Wewnątrz mamy ciągle jeszcze zbyt wielkie pozostałości polskiego nacjonalizmu, który się szczyci swoim zdrowym egoizmem narodowym, i dość częste sny o potędze, która na razie jest tylko snem. Ligi Narodów nie nazywamy już



Fot. Piotr Szumow w Paryżu

1919 r.

żydowską budą, ale kiedy w Anglii jest sto kilkadziesiąt tysięcy jej zorganizowanych przyjaciół, nasz polski odpowiednik tej instytucji jest chudym ablegierkiem, co się dzieje może dlatego, że dla większości czytelników naszych gazet Liga Narodów to tylko parawan, za którym się robi rzeczy nieprzyzwoite. Zawiesiliśmy na razie na kołku nasz spór o orientacje, ale stało się to oczywiście dlatego, że wybór z Rosją przeciwko Niemcom, czy z Niemcami przeciwko Rosji jest zgoła nieaktualny i byłby w obecnej chwili właściwie wyborem pola, na którym chcielibyśmy nadłamać sobie karku.

Wszystko to razem wygląda dość niepewnie. Próżnym było by, poświęcając wszelkie względy, odrzucając wszystkie skrupuły, budować wielką siłę jako ultima ratio, jeżeli nie wiemy, kiedy przyjdzie kryzys i czy zdążymy ją wybudować. Pewniejszą, może jedynie pewną drogą wydaje mi się szukając bezpieczeństwa iść ku zasadniczej przemianie świata, iść do stworzenia społeczeństwa narodów, w którym na równi z mocarstwami małe państwa będą miały prawo do ziemi i pracy. Może to być wznowienie zasad protokółu genewskiego, dodanie sankcji do paktu Kelloga czy utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy. Musi to być przede wszystkim rozbrojenie moralne, bez którego żadna formuła prawna, dająca światu pokój, nie tylko nie utrzyma się, ale bodaj nie zostanie nawet wynaleziona. Ale rozbrojenie moralne to przecie nie co innego, jak zmiana dotychczasowych pojęć o ojczyźnie, to, powiedzmy otwarcie, pewne, nieznaczne zresztą, ograniczenie jej suwerenności, to zakazanie sobie i innym pewnych chwytów w międzynarodowej walce o byt, to zrozumienie, że obok czy ponad pojęciem ojczyzny istnieją prawa ogólnoludzkiej moralności, których łamanie nie leży w jej interesie.

Zbyt wielu ludziom w Polsce wydają się te poglądy być mrzonką, bezpłodnym idealizmem, śmiesznością. Jeżeli to jest idealizmem, co u licha jest realizmem? Trzynaście milionów trupów na pobojowiskach i setki miliardów długów, które różnym państwom łamią grzbiet pacierzowy? Czy może tajne zbrojenia jako akompaniament not pokojowych? Czy wreszcie nasze 30 milionów ludności wobec przeszło 200 milionów Rosjan i Niemców? Bezwzględna pokojowość jako jedyna dla Polski polityka jest najwidoczniej oczywistością, jeżeli zarówno Sejm i Rząd, jak cała prasa popiera wszystko, co zbliża nas do zorganizowanego pokoju. Nie wątpię w szczerość tego poparcia. Chodzi mi tylko o to, aby jak największa u nas ilość ludzi wpoiła w siebie głębokie przekonanie,

iż jest naszym najwyższym interesem, warunkiem naszego utrzymania się na powierzchni — rozwinąć jak największą energię dla ustalenia nowych, innych i lepszych form współżycia narodów.

Nie przeszkodzi to nikomu budować istotnej wielkości swojego kraju. Powiększyć polskie bogactwo materialne, podnieść myśl polską do wysokiego lotu. Wyciągnąć z ziemi wszystko, co dać może. Zapewnić każdemu obywatelowi wszystko, czego potrzebuje do życia, do dobrego, jasnego życia. Dużo sprzedawać i dużo kupować. Być pożytecznym innym narodom. Wydaje mi się, że Polska w końcu XVIII w. zginęła między innymi dlatego, że nie była nikomu i do niczego potrzebna. A jeżeli nas mimo wszystko ktoś chciałby brać za gardło — bronić się, bo poddaje się bez oporu tylko naród nikczemny.

(„Świat" 1929 r.)

NEUTRALNI

Dziś, wczoraj, zawsze zresztą, w każdym społeczeństwie i w każdym ustroju ilość ludzi walczących z namiętną pasją o to, co im się wydaje być prawdą, jest niesłychanie znikoma. Tylko w wielkich kataklizmach dziejowych, w momentach wysokiego napięcia rewolucyjnego tłum nie tylko wylewa się na ulicę, ale zachowuje się tak, jak gdyby bruk parzył go w stopy: łamie przeszkody, zapominając o sobie żyje chwilą, jest wzburzoną falą, która bije jak taran. A przecież nawet wówczas to są tylko krótkotrwałe porywy. W czasie Rewolucji Francuskiej, w zgromadzeniu, którego wola napięta była jak łuk, w Konwencie Narodowym, największą połać sali zajmowali ci, którzy wzburzali się tylko na rozkaz, przed każdym spadającym piorunem uchylali głowy i na ogół milczeli. Dość pogardliwie nazywano ich „bagnem". Nie brak było wśród nich umysłów światłych i charakterów czystych, ludzi, którzy skąd inąd mogli być pożyteczni, ale wśród szalejącej burzy woleli być neutralni. Najznakomitszy z nich Sieyés, mąż stanu i publicysta, ujął to krótko — najważniejszym jest żyć. Żyli więc bez sławy, bez wysiłku innego niż strach, bez pożytku na razie.

Można by przypuszczać, że ich racją bytu są pewne wartości konserwatorskie, hamowanie rozszalałego nurtu, który grozi powszechną

zagładą. Ale te czynności spełniają otwarci i zdecydowani konserwatyści, świadomie i odważnie przeciwstawiając się tym, którzy chcą iść zbyt szybko i działać zbyt gwałtownie. Neutralni nie czynią nic, w gruncie rzeczy nie chcą niczego prócz jednej jedynej rzeczy — trwać, czy jeśli kto woli, żyć.

To życie nie musi być koniecznie niedogodnym. W dziedzinie działania jednostkowego potrafią oni dokonywać odkryć naukowych, tworzyć dzieła sztuki, zwykle dość chłodne i mało płodne, ujawniać w życiu rodzinnym i przyjacielskich stosunkach zalety wysokiej próby. Nie chcą tylko czy nie umieją pamiętać, że człowiek jest z natury swojej istotą towarzyską, zwierzęciem żyjącym i działającym gromadnie. Nie mają instynktu społecznego, zwykle nie mają także instynktu walki.

W czasach normalnych, ściśle powiedziawszy, w czasach zastoju, kiedy jako tako uregulowana maszyna klekocze monotonnie, kiedy olbrzymia część ludzi jest tylko spożywcą prawd uznanych, oficjalnie ostemplowanych i dość już mocno startych, taki stan rzeczy nie gorszy i żalu nie budzi. Ale kiedy, jak dziś, przychodzi moment kryzysu, kiedy więdnie wczorajsza wiara i nikt już liczmanów prawdy nie chce brać za dobrą monetę, widok ludzi, chcących jakgdyby postawić się poza obrębem czasu i zdarzeń, chcących być tylko pasażerami na okręcie idącym w burzę — taki widok jest przykry.

Nie jest celem tych uwag stawianie jakichkolwiek horoskopów, ani nawet badanie przyczyn zła. Wystarczy stwierdzić, że kładący się ciężkim brzemieniem na życie dzisiejsze kryzys przestał już od dawna być zjawiskiem czysto gospodarczym, że sięga już podstaw kultury współczesnej. I że pierwszym środkiem zapobiegawczym musi być skupianie się w gromady, czegoś chcące, czegoś szukające, a przynajmniej budujące pewną siłę odporu. W gromady, skupiające się nie tylko na podstawie wspólnych dowodów obywatelstwa lub jednakowych metryk urodzenia, ale na podłożu wspólnego świadomego poczucia przynależności do świata pracy, o którego interesy i los wszak w pierwszym rzędzie gra idzie.

Idzie czas zły, czas twardy dla słabych. Podważa on najbardziej zdawało by się ustalone podstawy ustroju, stawia zagadkę bytu w najbardziej prostacko uproszczonej formie utrzymania się na powierzchni. Może być, że najwyższym celem istnienia jest trwać i jest żyć, ale przetrwać idąc samopas będzie ponad siły tak wielu. Być neutralnym dziś, to przeceniać swoje siły, to nie rozumieć chwili.

Gdyby mi ktoś powiedział, że pisząc to myślałem przede wszystkim o stanie rzeczy w naszym małym światku pracowników spółdzielczych, o naszym ciągle jeszcze zbyt wielkim rozproszeniu, nie umiałbym zaprzeczyć.

(„Pracownik Spółdzielczy" 1932 r.)

CHŁOPSKA DYKTATURA

Na ostatniej Radzie Naczelnej Stronnictwa Ludowego odezwało się parę głosów — nielicznych i dość nieśmiałych — proponujących rozpatrzenie zagadnienia chłopskiej dyktatury. Rada Naczelna, jako całość, nie tylko nie zadośćuczyniła żądaniu tych mówców, ale wręcz przeciwnie — wyraziła w specjalnej uchwale potępienie wszelkich dyktatur, nie wyłączając dyktatury chłopskiej. Formalnie rzecz się na tym skończyła, program ludowy pozostał bez zmian. Gdy jednak wśród zwolenników rządów silnej ręki był i przedstawiciel młodzieży, która wszak niezadługo będzie nadawała realny kształt życiu — z wolą nas, starych, czy pomimo tej woli — gdy prócz paru osób, które były obecne na zgromadzeniu i które mówiły, jest może więcej takich, którym nieśmiałość albo niedojście z samym sobą do zgody zamykają na razie usta — rzecz warta dalszej i całkiem szczerej dyskusji. Warta tym bardziej, że ciągle jeszcze głównym sposobem demokracji jest przecie perswazja, choćby ona była trudna, kiedy trzeba mówić pod wiatr.

Prawda — nie jest to dzisiaj modne. Jakże chętnie zamiast namowy używa się rozkazu, zamiast dobrego słowa — krzyku, bata i kuli. I rzecz szczególna — w aż nadto częstych wypadkach godzą się na to zarówno rządzący, jak rządzeni. Łatwiej rozumieć rządzących: zawsze i w każdym społeczeństwie znajdzie się pewien odsetek ludzi o tęgiej woli i słabym instynkcie społecznym, którzy chcą narzucać swą wolę innym, choćby dlatego, że się z tymi innymi nie potrafią uzgodnić w drodze porozumienia. Ich przerost poczucia własnej wartości wyradza się w pychę, która nie znosi oporu. W czasach normalnych burzą ustanowiony porządek, co niekiedy ma cechy zwykłego warcholstwa. W momencie zamętu sięgają po władzę, uważając się za szczególnie uprawnionych do tego. Jeżeli nawet nie przypisują swojej władzy — na wzór średniowiecznych monarchów — pochodzenia boskiego, twierdzą, iż otrzymali ją z rąk narodu,

przy czym do określenia woli tego narodu na swoją korzyść dopomagają wszelkimi środkami, od korrupcji zacząwszy, na terrorze skończywszy.

Jedno wszakże należy im przyznać: utrzymują się oni na swych stanowiskach nie tylko siłą fizyczną, którą je zdobyli, ale świadomą czy podświadomą zgodą na ich rządy znacznej części ludności. Jedni mrucząc po kątach godzą się z nimi z obawy o swoją wolność, życie, czy bodajby kawałek chleba. Inni nie mogą w państwie swoim znaleźć żadnego impulsu do czynu. Jeszcze inni — i tych jest może najwięcej — nie chcą walczyć z systemem, który im się nie podoba, nie mogąc stworzyć innego, który by im się więcej podobał. Dusze rozczarowane i czerstwe, wędrowcy, którzy w cieniach nocy zgubili swą drogę, stracili już wiarę w ideały, które do niedawna wydawały im się tak szlachetne, jasne i proste.

Na tym tle rodzą się równie dobrze tęsknoty do nowego ideału, jak niecierpliwość, która by chciała diabelnie splątane sprawy świata rozciąć toporem, skoro ich rozsupłać nie umie. W tej prostej, czy może raczej prostackiej decyzji mieszczą się już w zalążku wszystkie rozumowe argumenty, którymi potem uzasadnia się dyktaturę. Po co tracić czas na nieskończone dyskusje dla pobrania zbiorowej decyzji, skoro w setną część tego czasu można mieć decyzję jednostki, która będzie rozkazem i prawem. Po co istnieje system, w którym nieustająca walka o władzę niweczy siły państwa, system, w którym do głosu dochodzą miernoty, a geniusze, nie chcący zabiegać o łaski tłumu, skazani są na milczenie. Dlaczego wreszcie, skoro współżycie narodów jest dziś nieustającą walką, nie mamy do nich iść w szyku i dyscyplinie wojskowej.

Za zbędne uważałbym zajmować się zbijaniem tych argumentów: kontrargumentów ma każdy człowiek dobrej woli pod dostatkiem pod ręką. Chcę tylko zwrócić uwagę, że we wszystkich tych twierdzeniach szczególnie wyjaskrawiona jest strona negatywna. Dowodzić wątpiącym i wahającym się, że wprawdzie demokracja jest niezła, ale dyktatura jest lepsza, było by dość zawodne, być może niebezpieczne. Bić natomiast, chociażby ze złą wiarą, ale z niepohamowaną pasją w ustrój, który się obaliło, to nie tylko usprawiedliwiać swoje postępowanie, ale wzmagać w szeregach przeciwnika wahanie, ale odciągnąć z nich ludzi słabszej wiary, żeby się co najmniej stali neutralnymi. Szerząc w ten sposób zamęt, wolno mieć nadzieję, iż od zwątpienia w demokrację do wiary w dyktaturę jest już jeden krok tylko. I nie jest to płonna rachuba, skoro zaczyna się mówić, iż dyktatura nie jest zła, złym jest tylko to, że nie my ją sprawujemy. To wzdychanie do drugiego końca kija, który

winien się w naszych rękach znaleźć, to rzecz dość niebezpieczna. Wyrwać napastnikowi kij i odpędzić go nim od siebie — po ludzku biorąc, jest całkiem zrozumiałe. Ale żeby na kiju przyszłość swoją budować, musiałby ruch ludowy i z nim cała demokracja odrzucić od siebie swoje najbardziej podstawowe zasady: hasła wolności i sprawiedliwości społecznej.

Ale jeżeli te dwa hasła odrzuci, co mu się w takim razie zostanie? Apetyt i dążenie do zdobycia siły, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że siła ma być warunkiem zaspokajania apetytu. Ależ to jest właśnie w najbardziej uproszczonym skrócie schemat dzisiejszego ustroju społecznego: je do przesytu ten, kto ma siłę innym żywność odebrać. Gdy tak jest, po cóż dokonywać tyle wysiłku, żeby w ostatecznym wyniku wrócić do punktu wyjścia? Cóż za różnica, kto będzie cierpiał i kto będzie wyzyskiwał, kiedy zadaniem naszym winna być walka z wszelkim wyzyskiem i z wszelkim cierpieniem.

Przypuszczam, że ci, którzy dziś zaczynają marzyć o chłopskiej dyktaturze, chcieliby jej tylko użyć na krótki czas, do chwili ostatecznego triumfu naszych żądań i potrzeb. Ale to jest rachunek bez gospodarza, dyktator bowiem nie jest pełnomocnikiem, którego można w każdej chwili rejentalnie odwołać. Istotą dyktatury jest próżnia prawna, w której ona działa; nawet prawa przez siebie samą wydane traktuje ona pod kątem doraźnej celowości. Kto się więc przyczynia do powstania dyktatury, czyli mówiąc innymi słowy, do złamania istniejącego prawa, ten łudziłby się sądząc, iż wedle własnej woli łatwo przywróci moc prawu. Prawo jest przede wszystkim zaspokojeniem potrzeb klas czy grup rządzących, o ile mają siłę nadać im wyraz realny. Nie ma siły ten, kto całą moc decyzji oddaje w cudze ręce. Pozostaje mu jedyne prawo niewolnika — prawo buntu, ale bunt, choćby nawet najbardziej usprawiedliwiony moralnie, nie może być przecie stałym regulatorem życia politycznego narodu.

Wszystkie te względy nabierają szczególnej wagi w zastosowaniu do ludowego programu. Biorąc pod uwagę liczebność drobnych rolników, nie może być u nas mowy o demokracji bezpośredniej, o rządach przez wielkie zgromadzenia ludowe. Nawet w systemie reprezentacyjnym pobieranie zbiorowych decyzji w każdym poszczególnym wypadku na wieloosobowych zgromadzeniach mało wyrobionych, skłóconych nieraz ze sobą, nurtowanych niezdrowymi ambicjami i intrygami, grozi zupełnym bezwładem ruchu. Potrzeba wodza czy wodzów jest oczywista. I nie mam nawet wątpliwości, że w pewnych ważnych i nagłych wypadkach wodzo-

wie ci muszą mieć prawo dokonywania daleko idących posunięć, byle by z nich natychmiast zdawali komu należy sprawę i byle by za nie ponosili odpowiedzialność.

W tym właśnie leży cała różnica między wodzem ludowym a dyktatorem, który odpowiada tylko przed jakimś bliżej nie określonym „narodem" albo przed mianowaną przez siebie radą przyboczną. Odpowiedzialność wodza ludowego, to rzecz, którą można ściśle określić i w ścisłe ująć normy: wódz niezdolny, wódz, który się zbyt często myli, nie mówiąc już o wodzu, który zdradza, musi odejść. Mogą z tym być kłopoty, nie może to być zagadnieniem nierozwiązalnym. Nie trzeba tylko wprowadzać do gry jakichś nadprzyrodzonych właściwości umysłu i charakteru człowieka, który ma stać na czele; ta fałszywa mistyka nie pasowałaby do całkiem realnych interesów i trzeźwych na ogół głów chłopskich.

Ile należy zostawić władzy rządzącym i jak rządzeni mają sprawować nadzór nad ich działaniem, to już należy do szczegółów ustroju politycznego, o których tu mówić nie będziemy. Jedno jest pewne: dla tłumu chłopskiego, złożonego ze słabych społecznie i gospodarczo jednostek, jedyną rękojmią dobrobytu rządów jest jawność życia publicznego i możność odwoływania swych wodzów. Ale to są właśnie rzeczy nie do pomyślenia w ustroju dyktatury. Po cóż ją zatem proponować?

(„Młoda Myśl Ludowa" 1934 r.)

GRABARZE DEMOKRACJI

Pogrzebali ją już tyle razy i ciągle jeszcze grzebią i sypią nad nią kopiec coraz większy, coraz cięższy, żeby ją wtłoczyć w głąb ziemi. Zaczęło się od przechwałki Mussoliniego, który idąc po władzę obiecywał swoim zastępom, że „zatknie zwycięski sztandar na śmierdzącym trupie wolności". Dużo od tej chwili upłynęło czasu, „wódz" posiadł pełnię władzy, jaką rzadko kto posiada, ale ciągle jeszcze najlepsi synowie Włoch przekładają wygnanie nad ugięcie grzbietu przed triumfatorem i ciągle na straszliwych wyspach Liparyjskich trzeba morzyć w ohydnej kaźni powolną śmiercią tych, którzy z duszy swojej nie mogą wypruć instynktu wolności. A wolność — polityczna i gospodarcza — jest przecie niczym innym, jak odmiennym wyrazem na oznaczenie demokracji, która jest zorganizowaną wolnością.

Bądźmy jednak trzeźwi. Nic bowiem nie ma bardziej groźnego niż zamykanie oczu na niebezpieczeństwo. Tylko człowiek bezgranicznie lekkomyślny lub ślepy duchowo mógłby nie dostrzec, że od dłuższego już szeregu lat demokracja cofa się i ponosi klęski, że jest już cały szereg krajów, w których jest słowem zakazanym, w których jej dobytek utopiono we krwi. Co gorsza — idźmy jeszcze dalej w szczerości, — demokracja jest dziś raczej w defensywie, broni się tylko gdzie może i jak może od zadawanych jej ciosów. W porównaniu z bohaterskim, przepojonym wiarą w bliskie zwycięstwo okresem walk o prawa obywatelskie, o głosowanie powszechne, o związki zawodowe i wolność polityczną dziś, jeśli nawet nie straciła odwagi do walki, mniej ma wiary w siebie, w wartość wysiłku i ofiary.

Biorąc rzecz szerzej, wszystko to razem nie ma żadnego znaczenia. Morza historii nie mierzy się szklanką. Kilka czy nawet kilkanaście lat jest okresem zbyt krótkim, ażeby na jego podstawie budować jakieś wnioski, a zwłaszcza budować zabójcze wyroki. Demokracji mogło by się jeszcze znacznie gorzej powodzić i jeszcze głupstwem było by mówić o jej śmierci. Demokracja nie może umrzeć, bo jest wieczną, tak jak wiecznym jest w człowieku pragnienie jedzenia do syta i oddychania pełnią świeżego powietrza.

Demokracja ma błędy. To słuszne, w przeciwnym razie byłaby fikcją. My, demokraci znamy je lepiej z codziennego doświadczenia niż nadęci krytycy, którzy sięgają wzrokiem do zabłoconych butów lub nieco wyżej, a wyrokują z dość bezczelną pewnością siebie o całości.

Wartość demokracji, jak wszystkich innych rzeczy w świecie fizycznym i moralnym, jest względna. Nie ma co wymagać doskonałości od demokracji, bo rzeczy doskonałe otrzymać można tylko w laboratoriach, życie zaś jest mocno niedoskonałe. Wartość praktyczną ustroju sprawdza się najłatwiej bez długich teoretycznych dociekań, przez porównanie z innymi ustrojami. Otóż to, co dziś zwalcza demokrację, co się nad nią wynosi, co ją chce bez reszty zastąpić, warte jest tylko wzgardliwego parsknięcia śmiechem. Doktryny, których genezą i punktem wyjścia jest utrata wiary w siebie społeczeństwa. Mistyczna wiara w „wodza", bez podania sposobu, jak go w razie zniknięcia zastąpić. Prostackie metody, przy których ucisk dusz jest większy jeszcze niż gwałt zadawany ciałom. Wszyscy i wszystko ma być zestandaryzowane, jak kafle do pieca albo rodzaje żelaza handlowego; wszyscy mają według dostarczonych przez urzędy wzorów myśleć, czuć, działać i rozmnażać się. Atmosferę koszar

usiłuje się wprowadzić do akademii nauk, do kościołów, do najpoufniejszych między ludźmi stosunków. Państwo wyniesione do godności bóstwa, którego tłumaczami woli będzie jednak tylko klika rządząca. Z pojęcia narodu uczyniono potwora, któremu się składa krwawe ofiary i który się czai do skoku na najsłabszego z sąsiadów. Jeżeli dyktatury potrwają dłuższy czas, ludzkość wraz z całym swoim dobytkiem cywilizacyjnym zwali się w otchłań katastrofy wojennej, będącej nieuniknionym skutkiem ich założeń. Jeżeli nie wyniszczą jej wojny, dusze ludzkie skarleją i spodleją w tej niewoli psychicznej.

A jednak jest kilka narodów, i to niekoniecznie stojących na niskim stopniu kultury, które nie chcą czy nie mogą zerwać z tym systemem. Przyczyn tego jest wiele. Poprzestańmy na paru najważniejszych. We wczesnym okresie powojennym uzyskała demokracja w kilku państwach wpływ na rządy, ale razem z nim odziedziczyła straszliwy ciężar katastrofy gospodarczej, w której zarówno jak w wojnie nie była winna. Zażegnanie tej katastrofy okazało się ponad jej siły, jak okazałoby się ponad siły każdego innego rządu — w opinii tłumu winien był jednak ten, kto rządził. Rozdwojona wewnętrznie, oparta z konieczności na biurokracji przedwojennej, która ją sabotowała, jeżeli nie po prostu zdradzała, być może niedość śmiała w działaniu, cofała się krok za krokiem. Popełniła przy tym błąd kapitalny, stosując do wszystkich właściwą sobie metodę perswazji i zapominając, że gwałcicieli pokoju nie namawia się do szacunku prawa, tylko im się go siłą narzuca.

Rozwój gospodarczy demokracji nie dorównywał przy tym bynajmniej jej zwycięstwom politycznym. Ci, którym już od dawna wypadł z rąk rząd dusz, zatrzymali niemal w całości zarząd kapitałów. Część tych kapitałów obracano na sypanie szańców przeciwko demokracji, na kopanie przed nią zdradzieckich wilczych dołów. Zarówno we Włoszech, jak w Niemczech początków ruchów antydemokratycznych szukać trzeba w kasach wielkiego przemysłu. Cierpienia mas, strach przed jutrem, bezrobocie sprzyjały powstawaniu demagogii i wynikającej z niej masowej psychozy. Na świat poszła ciężka, dusząca mgła.

Nie ma żadnej podstawy przypuszczać, że ta mgła nigdy się nie rozwieje. Trzeba by naprzód uwierzyć, że ludzkość wyrzeknie się ideałów, do których przez stulecia dążyła w trudzie i w męce: poszanowania prawa, miłości człowieka, wolności twórczej pracy. Albo też musielibyśmy powziąć obawę, że pod wpływem gwałtów i systematycznie stosowanych zastrzyków głupoty całe narody wpadną w nieuleczalny obłęd.

Ale to są płonne obawy. Pozbawiona praw, sponiewierana przez nędzę, marzy dziś demokracja przede wszystkim o zerwaniu z karku obroży, którą nałożono jej gwałtem. Ale równocześnie nawet w tym okresie upadku rosną w niej siły twórcze, kształtują się myśli o bardziej doskonałym sposobie działania po odzyskaniu wolności, w chwili, która nadejdzie, która nadejść musi, inaczej bowiem życie stałoby się nonsensem. Kwestia może być tylko, czy chwila ta nadejdzie przez ucieczkę od odpowiedzialności jej przeciwników, czy odbyć się to musi przez rozgrywkę sił.

To już jest inne zagadnienie. Na razie bezspornym jest jedno: czas już przejść do ofensywy.

(„Robotnik" 1935 r.)

PAMIĘTNIK SZLACHCICA KRESOWEGO

Można mieć mniej czy bardziej wysokie wyobrażenie o wartości pamiętników, zwłaszcza kiedy są opisywane w późnej starości. Jako materiał naukowy dla ustalenia ścisłego przebiegu zdarzeń, mają zwykle wartość poślednią. O niektórych rzeczach autorzy zapominają, o innych nie wiedzą, nie brak i takich, które z tych czy innych względów przeinaczają. Stwierdzenie prawdy czy fałszów zawartych w opowieści nie zawsze jest łatwe, stopień zrozumienia wypadków, na które się patrzyło, które się przeżywało, nie zawsze dostateczny. Pod jednym tylko względem będzie zawsze dobry pamiętnik źródłem nie do zastąpienia: pod względem bezpośredniego oddania barwy i zapachu życia. Akta, dokumenty, ustawy i tabele statystyczne dać nam mogą obraz człowieka-liczby, żywy typ dać może tylko to, co jest bardziej osobiste: listy, opisy, wspomnienia.

Pod tym względem pamiętniki p. Milewskiego [1]) odpowiadają całkowicie swemu zadaniu. Pisane już w latach najostatniejszych, ogarniają szmat życia, jaki rzadko komu dane jest oglądać swymi oczami. Urodzony w roku 1848-ym, sędziwy ich autor już wypadki okresu Powstania Styczniowego obserwował uważnym wzrokiem myślącego pod-

[1]) Hipolit Korwin-Milewski — Siedemdziesiąt lat wspomnień (1855—1925). Poznań, 1930. Str. VIII + 600 + 1 nlb.

rostka. To, co podaje w dalszych rozdziałach, jest niesłychanie długim i barwnym opisem publicznych i prywatnych zdarzeń i ludzi. Pomimo, iż lwia część tekstu poświęcona jest czystej polityce, nie było by wskazanym szukać w tych opowiadaniach ściśle rzeczowego ujęcia historii drugiej połowy okresu niewoli narodu polskiego, ani nawet dziejów jego ściślejszej ojczyzny, północnych kresów Rzeczypospolitej, autor bowiem nader chwalebnym zwyczajem opisuje przeważnie to tylko, co widział, a przynajmniej — co mu się wydawało bezspornym, jako rzecz powszechnie wiadoma. Nie trudno by też było bez zbytnich dociekań i sprawdzań odnaleźć w pamiętnikach tych niejeden błąd polityczny i omyłkę w dacie lub rzeczy. Sama zresztą opowieść zbyt daleka jest od olimpijskiego spokoju obrazu naukowego. Wręcz przeciwnie, jest ona na wskroś przepojona dość namiętną niekiedy podmiotowością, będącą zarówno wynikiem ostro i twardo zarysowanego profilu psychicznego autora, jak i przeprowadzonego z wielką konsekwencją jego klasowego stanowiska. W tym jest słabość tych wspomnień, i w tym jest ich moc. W każdym razie dają one całkiem żywy obraz człowieka, który w swoim środowisku i czasie nie był człowiekiem powszednim.

Jest on interesującym chociażby dlatego, że pomimo dość rzadkiej u nas równości linii działań swych i poglądów przedstawia typ dosyć złożony. Jest przede wszystkim i nade wszystko polskim szlachcicem kresowym. Jest też równocześnie człowiekiem zachodu, nie tylko przez przyswojenie sobie zewnętrznych cech zachodnio-europejskiej kultury, ale i dlatego, że idąc od klas najmłodszych ukończył liceum w Paryżu, uniwersytet w całkiem niemieckim podówczas Dorpacie, aplikację adwokacką i dalsze studia prawnicze odbywał w Paryżu i Tuluzie, a zagrożony w młodych latach chorobą piersiową, spędził dłuższy czas w rozmaitych miejscowościach leczniczych południa i zachodu — w Algierze, Tunisie i Egipcie oraz na głośnej u nas dopiero od niedawna Maderze. Wszystko to w pewnym momencie zagrażało doszczętnym wynarodowieniem. Do dziesięcioletniego chłopaka trzeba było brać na wakacje polskich guwernerów, aby nie zapomniał zupełnie języka. Mając 23 lata młody człowiek marzy o karierze prawniczej we Francji. W pewnym momencie dokonywa nagłego nawrotu: pod presją ojca powraca na stałe do kraju, obejmuje zarząd wielkich majątków, z zachodem podtrzymując związek tylko przez podróże. Jako ślad i wspomnienie młodości zostaje zdolność używania z Francuzami wspólnego języka, nie tylko w znaczeniu słów, ale myślenia. Te ślady pobytu w obcym środowisku

są aż nadto mocne. P. Milewski przystępując do pisania swych wspomnień przyznaje, iż najchętniej pisałby je w języku francuskim. Sądząc z listu do p. Massona, przytoczonego w załącznikach w oryginale, nie trzeba wątpić, iż czytało by się je ze smakiem. Polszczyzna, którą są napisane, jest zwięzła i jasna, ale mało wytworna.

Rzecz szczególna, te dwa prądy — francuski i polski — nie zlały się w duszy autora nigdy w jeden nurt wspólny. Stare to u nas zjawisko. Poczynając od kanclerza Zamojskiego, Radziwiłłowie, Sobiescy, Poniatowscy myśleli i działali na cudzoziemską modłę nad brzegami Sekwany lub Tybru; w kraju różnice między nimi a niepopularnym gminem szlacheckim spadały bez mała do zera. Takich jak Kochanowski, który pozostał do końca szlachcicem spod Kozienic, a jednocześnie do szpiku kości przepojony był humanizmem, było niewielu. Trudno stwierdzić, jak dalece odcinałby się od swojego otoczenia p. Milewski, gdyby na stałe pozostał we Francji. Na polskich kresach, pomijając gruntowne wykształcenie, duży majątek i pewne wpojone w dzieciństwie metody pracy, odcinał się bardzo nieznacznie.

W tej sprawie autor popełnia kapitalny błąd. Niejednokrotnie i nie bez pewnej goryczy skarży się na swoją niepopularność, stwierdza swoją niezdolność pociągania współczesnych za sobą. Porównywując się z Wielopolskim, jak tamten myśli, iż dla Polski łatwiej coś zrobić niż z Polakami, i przypuszcza, że u obu przyczyną nieporozumień z otoczeniem było zbyt wczesne wychowanie cudzoziemskie. Wielopolski był postacią większej miary, a przy tym działał w okolicznościach dających bardziej dogodne warunki rozwinięcia skrzydeł; mimo wszystko podobieństwa między tymi dwoma ludźmi istnieją, ale największym z nich jest nie tyle cudzoziemskie wychowanie, ile wyrosła na podłożu odwiecznych narowów anarchicznych pycha, umiejąca budować Polskę tylko według swojego wzoru, rozumiejąca od biedy współżycie, ale nie mogąca się nauczyć współdziałania. Od czasów odwiecznych jednym z lepszych sposobów panowania nad ludźmi było znalezienie z nimi jakiegoś wspólnego mianownika — uczuć czy interesów — poza tym zaś stworzenie bodajby pozorów ich zgody. P. Milewski ani jednego, ani drugiego nie szukał, sądząc z jego wyznań. Stąd często rozdźwięki z otoczeniem i niesłuszny żal.

Typowym przykładem układania przez p. Milewskiego swojego stosunku do ludzi była w r. 1913 historia ratowania od zguby wileńskiego Towarzystwa Rolniczego, które wskutek wewnętrznych tarć stawało

przed groźbą ruiny. P. Milewski przyjął zarówno wezwanie do ratowania instytucji, jak zaoczny wybór na jej prezesa; na zwołane walne zgromadzenie członków poszedł z zażądaną przez siebie dymisją rady, przeprowadził swoją radę i swego wiceprezesa i Towarzystwo, jak twierdzi, w ten sposób uratował, nie podejmując zresztą czynnej w nim pracy. Środki były heroiczne; nie trzeba się dziwić, że ludzie godzą się na nie tylko pod grozą zniszczenia ostatecznego. Na szerszym terenie, w rosyjskiej Radzie Państwa, pomimo niezaprzeczonej przez nikogo zdolności p. Milewskiego do pracy, zatargi były częstsze i nie rozwiązywały się tak gładko. Wkładając przy gruntownym wykształceniu prawniczym wiele systematycznej pracy w zaznajomienie się z techniką nowego swojego zawodu, w uczenie się prawa budżetowego, w zgłębianie tematów, o których miała być mowa, wybił się niezadługo do pierwszego rzędu, jak byłby się wybił zapewne, niezależnie od poglądów politycznych, nawet w prawdziwym parlamencie, stojącym dużo wyżej od quasi-parlamentu, ówczesnej Dumy i Rady Państwa rosyjskich.

Szczegóły przytaczane przez autora ujawniają niekiedy tak niewiarogodną ignorancję władców wielkiego imperium, że po nich dopiero można ocenić sens słynnego twierdzenia kanclerza Oxenstierny: „Świat nie wie, jak mało potrzeba rozumu, aby nim rządzić". Minister sprawiedliwości, Szczegłowitow, nie tylko nie wie, że w Anglii nie ma prawa pozwalającego monarsze w czasie nieobecności izb wydawać dekrety z mocą ustawy, ale nie słyszał nawet, że w Anglii nie ma w ogóle konstytucji pisanej. Premierowi Stołypinowi, jednemu z najwybitniejszych rosyjskich mężów stanu, musi autor dawać słowo honoru, że w Stanach Zjednoczonych ministrowie nie są zależni od parlamentu, rzecz dla p. premiera całkiem niepojęta, skoro „zmiłuj się, Hipolicie Oskarowiczu, toż tam republika!". Cała Rada Państwa łącznie ze swoim przewodniczącym nie może wybrnąć z trudności, jak uchwalić kolejno w dwóch izbach budżet na święta Bożego Narodzenia, skoro preliminarz złożony został 1 listopada, a na udzieloną przez autora radę, aby rok budżetowy rozpocząć 1 kwietnia, naczelny kontroler państwa mniema, iż żart jest zbyt gruby.

Na takim tle wybić się nie było trudno. Ale jeżeli pomimo widomych oznak uznania nawet u twardszych od nas Rosjan p. Milewski zarobił sobie na przydomek „bańki s jadom" (słoika z trucizną), miększym od nich Polakom trudno było zapewne znieść jego sarkazmy, zwłaszcza, gdy tak, jak w pamiętniku, na każdym kroku podkreślał im swoją wyż-

szość. Nigdzie, a najmniej w Polsce, nie jest to droga do zyskania popularności.

Tylko właściwie, na co ta popularność była p. Milewskiemu potrzebna? Na swoim wileńskim podwórku przeprowadzał na ogół co chciał, co najmniej zaś już gnębił swoich przeciwników do woli, zaczynając od najgłośniejszego z nich — Montwiłła z jego Bankiem Ziemiańskim. Na gruncie petersburskim z popularnością czy bez popularności niewiele można było począć. Polityką ogólnopolską interesował się, sądząc z pamiętników, niewiele; w Krakowie — on, który zjeździł pół świata — po raz pierwszy był dopiero na uroczystościach grunwaldzkich. Jeżeli się oddawał niekiedy marzeniom politycznym, przypuszczać można, iż ukazywał mu się w nich raczej obraz Richelieu albo Bismarcka, aniżeli któregoś z ministrów, opierającego się na woli ludu.

Niczym bowiem mniej nie był p. Milewski w swym długim życiu, jak demokratą. Pomimo swojego paryskiego wychowania i wieczornych dysput kawiarnianych za czasów aplikantury, dla życia Trzeciej Republiki nie ma żadnego zrozumienia, dla działaczy ówczesnych nic oprócz pogardy, której by się nie powstydził najbardziej przekonany członek „Action Française". W r. 1869 był w Palais Bourbon na posiedzeniu Izby, ale zapamiętał tyle tylko, że Izba już się zaraziła diabelskim duchem badania i krytyki, a Gambetta jak wieprz rozwalony siedział na ławie. Chwaląc jednego ze swoich kolegów petersburskich za dość nieoczekiwane posunięcie się w wyrobieniu politycznym, przypisuje je dobremu wychowaniu początkowemu, po czym dodaje: „Pomyśleć, czym zostali do końca co do wychowania taki Thiers, Gambetta, czym jest p. Lloyd George".

Z polskich działaczy politycznych lewica z wyjątkiem jedynego sen. Motza, którego zna jako paryżanina, nie istnieje dla niego wcale; narodowych demokratów, których zresztą bardzo za demagogię nie lubi, wspomina rzadko, najczęściej natomiast wspomina polityków pochodzących ze sfer ziemiańskich lub wysokich finansów. Na chłopa patrzy z całą patriarchalną prostotą: „Chłop z jednej strony ma ogromne zalety prywatne, szczególnie wytrzymałość, pracowitość i oszczędność, rezygnację i posłuszeństwo, ale za to jest rdzennym egoistą, niedostępnym innemu ideałowi, jak tylko religijnemu (bo się diabła boi); jego widnokrąg kończy się z jego parafią. Jak mówił hr. Ołsufiew, chłop nabiera pojęcia o ojczyźnie wówczas, gdy przestał być chłopem. Pamiętajmy, jak w r. 1920 gorliwy obrońca polskiego chłopa (czy Witos, czy p. Da-

szyński) zapowiadał, że polski chłop będzie bronił ojczyzny, jeżeli ojczyzna mu dosyć drogo za to zapłaci". Nie wchodząc w meritum tego osobliwego sądu, można wątpić, czy autor chciałby go w języku francuskim powtórzyć z pism paryskich. Ciągła dwoistość typu: Paryż i Oszmiana.

Zarazem dotykamy się linii przewodniej grubego tomu wspomnień i 70 lat świadomego życia. To już nie konserwatyzm, w każdym razie nie konserwatyzm angielski, czy bodajby francuski — to jakieś resztki feodalizmu, przefasonowanego, co prawda, na nasz polski, kresowy obyczaj. Ponad wszystkim stoi ziemia i jej posiadanie. Ona tylko daje przewagę i prawo do rządów, oczywiście, jeżeli jej się posiada odpowiednią ilość. Stanowi też najcenniejszą część dobytku narodowego, która nigdy nie może być narażona na szwank. Stąd zasadniczy wstręt p. Milewskiego do wszelkich walk wyzwoleńczych, do krwawienia się o wolność, o której nigdy nie mówi. Sto razy wspomina natomiast z nieukrywaną wzgardą o ryzykantach, którzy nie mieli nic do stracenia. Że tracili dość często gardła, a to nie dba, może dlatego, że to były gardła bez ziemi.

Takie zresztą były poglądy, w których wzrósł. W czasie przedpowstaniowym rodzina jego odmówiła wszelkiego udziału w ówczesnych manifestacjach: w okresie powszechnej żałoby dzieci strojono umyślnie barwnie, co zresztą nie uchroniło rodziny od późniejszych prześladowań. O Powstaniu Styczniowym mówi ze złą pasją: „Znałem i wówczas i później osobiście licznych uczestników awantury 1863 r., nie z grona konspiratorów i ludzi, chętnie łowiących ryby w mętnej wodzie, bo nie mają nic do stracenia, a spodziewają się wyskoczyć na ojców ojczyzny, lecz z grona tych „bene nati et possessionati", którzy nie mogli nie paść pierwszymi ofiarami tego szaleństwa 1863 r.". Mówi gorzej: z racji jednego z powstańców wileńskich skazanego na śmierć twierdzi, iż „było by niesprawiedliwym zarzucać prawdziwym kierownikom tego ruchu głupotę... Jemu i jego stronnikom, którzy pchali do walki zbrojnej naiwne nasze ziemiaństwo, wcale nie szło o to, aby to polskie ziemiaństwo zwyciężyło. Szło o to, aby ono z g i n ę ł o. To był wspólny cel Zdanowicza (powstańca) i Murawiewa". Trzeba przyznać, że konserwatywni historycy francuscy o wartości moralnej armii rewolucyjnych wyrażają się szlachetniej i mądrzej.

Im większa skala oskarżonych, tym bardziej groteskowo wypadają te sądy. Mówiąc o Mickiewiczu autor oddaje należyty hołd genialnemu poecie i pisarzowi, ale uważa polityka, działacza i moralistę, „wielbiciela

zdrady", ducha „nastroju" i „tonu", a osobistego wroga rozsądku, za nie mniejszego truciciela duszy i myśli polskich, jakimi się stali dla narodu francuskiego J. J. Rousseau a dla rosyjskiego Tołstoj. Z Mickiewiczem ma zresztą p. Milewski swoje prywatne porachunki za to, że w którejś tam księdze „Pana Tadeusza" źle się wyraził o jego dziadku po matce, p. Samuelu Wołku. Otóż autor twiedzi, że jeżeli chodzi o tyrańskwo, „Mickiewicz, którego ojciec nie miał ani jednego chłopa i który miał sam w Paryżu zaledwie jedną służącą, nie może mieć żadnego zrozumienia dla koniecznego wówczas systemu sieczenia". Nie jest też prawdą, że dziad był sługą Moskali, „prawdą jest natomiast, że p. Mickiewicz był przez dwa lata rosyjskim płatnym czynownikiem". Późno już jest tłumaczyć, czego p. Milewski najoczywiściej nie rozumie, że nawet i w demokracji istnieje coś w rodzaju hierarchii duchów i że dystans między jednym z wodzów moralnych narodu a półpankiem oszmiańskim jest zbyt wielki, aby sobie na taki ton pozwalać.

Te „trzeźwe" poglądy polityczne zachował p. Milewski do końca. Był, pomimo pewnego wstrętu, na odsłonięciu pomnika Katarzyny, bo mu obiecał ks. Mirski, że postara się wyjednać zniesienie zakazu wolnego obrotu ziemią w prowincjach zabranych. Strajk szkolny w Wilnie na prośbę naczelnika kancelarii generał-gubernatorskiej ubił, „bo to była głupia impreza, która potem w Kongresówce przyniosła ówczesnej młodzieży tyle szkody". Napad bezdański był według niego dziełem rabusiów. Uratował wprawdzie jednego z nich na prośby pewnej pani od śmierci swoim wstawiennictwem do wojskowego generał-gubernatora wileńskiego, choć uważał, „że bandytyzm jest bandytyzmem i ani moje stanowisko ani moje przekonania nie radzą mi wsuwać palca między gardło przestępcy a zasłużony stryczek", ale uczynił to dlatego, że mogła być pomyłka, „prócz tego idzie o swoją, polską krew". Żałował tego potem w Paryżu w 1919 r., kiedy ocalony, przyszedłszy mu podziękować, przedstawił się jako adiutant Naczelnego Wodza, a ostatecznie wątpliwości jego rozwiały „polskie szable zwycięskie", kiedy mu zajęły w 1920 r. majątek.

Czasu wojny wątpliwości z orientacjami nie miał żadnych, uważał się bowiem za dobrowolnego poddanego cesarza rosyjskiego, jako wielkiego księcia litewskiego, i węzeł ten dopiero po rewolucji uznał za zerwany. W memoriale pisanym w 1914 r. dla Lubimowa i Jengałyczewa, opisując na ich żądanie partie polityczne polskie, zatrzymuje się na Polskiej Partii Postępowej, dalej bowiem na lewo to już tylko nieznane mu

„podziemne ugrupowania socjalistów czy masonów, (które) mają więcej międzynarodowe niż nacjonalne oblicze". W 1915 r. w Paryżu w rozmowie z Izwolskim o realizacji odezwy w. księcia obawia się wojska polskiego „które by mogło służyć przyszłym rusyfikatorom za pewne narzędzie rusyfikacji". Przedwojennego ruchu niepodległościowego i formacji legionowych nie zna, nie rozumie, nie znosi. O wojsku polskim, które odepchnąwszy bolszewików wkroczyło na kresy, nie mówi inaczej, jak „najazd polski" lub „okupacja polska". W prostym wyniku tego budzące się tam prądy narodowościowe traktuje wyłącznie pod kątem widzenia zagrożonych większych obszarów, nie widząc żadnej potrzeby kompromisu, nie umiejąc żadnego znaleźć rozwiązania.

Niesprawiedliwością i błędem było by dopatrywać się w tym wszystkim cech jakiegoś zaprzaństwa. P. Milewski niewątpliwie nie tylko czuł się zawsze Polakiem, ale i był nim, jakkolwiek w nieco zwężonym zakresie. Odrzucał nie tylko wszelką myśl o walce czynnej, ale i o aktywnym budowaniu Polski; celem było trwać, możliwie bez strat, zwłaszcza materialnych. Odrzucając walkę, wyciągał stąd jakieś cudaczne konsekwencje lojalności dobrowolnego poddanego w. księcia litewskiego, którym przez zły przypadek był cesarz rosyjski. Tę lojalność posuwał tak daleko, że kiedy w czasie zapalnej atmosfery uroczystości grunwaldzkich chłodny zazwyczaj Władysław Żukowski wzniósł okrzyk na cześć niepodległej Polski, czuł się zmuszonym z rzadką odwagą cywilną zaprotestować przeciwko temu; nie chciałby bowiem przed Polakami mówić tego, czego nie mógłby jako członek Rady Państwa, powtórzyć Moskalom, ani odwrotnie — mówić Moskalom tego, czego by się wstydził powtórzyć Polakom.

Na tym jednak zwężonym terenie nie wahał się nigdy z taką samą odwagą mówić zawsze i wszędzie Rosjanom o tym, co uważał za krzywdę — nie Polski może, ale Polaków. Czynił to w Petersburskiej Radzie Państwa, piętnował ostro i bezwzględnie na wielkich zgromadzeniach półoficjalnych obłudę neosłowiaństwa. W wyżej wspomnianym memoriale dla Lubimowa upomniał się o prawa kultury polskiej i języka polskiego nie jak o dar z łaski, ale jak o przyrodzone prawa wielkiego, chociaż nieszczęśliwego narodu. W rok później odmówił udziału w organizowaniu Komitetu Polskiego, obawiając się, iż w ówczesnych okolicznościach będzie on narzędziem w rękach ambasady angielskiej, a zwłaszcza rosyjskiej. Stanowisko działaczy narodowo-demokratycznych w stosunku do przedstawicieli Rosji chłoszcze bez miłosierdzia, dorzu-

cając do tego, co wiemy, garść szczegółów zaiste niechwalebnych. Pod koniec już wojny w liście do znanego historyka, p. Massona, który się obelżywie wyraził o Polakach, w liście, który z powodu cenzury mógł być tylko prywatnie kolportowany, smaga go jak biczem. Niewątpliwie, choć stał pod pomnikiem Katarzyny, ten stary szlachcic ma poczucie honoru swojego narodu, jakkolwiek w obronie jego życia umie tylko trwać biernie. W innych okolicznościach, kiedy jego w. książę litewski był jeszcze królem polskim, mógłby oddać Rzeczypospolitej usługi, jako minister spraw zagranicznych, o ile by go nie poniosła „sobiepańska" swawola.

Niestety, nie mogło by się to powtórzyć już dzisiaj, chociaż Wilno jest znowu z Warszawą. P. Milewski pomimo swojej wybitnej inteligencji nie może sobie zdać sprawy, jak wiele już kart spadło z kalendarza historii, jak dalece innym życie płynie korytem. Jego absolutna niechęć do wciągania szerszych warstw do współudziału w budowaniu państwa, jego zupełne niezrozumienie prądów emancypacyjnych zarówno w dziedzinie społecznej, jak narodowościowej, może i to, że ten paryżanin nieco zardzewiał w swoich dziedzicznych Łazdunach, utrudniają mu niesłychanie zrozumienie Polski dzisiejszej, która — mimo wszelkie swoje wady i braki — warta jest przecież lepszego słowa niż te, jakimi ją stale piętnuje.

Mimo to pamiętniki p. Milewskiego, i jako przyczynek do historii Polski kresowej w ubiegłych latach przed wojną, i jako obraz typu schodzącego już z pola, pisane z niesłychaną werwą i z otwartymi na wszystko oczyma, stanowią ciekawą lekturę.

(„Niepodległość")

PRZED ROZPOCZĘCIEM OBRAD SEJMU
STANOWISKO OPOZYCJI

Z kolei zwróciliśmy się do prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie", posła Stanisława Thugutta z zapytaniem:

— Co p. prezes sądzi o konsolidacji lewicy?

— Istotnie w ostatnich czasach nastąpiło poważne zbliżenie pomiędzy grupami lewicowymi. Następuje to wskutek tego, że ludzie najrozmait-

szych odłamów jednoczą się we wspólnym uczuciu zgrozy na widok żywiołowo posuwającego się zniszczenia naszego dobytku państwowego.

Można skonstatować, że z chwilą, kiedy lewicę zredukowano do roli biernego świadka tego, co się w Polsce dzieje, rzeczy potoczyły się dużo gorszą drogą. Trzeba tę drogę zmienić.

— Czy p. poseł rozumie przez to konieczność obalenia rządu pp. Witosa i Głąbińskiego? czy lewica dąży do przesilenia gabinetowego?

— Lewica przede wszystkim dąży do skonstatowania — mówi p. prezes Thugutt, — że weszliśmy w niesłychanie ostre stadium katastrofy państwowej na wszelkich niemal polach działalności obecnego rządu. Sądzę, iż żadne frazesy o tym, że przyczyny katastrofy skarbowej sięgają kilku lat wstecz — nie są w stanie osłonić faktu, przeraźliwego w swojej nagości, że rząd obecny nie potrafi opanować sytuacji i że w chwili obecnej znajdujemy się bez mała w stanie chronicznego trzęsienia ziemi. Co gorsza, nie zanosi się bynajmniej na to, aby to trzęsienie ziemi można było powstrzymać lub też liczyć na samorzutną poprawę. W tych warunkach będziemy musieli zapytać rząd, w jakiej mierze zdaje sobie sprawę z grozy sytuacji i jakie są jego zamierzenia na najbliższe dni celem powstrzymania ostatecznej ruiny skarbu? Luźne pogłoski o zamierzonych czy przyrzeczonych pożyczkach zagranicznych nie są w stanie dziś uspokoić nawet najbardziej zdecydowanych optymistów.

Nasz pogląd na zasadniczą koncepcję, na zasadzie której powstał rząd obecny, jest znany. Mogę co najwyżej stwierdzić, że rzeczywistość przekroczyła nasze najczarniejsze przewidywania. W tych warunkach trudno się spodziewać, żebyśmy zamierzali rządowi składać wyrazy uznania. Nie znaczy to zresztą bynajmniej, abyśmy się rwali do władzy za wszelką cenę i w każdych warunkach.

— Dlaczego?

— Dlatego, że lewica nie jest spółką do zdobywania zaszczytów, godności itp. Istotą rzeczy nie jest rzekoma chciwość lewicy do władzy, tylko katastrofa w polityce gospodarczej, finansowej, zagranicznej, kresowej, wojskowej, której rząd obecny albo jest bezpośrednim sprawcą, albo bezsilnym świadkiem.

— Co więc zdaniem p. posła czynić należy, żeby było dobrze?

— Przede wszystkim bezwzględnie opanować katastrofę skarbową. Mam przekonanie, że jej najgłębszą przyczyną jest nie tyle obiektywny zły stan gospodarczy Polski, ile panika i zdenerwowanie, ujawniające się równie w poglądach obywateli polskich, jak w poglądach obcych spo-

łeczeństw na Polskę. Wobec tego rzeczą najważniejszą jest opanowanie tej paniki, a najważniejszym zagadnieniem — bez mała jedynym — jest kurs marki. Żadne programy, żadne hasła i obietnice nie są w stanie dzisiaj złagodzić cierpień obywateli, którzy czują, że lecą w przepaść; nie można też frazesami odwrócić ich uwagi od tego przykrego stanu. Jeżeli się nie zechce najwyższym wysiłkiem uchwycić byka za rogi, obawiam się, że o żadnej trwałej poprawie stosunków nie może być mowy.

— Jaką rolę w tej naprawie stosunków powinien odegrać Sejm?

— Przede wszystkim Sejm powinien podnieść i utrwalić swoją własną powagę.

Jestem daleki — ciągnie nasz rozmówca — od bezkrytycznego zachwytu dla dotychczasowego sposobu załatwiania zagadnień państwowych przez Sejm, dla jego metody pracy, dla przewlekłości obrad i zbyt wielkiego nieraz zdenerwowania, jakie nasze ciało ustawodawcze bardzo często ujawnia. Tym niemniej jednak wydaje mi się, że Sejmowi dzieje się nieraz po prostu krzywda. A krzywda Sejmu jest krzywdą Państwa.

Opinia kucharek warszawskich, które twierdzą, że Sejm jest ciałem radzącym, jak podnieść drożyznę, jest zbyt niesprawiedliwą. To nieustające szkalowanie Sejmu, to obniżanie jego powagi, to machnięcie na niego ręką, jakie spotykamy, niestety, coraz częściej, nie może naprowadzić bytu Państwa na lepsze i bezpieczniejsze drogi. Na tym tle przy ogólnym chorobliwym już dzisiaj zdenerwowaniu rodzą się najdziksze pomysły, najbardziej antykonstytucyjne zamiary i zupełnie nieobliczalne odruchy. Co do mnie, muszę stwierdzić, że ponad szanowanie prawa, ponad ulepszanie konstytucji drogą zgodnej, czy niezgodnej dyskusji, nie widzę żadnego sposobu, który by krótszą czy dalszą drogą nie pchał nas w przepaść.

I dlatego chciałbym apelować do wszystkich, w nie mniejszej zaś mierze do prasy, aby jednak zagadnienia Sejmu nie rozwiązywała zbyt prostacko — kończył poseł Thugutt.

(Ankieta specjalna „Kuriera Polskiego")

PRZEMÓWIENIE

na posiedzeniu sejmowym w dn. 20 stycznia 1923 r.

Wysoka Izbo!

Rząd, w którego imieniu przemawiał wczoraj gen. Sikorski, jest rządem nieparlamentarnym i dlatego zanim przystąpię do właściwej oceny programu Rządu, którego wysłuchaliśmy wczoraj, niech mi wolno będzie zastanowić się nad zjawiskiem, nad którym niewątpliwie, bez różnicy partii, musimy ubolewać. Przez 3 lata istnienia Sejmu Ustawodawczego Polska oczekiwała wyłonienia z niego rządu parlamentarnego, przez dwa miesiące istnienia Sejmu obecnego Polska domaga się, ażeby Sejm, ażeby parlament polski, skorzystał z przysługującego mu prawa i wyłonił z siebie rząd. Jak dotąd, czekano na próżno. Sądzę, że wolno mi będzie w paru zwięzłych uwagach dokonać analizy tego stanu, który jest powodem tak bardzo anormalnych stosunków.

Przy obecnym układzie sił w Sejmie, przy tych skutkach wyborów, jakie znamy, rząd parlamentarny może powstać tylko w trojaki sposób.

Może powstać przede wszystkim rząd koalicyjny. Idea rządu koalicyjnego podnoszona była kilkakrotnie przez jedno ze stronnictw i kilkakrotnie nie doprowadziła do żadnego rezultatu. Uprzedzam zarzut, który Panowie zechcą zapewne postawić, i przyznam, że należę do stronnictwa, które w rządzie koalicyjnym udziału nie weźmie. Gdy 2 lata temu Polska była zagrożona najazdem nieprzyjaciela, należeliśmy do pierwszych, którzy zawiesili waśnie partyjne na kołku, którzy stwierdzili, że jedynym rządem, który odpowiada interesom kraju, jest rząd wszystkich stronnictw. Teraz jednak nie jest moment 1920 r. Być może — niebezpieczeństwa, jakie dziś Polsce grożą, są nie mniej groźne, być może — stan gospodarczy Polski jest nie mniej groźny niż armia bolszewicka, nie możemy jednak rozwiązywać ich w ten sam sposób, ponieważ kwestie gospodarcze rozwiązuje się na podstawie pewnych programów gospodarczych czy społecznych. Rząd, który by był złożony z przedstawicieli stronnictw o wręcz przeciwnych programach, nie byłby w tym momencie rządem właściwym. Taki rząd musiałby tracić cały czas na zupełnie jałowych sporach, co należy czynić, ażeby Polskę podźwignąć z ruiny. W Polsce jest stara tradycja, że gdy Paweł chciał iść na prawo, Gaweł szedł na lewo; następował w końcu całkiem niezdrowy kom-

promis, że obydwaj nie szli nigdzie, że siadali na pół drogi i czekali zmiłowania Bożego. Otóż nie sądzę, żeby można było tą drogą chociaż trochę poprawić sytuację, istotnie bardzo ciężką, w jakiej kraj się znajduje.

Poza tym oczywiście można utworzyć rząd przez oparcie go na większości albo lewicowej albo prawicowej. Co do pierwszego wypadku, nie jest tajemnicą, że stronnictwo, do którego mam zaszczyt należeć, od pierwszej chwili istnienia Sejmu tę propozycję wysuwało i gotowe było przyjąć na siebie odpowiedzialność, mając to głębokie przeświadczenie, jak wielka jest ta odpowiedzialność i na co ona może człowieka w Polsce w tej chwili narazić — mamy dobrą pamięć. Mimo to, aby wyjść z tego zaklętego koła, gotowi byliśmy podjąć próbę uzdrowienia stosunków w Polsce na mocy tego programu, jaki mamy.

Rozumie się, że jeżeli przyznajemy sobie prawo tworzenia rządu, musimy przyznać je również i innym i rozumiemy, że strona przeciwna, stronnictwa prawicowe mogą wystąpić z taką samą koncepcją i o ile mi wiadomo, niejednokrotnie występowały.

Niestety, jest rzeczą bardzo przykrą, że żaden z tych odłamów nie jest w stanie stworzyć rządu samodzielnie, nie jest w stanie stworzyć rządu bez pomocy środka. I niestety, jest rzeczą niesłychanie przykrą, że na decyzję tego środka Polska czeka około 4 lat i nie może jej się doczekać. Ja rozumiem, że cechą stronnictw środkowych może i musi być pewne umiarkowanie, ale zdaje mi się, jest rzeczą zgoła niedopuszczalną, żeby istniało stronnictwo, które za podstawę swojej taktyki politycznej przyjmuje brak wszelkiej decyzji, żeby istniały stronnictwa, które robią sobie z działalności politycznej grę, żeby istniały stronnictwa, które do bardzo wielkich środków stosują bardzo drobne metody działania. Sejm polski mimo wszystko nie jest giełdą polityczną, na której się gra na zwyżkę lub na zniżkę i na której każe się płacić sobie prowizję za to, że nic się nie robi. (Głosy na lewicy: Brawo Witos!). Sądzę, że przywódcom stronnictw politycznych wolno być wszystkim — nikt ich nie krępuje w ich poglądach, w ich taktyce i programie — ale nie sądzę, żeby wolno było komukolwiek być hamulcem machiny państwowej w Polsce, żeby wolno było być zmorą, która leży na piersiach Państwa Polskiego już od lat 4. (Głosy na lewicy: Witos, Witos! Głos w centrum: A to ulżyli sobie!). Podczas Rewolucji Francuskiej w Konwencji Narodowej były partie, które brakiem decyzji i odwagi zasłużyły sobie na niezbyt zaszczytne miano „bagna". Nie chciałbym, aby

przyszły historyk Polski był zmuszony zastosować tę nazwę do polskiego środka. (Głos w centrum: Kto to jest?). Sądzę, że Panowie wiecie dobrze, kto to jest.

Otóż dlatego, niestety, p. prezes ministrów miał prawo powiedzieć nam wczoraj i podkreślić to z gorzką ironią dziś, że nie podejmuje się rozwiązać zadania, którego sam Sejm nie potrafił rozwiązać. Dopóki sam Sejm nie umie wyłonić z siebie większości, dopóty nie może mieć pretensji, żeby ktoś z zewnątrz w tym dziele go wyręczył, zwłaszcza, jeśli pewna część Izby wprowadza teorię — nie wchodzę w to, słuszną czy niesłuszną, ale niewątpliwie utrudniającą praktyczne utworzenie rządu — mianowicie teorię o dwóch gatunkach posłów w tej Izbie, o dwóch gatunkach głosów, które mają prawo być składane w ważnych sprawach politycznych i państwowych. Nie będę polemizował z tą teorią; dla mnie jest rzeczą bezsporną, że wszyscy posłowie, którzy tu zasiadają, bez różnicy narodowości i wyznania, są posłami o jednakowym prawie głosu. (Oklaski na lewicy). Ale zaznaczę, że tego rodzaju teoria niewątpliwie nie ułatwi utworzenia rządu parlamentarnego. (Głos na prawicy: Wasza demagogia w tym przeszkadza). Lepiej, żeby Panowie o demagogii nie mówili. Demagogii chcę się kiedyś nauczyć od Was, tylko boję się, czy będę dość pojętny.

Teraz przejdę do spraw, o których mówił p. prezes ministrów, i niechaj mi wolno będzie zacząć od sprawy najważniejszej, od sprawy, od której zależy podniesienie kraju, od sprawy gospodarczej. Nie ma dziś w Polsce obywatela, który by kilku godzin swych wywczasów dziennie nie poświęcił na rozmowy o walucie i o drożyźnie. I dotychczas nie było posła, który by stojąc na trybunie nie uważał za stosowne wygłosić tego czy innego frazesu o tych rzeczach. Co do nas, wydaje się nam, że aczkolwiek Rząd niewątpliwie słusznie będzie uważał za swój obowiązek wtrącać się w te rzeczy i hamować zbyt rosnące apetyty, to jednak wzrastającej ciągle drożyzny i spadającej ciągle waluty środkami policyjnymi się nie uzdrowi. Te rzeczy mogą być uzdrowione u korzenia, mogą być uzdrowione przez równowagę budżetową, a nie przez ustawy uchwalane dorywczo, nie przez pewne ustawy, które dziś pociągają do odpowiedzialności jednych, a jutro drugich za to samo zwalniają, tylko przez całokształt budżetowy, który obejmie całokształt spraw Państwa.

Bardzo mnie cieszy, że przedmówca, poseł Głąbiński, ułatwił mi dyskusję. Bałem się bardzo, że kiedy stanę na tym miejscu przed Wysoką

Izbą, będę musiał bardzo gorąco bronić progresji, której wyrzeczenia się domagali się od nas niektórzy z Panów i niektóre odłamy prasy. Chciałem wytłumaczyć, że dla dobra Państwa i dla posunięcia sprawy naprzód można wyrzekać się wielu rzeczy, ale nie można wyrzekać się tego, co jest rdzeniem pacierzowym czyjegoś programu, co jest podstawą i osią naszej przyszłości, kamieniem węgielnym naszych światopoglądów; chciałem wytłumaczyć też, że różnica w płaceniu podatków przez biedaka i przez bogacza nie może być zapomniana, jakkolwiek może być mowa o zmianie formy podatku. Otóż p. profesor Głąbiński nie tylko wyraził gorąco swoją zgodę na progresję, ale zacytował bardzo szanowne głowy z zamierzchłej przeszłości dziejów Polski. (Głos na lewicy: Trzymamy go za słowo). Tak, trzymamy go za słowo. Gdy dyskusja nad tym powróci tu w konkretniejszym kształcie, p. Profesor pozwoli, że przypomnimy Mu te słowa, w zamian za co nie będziemy już przypominali wcale tej walki, która przeciwko progresji toczyła się w poprzednim Sejmie. Bo oczywiście było by to rzeczą zupełnie niepotrzebną i jałowym sporem o przeszłość, jeżeli ktoś się nawraca i godzi się najzupełniej uznać progresję. Tylko dla jasności chciałbym zaznaczyć, nie chcąc być niezrozumianym, że progresję będziemy stosowali także i przy podatkach gruntowych. (Protesty na prawicy). Tak, oczywiście, proszę Panów, ponieważ to jest jedyny i główny podatek, jaki rolnik drobny płaci, więc tam należy go zastosować. Oczywiście co do tych podatków, zwłaszcza na wsi, to trzeba będzie trochę głębiej w te rzeczy wejrzeć. Zdaje mi się, że było by dobrze rozpatrzyć je w atmosferze nie demagogii i nie tego, co się później będzie mówiło na wiecach, ale odgrodziwszy siebie jakby kloszem od warunków wyborczych i w atmosferze jedynie zupełnej życzliwości dla Państwa.

PRZEMÓWIENIE

na 40-tym posiedzeniu Sejmu w dniu 26 maja 1923 r.

Wysoka Izbo!

Wniosek, który mam zaszczyt przedstawić w imieniu wszystkich klubów, zasiadających w tej sali, dotyczy aktów terrorystycznych, które zaszły w kilku miastach Rzeczypospolitej w ostatnich czasach. Zdaje mi się, że będzie zbędnym wchodzenie w szczegóły tych

wypadków. Zdaje mi się też, że jest rzeczą zupełnie zbyteczną rozważanie, jaka jest wartość polityczna i moralna aktów, o których mówię. Zdaje mi się, że jest rzeczą jednozgodną, iż cała Izba potępia najsurowiej tego rodzaju gwałty. (Brawa).

Dziś w tej sali przystępujemy do walki politycznej, walki nie tylko dozwolonej przez Konstytucję, ale walki, którą samo życie narzuca. Społeczeństwo i państwo, w którym walka nie istniałaby, byłoby społeczeństwem i państwem martwym. Niewątpliwie człowiek, który wyobrażałby sobie, że walkę można ukoić jakimś magicznym hasłem, byłby człowiekiem, który nie rozumie zupełnie rozwoju życia społecznego. To są rzeczy nie tylko naturalne, ale nawet pożądane. Z tej walki rodzi się zdrowa myśl, z tej walki powstaje państwo. Ale należy ją prowadzić sposobami dozwolonymi przez Konstytucję i przez poczucie moralności; łamanie tego wszystkiego, co jest w Polsce prawem, to pójście sobie na przełaj z bombami w ręku, wytwarza atmosferę, w której nie ma mowy o pracy prawidłowej ustawodawczej, w której przede wszystkim nie ma mowy o budowaniu Państwa Polskiego. (Brawa).

Dlatego też imieniem wszystkich klubów zgłaszam następujący wniosek:

„Szereg zamachów terrorystycznych dokonanych ostatnimi czasy w różnych miastach Rzeczypospolitej zmusza każdego uczciwego człowieka do napiętnowania tego rodzaju czynów gwałtu, jako zbrodni przeciwko Ojczyźnie.

Zrozumiała jest walka o swoje przekonania, o swój program, nawet o interes grup czy warstw, które się reprezentuje. Dozwolone jest używanie w tej walce środków najostrzejszych, byleby to były środki zgodne z prawem i Konstytucją. Uciekanie się natomiast do gwałtu, nikczemne skrytobójcze zamachy, tworzenie w wolnej Polsce spisków przeciwko prawu i Konstytucji uważać trzeba za rzecz niegodną uczciwego Polaka i dobrego obywatela Państwa.

Wobec powyższego podpisani wnoszą:

Wysoki Sejm uchwalić raczy:

Wzywa się Rząd do użycia jak najenergiczniejszych środków celem wykrycia sprawców zbrodni".

PRZEMÓWIENIE

na 48 posiedzeniu Sejmu Rzeczypospolitej z dnia 19 czerwca 1923 r.

Wysoki Sejmie!

Komisja Administracyjna poleciła mi zreferować wnioski, dotyczące wypadków z 11 i 16 grudnia. Wypełniając to polecenie, zmuszony jestem zacząć przede wszystkim od określenia charakteru, w jakim tu występuję.

Referat, który mam zaszczyt Wysokiemu Sejmowi przedstawić, powierzono mi wbrew mojej woli i jednomyślnie. Oczywiście, pamiętając o tym, będę starał się zachować najdalej idący obiektywizm w poruszeniu tych przykrych i drażliwych spraw. Nie sądziłem, aby zwyczajem dość utartym w Sejmie było możliwe zrzekać się referatu dlatego, że jest drażliwy, albo niedogodny. Postaram się powiedzieć Panom prawdę, i tylko prawdę, tak, jak ja ją rozumiem. Postaram się zapomnieć o tym, że jestem członkiem stronnictwa, które mogłoby mieć dalej idące w tej sprawie wnioski.

W zamian za to prosiłbym, ażeby Wysoka Izba zechciała wypełnić swój obowiązek, tak, jak ja go wypełniam, i zechciała wysłuchać wniosków, jakie będę miał zaszczyt referować, z takim spokojem, jak ja je przedstawię. Zdaje mi się, że ostatnie czasy wprowadziły smutny nałóg do naszych rozmów sejmowych i że ciągłe poruszanie każdej sprawy z punktu najdalej idącego patriotyzmu partyjnego doprowadza do tego, że Sejm przestaje być izbą ustawodawczą, a staje się karczmą niekiedy. Co do mnie, będę niewątpliwie usiłował powiedzieć tylko to, co jest niezbędne, niezależnie od tego, że to, co jest niezbędne, może być dla kogoś przykre.

Przechodząc do samych wypadków, rzeczą dla mnie niezbicie ustaloną, pewnością, której nikt nie zdołałby we mnie zachwiać, jest głębokie przekonanie, że wypadki z dn. 11 grudnia w Warszawie były przestępstwem, były zbrodnią, przestępstwem przeciwko prawu, przestępstwem przeciwko Konstytucji. Tam, gdzie jest przestępstwo, tam istnieją przestępcy i do tego też dążą złożone w kilka dni po wypadkach wnioski różnych klubów sejmowych, domagające się utworzenia komisji śledczej dla wykrycia winnych i ukarania ich.

Jeżeli chodzi o winnych, to najmniej gotów byłbym przypisywać winę tym, którzy bezpośrednio na placu Trzech Krzyży dn. 11 grudnia w Warszawie dokonali ekscesów. Nie dlatego, żeby to były ekscesy mało znaczące. Sądzę, że wszyscy mamy w świeżej jeszcze pamięci rzeczy, które się działy podówczas, i że nikt nie jest skłonny nazwać drobiazgiem zatrzymywania, znieważania i lżenia posłów, niedopuszczania ich do wypełnienia swego obowiązku na Zgromadzeniu Narodowym, rewidowania przedstawicieli obcych państw i w ten sposób nie tylko poniewierania w Polsce wszelkiego prawnego porządku, ale podawania Polski na wzgardę w oczach całego cywilizowanego świata.

To też nie byłbym bynajmniej skłonnym do lekceważenia tych rzeczy. Jednakże stwierdzić muszę, że w tym tłumie, który dokonał ekscesów, była znaczna część ludzi, zgoła za swoje czyny nieodpowiedzialnych, czy to ze względu na rozwój umysłowy, czy ze względu na wiek, tak, że w porównaniu do innych przewinień te mógłbym odsunąć na dalszy plan.

Należało by jednak ustalić pewne rzeczy. Wobec tego, co się potem niejednokrotnie na różnych zgromadzeniach mówiło, i wobec tego, co się niejednokrotnie w różnych organach pisało, muszę stwierdzić, że wypadków z dn. 11 grudnia żadną miarą nie można uważać ani za przypadek, ani za żywiołowy odruch ludności. Było by rzeczą śmieszną, niegodną poważnego i dorosłego człowieka uważać to, co widzieliśmy podówczas na placu Trzech Krzyży, za rzecz przypadku, czy też za żywiołowy odruch. Jak to? Więc w całym szeregu szkół zwolniono młodzież szkolną od obowiązków, żeby mogła spełnić inny obowiązek, porzucono wykłady w wyższych uczelniach dlatego, aby udać się na plac Trzech Krzyży, szereg urzędników nie stawił się do biur, ażeby wykonać to, co uważali za ratowanie Polski? Dziwnym zbiegiem okoliczności ci manifestanci już od al. 3. Maja wkraczali na pl. Trzech Krzyży w bojowym ordynku, czwórkami, kierowani przez komendę wojskową i prowadzeni przez ludzi, mających na sobie odznaki; prawie wszyscy byli uzbrojeni w jednakowe laski i znaczna część posiadała broń palną. Chcieć utrzymywać, że to jest rzecz przypadku, zbieg okoliczności, było by, jeszcze raz to powtarzam, rzeczą niegodną poważnego człowieka. Oczywiście, te rzeczy były organizowane. Nie mogę stwierdzić i nie chcę twierdzić, przez kogo one były organizowane. Ten materiał śledczy, jaki jako referentowi przedłożono mi, te sto kilkadziesiąt zeznań rozmaitych osób, które je składały w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, te wyniki śledztwa prowadzonego przez Ministerstwo

Sprawiedliwości, nawet w przybliżeniu nie docierały do istoty rzeczy. Musiałbym przy tej sposobności stwierdzić, że śledztwo było prowadzone w sposób dość powierzchowny i że przy nieco większej energii, przy lepszych organach wykonawczych można było by ustalić wiele rzeczy, które ustalone nie zostały. Skoro jednak one ustalone nie zostały i skoro ja na własną rękę nie miałem ani możności, ani uprawnienia, a zresztą i ochoty do prowadzenia tego śledztwa, nie występuję dziś przeciwko komukolwiek z jakimkolwiek bądź oskarżeniem.

Jedno jest sprawą dla mnie pewną — że te rzeczy były organizowane. Kto je organizował — pozostawiam to do zbadania sądowi. Chciałbym tylko zaznaczyć parę rzeczy bardzo godnych uwagi dla wszystkich, zdaje mi się, członków tej Izby. Przede wszystkim w tłumie, który się na placu Trzech Krzyży dopuszczał wykroczeń, znajdowały się nie tylko osoby myślące, jak się mówi „narodowo", ale znajdowały się także osoby notowane niejednokrotnie za swoją działalność komunistyczną w Polsce. To zostało w sposób niezbity stwierdzone przez dochodzenia policyjne i naocznych świadków. Osoby te nie były także przypadkowo na placu Trzech Krzyży, albowiem jeden z agitatorów bolszewickich czy komunistycznych, który niedawno przedtem został wypuszczony z więzienia, komenderował jednym z oddziałów, który trzymał kordon na placu Trzech Krzyży. Nie wyciągam stąd żadnych wniosków, zwracam uwagę na ten fakt.

Fakt drugi, który powinien by zainteresować każdego, jest to istotny czy rzekomy udział niektórych posłów w manifestacjach 11 grudnia. O ile wielokrotnie zapewniano nas, niektórzy posłowie z prawicy występowali bardzo usilnie przeciw wszelkim gwałtom i podobno nawet zyskali sobie miano ludzi zaprzedanych lewicy. Nie chcę bynajmniej tego twierdzenia kwestionować, nie byłem przy tym obecny, nie mam żadnego o tym zdania. Nie chciałbym także oskarżać kogokolwiek bądź z członków Wysokiej Izby o propagowanie gwałtu, o namawianie do wykroczeń przeciwko prawu, ponieważ również nie mam żadnych co do tego dowodów. Muszę jednakże stwierdzić, że w prasie warszawskiej ukazało się bardzo wiele ciężkich zarzutów przeciwko niektórym posłom, zarzutów, stwierdzających nawoływanie do gwałtu, wygłaszanie przemówień podburzających, a nawet jakoby rozdawanie broni w ich mieszkaniach. I jak sądzę, koledzy nasi, jeżeli chcą dbać o swój honor, powinni wyciągnąć stąd jakieś wnioski. Są one dość proste: albo się oszczerców oddaje pod sąd, albo się przyznaje do tego, co jest oskarżeniem. Nie

moją rzeczą jest dbać o ich honor, sądzę jednak, że w tej drodze należy rzecz ustalić lub obalić.

Jeżeli chodzi teraz o istotnie winnych wykroczeń z dn. 11 grudnia, to sądzę, że było ich dwóch. Jednym jest pewna teoria prawno-państwowa, o której nie tylko czytaliśmy w organach prasy, nie tylko słyszeliśmy ją na zgromadzeniach publicznych, ale o której słyszeliśmy także w tej Wysokiej Izbie. Jest to teoria, stawiająca jakieś rzekome naturalne, święte prawo obywatela-Polaka ponad Konstytucję. Zdaje mi się, że jest to teoria, prowadząca Polskę najkrótszą i najpewniejszą drogą do przepaści. Jeżeli cokolwiek, bodaj swoje najświętsze przekonanie, stawia się ponad to prawo, które jest dla nas wszystkich wspólne, ponad Konstytucję, to się otwiera drogę wszelkiemu bezprawiu i wszelkiemu nadużyciu. Być może, że w pewnych poszczególnych wypadkach ktoś w sumieniu swoim widziałby w Polsce rozwiązanie naturalniejsze czy bardziej celowe i bardziej słuszne, aniżeli to prawo, które nazywamy Konstytucją. Ale wyobraźmy sobie, że jeżeli nawet temu człowiekowi przyznalibyśmy prawo uchylania Konstytucji dlatego, że jego pogląd jest słuszniejszy, to musielibyśmy to samo prawo przyznać każdemu obywatelowi w Polsce. Otóż na te 26 milionów Polaków, które w tej chwili Państwo nasze zamieszkuje, są niewątpliwie ludzie, którzy albo świadomie, albo nieświadomie, albo będąc wrogo usposobionymi do Państwa Polskiego, albo stojąc na takim stopniu rozwoju, przy którym w ogóle niczego decydować nie można, byliby skłonni do uchylania Konstytucji dlatego, że ona w danej chwili wydaje im się dla Państwa Polskiego szkodliwa. To pewne, że wejście na tę drogę otwiera drzwi wszelkiemu bezprawiu i gwałtom. Przypomnę Panom, że wątpliwości, które opanowały pewną część Izby, tyczyły się uprawnień pewnej kategorii obywateli Państwa Polskiego, to znaczy posłów z mniejszości narodowych. I twierdzę, że gdybyśmy tego dnia, w dniu Zgromadzenia Narodowego, w dniu 11 grudnia odmówili naszym kolegom z mniejszości narodowych prawa do głosowania na równi z nami przy obiorze Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, to tym samym poruszylibyśmy zjawisko, którego dalszego rozwoju i krańca przewidzieć nie można. Bo jeżeli komukolwiek odmawia się równouprawnienia, równouprawnienia, które przyznaje mu w całej rozciągłości Konstytucja, to tym samym zaprzecza się Konstytucji. Albo wybór Prezydenta w dniu Zgromadzenia Narodowego był zgodny z Konstytucją i legalny i jako taki musi być przez wszystkich uznany, albo jeżeli się zaprzecza temu, to łamie się

Konstytucję i otwiera się drogę gwałtom. Otóż jeżeli się wejdzie na drogę małego nawet gwałtu, to niewątpliwie trzeba sobie powiedzieć, trzeba się spodziewać i trzeba sobie uprzytomnić, że ten gwałt będzie rósł bardzo szybko. Jeżeli nawet wypadki z dnia 11 grudnia miałyby być uważane za rzecz bardzo nieznaczną, za nic nie znaczącą burdę młodzieży szkolnej, to musielibyśmy sobie uprzytomnić, że ta nic nie znacząca burda mogła się bardzo łatwo zamienić w pożar, który by strawił całe Państwo. Z tą chwilą, kiedy naruszamy pewne punkty Konstytucji, nie ma żadnego powodu, żeby nie naruszono i innych. Dlatego wydaje mi się, że ta błędna i obłędna teoria jest jedną z pierwszych i najważniejszych sprawców zajść, jakie rozegrały się w Warszawie w dniu 11 grudnia.

Wydaje mi się także, że drugim, bezspornie winnym przestępcą była część prasy warszawskiej. Można mieć rozmaite poglądy na sprawy publiczne i niewątpliwie nie tylko według Konstytucji, ale według zdrowego rozsądku w Rzeczypospolitej Polskiej każdemu swoje poglądy wypowiadać wolno. Ale to niesłychane roznamiętnienie, to niesłychane nadużywanie swego stanowiska, sposób, w jaki prasa warszawska traktowała wówczas pierwsze Zgromadzenie Narodowe, musiały doprowadzić do eksplozji. Jeżeli się wprowadza pewną część ludności na fałszywą drogę za pomocą nieścisłego rozumowania, jeśli stawia się jej ciągle przed oczy widmo Polski, ginącej jakoby wskutek wyboru pierwszego Prezydenta, jeśli się nie chce pamiętać o tym niesłychanym niewyrobieniu politycznym, które na równi, zdaje się, może dotykać wszystkie obozy, to musi się doprowadzić do tego, że odpowiedzią na tego rodzaju artykuły będą przestępstwa przeciw prawu i Konstytucji. Jeżeli prasa jest rzeczywiście potęgą, to może by zechciała o tym na przyszłość pamiętać i siły swej nie używać na złe. To skończyło się bardzo przykro, a mogło się skończyć jeszcze przykrzej, w sposób zupełnie nieobliczalny.

Wracając do samych przekroczeń przeciwko prawu dnia 11 grudnia, muszę stwierdzić, że na placu Trzech Krzyży była pewna kategoria ludzi znacznie bardziej przestępcza aniżeli ekscedanci, w każdym razie kategoria ludzi, co do których nie byłbym skłonny do żadnej wyrozumiałości. Tą kategorią były ówczesne władze rządowe, a przede wszystkim policja warszawska.

Muszę przypomnieć Panom, że wypadki 11 grudnia były dalszym ciągiem wypadków, które przez dwa dni były przygotowywane w Warszawie. Już 10 grudnia odbył się szereg zgromadzeń w alei 3 Maja,

na placu Trzech Krzyży i na ul. Żurawiej w lokalu „Rozwoju"; dopuszczono się wielu przykrych ekscesów, napadano na przechodniów, zamierzano plądrować Hotel Europejski, w którym miał jakoby zamieszkać elekt, popełniano przestępstwa, które musiały doprowadzić do gorszych jeszcze następstw, tak jak dzień 11 grudnia w prostej, logicznej konsekwencji doprowadził do 16 grudnia. Władze bezpieczeństwa w Warszawie patrzyły na to wszystko zupełnie bezmyślnie. Zdawało by się, że to są jakieś ostre bardzo spory o wyniki match'u foot-ball'owego albo wyniki partii szachów. Zdawało by się, że nikt w Warszawie nie rzucił hasła naruszenia Konstytucji, że nikt nie podburzał ludności do złamania tego, co było legalnym i prawnie dokonanym czynem. Nie tylko to — kiedy zwracałem się wieczorem dn. 10 grudnia do p. ministra spraw wewnętrznych — którego zresztą odnalazłem aż w teatrze „Rozmaitości" — z zapytaniem, czy długo jeszcze zamierza tolerować ekscesy na ulicach Warszawy, to p. minister spraw wewnętrznych wyraził wielkie zdziwienie i zapytał się, gdzie właściwie dzieją się te ekscesy.

Poza tym policja na placu Trzech Krzyży przez cały czas trwania zamieszek nie dostrzegała ich, nie umiała ani obronić nikogo z napadniętych posłów przed zniewagami, ani Prezydenta Rzeczypospolitej przed zarzucaniem jego powozu kamieniami i obelgami. Tam, gdzie policja chciała spełniać swój obowiązek, to jest na jednym odcinku u wylotu ulicy Matejki, tam spełniła go z łatwością. Jest zatem rzeczą bezsporną, że można było powstrzymać awantury; gdyby chciało się stosować ten stanowczy, ale ostry tryb postępowania od samego rana, gdyby chciało się zastosować nawet w samo południe, to niewątpliwie można było nie dopuścić do rozruchów. Natomiast wielu komisarzy i nadkomisarzy uważało, że jedynym ich obowiązkiem tego dnia jest pozostawanie bezczynnie na miejscu, nawet wówczas, gdy w ich oczach znieważano i do utraty przytomności bito posłów.

Otóż sądzę, że jest to niespełnieniem obowiązku przez policję. Sądzę też, że przy tej sposobności możemy stwierdzić istnienie bardzo niedorzecznej teorii, mianowicie, że policja warszawska nie miała oczywiście sumienia rozlewać krwi polskiej na bruku warszawskim, tak jak rozlewała ją policja rosyjska.

Proszę Panów, przede wszystkim, jeżeli chodziło by o ścisłość, to muszę stwierdzić, że rok temu, za czasów tego samego komisarza policji m. Warszawy, p. Borzęckiego, policja warszawska z wielką odwagą

i z wielkim tupetem stoczyła na placu Trzech Krzyży bitwę z inwalidami, którzy wprawdzie byli uzbrojeni w laski i kije, o ile który nie miał nogi, ale którzy niewątpliwie wówczas ani bezpieczeństwu stolicy nie zagrażali, ani nie mieli bardzo wrogich zamiarów względem Sejmu czy Rządu. Jednak umiano powstrzymać ich pochód kosztem kilku ofiar dość ciężko rannych przez policję. Nie wdaję się w ocenę tego faktu. Nie wiem, czy wówczas tak daleko idąca energia była konieczna, czy nie konieczna względem tych kalek. Zdaje mi się jednak, że jeżeli zastosowano energię do inwalidów, to zupełnie taką samą energię należało zastosować na placu Trzech Krzyży dnia 11 grudnia. I wszelkie miłosierdzie, litość i niedorzeczne wyobrażanie sobie, że to jest młodzież polska, która w najszlachetniejszych zamiarach przyszła na plac Trzech Krzyży, były zupełnie nie na miejscu. Na placu Trzech Krzyży podczas ekscesów nie bada się niczyjego wieku i niczyich metryk, tylko obserwuje się jego czyny i o ile są karygodne i w sposób jawny i bezczelny naruszają prawo lub mogą zagrażać bezpieczeństwu i godności Państwa, to powstrzymuje się je wszelkimi rozporządzalnymi środkami.

Bardzo być może, że pewna przynajmniej część policji postępowała tak a nie inaczej dlatego, że została dotknięta, nie powiem groźbą, ale przykrą chorobą tajnych spisków przeciwko Państwu. Jak fama głosi, olbrzymia część wyższych funkcjonariuszy państwowych należy do tajnych spisków. (Głos: Do faszystów). Nie chciałbym iść ani kroku dalej, ponieważ żadnych dochodzeń w tym kierunku nie prowadziłem, muszę stwierdzić jednak, że zachowanie się niektórych z tych panów 11 grudnia uprawnia do jak najdalej idącej podejrzliwości. A w dniu, kiedy się uda ustalić przynależność urzędników i policji państwowej do tajnych spisków, zupełnie niezależnie od tego, jakie zamierzenia zakładają sobie te tajne spiski, o żadnej praworządności w Polsce mówić nie będzie można. Ci, którzy są powołani do obiektywnego wykonywania prawa i pilnowania tego, żeby tylko w imię prawa wszystko się w Polsce działo, ci nie mogą należeć do jakichkolwiek organizacji, które by miały na celu łamanie tego samego prawa.

To też wydaje mi się rzeczą zupełnie słuszną, jeżeli względem tych wszystkich urzędników i funkcjonariuszów policji, którzy zapomnieli o swoich obowiązkach lub którzy ich nie wykonali, podjęte zostało surowe śledztwo i że winni byli ukarani. (Głos: Obecnie zostają nagradzani). Ta sprawa była niejednokrotnie poruszana i w Komisji Administracyjnej i w Sejmie. Kwestionowano prawo ministra spraw wewnętrz-

nych do wymierzania kary dyscyplinarnej bodaj w stosunku do urzędników, którzy w jego oczach są podejrzani o niewykonanie swoich obowiązków. Nie sądzę, żeby to była teoria, którą prawa strona tej Izby chciałaby kwestionować. Co do mnie, nie kwestionuję bynajmniej prawa usuwania takich urzędników, którzy się wydają Panom nie na swoim miejscu, którzy, jak się Panom wydaje, nie spełniają swoich obowiązków, którzy w ogóle według Panów nie są właściwymi ludźmi na właściwym miejscu. Ale skoro przyznaję Panom to prawo, to muszę je również, a nawet przede wszystkim, przyznać ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych, gen. Sikorskiemu, który pewną część urzędników usunął dlatego, że nie cieszyli się jego zaufaniem. Może przyjdzie w Polsce ten czas, że będziemy mogli urzędnika przy wykonywaniu przez niego obowiązków bronić drogą ustawodawczą dużo skuteczniej niż obecnie. Być może, że przyszła pragmatyka służbowa, skoro zostanie zastosowana w całej rozciągłości — będzie broniła niejednego urzędnika przed samowolą jego zwierzchników. Jest dla mnie rzeczą bezsporną, że obecnie jeszcze Polska nie ma tylu zmian urzędników, ile ma stronnictw i że nowy minister nie powinien zaczynać swego urzędowania od tego, żeby zmieniać wszystkich wyższych urzędników z tego jedynie powodu, że nie należą do jego stronnictwa lub nie podzielają jego poglądów. Skoro jednak p. gen. Sikorski nie miał zaufania do wielu ludzi, skoro, moim zdaniem, nie miał go zupełnie słusznie, to było to jego niewątpliwym prawem skorzystanie z tych uprawnień, jakie mu nadawał charakter służbowy, i usunięcie szeregu ludzi. Jak Panowie wiedzą, kilku funkcjonariuszy policyjnych było oddanych pod sąd, który na ogół bynajmniej, zdaje się, nie należał do obozu bitego w dn. 11 grudnia, tylko raczej do obozu bijącego, i sąd ten, rozpatrując zupełnie bezstronnie sprawę, kilku z tych urzędników ukarał, a zatem najwidoczniej znalazł pewne cechy winy i przestępstwa. (Głos na lewicy: Nie we wszystkich instancjach).

Co się tyczy p. ministra spraw wewnętrznych, sprawę tę muszę poruszyć dlatego, że objęta jest jednym z wniosków, mianowicie wnioskiem P. S. L. Piasta. Nie wydaje mi się celowym i koniecznym rozważać jego winę z dnia 11 grudnia. Wniosek żąda oddania ministra pod Trybunał Stanu. Pozwolę sobie przypomnieć, że podówczas Trybunał Stanu nie istniał, a zatem minister Kamieński nie mógłby być oddany do Trybunału Stanu. Zwracam także uwagę, że politycznie p. Kamieński poniósł odpowiedzialność, ponieważ został usunięty z zajmowanego stanowiska,

a w zwykłym kodeksie karnym nie znam żadnego artykułu, który by ludzi karał za istotnie daleko posunięty brak inteligencji, którym zgrzeszył wówczas p. Kamieński. Niewątpliwie głównym jego przewinieniem było zupełne nieorientowanie się w sytuacji, jak również bardzo charakterystyczny i zgubny zwyczaj w Polsce — chęć dogodzenia wszystkim stronnictwom i chęć nienarażenia się nikomu. To są rzeczy, których Wysoka Izba nie powinnaby pochwalać, ale skoro Wysoka Izba odmówiła p. Kamieńskiemu w pewnym momencie swego zaufania, to sądzę, że jest to najzupełniej dostateczne załatwienie sprawy.

I oto teraz dochodzimy do wniosków. Wniosków złożono cztery; dwa z nich, a mianowicie P. S. L. Piast i Narodowej Partii Robotniczej z jednej strony, a P. P. S. i P. S. L. Wyzwolenie z drugiej strony, żądały utworzenia komisji śledczej, złożonej z 5 osób, dla zbadania sprawy, odnalezienia winnych i przykładnego ich ukarania przez organy sprawiedliwości. Kiedy referowałem tę sprawę na Komisji Administracyjnej, sądziłem, że wnioski te są już w chwili obecnej nieaktualne i że należy nad nimi raczej postawić krzyżyk. Wnioski te były najzupełniej zrozumiałe dnia 14 czy 15 grudnia, kiedy zostały złożone. Były po prostu odruchem części Izby znieważonej i przejętej trwogą o dalsze losy parlamentaryzmu w Polsce. Niewątpliwie jednak komisja wyłoniona przez jedną część Izby prostą większością, tak, jak wnioski proponują, jest niczym innym, jak sądem dokonanym przez większość nad mniejszością Izby. Podówczas taka była konstelacja, iż większość mogłaby śledzić, badać i karać mniejszość. Są to rzeczy, które w historii zdarzały się istotnie, jednak trzeba stwierdzić, że taka komisja śledcza, przez którą jedna połowa Izby karze drugą, jest już tylko od trybunału rewolucyjnego i gilotyny na placu publicznym o jeden krok, i to o krok bardzo niewielki.

A ponieważ nie sądzę, ażeby ta droga rewolucji była najbardziej wskazana dla Polski, dlatego uważałem już 2 miesiące temu i tym bardziej sądzę dzisiaj, że nad wnioskami złożonymi przez lewą stronę Izby, nad wnioskami żądającymi wyłonienia komisji śledczej należy raczej postawić krzyżyk. Należy zapomnieć, jeżeli chodzi o karanie smarkaczy, którzy poszli na wagary, należy przebaczyć zwariowanym histeryczkom, które rzucały kamieniami do powozu Prezydenta, należy powierzyć je raczej miłosierdziu Opatrzności i opiece doktorów. Jeżeli chodzi o funkcjonariuszów policji, to należy przyjąć do wiadomości postępowanie Rządu

i sądów w tej sprawie, ale co się tyczy wyłonienia komisji śledczej sejmowej, to sądzę, że ta rzecz jest przebrzmiała.

Również za zbędny uważałbym wniosek trzech stronnictw prawicowych, żądających wyłonienia komisji śledczej sejmowej dla zbadania działalności jawnej bojówki socjalistycznej. Nie chciałbym być tutaj subiektywnym i nie będę podkreślał swojego osobistego zaufania do partii socjalistycznej, że bojówek do zamachu na Konstytucję Państwa Polskiego nie tworzy, ale muszę stwierdzić, że dzień 11 grudnia to nie był właściwy moment do badania działalności bojówek P. P. S. O ile mi wiadomo, ani bojówka, ani posłowie socjalistyczni ani tego dnia, ani dni następnych zamachu na Konstytucję nie wykonali. Dlatego wyłanianie komisji śledczej dla badania działalności bojówek, które nie wiem czy istnieją — co do mnie gotów jestem wierzyć uczciwym ludziom z tej partii, że żadne bojówki socjalistyczne nie istnieją — uważałbym za zupełnie niewłaściwe. Oczywiście, kiedy skłonny jestem postawić krzyżyk nad tymi dwoma wnioskami, to tym bardziej musiałbym go postawić na wnioskach zgłoszonych z prawej strony.

Pozostawałby jeszcze wniosek Klubu Żydowskiego, żądający również surowego śledztwa i wyłonienia komisji śledczej dla zbadania działalności „Rozwoju" i dla ustalenia, że „Rozwój" był czynnikiem nawołującym do pogromów w Polsce. Tutaj musiałbym stwierdzić, że pewna część tego wniosku, a mianowicie żądająca zbadania działalności „Rozwoju", jest objęta wnioskiem poprzednim i rezolucją, którą za chwilę będę miał zaszczyt Wysokiemu Sejmowi w imieniu Komisji przedłożyć. Co za tym idzie, nie było by żadnej potrzeby składania oddzielnych wniosków. Sądzę, że ta potrzeba znalazła się dla Koła Żydowskiego w odrębnym nieco umotywowaniu swojego wniosku. I o tym odrębnym umotywowaniu niech mi będzie wolno kilka słów powiedzieć.

Twierdzi się tam, że w Polsce w ciągu ostatnich czterech lat dokonano szeregu pogromów, wskutek których jest kilkaset ofiar zabitych i że działalność „Rozwoju" była tolerowana, a nawet popierana przez władze polskie. Niejednokrotnie na tej trybunie pomiędzy przedstawicielami lewicy a Kołem Żydowskim istniała gruba różnica co do pojmowania roli Żydów w Polsce i roli Koła Żydowskiego w Sejmie.

Jeżeli chodzi o jakiekolwiek gwałty względem ludności żydowskiej, o zniewagi i rany zadane posłom i senatorom Żydom na placu Trzech Krzyży, to mogą Panowie być najzupełniej spokojni, że ja i całe moje stronnictwo w obronie bitego Żyda potrafimy stanąć. Jeżeli to będzie

krzywda człowieka i obywatela, znajdziemy dosyć odwagi, aby o sprawiedliwość się upomnieć. Jednak uważam, że to jest zupełnie co innego, a co innego są motywy, które Panowie podali. Już parokrotnie uważałem sobie za przykry obowiązek ostrzeżenie Panów przed tą namiętnością, jaką wnosicie Panowie do dyskusji politycznej w Polsce. Powiadają Panowie i tutaj, że w ciągu ostatnich lat w Polsce dokonano całego szeregu pogromów, których ofiarami jest kilkuset ludzi zabitych. Przepraszam Panów, ale to jest rzecz niezgodna z prawdą. Jeżeli chodzi o ustalenie nomenklatury na gruncie właściwym, rosyjskim, bo tam ona wyrosła, to pogromami nazywano ekscesy przeciw Żydom tolerowane przez rząd, i nie tylko tolerowane, ale przez niego wywoływane i popierane. Muszę stwierdzić, że żaden z rządów polskich, niezależnie od tego, czy był naszym, czy nie naszym, nam miłym, czy niemiłym, takich ekscesów nie popierał. Jeżeli były ekscesy antyżydowskie, to były wywoływane bez woli Rządu i przez Rząd były ścigane. Poza tym nie jest mi nic wiadome o szeregu pogromów, których ofiarą było kilkuset zabitych. Natomiast pamiętam dobrze, kiedy parę miesięcy w 1919 roku byłem w Paryżu, jak ta fala oszczerstw i nienawiści płynąca do Polski z ajencji kopenhaskiej podmywała podwaliny tworzącego się Państwa.

I ta właśnie falanga nieustannych kłamstw, oszczerstw, jakie na Polskę spadały, niewątpliwie nie mogła ustalić dobrych stosunków między Polską a Żydami. Otóż ja nie chcę w tej chwili prawować się z Panami, nie chcę o nic oskarżać, nie chcę wdawać się w żadne spory, muszę jednak stwierdzić, że ta niesłychana namiętność, jaką Panowie wnosicie do tej sprawy, i ta bezceremonialność, z jaką rzucacie oskarżenia, już nie na jedną klasę, nie na stronnctwo, ale na całe Państwo Polskie, nie pozwoli nawet i członkom lewicy podtrzymać złożonego przez Panów wniosku.

Z tych wszystkich względów, które wyłożyłem, Komisja Administracyjna uchwaliła znaczną większością głosów przejść do porządku dziennego nad czterema wnioskami, złożonymi przez różne kluby poselskie, uchwaliła natomiast znaczną większością głosów następującą rezolucję:

„Sejm wzywa Rząd 1) do przedłożenia sprawozdania z zarządzeń poczynionych celem usunięcia niedomagań w administracji państwowej i służbie bezpieczeństwa publicznego, które tak jaskrawy wyraz znalazły w nieudolności tej służby w czasie zajść w dn. 11 grudnia; 2) do ujawnienia ostatecznych wyników śledztwa przeciw osobom urzędowym,

winnym przekroczeń służbowych w związku z pomienionymi wyżej zajściami".

Dla ścisłości muszę nadmienić, że zgłoszono rezolucję mniejszości przez p. posła Schippera, który zastrzegł sobie votum separatum na Sejmie.

W związku z czterema wnioskami polecono mi również zreferować wniosek p. Putka w sprawie tzw. „gloryfikacji zbrodni". Był to wniosek wzywający Rząd do ścigania osób pochwalających zbrodnię dokonaną na Prezydencie, zwłaszcza, gdy to są osoby piastujące stanowiska urzędowe, i do wymierzenia odpowiedniej kary. Być może, że ta rzecz jest dzisiaj przebrzmiała. Ale pozwolę sobie zwrócić uwagę, że jeżeli minęły te bardzo jaskrawe objawy, którymi wówczas wnioskodawca słusznie się gorszył, jeżeli minęła ta otwarcie okazywana radość z powodu zamordowania „żydowskiego prezydenta", jeżeli minęły te odmowy odprawiania nabożeństw za Narutowicza, który jakoby miał być Żydem, to jednak nie minęły inne objawy, które do dnia dzisiejszego są zgorszeniem publiczności. Śp. Narutowicz był ofiarą zbrodni. Jest to rzecz, którą ustalił Sejm jednozgodnie w napisie na tablicy, którą wmurowaliśmy parę dni temu. Śp. Narutowicz nie zginął dlatego, że spadła mu dachówka na głowę, nie zginął przez przypadek, ale zginął z ręki zbrodniarza. Otóż jest rzeczą zupełnie w sprawie obojętną, czy człowiek, który dokonał zbrodni, dokonał jej z tych czy innych pobudek, czy odpokutował swoją winę śmiercią, czy też nie. To jest sprawa, którą przyszły biograf zbrodniarza, o ile się taki znajdzie, może sobie rozpatrzyć. Dla nas jednak, jako dla Sejmu polskiego, istnieje jedna sprawa, to jest sprawa Narutowicza. Żadnej innej sprawy, tj. sprawy Niewiadomskiego, nie ma i na jednej płaszczyźnie z nią być nie może. (Brawa na lewicy).

Pomijam wszelkie wydawnictwa, które się jawnie w Warszawie ukazują do dziś dnia i które są szerzeniem kultu morderstwa i zbrodni. Na Powązkach grób Niewiadomskiego jest ciągle zarzucany kwiatami, a osoby, które przechodzą tamtędy i nie chcą dawać datków na uczczenie pamięci Niewiadomskiego, są lżone i napastowane. Podobno na grobie, — zaznaczam „podobno" bo sam nie widziałem — istnieje napis: „Bohaterowi Narodu". (Głos na lewicy: Tak jest. Głos na lewicy: Oto jest naród, który ma takich bohaterów. Warci są takich bohaterów. Ich pojęcie bohaterstwa i zbrodni jest identyczne).

Jeżeli tak jest, zapytuję p. ministra sprawiedliwości, którego stronnictwo potępiło ten mord, dlaczego prokurator nie wkracza w tę spra-

wę? Nie jestem prawnikiem i nie chcę pouczać p. ministra sprawiedliwości, o ile mnie jednak wiadomo, istnieje w kodeksie artykuł, przewidujący karę za pochwałę zbrodni.

Otóż stwierdzam, że tej pochwały dokonuje się każdego dnia publicznie w Warszawie i że p. minister sprawiedliwości, również zresztą, jak i poprzedni minister sprawiedliwości, pozostaje bezczynny wobec tego.

Może Wysoka Izba przejść nad wnioskiem złożonym swego czasu przez p. Putka do porządku dziennego i zgodnie z wolą większości Komisji poprzestać na rezolucji, ale sądzę, że równocześnie wolno mi będzie wezwać kogo należy, aby nareszcie tego rodzaju bezczelnościom położyć kres. (Oklaski na lewicy).

PRZEMÓWIENIE W SPRAWIE USTAW JĘZYKOWYCH

na posiedzeniu Sejmu z dn. 9 lipca 1924 r.

Wysoki Sejmie!

Zanim przystąpimy do rozpatrywania i głosowania ustaw, zgłoszonych przez Rząd i obejmujących niektóre postanowienia w sprawie mniejszości narodowych, słusznym będzie, ażebyśmy przypomnieli sobie sposób, w jaki ustawy te powstały — sposób i moment.

Pan prezes Rządu w pierwszym przemówieniu swoim wygłoszonym w Sejmie zaznaczył, że podejmuje się jedynie sanacji Skarbu i że wszelkie inne zadania, bodajby nawet najbardziej pilne i najbardziej potrzebne w Polsce, pozostawia swoim następcom. Jednak siła i logika wypadków, niewątpliwie niezadowalający stan tych rzeczy w Polsce, zmusiły go do tego, że już w kilka miesięcy potem złożył publiczne oświadczenie, iż uważa za swój bezpośredni obowiązek przystąpić do unormowania tych rzeczy w drodze ustawodawczej, bodajby w najskromniejszym zakresie. W tym celu zwołano dwa dość liczne zgromadzenia osób zaszczyconych zaufaniem prezesa Rządu, które wypowiedziały swoją opinię i które zresztą rozeszły się bez pozostawienia jakichkolwiek konkretnych śladów.

Do pomocy Rządowi celem opracowania ustawy powołana została w następstwie tzw. Komisja Czterech, której skład znany jest Panom z wielokrotnych wzmianek w pismach. Komisja ta nie reprezentowała żadnego stronnictwa, żadnej grupy politycznej; zasiadali w niej oby-

watele, przemawiający jedynie we własnym imieniu, reprezentujący jedynie własne poglądy. Z samego faktu, że w Komisji Czterech zasiadali ludzie należący do wręcz przeciwnych sobie obozów, reprezentujących wręcz przeciwstawne sobie poglądy na sprawę mniejszości, wynika i wynikać musiało, że w sprawie tej zawarty zostanie pewien kompromis, że kompromis ten, nie naruszający niczyich szerszych poglądów, nie rozwiązujący całości zagadnienia, nie przekreślający i nie odwołujący niczego, pokusi się o realne ujęcie tego zagadnienia, jakim jest język urzędowania władz państwowych w Polsce i używanie własnego języka w urzędach przez mniejszości narodowe.

Było by znacznie lepiej, gdyby czy to w pierwszych, liczniejszych naradach, czy to później w Komisji Czterech, zasiadali także i przedstawiciele stron zainteresowanych, przedstawiciele mniejszości narodowych. Co do mnie osobiście, gdybym był na miejscu p. premiera, wolałbym tą drogą dojść do pewnego porozumienia i osiągnięcia takiego minimum, jakie jest możliwe do osiągnięcia; jednakże brak przedstawicieli mniejszości w Komisji Czterech nie zwalniał, jak sądzę, obywateli Polaków od wzięcia w niej udziału, od ciężkiego obowiązku dojścia do jakiegokolwiek wspólnego poglądu na palącą sprawę kresów. Podkreślam ten obowiązek nie dlatego, żebym się w ogóle entuzjazmował zasadą jedności narodowej, przed którą musiałaby ustąpić raz na zawsze rozbieżność zdań, ale dlatego, że w tej sprawie i w tym momencie, jak sądzę, słusznym będzie zupełnie, aby pogląd, który dziś zostanie uchwalony, był poglądem całej polskiej części naszego Państwa.

A teraz jeżeli chodzi o same ustawy, to zanim przystąpimy do szczegółowego ich czytania, słusznie będzie zastanowić się nad ich wartością, nad ich zakresem i nad możliwością ich wykonania.

Niewątpliwie ustawy te nie dają wszystkiego, niewątpliwie ustawy te nie obejmują całokształtu zagadnienia. Zostało to uczynione świadomie, nie dlatego, żeby zaprzeczyć samemu istnieniu całokształtu zagadnienia, ale powtarzam jeszcze raz, dlatego, aby zacząć od rzeczy najłatwiejszych, aby zacząć od rzeczy, co do których będzie możliwe osiągnięcie wspólnego poglądu, aby zacząć od rzeczy, które mogą być w życie wprowadzone.

Ustawy te, rzecz prosta, nie obejmują całokształtu zagadnienia przede wszystkim co do tych czy innych aspiracji mniejszości narodowych. Nie jako członek Komisji, ale jako obywatel Państwa, jako poseł Sejmu, jako reprezentant pewnego kierunku politycznego, rozumiem, że aspi-

racje te mogą iść znacznie dalej, aniżeli określają to ustawy, aniżeli określić to jest w stanie większość i całość Sejmu polskiego. Gotów też jestem w dążeniu do zrealizowania tych aspiracji towarzyszyć mniejszościom narodowym bardzo daleko, tak daleko, jak daleko pozwala na to interes Państwa Polskiego jako całości, jak pozwala na to bezsporna dla mnie zasada nienaruszalności jego granic, zasada uznania tego, co jest w danej chwili tworem skończonym, który na rzecz żadnej teorii, żadnego programu nie może być ćwiartowany. Jeżeli ktoś poza tym w duszy swej żywi aspiracje dalej idące, aspiracje co do samookreślenia się całkowitego, co do utworzenia własnego państwa, to jako człowiek mogę uznać te aspiracje, uznać ich słuszność i podstawy, lecz jako Polak musiałbym stwierdzić, że w obecnej chwili Polska, odcinając od siebie żywe kawałki organizmu państwowego, nie zaspokoiłaby nawet niczyich dążeń narodowościowych, lecz tylko interesy państw sąsiednich, i że skorośmy zeszli z zasady granic z 1772 r., to nie mamy nie tylko żadnego powodu, ale nawet żadnej możności godzić w podstawy tych granic, w jakich się dziś znajdujemy.

Oczywiście aspiracje narodowościowe mogą się także i co do wielu innych rzeczy posuwać znacznie dalej aniżeli ustawy. Niekiedy są to rzeczy pozornie drobne, a jednak wywołujące niesłychanie ostry spór i czyniące wrażenie pewnej zniewagi. Taką jest np. sprawa nazwy narodu. Mój osobisty pogląd jest, że naród każdy powinien nadawać sobie nazwę sam, bez niczyich wpływów, a zwłaszcza bez niczyjego nacisku. Dlatego też ilekroć tu w Sejmie przemawiałem, nazywałem Ukraińców Ukraińcami, tak jak oni siebie nazywają, tak jak brzmi nazwa ich klubu urzędowo w Sejmie naszym.

Ubolewam bardzo, że co do tego punktu kompromis nie doprowadził tak daleko, jak powinien był doprowadzić i użyto innej nazwy, która zresztą jest nazwą i historyczną i odwieczną, użyto nazwy „ruski", która, mam wrażenie, nikogo nie obraża, ale być może i nikogo nie zadowala. Związany uchwałami Komisji Czterech, związany poglądem moim co do konieczności pewnego kompromisu w tej sprawie, niewątpliwie głosować będę tak, jak mi to nakazuje umowa, ale to nie sprzeciwia się wcale mojemu wewnętrznemu przekonaniu, że w tym kierunku należało by i można było by iść dalej.

Nie zadowalają mnie też te ustawy co do terytorium objętego przez nie. Przyznaję, że stojąc na stanowisku czysto teoretycznym, na stanowisku zasadniczym, można było iść dalej w uwzględnieniu praw mniej-

szości narodowych i praw poszczególnych obywateli wszędzie tam, gdzie się oni znajdują, niezależnie od tego, czy się znajdują na terenie tego województwa czy innego. Ja osobiście nie widzę żadnej przeszkody, ażeby dzieci niemieckie czy ukraińskie uczyły się w swoim języku, nawet wówczas, kiedy zamieszkują województwo krakowskie, nie tylko lubelskie. Jednak wracając znowu do twardego i praktycznego życia, zaznaczyć muszę, że nie udało się granicy tej posunąć poza granice trzech województw małopolskich i czterech województw północno-wschodnich. Myślę, że to wszystko, co Sejm uchwalić raczy, może być tylko początkowym rozwiązaniem zagadnienia niesłychanie drażliwego, skomplikowanego a zarazem niesłychanie dla Polski ważnego, zagadnienia, od którego zależy nie tylko jej zdrowy rozwój, jej rozkwit, ale być może i życie.

Sądzę, że w tym rozumieniu ustawy, które w imieniu komisji przedkładam Wysokiemu Sejmowi, nie tylko nie są rzeczami najważniejszymi, ale są może najmniej ważnymi. Istotą rzeczy jest sprawa stosunku narodowości niepolskich, zamieszkujących Państwo nasze, do administracji naszej i odwrotnie — administracji naszej do mniejszości narodowych, stosunku, jak wiadomo, bardzo niepoprawnego obustronnie, niezadowalającego nie tylko żadnej mniejszości, ale żadnego Polaka w Polsce. Członkowie najrozmaitszych stronnictw i rządów już z tej wysokiej trybuny stwierdzili, że stosunki administracyjne, zwłaszcza na naszych kresach, są gorzej niż złe, że wymagają szybkiej i gruntownej sanacji i że bez uzdrowienia tych stosunków o żadnej istotnej poprawie, o żadnym rozwiązaniu zagadnienia mniejszości narodowych w Polsce nie może być mowy.

Niewątpliwie nie możemy o tym zapominać, uchwalając ustawę językową, stwierdzić jednak wolno, że nie można zrobić od razu wszystkiego. Komisja która odbyła 15 czy 18 posiedzeń, załatwiła w każdym razie taką rzecz, na którą, powiedzmy sobie, Austria potrzebowała 60 lat i której w drodze ustawy nie załatwiła aż do samej śmierci. Myślę, że nadejdzie w najbliższej przyszłości czas, gdy od zagadnień językowych trzeba będzie przejść do uzdrowienia administracji na tych czy innych podstawach i następnie do usunięcia skarg każdej ludności, zamieszkującej kresy. Sądzę także, że rzeczą może jeszcze ważniejszą jest kwestia dobrobytu materialnego mniejszości narodowych, jest kwestia tego zupełnie słusznego żądania, aby w stosunku do ich dobytku, w stosunku do ich dobrobytu Państwo Polskie traktowało ich na równi z każdym

innym obywatelem, jeżeli nie lepiej. Powiadam: „jeżeli nie lepiej" — ze względu na zniszczenia wojenne, którym oni podlegli i ze względu na to, że tamte części Polski w kulturze materialnej są cofnięte bardziej w tył, niż części Polski środkowej i zachodniej. Myślę, że rozwiązując zagadnienie dobrobytu materialnego, Rząd obecny czy przyszły nie będzie mógł także pominąć kwestii ziemi, która niewątpliwie jest jedną z najbardziej palących i co do której istotnie do tej pory stosunek nasz był nie tylko nieuregulowany, ale i niewłaściwy. Istnieją w tej sprawie, jak wiadomo, dwa poglądy krańcowo sprzeczne i jak osobiście mniemam, krańcowo szkodliwe. Jeden z nich nakazuje odsunięcie wyłącznie od dobrodziejstw reformy rolnej całej ludności niepolskiej, drugi usiłuje zarezerwować te ziemie tylko dla ludności polskiej. Nie będę się wdawał w szczegółowy rozbiór tego zagadnienia, bo to nie należy do tematu. Muszę jednak stwierdzić, że w tej sprawie, jak we wszystkich innych, moim skromnym zdaniem, rozwiązanie powinno iść po linii środkowej, powinno się pamiętać nie tylko o straszliwie zabójczym dla Państwa przeludnieniu rolniczym części środkowych i zachodnich Polski, ale przede wszystkim również powinno się pamiętać o potrzebach i sprawach ludności osiadłej od wieków na miejscu. Usunięcie jej zupełnie od ziemi było by rzeczą, która by na pewno nie odbyła się bez zatargów, doprowadzających do czynów dla Polski zabójczych.

Całe te trzy ustawy, które Wysoki Rząd przedkłada dziś Sejmowi, które powstały z dorady i przy współpracy Komisji Czterech, przesiąknięte są jedną ideą zasadniczą, ideą takiego współżycia narodowości w Państwie Polskim, przy którym nikt nie czułby się pokrzywdzonym, nikt nie czułby się niewolnikiem ani pasierbem, lecz każdy czułby się równouprawnionym obywatelem. Jeszcze raz stwierdzam, że te ustawy niewątpliwie nie dają całokształtu zagadnienia i nie pozwalają nikomu dzisiaj stwierdzić, że musi być z tego stanu rzeczy zadowolony. Ale też te ustawy nie wymagają żadnego z niczyjej strony pokwitowania. Jeżeli Państwo Polskie, jeżeli Sejm i Rząd polski występują z pewnymi ustawami i chcą je wprowadzić w życie, to nie pod czyimkolwiek naciskiem, nie dla zadowolenia czyichkolwiek poglądów, nie dlatego, że taki a nie inny jest pogląd Ligi Narodów, czy Towarzystwa Przyjaciół Ligi Narodów, lecz tylko dlatego, że taki jest interes Państwa Polskiego (Głosy: Słusznie).

Panowie twierdzą (zwracając się do mniejszości narodowych), tak twierdzili przynajmniej Panowie na komisji i w prasie, że pośpiech,

z jakim ustawy są tu uchwalane, świadczy, iż są one uchwalane na eksport, dla zagranicy. Śmiem zaznaczyć, że to, czego żąda od nas w tej sprawie zagranica, to, czego żąda od nas pakt dodatkowy do Traktatu Wersalskiego, daje znacznie mniej niż te skromne trzy ustawy, te trzy kompromisowe ustawy, które dziś przedkładamy Sejmowi. I dlatego gdyby ktoś chciał tylko zadowolnić Ligę Narodów, to mógłby się powstrzymać nawet w tej krótkiej drodze znacznie bliżej. Wobec tego wydaje mi się, że wszelkie posądzenia narodu polskiego o to, że ustawy te są wyłącznie dla zagranicy robione, są jedynie dowodem głębokiego zadrażnienia stosunków pomiędzy nami, pewnej podejrzliwości, która w tym wypadku na niczym nie jest oparta. Traktat o mniejszościach leżał u nas wprawdzie na stole, nie mieliśmy jednak potrzeby ani obowiązku do niego zagladąć, sprawdziliśmy tylko w pewnym momencie, czy istotnie wykonaliśmy to, czego od nas wymagał, i stwierdziliśmy z zadowoleniem, że dajemy znacznie więcej niż to jest naszym obowiązkiem prawnym, jeżeli już na tym punkcie stać mamy.

Czy ustawy te będą wykonane? Zaprzecza się temu. Sądzę, że i tu daje się może zbyt wielki posłuch swojej pobudliwości, swojej nieufności, może nieraz uzasadnionej praktyką życiową, ale zwracam uwagę, niezbyt pożytecznej. Nie wiem, jak i kiedy te ustawy będą wykonane, wiem natomiast, że zanim jakiekolwiek prawo będzie wykonane, trzeba mieć przede wszystkim zasadę, trzeba mieć to, o co się walczy, trzeba mieć owo prawo, prawo materialne, które by służyło za punkt wyjścia do wykonania.

Komisja Czterech, a także mniemam i Wysoki Rząd, zdają sobie najzupełniej sprawę, że od uchwalenia tego prawa do wprowadzenia go w życie będzie droga czasem dość daleka i czasem bardzo kamienista. Dlatego już w ostatniej chwili na Komisji Konstytucyjnej za zgodą wspólną wszystkich klubów polskich termin wprowadzenia tych ustaw w życie został nieco przesunięty. Pierwiastkowy tekst brzmiał: w miesiąc po uchwaleniu; myśmy przesunęli go na później, na 1 października, nie dlatego, żeby komuś zrobić przykrość, tylko dlatego, żeby zapewnić lepsze przygotowanie się do wprowadzenia w życie tych ustaw. Nie zaprzeczam jednak wcale, że tu i owdzie, być może w bardzo wielu nawet wypadkach, znajdzie się urzędnik czy środowisko jakieś, które z tych ustaw będzie niezadowolone, które będzie je uważało za szkodliwe dla polskości i które je będzie wykonywało niedbale, albo wcale nie będzie chciało ich wykonywać. Wysoki Sejm w tej sprawie, jak w każdej innej,

ma prawo kontroli nad działalnością Rządu, bądź przez zgłaszanie interpelacji, bądź przez utworzenie specjalnej komisji, która powinna czuwać nad tym, żeby to, co było wolą Sejmu, było też wolą władzy wykonawczej w całej rozciągłości, poczynając od jej przewodnika w Warszawie, a kończąc na najdrobniejszym urzędniczku w starostwie. Te wypadki łamania ustaw, nie tylko ustaw dotyczących mniejszości, ale jakichkolwiek ustaw, które się nie podobają temu czy innemu panu w starostwie czy komendzie policji, te wypadki nieuznawania prawa dlatego, że ono nie odpowiada czyimś poglądom, zachodzą istotnie dość często i, jak myślę, cały Sejm polski, niezależnie od przynależności partyjnej i narodowej, powinien z równym wysiłkiem i wytężeniem zajmować się tymi nadużyciami, w interesie nie tej czy innej mniejszości, tylko w interesie wspólnym całego Państwa.

Sądziliśmy zresztą, jako Komisja Czterech, że będzie rzeczą pożyteczną doradzić Rządowi, by utworzył jakiś organ, który by stale zajmował się kontrolowaniem i uzgadnianiem w rozmaitych resortach zamierzeń i poglądów Rządu, zwłaszcza jeżeli one będą już wykonaniem zamierzeń i poglądów Sejmu. Zdaje mi się tedy, że zanim dojdziemy do tego bardzo gorzkiego przekonania, że ustawy te nie będą wykonane, trzeba przecież dać pewien czas Rządowi i życiu, trzeba przekonać się i przyjść z faktami istotnymi i realnymi, w przeciwnym bowiem wypadku narażają się Panowie na posądzenie, że stawiają zarzuty całkiem gołosłownie. I tutaj żadna praktyka dotychczasowa nie zmieni postaci rzeczy. To że dotychczas działo się źle, nie jest precedensem, żeby i nadal do nieskończoności miało się w Polsce źle dziać. Jeżeli Panowie walczycie o poprawę złego, to wierzcie, że i my walczymy, a jeżeli te rzeczy nie mogą się stać w ciągu paru lat, to może dlatego, że są zbyt trudne dla społeczeństwa i narodu, który dopiero od kilku lat rządzi się sam.

Zdaje mi się zresztą, że wartość tych ustaw będzie nie tylko praktyczna, ale że polega ona także na pewnych teoretycznych ustaleniach i uzgodnieniach co do niektórych rzeczy. Gdybyśmy raz na zawsze zgodzili się, że w tej Polsce należy żyć na zasadzie uszanowania wzajemnych aspiracji, na zasadzie szanowania swoich kultur, swoich języków, na zasadzie przyzwyczajania się do siebie, skoro już wspólnie w tym państwie mieszkać musimy, to uczynilibyśmy niewątpliwie bardzo duży krok naprzód.

Państwo Polskie jest — Polską; miałem zaszczyt z tej trybuny kilkakrotnie to stwierdzić, że opiera się ono na tradycji historycznej polskiej

i że uwzględnić musimy ten fakt realny, iż 2/3 ludności należy w tym państwie do narodu polskiego. To jednak nie wyklucza wcale jak największego poszanowania dla każdej innej kultury, dla każdego innego języka, i nie wyklucza także opieki, jaką Rząd Polski winien staraniom mniejszości narodowych w utworzeniu własnej kultury. Nie wyklucza to zresztą z drugiej strony również zasady współzawodnictwa w tym państwie. Zdaje mi się, że takie postawienie rzeczy, jakie kilkakrotnie w tym Sejmie było proponowane, że Polskę należy podzielić na pewne zamknięte terytoria, na pewne folwarki, które należą do tej czy innej narodowości, nie jest do przyjęcia dla nikogo. Ziemia Państwa Polskiego należy wspólnie do nas wszystkich i na tej ziemi, jak wszędzie niewątpliwie, musi być uznana zasada pokojowego współzawodnictwa różnych kultur, różnych języków, różnych tradycji i to współzawodnictwo, byle by tylko rozgrywało się w szrankach legalności, uszanowania innego człowieka i innego narodu, nie przyniesie nie tylko nikomu szkody, ale musi też przynieść wspólny pożytek, niewątpliwie bowiem współzawodnictwo czy jeśli inaczej chce kto nazwać, lojalna i legalna walka jest podstawą wszelkiego współżycia.

I oto dlatego sądzę, że Sejm Polski te trzy ustawy, które dzisiaj przedkładamy, uchwalić powinien. Sądzę, że powinien wejść na drogę wielkich i świetnych tradycji Państwa Polskiego, kiedy siłą naszą był nie tylko pancerz i miecz, ale kiedy był nią także rozum stanu, patrzący poprzez stulecia, zdolność przyciągania i przywiązywania do siebie innych narodów, zdolność rozwiązywania zagadnień narodowościowych na najwyższej płaszczyźnie człowieczeństwa. Ja myślę, że może z pewnymi wahaniami, może z pewnymi trudnościami, których wytłumaczenie aż nadto znajduje się w 120 latach naszej niewoli, na tę wielką drogę wkroczymy i tam znajdziemy na razie tę moc i ten rozkwit Państwa, jakiego sobie wszyscy życzymy. (Oklaski. Bicie w pulpity na ławach mniejszości narodowych).

Na zakończenie dyskusji:

Wysoki Sejmie. Ze zgłoszonych i przeczytanych przed chwilą poprawek mogę tylko poprzeć poprawkę, uzgodnioną ze wszystkimi polskimi klubami, aby we wszystkich trzech ustawach tam, gdzie się spotyka słowo „ruski" w nawiasach dodać „rusiński". Oprócz tego popieram rezolucję przyjętą przez Komisję Konstytucyjną, mianowicie wzywającą Rząd, aby wydał rozporządzenie, normujące użycie języka żydowskiego

na zgromadzeniach publicznych. Będzie ona głosowana przy trzecim czytaniu.

Zresztą oświadczam się przeciw wszystkim zgłoszonym poprawkom nie dlatego, ażebym niektórych osobiście nie uważał za słuszne, ale dlatego, że kompromis polega na tym, że się często głosuje przeciw temu, co się uważa za słuszne.

Korzystając ze sposobności, pozwolę sobie odpowiedzieć poprzednim mówcom w paru słowach. W przemówieniach Panów brzmiała nuta nieufności, czy ta ustawa będzie wykonana. Muszę raz jeszcze oświadczyć, jako Polak i członek Sejmu polskiego, że ja muszę mieć wiarę w to, że Państwo Polskie to wykona; gdybym tej wiary nie miał, nie mógłbym nie tylko pracować nad budową tego Państwa, ale nawet nie mógłbym żyć w tym Państwie. A poza tym Wasze ukochanie swoich praw, swojej kultury i swojej ściślejszej ojczyzny idzie tak daleko, że wyraźnie zieje nienawiścią do wszystkiego, co polskie. W tej sprawie, tak jak wzywałem Was do cierpliwości, tak samo nagiąć muszę i siebie samego żelazną ręką do cierpliwości, aby przetrwać tę nienawiść i zbudować to, co uważamy za potrzebne dla wszystkich.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ

SPOŁECZNE CELE SPÓŁDZIELNI

Ciągle jeszcze nie określone są ostateczne cele spółdzielni. Wykładnikiem takiego stanu rzeczy jest zarówno brak powszechnie uznanej definicji naukowej ruchu spółdzielczego, jak bynajmniej nie jednolite określenie prawne spółdzielni w różnych ustawodawstwach. Nie wchodząc w szczegóły, wystarczy zaznaczyć, że zarówno naukowe, jak prawne określenia dawniejsze poprzestają zwykle na objęciu cech zewnętrznych spółdzielni — zmienności kapitałów i stanu osobowego, rodzaju odpowiedzialności — poza tym zaś albo stwierdzają, iż spółdzielnie są organizacjami gospodarczymi dla podniesienia dobrobytu swych członków, albo po prostu milczą w tej sprawie. W określeniach nowszych częściej już spotyka się wytknięcie celów nie tylko materialnych; rozszerza to definicję, ale ciągle jeszcze nie ustala stanowiska społecznego spółdzielni. Z ustaw jedyna ustawa sowiecka stwierdza wyraźnie, iż celem spółdzielni jest praca dla realizacji ustroju socjalistycznego; określenie ścisłe, ale wiążące spółdzielczość z jednym tylko kierunkiem, właściwie z jednym tylko z odłamów kierunku. Względnie najdalej idącą, najbardziej zarazem obszerną jest definicja zawarta w uchwale Międzynarodowego Kongresu Spółdzielczego z r. 1910, która w spółdzielczości widzi ruch społeczny, zmierzający przez tworzenie opartych na samopomocy zrzeszeń gospodarczych do ochrony interesów pracy. Definicja ta jednak w poszczególnych krajach pozostaje przeważnie albo martwą literą albo punktem spornym, dokoła którego toczą się spory, na tle którego powstają rozłamy. Interpretacja celów społecznych spółdzielni w dalszym ciągu pozostawiona jest zwykle nie tylko poszczególnym organizacjom, ale oddzielnym ich członkom.

Różne są tego przyczyny. Główną z nich, jeżeli nie wystarczającą, jest fakt, że od pierwocin swoich była spółdzielczość ruchem przeważnie empirycznym, nie szukającym uzasadnień teoretycznych do swego bujnego rozwoju. Jeżeli nawet u kolebki jej stały pewne koncepcje filozoficzne, nie dopomogły one młodemu ruchowi do wyraźnego zarysowania swo-

jego profilu społecznego, może dlatego, że nawołując niemal wyłącznie do tworzenia spółdzielni wytwórczych, popychały go na drogę, którą spółdzielczość nie poszła, albo poszła w stopniu pomniejszym. Później, kiedy z niesłychanym rozmachem zaczęła rosnąć spółdzielczość spożywców, zaczęto też do niej dorabiać teorie. Działo się to w okresie coraz gwałtowniej występującego sporu między kapitałem a pracą, w czasach, kiedy socjalizm zaczął wielu ludziom spędzać sen z powiek. Nadużywając teorii wszechklasowości spółdzielni, szukając w nich wyrazu solidaryzmu społecznego, usiłowano używać spółdzielczości jako odtrutki przeciwko „wywrotowym" prądom; rzecz tym łatwiejsza, że socjalizm ówczesny darzył spółdzielnię niekłamaną i nieukrywaną pogardą. W ten sposób rosnąc zbierał ruch spółdzielczy pod swoje sztandary miliony ludzi, z których pewna część — powiedzmy nieliczna — była z tych czy innych względów wrogo usposobiona do wszelkiego radykalizmu społecznego, reszta, masa była bierną albo zachowywała swoje sympatie i poglądy społeczne na swój prywatny użytek.

W ostatnich czasach, w powojennym okresie, zaczyna zarysowywać się w spółdzielczości nowa faza jej wewnętrznego rozwoju. W pewnej mierze dzieje się to wskutek pogodzenia się socjalizmu ze spółdzielczością, wciągania go w orbitę swoich działań, używania do swoich celów. Przede wszystkim jednak ujawniać się zaczyna pewna dojrzałość psychiczna ruchu spółdzielczego, otwieranie baczniejszych oczu na wnioski wysuwane przez życie, na zjawiska, które są sprawdzianem teorii. Zjawiska te rzucają się w oczy, wnioski są łatwe. Ale pod ich wpływem niejedno trzeba zmienić w szyku bojowym i niejedno trzeba ze swego myślenia usunąć.

Należało by zacząć od szanownej ze względu na swoją starość zasady wszechklasowości spółdzielni. Mniejsza o to, czy i jaką miała ona kiedykolwiek wartość; idąc utartą drogą empiryzmu spółdzielczego, wystarczy zbadać, jaką ona wartość użytkową może mieć dzisiaj. Najpobieżniejsza znajomość ruchu spółdzielczego odpowiada — żadną. Skład osobowy spółdzielni może być bardzo różnoklasowym, z reguły jednak wyklucza jedną klasę — klasę kapitalistów. Wyklucza nie z zasady bynajmniej; tylko sowieckie spółdzielnie spożywców zamknięte są dla ludzi żyjących z cudzej pracy i w ogóle wszystkich obywateli nie posiadających pełni praw politycznych. Gdzie indziej zasada zostaje nietkniętą; nie jest tylko stosowaną po prostu. Gdyby z ogółu spółdzielni odrzucić spółdzielnie kredytowe, najmniej spółdzielcze z ducha spółdzielnie, we

wszystkich innych, zwłaszcza zaś u spożywców i rolników, niemal wszyscy członkowie należą do świata pracy. Ale kapitalizm, który jest nie mniej ekskluzywny niż średniowieczny feodał, niweluje je coraz bardziej, ustalając dogmat, iż świat dzieli się na posiadaczy kapitału, aspirantów do ich posiadania i innych, którzy już nawet nie aspirują.

Oczywiście, zdarzają się wyjątki. Na letnim mieszkaniu albo w dzielnicy fabrycznej bywa i kapitalista dla czysto praktycznych wygód członkiem spółdzielni. Kupuje w niej kaszę, cukier i mąkę i jest „martwym" członkiem. Jego nastawienie psychiczne, kształtowane przez wysiłki całego życia, skierowane do innych celów, jest rażąco odmienne istocie spółdzielni.

Mniejsza już o to, że potrzeby swoje może on w spółdzielni zaspokoić tylko cząstkowo, spółdzielnia bowiem urządzona i obliczona jest na potrzeby ludzi biednych albo znajdujących się na pograniczu biedy i najskromniejszych początków zamożności. Bardziej niż skromny asortyment towarów odstręcza go od spółdzielni jej atmosfera, jej organizacja wewnętrzna. Jest ona jedynym bez mała miejscem na świecie, do którego wchodząc musi pozostawić u progu swój portfel, jako rzecz pozbawioną wszelkiego pożytku. Nie wolno mu nabyć więcej niż niewielką ilość udziałów; gdyby ich nabył nawet większość, nie miałby więcej niż jednego głosu na walnym zgromadzeniu. Kapitał włożony w te udziały procentuje słabo i tego nie można poprawić namową ani naciskiem, niskie formy oprocentowania bowiem narzuca statut, a często nawet ustawa. W końcu roku spółdzielnia daje wprawdzie coś w rodzaju zysków, choć nawet zyskiem się to nie nazywa, ale przy podziale tych różnic cen hurtowych i detalicznych jego kapitał okazuje się znowu bezpożytecznym. Może się łatwo zdarzyć, że przy wypłacie bonifikat otrzyma mniejszą sumę niż dozorca jego domu, który kupuje tu wszystko potrzebne mu do życia, podczas gdy on nabywa tylko niektóre towary. Co większa, znaczna część tych dziwnych „zysków" odkładana bywa na bok, przestając być czyjąkolwiek własnością, stając się nie tylko z nazwy, ale i z istoty swojej kapitałem społecznym. Nawet w razie wycofania się, nawet w razie likwidacji spółdzielni pieniądze te nie wrócą już do niego; traci je bezpowrotnie i bezimiennie bez ekwiwalentu przyjemności, pożytku czy sławy. Jedyną rzeczą, którą może zyskać w spółdzielni, jest stanowisko w którymś z jej organów kierowniczych. Pomijając już jednak, że jest ono zwykle licho płatne albo całkiem bezpłatne, okazało by się niebawem, że jest ono też mało odpowiednim dla niego, wszystkie

bowiem jego metody i chwyty, całe jego wyszkolenie zawodowe różni się zasadniczo od sposobów używanych przez spółdzielczość. Inaczej się w spółdzielni kupuje i sprzedaje, inaczej przyciąga klientów i osiąga zyski, które inną też odgrywają rolę niż w przedsiębiorstwie kapitalistycznym.

Nic dziwnego, że wskutek tych przyczyn są zwykle warstwy kapitalistyczne w stosunku do spółdzielczości obojętne, jeżeli nie wręcz niechętne. W dodatku spółdzielczość ta powoli, ale stale podgryza korzenie ich bytu, wobec czego niechęć ta rozżarza się do stanu wrogości. Na ogół jest to wrogość maskowana: spółdzielczość znosi się jak zło nieuchronne, lichą pogodę albo nieuleczalną chorobę. Od czasu do czasu wybucha ona jednak żywym płomieniem. Niedawno jedna z angielskich izb handlowych ostrym okólnikiem zakazała swoim członkom nabywać cośkolwiek w spółdzielni.

Ta niechęć czy ta wrogość nie są bynajmniej uczuciami indywidualnymi, wypływającymi z osobistych poglądów czy upodobań. Nie dotyczą one także jakichś szczegółów działania spółdzielczego, co do których można by się z obustronnym pożytkiem porozumieć, kończąc spór kompromisem. Nie ma trwałego kompromisu między kooperatyzmem a kapitalizmem, jest tylko walka o byt. Jest rzeczą zgoła obojętną z punktu widzenia rezultatów końcowych, czy będzie ona prowadzona brutalnie, czy metodami pozornie pokojowymi. Zawsze będzie to co najmniej klasyczna walka dwóch zajęcy o trawę z łąki, która ich żywi. Gdybyśmy ze wszystkich określeń spółdzielni wzięli najbardziej wąskie i najmniej zarazem drastyczne pod względem celów społecznych, gdybyśmy w spółdzielni nie widzieli nic więcej, jak tylko organizację dążącą do poprawy gospodarstwa domowego członków, skutki jej działania nie byłyby mniej złowrogie dla przedsiębiorstw kapitalistycznych. Każda nowa spółdzielnia, to usunięcie szeregu pośredników pasożytujących na spożywcy przy pomocy kapitału, to zagrodzenie drogi do powstawania nowych objawów pośrednictwa. Kiedy spółdzielnia wzniesie się na wyższy stopień swojej organizacji, zaczynając produkować, usuwa nie tylko kupców, lecz przemysłowców. Kiedy powstaje bank, przeznaczony wyłącznie do obsługi spółdzielni, zarysowuje się ostatnia ściana twierdzy kapitalistycznej. Zając kapitalistyczny musi pozostawić łąkę do wyłącznego użytku zająca spółdzielczego.

Sprzeczne z duchem kapitalizmu metody działania spółdzielni i jej organizacja wewnętrzna nie są przecie rzeczą przypadku. Wypływają

one z samej istoty spółdzielczości i nie mogą być jej odjęte. Zdobywając krok za krokiem teren, zaprowadza na nim spółdzielczość swój ustrój i swoje poglądy na stosunki pomiędzy ludźmi. Jej ustrojem jest demokracja gospodarcza w granicach osiągalnych w ramach obcego, niedemokratycznego ustroju. W obrębie samej spółdzielni członek może otrząsnąć się z nędzy, osiągnąć pewien skromny dobrobyt, nie może jednak kosztem innych członków bogacić się dowoli. Ażeby tego nie czynił, wprowadza się postanowienia o równości głosów, o niskim oprocentowaniu kapitału, o odmiennym podziale zysków, które go hamują w sposób całkiem dostateczny.

Hamują go co prawda tylko w granicach stosunków z organizacją, poza którą pozostawiona mu jest wszelka wolność działania; hamują niedostatecznie, z natury bowiem rzeczy spółdzielnia, organizacja dobrowolna, nie rozporządza poważniejszymi środkami przymusu. Nie należy jednak lekceważyć wpływu tego ustroju, w którym członek spółdzielca zgadza się załatwiać bardzo poważną część swoich interesów życiowych. Jeżeli jego stosunek do spółdzielczości jest szczery, jeżeli wchodzi do niej z wiarą w celowość jej działań i wiary tej po dłuższym pobycie nie traci, niewątpliwie w psychice jego dokonywują się głęboko sięgające zmiany. Spostrzega, że świat nie jest dżunglą, w której w pogoni za zyskiem dozwolone są wszelkie sposoby łowieckie. Odczuwa zadowolenie z tworzenia innego, nie osobowego, nie drapieżnego kapitału, który w dalszym ciągu jest źródłem twórczości, ale przestaje być narzędziem ucisku. Zaniechuje szalonego wyścigu do wielkiego bogactwa, w którym tak wielu uczestników pada stratowanych, woli raczej iść spokojniejszym marszem w zwartej gromadzie do wspólnych korzyści, choćby one były znacznie skromniejsze. Budzi się w nim instynkt niefałszowanego solidaryzmu; nie stosuje go tam, gdzie chodzi o jego płace, wiedząc, że są one wynikiem zmagania się dwóch sił o sprzecznych interesach, ale do takich samych jak on ludzi pracy, z którymi związał się uczciwą umową. Powoli przed oczyma jego wyłania się nowy, inny i lepszy świat.

Ten nowy świat jest już budowany na całkiem odmiennych podwalinach niż stary świat kapitału. Twierdzić, że nie ma istotnych różnic pomiędzy kapitalizmem a spółdzielczością było by to samo, co mniemać, iż nie ma żadnej różnicy między nowotworem a zdrowymi jeszcze tkankami organizmu, w którym on się rozwija. Nic to nie znaczy, że spółdzielczość i kapitalizm używają tych samych nieraz środków, tych samych narzędzi. Narzędzie jest rzeczą martwą, żywą jest wola, która

go używa, żywym może być cel, do którego się dąży. Jeżeli spółdzielnia tak samo jak spółka akcyjna używa kapitału prywatnego, jeżeli go nawet wynagradza, są to zjawiska w jej życiu podrzędne. Przede wszystkim istnieją spółdzielnie bezudziałowe; poza tym istotą rzeczy przy porównaniu ze spółką akcyjną jest nie zbieranie udziałów, ale tworzenie kapitału społecznego, bezosobowego i całkowicie okiełznanego. Bez zbytniej fantazji można sobie wyobrazić czasy, kiedy spółdzielnie posiadające wielkie kapitały społeczne będą zniżały oprocentowanie udziałów do zera; to samo może nastąpić wskutek wzrostu świadomości spółdzielczej członków. Prócz tego, od pierwszej chwili, kiedy spółdzielnie spożywców rozpoczęły swoją działalność wytwórczą, za warunek jej istnienia i rozwoju postawiono uprzednie zorganizowanie nabywców. Dziś zaczynają pozornie to samo robić przedsiębiorstwa kapitalistyczne, dzieląc rynki zbytu i organizując sprzedaż. A jednak między kartelem, który powstaje dla utrzymania cen na wysokim poziomie i używa do tego barbarzyńskich środków niszczenia nadmiaru produkcji, a spółdzielnią, której zadaniem jest zaspokajanie istotnych potrzeb spożywców, podobieństwa są i w tym wypadku czysto zewnętrzne. W najgłębszej istocie swojej, z założeń i z celów jest spółdzielczość co najmniej akapitalistyczna.

Można mieć poważne wątpliwości, czy może taką pozostać. Chwila obecna nie jest bynajmniej sielanką, nie jest też spokojnym rozwijaniem się stosunków gospodarczych, ustalonych na długie czasy. Potężny wstrząs wojny zmusza zarówno kapitalizm, jak jego przeciwników do zmiany niejednego ze stanowisk, do szukania dróg nowych. Bledną i wietrzeją stare, uznane powszechnie prawdy, zwolna, drogą ciężkich doświadczeń i cierpień rodzą się nowe. Stosunek między pracą a kapitałem, sprawa zarobków i płac zwraca na siebie coraz bardziej powszechną uwagę, stając się w znacznej mierze treścią współczesnej historii świata. Zachować na tym palącym gruncie całkowitą neutralność staje się rzeczą coraz bardziej trudną, nawet dla osób dostatecznie zamożnych, aby nie potrzebować walczyć o utrzymanie się przy życiu, i całkiem obojętnych na zagadnienia społeczne, zupełnie zaś niemożliwe jest już utrzymanie w tych warunkach neutralności dla instytucji gospodarczej, jaką jest spółdzielnia. Gdyby nawet jej zadaniem była tylko sprzedaż po tańszych cenach produktów swoim członkom, zadanie to równa się podwyżce realnej wartości płac, a tym samym trafia w samo sedno sporu walczących ze sobą o podział dochodów klas. Być neutralnym mogłaby

niewielka, nic nie znacząca grupka teoretyków, mniej dbających o swoje stanowisko społeczne. Spółdzielczość ze swoimi dziesiątkami milionów członków, olbrzymimi rozdzielniami towarów i nie mniej olbrzymimi warsztatami wytwórczymi mogłaby tylko stwarzać fikcję neutralności, której jawnie zaprzeczałyby jej działania i samo jej istnienie. Dążenie do zniżki cen, to walka z kartelami, w dalszej zaś linii walka z przedsiębiorcami, którzy dążą do zniżki płac do poziomu minimum kosztów utrzymania. Szukanie racjonalnego stosunku do nabywcy, to walka z kupcami, którzy starają się wywoływać potrzeby nabywców, wtedy, gdy spółdzielnia powstaje na to, żeby je zaspokajać. Pomińmy już elementarny fakt odbierania pośrednikom i wytwórcom kapitalistycznym klientów. Nie, akapitalistyczną spółdzielczość zostać nie może; musi zdradzić swe założenia lub ujawnić swe antykapitalistyczne oblicze. Iść po linii przez siebie wytkniętej, ustalonej przez samą naturę rzeczy i ogłaszać neutralność, to było by kłaść maskę, która niczego nie zakrywa i nikogo w błąd nie wprowadzi.

Po cóż by zresztą miała być neutralną? Do zaprzestania walki potrzeba zgody dwóch. Niestety, kapitał tej walki zaprzestać nie może, nie chodzi tu bowiem o jego poglądy, nawyki i upodobania, tylko o jego życie. Wykazuje to chłodna analiza stosunków gospodarczych, potwierdza praktyka dnia codziennego. Do zgoła abstrakcyjnej teorii, w myśl której jest spółdzielczość organizowaniem wszystkich spożywców, czas by już wprowadzić poprawkę, stwierdzającą bez osłonek, iż zrzesza ona przede wszystkim tych ludzi, których spożywanie znajduje się w stanie dość opłakanym i którzy na wielkim bankiecie świata siedzą gdzieś na bardzo szarym końcu. Jeżeli zgodnie z prawdą stwierdzimy, iż spółdzielczość jest w walce o byt orężem świata pracy, nie zmieni się przez to ani jej ideologia, ani jej położenie.

Zmieni się natomiast i wzmoże napięcie woli, z jakim jej członkowie będą służyli sprawie. Jest to szczegół pierwszorzędnego znaczenia. Było by błędem nie do darowania przypuszczać, że spółdzielczość jest dowcipnie obmyśloną maszyną, która zadanie swoje spełniać może całkiem automatycznie. Było by prostackim sposobem myślenia sądzić, że sprawiedliwość społeczną można przemycić jak kontrabandę. Spółdzielnię słusznie nazywamy nie tyle spółką kapitałów, ile zrzeszeniem ludzi. Mówiąc to stwierdzamy, iż nie przestając być zjawiskiem gospodarczym, jest ona zarazem stowarzyszeniem ideowym. Jeżeli tak jest, potrzeba dwóch rzeczy: idei, która by z nieodpartą siłą pociągała ludzi ku sobie, i gotowo-

ści członków służenia tej idei. Taka idea nie może być tylko możliwie najwyższą sumą zwrotów od dokonanych operacji. Jest to idea słuszna, godziwa, godna ze wszech miar poparcia, nie jest jednak jeszcze gwiazdą, za którą szłyby tłumy. Doraźna poprawa dobrobytu jednego członka, czy nawet wszystkich członków zrzeszonych w spółdzielni jest tylko ich sprawą osobistą. Sprawą ogólną, wznoszącą organizację na wyższy szczebel, będzie stałe utrwalenie dobrobytu nie tylko członków, ale ludzi mających te same co członkowie potrzeby, zabezpieczenie ich przed wyzyskiem. Nie chodzi tu przy tym tylko o wyzysk pośrednictwa, chodzi tu o usunięcie z powierzchni życia w ogóle zysku w rozumieniu kapitalizmu, a więc w rozumieniu przywileju, jaki daje posiadanie kapitału. Gdyby było inaczej, po cóż dążeniem spółdzielczości było by sięganie do źródła zła przez tworzenie własnej produkcji, przez odkładanie kapitału społecznego, który żadnemu już z członków nie będzie przynosił korzyści bezpośrednich. Jeżelibyśmy przypuścili teoretycznie, że spółdzielczość wzięła już w swoje władanie całą produkcję świata, że jej kapitały społeczne przewyższyły wielokrotnie indywidualne udziały członków, stało by się rzeczą bezsporną, iż przebyliśmy znakomitą część drogi do przebudowy ustroju społecznego nie dla cząstkowego pożytku członków, ale w imię sprawiedliwości społecznej, która była celem ostatecznym świadomych czy nieświadomych wysiłków milionów spółdzielców.

Było by zajęciem czczym i jałowym zapuszczać się w roztrząsania, czy jest to w ogóle możliwym. Żaden cel nie może być osiąganym w całości, tak jak żadne paliwo nie może wydać z siebie 100% zawartej w nim energii cieplnej. Istotą rzeczy, jak zawsze w zjawiskach społecznych, jest tu nie osiągnięcie celu, ale dążenie do niego. Ono to nakreśla drogę, ono wytwarza pewne nastawienie psychiczne.

Daleko ważniejszym jest zdanie sobie sprawy, że w daleką swą drogę idzie spółdzielczość nie sama. Obok niej do celów tych samych idą związki zawodowe, partie socjalistyczne, myśliciele tworzący samodzielne koncepcje. Nie znaczy to, aby spółdzielczość pokrywała się z socjalizmem, który jest także wprawdzie systemem dążącym do uspołecznienia narzędzi pracy, ale jest poza tym zamkniętym w sobie światem, mającym swoje tradycje, zwyczaje i metody. Tak samo nie pokrywa się spółdzielczość ze związkami zawodowymi, jak związki zawodowe nie pokrywają się z socjalizmem. Każde z nich broni interesów świata pracy w sposób odmienny. Być może, że te równolegle biegnące ścieżki zleją się kiedyś w jedną. Zbędnym jest przewidywać, kiedy to może nastąpić.

Na razie wystarcza współdziałanie. Szczególnie współdziałanie związków zawodowych ze spółdzielczością narzuca się samo przez się i jest też w wielu krajach celem usilnych zabiegów.

Trudniejsze i drażliwsze są stosunki spółdzielczości z partiami politycznymi. Inne w nich są metody, inne typy ludzkie. Chęć podporządkowania sobie spółdzielczości przez partie jest tak samo niedorzeczną, jak byłaby nią chęć spółdzielczości uczynienia z partii swego narzędzia. Oczywiście, zagadnienie ustroju politycznego nie jest dla spółdzielczości całkiem obojętnym. Z chwilą gdyby władza dostała się w ręce przedstawicieli wojującego kapitalizmu, znalazłby ruch spółdzielczy na drodze swej niejeden wielki kamień. Ale walka o władzę nie jest sprawą, do której by się spółdzielczość winna zapalać, choćby dlatego, żeby jej to nie sprowadziło z jej własnej drogi. Spółdzielczość jest jednym z wyrazów dążenia do wolności, ponieważ wolność daje tylko możność jedzenia do syta. To też jest ona nie tylko drogą do demokracji, ale jej urzeczywistnianiem na swoim odcinku. Kto mówi, że spółdzielczość może osiągnąć swe cele tylko w ustroju kapitalistycznym, ten winien pamiętać, że socjalizm może się utrwalić tylko w razie ostatecznego zwycięstwa spółdzielczości. Wynika stąd współzależność, nie wynika podporządkowywanie się. Próżnym byłby spór, która z tych dróg jest lepszą i krótszą. Piechota nie nadąża zwykle za konnicą, ale w bitwie odgrywa rolę decydującą.

Technika życia spółdzielni i drobne, dawane przez nią korzyści, są rzeczami wielkiego znaczenia. Ale nie trzeba zapominać, że szerokie masy maltretowanych przez powojenne stosunki spożywców szukają wyższych ideałów, w które by mogły wierzyć, o które by mogły walczyć i dla których by się mogły poświęcać.

*

Zdawało by się na pierwszy rzut oka, że w całym tym rozumowaniu jest poważna luka. Istnieje przecież wielki, z dnia na dzień w niektórych krajach żywiołowo rosnący odłam ruchu spółdzielczego, który nie powinien by odczuwać antagonizmu klasowego do kapitalizmu, bo w nim głęboko tkwi korzeniami. Tym odłamem jest spółdzielczość rolnicza, której członkami są przeważnie posiadacze kapitału w postaci terenów rolnych, do których, mówiąc nawiasem, namiętnie są przywiązani. Przeciwstawianie ich kapitałowi było by przeciwstawianiem ich własnemu interesowi, co zwykle, nawet jeżeli jest słuszne, nie rokuje powodzenia na

dłuższą metę. Jeszcze mniej możliwym byłoby dopuszczanie w spółdzielczości dwóch frontów i celów ostatecznych, modyfikowanych przez interesy niektórych kategorii członków.

Na szczęście, nie zachodzi żadna potrzeba rozszczepiania programu spółdzielczego. Jeżeli nawet drobni rolnicy są kapitalistami, to kapitalistami osobliwego pokroju. Ich kapitał, uwięziony w warsztacie rolnym, jest najczęściej tak nieznaczny, że jego oprocentowanie, nawet w latach pomyślnej koniunktury rolniczej, nie odgrywa poważniejszej roli w dochodach posiadaczy gruntu. Zyskiem istotnym, zarazem sposobem zarabiania na życie jest ich praca i ten jeden już wzgląd wyznacza im miejsce w wielkim sporze społecznym o podział dochodów.

Jest i wzgląd drugi. Oddalony od centrów miejskich, mało biegły w sprawach przemysłu i handlu, będzie zawsze drobny rolnik klasyczną ofiarą wyzysku przez pośrednictwo, dopóki nie sięgnie po oręż obrony spółdzielczej. Zarówno płody jego pracy, jak to wszystko, co w stopniu coraz większym nabywać musi z produkcji fabrycznej, przechodzi, zanim do niego przyjdzie, przez szereg rąk i płaci drogi haracz. Płaci go podwójnie: fabrykantowi, zanim związek jego spółdzielni albo innych spółdzielni zdobędzie się na własną wytwórczość, i pośrednikowi, który całym swoim jestestwem tkwi w systemie kapitalistycznym.

To są powody, nie mówiąc już o racjach politycznych, dla których w sposób całkiem naturalny musi się zarysować antagonizm między wielkim kapitałem a światem pracy w rolnictwie. Prawda, mówi się w ostatnich czasach niemało o łagodzeniu planowym tarć, o wyższych płacach, o ratunku finansowym dla rolnictwa, o wzmocnieniu w obustronnym interesie zdolności nabywczej spożywcy. Dotychczas te zamiary pozostają przeważnie teorią. Nie przesądzając ostatecznych rozstrzygnięć, wątpić można, czy wytrzymają one próbę życia przy wzrastającej ciągle walce o byt wewnątrz samego obozu kapitalistycznego. W każdym razie nawet w bliższych etapach urzeczywistnienie ich zależeć będzie w znacznej, jeżeli nie wyłącznej mierze, od nacisku wzrastającego uświadomienia sobie odrębności swych interesów w klasach pracujących w ogóle, w szczególności zaś w ruchu spółdzielczym.

(„Spółdzielczy Przegląd Naukowy" Nr 7 z 1931 r.)

SPÓR O WŁADZĘ

W związku z artykułem dyskusyjnym p. J. Wolskiego „O rewizję kompetencji", zamieszczonym w Nr Nr 4 i 6 Przeglądu, otrzymaliśmy kilka prac, z których pierwszą — p. St. Thugutta — zamieszczamy poniżej.

(Red.).

W numerach kwietniowym i czerwcowym tegorocznego „Spółdzielczego Przeglądu Naukowego" poddał p. Jan Wolski ostrej krytyce dotychczasowe zasady organizacyjne ruchu spółdzielczego, uwzględniając specjalnie zagadnienia kompetencji członków i pracowników najemnych. Wprawdzie na wstępie do swoich rozważań zaznacza autor, iż uwzględnić zamierza poza kompetencją członków zagadnienie pracy najemnej w spółdzielni, poświęca mu nawet sporo uwagi, ale linią przewodnią, łączącą te dwie części jego artykułu — może niedość logicznie i naturalnie — jest zagadnienie, komu z dwóch — członkom czy pracownikom — przyznać należy prawo mianowania władz spółdzielczych. Nie zbaczając więc na wielki i trudny obszar kwestii pracy najemnej w ruchu spółdzielczym w ogóle, ograniczam się w uwagach swoich do tego tylko tematu — władzy w spółdzielni.

Członków, jako źródło władzy, traktuje p. Wolski nie tylko bez zaufania, ale nawet bez żadnej pobłażliwości. Jak gdyby chciał, odwracając znane twierdzenie o stanie trzecim Sieyès'a, powiedzieć: czym są w spółdzielczości członkowie? — Wszystkim. Czym być powinni? — Niczym. Nic nie umieją, co gorsza, niczego nie są w stanie zrozumieć. „Jeśli co i rozumie — to piąte przez dziesiąte — brzmi twardy wyrok — i tylko oderwane fragmenty, bez należytego powiązania ich z całością". „Jeżeli nawet przyjdzie na walne zgromadzenie, nie orientuje się dokładnie (bo nie potrafi) ani w sprawozdaniu, ani w planie działalności, ani tym bardziej w cyfrowych zestawieniach bilansu i budżetu". Co już najgorszym jest, „nie potrafi wybierać świadomie ludzi do zarządzania tą pracą lub nadzorowania i kontroli". Wskutek tego rządzą w spółdzielni „albo eksperymentujący dyletantyzm, albo mniej lub więcej zamaskowana dyktatura, albo demagogia; najczęściej zaś — wszystkie te pierwiastki wspólnie". Innych możliwości autor nie widzi i nie uwzględnia i dlatego, jak sądzę, traktuje członków nadto już niewyrozumiale, a poza tym używa za przesłankę w swoim rozumowaniu rzeczywistości dowolnie przedstawianej.

Zgoła innym jest stosunek autora do pracowników najemnych. Tylko oni coś umieją i coś rozumieją, tylko oni zainteresowani są w stałym powodzeniu spółdzielni i chcą, bodajby dlatego, że muszą ponosić dla niej ofiary. W zamian za to nie mają żadnych praw i traktowani są wyłącznie jako siły wykonawcze. Tak jak w przedsiębiorstwie kapitalistycznym mogą służyć radą, ale ta nikogo nie obowiązuje.

Jest rzeczą znaną i w pewnych granicach słuszną, iż chcąc zyskać prawo obywatelstwa dla nowych poglądów, wyraża się je świadomie w formie wyjaskrawionej. Trochę dlatego, ażeby zagłuszyć przeciwnika, trochę, aby przezwyciężyć to, co jest najtrudniejsze do zwyciężenia — bierny opór obojętności. Wydaje mi się jednak, że p. Wolski wyjaskrawił swoje tezy ponad potrzebę i przez to chybia celu.

Wizerunek członka rysowany przez p. Wolskiego jest tylko niezupełnie udaną karykaturą. Karykatura może odzwierciadlać prawdę, jak każdy inny rodzaj malarstwa, ale na to, żeby tak było, musi chwytać wszystkie istotne cechy osoby portretowanej. Karykatura, o której mowa, tego nie czyni i dlatego nie jest udaną. Że członkowie są bierni, że mało się interesują stanem swojej spółdzielni, że mają do niej często nieuzasadnione pretensje i nie czynią dla niej wysiłków, koniecznych dla jej podtrzymania — to wszystko prawda i nawet nie tylko nasza polska prawda, ale łatwa do znalezienia nawet w krajach bardziej niż nasz posuniętych w rozwoju spółdzielczości. Po pierwsze jednak ta bierność nie musiała być ani całkowicie bezwzględną, ani bez reszty wszystkich ogarniającą, skoro mimo jej istnienia ruch spółdzielczy powstał i rozrósł się do tak potężnych rozmiarów. A rósł przecież, jak żaden inny ruch, od dołu, nie z inteligenckich pomysłów, tylko z intuicyjnego szukania dróg przez masy. Po wtóre, skoro już ta bierność jest czarną plamą na ruchu spółdzielczym, osobliwszym było by lekarstwem leczyć z niej ludzi, wmawiając w nich nieuleczalną głupotę.

Było by to zresztą twierdzeniem bynajmniej niezgodnym z prawdą. Istotnie, niewielu członków, zwłaszcza w wielkiej spółdzielni, jest w stanie łatwo orientować się w bilansie i budżecie, a zwłaszcza je samym ułożyć. Nie jest to też jednak, praktycznie biorąc, tak bezwzględnie koniecznym. Przeciętny członek, z wykształceniem szkoły powszechnej, a nawet i bez tego wykształcenia, ale ze zdrowym rozsądkiem, ma swoje uproszczone, empiryczne sposoby, ułatwiające mu orientowanie się w stanie i biegu spraw spółdzielni. Nawet nie uczęszczając na walne zgromadzenia wie, że spółdzielnia daje lub nie daje zwrotów od zakupów,

wymaga lub nie wymaga dopłat do udziałów, posiada lub nie posiada dużo dobrego towaru na składzie i sprzedaje go po cenach nadmiernych lub umiarkowanych. O nadużyciach, kradzieżach, nadzwyczajnych stratach dowiaduje się nie tylko na walnym zgromadzeniu, ale najczęściej już nazajutrz żywym słowem od innych członków. Nie wie, nie zna się i na ogół nigdy znać się nie będzie na rzeczach bardzo specjalnych, np. na źródłach zakupów towarów, na ulepszonych sposobach fabrykacji w swojej wytwórni w wielkich spółdzielniach, na obracaniu wolnymi kapitałami. Najczęściej niewystarczająco znają się na tym także i jego pełnomocnicy; zarząd, rada nadzorcza i płatni pracownicy. Zna się na tym natomiast związek rewizyjny i własna hurtownia, które są zbiorowym mózgiem ruchu i jego gromadzonym przez lata doświadczeniem. I to wystarcza, jeżeli oprócz „głupoty" członków nie ma innych powodów niepowodzenia.

W ogóle o tej nieudolności członków spółdzielni, czy szerzej biorąc, wszelkich „prostych ludzi", łatwiej było mówić, kiedy się mówiło teoretycznie. Roczdelczykom przepowiadano zgubę, z góry się z niej natrząsając, ale oni mimo przestróg ludzi doświadczonych i mądrych, nie zginęli, budując gmach trwały. W niepomiernie szerszej skali, przed wprowadzeniem referendum w Szwajcarii ludzie wiedzy, zarówno jak wybitni praktycy, wyrażali największe obawy o los lekkomyślnego państwa. Ale po paru dziesięcioleciach okazało się, że zwykły wyborca szwajcarski, który by oczywiście ani budżetu ułożyć, ani go nawet z pełnym zrozumieniem odczytać nie umiał, szafował groszem publicznym ostrożnie, był aż nadto konserwatywnym i rozumiał, na co idą pieniądze z jego kieszeni. Słusznie też w swoim klasycznym dziele „Ruch spółdzielczy spożywców" mówią Webbowie: „Jest zupełnie fałszywym przypuszczać, jak się to zwykle czyni, że w spółdzielczości nie ma skutecznej kontroli demokratycznej... Samorząd spółdzielców ujawnia się więcej w stałym nadzorze i krytyce zarządu przez małe grupki członków, aniżeli w wielkich zmianach stosunków na masowych zgromadzeniach".

Co prawda, cały ten ustęp o nieudolnym czytaniu bilansów nie jest, być może, istotnym w rozważaniach p. Wolskiego, nie kończy się on bowiem wyraźnym wnioskiem o odebraniu walnym zgromadzeniom prawa ustalania zasadniczych linii gospodarki spółdzielni. Sądzę też, że był on potrzebnym tylko dla podparcia innej tezy autora, a mianowicie, o szkodliwości obierania władz przez członków. „Żeby wybrać — czytamy — właściwego człowieka do właściwych czynności, trzeba wiedzieć

dokładnie, na czym te czynności polegają i czy kandydat posiada do ich wykonywania niezbędne kwalifikacje". Słusznie. Gdyby członkowie mieli obierać korespondentów w obcych językach, albo sortowników herbaty, ich wybór byłby zgadywaniem na ślepo. Ale dla zwykłego członka zarządu właściwymi kwalifikacjami są: uczciwość, chęć do pracy społecznej i zdrowy rozsądek, to jest te cechy charakteru, o których w małym miasteczku może sobie przez osobiste zetknięcie łatwo wyrobić pojęcie nawet „nieudolny" członek.

P. Wolski najwidoczniej sądzi inaczej. „Ogromnie szkodliwą dla spółdzielni — pisze — jest ta okoliczność, iż powoływanie sił do pracy fachowej należy bądź do wyborców (członków-klientów), bądź do osób, które od tych wyborców władzę swą uzyskały. Niefachowe źródło lub praźródło władzy przyczynia się do obsadzania stanowisk niedość fachowymi, niedość odpowiednimi siłami". Jeżeli się nie mylę, są tu za jednym zamachem poruszone dwie sprawy: sprawa niewłaściwego obierania członków zarządu przez nie mające do tego uzdolnienia walne zgromadzenia i sprawa nominacji sił fachowych przez obieranych na walnych zgromadzeniach członków zarządu. Jak inaczej obierać członków zarządów, artykuł nie mówi, jak mianować siły fachowe, mówi bardzo skąpo. Z kilku ostatnich wierszy wolno wnioskować, iż spółdzielnie w całości powinny być obsługiwane przez spółdzielnie pracy, pracownicy przeto (czy wszyscy?) winni być mianowani przez kierownictwo tych właśnie spółdzielni pracy. Pozostało by do wyjaśnienia, co właściwie w zakresie uprawnień pozostaje członkom i co pozostaje z samej spółdzielni?

Na pierwsze zapytanie otrzymujemy odpowiedź: „Korzystanie w charakterze klientów z usług spółdzielni", co jest nie mniej ważne, a nawet ważniejsze niż udział członków we władzach i pracach organizacyjnych. Co do pytania drugiego, odpowiedzią uboczną jest określenie celu spółdzielni, rzecz tak kapitalnie ważna i tak ciągle jeszcze sporna. Otóż, „głównym celem spółdzielni — wg omawianego artykułu — jest zaspokajanie potrzeb swych członków, korzystających z tych przedsiębiorstw w charakterze klientów". Jeżeli zestawimy to określenie spółdzielni z uprawnieniami jej członków, nie trudnym będzie chyba dojść do wniosku, że spółdzielnia z jej członkami może być zastąpioną przez sklep komunalny, z lekka zreformowany przez dopuszczenie w jego statucie istnienia niemych członków. Skądinąd jednak praktyka ostatnich

lat uczy nas, że sklepy komunalne się zamyka, a spółdzielnie nawet podczas kryzysu zakłada.

Powód tego jest jasny; ludzkość nie całkiem jeszcze straciła wiarę w wartość samopomocy, w celowość własnego twórczego wysiłku. I dotychczas nie wynaleziono jeszcze lepszego tej samopomocy wyrazu niż spółdzielczość. Twierdziliśmy i twierdzimy, że spółdzielnia jest nie tyle zrzeszeniem kapitałów, co zrzeszeniem ludzi. Kapitał indywidualny ograniczamy w niej do roli dosyć znikomej. Jeżeli w dalszym ciągu zniżymy w niej wartość i znaczenie człowieka, cóż wreszcie zostanie?

Być może, wybijam otwarte drzwi i przekonywam przekonanego. Celem omawianego artykułu było może tylko zwrócenie uwagi na konieczność dopuszczenia do większego udziału w rządach elementu pracowniczego, jako przedstawiciela intelektu. Dążenie całkiem słuszne. Jeżeli dopominamy się o kontrolę robotniczą nad warsztatami przemysłu kapitalistycznego, nie ma racji, abyśmy nie czynili tego w spółdzielczości, zwłaszcza, że chodzi tu nie o obronę interesów pracy, ale o pogłębienie, o ulepszenie ruchu spółdzielczego. Ale nie można go ulepszać, dodając mu trzecią nogę i obcinając dwie poprzednie. Do tego celu prowadzą drogi nieco mniej ryzykowne. W Anglii, w której pierwotnie pracownicy i nawet ich rodziny pozbawieni byli biernego prawa wyborczego przy powoływaniu władz spółdzielni, dziś nie tylko ten przepis nie jest stosowany, ale w zarządach niektórych spółdzielni istnieją specjalni przedstawiciele pracowników przez nich tylko obierani.

Spółdzielczość jako zjawisko realne ma w obecnej postaci dużo niedoskonałości. Niektóre z nich mieszczą się nawet w samej koncepcji, która, jak wszystkie inne, nie jest bez wad. Dlatego tak jest łatwo stwierdzać i narzekać na bierność członków, ich małą ofiarność, nieudolność bodajby niektórych zarządów, zmaterializowanie ruchu i co tam kto jeszcze chce dla obrzydzenia sobie roboty wynaleźć. Nie znam jednak dla spółdzielczości większego niebezpieczeństwa niż zbiurokratyzowanie się, jest to bowiem wada, która rośnie z samym ruchem. Rozwija koronę drzewa i podcina jego korzenie i trwa tak długo, póki drzewo nie uschnie.

Spór o władzę, o dopuszczenie do głosu, to rzecz zrozumiała i w skutkach swych pożyteczna. Spór o kompetencje, o nieudolność rządzonych i opatrznościową rolę rządzących, to historia stara jak świat, która jest zawsze synonimem niedojrzałości czy przejrzałości narodu. Kto chce

spółdzielczością posługiwać się odejmując jej cechy najistotniejsze — dobrowolność i ustrój demokratyczny — ten ją przekształca w martwe narzędzie, które mu się wcześniej czy później w ręku rozsypie.

(„Spółdzielczy Przegląd Naukowy" Nr 7 z 1932 r.)

WIEŚ POLSKA

Przed rozbiorami Polska była krajem o typie wyłącznie niemal wiejskim. Interes wsi, jej poglądy i wola decydowały o wszystkim, wpływały nawet w stopniu bardzo znacznym na wygląd i obyczaj miast. Jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku sądził Mochnacki, że rdzeniem i istotą Polski jest wieś, nawoływał do szczególnej o nią dbałości. Dopiero w kilkadziesiąt lat później rozwój przemysłu, komunikacji i techniki życia nowoczesnego przerzucił główny nurt życia narodowego do miast. Wieś zaczęła schnąć. Jej góra — gospodarstwa folwarczne — topniały w niepomyślnej koniunkturze światowej, jak śnieg. Doły, cofnięte w kulturze, utrzymywane sztucznie w zastoju, nękane straszliwym przeludnieniem, kisły jak gnijące wody, pozbawione wszelkiego dopływu.

Na to wszystko przyszedł okropny wstrząs wojny. Zjawiskiem, które mimo wszelkie pozory pozostawiło najpłytszy ślad, było zniszczenie materialne, odrobione skrzętną zabiegliwością niemal doszczętnie. Głębiej, bez mała do dna, wstrząsnęły tym zastojem nowe formy życia, które jako skutek wojny wtargnęły na polską wieś — nowe formy i nowe trudności. Nieznane dotychczas nawet ze słyszenia instytucje, bardziej skomplikowany aparat państwowy, prawa polityczne z nieodłącznym od nich wirem walki, nadziei i zawodów, wymagały wielkiego wysiłku psychicznego dla dźwignięcia się na wyższy szczebel kultury, ale równocześnie samą swoją nagłością naruszyły równowagę ustalonych odwiecznie stosunków. Zwłaszcza, gdy razem z nimi zwaliła się ssąca z żył krew inflacja, odjęcie możności wychodźtwa, ciężki kryzys rolniczy, odbierający możność nawet tak nędznego, jak dotychczas, wegetowania. Zmąciła się i strwożyła dusza „spokojnej" wsi polskiej.

Nie jest ona wprawdzie już dzisiaj, tak jak była, bez mała całą Polską, w której wyrosła potężna Łódź, ogromne zagłębie węglowe, milionowa Warszawa, Śląsk dymiący tysiącami kominów. Tym niemniej jest jeszcze ciągle wieś tak znakomitą częścią organizmu narodowego, że bez jej fizycznego i psychicznego zdrowia nie może być mowy o zdrowiu całości. Pomimo swego niewielkiego ciężaru gatunkowego jest ciągle



1925 r.

jeszcze — mogłaby być przynajmniej — największym odbiorcą przemysłu krajowego; rzecz pierwszorzędnego znaczenia, dopóki zdolności konkurencyjne tego przemysłu na rynkach obcych będą, tak jak dziś, znikome. Jest czy mogłaby być wielkim rezerwuarem oszczędności, pozwalającym bez trudu i bez cierpień przezwyciężać martwe punkty rozwoju gospodarczego, wydobywającym nowe źródła energii z podziemi. Nie mówiąc już o tym, że w epoce głosowania powszechnego mogłaby być, tak jak dziś nie jest, środkiem ciężkości polskiej polityki narodowej, mogłaby ją wprowadzić na trwalsze, mniej niż dotychczas karkołomne drogi rozwoju. Polityk, ekonomista, działacz społeczny, którzy tego wszystkiego nie widzą, są ślepi, albo śnią sen o potędze — w próżni.

Mówić, że dzisiejszy stan wsi w Polsce jest zadowalający, było by najgorszym z kłamstw — kłamaniem samemu sobie. Łudzić się, że on się rychło i gruntownie poprawi, było by karygodną lekkomyślnością. Nie leży w niczyjej w Polsce mocy zażegnać doraźnie kryzys światowy rolnictwa, którego nasz własny kryzys jest cząstką. Oczekiwać przezwyciężenia trudności od gwałtownego wzmożenia wydajności ziemi, od osiągnięcia pod tym względem norm zachodnio-europejskich, podniesienia dochodowości gospodarki rolnej było by tylko oczywiście nierealnym i całkiem powierzchownym myśleniem, skoro właśnie przyczyną kryzysu jest nadprodukcja powszechna. Szukać sposobu wstrzyknięcia w żyły osłabionego organizmu większej ilości środków finansowych jest przy obecnym stanie rzeczy dość beznadziejnym. A jednak nie tylko żyć, ale i rozwijać się trzeba, bo zamiera ten, kto się nie może rozwijać. Oczekiwanie zaś cudów jest zawsze oznaką upadku ducha; oznaką zdrowia jest szukanie dróg, którymi można wyjść własnymi siłami.

Niewątpliwie, kryzys materialny wsi jest zarazem jej kryzysem psychicznym. Oba one są tak sprzęgnięte ze sobą, że ani rozdzielić, ani leczyć się oddzielnie nie dadzą. Kryzysem psychicznym jest w tej chwili utrata wiary w siebie, nieufność do państwa, marazm lub szukanie sposobów wariackich. Nie jest celem niniejszych paru uwag wskazywanie sposobów, jakimi rozwiązać można trudności materialne, jakimi ulepszyć można człowieka. To jedno jest pewne: pozostawieni sami sobie mniej mamy możności ratować się zewnętrznymi środkami — pożyczką, dobrymi traktatami, sprowadzaniem sił cudzoziemskich — niż wewnętrznym leczeniem.

I tu mimo woli dwa słowa cisną się na usta: samorząd i spółdzielczość. Oczywiście, warunkiem wstępnym jest oświata, ale ona sama nie

może wystarczyć. Po pierwsze, szkół mamy zbyt mało, a wskutek naszej nędzy czy ściślej mówiąc — naszego złego gospodarowania polską nędzą, grozi nam powrotna fala analfabetyzmu. Po wtóre, szkoła kształci dziecko, ale coś innego jeszcze musi kształcić człowieka. Po trzecie, szkoła kształci indywiduum, nam zaś przede wszystkim potrzeba kształcenia się w sztuce zbiorowego działania.

Świetną szkołą jest bezspornie samorząd. W dzisiejszych jednak warunkach jest raczej kimś, kogo prowadzą za rękę czy za kołnierz, niż tym, kto szuka własnej drogi własnymi oczami.

Pozostaje więc na razie spółdzielczość. Zupełnie zbędnym byłby spór, czy zdoła ona uprzątnąć z drogi wszystkie kamienie — wystarczy, jeżeli zachęci ludzi do odrzucenia pierwszych z brzegu kamieni. W niektórych zresztą wypadkach nie można sobie bez niej wyobrazić poprawy. Tak jest na przykład w dziedzinie eksportu rolnego, olbrzymiego zagadnienia, od którego w chwili obecnej zależy nasz bilans handlowy, wprowadzenie nas na wielki rynek świata, na którym bylibyśmy kimś, kogo się potrzebuje, kogo się bierze na serio. Jeżeli nie uczynimy tego przez spółdzielczość, nasz wywóz rolny może się nawet wzmóc wielokrotnie, ale będzie zdziczały, pozbawiony szlachetniejszych form, pozbawiony zadatków rzetelnego zdrowia.

Gdybyśmy nawet nie brali sprawy pod tak wielkim kątem, gdybyśmy pozostali przy małych korzyściach lokalnych, nic prędzej niż spółdzielczość nie da tym szamocącym się na głębinie pływakom spokoju, ufności w siebie, poczucia siły, która się rodzi ze zlepienia drobin w gromadę. Nic łatwiej nie pozwoli im zrozumieć, czym są, czym mogą być w narodzie...

I jeszcze jedno. Weszliśmy w okres nędzy, to znaczy to samo, jak gdybyśmy powiedzieli — wchodzimy w okres zdziczenia. Cóż, jak nie spółdzielczość, wielka idea moralna, przypiłuje kły, przytępi pazury bestiom żrącym się o każdy ochłap znaleziony na drodze.

(„Społem" Nr 11 z 1930 r.)

RAŻĄCY ROZDŹWIĘK

Zakładając spółdzielnię a potem ją prowadząc, czynimy to w imię pewnego programu. Zależnie od usposobienia i ogólnych poglądów na życie społeczne, program ten może być węższy lub szerszy, walczyć ze złem, starając się wyrwać je z korzeniem, czy tylko z lekka je poprawiać,

aby nie było nie do zniesienia. Może stawiać lekką budowlę na dziś, albo kopać głęboki fundament dla szczęścia przyszłych pokoleń. Może traktować spółdzielczość jako cel sam w sobie, albo używać jej jako narzędzia. Są to różnice istotne, które niejednokrotnie jeszcze poruszymy. Na razie chciałbym podkreślić to tylko, że jakikolwiek będzie program, z którym przystępujemy do spółdzielczego działania, musi on być potem w życiu realizowany, przynajmniej w pewnej mierze.

Oczywiście, jedynie w pewnej mierze. Tylko żółtodziób albo człowiek niezrównoważony w myśleniu może wyobrażać sobie, że cele, jakie zakłada sobie, zostaną w życiu zrealizowane bez reszty. Ale źle jest, kiedy między obietnicą rzuconą w propagandzie a późniejszą rzeczywistością leży przepaść.

Muszę jeszcze raz zwęzić swój temat: będę mówił tylko o jednym z celów spółdzielczości — co prawda najistotniejszym — o współzawodnictwie między spółdzielnią a handlem prywatnym. Namawiając ludzi do założenia spółdzielni, mówimy im — i sobie — że potrafimy zrobić to samo, co robi kupiec. Że jego rzutkości, jego znajomości rzeczy przeciwstawimy takie same lub wyższe jeszcze cechy. Że motorem silniejszym nad jego chęć zysku będzie nasze postanowienie wspólnej obrony przed wyzyskiem. W tym celu zakładamy spółdzielnię i w tym celu odpowiednio ją organizujemy.

Organizację wewnętrzną ustala statut, ustawa, ogólnie przyjęte zwyczaje spółdzielcze. Organizacją zewnętrzną będzie to wszystko, co pozwala nam powiększać obroty i przyciągać nabywców, jednym słowem, co uzdolni nas do współzawodnictwa. Powiedzmy przy tym — do współzawodnictwa z dobrym kupcem, o współczesnych metodach prowadzenia swojego przedsiębiorstwa, do zwalczania bowiem kramarza oszukującego na wadze i gatunku towaru wystarczyłyby zapewne przepisy administracyjne.

Niestety jednak, w całym szeregu naszych spółdzielni przestrzeń, jaka dzieli cele od ich realizacji, propagandę od wykonania, dzień świąteczny od dnia powszedniego, jest tak wielka, że ich organizację zewnętrzną musimy uznać za stojącą poniżej zwykłego poziomu, i stąd o współzawodnictwie z handlem prywatnym nie może nawet być mowy. Ciemne, brudne i zaśmiecone lokale, brak towaru albo towar zleżały, nieumiejętność znalezienia właściwych źródeł zakupu czynią utrzymanie stałego stosunku z tymi „sklepikami" pewnego rodzaju ofiarą. Otóż ofiary może spółdzielnia wymagać od swoich członków tylko rzadko

i w ograniczonej mierze, nie jest to bowiem zakład dla cierpiętników, tylko instytucja pożytku społecznego.

Dodać by jeszcze należało słówko o obsłudze. Kupiec w prywatnym życiu może być arogantem albo brutalem, może poza tym mieć jeszcze sto wad, ale w sklepie, o ile chce być dobrym kupcem, będzie się starał być uprzejmym, nie uważając za konieczne okazywania publiczności, iż swoje zajęcie traktuje jak dożywotnie ciężkie roboty. Dla wielu naszych sklepowych — na szczęście nie dla wszystkich — jest natomiast wzorem do naśladowania urzędnik z komisariatu: ostry, traktujący publiczność z góry i bardzo znudzony swoim zawodem. Jest w tym o tyle błąd zasadniczy, że komisariat jest urzędem, do którego chodzi się z musu, a spółdzielnia jest dobrowolną organizacją, do której można chodzić albo nie chodzić. Jeżeli chodzi o pracowników ruchu spółdzielczego, ich wynagrodzenie, ich sposób traktowania, powinny być lepsze niż w przedsiębiorstwach kapitalistycznych; jednak muszą oni zarazem pamiętać, że nie są tylko kółkami maszyny, ale powinni być świadomymi cząstkami wielkiego prądu społecznego.

Wszystko to są rzeczy dość przykre. Spółdzielnia źle zorganizowana nie tylko hamuje sama siebie w rozwoju, ale nie spełnia swojego zadania. Zwłaszcza jeżeli chodzi o nasze małe miasteczka, chciało by się w spółdzielni widzieć źródło i rozsadnik kultury, także i kultury zewnętrznej. Zamiast tego widzi się rażący rozdźwięk między ideałem, o którym się mówi od święta, a rzeczywistością, która żadną miarą nie może zastąpić form dawnych.

(„Społem" Nr 2, 1931 r.)

NOWY CZŁOWIEK

Niknie już na szczęście, odchodzi w cień obraz Polski z czasu niewoli Polski, w której dzień był bez słońca i noc czarna bez gwiazd. Tli się jeszcze wśród starszego pokolenia pełne upiornej grozy wspomnienie tych złych dni. Niezadługo będzie ono już tylko szarym materiałem historycznym, który trzeba będzie poddawać naukowej analizie. I nie łatwo będzie zrozumieć, jakim to cudownym sposobem zdołał naród polski przenieść iskrę swojego życia przez najbardziej bezpłodne pustynie niewoli.

Stało się to możliwym tylko dzięki temu, że w chwilach największego ucisku naród ten nie wyrzekał się swej duszy. Nie znaczy to wprawdzie, żeby odpór dawany straszliwemu naciskowi z zewnątrz miał zawsze tę siłę, jaką mieć powinien. Po każdej przegranej przychodziły okresy nie tylko zwierzęcych prześladowań, ale i głęboko sięgającej depresji duchowej. Nie czas dziś komukolwiek wytaczać z tego powodu w wolnej Polsce protest i nie czas na doszukiwanie się poza nieuniknioną przezornością zwykłego tchórzostwa. To pewne jednak, że tętno życia publicznego opadało niekiedy w Polsce ówczesnej bez mała do poziomu kreski, poniżej której zaczynał się niebyt. Jeżeli po katastrofach materialnych nie nastąpiła katastrofa moralna, skutek to działania ludzi, którzy do Polski szli poprzez najcięższe przeszkody, szli drogą własną, jakże nieraz ciernistą i krwawą. W normalnym społeczeństwie, w narodzie wolnym ilość myśli i działań, którą przeciętny człowiek poświęca rzeczy publicznej, nie przekracza pewnego odsetka, niekiedy zadziwiająco niskiego. W ciężkim kryzysie, jakim jest niewola, niezbędni są ludzie, którzy całych siebie rzucają w ofierze, wyrzekając się działań osobistych, rezygnując z tak zwanej kariery, narażając swą wolność i życie. Nie są oni, być może, w stanie osiągnąć zwycięstwa. Bez nich jednak wielki organizm narodowy zatrułby się niewiarą.

Z tych ludzi wywodził się Mielczarski. Jego dzieciństwo przypadło na okres, w którym Polska była czymś mniej nawet niż dostojnym cmentarzem, była po prostu ugorem, na którym najazd deptał wszelkie życie. Nie dość było walczyć z przemocą najpotężniejszych państw świata, trzeba było przezwyciężać opór rodzimej fali wstecznej, która była reakcją po śmiertelnym wysiłku powstania, trzeba było iść na przekór „trzeźwemu" pozytywizmowi warszawskiemu i krakowskim ochotniczym strażom pożarnym, które strugami zimnego szyderstwa polewały ciepłe jeszcze trupy powstańcze. Rzeczywistość była okropna. Chcąc działać, trzeba ją było odrzucić ze swoich myśli, wrażeń i rachub. Trzeba było na przekór wszelkim „trzeźwościom" uwierzyć wiarą dziecka albo fanatyka, że jedyną rozsądną rzeczą jest złapać dech w piersi, które się duszą niewolą, a poza tym orać ten ugór, żeby coś przecie na nim rosnąć zaczęło. I on to uczynił. Ten człowiek, walczący z największym trudem o utrzymanie się na powierzchni życia, wypowiadał walkę na śmierć i życie przemocy, zakładał fundamenty przyszłego domu polskiego — w obłokach, roztopił się cały w Polsce, która dla niego była już żywą, wytrwał do końca, nie załamał się i na szczęście nie zginął.

Potem przyszedł moment, kiedy zdawało się, że pętla zelżała na szyi. Pierwsza rewolucja rosyjska, dreszcze entuzjazmu, sytuacja, która nie dojrzała, powrotna, coraz sroższa fala reakcji. Coś przecie z pogromu zostało: z zakładania fundamentów w obłokach można było zstąpić na dość grząską, co prawda, ziemię i jąć się realnej pracy. Nasi następcy będą się kiedyś zdumiewali zapewne, jak można było przywiązywać tak wielką wagę do rzeczy tak powszednich, jak założenie zwykłej spółdzielni bez trudów i protekcji. Podówczas był to wielki krok naprzód. Tych kroków zaczął Mielczarski powróciwszy z wygnania stawiać dużo i ze zwykłą sobie zapamiętałością. Było by rzeczą niegodną wartości tego człowieka przypuszczać, że to zejście z wyżyn światoburczego rewolucjonisty na poziom mrówczej pracy organicznika uważał on za odstępstwo lub degradację. Myślę, że ten spiskowiec w dalszym ciągu spiskował: spiskiem, przygotowaniem do walki o wolność i wartość narodu była każda spółdzielnia, każdy dobry w niej bilans, każdy postawiony na nogi człowiek.

Robota, mimo wszystko, nie była łatwa. Pomijając szykany władz lokalnych i coraz bardziej triumfującą bezmyślność reakcji idącej z centrum, całą tę drobiazgową a olbrzymią robotę lepienia nowych komórek trzeba było robić od nowa. Polska ówczesna nie była już Polską szlachecką, była raczej żadną. Warstwy dotychczas nadające ton życiu publicznemu cofały się wstecz, inne były ciągle jeszcze nowiną. Szlachecką pozostała tylko kultura, którą żyły warstwy wierzchnie, do której usiłowały się podciągać warstwy dolne; kultura to była już zresztą schyłkowa, spaczona przez brak życia publicznego, zatruta przez niemożność kształcenia należytego młodzieży. Celem głównym było użycie, pojmowane w sposób dość prostacki; zaletami cenionymi najwyżej były zalety towarzyskie; dowodem wielkiej obrotności był dobry ożenek, co najwyżej już wyjazd na świetne rynki wschodnie po złote czy choćby tombakowe runo. Umiejętność pracy, znajomość metod wypracowanych długoletnim wysiłkiem — jak najmniejsza. W spółdzielczości, która z natury rzeczy opierała się na warstwach ludowych, ani ludzi przygotowanych do pracy, ani form działania. Traktowano ją zresztą, tę spółdzielczość, u góry jak filantropię bez mała, u dołu jak prezent, jak jakiś ciekawy instrument, który sam będzie tworzył dziwy bez ludzkiej pomocy. Że jest formą samopomocy, która wymaga twardego samokształcenia się — mało kto myślał.

I oto człowiek, który chciał wczoraj jednym zamachem góry wywracać, poszedł lepić zwyczajne cegły. Wielki i świetny czyn trzeba było rozmienić na tysiące drobnych czynów. Trzeba było zaczynać od rzeczy najdrobniejszych, najprostszych, niezbędnych jednak w Polsce, w której ludzie radzi by rozwiązywać zadania wyższej matematyki, nie znając tabliczki mnożenia, albo grać na fortepianie, do którego po raz pierwszy w życiu zasiedli. Trzeba było opracować podręcznik rachunkowości, bez której spółka ugrzęzłaby w rachunkowym niechlujstwie, obmyślać asortymenty niezbędnych towarów, wyszukiwać źródła zakupów, wprowadzać przynajmniej początki normalizacji, stwarzać instrukcjami i bezpośrednim wpływem działaczy zarządy i walne zgromadzenia, które by rozumiały, że nie chodzi o doraźne korzyści osób, tylko o trwałe dobro społeczne. Jednym słowem, trzeba było tworzyć w Polsce nowego człowieka i samemu być mu pierwowzorem nie ustającym w pracy, nie zrażającym się niczym, przed niczym się nie cofającym.

Ta żmudna praca rozwinęła się nadspodziewanie szybko i dobrze. Nie wiadomo do czego, do jakich wyników doszłaby, gdyby nie zmieniły się przedwojenne warunki. W warunkach, jakie były, wśród tysiącznych wilczych dołów, grzęzawisk i bezwładu, była tęgą podwaliną, położoną pod kształcenie charakteru narodowego w szerokich warstwach, dla skierowania ich na jedynie właściwe drogi.

Aż wreszcie przyszła wolna Polska. Wybuch zapału, który wkrótce zmienił się w rozgoryczenie, gdy samodzielne życie okazało się biednym i twardym. Mnóstwo przeszkód i zwyrodnień, które zalewały jak powódź z błota: zniszczenie wojenne, co najgorsze, zniszczenie uczciwości, namiastki spółdzielni do rozdziału kontyngentów rządowych, inflacja, odbierająca sens wszelkiej pracy rzetelnej. Przezwyciężenie tych przeszkód oczywistych i jawnych było pierwszą koniecznością. Były poza tym inne potrzeby mniej widzialne i mniej rozumiane. Konieczność tępienia gestów łatwych i pustych, wprowadzenia do nowoczesnego życia polskiego, zwłaszcza w dziedzinie zjawisk gospodarczych, twardego języka liczb, ujmowania wreszcie łatwo wybuchającego zapału w formy zdolne do przeciwstawienia się wszelkim trudnościom. Równocześnie nasycanie codziennej, pozornie suchej pracy wytrwałym dążeniem do ideału. Ideałem była nie tylko sprawiedliwość społeczna, ale ciągle ta sama Polska, której trzeba było ułatwić najgłębiej w grunt zapuścić korzenie. Polska, o której honor ten skromny spółdzielca odrzucający wszelkie zaszczyty dbał, jak się dba o honor matki. Historia długu angielskiego, z której

umiał wyjść bez szwanku i z zaszczytnym zaufaniem dla siebie, dla instytucji, którą reprezentował, dla narodu, do którego należał, jest po prostu momentem wytchnienia w okresie szalbierstw, załamań się, nie wykonanych czy niewykonalnych planów, braku wszelkiego poczucia odpowiedzialności.

Do końca był skrzepłą w zimny czyn wolą, nie znającą wytchnienia ani ustępstwa. Gdyby żył w wiekach średnich, byłby może rycerzem, mnichem — ascetą, któremu osobiste życie jest zawadą w dążeniu do wytkniętego celu. Dzisiaj, w Polsce, nieświadomej ani sił swoich ani środków do ich zużytkowania, ta postać z jednej bryły była nieocenionym nauczycielem i twórcą nowego, dostojniejszego życia.

(„Społem" Nr 7 z 1931 r.)

USTAWODAWSTWO SPÓŁDZIELCZE

Nie jest to temat, przyznać trzeba, zbyt żywo interesujący ruch spółdzielczy polski. Po uchwaleniu ogólno-spółdzielczej ustawy w r. 1920, odezwało się kilka głosów mniej czy bardziej krytycznych, na skutek których ustawę znowelizowano w r. 1922, po czym sprawa przeszła *ad acta*. Dość jasne i proste, co prawda, brzmienie ustawy nie nastręczało wielkich wątpliwości w praktycznym jej stosowaniu. Zainteresowań badawczych na polu teoretycznym nie ujawniała spółdzielczość nasza nigdy zbyt wiele.

Nie ma w tym zresztą żadnego nieszczęścia. Nie wdając się w merytoryczny rozbiór naszej ustawy, można o niej powiedzieć to, co się czasem mówi na pochwałę szczęśliwych w swoich zabiegach lekarzy: nie szkodzą oni swoim pacjentom. Z drugiej strony przeżywany obecnie moment nie jest, być może, chwilą zbyt odpowiednią dla podejmowania przeróbek i poprawek norm prawnych, które działają nie bez zgrzytów może, ale które jednak działają nieprzerwanym ciągiem. Ciężki kryzys, paraliżujący coraz to nowe dziedziny życia gospodarczego, zmusza do koncentrowania wysiłków na odcinkach najbardziej zagrożonych, na zagadnieniach najbardziej palących. Niewątpliwie sprawy zmniejszających się obrotów albo zwiększającego się zadłużenia członków są sprawami nierównie pilniejszymi, wymagającymi napięcia całej uwagi i energii, niż sprawa dotyczącego nas ustawodawstwa.

A jednak przyjdzie czas, kiedy trzeba się będzie zająć tą sprawą dość zaniedbaną. Wcześniej czy później kryzys się skończy i życie znowu stanie się pełne i bujne. Chodzi o to, żeby nie rosło dziko. Oczywiście, nie będziemy go tworzyli ustawami. Ustawą stworzyć można zakład naukowy, nowy korpus wojska, kolonizację pustek, leżących odłogiem, a i w tych nawet wypadkach ustawa, jeśli ma być płodną, musi odpowiadać dojrzałym potrzebom życia. Ruch spółdzielczy natomiast od najdawniejszych pierwocin rósł zawsze sam. Ta jego samorzutność była zawsze nie tylko jedną z najbardziej istotnych jego cech, była także jego świeżością i siłą. W stosunku do ruchu spółdzielczego może być ustawodawstwo co najwyżej dbałym ogrodnikiem, który zapobiega szkodliwym krzywiznom i usuwa martwe gałązki.

Ale o to też właśnie chodzi. Zanim wzmożony dopływ obudzonej energii społecznej zacznie wydobywać na naszym polu spółdzielczym nowe zjawiska i nowe prądy, słusznym będzie, jeśli nie tylko teoretycy, ale nasi działacze i nawet najszersze warstwy członków zdadzą sobie sprawę z tego, co przepis prawa ma w ruchu spółdzielczym popierać, czy odwrotnie — hamować. Jeżeli bowiem z jednej strony nie można przypisywać ustawodawstwu w stosunku do spółdzielczości roli nadmiernie twórczej, nie można też ograniczać go wyłącznie do rejestrowania w aktach faktów już dokonanych, zjawisk i kształtów, które nie tylko ujawniły się, ale i zdążyły okrzepnąć. Gdyby na przykład w łonie samej spółdzielczości ujawnił się prąd, dążący do podziału nadwyżek nie w stosunku do dokonanych operacji, ale w stosunku do włożonego kapitału, zadaniem ustawy było by nie tylko temu zapobiec, ale zapobiec wcześniej, zanim tego rodzaju „zabłąkana" teoria zdobędzie sobie większą liczbę zwolenników. I w tej jednak czynności samo sformułowanie tekstu należeć będzie do ustawodawcy, do biegłych w prawie, ujawnianie natomiast pewnych tendencji, pewnych dążeń, czy pewnych niechęci do zjawisk życia, które następnie ustawa ma formułować, należy do szerszej opinii. Żeby jednak dyskusja w tej opinii nie stała się zbyt chaotyczna, trzeba dążyć do ustalenia jakichś zasad, jako bezspornych, a przynajmniej, jeżeli różnice zdań muszą pozostać — jako jasno zarysowanych.

Jednym z takich najkapitalniejszych zagadnień w dziedzinie ustaw spółdzielczych jest wzajemny stosunek między spółdzielczością a państwem. Teoretycznie sprawa przedstawia się dość prosto. Pomijając teorie skrajne, które chciałyby budować spółdzielczość poza państwem

albo na miejsce państwa, poglądem dość powszechnie bezspornym jest umieszczanie spółdzielczości w granicach działań państwa, przy zdecydowanej jednak niechęci do uważania jej za jeden z trybów wielkiej maszyny państwowej. Praktycznie, w historycznym przebiegu sprawa była mniej prosta i podlegała znamiennym przemianom. Pierwotnie traktowano ruch spółdzielczy z pewną tolerancją, nie pozbawioną odcienia lekceważenia. Pierwsza w świecie ustawa spółdzielcza, ustawa angielska, uważała spółdzielczość za jakąś odmianę filantropii, poddając powstające spółdzielnie ustawie o towarzystwach wzajemnej pomocy (friendly societes), odmawiając im równocześnie osobowości prawnej. Odwrotnie, uchwalona w parę dziesiątków lat później ustawa francuska traktuje spółdzielczość jako zjawisko wyłącznie gospodarcze, unikając natomiast, poza zmiennością kapitału, określania cech jej właściwych, tak, iż na mocy ustawy można było założyć zarówno spółkę kapitalistyczną, jak i spółdzielczą.

Dalszy bieg wypadków zmusił wkrótce wszystkie państwa do zwrócenia baczniejszej uwagi na rozwijającego się w bajecznym tempie kopciuszka. Specjalne ustawy o spółdzielniach pojawiały się coraz częściej, zaczynały coraz głębiej wnikać w ich organizację i działalność. Nie należy jednak zapominać, że państwo przedwojenne było dość czystym wyrazem światopoglądu kapitalistycznego i że w tym charakterze długo jeszcze zachowywało pewną nieufność w stosunku do nowej formy gospodarczej, zajmującej stanowisko nie tyle anty- ile akapitalistyczne. Tak np. w dość późnych już latach w niektórych państwach dla założenia każdej spółdzielni trzeba było specjalnego zezwolenia władz administracyjnych, założone już spółdzielnie poddawano ścisłemu nadzorowi państwa, ograniczano możność rocznego przyrostu kapitału udziałowego itp. Rygory te łagodzone były w praktyce przez rozwijający się potężnie ruch społeczny, stwarzający wielkie organizacje, rzucający je, co większa, naprzód na pole walk politycznych o władzę. Stąd pewna dwoistość linii zasadniczej, zachowującej nieufność, ale nie odmawiającej pewnych, dość skromnych zresztą, ulg i przywilejów.

Okres powojenny, okres zachwiania się państwa i załamania się niejednej z granitowych, zdawało by się, form gospodarczych, zbliżył do siebie spółdzielczość i państwo w stopniu bardzo znacznym. Jako instrument rozdzielczy, jako źródło pracy konstrukcyjnej, okazała się spółdzielczość niejednokrotnie czymś nie do zastąpienia. Równocześnie po

straszliwych zniszczeniach wojennych sama potrzebowała pomocy. Z obu tych względów zainteresowanie państwa spółdzielczością wzrosło niesłychanie, wyrażając się zarówno w bardzo znacznej ilości nowych ustaw spółdzielczych, jak w ich ogromnej drobiazgowości. Wzrósł też nadzór państwa, które, w początkach zwłaszcza okresu powojennego, chciało być wszystkim i wszystko normować, a które poza tym było w stosunku do zniszczonych spółdzielni bankierem.

Dziś te rzeczy wracają do normy i razem z nimi wróci do normy na pewno stara tendencja ruchu spółdzielczego czerpania sił z własnych korzeni. W tych aspiracjach do samodzielności muszą być, oczywiście, pewne granice. Ruch spółdzielczy jest dziś już zbyt wielkim składnikiem rozwoju gospodarczego i społecznego, aby państwo mogło pozostać obojętnym na jego działania. Chodzi tylko o dokładne nakreślenie granicy, do której jego zainteresowania iść powinny. Jeżeli chodzi o obronę wierzycieli albo mniej wyrobionych członków przed malwersacjami zarządów, słusznym będzie, że państwo tę obronę przyjmie na siebie, jakkolwiek i tu w wielu wypadkach wystarczą po prostu przepisy kodeksu karnego.

Tym niemniej można uważać za zupełnie celowe, iż państwo, nie czekając na popełnienie przestępstwa, zapobiega im przez nakaz pewnej jawności działań albo formowania rezerw na pokrycie strat. Ale też i na tym bez mała kończy się jego rola. Dane statystyczne zbierać może jeden ogólny urząd; zapobiegło by się nawet w ten sposób dość gorszącej niezgodności danych, zbieranych przez dwa oddzielne urzędy. Jeżeli chodzi o formy organizacyjne, przypuszczać można, że ruch spółdzielczy wyrobił je sobie dostatecznie wyraźnie i jasno. Dla utrzymywania jednolitości wystarczyłyby związki, których kontrola będzie niewątpliwie zawsze najbardziej skuteczną i żywą. Należało by więc raczej, idąc śladem kilku państw obcych, wprowadzić przymus należenia spółdzielni do związku, po czym urzędowi państwowemu pozostałaby już tylko kontrola związków, o ile związki same specjalnej nadbudówki nie stworzą (federacja związków). Jeżeli spółdzielczość w tych granicach nie potrafi być samowystarczalną, niewątpliwie opieka państwa nie wstrzyknie jej w żyły samodzielności, ani siły do rozwoju i życia. Próby upaństwowiania spółdzielczości, które widzimy w paru państwach po wojnie, nie dały pożądanych wyników, nie mają zresztą nic wspólnego z ideą spółdzielczą, będąc wywołane przez względy polityczne.

Poruszyłem w paru najzwięźlejszych uwagach sprawę stosunku spółdzielczości do państwa przy ewentualnej zmianie naszej ustawy. Oczywiście, tylko dla braku miejsca nie poruszam kilku innych zagadnień, które by należało już dziś wziąć pod rozwagę.

(„Społem" Nr 8 z 1931 r.)

SPÓŁDZIELCZOŚĆ WYCHOWAWCZYNIĄ

Było by oczywiście rzeczą zgoła niemożliwą ustalić w szeregu ścisłych liczb wartości moralne, które w ciągu ostatniego ćwierćwiecza spółdzielczość rozwinęła w psychice narodu polskiego. Można by wprawdzie powiedzieć, że między zdobyczami materialnymi spółdzielczości a postępami jej wychowania moralnego musi być jakiś stały i bezpośredni stosunek, że ten całkiem namacalny wzrost ilości stowarzyszeń, członków, udziałów, obrotów i rezerw jest zarazem przyczyną i skutkiem podniesienia się poziomu moralnego ludzi tworzących te stowarzyszenia. I ten miernik jednak byłby całkiem zawodny — na kształcenie moralności publicznej bowiem wpływała nie tylko spółdzielczość, z drugiej zaś strony liczby dotyczące rozwoju spółdzielczości obrazują nam raczej jego wielkość niż jakość. Nie uganiając się przeto za ścisłością matematyczną, poprzestańmy na podkreśleniu wielostronności wpływów moralnych, będących wynikiem rozwoju spółdzielczości.

Przede wszystkim podniosła ona o parę szczebli stopę życiową klas robotniczych. Dziś, w okresie kataklizmu gospodarczego, bezrobocia i płac stojących poniżej poziomu kosztów utrzymania jest to, być może, mniej niż dawniej widoczne. Ale nawet dziś jeszcze, jeżeli odrzucimy tak zwane górne dziesięć tysięcy, różnica pomiędzy tym, co je i jak mieszka robotnik i średnio zamożny człowiek wolnego zawodu, nie jest już tak głęboka, tak boleśnie rażąca, jak nią była jakieś trzydzieści lat temu. „Prosty" człowiek nie jada już tylko ochłapów. Towar, który kupuje w swojej spółdzielni, jest, być może, niższego gatunku, ale pochodzi z tej samej wytwórni, jest czysty i zdrowy, zaspokaja, jakkolwiek w sposób mniej wykwintny, te same potrzeby. Nie jest to przecie tylko kwestia przyjemności tego, który je lepiej, jest to wielka sprawa społeczna — sprawa zdrowego potomstwa i zwiększenia sił fizycznych narodu. Jest to poza tym — skoro już jesteśmy przy zagadnieniach wychowawczo-

moralnych — sprawa lepszego poczucia psychicznego człowieka „z dołu". Demokracja wyraża się nie tylko w prawie głosowania powszechnego i organizacjach walki, ale w niwelowaniu różnic życia indywidualnego i nieuchronnie za nim idącym wzmożeniu godności osobistej. Oczywiście, spółdzielczość jest tylko jednym z czynników tego wznoszenia się; nie mogłoby się ono jednak dokonać, gdyby masy nie umiały stworzyć sobie miejsc, w których mogą zaspokajać swoje rosnące potrzeby.

Nie tylko stopa życiowa setek tysięcy ludzi podniosła się przez spółdzielczość; można z całą pewnością przypuszczać, iż ich horyzonty myślowe znacznie się rozrosły. Wchodząc do stowarzyszenia, każdy z nich jak gdyby wchodził do wielkiej rodziny spółdzielczej, rozrzuconej po całym świecie, nie znającej się wzajemnie, a jednak związanej wspólną ideologią. Członkowie spółdzielni spożywców czy rolników, sprzedając czy kupując, dowiadywali się o nowych dla siebie krajach, stosunkach i potrzebach. Nawet w bardzo niewielkich spółdzielniach i w spółdzielniach, nie prowadzących wybitnie ożywionej działalności wychowawczej, urządzano przecie od czasu do czasu konferencje, odczyty i kursy, na których mówiono członkom o źródłach ruchu i o jego zadziwiających zdobyczach w krajach bardziej pod względem spółdzielczym posuniętych. Nawet w spółdzielniach starannie strzegących tego, co nazywały swoją neutralnością, fakt istnienia spółdzielni i ataków na nią ze strony świata kapitalistycznego żłobił w świadomości członków poczucie różnic i walk społecznych, wyznaczał im miejsce w wielkich dążeniach emancypacyjnych klas pracujących. W poszczególnych wypadkach, a więc u poszczególnych jednostek efekt rzadko kiedy bywał imponujący. Gdyby wziąć jednak te wszystkie wydawnictwa, odczyty, szerzoną sposobem poglądowym naukę, jakie w ciągu 25 lat wydała z siebie w Polsce spółdzielczość we wszystkich swoich odłamach, gdyby zsumować liczbę ludzi, którzy z tego odnieśli mniejszą czy większą korzyść, można by powiedzieć, że w skutkach swoich te miliony kropel wiedzy, spadające na skamieniałą glebę ciemnoty, spulchniły ją i uczyniły gotową do rodzenia, jak długotrwały deszcz spulchnia ugór bezpłodny. Nie trzeba też zapominać, że pierwsze nauki spółdzielcze zaczęły wchłaniać w siebie szerokie masy wtedy, kiedy na największej części ziem polskich żadna inna nauka nie była im dostępna.

Te prawdziwie dzikie pola były podówczas istotnie ponad miarę już zarosłe chwastem, zagrażającym życiu narodu. W największym i najbardziej zachwaszczonym kulturalnie zaborze rosyjskim stan moralności

publicznej zaczynał być opłakany. To też chodziło tam nie tylko o podniesienie poczucia godności własnej, nie tylko o rozszerzenie horyzontów myślowych, ale o wpojenie zaczątku bodajby uczuć i instynktów, pozwalających na zdrowy rozwój zbiorowego życia. Już były rozwinęły się tam pierwsze kształty polskiego kapitalizmu; niestety, jak wszystko inne, nosiły one dość wyraźne piętno wschodu w jego najgorszym znaczeniu, były brutalną pogonią za zyskiem, której nie hamowała ani kontrola społeczna czy państwowa, ani opinia publiczna, były też raczej dość beztroskim korzystaniem z dobrych koniuktur na rynkach wschodnich, niż oparciem się na wysiłku pracowicie wyszkolonej organizacji. Olbrzymia część narodu — wieś — znajdowała się bez mała w letargu, ułożona do snu w archaicznych formach współżycia; życie bardziej ruchliwych pod wpływem rosnącego przemysłu miast nabierało nałogów i wad, nie rokujących nic dobrego — pełnego chciwości uganiania się za zyskiem, obojętności na krzywdy społeczne, lekkomyślnego marnotrawstwa. Dopiero w spółdzielczości dowiadywał się wchodzący w życie człowiek, że zysk nie może być wyłącznym celem pracy, że wielkie fortuny powstają zwykle na bagnach wyzysku i krzywdy, że wreszcie w zrzeszeniu małych ludzi, walczących o swoje najbardziej pierwotne prawa do życia — w spółdzielni — wszyscy są równi i tej zasady równości nie jest w mocy skazić ani kapitał — ilość posiadanych udziałów, ani niczyje protekcje czy nacisk wysokich stanowisk, które same przez się dawały wielkie pieniądze.

To była wzorowa szkoła samopomocy. To było środowisko, w którym poddany jednego z trzech cesarzy-zaborców przekształcił się na obywatela przyszłej, niewidzialnej jeszcze, ale już idącej Rzeczypospolitej. Uczył się rozumieć mechanizm nowoczesnej cywilizacji, co większa, uczył się tak trudnej ciągle jeszcze dla Polski sztuki działania w zbiorowości. Ta szkoła miała ten sam ciężar gatunkowy, co wielkie narodowe uczelnie; różnicą było to tylko, że kształciła mniejsze kółka maszyny, ale za to kształciła ich mnóstwo. Gdybyśmy za liczbę spółdzielni w Polsce na rok 1914 przyjęli tylko 4.000 i liczbę osób zajmujących w nich kierownicze stanowisko przeciętnie tylko 15, mielibyśmy w chwili wybuchu wojny około 60 tysięcy ludzi nie tylko wyrobionych już jako tako w życiu społecznym, ale stanowiących doskonały materiał, z którego przyszłe Państwo Polskie mogło czerpać swoich funkcjonariuszy. Jakoż czerpało aż do najwyższych stanowisk włącznie. Było by, oczywiście, przesadą twierdzić, że bez tego materiału Polska nie mogłaby się zorientować państwo-

wo. Prawdą jest natomiast, że nie tylko w roku 1918, ale jeszcze w kilka lat później ciągle było u nas tego tworzywa za mało i że brak tych kilkudziesięciu tysięcy obytych już trochę w sprawach publicznych działaczy byłby daleko bardziej dotkliwy, jeżeli nie groźny.

Był to przy tym materiał osobliwego gatunku. Wyrobienia w sprawach publicznych można było niewątpliwie przed wojną nabrać nie tylko w spółdzielni, ale w stowarzyszeniu inżynierów, lekarzy czy kupców. Skoro jednak Polska od pierwszego dnia swego nowego bytu postanowiła sobie być demokratyczną republiką, trzeba było do jej budowania mieć ludzi, którzy tę demokrację, mało o niej mówiąc, tworzyli od dawna. Pod tym względem należy żałować, że odrodzone Państwo nasze nie znalazło w chwili swojego powstania ilości wyrobionych przez spółdzielczość obywateli dziesięćkroć większej. Nigdzie tak, jak wśród nich, nie znałazłoby pracowników przyzwyczajonych do oddawania swych usług sprawie publicznej bezinteresownie i z umiejętnością godzenia dążenia do ideału z realizmem, niezbędnym w pracy dnia powszedniego. Nigdzie nie znalazłoby ludzi, którzy by potrafili lepiej organizować wolność.

(„Społem" Nr 20 z 1931 r.)

KREDYTY I IDEAŁY

Nie chciałbym być starym Jowialskim, który piłuje ludzi powtarzanymi bez końca i miłosierdzia bajkami. O kredytach w spółdzielni pisałem już w „Społem" dwa czy trzy razy, co większa zaś, pisali inni, niewątpliwie lepiej i mądrzej. Powiedziane już zostało wszystko, co można i trzeba było powiedzieć: wszystkie argumenty, dane statystyczne, przykłady. Przekonany został każdy, z wyjątkiem tych chyba, co nie chcieli być przekonani. Brakuje tylko jednego — dobrego skutku. Ale właśnie dlatego, że tego skutku brakuje, będziemy na ten temat mówili dalej, bez końca i bez przerwy. To nie jest spór o oderwaną od życia doktrynę, spór, który by można odłożyć na potem, zwłaszcza kiedy druga strona nie ujawnia wielkiej ochoty do niego. Tu chodzi nawet nie tyle o możność rozwoju, ile po prostu o możność życia.

Z obowiązków zawodu musiałem ostatnimi czasy przejrzeć większą ilość lustracji i bilansów naszych spółdzielni. Były wśród nich wielkie i małe, stare i młode, kwitnące i więdnące. Nie było ani jednej, w której

sprawa kredytów sklepowych byłaby postawiona całkiem zdrowo, zgodnie z zasadą, z bezpieczeństwem własnym, a nawet — proszę mi to słowo darować — zgodnie ze zdrowym sensem. Nie twierdzę, że takiej spółdzielni nie ma, twierdzę tylko, że musi ich być niesłychanie mało, jeżeli w paruset bilansach (przez 4 lata) takiej zdrowej zupełnie spółdzielni nie znalazłem. Oczywiście, natężenie zła nie wszędzie jest jednakowe, niemała jest jednak liczba spółdzielni, w których choroba ta stała się już śmiertelną. Gdybyśmy przystąpili do bezwzględnego egzekwowania należności, do sporządzenia zestawienia rachunkowego, w którym pozycja dłużników sklepowych byłaby oceniona zgodnie z jej rzeczywistą wartością — niemało spółdzielni okazało by się „pod bilansem", byłyby zatem zmuszone przystąpić do przymusowej likwidacji. Znajdowałem spółdzielnie, w których suma rozdanych na kredyt towarów przewyższa nie tylko sumę udziałów, co wobec ich na ogół niewielkich u nas sum nie było by dziwnym, ale nawet wartość udziałów i rezerw. Są spółdzielnie, które od razu w końcu pierwszego roku swego istnienia mają sumę kredytów sklepowych wyższą od wartości remanentów; nic dziwnego, że w latach następnych wyrastają tam, jak trujące grzyby, niewspółmiernie wysokie pozycje obcego kapitału — pożyczek, weksli, zadłużenia u dostawców. Myślę, że nie bez ścisłego związku z tą rozpustą kredytową są ujawniane potem zdumiewające, jeżeli nie przerażające manka sklepowych, którzy rozdając na prawo i na lewo towar, nie zawsze nawet zdążą go zapisać. A po tym wszystkim jedzie się na doroczny zjazd walny do Warszawy, żeby tam raz jeszcze uchwalić zakaz posługiwania się przy sprzedaży kredytem. Czas już, najwyższy czas powiedzieć sobie, choćby to miało być brutalnym, że rozbieżność między tymi uchwałami a praktyką dnia codziennego zaczyna zagrażać istnieniu nie tylko tej czy innej spółdzielni, ale całego ruchu spółdzielczego polskiego. Nie będzie to nadużyciem wielkich słów, tylko zimnym stwierdzeniem rys w murach domu, który dźwigamy.

Żadna racja, żadne argumenty nie są dość dobre, ażeby usprawiedliwić to zło. Tłumaczenie się, że w okresie ciężkiego kryzysu nie można odmawiać bezrobotnym kredytu, jest lichym, co gorsza, nieszczerym tłumaczeniem. Tyle razy już było stwierdzone, że istota spółdzielni oparta jest na szeroko pojętym humanitaryzmie, ale nie jest ona tym niemniej zakładem dobroczynnym, że do ratowania bezrobotnych od głodowej śmierci muszą być inne sposoby, tym zaś złym sposobem nie uratujemy bezrobotnych, zgubimy zaś instytucję, która skądinąd może być zdrową

i pozyteczną. Zamiast ratować bezrobotnych członków, porachujmy lepiej tych, którzy bez kredytu mogą się obejść, a którzy go nadużywają przez głupotę i pewnego rodzaju niechlujstwo moralne. Nie zawadzi też ustalić w każdej spółdzielni, czy szastanie kapitałami nie rozpoczęło się od członków rad nadzorczych i zarządów, którzy powinni innym członkom świecić dobrym przykładem, a niestety, często nie świecą. Pamiętajmy wreszcie, że choroba kredytowa panowała nagminnie znacznie wcześniej niż przyszły ostre fazy kryzysu gospodarczego; jeżeli kryzys się więcej jeszcze zaostrzy, pewnego dnia musi przyjść podsumowanie wieloletnich błędów, które będzie po prostu katastrofą.

Istotny powód zła leży, niestety, głębiej. Jest nim, jak sądzę, pewne osłabienie tętna idealizmu w ruchu spółdzielczym. Spółdzielnię zakłada się przecież nie dla zrobienia dobrego interesu, nie dla korzystnej lokaty swojego kapitału, ale dla zrealizowania jakiegoś ideału. Te ideały mogą być rozmaite. Jedni zakładają spółdzielnię dla budowania nowego, bardziej sprawiedliwego ustroju. Inni szukają w niej sposobu złagodzenia nędzy klas pracujących. Jeszcze inni chcą po prostu polepszyć swój byt wspólnym wysiłkiem. Nie jest w tym wypadku koniecznym roztrząsać, jaka jest hierarchia tych celów, skoro z praktyki wiemy, iż każdy z nich może doprowadzić do zadziwiających wyników i do wysokiego napięcia woli. Przystąpić do realizacji swojego ideału i wejść od razu świadomie na drogę zła, na drogę sprzeczną z najbardziej podstawowymi zasadami ruchu, z interesem spółdzielni, ze zdrowym rozsądkiem i uczciwością — to iść do bitwy z tajoną chęcią ucieczki.

Czy łatwo jest walczyć z plagą kredytów? — trudno, bardzo trudno, skoro stała się ona nałogiem. Ale kto nie walczy, nie jest, albo wkrótce już nie będzie prawdziwym spółdzielcą.

(„Społem" Nr 1 z 1932 r.)

KRYZYS MORALNY

Dużo i od dawna mówi się o kryzysie gospodarczym, szukając bez powodzenia sposobów usunięcia go. Niewątpliwie, jest to zjawisko bolesne nie tylko dla przedsiębiorstw kapitalistycznych, ale i dla spółdzielni, jakkolwiek w mniejszym stopniu: obroty ich kurczą się, nadwyżki zmniejszają, ilość członków topnieje. Chcąc leczyć zło bada się bilanse i budżety, robi wszelkie wysiłki dla zmniejszenia wydatków ogól-

nych, stara się upłynnić remanent. Wszystko to jest słuszne, celowe i konieczne.

Ale kto chce sięgnąć do najgłębszych przyczyn choroby, musi pamiętać, że spółdzielczość jest zarówno zjawiskiem gospodarczym, jak ruchem moralnym. Mówiąc inaczej — że spółdzielnia składa się nie tylko z udziałów, rezerw i towarów, ale przede wszystkim z ludzi. Od stopnia ich wierności w stosunku do własnej organizacji, od natężenia woli, z jakim chcą ją budować, od zwykłej uczciwości nawet zależy jej byt, jej rozwój i jej przyszłość. Spółdzielnia nie jest martwą maszyną, która automatycznie uszczęśliwia swych posiadaczy: warta jest tyle, ile się w nią włoży zapału, energii i dobrej, mocnej woli. Dlatego szukając przyczyn zła trzeba — poza złą koniunkturą — szukać ich nie tylko w budżetach i bilansach, ale i w duszach ludzkich. Otóż powiedzmy to otwarcie: jeżeli chodzi o naszą, polską spółdzielczość, jest ona chora nie tylko pod względem gospodarczym, ale także pod względem moralnym.

W ogóle kryzys gospodarczy — nie tylko u nas i nie tylko w spółdzielczości — przekroczył już granice swojego terenu, stając się kryzysem ogólnym: ustrojowym, społecznym, cywilizacyjnym i przede wszystkim może — moralnym. Zwiędły stare wierzenia i załamały się nakazy moralne, nie te, które się mieszczą w kodeksach, ale które w sobie samych nosimy. Świat staje się pomału dziką puszczą, której część mieszkańców szaleje, chwytając się wariackich sposobów ratunku, inni zaś ostrzą sobie pazury i kły, szukając po prostu łupu. Jak się to odbija na życiu reszty świata, nie czas tu i nie miejsce rozstrząsać. Na życiu naszego spółdzielczego świata odbija się źle. Nie chcąc zresztą zagarniać zbyt szeroko, ograniczmy się do stosunków polskich i do spółdzielni spożywców.

Kto miał sposobność w ostatnich czasach badać życie nie jednej, ale wielu spółdzielni, ten zapewne niejednokrotnie klął w żywy pień z powodu ilości popełnianych w nich nadużyć. Najzwyklejszą formą jest manko. Wymieńmy od razu okoliczności łagodzące: zbyt niskie na ogół uposażenie pracowników, nieumiejętność wyrachowania się z obrotów towarów, zbyt wielka pokusa w postaci leżących pod ręką zapasów. To wszystko jest prawda, ale i to jest prawda, iż wyskakujące znienacka po kilku miesiącach formalnego porządku manko, przekraczające czasem całoroczną pensję pracownika, spycha spółdzielnię w dół, z którego potem przez dalsze parę lat zaledwie się z trudem wygrzebie.

Gorsze moralnie od mank są niedobory kasowe. Czasem są skutkiem niechlujstwa w rachunkach skarbnika, nierozróżniania przegródek w portfelu, w których się mieszczą pieniądze spółdzielni i własne, kiedy indziej są nadużyciem w ściślejszym tego wyrazu znaczeniu. Zauważmy mimochodem, iż oba te rodzaje nadużyć są karane przez sądy z łagodnością tak niepojętą, iż istnieje projekt wniosku ustawodawczego, utrudniającego sprawcom złych czynów wymykanie się przez nazbyt luźne oka sieci prawnej.

Dalszą kategorią nadużyć jest niedbalstwo i bezczynność władz spółdzielni, których nikt przecie nie mógł zmusić do przyjęcia mandatu. Tu należą owe nigdy nie zbierające się rady, owe zarządy, nie wykonywujące swoich czynności, nie chcące rządzić, a tylko zwalające cały trud na plecy płatnego pracownika, owi obdarzeni zaufaniem członków obywatele, którzy sądzą, iż ich wybór był tylko sposobem uczczenia ich niedokonanych zasług. Niedbalstwo i opieszałość w pracy należą, niestety, do najbardziej rozpowszechnionych naszych wad narodowych, ale skoro mamy budować nową i lepszą Polskę, możebyśmy zaczęli od wyrzucenia starych wad przez okno.

I wreszcie członkowie. Ci, którzy łaskawie zezwalają na wpisanie ich w poczet członków, ale nie raczą wnosić udziałów, nie kupują nic w swojej organizacji, pod istotnym czy częściej rzekomym pretekstem, że kupować gdzie indziej jest dla nich wygodniej, którzy natomiast nie darują spółdzielni żadnego popełnionego czy nawet niepopełnionego błędu. Ci, którzy rozdrapują towary na kredyt i którzy później za wzięty towar nie płacą. Tępe i martwe dusze, traktujące swój stosunek ze spółdzielnią, jak dorywczy, głupio rozumiany interes. Zapewne, to nie są przestępstwa karne. To jest tylko niedotrzymanie słowa i wiary zrzeszeniu, do którego się weszło, i idei, która jest w nim zawarta. A kto nie umie czy nie chce być sumiennym i wiernym członkiem spółdzielni, ten jest w niej niczym więcej, jak zawadą, której jak najprędzej należy się pozbyć.

Rzecz prosta, w tych różnych wypadkach nieuczciwości stopniowanie jest duże. Ale wszystkie one, choćby nieświadomie, prowadzą do jednego: do zahamowania ruchu, którego się jest wyznawcą, ruiny organizacji, której się jest częścią. Dlatego tak gorzko o nich jest mówić. A jednak mówić trzeba. Lepiej, żebyśmy sami o tym mówili, niżby nam obcy mieli zło wytykać. Spółdzielnia, to jeden z tych szklanych domów, o których dla Polski marzył Żeromski: wszystko w nim musi być czy-

ste i jawne. A spółdzielczość, tak jak demokracja, której jest jednym z wyrazów, albo będzie uczciwa, albo nie będzie jej wcale.

Na szczęście, spółdzielnie, w których nadużycia się plenią, są dotychczas w mniejszości. Bez żadnej trudności można wymienić cały szereg spółdzielni, w których nie trudno znaleźć omyłki, ale w których zarówno członkowie, jak i współpracownicy pod względem uczciwości organizacyjnej są poza wszelkim podejrzeniem. Ale kiedy w gromadzie znaczna ilość jednostek jest dotknięta zakaźną chorobą, zaraza idzie, jak ogień. I dlatego, póki się nie rozwielmożniła zanadto, trzeba z nią walczyć jawnie, stanowczo i bezlitośnie.

(„Społem" Nr 7 z 1932 r.)

CZAS PRÓBY

Żyjemy w okresie zebrań, zgromadzeń i zjazdów. Cokolwiek by się na nich świadomie czy półświadomie myślało, mówiło i czyniło, zdajemy sobie wszyscy sprawę, iż znajdujemy się w samym środku osobliwego i groźnego momentu dziejowego, którego doniosłość pozwoli nam ocenić dopiero dzień jutrzejszy. Zapewne, nie jest on tak krwawy, tak okrutny, jak czteroletni okres wojny światowej, nie jest takim wszystko w oczach naszych obalającym trzęsieniem ziemi, jak nim była Wielka Rewolucja Francuska, albo nie zakończona jeszcze Rewolucja Rosyjska. Ale zmiany, które dzień dzisiejszy pozostawi po sobie, mogą być nie mniej niż po tamtych przełomach głębokie, zarówno w dziedzinie gospodarki światowej, jak ustroju społecznego, zarówno wewnątrz państw, jak w stosunkach międzypaństwowych. Nie jest zadaniem uwag dzisiejszych przepowiadać, jakie one będą. Chcę stwierdzić tylko, że to, co przeżywamy dzisiaj, jest także wielką, choć bezkrwawą rewolucją, po której świat już do starych łożysk nie wróci.

Są tacy, którzy przepowiadają koniec ustrojowi kapitalistycznemu. Gdyby tak było, gdyby się te przepowiednie sprawdziły, coś po nim innego musi nastąpić — nie może przecież być próżni, nie możemy też wrócić do okresu feudalizmu i cechów, poddaństwa i małych lokalnych produkcji.

Są inni, którzy nie przewidując zmian tak głęboko sięgających, sądzą, iż po tysiącznych jeszcze wstrząśnieniach, załamaniach się i wahaniach kapitalizm wyjdzie z tej burzy nie tylko żywy, ale wzmocniony, zdolny

do działalności bardziej planowej, bardziej skoncentrowanej, mniej niż dziś marnotrawnej.

Którakolwiek z tych dwóch hipotez jest słuszną, to jedno pewnym jest, że spółdzielczość stanie jutro wobec nowych warunków, bardziej trudnych i bardziej skomplikowanych. Albo trzeba będzie brać znaczną część spadku po kapitaliźmie na swój rachunek i na swoją odpowiedzialność, albo trzeba będzie walczyć z przeciwnikiem o nowych siłach, o natężonej energii natarcia. Będzie to czas próby, próby naszych organizacji i naszych programów. A właściwie ten czas próby już nadszedł. Od tego, jak ją przetrzymamy, w jakim stanie zdrowia fizycznego i moralnego z niej wyjdziemy, zależy nasz dalszy rozwój, nasza nawet możność działania.

Gospodarczo trzymamy się dość mocno, w każdym razie lepiej niż świat gospodarki kapitalistycznej. Oczywiście, było by śmieszną, nic nie dającą w zysku obłudą chcieć twierdzić, że nie ponosimy strat. Szczególnie na naszym, polskim podwórku nie tylko ponosimy je dość znaczne, ale dużo ich jest jeszcze w stanie utajonym i ujawni się w przyszłości. Skoro jednak wszystko na świecie jest względne, możemy ze spokojem stwierdzić, iż szczerby w gospodarce kapitalistycznej są większe, pomimo większych jej sił i większej pomocy państwowej.

Ważniejszą niż próba gospodarcza jest próba psychiczna. Pod tym względem dużo jeszcze jest do życzenia. Żeby przetrzymać nawałnicę i nie dać sobie połamać skrzydeł, potrzeba odwagi, zimnej krwi, wiary w siebie i swoje ideały oraz jasnej świadomości celów, do których się dąży.

Jednej natomiast rzeczy nie wolno robić pod żadnym pozorem — chować głowy w krzak, chcąc przetrzymać zły czas. Kto chce żyć i przeżyć, ten musi sobie zdać sprawę, że nie chodzi dziś o drobiazgi, o fałszywe pozory, o uspokajanie się na kilka najbliższych chwil. Nawet tam, gdzie bilans wykazuje rzekome, czy nawet istotne nadwyżki, nie wszystko jest w porządku, jeśli równocześnie nie zostało wszystko zrobione dla powiększenia liczby członków i zakresu działalności spółdzielni. Ruch spółdzielczy nie może trzymać się dziś w małodusznej defensywie; śmiało i z pasją musi on szukać nowych dróg i potwierdzenia zwycięstwa.

Nie jest to niemożliwym. Z liczby kilkuset naszych spółdzielni są takie, które na twarzy mają rumieniec suchotnika, ale są też idące naprzód poprzez kryzys czy wbrew kryzysowi. Toż samo jest gdzie indziej. W poprzednich numerach naszego pisma dawaliśmy umyślnie zesta-

wienia spadków i zwyżek obrotów w różnych krajach. W niektórych wypadkach te złe czy dobre skutki zależą od warunków zewnętrznych, wszędzie i zawsze jednak napięcie woli i chęć walki są pierwszorzędnym czynnikiem i warunkiem zwycięstwa. Spółdzielczość jest w ogóle dzieckiem złych czasów; tak było w Rochdale, tak było w stu innych miejscach. Gdyby gospodarka świata rozwijała się pomyślnie, zaspokajając potrzeby wszystkich, nie było by na pewno takiego pędu do spółdzielczości, może by jej nawet w ogóle nie było. Komu zaś w walce serce zamiera ze strachu, ten już tylko pozornie jest żywym.

Żeby zwyciężać, spółdzielczość musi mieć wiarę w ideały. Nie będziemy się tutaj spierali, jakiego te ideały są kalibru i jakiego koloru. Na razie idziemy wszyscy jedną drogą, choć może nie wszyscy jednakowo daleko. Nasz najbardziej skrócony program jest prosty i łatwy; tym bardziej nie może być od niego żadnych ustępstw i wahań. Nie chodzi o to, żeby się prześlizgnąć wśród trudności i podejść pod przeszkodę — trzeba je brać górą i z frontu.

Prędzej niż się wydaje nadejść może dzień, kiedy się otworzą możliwości nowych twórczych czynów na wielką skalę. Spółdzielczość, która by nie wytrzymała próby, obniżyła swój lot, zaparła się siebie, nie byłaby w stanie przejść przez te wrota nowego życia godna szacunku i godna uwagi.

(„Społem" Nr 11 z 1932 r.)

NA DZIEŃ SPÓŁDZIELCZOŚCI

Przemówienie wygłoszone przez radio dnia 3 czerwca 1934 r.

Dorocznym zwyczajem pozwalamy sobie dziś zwrócić się do ogółu społeczeństwa w imię sprawy, której służymy, w którą wierzymy, dla której chcielibyśmy zjednać współdziałanie najszerszych mas. Sprawą tą jest spółdzielczość.

Stając w Dniu Spółdzielczości przed Wami, nie stajemy z pustymi rękami. Jest zaledwie 84 lata od czasu założenia w Śremie przez ks. Augustyna Szamarzewskiego pierwszej spółdzielni polskiej. A na początku 1933 roku było w Polsce 18.668 spółdzielni, ogarniających niemal wszystkie działy życia gospodarczego warstw ludowych: spo-

życie, kredyt, budownictwo, liczne potrzeby rolnictwa i pracę tych, którzy nie mogąc założyć samodzielnego przedsiębiorstwa, zrzeszają się dokoła wspólnego warsztatu. A ruch spółdzielczy nie tylko polepsza byt swoich członków, broni ich od wyzysku i lichwy, ale zaspokaja nawet ich aspiracje i tęsknoty społeczne, budując w chaosie dzisiejszych walk, marnowanych wysiłków i zawiedzionych nadziei nowy, zgoła odmienny świat, może mniej błyskotliwy, mniej pełen kontrastów, ale sprawiedliwszy i zdrowszy. Specjalnie jeżeli chodzi o mniejszości narodowe, nie tylko zaspokaja spółdzielczość ich potrzeby gospodarcze, ale bez obrazy interesów Państwa, bez podsycania waśni narodowościowych pogłębia ich kulturę.

Jest nas też już dzisiaj w Polsce niespełna trzy miliony. Jeżeli dodać do tej liczby rodziny członków, licząc po 4 osoby na rodzinę, co w naszych stosunkach wiejskich jest raczej zbyt mało niż zbyt wiele, ogarnia spółdzielczość około 12 milionów ludzi, czyli przeszło 1/3 ludności Państwa Polskiego. To już jest coś. Nawet oczy niechętnie patrzące na zjawiska sobie niemiłe nie powinny się od tego odwracać. Ale i to nie jest wszystko. Mógłbym długo opowiadać o wartości naszego ruchu, o tym, co potrafiliśmy stworzyć dotychczas, i nie byłaby to doprawdy najbardziej błaha część naszego odrodzenia narodowego. Ale na opowiedzenie nawet drobnej części tego, co bym powiedzieć powinien, nie starczy skąpo wymierzonego miejsca. Poprzestańmy na dwóch faktach; oba są natury ogólnej, ale oba ważą jak złoto.

Przede wszystkim tempo naszego rozrostu. Błędem było by brać pod uwagę tylko ostatnie lata — to lata nienormalne. Dopiero kiedy przebiegniemy pamięcią cały okres życia naszego ruchu, będziemy mogli ocenić niczym nie powstrzymany pęd jego rozwoju. Urodzony w niewoli, która hamowała jego ruchy, przeszedł zwycięsko przez wojnę, która zniszczyła jego dobytek materialny, i inflację, która podcinała korzenie jego bytu. Nie brakło klęsk i załamań, ale zawsze potem przychodziła fala jeszcze większa, jeszcze potężniejsza. Te fale i dziś jeszcze idą ciągle bez przerwy, jak gdyby wyłaniając się gdzieś z głębin duszy narodu. Tyle ideałów w ostatnich czasach zszarzało, tak często ludzie depcą dziś to, w co wczoraj wierzyli, ustrój gospodarczy trzeszczy w posadach, a źródło siły ruchu spółdzielczego bije wciąż żywe, obfite. Dlatego wierzymy, iż jutro będzie nasze.

I druga rzecz — nasza odporność na niszczące wpływy zewnętrzne. Oczywiście, było by nieprawdą, gdybym powiedział, że kryzys przeszedł

całkiem ponad naszymi głowami; było by to niemożliwe, choćby dlatego, że my głów nie schylamy w nadmiernej pokorze przed niczym i przed nikim. Prawdą jest natomiast, że podlegać złowrogim wpływom kryzysu zaczęliśmy ostatni i pierwsi zaczynamy się z nich otrząsać. Niejedno drzewo w naszym lesie podczas burzy upadło, ale z reguły upadały te tylko organizacje, które niedość ceniąc wyrobione w ruchu zasady, najmniej były z ducha spółdzielcze, najmniej opierały się na własnych siłach, szły po linii najmniejszego oporu, rozdając cudze pieniądze na kredyt. Szkody były niemałe, ale i pożytek jest duży, choćby przez odrzucenie tego wszystkiego, co w naszej pracy okazało się niedociągniętym i lichym. To, co po burzy zostanie, będzie zdrowym ziarnem, które obrodzi plonem, sowicie wynagradzającym poniesione straty. I pozostanie nauka — prawda że dotkliwa, ale jakże w skutkach swoich zbawienna, nauka, że droga nasza jest dobra, złem jest tylko zbaczanie z niej na manowce lekkomyślnej słabości.

Nam — spółdzielcom zarzucają niektórzy, że nadmiernie wierzymy w swoją przyszłość, w wartość tego, co robimy, w swoje ideały i w to, czego nam się już udało dokonać. Tak jest — wierzymy w siebie, w swoją rację bytu na świecie. Gdybyśmy nie wierzyli, nie udało by nam się przebyć drogi, po której 90 lat temu 28 nędzarzy z Rochdale ruszyło szukać ze swojego maleńkiego kramiku sprawiedliwości społecznej i doszło do jednego z największych w Anglii przedsiębiorstw, do hurtowni, która ma 100 własnych fabryk i własną flotę posyła w morze na połów i jest największym w świecie sprzedawcą herbaty, sprowadzanej z olbrzymich własnych plantacji. Gdyby nie było wiary, nie rozrosłaby się skromna kasa Raiffeisenowska w olbrzymią sieć kas drobnych rolników, która dziś pokrywa świat cały, która jest wszędzie niemal, gdzie pług orze ziemię. I nie poświęcałby Schulze z Delitsch wysiłków całego życia, niepospolitych talentów organizacyjnych i urzędowej kariery budowaniu, które było zarazem walką.

To jest siła, którą nam daje przeszłość. Ale my jesteśmy ruchem zbyt młodym, żeby się doszczętnie pogrążać w rozpamiętywaniu tego, co było. Nasza siła płynie nie z tego, czegośmy już dokonali, ale z tego, co leży przed nami, czego musimy dokonać. Nigdy zadania nasze nie były większe niż dzisiaj. Ludzie żyjący obecnie, walczący z najwyższym trudem o suchy kawałek chleba, lękający się jutra, które im może przynieść całkowitą zagładę, nie zdają sobie dostatecznie sprawy, jak dalece wali się i kończy to, co było dotychczas ustalonym porządkiem

życia gospodarczego, co ich żywiło, co im wyznaczało jakieś określone miejsce na świecie. Chwieją się i podlegają rozkładowi stare formy życia, przyszłość jest ciemna, chaosem jest dzień dzisiejszy. Wynaleźć w tym chaosie jakieś stałe punkty oparcia, na których można by budować choćby skromne na razie zaczątki nowego, lepszego życia, to dziś rzecz najważniejsza, kto wie, to jest może kwestia bytu albo niebytu współczesnej cywilizacji, która w obecnym systemie kapitalistycznym rozwijać się już dłużej nie może, a która musi przecie zdobyć nowe formy działania.

Formy te, zadatki lepszego jutra, daje spółdzielczość. Cóż z tego, że są one na razie skromne i słabe. Wszechpotężny do niedawna kapitalizm rósł przecie paręset lat jak gdyby w ukryciu, zanim dokonał w końcu XVIII wieku słynnej rewolucji przemysłowej, po której objął niepodzielną władzę. Nie jest najważniejszym to, czy nasz dobytek jest wielki czy mały — istota rzeczy polega na tym, że jest on zgoła odmienny w swoich zasadach, w metodach swojej pracy, od tego, co jest dzisiaj i co się już teraz coraz widoczniej okazuje ruiną. Nie zaprzątajmy sobie uwagi tym, czy spółdzielczość jest w stanie dokonać sama zmiany ustroju, czy automatyczny rozwój naszych organizacji da nam w końcu całkowite zwycięstwo. Życie jest bardziej powikłane niż wszelkie przewidywania i przepowiednie. Spółdzielczość jest tylko jedną z sił walczących na terenie, ale to, co ona wnosi do życia, jest koniecznym, żeby usunąć obecnie trapiące całą ludzkość zło, żeby to zło podciąć u samego korzenia.

Złem, które zwalczamy, tym źródłem wszelkiego zła we współczesnym świecie jest nie co innego, jak doprowadzony do szaleństwa wyścig do bogactwa, wyścig, w którym słabszych depce się i odtrąca bez miłosierdzia. Złem istotnym jest nie tylko nawet panowanie bogatszych, którzy osobiście mogą być ludźmi dobrodusznymi, ile ubóstwianie bogactwa, które musi rosnąć samo dla siebie, choćby to było z ludzkim cierpieniem i krzywdą. Tak przecie kształtuje się całe życie, tak szczepi się już młodocianym duszom instynkt posiadania, którego nie miarkuje instynkt sprawiedliwości, tak powstają instytucje społeczne, obliczone przede wszystkim na wygodę i pożytek tych, którzy doszli już do mety w wyścigu. A wszystko dało w ostatecznym wyniku dziesiątki milionów bezrobotnych, niszczenie środków żywności w oczach ludzi cierpiących z głodu i nieustające trzęsienie ziemi, nawet pod nogami tych, którzy po niej najpewniej i najpyszniej stąpali.

Temu wszystkiemu przeciwstawiamy w imię sprawiedliwości i zdrowego rozsądku swój program, w którym mało jest miejsca dla bogactwa, ale dużo dla najpierwotniejszego prawa ludzkiego — prawa do życia. Nie jesteśmy szaleni i nie namawiamy nikogo, ażeby szedł na puszczę i żywił się tam korzonkami, nie namawiamy choćby dlatego, że w dzisiejszym ustroju korzonki tak by poszły niezwłocznie w cenie, żeby się ich żaden ubogi człowiek nie mógł dokupić. Nie odrzucamy nawet kapitału, jako nagromadzonej pracy, ale dopuszczamy go do służby, nie do rządzenia, nakładamy mu przy tym tęgą uzdę przepisów, pozbawiających go prawa głosu i poskramiających jego żarłoczną chęć zysku. To nie jest jeszcze dużo, ale to jest już jednakże początek uzdrawiania stosunków, które się nadto już zabagniły i które własnymi siłami nie mogą się uzdrowić. Gdyby nawet w obecnych stosunkach całe spożycie i cała wytwórczość warstw ludowych zorganizowane były spółdzielczo, nie nastąpiłaby jeszcze zmiana ustroju gospodarczego, ale przyszłoby pewne odprężenie, zarysowałaby się wyraźnie droga do nowego życia.

W tym celu trzeba jednak, żeby ruch spółdzielczy szerzej rozwinął skrzydła. Spółdzielczość dąży do poprawy bytu swoich członków, ale ponieważ jej drzwi są rozwarte dla wszystkich, dąży ona w istocie rzeczy do poprawy bytu wszystkich ludzi, tych przynajmniej ludzi, którzy wyrzekną się chciwości i wyzysku słabych. To jest wielkie zadanie, ale nie trzeba bać się wielkich celów, bo one dopiero czynią życie szlachetniejszym i bardziej znośnym zarazem. Spółdzielnia, to nie tylko sklep, ani biuro wspólnych zakupów, ani banczek ludowy. Spółdzielczość, to nie tylko wielki ruch gospodarczy, ale równocześnie sięgający głębi serc wielki ruch moralny, dążący do oczyszczenia dusz ludzkich z chciwości i okrucieństwa, z rozpaczy i niewiary w samego siebie.

Choć się o tym mniej mówi na naszych zgromadzeniach, istnieje przecie moralność spółdzielcza, zabraniająca wyzysku i krzywdy; kto ma duszę zatrutą chciwością, kto ma palce zwalane krzywdą ludzką, ten nie powinien być dopuszczony do naszego grona; nie wiem zresztą, po co by tu przychodził, skoro nie możemy mu ofiarować niczego, co by go interesowało. Nie o to chodzi, żeby spółdzielczość dziś już tworzyła swoje prawa moralne, regulujące współżycie ludzi między sobą; wystarczy, że spółdzielczość, poczuwszy się na siłach, wstąpiwszy na wyższy stopień rozwoju, przepoi całe życie ludzkości uczuciami, którym zawdzięcza swój byt i swój rozkwit: sprawiedliwością, która nie

może znieść krzywdy, poczuciem równości, które hamuje indywidualne wybieganie naprzód jednych kosztem innych, i nade wszystko miłością małego człowieka, cichego pracownika, którego trzeba ochraniać przed drapieżnością zaborców.

Miłość i ochrona małego człowieka są najistotniejszymi, najbardziej charakterystycznymi cechami spółdzielczości, zapewne dlatego, że ruch ten jest na wsi czy w mieście dzieckiem nędzy proletariatu; tym razem wyjątkowo nędza była twórczą. Ta miłość człowieka była tajemnicą potężnego rozrostu ruchu, jest dziś rękojmią jego coraz dalszego rozwoju w przyszłości. Dziś może więcej niż kiedykolwiek. Gwałtownym wstrząsom życia gospodarczego towarzyszą głębokie przeobrażenia ustrojów politycznych. Nie chcę i nie mogę oceniać tu ich wartości; poprzestańmy na ustaleniu rzeczy bezspornej, rzeczy nie zaprzeczanej przez nikogo, tego mianowicie, iż główną linią przewodnią tych zmian jest wysuwanie interesu zbiorowości — państwa czy narodu — ponad interes człowieka, jako jednostki żywej, mającej nie tylko swoje potrzeby, ale i swoje przyrodzone prawa. Dokoła tego nowego pojmowania stosunku między obywatelem a państwem toczy się spór, w którym spółdzielczość, neutralna nie tylko z tradycji swojej ale z samej istoty, nie bierze udziału. Jedno wszakże prawo zastrzega sobie spółdzielczość w każdym wypadku: prawo zrzeszania ludzi dla poprawy ich bytu na zasadach autonomicznych. Jakoż mniej czy więcej prawo to zostało uznane, nawet w państwach, gdzie początkowo dążono do całkowitego zniszczenia ruchu spółdzielczego, potem do całkowitego podporządkowania jego działań woli centralnej. Dziś i tam uznano go za niezbędny czynnik regulowania cen, bez którego nędza uboższej ludności mogłaby stać się niebezpieczeństwem. Stąd daleko jeszcze do uznania całkowitej niezależności ruchu, wolno jednak mieć nadzieję, jeżeli nie pewność, iż w każdym ustroju przyszłość działać będzie na rzecz spółdzielczości.

Z tych wszystkich względów my — spółdzielcy patrzymy w przyszłość spokojnie. Jeżeli postęp ma być zapewnieniem możliwie wielkiej ilości ludzi szczęścia, którym jest zaspokajanie swoich potrzeb i swobodny rozwój swych sił — spółdzielczość jest nieodzownym warunkiem postępu. Nie znaczy to, żeby polepszenie stosunków miało przyjść automatycznie przez stosowanie recepty spółdzielczej. Spółdzielczość, to przede wszystkim ludzie. Chcąc ją wzmocnić i dźwignąć do wyższego poziomu, trzeba przede wszystkim wzmocnić i oczyścić charaktery jej

członków. Od ich wierności, od żarliwego spełniania swych obowiązków, od zrozumienia celu, do którego się dąży, zależy wszystko. Niestety, pod tym względem jest dużo jeszcze u nas, w Polsce do zrobienia. W czasach niewoli praca w dziedzinie spółdzielczości była traktowana jak czyn patriotyczny. We wszystkich trzech zaborach pionierami spółdzielczości byli powstańcy, jak Szamarzewski, jak grono postępowej inteligencji lwowskiej, albo rewolucjoniści, walczący z uciskiem i barbarzyństwem caratu, jak Abramowski, Mielczarski i Wojciechowski. Po odzyskaniu niepodległości motywy patriotyczne odpadły, pozostałe zaś momenty społeczne nie są dość mocne, aby szybko przezwyciężyć wiekami wyrobione wady charakteru narodu. Jeżeli spółdzielczość nasza stoi gorzej niż w krajach Europy Zachodniej, jeżeli my zaledwie opieramy się kryzysowi, gdy tamci go przezwyciężają, powiększając obroty, liczbę członków, produkcję — winą tu jest przede wszystkim brak tych cech charakteru, które w sumie nazwałbym kulturą gospodarczo-społeczną. Niewpłacanie udziałów, plaga kredytów, niespełnianie swoich obowiązków przez władze spółdzielni, niedostateczna lojalność ich członków, to są hamulce rozwoju ruchu, kładące mu się na drodze jak głazy. Na polu spółdzielczości, jak na tylu innych, musi Polska co dzień składać swój egzamin dojrzałości. Ambicją naszą być powinno, abyśmy go składali ze stopniem celującym.

Nie jest to niemożliwe. Nie brak nam przecie zdolności, brak tylko dotychczas napięcia woli, które pcha naprzód, które łamie wszelkie przeszkody. Jeżeli całość ruchu pozostawia jeszcze wiele do życzenia, na poszczególnych odcinkach osiągnęliśmy już wyniki pracy, których wstydzić się nie potrzebujemy. Jeżeli spółdzielczość to ludzie, możemy stwierdzić, iż nie brak nam ludzi, których pamięć świeci, jak wzór doskonały. Chciałbym na zakończenie jednemu z nich poświęcić słów kilka.

Mija już dziesięć lat od śmierci nieodżałowanej pamięci Franciszka Stefczyka. Urodzony w 1861 roku, po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Krakowie, już w kilka lat później zakłada w Czernichowie pierwszą na ziemiach b. zaboru austriackiego kasę oszczędności, później zakłada inne. Praca przez pierwsze 10 lat idzie jak z kamienia, ale już na początku bieżącego stulecia kas takich w b. Galicji było koło półtora tysiąca, nie licząc mleczarń spółdzielczych. Równocześnie pisze podręczniki do użytku swoich organizacji, przyczynia się do utworzenia

we Lwowie patronatu, zakłada „Czasopismo", organizuje Centralną Kasę Spółek Rolniczych. W wolnej Polsce przenosi się do Warszawy, obejmuje tu wysokie stanowisko rządowe i ani na chwilę nie przestaje myśleć o spółdzielczości. Przy jego współudziale i z jego inicjatywy powstaje Zjednoczenie Związków Spółdzielni Rolniczych, on tworzy Spółdzielczy Instytut Naukowy, jedną z nielicznych tego rodzaju instytucji w świecie, i już na łożu śmierci otrzymuje nominację na profesora spółdzielczości w Uniwersytecie Jagiellońskim. Oto życie wypełnione po brzegi jedną ideą, oto człowiek z jednej bryły ciosany.

Było takich więcej i niewątpliwie liczba ich będzie wzrastała. To także pozwala nam patrzeć w zamgloną przyszłość z całkowitą ufnością.

(„Społem" Nr 12 z 1934 r.)

RÓŻNICA ZASADNICZA

Na łamach „Gońca Warszawskiego" toczy się już od kilkunastu dni polemika na zasadniczy istotnie temat: nieprzyjęcia przez Radę Spółdzielczą zgłoszenia kupców, chcących dla swojej wygody założyć spółdzielnię wspólnych zakupów.

W numerze z 9 lutego niepodpisany autor artykułu pod sensacyjnym artykułem „Kartel spółdzielczy" pisze:

„Trzeba zrozumieć, że spółdzielczość, to nie jest cel sam w sobie, ale jeden ze środków. Tymczasem nasze władze spółdzielcze przejęły się doktrynerskim stanowiskiem niektórych organizacji spółdzielczych i uważają, że kto już należy do „świata kapitalistycznego" (np. drobny kramikarz), nie może należeć do spółdzielni. Tymczasem praktyka okazała, że właśnie spółdzielnie drobnych kupców rozwijają się dobrze i nie są narażone na takie niebezpieczeństwa, jak spółdzielnie ludzi pozbawionych wyrobienia gospodarczego, które działają bez należytej kontroli ze strony członków".

Zauważmy mimochodem, że powoływanie się na powodzenie przedsiębiorstw prowadzonych przez kupców jest dość niebezpieczne, rzeczywistość bowiem, jeżeli chodzi o całość, wykazuje coś wręcz odmiennego. Ale mniejsza o to, gdyż to nie należy do rzeczy. Istotą twierdzeń autora jest żądanie równych praw dla kupców w posługiwaniu się formą spółdzielni.

Odmawia im tego prawa w tym samym „Gońcu" z 12 lutego p. Janina Iwaszkiewiczówna w dość obszernym artykule pt. „Spółdzielczość nie może współpracować z kupcami". Autorka w sposób jasny i przekonywujący ustala przede wszystkim wartość spółdzielni, a potem kończy: „Zestawienie wyrazów „kartel" i „spółdzielczy" jest śmieszne, nikt bowiem tak nie walczy z kartelami, jak spółdzielczość. Poza tym „kartelem właśnie było by wszelkie porozumienie kupców tej samej branży".

Roli pogromcy p. Iwaszkiewiczówny w nrze z 17 lutego podjął się p. Wacław Pintara. Niewysoki poziom jego argumentów i odbieganie od tematu utrudnia nam zreferowanie tej „repliki", poświęconej głównie zwalczaniu osobowych „przywilejów" spółdzielni. P. Pintara sądzi bowiem, że spółdzielcy są też kupcami, „ale występującymi pod inną postacią".

W tych ostatnich dopiero słowach autor dotyka istoty rzeczy, twierdząc, że spółdzielca to też kupiec „tylko inny". Czy dlatego, że tak jak kupiec wynajmuje lokal, wstawia do niego towary, rozdziela je między swych członków, a nawet sprzedaje obcym, posługuje się zwykle pracą najemną i prowadzi liczne księgi handlowe, których odpowiednicy spółdzielni — kupcy III kategorii nie są obowiązani prowadzić? Oto podobieństwa — zewnętrzne, formalne, nie wnikające w istotną treść zajęć, których cele są całkiem rozbieżne.

Celem handlu jest zysk, i tylko zysk. Wszystkie uboczne powody zajmowania się handlem, jak chęć podniesienia i spolszczenia gospodarki krajowej, zamiłowanie osobiste itp., są celami indywidualnymi właściciela przedsiębiorstwa, mieszczącymi się w kategoriach gustów i poglądów osobistych. Celem przedsiębiorstwa jest zysk.

Celem spółdzielczości jest zaspokajanie potrzeb swoich członków. Poza tym spółdzielnia nie szuka zysku, nie zna nawet tego pojęcia. Nadwyżkę dochodów nad wydatkami oddaje członkom albo dopisuje do rezerw, czyli tzw. funduszu społecznego, który nawet w razie likwidacji spółdzielni nie jest dzielony między członków.

Ta różnica w sposobie podziału nadwyżki dochodów jest nie tylko bardzo charakterystyczna, ale rozwija odrębną psychikę u kupców i u spółdzielców.

Nie przeczę, że istnieje pewien procent kupców uczciwych (zwłaszcza w życiu prywatnym), a wśród spółdzielców zdarzają się ludzie niedociągnięci moralnie. Ale istota rzeczy leży w czym innym. Przed-

siębiorstwem prywatnym rządzi kapitał, do którego wymogów właściciel musi się stosować. Takim wymaganiem jest chęć zysku, albowiem kapitał nie przynoszący zysku jest w ustroju kapitalistycznym rzeczą martwą i zaprzeczeniem samego siebie. Ta pogoń za zyskiem wyrabia nie tylko we właścicielu, ale często nawet w pracownikach specjalną psychikę. Delikatnie mówiąc, można by ją nazwać chciwością.

Ta psychika wręcz przeciwstawia się psychice spółdzielcy, który na najwyższych nawet stanowiskach nie może się spodziewać ani dla organizacji, ani dla siebie żadnych zysków, poza normalną płacą za pracę.

Łączenie ludzi w tych odmiennych psychikach, odpowiadających przedsiębiorstwom o odrębnych celach byłoby nonsensem. Nie są to ani zjawiska, ani typy jednorodne.

Oczywiście kupcom wolno się organizować oddzielnie. Od tego są spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Można by im dodać jeszcze jedną cechę: zmienność kapitału. Ale jakkolwiek bardzo jest pochlebnym uznanie kupców dla naszych form organizacyjnych, nie widzimy, żeby z naszej z nimi współpracy w jednej organizacji mogło wyniknąć coś innego prócz zamętu.

(„Społem" Nr 3-4 z 1936 r.)

WARTOŚĆ NARODOWA RUCHU

Jest rzeczą powszechnie znaną, iż w pojęciu naszych Pionierów była spółdzielczość sposobem budowania Polski. Oczywiście, nie mógł to być sposób bezpośredni odzyskania niepodległości. Nawet w momentach największego nasilenia zapału musieli sobie zdawać sprawę twórcy nowoczesnych form ruchu spożywców w Polsce, jak dalece cała ta robota z wynikającym wraz z niej dobytkiem narodowym jest rzeczą niepewną i kruchą politycznie, jak bardzo zależną od poglądów czy wręcz kaprysów zaborcy. Z dnia na dzień przecie mogło to wszystko być obalone i wyrwane z korzeniem już nie tylko ukazem carskim, ale prostym rozporządzeniem generał-gubernatorskim, zawieszającym działalność spółdzielni i Związku na czas trwania „wzmocnionej ochrony", a w razie najmniejszego oporu zsyłającym nieposłusznych działaczy do mniej czy bardziej odległych guberni cesarstwa. Tak było z Macierzą, tak było z Sokołem.

Pionierzy — wczorajsi rewolucjoniści, więźniowie, wygnańcy — przystępując do swojej nowej pracy, nie zapierali się zgoła swojej dotychczasowej walki, chcieli ją tylko po prostu rozszerzyć i pogłębić. W tym celu stworzyli dwa nowe fronty walki.

Zaczęli od zasiewania polskiego ugoru. Była wówczas Polska krajem tak doszczętnie zdeptanym kopytami koni kozackich, że na niej nic już rosnąć nie chciało. Z przeszłości pozostały już tylko resztki dawnej świetności, dawnego dobytku, pozostającego zresztą w coraz bardziej słabnących rękach szlachty polskiej, chylącej się już wyraźnie ku upadkowi. To, co zaczęto budować na nowo — przemysł i handel — mało było jeszcze związane z dążeniami narodowymi, a niekiedy pozostając w obcych rękach, było tym dążeniom wręcz wrogie.

Terenem, na którym bujnym pędem mogło wzejść nowe życie, były masy ludowe. Ale to był właśnie na razie ugór. O ludzie polskim, jako o skarbnicy sił narodowych, myślały najświetniejsze, najszlachetniejsze umysły w Polsce, począwszy już od ostatniego rozbioru. W środku XIX wieku stało się to modą, miłą, choć dosyć bezpłodną. Na ogół myślano przeważnie o tym, co by się dało zrobić dla tego biednego ludu, który się zresztą trzymało na należytym od siebie dystansie. W szczegóły wchodzono mało i drogami raczej utopijnymi. Dopiero ostatnie dziesiątki lat ubiegłego wieku były okresem bezpośredniej propagandy, odrzucającej często całkowicie przeszłość, pragnącej Polskę budować całkiem od nowa, z korzenia, niekiedy wcale jej nie pragnącej budować, poprzestającej na szukaniu ogólnoludzkiej sprawiedliwości społecznej.

Mimo te skromne poczynania lud był ciągle w olbrzymiej swej masie materią niemal martwą narodowo, poza tym rozproszkowaną, jak ziarnka piasku. Więź społeczna łączyła te gromady zaledwie w obrębie parafii czy gminy, łączyła zresztą tylko pochodzeniem etnicznym, przesądami przedwiecznej kultury, złym wspomnieniem przeszłości, które nie niosły pociechy, które nie miały twórczej w sobie siły.

Lepienie z tego piasku żywych organizmów była zadaniem, które sobie z zuchwalstwem młodości postawili Pionierzy. I okazało się, że ich zuchwalstwo było mniejsze od ofiarnego wysiłku, jaki w swoją pracę włożyli. Nie zdążyli oczywiście przerobić całej Polski, stworzyli jednak doskonały typ organizacji, która jak cudowna maszyna, szczery piasek przerabiała w życie. Zwiększyła się zwartość narodu, którego byle wiatr nie mógł już przewiać na inne miejsce. Obudził się instynkt społeczny, przekształcając bierne gromady na grupy obywateli, szukających swych



Fot. Gürtler w Warszawie

1937 r.

praw. W zatęchłej atmosferze Polski, szarpiącej w świętym szaleństwie swoje okowy albo zapadającej potem w marazm bezsiły wpłynął ożywczy prąd walk wyzwoleńczych ludu szukającego swych dróg, znajdującego swe wzory w zjawiskach utrwalonych już w dalekich światowych stosunkach, przygotowującego się coraz bardziej świadomie do budowania własnymi rękami nowej Polski — Polski Ludowej, której płomienistymi barwami malowany obraz chowali głęboko w sercach swych Pionierzy.

Odzyskanie wolności przez najświetniejszy nawet rozwój spółdzielczości byłoby w danych warunkach niemożliwością. Ale tworząc żywych ludzi, przyczyniała się zarazem spółdzielczość do wzmocnienia, do wsiąknięcia w szerokie masy ruchu niepodległościowego, bez którego odzyskana Polska byłaby tylko wygraną na wojennej loterii świata.

*

Czyżby to wszystko było już tylko wspomnieniem, które się czci na jubileuszach, ale z którego już żadnej żywej treści wycisnąć nie można? Uważałbym taki pogląd za błąd.

Zapewne, nie żyjemy już w domu niewoli, nie potrzebujemy w jego podziemiach skupiać sił do odparcia najazdu, który zagraża bytowi narodu. Ale utrwalenie bytu państwa, obrona odzyskanej niepodległości długo jeszcze pozostanie zagadnieniem najwyższej wagi. Mogą być różne prowadzące do tego sposoby i o ich wybór toczy się spór.

Nie chciałbym na łamach pisma spółdzielczego wchodzić w dalsze szczegóły. Poprzestańmy na rzeczy bezspornej chyba dla wszystkich. Jeżeli Polska ma rozwijać się zdrowo, jeżeli ma mieć siły do tworzenia i siły do odporu, trzeba w orbitę działań jej państwa wciągnąć cały naród bez reszty. Nie oznacza to koniecznie zgody powszechnej, oznacza to powszechną aktywność.

Państwo współczesne jest rzeczą niesłychanie skomplikowaną. Zrozumienie jego potrzeb, jego konieczności może się nie dla wszystkich okazać dostatecznie łatwym. Otóż dojście do punktu szczytowego, z którego ogarnia się całość, może być znacznie ułatwione przez wciąganie obywateli do organizacji pośrednich, które nie będąc formalnie częścią państwa, mają z nim jednak cel wspólny — wzmocnienie zwartości narodu i przyuczanie do służby sprawie publicznej.

Ciągle jeszcze trzeba zapładniać piaski, ciągle jeszcze trzeba tworzyć żywych ludzi i przyuczać ich chodzić i działać gromadą. Nie znam lep-

szego ku temu sposobu niż spółdzielczość, skupiająca ludzi w imię obrony ich wspólnych interesów, dająca im wiarę i wypróbowane metody pracy. Zdała ona już tylokrotnie egzamin, że wątpić w skuteczność jej działań było by śmiesznym, byle by się jej dało możność rosnąć według reguł, jakie sobie w pracy swojej wyrabia. Wszelki przymus byłby tu zbędnym hamowaniem ruchu, bowiem jego najgłębszą, podstawową zasadą jest wolność.

To jest ta sama robota, co przed wojną. Ta sama też jest jej wartość.

*

Pozostawałaby strona gospodarcza — podstawa ruchu. Należało by na dzisiejszym zwrotnym punkcie ustalić, w jakiej mierze działalność spółdzielni i Związku jest cennym wkładem do gospodarki całego narodu. Oczywiście, próba dokonania takiej oceny w tych zwięzłych uwagach przekraczałaby granice możliwości. Nie wszystko zresztą da się tu ująć w ścisłe cyfry i dane.

Poprzestańmy na rzeczy najogólniejszej. Gdyby jedyną wartością zorganizowanego ruchu spożywców było obudzenie w szerokich masach zdrowego instynktu gospodarczego, zrozumienia zjawisk, w zależności od których wyrabia się i rozwija materialna siła narodu, było by to już chyba niemało. A przecież spółdzielczość, szczycąca się posiadaniem jednego z największych, najzdrowszych, najbardziej celowo zbudowanych przedsiębiorstw w Polsce, wskazała nie tylko cele, ale i drogi, którymi do nich trzeba podążać.

(„Społem" Nr 11-12 z 1936 r.)

SPÓŁDZIELCZOŚĆ MIĘDZYNARODOWA

Dopiero co zakończyły się w Warszawie obrady Centralnego Komitetu Międzynarodowego Związku Spółdzielczego. Znaczenie i treść tych obrad będą podane do wiadomości spółdzielców polskich na innym miejscu. Na razie chciałbym tylko zaznaczyć, jak dalece takie zjazdy, w których biorą udział przedstawiciele kilkunastu narodów, zbliżają ich do siebie, pogłębiają wzajemną przyjaźń.

Są w Polsce — i nie tylko w Polsce — ludzie, na których dźwięk słowa „międzynarodowy" działa jak czerwona płachta na byka. Ci fałszywi patrioci sądzą, że niedość jest kochać swój naród, trzeba niena-

widzieć inne narody, a przynajmniej zachowywać się w stosunku do nich z najwyższą podejrzliwością i niechęcią. W praktyce bywa inaczej. Bo tego rodzaju ludzie płaszczą się zwykle przed silnymi narodami, zapominając o godności własnego narodu, której trzeba strzec jak własnego honoru, ale to się robi rzekomo „dla interesu". Na dnie tego wszystkiego leży niewiara w siły własnego społeczeństwa, obawa, że ktoś z zagranicy, jakaś „międzynarodówka" będzie nami rządziła, popychając nas do czynów dla nas szkodliwych. A jeszcze głębiej leży sobkostwo narodowe, podniesione do godności cnoty. Tacy ludzie bywają czasami osobiście moralni, ale nie chcą nic słyszeć o moralności między ludami.

My, spółdzielcy, myślimy inaczej. Twierdzimy wprawdzie, iż naród i jego interesy są czymś wyższym nad interesy każdego ze składających go obywateli. Wiemy, że Ojczyźnie należy się od każdego z nas akurat tyle, ile ona w danym momencie potrzebuje — nawet całe nasze mienie, nawet życie, jeżeli tak trzeba. Uznajemy konieczność i dopuszczalność obrony swojego narodu. Dbamy o jego dobro, o jego honor. Chcielibyśmy, żeby zdobył w każdej dziedzinie pierwszeństwo, byle godziwymi środkami. Ale to nie przeszkadza nam wyciągać dłoń pełną przyjaźni i zaufania do tych ludzi w innych narodach, którzy myślą i czują jak my.

Jesteśmy zwolennikami pokoju. Nie traktujemy pokoju jako przygotowania do nowej walki — chcielibyśmy, żeby był wieczny, umożliwiając ludom braterską współpracę. To jest proste. Wewnątrz własnego społeczeństwa walczymy z wyzyskiem człowieka przez człowieka, z przemocą kapitału. Ale nic by nam nie pomogło, gdybyśmy ten wyzysk i przemoc zwalczyli tylko we własnym kraju, bo współczesne organizacje kapitalistyczne są dziś powiązane najściślejszymi więzami poprzez wszystkie granice. To czynią właśnie ci sami ludzie, którzy tak się wzdrygają przed międzynarodówką polityczną albo moralną, ale którzy bardzo chętnie zakładają własne międzynarodówki handlowe, bankierskie lub przemysłowe, bo te dają zysk. Zysk, który stoi ponad wszystkim, który jest bóstwem.

Kto bywa na naszych spółdzielczych międzynarodowych zgromadzeniach, ten wie, jak dalece jest to już inny świat. Nie ma tam silnych i słabych, bogatych i biednych, wielkich i małych. Głos każdego jest wysłuchany z życzliwością i pomoc, gdyby jej potrzebował, będzie mu okazana. A przecież każdy z uczestników jest dobrym synem swojego narodu, nie rozumie tylko, dlaczego miałby żywić niechęć do innych. Każdy kocha swoją mowę, swoje zwyczaje, piękno swojego kraju, po

cóż by jednak miał przez to wzdragać się przed obcymi zwyczajami i mową?

Dzieje się tak dlatego, że w tych zgromadzeniach nikt nikogo nie chce wyzyskać, nikt nie chce żyć cudzym kosztem. Zeszli się ku wzajemnej pomocy, czując się członkami wielkiej spólnoty ludzi pracy i ludzi dobrej woli. Dlatego nie ma tam wilczych dołów i syku nienawiści. Gdyby genewska Liga Narodów obradowała na tych samych zasadach i przepojona była tym samym duchem, świat nie lękałby się nowej burzy wojennej, która go może zatopić we krwi.

(„Społem", Nr 19 z 1936 r.)

NASZA NEUTRALNOŚĆ

Od samego początku istnienia ruchu spółdzielczego, od czasów Rochdale'u aż po lata ostatnie, neutralność jest jednym z najbardziej kapitalnych punktów naszego programu.

Oczywiście, słowo samo przez się mówi jeszcze niewiele. Żeby tę neutralność dokładnie zrozumieć, trzeba ustalić, jak ją pojmujemy i jak stosujemy ją w życiu. Rzecz tym bardziej potrzebna, że w potocznym, zwykle używanym znaczeniu neutralność uważana jest za równoznacznik albo obojętności na odgrywające się dokoła nas wypadki, albo co gorsza, pewne powstrzymywanie się od działania z cichym wewnętrznym postanowieniem wzięcia udziału w grze później, kiedy to się dla nas okaże korzystnym.

Nasza spółdzielcza neutralność nie ma nic wspólnego z taką interpretacją. Oznacza ona po prostu niezależność od wszelkich innych ugrupowań, przede wszystkim od ugrupowań politycznych. Nie czynimy tego bynajmniej z powodu jakiejś z góry powziętej odrazy do działania politycznego. Przeciwnie, sądzimy, iż każdy z obywateli, a więc i każdy ze spółdzielców powinien mieć jasno sformułowane poglądy na potrzeby państwa i sposoby ich zaspokajania; oświadczenia w rodzaju „ja się nie interesuję polityką" uważamy za niedorzeczną i nie bardzo przyzwoitą wymówkę ospalstwa. Stopień zainteresowania się polityką i udział w tej dziedzinie życia politycznego pozostawiamy najzupełniej do uznania każdego z naszych członków, z jednym tylko zastrzeżeniem, aby tej polityki nie uprawiał na terenie spółdzielni. Spółdzielcy mogą politykować; spółdzielnie, a tym bardziej Związek Spółdzielni, nie mogą tego czynić.

Gdyby im pozostawiono tę wolność, doprowadziło by to niewątpliwie do zaprzepaszczenia w krótkim czasie całego z takim trudem wypracowanego dorobku ruchu. W zrzeszonych naszych organizacjach udało nam się połączyć przy wspólnym warsztacie pracy ludzi o najbardziej rozbieżnych poglądach politycznych, od umiarkowanych konserwatystów zacząwszy a skończywszy na socjalistach.

Co większa, udało nam się nakłonić ich do współpracy. Wprawdzie w szerokich warstwach naszych członków coraz bardziej utrwala się przeświadczenie, że spółdzielczość jest bronią świata pracy, gdy jednak metody jej są na wskroś pokojowe, korzyść doraźna niewątpliwa, a zwyczaj narzucania mniejszości swojej woli i swoich poglądów przez większość zgoła nie uznawany; pozwala to współpracować ludziom o rozbieżnych poglądach, byle tylko nie wnosili do organizacji elementów namiętnej walki o władzę polityczną. Ruch nie tolerowałby tego wśród swoich członków, tak jak członkowie mieliby prawo nie tolerować tych zboczeń z czysto spółdzielczej drogi u swoich kierowników.

Komu nasze sposoby poprawiania zła w istniejącym ustroju wydają się zbyt powolne, zbyt okrężnie wiodące do celu, ten poza spółdzielczością bierze udział w walkach bardziej bezpośrednich i bardziej ostrych zarazem. Nie sprzeciwiamy się temu, nie znieślibyśmy tylko na naszym własnym terenie ludzi dwupoddanych, działających według dyspozycji wydanych w innych organizacjach; stąd nasze usilnie przestrzegane dążenia do zachowania całkowitej niezależności.

Jako całość poprzestajemy na swoim bezpośrednim spółdzielczym działaniu. Być może, jest ono skromne, jak wszystko zresztą w Polsce, która dopiero się porządkuje, sądzimy jednak, że jest pożyteczne. Tylko ludzie obrani z rozumu i z elementarnej przyzwoitości, jaka jest niezbędnym warunkiem uczciwej dyskusji, mogą nas posądzić o „nienarodowe" stanowisko, jak to czyniły w ostatnich czasach różne organy obozu kapitalistycznego. Nie mamy ani ochoty ani zamiaru zdawać przed kimkolwiek egzaminu, wspomnienia Wielkiej Wojny jednak i roku 1920 powinny uspokoić tych podejrzliwych krytyków. W czasach pokojowych spełniamy czynności pożyteczne nie tylko dla członków spółdzielni, ale dla całego narodu: regulujemy ceny nie gorzej niż rozporządzenia władz administracyjnych, uczymy społeczeństwo gospodarności i wspólnego działania, rzecz nieprzepłacona w narodzie, który po dziś dzień nie wyzbył się całkowicie odziedziczonych tradycji anarchicznych, przygotowujemy kadry działaczy gospodarczych i administracyjnych, które

tak bardzo mogą się okazać potrzebne po wciągnięciu szerszych mas w orbitę bezpośredniego zarządu sprawami ogólnymi.

Wszystko to robimy w atmosferze pokojowej i twórczej pracy, której nie chcielibyśmy niczym zakłócać. Nie przestając być rdzenną cząstką narodu, wyodrębniamy się nieco w swoim działaniu. Sądzimy, że taki podział pracy jest nie tylko naturalny ale konieczny, zwłaszcza dzisiaj, w okresie zupełnego pogmatwania pojęć i wzbierającej siły prądów odśrodkowych.

(„Społem" Nr 10 z 1937 r.)

ZMĄCONA DUSZA NARODU

Kto znał życie polskie przed wojną, ten pamięta, jak dalece podobne było do wody stojącej i zgniłej. Naród polski, a zwłaszcza lud polski, odcięty od świata, pozbawiony możności działania, przygnieciony ciemnotą, z trudem utrzymywał się przy życiu, pozostając zresztą coraz bardziej z tyłu w wielkim pochodzie ludzkości.

Potem na to bagno zwaliła się wojna. W ciągu szeregu lat kosztem zmarnowanych milionów pieniędzy, kosztem milionów żyć ludzkich niszczono, z korzeniem wyrywano pracę wielu pokoleń. Gorsze niż zniszczenie materialne było spustoszenie, które się dokonało w duszach ludzkich, zdziczałych, odwykłych od pracy, wytrąconych z odwiecznej kolei.

Być może, że my — Polacy mamy mniej niż inni praw na to narzekać, skoro dzięki wojnie otrzymaliśmy wolność. Ale wolność otrzymana w takich warunkach okazała się darem bardzo trudnym, niekiedy wręcz zawodnym. Miliony obywateli polskich, którzy dopiero w marszu wojskowym przekroczyli po raz pierwszy granicę swojej gminy czy swojego powiatu, powróciły do domu w stanie niesłychanego znużenia poniewierką wojenną, ale bynajmniej nie lepiej przygotowane do trudnych zadań nowego życia we własnej ojczyźnie. Dawniej chodzili na wpół senni, z głową spuszczoną ku ziemi, jak nędzne szkapy w kieracie. Teraz kazano im być rasowym koniem, który bierze najtrudniejsze przeszkody, którego przy tym dość licho się podkarmia i samemu sobie każe się szukać drogi.

Na miejscu dawnego, zwłaszcza w byłym zaborze rosyjskim, życia w bardzo pierwotnych urządzeniach wyrosło nowe życie, bujne i bardzo

skomplikowane, z mnóstwem nowych urządzeń, urzędów i zagadnień, nieznanych dawniej nawet z imienia. Jak grad sypały się na głowę nowe ustawy, dekrety i rozporządzenia, które trudno było znać, jeśli się nie umiało czytać, ale których nieznajomość groziła nieraz najpoważniejszą przykrością. Ponadto zwaliły się w ciche i puste życie polskie walki o władzę, nieznośne niekiedy swary partyjne, demagogia i niedojrzałość. Maszyna państwowa, może nie tyle dlatego, że źle zbudowana, ile po prostu, że nowa, skrzypiała chwilami szkaradnie. Strwożyła się i zmąciła dusza narodu. Ludzie tracili wiarę w siebie, w wartość organizacji, w jutro zdobyte własnymi rękami.

A dzień dzisiejszy? To, czego jesteśmy świadkami od paru miesięcy w postaci walki wyborczej, musi wywołać protest każdego obywatela Rzeczypospolitej.

Przystępujemy do wyborów już po raz trzeci. Ale nigdy jeszcze nie widzieliśmy, aby gwałt — pałka i kamień — były argumentami tak wyłącznymi, aby sumienia ludzkie kupowano jak trzodę na targu, aby aparatu kościelnego a i państwowego nadużywano tak do walki wyborczej.

Spółdzielczość nie ma związków ani zabarwień partyjnych. Jest najgłębszym wyrazem przekonań demokratycznych, dąży do okiełznania wyzysku, do zmniejszenia niesprawiedliwości, do oczyszczenia i ulepszenia duszy człowieka. Dając państwu bezcenne wartości, nie wymaga od niego pomocy ani urzędowej opieki. Ale jednej rzeczy ma prawo wymagać: powietrza, którym oddycha, powietrza wolnego od miazmatów przekupstwa i gwałtu. Tym powietrzem jest wolność. Wolność, która zaczyna się od posiadania własnej opinii i wypowiadania jej w sposób legalny. Wolność, bez której znaczna część obywateli ucieknie już nie tylko od polityki, ale od wszelkiego życia publicznego, a reszta zdziczeje w bezprzytomnych walkach.

I bez której zmąci się do reszty i uschnie dusza narodu.

(„Spólnota" Nr 10 z 1928 roku.)

CZYSTE RĘCE

W kraju, w którym władze dbają o zdrowie powszechne, w każdym niemal miejscu publicznym rozmieszczone są plakaty, doradzające obywatelom przestrzeganie jak największej czystości, w szczególności zaś namawiające ich, aby jak najczęściej myli ręce, jeśli chcą zdrowie za-

chować. Po pewnym czasie te przestrzogi stają się już niemal zbyteczne, bo człowiek stojący na wyższym stopniu kultury nie mógłby nawet radować się życiem, gdyby odjętą mu była możność zachowywania swego ciała w czystości.

Ale czy nie słusznym by było dbać co najmniej w równym stopniu jak o czystość cielesną — o czystość moralną. Jest czasem brud, którego żadne mydło nie zmyje — brud złego czynu. Nie wiem, czy potrzebne są przeciw niemu plakaty. Myślę tylko, że nie należy tych spraw wstydliwie przemilczać, że nie należy im, co gorsza, pobłażać.

My, Polacy, nie należymy jeszcze, niestety, do narodów o wysokim, surowym poczuciu moralności. Być może, jest to zło przemijające, jest to zła szkoła niewoli. Nie chcę się jednak zastanawiać ani nad tym, co będzie, ani nad tym, co było, tylko z najbardziej bezwzględną szczerością mówić o tym, co jest. Nie chciałbym też wpadać w zgoła niepotrzebną przesadę. Nie będę w nikogo wmawiał, że Polska jest krajem, w którym się spotyka najwięcej i najbardziej rozbestwionych bandytów, najlepiej wyszkolonych złodziejów i łotrów najgorszego stempla. Twierdzę tylko, że jesteśmy narodem o niskich na ogół wymaganiach moralnych. Jeżeli weźmiemy pierwszych lepszych stu ludzi, których przypadkowo spotkamy na ulicy, niewielu, być może, znajdziemy wśród nich łotrów skończonych, ale niechlujów moralnych spotkamy aż nadto wielu.

Nie mam najmniejszego zamiaru mówić na ten temat kazania. Nie będę rozdzierał szat ani uderzał w wielki dzwon. W piśmie spółdzielczym mówmy o tych przykrych rzeczach jako spółdzielcy; doprowadzi nas to prędzej do celu.

Przede wszystkim przypomnijmy sobie, ile każdy z nas w ciągu kilku ostatnich lat zna, ze słyszenia bodajby, wypadków, w których spółdzielnia żywo rozwijająca się, budząca wielkie nadzieje, uzdrawiająca złe stosunki miejscowe, zawaliła się po prostu dlatego, że jej kierownik czy jej personel nie był dostatecznie uczciwy. Jeden nie znał, krótko mówiąc, różnicy między tym co moje a co twoje. Inny brał łapówki od dostawców. Jeszcze inny opuszczał się w obowiązkach, robił lekkomyślne zakupy, zbyt wiele pamiętał o swoich interesach, o swojej przyszłości, pozwalając iść na marne spółdzielni. Kończyła się taka historia nie tylko ciężkimi stratami dla spółdzielni, ale głębokim zniechęceniem ludności do samej idei spółdzielczej. Po kilku latach ciężkiej pracy wszystko waliło się

w gruzy i trzeba było robotę rozpoczynać od nowa, w warunkach o wiele gorszych niekiedy.

Myślę, że ludność cofająca się od wspólnej pracy miała trochę racji. Jeśli namową i przykładem ściągamy ją do spółdzielczości, nie czynimy tego przecież tylko dla kilkunastu czy kilkudziesięciu złotych zysku rocznego, ale dlatego, że przez spółdzielczość chcemy dokonać przebudowy świata. Chcemy go oczyścić z wyzysku słabszych przez mocniejszych; chcemy złu podciąć korzenie; chcemy, żeby słońce grzało mocniej i świeciło dla wszystkich. Ale jakże zetrzemy z życia współczesnego pleśń, jeśli sami brudni będziemy? Spółdzielczość, to nie jest tylko sumienna miara i lepszy gatunek towaru; to przede wszystkim jest ulepszenie człowieka, przycięcie mu pazurów i skierowanie jego energii ku szlachetniejszym celom niż zysk osobisty, zysk za wszelką cenę.

Dlatego moralność nasza musi być wyższa, a w początku walki, surowsza niż moralność każdego innego człowieka. Dlatego moralność spółdzielcy jest mi bliższą niż moralność bankierów i wszelkich odmian rycerzy przemysłu.

Nie łudźmy się zaś, że ze złem, którego jeszcze ciągle jest wiele, może dać sobie radę ostra ustawa, czujna policja, dbały sędzia śledczy. Sędziami musimy być my sami. Zło trzeba odtrącać od siebie. Można być dla niego miłosiernym, nie wolno być pobłażliwym. Wolałbym w tej walce o czystość — fanatyzm niż ospalstwo, bo jest ono najczęściej mostem, po którym przechodzi występek.

(„Spólnota" Nr 11 z 1928 r.)

ROLA SPÓŁDZIELCZOŚCI W BUDOWIE PAŃSTWA POLSKIEGO

Dziesięć lat budowania naszego Państwa pozwala nam już niewątpliwie wyciągnąć pewne wnioski ogólne. Dwa z nich rzucają się w oczy z jaskrawą oczywistością.

Jeżeli chodzi o budowanie państwa od góry, o zagadnienia konstytucji i praw zasadniczych, o najbardziej ogólnie ujętą formę ustroju państwa, wszystko tu jest płynne, zmienne i sporne. Dziś jest pod tym względem gorzej niż kilka lat temu, kiedy demokratyczna, parlamentarnie rządzona republika wydawała się bez mała wszystkim obywatelom jedynie możliwą i pożądaną formą ustroju dla Polski, kiedy nie mówiło

się jeszcze o faszyźmie, dyktaturze, autorytecie ludzi stojących ponad prawem i kiedy każde zdanie, każde słowo naszej Konstytucji nie było jeszcze atakowane z dochodzącą do nienawiści zaciekłością albo ogłaszane za pustą deklamację, pozbawioną treści i sensu. Stąd wniosek pierwszy: w budowie szczytów państwa zaszliśmy bardzo niedaleko; co gorsza, jeżeli chodzi o cały naród, zgubiliśmy swoją drogę. Odbiera to wielu ludziom wiarę w swe siły i skłania do poszukiwania cudownych lekarstw, które się wkrótce okazują szarlatanerią.

Pewnym pokrzepieniem może być tylko to życie, które się samorzutnie rozwija od dołu. Trudno było by wprawdzie twierdzić, że nasze stosunki społeczne i gospodarcze nie pozostawiają już nic do życzenia. Jeżeli obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej przyjrzymy się jako rzeszom spożywców, spostrzeżemy z łatwością, że olbrzymia ich część spożywa ilości niedostateczne i bynajmniej nie w najlepszym gatunku. Niewiele lepiej stoi sprawa z produkcją, zastarzałą w formach, anarchiczną w planie pracy, z niesłychanym rozproszkowaniem ziemi, z milionami godzin marnowanych w przymusowym bezrobociu. A jednak mimo wszystko życie tryska niepowstrzymaną falą, jak tryska bujna krynica spod przywalających ją głazów, zasklepiając rany zniszczenia wojennego, usuwając zawady, szukając nowych dróg. Niekiedy dzieje się to przy pomocy państwa, czasami bez żadnej pomocy, a jeszcze kiedy indziej wbrew najosobliwszym przeszkodom biurokratycznej formalistyki.

To nowe życie jednak jest życiem przeważnie dziko rosnącym. Prawa, które rządzą jego budzeniem się lub jego zamieraniem, są nam nieznane lub znane bardzo mało. Gdzieś, w głębokiej głuszy wiejskiej wykwita czasami niespodziewanie jakaś nowa forma życia, jak roślina, której nikt nie siał, którą się nikt nie opiekował. Kiedy indziej najuporczywsze wysiłki, agitacja najbardziej wytrwała nie może wykrzesać iskry. Najmniej oczywiście w tym kierunku uzdolnień ma państwo, którego przedstawiciel — urzędnik z głową wypchaną paragrafami ustaw, nie może najczęściej znaleźć języka wspólnego z twórcami samorodnego życia na szerokich nizinach społecznych. Stosunek z nim rozpoczyna się zwykle od nałożenia na nowe formy życia nowego podatku; jego opieka wyraża się z reguły w ulgach, jakie czyni od tych podatków.

Tu rozpoczyna się rola instytucji społecznych. A jeśli chodzi o stanowiące rdzeń życia narodowego zjawiska gospodarcze — rozpoczyna się rola spółdzielczości. Oczywiście mówię o spółdzielczości, która od świadomości najbardziej pierwotnej, od ulepszenia stanu gospodarstwa

swoich członków i zaoszczędzania im kilkudziesięciu złotych rocznie przechodzi do bardziej świadomej akcji przekształcania całego obecnego ustroju.

Wprawdzie nawet na najniższych szczeblach uświadomienia społecznego staje się niebawem spółdzielczość wybitnym składnikiem potęgi i zamożności państwa. Jeżeli chodzi o Polskę, już dzisiaj przyczynia się do podtrzymania jego bilansu handlowego... Wolno mniemać, że w bilansie tym chłopskie masło, jaja i szynki ważyć będą kiedyś więcej niż eksportowany przez baronów węglowych węgiel lub drzewo wycinane w obszarniczych lasach. Przy nieco pomyślniejszych warunkach drobne spółki pieniężne łatwo stać się mogą bankierem państwa, bardziej bezpiecznym i bardziej pewnym niż kapitalistyczne banki zagraniczne. Nie mówiąc już o tym, co jest punktem wyjścia dla spółdzielczości, że zasiadłszy się nieco lepiej w siodle, potrafi ona znacznie lepiej poskromić nazbyt wybujałe apetyty wszelkich handlarzy i spekulantów, niżby to mogły uczynić najsurowsze zakazy i regulaminy ministrów.

Ale było by mimo wszystko błędem przypuszczać, że te materialne zwycięstwa spółdzielczości wystarczą do ostatecznego powalenia kapitalizmu wraz z nieodzownym jego następstwem — wyzyskiem. Wręcz przeciwnie, sądzę, że kapitalizm wzięty mocno za gardło, nie tylko broniłby się rozpaczliwie, ale przechodziłby do ataku, ulepszając swoje metody pracy i skracając swój front na mniejszych odcinkach.

I nie umiałbym dowieść, że zwycięstwo w walce decydującej musi się okazać po stronie spółdzielczości, gdyby nie miała ona sprzymierzeńców w organizacjach politycznych i w związkach zawodowych. Nade wszystko zaś, gdyby samym swoim istnieniem i przenikającą aż do środka obozu wroga propagandą nie przekształcała dusz ludzkich, osłabiających odpór psychiczny swych nieprzyjaciół, ugruntowując jak kamienne słupy nowe pojęcia o nowym porządku rzeczy.

W tej właśnie powolnej, ale nieuchronnej zmianie nastrojów i poglądów społeczeństwa widzę jedną z najcenniejszych wartości ruchu spółdzielczego. Wszędzie, a zwłaszcza w Polsce, która tak mało czuje się jeszcze związkiem obywateli. Proszę wczuć się na chwilę w sposób myślenia tej nieszczęsnej drobiny ludzkiej, jaką jest pierwszy lepszy obywatel, ktoś z szarej masy, będący olbrzymią większością ludności Odrodzonej Polski. Stratowany przez wojnę, łupiony przez spekulację, poszturchiwany przez niezliczone zakazy i nakazy, których celu i potrzeby nie może zrozumieć, zawiedziony, jeśli nie wręcz oszukany w swoich

dość niekiedy naiwnych rachubach politycznych, czuje się w końcu ten nieszczęsny współwłaściciel republiki czymś opuszczonym, biednym i słabym w szalejącej dokoła walce sił, których nie umiałby nawet nazwać. Poi się goryczą, traci wiarę w siebie i w innych i odchodzi od Polski, nie rozumiejąc, że ona musi rodzić się w męce.

Dzień, w którym ten szarpiący się bezpłodnie człowiek stanie się członkiem bodajby małej, początkującej spółdzielni, będzie dla niego pierwszym dniem innego i lepszego życia, pod warunkiem, że wejdzie w nią z wiarą. Nie czuje się już tak opuszczonym. Jego organizacja jest jak gdyby małym wzniesieniem, z którego wzrok jego sięga dalej i dostrzega rzeczy, których istnienia nawet się nie domyślał. Uczy się w niej królewskiej sztuki rządzenia. I nade wszystko on, ów pływak zmęczony, zaczyna czuć grunt pod nogami. Zwycięstwa, które odnosi razem z innymi, są małe, ale dadzą się dostrzec i posuwają go naprzód. W pewnej chwili spostrzega, że takich jak on są miliony, że stanowią oni olbrzymią siłę, że są częścią państwa, której ani pominąć, ani skrzywdzić nie można. I powie, że lepiej Polskę budować z szarych polnych kamieni, aniżeli z tęczowych złudzeń, po których zostaje zawód, jeśli nie błoto.

Gotów jestem ten jego pogląd podzielić. Państwo nie jest tylko tą czy inną ilością kilometrów kwadratowych obszaru, armią broniącą granic, stertą zadrukowanego papieru, ustanawiającą obowiązujące wszystkich prawa. Państwo, to przede wszystkim wola do życia jego obywateli. Nie ślepa wola, wynikająca ze zwierzęcego strachu przed zagładą, ale wola dążąca świadomie do lepszego, szlachetniejszego i wolnego życia.

W tym rozumieniu uważam świadomą swoich celów spółdzielczość za jeden z najpewniejszych sposobów budowania naszego Państwa od dołu.

(„Spólnota" Nr 22-23 z 1928 r.)

DWA ŻYCIA

Pisaliśmy w zeszłym numerze o śmierci znanego na cały świat spółdzielcy, profesora Karola Gide'a (Żida). Przypadek, który lubi takie ponure żarty, sprawił, że w dniu jego pogrzebu rozstał się z życiem jeden z najgłośniejszych przedstawicieli świata kapitalistycznego, Szwed Iwar Kreuger. Śmierć zrównała ich obu, w jednej bez mała chwili prze-

szli posępne drzwi, przez które wychodzi się z życia, ci dwaj ludzie, których cała przeszłość była tak zasadniczo różna od siebie.

Gide od dawna już był nazywany apostołem spółdzielczości. Istotnie, jak prawdziwi niegdyś apostołowie, przez 60 lat z górą nauczał on, krzepił, gromadził dokoła siebie tłumy, ucząc je szukać drogi do lepszej przyszłości. Ze względu na swój rozum i swoją cichą ale niezmożoną energię mógł był osiągnąć najwyższe szczyty tego, co ludzie nazywają powodzeniem i — wzgardził tym. Szedł z tłumem małych i biednych ludzi, nie szukając ani znaczenia, ani bogactwa. Ale przez całe swoje długie życie wierzył gorąco w prawdę tego, co mówił. Jak każdy, mógł się niekiedy mylić, ale nawet te pomyłki były świadectwem jego dobrej woli i jego kochającego ludzkość serca. Prowadził do jaśniejszego jutra i sam był człowiekiem jutra, bardziej świetlanego niż te złe dni, które dziś przeżywamy. Zakazał przed swoją pogodną śmiercią mów, kwiatów i zbiegowiska na swoim pogrzebie. Ale wspomnienia o nim, ogłaszane dziś w pismach całego świata, świeże są i wonne jak kwiaty.

Kreuger nie był apostołem, wolał być „królem" nowoczesnego przemysłu. Nie tym dość śmiesznym królem w koronie na głowie i z berłem złoconym w ręku, który błyszczy na wielkich uroczystościach i który poza tym niewiele ma do gadania, ale prawdziwym władcą, przed którym nawet wielcy tego świata gną się, dając mu miejsce. Olbrzymi, niewiarogodny po prostu majątek zdobył własnym wysiłkiem w ciągu zaledwie kilku lat. Nie był podobno człowiekiem złym, „rekinem", który pożera ludzi. Chciał tylko być coraz potężniejszym, pożądał bogactwa nie dla samych już pieniędzy, ale dla władzy, którą by mu dawały. Po prostu opętało go szaleństwo złota, które tylu już ludziom zatruło serce i krew. Aż pewnego dnia załamał się, jak siłacz, który dźwignął zbyt wielki ciężar. Groziło mu, iż będzie musiał poddać się nadzorowi innych ludzi, nad którymi dotychczas bezwzględnie panował, iż będzie się musiał cofnąć — on, który tak zwycięsko szedł dotychczas naprzód. Nie chciał się poddać, nad ustępstwa przełożył śmierć.

Takie było życie i taki koniec dwóch tak różnych od siebie ludzi, z których jeden szukał zawsze prawdy, a drugi potęgi. Jeden nade wszystko ukochał sprawiedliwość, kiedy drugi nie wierzył w nikogo prócz siebie. Te dwa życia mówią do nas jaśniej i zrozumialej, niżby mówiły setki odezw i ksiąg, które byśmy Wam mogli napisać o sztuce dobrego współżycia między ludźmi.

(„Spólnota" Nr 6 z 1932 r.)

SZCZĘŚCIE W BIEDZIE

Napisał ktoś w tych dniach w jednej z gazet warszawskich, że czas już skończyć ze zbytkiem, z przejadaniem się, z lekkim i szerokim życiem, trzeba natomiast, żeby Polska zaczęła szukać swojego szczęścia w biedzie. Bardzo to pięknie jest powiedziane, ale, jak myślę, po takim kazaniu jeszcze bardziej gorzko w gębie może się zrobić tym wszystkim, którzy już niczego nie mogą się wyrzec, bo od dawna już nic nie mają. Trudno powstrzymać się od obżarstwa tym, którzy, utrzymując się z jałmużny, żyją obierzynami z kartofli, póki w ogóle żyją. A takich jest setki tysięcy, z rodzinami jest ich zapewne miliony.

A inni? Ci, którzy jeszcze coś zarabiają? Oczywiście, nie będziemy ich w spółdzielczym piśmie namawiać do zbytków. Nasz ruch jest ruchem biednych na ogół ludzi, poza tym zaś jest ruchem, dążącym do sprawiedliwości. Skoro chcemy, żeby nikt nie marł głodem, musimy starać się, żeby jedzenia starczyło dla wszystkich. My, spółdzielcy, właśnie walczymy z takim wariackim porządkiem rzeczy na świecie, przy którym ludzie głodują dlatego, że jest za dużo żywności i że dla podtrzymania wyzysku przez wysokie ceny trzeba ją topić i palić. Nie będziemy także nikogo namawiali, żeby sobie pozwalał na to, na co go nie stać, na kupowanie sobie rzeczy, które mu nie są, prawdę mówiąc, potrzebne, dlatego tylko, że takie rzeczy posiadają inni, bogatsi. To zajęcie popychania ludzi do głupich zbytków pozostawiamy fabrykantom i kupcom, którzy przez swoich pośredników, ajentów, reklamę, kłamliwe, nieraz oszukańcze ogłoszenia wciągają miliony ludzi do zbytków.

Tylko czy naprawdę w Polsce wszyscy już mają to, co potrzeba do skromnego i uczciwego dostatku? Kto porówna spożycie przeciętnego Polaka ze spożyciem przeciętnego Anglika, Francuza, nawet Niemca, ten musi się zastanowić poważnie. Cukru, którym zaopatrujemy innych, albo raczej ich trzodę, zjadamy na rok na głowę 11,2 kilo, kiedy Anglik zjada go 44,8 kg, a Duńczyk — 50,6 kg. Kawy Polak wypija rocznie 30 deka, Duńczyk — 7,4 kg. Herbaty Polak — 7 deka, Anglik — 4,4 kg. Bawełny zużywamy na głowę 2,2 kg, Anglicy — 14,1 kg. I tak wszystko. A przecież i tam jest przesilenie, są bezrobotni, jest mnóstwo nędzy.

Owszem, szukajmy sposobu, żeby szczęśliwie żyć w biedzie. Ale najprzód szukajmy innego — żeby ją zmniejszyć.

(„Spólnota" Nr 11 z 1932 r.)

NA ŚWIĘTA

Nadchodzą święta. Przypuszczam, że mniej w ciągu nich będzie w tym roku pijaństwa i obżarstwa, bo po pierwsze nie bardzo jest za co, a po wtóre przez przyzwoite gardła spółdzielcze nie bardzo by chyba szły te smakołyki, kiedy tyle setek tysięcy naszych współobywateli dosłownie mrze z głodu. Będzie za to parę dni odpoczynku od zwykłych zajęć i od codziennych kłopotów. Gorąco życzymy wszystkim naszym czytelnikom, żeby ten odpoczynek był prawdziwym, istotnym wytchnieniem dla ich ciała i duszy.

Dużo jest dziś złego na świecie. Co gorsza, nikt nie umie na to zło znaleźć lekarstwa. A jeżeli nawet lekarstwo się znajdzie, ludzie go nie chcą przyjmować. Ale najgorszym złem jest utrata wiary w siebie i w swoją zdolność do walki z tym złem. Kto nie wierzy już w nic, nawet w siebie, ten nie będzie walczył, oczekując zguby w milczeniu i pokorze. A kto oczekuje tylko zguby, ten ginie.

Zapewne — teraz jest noc. Czarna, słotna i groźna noc. Ale przecież po nocy musi znowu przyjść dzień. Nie ma zła, które by trwało wiecznie. W dziejach ludzkości były już nieraz okresy bardziej jeszcze straszliwe niż kryzys dzisiejszy. Nieraz już się zdawało, że wszystko co żyje musi zmarnieć, zniszczeć, stoczyć się w jakąś przepaść bezdenną. I zawsze wcześniej czy później przychodziła, przyjść musiała poprawa.

My, spółdzielcy, jesteśmy w położeniu o tyle lepszym od innych ludzi, że znamy drogę do takiej poprawy wiodącą. Tą drogą jest pomoc wzajemna. Nie szukanie ratunku dla siebie, ale szukanie go dla wszystkich. Odwieczna, wypróbowana droga dla ludzi, dla zwierząt nawet, które w razie niebezpieczeństwa zbijają się w gromadę. Nie schodźmy z tej drogi.

Ale mało siedzieć przy drodze; to dobre dla żebraka. Człowiek dzielny idzie drogą do swojego celu. Mało jest założyć spółdzielnię, trzeba ją rozwijać, wzmacniać co rok, co dzień. Przecież nawet w tych strasznych czasach obecnych są i gdzie indziej i w Polsce spółdzielnie, które rosną; w Londynie największa w świecie spółdzielnia co kwartał urządza tydzień jednania członków i zawsze ich przybywa kilka czy kilkanaście tysięcy. W wielu krajach członkowie dobrowolnie wkładają do spółdzielni swoje oszczędności, dając jej tym siłę i trwałość. U nas inaczej i gorzej. A gorzej dlatego, że ludzie nie wierzą w swój wysiłek, albo też grzęzną w sobkostwie.

Jeżeli te dni świąteczne byłyby nawrotem ku dobremu, skurczyłyby noc i przybliżyły świt. A wspomnienie takich świąt zostałoby na zawsze jasnym, radosnym wspomnieniem.

(„Spólnota" Nr 12 z 1932 r.)

INNI LUDZIE

„Inni to musieli być ludzie w Rochdale (Roczdel) niż gdzie indziej", tak zaczyna swoją piękną historię pionierów spółdzielczości Holyoake (Holioak). Niewątpliwie byli inni. Gdyby wszyscy to chcieli rozumieć i pamiętać, inaczej by dziś na pewno było na świecie. Otóż dlaczego inni?

Nie byli bogatsi od innych. Kiedy młodej spółdzielczości trzeba było dopomóc pożyczką, najbogatszy z nich zdobył się na 5 funtów (160 złotych) — nazwano go milionerem.

Nie byli wykształceni. Dziwiono się, że potrafią sami sporządzać protokóły swoich posiedzeń i prowadzić swoje rachunki.

Nie zajmowali żadnych stanowisk wybitnych. Poza spółdzielczością jeden z nich zaledwie dobił się stanowiska radnego miejskiego.

Nie zaczynali w dobry czas. Założyli swoją spółdzielnię po przegranym strajku i wśród takiej nędzy, że w trzydziestotysięcznym mieście około półczwarta tysiąca ludzi zarabiało mniej niż 3 zł 20 gr tygodniowo.

Nikt im nie pomagał. Nikt się nimi nie opiekował. Chwilę otwarcia ich kramiku powitał szyderczy wybuch śmiechu z „szalonych tkaczy". Później dopiero przyjeżdżali do nich z podziwem i uznaniem profesorowie, posłowie, książęta, później, kiedy już stanęli mocno na nogach.

Czymże więc byli „inni"? Tym, że wierzyli w jakiś ideał i tym powtóre, iż sobie zadali nadludzki bez mała trud, żeby ten ideał uczynić rzeczą żywą, namacalną, dla każdego dostępną. Po 10 czy 12-godzinnej pracy poświęcali swój czas i swoje siły, żeby wśród śmiechu i drwin, przeszkód i nienawiści budować lepszy świat. Słusznie ich Holyoake nazywa „sumieniem robotniczym".

Mieli odwagę i mieli wytrwałość, której nic nie mogło ugiąć ni złamać. Robili błędy, z których zawsze umieli wyciągnąć naukę. Szli naprzód jak woda, która musi znaleźć sobie ujście. Mieli w sobie spokojną, nieprzemożoną siłę. Co większa, mieli w sobie do końca — w nędzy i potem w bogactwie — poczucie obowiązku. Nigdy ani cienia samo-

lubstwa. Wszystko, co robili, robili dla wszystkich, żeby ich wyrwać z niewoli nędzy, z pohańbienia ciemnoty.

Byli inni, i my dziś inni jesteśmy. Jakkolwiek dziś jest źle, nie powie nikt, że oni pracowali, walczyli i zwyciężali w lepszych warunkach. Różnica jest ta tylko, że oni byli „sprawiedliwymi", którzy szukali dobra, a dziś ludzie, ogarnięci samolubstwem, zachowują się jak tchórze, walczący o wyjście z palącego się domu, choćby po trupach.

Gdybyśmy ich czcili nie tylko ustami, ale sercem i naśladownictwem, było by inaczej i lepiej.

(„Spólnota" Nr 14 z 1932 r.)

KSZTAŁCENIE DZIECI

Oczywiście, myślę o kształceniu spółdzielczym. Bo czy my, jako spółdzielcy, jesteśmy warci dużo czy mało, któregośkolwiek dnia zabraknie nas przecież: po prostu pójdziemy sobie tam, skąd nikt nigdy nie wraca. A spółdzielczość, dzieło nasze, nie tylko musi istniej dalej, ale rozwijać się i rosnąć tak, żebyśmy mogli nie tylko dogonić, ale prześcignąć inne narody. Nie potrzebuję zaś chyba rozwodzić się nad tym, że jej wartość zależy nie tylko od udziałów i nadwyżek, od zarządów i lokali, ale przede wszystkim od moralnej wartości członków. Tyle warta spółdzielnia, ile warci są jej członkowie. Jeżeli jednak tak jest, trzeba tych przyszłych członków dziś już kształcić, póki to młode i miękkie.

Przyuczamy dzieci do przyszłej pracy w spółdzielniach szkolnych. To dobre, ale to nie wystarcza. Trzeba je zacząć uczyć, jak tylko dziecko jest w stanie zrozumieć, co się do niego mówi. Nie znaczy to, żebyśmy je uczyli rachunkowości, albo tłumaczyli statut spółdzielni — to nie miało by sensu, to było by tak, jak gdybyśmy chcieli siłą rozwinąć pączek kwiatu. Ale rozwijajmy w nich te cechy charakteru, bez których nigdy nie będą mogły być szczerymi spółdzielcami.

Zwalczajmy w nich chciwość, żądzę posiadania więcej niż potrzeba. Tłumaczmy im od maleńkości, że szczęście polega nie na tym, żeby mieć jak najwięcej zabawek, łakoci, a później pieniędzy, tylko żeby się umieć cieszyć i korzystać z tego, co się ma. Zwłaszcza, kiedy inni nic zgoła nie mają. Malutki człowieczek, który się rozkoszuje ciastkiem, patrząc obojętnie na inne dziecko płaczące z głodu, nie będzie nigdy

spółdzielcą. Hasłem spółdzielczości jest bowiem nie tylko przezorność, ale sprawiedliwość.

Uczcie je dawać sobie we wszystkim radę samemu. Może kiedyś będzie bogatym i będzie rządził innymi. Ale niech nigdy nie będzie niedołęgą, któremu sługi nos muszą ucierać. Niech od małego zrozumie, że większym dla człowieka zaszczytem jest utrzymanie się z pracy własnych rąk albo własnej głowy niż z cudzej pracy. Spółdzielczość nie odbiera nikomu własności, ale nie dba o to, żeby jej ktoś miał w nadmiarze.

Niech się od najmniejszego uczy żyć w gromadzie. Niech się bawi z innymi dziećmi, niech od najmłodszych lat z nimi razem pracuje. Razem uporządkować mieszkanie albo ogródek, razem się uczyć, pomagając mniej zdolnym, razem robić dla siebie zabawki — to dla dzieci wielkie prace, w których się równocześnie będą uczyły, że wysiłki 5 ludzi dadzą więcej niż 5 wysiłków ludzi idących samopas.

Nigdy, w żadnych okolicznościach nie dopuszczajcie, żeby dziecko używało przemocy wobec słabszych. Siły wolno użyć tylko we własnej obronie. Kto za młodu choćby w zabawie rozbija i napada, ten nie wiadomo czy wyrośnie na dobrego wojaka, ale łatwo może zostać tęgim bandytą, nigdy zaś na pewno nie będzie szczerym spółdzielcą.

To parę tylko przykładów, jak można zaprawiać dzieci do spółdzielczości. Zróbcie tylko to, a nie będziemy potrzebowali się troskać o przyszłość.

(„Spólnota“ Nr 15 z 1932 r.)

SZTUKA WSPÓLNEJ PRACY

Nie trudno jest spotkać w Polsce człowieka, który do życia publicznego wnosi bardzo wysokie zalety: rozum, uczciwość, żywe zainteresowanie dobrem ogółu. Nie stoimy pod tym względem bynajmniej gorzej od innych, może nawet często stoimy lepiej. Gorzej natomiast jest, kiedy się kilku takich mądrych i dobrych ludzi postawi do wspólnej pracy. Czasem się ma wrażenie, że się cztery doskonałe konie zaprzęgło do wozu — każdy z nich jest rzadkiej wartości, ale sprzęgnięte razem albo się gryzą, albo całą pracę zostawiają jednemu i wtedy wóz stoi w miejscu albo, co gorsza, idzie do rowu. A przecie w spółdzielczości,

która, jak sama nazwa wskazuje, jest wspólnym działaniem, idzie przede wszystkim o to, żeby ludzie się umieli dopasować do siebie.

To jest właśnie sekretem, dlaczego Polacy, którzy potrafią zadziwiać świat swoimi artystami, swoimi uczonymi, swoimi pisarzami, zebrani razem, mają jednak opinię narodu dość niedołężnego, który rzadko kiedy potrafi coś należycie zorganizować. Rzecz szczególna — wygnany przez nędzę za granicę robotnik polski uchodzi za jednego z najlepszych pracowników, inżynier polski dobija się bardzo wysokich stanowisk. A w domu tak to jakoś tym ludziom nie idzie, jak tym czterem niezgranym koniom; czasem się nawet chlubią, że łatwiej im połamać dyszel i porwać uprząż niż w całkiem zwyczajny sposób ciągnąć naprzód.

Jakiś w tym wszystkim jest błąd. Może przede wszystkim to, że w zwykłej, codziennej robocie nie tyle chodzi o genialność, co o zwykły rozsądek. Poza tym my, Polacy, mamy rzadko kiedy wielką ambicję, żeby coś robić lepiej niż wszystkie inne narody, ale za to mamy dużo próżności, żeby lepiej od innych wyglądać. Dużo w tym jest tej staroszlacheckiej chęci pokazania się, a przecież dzisiaj mamy budować Polskę ludową, opartą na chęci i umiejętności pracy.

Spółdzielczość jest ruchem o wielkich celach, ale jest codzienną pracą, jest żmudną i szarą. Każdy człowiek dobrej woli może jej dokonać, trzeba tylko poczucia własnego obowiązku. A pierwszym i najwyższym obowiązkiem jest, kiedy się wchodzi do ruchu — ciągnąć wóz tak jak inni i razem z innymi. Nie mędrkować, nie puszyć się, nie narzucać nikomu swojej woli, bo wielką i płodną jest tu tylko wola wspólna, wola do wspólnego wysiłku.

(„Spólnota" Nr 5 z 1933 r.)

BĄDŹ SPÓŁDZIELCĄ WSZĘDZIE I ZAWSZE

Przypuśćmy, że ktoś jest członkiem spółdzielni, wpłacił cały swój udział, załatwia w niej wszystkie swoje potrzeby, nie grymasi, nie wydziwia o byle głupstwo, pracuje w komitecie sklepowym lub kole oświatowym.

Czy to już wszystko? Czy w ten sposób spełnił on już cały swój obowiązek spółdzielczy?

Nie. Bo to wszystko świadczy tylko, że on jest dobrym i wiernym członkiem spółdzielni, a trzeba, żeby był twardym i przekonanym spół-

dzielcą nie tylko w swoim stowarzyszeniu, ale wszędzie, w całym swoim życiu codziennym.

Spółdzielnię zakłada się nie tylko dlatego, aby dostarczała członkom tanich i dobrych towarów, ale także po to, żeby walczyć w całym naszym życiu zbiorowym z wyzyskiem, z chciwością, z drapieżnymi popędami natury ludzkiej, żeby usuwać z życia krzywdę, żeby ludzie byli sobie miłującymi się braćmi, a nie szczerzącymi na siebie zęby wilkami. Nie można szukać w spółdzielni sprawiedliwości, a poza spółdzielnią tylko osobistego zysku — za wszelką cenę i z cudzą chociażby krzywdą. Nic to nie warte przyjść do spółdzielni szukać dla siebie obrony, a poza spółdzielnią kopać innym ludziom wilcze doły, żeby w nie wpadali, żebyśmy mogli ich dobro zagarnąć. Cóż by to było, gdybyśmy w spółdzielni szli do ludzi z sercem na ręku, a poza nią z kamieniem w dłoni?

Spółdzielnia powstaje nie tylko dla naszej wygody i korzyści, ale także i przede wszystkim z miłości do ludzi, do tych, z którymiśmy się już w niej stowarzyszyli, i do wszystkich, którzy jutro może będą naszymi towarzyszami. Nie znaczy to, żeby samemu być ciemięgą, który pozwala się krzywdzić, znaczy tylko, żeby innych nigdy i nigdzie nie krzywdzić.

Spółdzielnia to nie spółka handlowa, której członkowie marzą o jak największych majątkach. Prawdziwy spółdzielca wie, że jego celem nie jest zdobyć jak największy majątek, tylko posiadać tyle, aby móc żyć życiem czystym i wolnym. I wie także, że nie tylko on ma prawo tak żyć, ale wszyscy inni, którzy chcą oprzeć swój byt na uczciwej pracy. Ale jeżeli tak jest, poczucie braterstwa musi nam przyświecać nie tylko w spółdzielni, ale wszędzie i zawsze. Niechże raz już życie przestanie być walką wszystkich przeciwko wszystkim, w której rozstrzygają kły i pazury.

Nie bój się, człowieku, swojej nadmiernej dobroci, swojej niezłomnej uczciwości, swojego wstrętu do wszelkiego wyzysku. Nie myśl, iż jeśli takim będziesz, musisz być przez innych krzywdzony. Żeby tak nie było, stworzyłeś w spółdzielni swoją twierdzę, w której cię zło tak łatwo nie sięgnie. Ale jeśli poza tą twierdzą chcesz sam innym źle czynić, będziesz jak lichwiarz, oszust lub morderca, który raz na tydzień idzie do kościoła modlić się o siłę do nowych zbrodni.

(„Spólnota“ Nr 6 z 1933 r.)

KTO RZĄDZI ŚWIATEM

Jest rzeczą powszechnie znaną, że jeśli chodzi o rządy, ostatnie słowo w tej sprawie mają bogaci. Z ich to zdaniem liczą się przede wszystkim sejmy i ministrowie, oni bowiem dostarczają państwu pieniędzy, otwierają lub zamykają fabryki, posiadają ogromne wpływy w kraju i za granicą. Oni tworzą partie polityczne, opłacają ich funkcjonariuszy i agitatorów, skupiają w swoich rękach prasę, a przez nią wpływają na opinię publiczną. Aż nadto często kupują sumienia ludzkie albo przynajmniej zmuszają ludzi do milczenia postrachem utraty chleba. Wywołują czasem, jeśli im to dla ich interesów potrzebne, rewolucje i wojny, które potem wyzyskują dla swojej korzyści. Co najważniejsza, wyznaczają płace za robotę i ceny wszystkich towarów, wywołują drożyznę i nędzę, bogacą się sami nadmiernie.

I dlatego nawet ludzie, którzy od nich nie zależą bezpośrednio i niczego od nich nie potrzebują, kłaniają im się nisko, składając hołd potędze.

Gdyby wszyscy ludzie tak robili, świat byłby całkiem w rękach kilku czy kilkunastu największych bogaczy, którzy narzucaliby swoją wolę zarówno biednym pracownikom, jak pomniejszym bogaczom. Twarde byłyby to rządy.

Ale jest na szczęście pewna odmiana ludzi, którzy nie chcą być poddanymi bogaczy. To są ci, którzy nie dbają o bogactwo, nie widzą szczęścia w posiadaniu największej ilości pieniędzy, nie sprzedają swoich przekonań. Chcą żyć czysto, choćby niekoniecznie wygodnie. Nie dadzą się przekupić ani zastraszyć. Cierpią, kiedy trzeba cierpieć, giną, jeśli się nie da zwyciężyć. Ileż razy w dziejach świata widziano takich wyznawców prawdy, jak ginęli na stosach, na szubienicach, na dalekim wygnaniu! Nie oszczędzano im żadnej krzywdy, żadnego cierpienia, żadnej zniewagi, nic bowiem łatwiejszego, mając pieniądze, jak znaleźć przedajnych łotrów, którzy tamtych czystych ochlapią błotem.

Ale prawda nie da się ani złamać, ani największą nawet górą przysypać. Ludzie często giną, ale idee zwyciężają. Tak zwyciężyło urągając wszystkim ówczesnym potęgom chrześcijaństwo, tak zwycięża spółdzielczość, której pierwsze początki powitano ze strony możnych i uczonych tego świata z lekceważeniem i niewiarą.

Nie każdy rodzi się bohaterem, nie każdy chce ginąć. Ale nieraz nie chodzi nawet o bohaterstwo, wystarczy po prostu, żeby ludzie nie płaszczyli się przed bogactwem, które rządzi, nie marzyli o nim, nie brzydzili się swoim ubóstwem.

Oczywiście, do ubóstwa nie potrzeba nikogo namawiać — dość go się rodzi bez żadnej namowy. Szczególniej dzisiaj, w okresie szalejącego bezrobocia było by krwawym szyderstwem zalecać ludziom ubóstwo. Wystarczy, jeżeli ludzie ubodzy nie będą niepotrzebnie schylali karku przed bogactwem; są najczęściej lepsi od bogaczy, bo nie brudzili sobie rąk zbieraniem majątku nie zawsze godziwymi środkami. Mają takie samo prawo do głosu i do rządów. Jeżeli bronią ideałów sprawiedliwości i dobrobytu powszechnego, mają większe od tamtych prawa. Niegodnym było by z ich strony marzyć o tym, aby chyłkiem przebiec na tamtą stronę, opuszczając swoich towarzyszy, łącząc się dla poziomego użycia z tymi, którzy dziś rządzą.

(„Spólnota" Nr 10 z 1933 r.)

CZYM WALCZYĆ?

Zacznijmy od pytań: Czy walczyć i z czym walczyć? Choć pierwsze wydaje się bezsporne, a drugie aż nadto jasne.

Czy walczyć? A cóż byśmy powiedzieli o człowieku, który tonie i nie chce dopłynąć do brzegu, który choruje i nie chce przezwyciężyć choroby, albo który nie chce odegnać psa szarpiącego mu ubranie. Kto nie chce się bronić, ten wart jest może litości, ale nie jest godzien szacunku. Kto się dobrowolnie poddaje złu, a nie jest dzieckiem, kaleką lub starcem, ten tyleż wart, co ziemia, którą depcą twarde buty przechodnia.

Całe życie biednego człowieka jest narzuconą mu walką. Walką o nędzną strawę, której mu często brakuje dla dzieci, o podobne do nory mieszkanie, w którym musi gnieździć się we dwie lub trzy rodziny, o pracę, którą może lada chwila utracić, o starość, która jest bez radości i odpoczynku. A jeśli nawet uda nam się podejść nieco pod górę, śliska to jest i zdradna góra, z której jakże łatwo stoczyć się bez swojej winy znowu w przepaść nędzy.

Do tej walki dajemy Wam od szeregu lat oręż wypróbowanej wartości. Orężem tym jest spółdzielczość; ale zarazem nie przestajemy powtarzać, że nie jest to cudowna maszynka, w której wystarczy pokręcić korbą, aby z drugiej strony sypały się dobrobyt i przyjemości, nie jest to spadek po bogatym wujaszku, ani wygrana na loterii, tylko narzędzie, którym trzeba umieć się posługiwać, jeśli się chce mieć z niego pożytek.

Są dwa rodzaje ludzi, nad którymi trzeba ciągle kiwać z litością głowami. Jedni to ci, których nie można przekonać do spółdzielczości, którzy mają do niej mnóstwo pretensji, nie mogą jej zrozumieć. Inni raczyli się dać przekonać, ale wstąpiwszy do spółdzielni, nie chcą w niej spełniać swych obowiązków członkowskich. Ze wszystkich czynności spółdzielni najlepiej im się podobają zwroty od zakupów, ale skąd by się na to miały wziąć pieniądze, o to ich głowa nie boli. Niech „oni" pomyślą o tym. „Oni", to znaczy w tym wypadku zarząd, który ma dbać o wszystko, sklepowi, którzy za niewielkie pieniądze mają pracować bez przerwy i bez omyłki, Związek, który ma wszystko wiedzieć i od wszelkiego zła bronić. Członek, dość jeśli mu się chce przyjść na walne zgromadzenie i trochę pogrymasić, o ile się nie zdrzemnie.

A przecież spółdzielczość, jak samo brzmienie słowa uczy, to jest współdziałanie, czy inaczej powiedzmy, wspólne działanie. Członek, który nie współdziała, jest martwym członkiem, choćby wpłacił cały udział. A niestety, z tą wpłatą udziału najczęściej także jest źle. Cóż z tego, że takiemu członkowi dano oręż do ręki, kiedy on go sobie kładzie pod nogi.

Oczywiście, współdziałanie nie polega na tym, żeby wszyscy członkowie siedzieli bez przerwy w sklepie, wtrącając się we wszystkie czynności zarządu i sklepowej. To nie byłaby spółdzielnia, lecz szynk. Ale współdziałać, ale walczyć naprawdę ze swoją nędzą i upadkiem, to być wiernym wspólnemu dziełu, to nie dać się brać, jak ryba na hak, namowom handlarzy dla jednego grosza, to zjednywać dla spółdzielni członków i starać się szerzyć jej idee, to naprawdę włożyć w tę wspólną sprawę całą swoją duszę, energię i przywiązanie.

Zło, które nas gnębi, to nie są rzeczy przejściowe, które można przeczekać, to zły ustrój, oparty na krzywdzie. Nie usuniecie go pieniędzmi, bo on ich ma nieskończenie więcej, nie złamiecie go siłą, bo na razie za nim jest siła i prawo. Walczyć i zwyciężać możecie

tylko odwagą, z jaką się złu przeciwstawicie, i wiernością sprawie, która jest sprawą wszystkich pokrzywdzonych.

Tym trzeba walczyć.

(„Spólnota" Nr 17 z 1935 r.)

NIGDY DOSYĆ

Dla uczczenia 25 lat istnienia naszego Związku odbędzie się szczególnie uroczysty zjazd. Puszczony w obieg zostanie szereg wydawnictw, a niewątpliwie i liczne zgromadzenia lokalne wezmą udział w tym święcie spółdzielczym. Kierownikom ruchu zostanie złożony szereg życzeń jego dalszego rozwoju, zapewne także wyrazy szczerego podziwu dla dzieła, które zostało dokonane.

Istotnie, dzieło jest wagą swą i znaczeniem niemałe. Hurtownia nasza jest trzecim z rzędu co do wielkości przedsiębiorstwem gospodarczym w Polsce, a pierwszym, jeżeli chodzi o przedsiębiorstwa handlowe. Co większa, przedsiębiorstwo to podległo wprawdzie na równi ze wszystkimi innymi niszczącym działaniom kryzysu, ale przezwyciężyło je jedno z pierwszych i pewnym krokiem idzie dziś naprzód ku dalszemu rozwojowi.

Granice tego rozwoju są niemal bez kresu. Właśnie dlatego, że ruch spożywców w Polsce, jakkolwiek silny i zdrowy, jest jeszcze nikły w porównaniu z ruchami zagranicznymi, że ogarnął dotychczas zaledwie drobną część narodu — około 5% ludności polskiej z pochodzenia — możliwości jego są olbrzymie. Byle tylko nie ustać w pracy, nie usiąść w spokoju, byle iść ciągle z najwyższym napięciem woli do przyciągnięcia do siebie tłumów, które są nasze z interesów i z konieczności życiowych, choć nie przyszły jeszcze do nas z braku uświadomienia.

W twardej walce życiowej najmniej znaczy przypadek, który tak jak loteria, może przynieść szczęście, pozory szczęścia — co najwyżej rzadkim wybranym. Kiedy się idzie do tłumu, trzeba do niego mówić nie w interesie kilku wybranych, ale w interesie ogółu. Poza tym trzeba pociągać do siebie ten tłum słowami zrozumiałymi dla niego i przekonywującymi. Przekonać na trwałe mogą nie błyszczące słowa, ale fakty. Nigdzie nie znajdziemy więcej tych przekonywujących faktów niż w historii naszych organizacji, byle tylko szukać ich z otwartymi oczami, nie

zamykając ich nawet wtedy, kiedy się widzi coś niemiłego. Bo prawda nie jest ani różowa, ani słodka, jak cukierek; często jest zdrowa właśnie dlatego, że gorzka.

Otóż w historii naszego Związku, a zwłaszcza w dziejach o 42 lata starszego od niego ruchu spożywców polskich, znajdziemy sporo rzeczy nieudanych, niewłaściwych, szkodliwych. Można dziś o nich mówić z całkowitym spokojem, jako o rzeczach przezwyciężonych, można z nich właśnie wyciągać zdrową i skuteczną naukę. Naukę, jak trzeba robić spółdzielczość w tak ciężkich warunkach, jak nasze warunki sprzed lat kilkudziesięciu, a częściowo jeszcze nawet i dzisiaj.

Pomińmy już rzecz powszechnie znaną, iż ciężkość tych warunków wynikała z niewoli. Ludzie nawet nie starzy pamiętają aż nadto dobrze czasy, w których Polak, „poddany" wielkiego państwa zaborczego, miał prawo tylko płacić podatki, milczeć i rezygnować z wszelkiej działalności politycznej. To była trudność wielka, ale nie największa.

Gorszy był brak ludzi do obsługi ruchu. Spółdzielczość nie jest przecież automatem, do którego z jednej strony wrzuca się udziały, żeby z drugiej odbierać dywidendy. Spółdzielczość, to skrystalizowana wola ludzka, oparta na umiejętności. Woli po krwawych klęskach powstań było na razie niewiele, umiejętności nic zgoła. Skądże by mogła się wziąć? Ruch spółdzielczy jest przecie wszędzie i zawsze wyrazem potrzeb gospodarczych świata pracy, ciemiężonego przez świat kapitału. Ale cóż było mówić o potrzebach gospodarczych, kiedy naród polski wyzbył się niemal doszczętnie instynktu gospodarczego, zrozumienia najprostszych zjawisk życia, które go otaczało, od których zależał jego dobrobyt czy nędza. Nie mówiąc już o wartościach ludowych, nawet inteligenci, błyskający nieraz świetnym wykształceniem w innych dziedzinach, słabo rozumieli, co to jest handel, czym jest cena i zysk, jakie są warunki powstawania bogactw, a tym bardziej, jaki być powinien ich sprawiedliwy podział. O rzeczach takich, jak rachunkowość, jak znajomość obowiązujących w handlu przepisów, jak znajomość towarów i zwłaszcza znajomość ich fałszowania, wiedziały zaledwie jednostki, ale te jednostki nie poświęcały się spółdzielczości.

Cóż dziwnego, że skutki tych dobrych chęci były dość opłakane. Nie ma chyba innego porównania dla powstających w XIX-ym jeszcze stuleciu spółdzielni, jak fajerwerk, który wznosi się w górę z szumem, oślepia blaskiem i niebawem zostawia po sobie swąd. Trudności zakładania spółdzielni były znaczne, dlatego założono ich do 1902 roku w Kon-

gresówce tylko 42; ale żywych w tym właśnie roku zostało tylko 5. Wynika stąd, że łatwość upadania była znacznie większa niż trudność powstawania. I wszędzie prawie te same przyczyny: licha gospodarka, ospalstwo i nieumiejętność zarządów, niemożność dotarcia do szerokich mas. Można by to nazwać jednym słowem: niezdolność zbiorowego działania.

Na te dość opłakane stosunki przyszła działalność Pionierów, później stworzonych przez nich Związku i Hurtowni. Byli przede wszystkim nauczycielami. Nie ustawali nie tylko w propagandzie, niosącej dobrą nowinę, ale w uczeniu pierwszych kroków, unikaniu błędów, zdobywaniu się na wysiłek, tam, gdzie on był konieczny. Świecili sami nieposzlakowanym przykładem, nie szczędząc zdrowia i sił, pisząc, jeżdżąc, ucząc, dla wypoczynku dźwigając towary. Każdy ich pomysł był głęboko przemyślany, przygotowany w ciągu długich nieraz miesięcy. Mimo wszystko robili błędy — bezbłędnym jest tylko nieróbstwo. Z każdego jednak błędu, z każdego upadku podnosili się mocniejsi niż przedtem. Ich wiara bowiem, ich poczucie obowiązku były niewyczerpane. Nie byli geniuszami, nie wynaleźli spółdzielczości, stosowali ją tylko u nas, idąc za obcym wzorem. Ale stosując dopasowali ją, jak lepiej nie było można do naszego polskiego gruntu, wydobyli z niego tyle, ile się na razie dało wydobyć.

To też stworzyli dzieło, które dziś już żyje własnym życiem. Nie trzeba sobie wyobrażać, że praca już jest skończona. Przebyty został zaledwie pierwszy etap. Stworzone zostały metody pracy, wykazana została ich wartość, przezwyciężony został przez spółdzielczość nie tylko kryzys, przełamane zostało polskie chodzenie samopas, polska niechęć do twardego, codziennego wysiłku. Ale droga przed nami jeszcze daleka. Wysiłek musi być wzmożony, musi trwać, póki nie przestaniemy w sposób zawstydzający dla naszej dumy narodowej być jednym z mniejszych odłamów spółdzielczości światowej. Jeżeli możliwości naszego rozwoju są nieograniczone, równie wielkim musi być obowiązek działania. A skoro warunkiem dalszego powodzenia naszego ruchu ma być najwyższy wysiłek pracy, pasja tworzenia zdrowych podwalin Polski, męstwo w walce o sprawiedliwość społeczną, hasłem dni następujących po świcie musi być dla nas —

Nigdy dosyć.

(„Spólnota" Nr 12 z 1936 r.)

SPÓŁDZIELCZOŚĆ DZIECIOM

Ciężko nam jest wszystkim w Polsce. Trochę dlatego, że wszystkim dziś na świecie jest ciężej niż dawniej bywało, a więcej jeszcze z powodu, że nie umiemy znaleźć swojej drogi do stanu, w którym by ludzie nie głodowali, nie marzli i nie musieli się wyrzekać najbardziej nawet godziwej rozrywki.

Ale najciężej jest dzieciom. Dziecko ma swoje przyrodzone prawo do szczęścia. Dziecko powinno nie tylko być syte i dobrze odziane, ale musi też mieć na każdym kroku sposobność do radości i zabawy; musi być otoczone miłością tych, którzy je wychowują, i nawet wszystkich, których na swej drodze spotyka. Jedyny to okres życia ludzkiego, w którym się temu małemu człowiekowi daje wszystko darmo — chleb zarówno jak uśmiech — niczego od niego w zamian nie wymagając. Kochamy dzieci, bo przez to sami stajemy się lepsi, odchodząc na chwilę od naszych trosk, kłótni i wytężonej walki o byt. Kto krzywdzi dzieci, ten jest złym człowiekiem, choćby sute dary składał na dobroczynność.

O dzieci muszą dbać nie tylko rodzice — cały naród musi dbać o nie, jeśli chce się nazywać narodem kulturalnym. Główną cechą kultury jest myślenie o przyszłości; tym różnimy się od prawie wszystkich zwierząt i od ludów pierwotnych. Jakżeż to dbać będziemy o przyszłość narodu, jeśli nie dbamy o dzieci?

Otóż los polskich dzieci jest po prostu straszny. Kto ciekaw, niech czyta 22-gi numer „Społem", w którym się znajduje jakże żałosna opowieść o tym niezawinionym męczeństwie. Olbrzymia ilość dzieci nie dojada od urodzenia, bo i matka nie ma pokarmu — albo spożywa strawę, od której puchnie im brzuszek, próchnieją zęby, kość staje się łamliwa i pokręcona. Odziane są w łachmany nie dające ciepła, nie pozwalające zachować czystości. Z wycieńczenia tępieją, na lekcjach w szkole śpią, nie są nawet w stanie tej szkoły ukończyć. Nie mają jeszcze siły przeklinać życia, którego nie rozumieją, tak jak nie wiedzą, za co zmuszone są cierpieć. To są wszystko rzeczy spędzające sen z powiek, niszczące wszelką radość życia tym, którym jeszcze serce nie skamieniało. Można oczywiście powiedzieć, że tak cierpią tylko dzieci biedaków, ale z tych biedaków składa się dziś w ogromnej większości Polska.

Z tym złem muszą walczyć wszyscy, co nie spadli jeszcze na dno nędzy. W tym szeregu walczących nie powinno, jak myślę, zabraknąć

spółdzielczości. Jesteśmy przecie ruchem, który urodził się z nędzy, który powstał do walki o lepszy byt. Czy tylko swój byt? Nie myślę, skoro najpierwszą cechą spółdzielczości jest miłość człowieka. Oczywiście, spółdzielnia nie jest towarzystwem filantropijnym do rozdzielania jałmużny, ale tu chodzi nie o jałmużnę, tylko o wielką potrzebę narodową, a kiedyż to bóle i potrzeby narodu były obce naszemu ruchowi?

Można by zresztą zacząć od roztaczania jakiej takiej opieki nad dziećmi członków, przyciągało by ich to może do nas więcej, było by bardziej wymowną propagandą niż nawet niewielkie zwykle zwroty od zakupów. Wiązało by to ich w mocno zwartą, prawdziwie braterską gromadę, w której silniejszy podawałby rękę słabszemu, ratując go od ostatecznego upadku.

Nie myślę o rzeczy tak nierealnej, jak żeby spółdzielczość sama własnymi siłami wytępiła już tej zimy nędzę w Polsce — na to jest ona jeszcze zbyt słaba. Ale dobrze prowadzone, zamożniejsze spółdzielnie mogłyby już teraz zacząć od rzeczy skromniejszych, a całkowicie dla nich dostępnych. Dożywianie dzieci, zaopatrywanie ich w ciepłą odzież i bieliznę, która w wielu rodzinach jest zbytkiem nieznanym bez mała, urządzanie świetlic, w których by dziecko mogło się uczyć, przygotowując lekcje do szkoły, a bodajby posiedzieć i pobawić się w ciepłej fizycznie i moralnie atmosferze. Sposobów jest mnóstwo, niektóre już nawet wprowadzone w życie, jak owe wspaniałe kolonie Powszechnej Spółdzielni w Łodzi. Trzeba szukać dostępnych dla siebie sposobów, trzeba też szukać na nie środków wszędzie, choćby nawet i poza spółdzielnią.

Byle by tylko nie trwać przyglądając się suchym okiem, jak ginie duma i przyszłość narodu.

(„Spólnota“ Nr 24 z 1936 r.)

PLAGA CIEMNOTY

Z trudem i pomału rozwija się Polska, zacierając haniebne ślady niewoli. Wprawdzie na wielu jeszcze polach w międzynarodowym wyścigu pracy przychodzimy do mety ostatni albo jedni z ostatnich, ale przecie choć powoli, posuwamy się naprzód. Chodzi tylko o szybkość poprawy, bo nikt na nas czekać nie będzie, a najmniej nędza, która zżera nam mięśnie i mózgi.

Na triumf i przechwałki jest jeszcze dużo za wcześnie. Ale też nigdy nie ma tak złego położenia, w którym wolno było by poprzestać na rozpaczy i zniechęceniu. Bez przerwy i bez końca trzeba starać się zrozumieć, dlaczego innym udaje się to, co nam się nie udało. Bez zbytniego wstydu trzeba przyznać się do błędu i szukać u innych tego sekretu, tej sztuki, które ich do dobrego końca doprowadzają. I trzeba przede wszystkim w sobie samych szukać przyczyny zła.

Jedną z takich głównych przyczyn, rzeczą, która rumieńcem wstydu zalewa nam twarz, jest ciągle jeszcze nękająca nas plaga ciemnoty. Ludzie, którzy uważają, że o swoim kraju wolno mówić tylko z najwyższą pochwałą, żachną się na to słowo. Sądzę jednak, że o swoim kraju, zwłaszcza o swoim kraju, wolno mówić tylko prawdę, choćby ona była surowa i gorzka. Kto nam powie, że przecież Polska już kilkaset lat temu wydawała znakomitych uczonych, że wydaje ich po dziś dzień, zarówno jak świetnych pisarzy, wielkich artystów, niesłychanie uzdolnionych inżynierów, chemików i specjalistów w różnych działach wiedzy, temu powiemy, że wszystko to dotyczy cieniutkiej warstwy górnej, na dole zaś, w warstwach ludowych, panują stosunki nie spotykane już dzisiaj w Europie. Mamy kilkadziesiąt tysięcy słuchaczy szkół wyższych — i dobrze, że ich mamy, bo ilość inteligencji jest w Polsce ciągle jeszcze zbyt mała. Ale gdy równocześnie prawie milion dzieci nie uczęszcza do żadnej szkoły, to jest sprawa, nad którą się trzeba ponuro zadumać. Gdy się czyta, że w Polsce w 1931 r. 23 procent ludności, blisko czwarta część, nie umiała czytać ani pisać, trzeba sobie powiedzieć, że z taką armią ciężko iść do boju o lepszy byt. Prawda, że 10 lat przedtem, w 1921 r. prawie trzecia część ludności nie umiała czytać, jest więc poprawa, ale cóż będzie z tymi, którzy i dziś nie chodzą do szkoły i których jest prawie milion?

Mówiliśmy przed chwilą, że dla poprawy bytu, powiedzmy nawet — dla udoskonalenia Polski — trzeba się nauczyć lepiej i wydajniej pracować, trzeba podpatrzyć sekret, jak to inni wydajnie pracują. Jakże to będą podpatrywać te sekrety ci nie umiejący nawet czytać? Jak do nich trafić? Iluż by trzeba było apostołów wiedzy, żeby żywym słowem tych wszystkich ciemnych nauczyć?

Na górze ludzie prześcigają się w dokonywaniu wynalazków ułatwiających życie, ale równocześnie czyniących je bardziej złożonym. Na dole wszystko się zaczyna od sztuki czytania, bez której panują gęste mroki guseł i zabobonów, bez której widzi się świat jak przez gęsty dym, nie-

wiele widząc, nic z widzianego nie rozumiejąc. Parę lat temu pytałem się dorożkarza we Włocławku, ilu tu ludzi mieszka. „Cośćić milion czy dwa miliony" — odparł mi poczciwina. Kilka dni temu widziałem na wsi kobietę, której skaleczona ręka spuchła i sczerniała do łokcia: leczono ją tłuczonym kamieniem, dawanym z wodą do picia. A w miasteczku o 5 km mieszka dobry doktór, który biednych leczy za darmo.

Oto rzeczy, o których nie wolno milczeć. Kto by je taił, ten kłamałby swojemu narodowi i swojemu sumieniu. I niedość jest bezpłodnego wzruszania się ani nawet ciśnięcia paru groszy na jakieś tam cele oświatowe. Tu muszą wszyscy działać — pomocą, przykładem, namową, czynną pracą. Niedość jest wszystko zrzucać na rząd, na szkoły, których braknie, na nauczycieli, których jest o wiele za mało. Nie chodzi o to, żeby u siebie w domu szkółki otwierać; trzeba tylko starać się doprowadzić do powszechnego zrozumienia, iż ta ciemnota, to jedna z największych klęsk narodowych, z którą trzeba walczyć najwyższym natężeniem sił.

(„Spólnota" Nr 25 z 1937 r.)

GWIAZDKA

Jest jeden wieczór w roku, który twarze ludzkie rozjaśnia. To wieczór Gwiazdki.

Jednych ożywiają uczucia religijne, choć często przez resztę roku drzemią spokojnie, przygłuszone twardą walką o byt. Inni cieszą się w kole rodziny i przyjaciół, którzy się wzajemnie odwiedzają. Jeszcze inni traktują ten wieczór po prostu jako chwilę dłuższego wytchnienia po pracy, jako mniej czy bardziej lepsze pożywienie. Ale rozpogadzają się niemal wszyscy. Nawet zwierzęta wedle podania ludowego przemawiają w ten jeden jedyny wieczór w roku ludzkim językiem.

Czy wszyscy ci weselący się pamiętają, że tuż obok, o piętro wyżej czy po prostu przez ścianę żyją ludzie, którzy nawet w ten radosny wieczór muszą się zadowalać nędznymi ochłapami, jakich pies w zamożnym domu brzydziłby się dotknąć. Że ludzie ci kładą się na zgniłe barłogi, albo w smrodliwych przytułkach dla bezdomnych, że niezliczone mnóstwo dzieci wyczerpanych przedwcześnie, chorowitych, skarlałych dzieci, których uśmiech powinien być szczęściem całej ludzkości, nie śmie nawet

marzyć, nie umie sobie nawet wyobrazić schludnego łóżeczka, pożywnej strawy, którą by się można najeść do syta, nie mówiąc już o zabawkach, o których można tylko śnić. Że wszyscy ci nędzarze zasypiają z całkowitą świadomością, iż jutro nie będzie lepiej, bo jakaś nieubłagana fatalność pcha ich ciągle w straszliwą otchłań nędzy i upodlenia.

Czy ci siadający do suto zastawionego stołu ludzie pamiętają o tych wszystkich okropnych rzeczach, czy słyszą wydobywający się niekiedy tak wyraźnie spod chóru wesela straszliwy zgrzyt rozpaczy i wściekłości tych, którzy nie zostali zaproszeni na wielki bankiet świata. Czy do ich stołów nie siadają niewidzialne, a przecież dające się wyczuć widma o wynędzniałych twarzach, czy do ich drzwi nie pukają kościste palce?

Najłatwiej jest zbyć wszystkie te zapytania prostym wzruszeniem ramion. Przecież choćby kto posiadał wszystkie skarby świata, nie nakarmi wszystkich głodnych, nie przyodzieje wszystkich nagich. Można uprawiać filantropię, jeśli się spotka konającego z głodu, trzeba mu bez żadnych mędrkowań dać przede wszystkim szklankę mleka chociażby, jeśli się nie chce brać jego śmierci na swoje sumienie. Ale wszystko to razem biorąc społecznie jest kroplą wody na wyschnięte z gorączki usta, i to raczej na usta dającego, który w ten sposób uspokaja swoje sumienie, aniżeli otrzymującego, który wie, że te dary żadnej istotnej zmiany w jego życie nie wprowadzają.

Cóż więc robić? Czyżby nie było żadnego sposobu na usunięcie nędzy, która się staje bardziej okrutną plagą niż średniowieczny mur? Czyż nie można doprowadzić do tego, żeby ten, kto już coś posiada, spożywał owoce swojej pracy bez zgrzytu sumienia i rumieńca wstydu?

Anibym chciał, ani mógł dawać na to w tym krótkim artykule wyczerpującą odpowiedź. Sposoby do poprawy zła są różne i nie mam zamiaru zachwalać tutaj jak na targu swojego sposobu. Poprzestańmy na jednym: dla spółdzielców, może dla wszystkich ludzi, którym chciwość nie spopieliła już ludzkich uczuć do cna, nie ma, nie może być sposobu, systemu, ustroju, które godziłyby się z istnieniem ludzi wydziedziczonych i odtrąconych. Nie mam zamiaru namawiać nikogo, żeby przyodziewał na siebie włosiennicę i ronił od rana do późnego wieczoru łzy nad nieszczęściami innych ludzi; chwile odpoczynku i radości należą się każdemu, nawet bogaczom, choćby dlatego, że zmiękczają one serca ludzkie. Ale złamać i głęboko pogrzebać trzeba wszelkie teorie o „zdrowym egoizmie", który ma być źródłem postępu, o dobroczynnych skutkach wściekłego wyścigu do mety, w którym jedni łamią nogi, a inni

sumienia. Wszelkie tego rodzaju teorie są zaprzeczeniem naturalnego prawa każdego człowieka do życia, do szczęścia, wszystkie one są sypaniem piasku w oczy sobie, a zwłaszcza innym, dla zamaskowania swojego sobkostwa.

Spłyną one z nas jak śmieć na ciepłym wiosennym deszczu, kiedy odmówimy sobie prawa zapominania o złu, o nieszczęściu, o krzywdzie, o walce, jaką dla ich usunięcia trzeba toczyć bez przerwy.

(„Spólnota" Nr 36 z 1937 r.)

WOJNA

Jeszcze chodzą po świecie miliony sierot, którym ostatnia rzeź narodów zabrała ojców, miliony kalek, którym odebrała zdrowie i możność pracy, miliony nędzarzy, umierających z głodu, jak gdyby dziś jeszcze trafiały ich podówczas wystrzelone kule. Jeszcze ciągle świat nie może wrócić do równowagi, szukając poomacku swej drogi. A oto już nowa wojna wybuchła.

Prawda, to tylko wojna „kolonialna" na razie. To tylko półdzikich ludzi afrykańskich zabijać będą precyzyjne karabiny maszynowe i działa dalekostrzelne, miażdżyć będą tanki, które są cudem techniki współczesnej, pokotem kłaść będą gazy trujące, które są owocem wysiłku geniuszu ludzkiego, skierowanego ku złu. A jeżeli napastnikowi uda się zwyciężyć, wysoko w niebo popłyną radosne fanfary triumfu prastarej, szlachetnej cywilizacji nad ciemnotą barbarzyńców.

Trupów nikt liczyć nie będzie i nie zatroszczy się nikt o to, że znów jeden naród pomimo bohaterskiego oporu zakuto w łańcuchy niewoli.

Przeklęta jest cywilizacja, która rodzi takie owoce, i nieszczęsny jest świat, który do szczęścia swego nie widzi innej drogi niż przemoc i gwałt.

A przecież tak być musiało. Nie na darmo od długiego już szeregu lat składa się sile bałwochwalczą cześć, sądząc, iż ona jedna ma prawo decydować o wszystkim. Nie na darmo sławiono wojnę jako bohaterstwo. Włochy, które przez cały świat uznane zostały za napastnika, skarżą się, że im miejsca braknie pod słońcem do swobodnego rozwoju i dlatego sięgać muszą po cudzą ziemię. Ale przecież w tym samym kraju biednym, zadłużonym, dotkniętym ciężkim kryzysem, nawoływa-

no matki do rodzenia dzieci, jak najwięcej dzieci, żeby starczyło mięsa dla armat.

Nie znamy końca wojny. Nie wiemy, czy ta „kolonialna" wojna nie obróci się w nową, jeszcze straszliwszą rzeź świata, czy ogień, którym dzisiaj buchają ubogie abisyńskie strzechy, nie przerzuci się na stropy europejskich pałaców. Za dużo koło całej tej sprawy nagromadziło się kłamstwa, obłudy, chciwości i sobkostwa, żeby można było widzieć jasno lub drzemać w spokoju. Ustrój, w którym żyjemy, ustrój, w którym się pracuje dla zysku, nieodłącznego od wyzysku, w którym się dzieci szkoli jak wyżły, żeby tropiły bogactwo, taki ustrój nie daje nam rękojmi, że się międzynarodowe grabieże już więcej nie powtórzą.

Zmora wojny zniknie wówczas, kiedy oczyszczone dusze ludzkie przestaną marzyć o gwałcie dla zdobycia bogactwa, kiedy potulne masy nie dadzą się nadużywać w imię fałszywie pojętej miłości ojczyzny i kiedy matkom odechce się rodzić dzieci, których kości rozrzucone po polach śmierci mają być fundamentem cudzej potęgi.

(„Spólnota" Nr 20 z 1935 r.)

DWIE SIŁY

My, spółdzielcy, chcemy budować swój nowy świat, oparty na sprawiedliwości i miłości człowieka. Nienawidzimy wyzysku, brzydzimy się gwałtem. Od początków swego istnienia byli też spółdzielcy zwolennikami pokoju i dawali temu wyraz przy każdej sposobności.

Nie znaczy to bynajmniej, byśmy byli naiwnymi ludźmi, którzy nie zdają sobie sprawy, że do zwycięstwa naszych ideałów jest jeszcze daleko, a dziś jak nigdy może, świat pełen jest rozpasanych pożądliwości, przemocy niszczącej słabszych, kłamstwa, które stosunki między narodami czyni niepewnymi jak grząskie błoto. Pożera się słabszych w imię ich dobra, albo dlatego, że gdzie indziej inny napastnik czyni to samo. W tych warunkach ostateczna rozprawa, wojna, która by zniszczyła pół Europy, jeśli nawet nie zagraża nam jutro, jest jedynym naturalnym zakończeniem, a ludzie miłujący pokój muszą sobie powiedzieć, że najszczytniejsze hasła i najpiękniejsze słowa nie zmienią tu stanu rzeczy ani nie zapewnią nikomu obrony.

Dlatego też dzisiaj najspokojniejsze, najmniej zaborcze narody szukają tej obrony w czym innym — szukają jej w zbrojeniach. Dlatego

i my, spółdzielcy, wespół z całym narodem nie szczędzimy nieraz ofiary, żeby być gotowymi do obrony swojego narodu.

I nie ma w tym żadnego wyparcia się wczorajszych ideałów. Nie przestajemy przez to być ludźmi miłującymi nade wszystko pokój, nade wszystko, z wyjątkiem wolności naszego narodu. To jest rzecz, przy której ustają wszelkie rozumowania, kończą się wszelkie interesy i upodobania. W sprawie wolności narodu musimy czuć i myśleć jako jego cząstka.

Człowiek jest istotą umiejącą żyć tylko w gromadzie, a najbliższą gromadą, którą zna i którą kocha, jest jego własny naród. Kocha jego język, którym od najmłodszych lat uczył się porozumiewać ze swoim otoczeniem. Kocha jego przeszłość, z którą jest poprzez przodków swoich związany, jego twórczość, której sam jest cząstką. I choćby to były rzeczy niewytłumaczalne, dla ludzi, którzy zmieniają swoją narodowość dlatego, że gdzie indziej mogą lepiej zarabiać albo żyć wygodniej — czujemy zwykle coś na kształt pogardy. Bo stosunek z własnym narodem jest tym stosunkiem, przy którym nie prowadzi się obrachunku, wykazującego koniecznie zyski; wręcz przeciwnie, oddaje mu się w razie potrzeby swe życie, gdyż lepiej umrzeć szlachetnie, aniżeli żyć podle.

Kto zresztą tych wszystkich rzeczy nie czuje i nie rozumie, ten niech zważy, że lepiej jest dla swojego narodu cierpieć lub oddać życie w ofierze, niż żyć po utracie wolności w cudzym, jako obywatel niższej kategorii czy może wprost jako niewolnik.

Przykład Czech, które stanowią teraz część Rzeszy niemieckiej, ale w których tylko Niemcom przysługują prawa polityczne na terenie tej Rzeszy, jest bardzo znamienny.

To związanie się człowieka-obywatela ze swoim narodem jest jego siłą. O sile, jako warunku zyskiwania przez naród szacunku innych narodów, mówi się teraz dużo, głupio i ordynarnie. Różnego kalibru dyktatorzy opowiadają publicznie, że muszą poświęcać wszystko, nie wyłączając praw moralnych, dla powiększania siły swojego państwa, która im nakaże posłuch i szacunek innych państw. Mówiąc to, myślą oczywiście wyłącznie o sile fizycznej, sile bagnetów, armat i tanków. Mówią też dużo o zwartości swoich narodów, ale dla wszelkiej pewności tej jednomyślności pilnują potężne oddziały ich partyjnej policji oraz obozy koncentracyjne.

Jest i działa na szczęście w świecie inna jeszcze siła — siła moralna, miłość niewymuszona swojego narodu, poczucie obowiązku, choćby ono wiodło na oczywistą śmierć. Przez nią to w obliczu grożącego niebezpieczeństwa naród zwiera swoje szeregi, jak oddział w szyku bojowym.

Zapisujemy się teraz na Pożyczkę Przeciwlotniczą. To słusznie, jesteśmy bowiem pod tym względem ciągle jeszcze słabsi od swoich potężnych sąsiadów. Ale choć samolot i przeciwlotnicza armata, to straszne bronie, większą jeszcze siłę reprezentuje ten zapał, z jakim naród nasz przystąpił do spełnienia obowiązku, choć nie zawsze bywa to łatwe. Karabin, to rzecz ważna, ale jeszcze ważniejsze jest serce człowieka, który go trzyma. O tym wiedzą także i ci, którym ślina do ust idzie na nasze dobro. I dlatego gotowość do obrony swojego kraju to jego najmocniejszy mur ochronny.

(„Spólnota Nr 15 z 1939 r.)

BIBLIOGRAFIA PRAC STANISŁAWA THUGUTTA

PRACE ORYGINALNE I TŁUMACZENIA

Kazimierz nad Wisłą — 20 widoków. Warszawa 1907.

Księstwo Warszawskie — jego utworzenie się i dzieje. Warszawa 1907. Str. 78.

Przewodnik po Warszawie — z planem Warszawy. Warszawa (ok. 1909 r.). Str. 88.

Przewodnik po Królestwie Polskim. Cz. I Kieleckie i Radomskie. Warszawa 1914. Str. 188.

Polska i Polacy — ilość i rozsiedlenie ludności polskiej. Warszawa 1915. Str. 30 + mapy.

Rada Narodowa. Warszawa 1917.

Wrogowie reformy rolnej. Warszawa 1920. Str. 24.

Jakich Polsce rządów potrzeba. Warszawa 1920. Str. 32.

Rząd Ludowy w Lublinie — jak powstał i czym był. Warszawa 1928. Str. 30.

W obronie parlamentaryzmu. Warszawa—Wilno 1928. Str. 144.

Listy do młodego przyjaciela. Wyd. I. Lublin 1929. Str. 28. Wyd. II. Kraków 1939. Str. 47.

Obrozené Polsko. Prelozil prof. B. Wydra. V Praze 1929. Str. 49.

Kredyt zły przyjaciel. Warszawa 1931. Str. 15.

Porównawcze ustawodawstwo spółdzielcze. Warszawa 1931. Str. 2 nl. + 266.

Pionierzy. Warszawa 1931. Str. 15.

Co to jest spółdzielnia spożywców. Warszawa 1932. Str. 16.

W obronie samodzielności ruchu spółdzielczego. Warszawa 1933. Str. 15.

Uwagi o nędzy. Warszawa 1933. Str. 8.

Spółdzielczość. Zarys ideologii. Wyd. I. Warszawa 1934. Str. 191. Wyd. II-e. Warszawa 1937. Str. 201.

Ku lepszemu życiu. Warszawa 1935. Str. 29.

Romuald Mielczarski, spółdzielca-patriota-człowiek. Warszawa 1936. Str. 32.

25 lat w pracy i walce. Warszawa 1936. Str. 40.
Współzawodnictwo czy współdziałanie. Warszawa 1937. Str. 15.
Gide Karol: Kooperatyzm. Tłum. Stanisław Thugutt. Warszawa 1937. Str. 348.
Wytwórca czy spożywca. Warszawa 1938. Str. 16.
Przewrót czy droga rozwoju. Warszawa 1938. Str. 14.
Wykłady o spółdzielczości. Wyd. I Warszawa 1938. Wyd. II Warszawa 1939. Str. 134.
Spółdzielczość w szkole (odbitka z Encyklopedii Wychowania). Warszawa 1939. Str. 12.

PRACE ZBIOROWE I CZASOPISMA REDAGOWANE

Ziemia — tygodnik krajoznawczy (w charakterze kierownika literackiego) Warszawa 1910-14.
Fotograf Warszawski — miesięcznik, organ Tow. Fotograficznego. Warszawa.
W palącej sprawie szkolnej — (St. Thugutt, Iza Moszczeńska, Władysław Studnicki). Warszawa 1915.
Z Rosją czy przeciw Rosji — (Michał Łempicki, Tytus Filipowicz, Tadeusz Grużewski, Henryk Tennenbaum, Medard Downarowicz, wstęp Stanisław Thugutt). Warszawa 1916. Str. 115.
Biuletyn — organ Centr. Kom. Narodowego. Warszawa 1916-17.
Z dnia — Chwila (dalszy ciąg Biuletynu). Warszawa 1917.
Wyzwolenie — tygodnik. Warszawa (ok. 1916 — 1917).
Tydzień — tygodnik. Warszawa 1929-30
Recueil d'études du Groupe Parlementaire Franco-Polonais — 5 tomów. Warszawa.
Ruch Ludowy — tygodnik. Warszawa.
Informator Spółdzielczy. Warszawa 1932.
Społem — dwutygodnik. Warszawa, od r. 1935.

CZASOPISMA ZAWIERAJĄCE WIĘKSZĄ ILOŚĆ LUB WAŻNIEJSZE ARTYKUŁY

Świat, Myśl Polska, Gazeta Polska (w początkach istnienia Państwa), *Ster, Robotnik, Kurier Poranny, Przegląd Współczesny, Spólnota.*

TREŚĆ

OD WYDAWCÓW IX

MOJE ŻYCIE

Część I — Dzieciństwo i młodość 5

Wstęp, str. 5. — Szkoły, str. 8. — W Łodzi, str. 13. — Znowu w Warszawie, str. 14. — W Ćmielowie, str. 15. — Rewolucja, str. 17.

Część II — W walce o Polskę 22

Wojna, str. 22. — Niemcy w Warszawie, str. 27. — W Legionach, str. 30. — Centralny Komitet Narodowy, str. 36. — „Biuletyn", str. 37. — Akt 5 listopada, str. 38. — Rada Narodowa, str. 39. — Tymczasowa Rada Stanu, str. 40. — Niedoszły zamach stanu, str. 42. — W Modlinie, str. 46. — W przededniu, str. 50.

Część III — W wolnej Polsce 53

Rząd Lubelski, str. 53. — Rząd Moraczewskiego, str. 57. — W Paryżu, str. 73. — Z okresu Sejmu Ustawodawczego, str. 76. — W 201 p.p., str. 78. — Rok 1921, str. 81. — W Sejmie, str. 82. — Próba stworzenia rządu, str. 94. — Za granicą, str. 102. — Ustawy językowe, str. 105. — Wyjście z Klubu, str. 107. — W rządzie Grabskiego, str. 113. — Klub Pracy, str. 117.

Część IV — Praca w spółdzielczości 119

KRAJOZNAWSTWO

Więzienia sztuki 123

„Pan Balcer" 126

Przyroda i człowiek 131

Wisła 135

Krajobraz polski 141

Literatura krajoznawcza 145

Grunwald 150

Zabytki 155

Bór Łysogórski 160

Mieczysław Brzeziński 164

Z wrażeń kaszubskich 168

Nad grobem wielkiego człowieka 178

POLITYKA

Dlaczego jestem ludowcem i demokratą 187

Co by nas mogło połączyć 208

Odezwa Centralnego Komitetu Narodowego w sprawie wojska 218

Przemówienie gen. Beselera 218

List do marszałka Koronnego Wacława Niemojewskiego 221

Konsolidacja 225

Wartość czynu 7 listopada 229

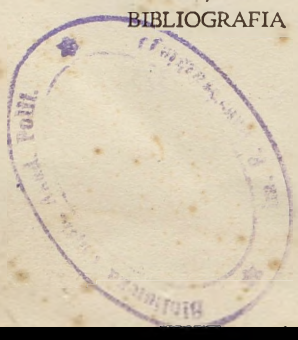
Zgodą czy niezgodą 232

Nasze cele 234

Zle pojęta miłość ojczyzny 237
Neutralni 242
Chłopska dyktatura 244
Grabarze demokracji 247
Pamiętnik szlachcica kresowego 250
Przed rozpoczęciem obrad Sejmu 258
Przemówienie na posiedzeniu sejmowym 20.I.1923 r. 261
Przemówienie na posiedzeniu sejmowym 26.V.1923 r. 264
Przemówienie na posiedzeniu sejmowym 19.VI.1923 r. 266
Przemówienie na posiedzeniu sejmowym 9.VII. 1924 r. 278

SPÓŁDZIELCZOŚĆ

Społeczne cele spółdzielni 289
Spór o władzę 299
Wieś polska 304
Rażący rozdźwięk 306
Nowy człowiek 308
Ustawodawstwo spółdzielcze 312
Spółdzielczość wychowawczynią 316
Kredyty i ideały 319
Kryzys moralny 321
Czas próby 324
Na Dzień Spółdzielczości 326
Różnica zasadnicza 333
Wartość narodowa ruchu 335
Spółdzielczość międzynarodowa 338
Nasza neutralność 340
Zmącona dusza narodu 342
Czyste ręce 343
Rola spółdzielczości w budowie Państwa Polskiego 345
Dwa życia 348
Szczęście w biedzie 350
Na święta 351
Inni ludzie 352
Kształcenie dzieci 353
Sztuka wspólnej pracy 354
Bądź spółdzielcą wszędzie i zawsze 355
Kto rządzi światem 357
Czym walczyć 358
Nigdy dosyć 360
Spółdzielczość dzieciom 363
Plaga ciemnoty 364
Gwiazdka 366
Wojna 368
Dwie siły 369
BIBLIOGRAFIA 373



BIBLIOTEKA NAUKOWA WP
41.106/12